

**Barbara Wood**

**Klątwa Tęczowego Węża**

*Przełożyła Teresa Sośnicka*

*Książkę tą dedykuję z wyrazami miłości  
Bratu Richardowi*

Moje szczególne podziękowania należą się kilku wspaniałym osobom:

Chrisowi Bennettowi z Newstead w Tasmanii za jego sumienne naukowe badania, skrupulatne notatki, wywiady, nagrania i cierpliwe odpowiedzi na tysiące pytań, a także za doskonałą znajomość Okręgu Zachodniego.

Rodzinie Lewandowskich, również z Tasmanii, za ich wsparcie i wiarę we mnie, a szczególnie za ich nieustrudzone i zawsze obojętne wysiłki zdobywania materiałów źródłowych dotyczących niezrozumiałych dla mnie spraw.

Panu Peterowi Cameronowi oraz jego żonie z Okręgu Zachodniego w Wiktorii za możliwość przyjrzenia się życiu na owczej farmie.

Lucy Lewandowskiej-Porter za próbki wełny, za instrukcje posługiwania się kołowrotkiem i wyjątkowo wrażliwy wgląd w duchowość Aborygenek.

I wreszcie, w nie mniejszym stopniu, konsultantom z instytutu L&B Research, którzy zwykli kierować się mottem: „Historia to nasza sprawa”.

# **Część pierwsza**

**1871**

## ROZDZIAŁ 1

Joanna śniła.

Widziała siebie, jak wspiera się na ramieniu przystojnego młodego mężczyzny, wdzięczna mu za oparcie, lecz obojętna na okazywaną troskliwość. Nie dostrzegła stojących w równym szeregu brytyjskich żołnierzy, dam w eleganckich sukniach i kapeluszach ani oficerów na koniach, którzy salutowali uniesionymi w górę szablami, gdy dwie trumny spuszczano do grobu. Joanna zdawała sobie sprawę tylko z jednego – że oto straciła dwoje ludzi, których kochała, i że w wieku osiemnastu lat została sama na świecie.

Żołnierze podnieśli karabiny i oddali honorową salwę. Błękitne niebo rozdarł huk wystrzałów. Joanna podniosła wzrok, zaskoczona. Poprzez czarny welon dymu prześwitywało słońce. Wydało się jej zbyt duże, zbyt gorące i wiszące zbyt nisko nad ziemią.

Gdy dowódca pułku przystąpił do odczytywania pochwał nad grobami sir Petroniusa i lady Emily Drury, Joanna spojrzała na niego zaskoczona. Dlaczego mówił tak niewyraźnie? Nie mogła go zrozumieć. Rozejrzała się wokół po twarzach ludzi, którzy przybyli tłumnie, żeby oddać ostatni hołd jej rodzicom. Byli tu dziś reprezentowani przedstawiciele wszystkich klas: od służących po najwyższe wojskowe osobistości oraz dwór wicekróla Indii. I najwyraźniej nikomu oprócz Joanny przemówienie dowódcy nie wydało się bełkotliwe ani niestosowne.

Ogarnęło ją przecucie nadciągającej katastrofy. Zaczęła się bać.

Nagle zamarła z przerażenia. Na obrzeżach tłumu stał pies – ten sam, który pozbawił życia jej matkę.

Przecież tamto zwierzę zostało zgładzone! Joanna widziała na własne oczy, jak żołnierz je zastrzelił. A jednak znajdowało się tutaj. Jego czarne ślepia były utkwione prosto w niej. Wtem ruszyło w jej stronę. Próbowała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Pies pędził susami w kierunku Joanny i już miał ją zaatakować, ale wzbił się w niebo i rozprysł na tysiące gorących białych gwiazd.

Zawirowały nad jej głową niczym lśniącą karuzela, przytłaczające w swoim pięknie i potędze.

Utworzyły na firmamencie długi, kręty niebiański gościniec wyłożony brylantami. Nie, to nie był gościniec ani droga; szlak się poruszał.

Niespodziewanie przybrał kształt olbrzymiego połyskującego węża.

Brylantowy gad rozwinął się na całą długość i zaczął pełznąć w jej stronę. Czowała, jak ją obmywa zimny żar ognistej gwiazdy. Obserwowała masywne, rozrastające się cielsko. Nagle dostrzegła na środku gadziej głowy jedyne błyskające płomieniami oko. A kiedy wąż otworzył paszczę, zauważyła jej czarne wnętrze, które niczym tunel śmierci zamierzało ją pochłonać.

Krzyknęła.

Gwałtownie otworzyła oczy. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Poczowała delikatne kołysanie statku. W mroku dostrzegła ściany kajuty. Powoli wróciła jej pamięć.

Płynęła do Australii na pokładzie żaglowca ss „Estella”.

Usiadła i sięgnęła po zapalki leżące na małym stoliku przy łóżku. Ręce trzęsły się jej straszliwie. Nie mogła zapalić lampy. Narzuciła szal na ramiona i podeszła do świetlika. Szamotała się z nim przez chwilę, lecz w końcu zdołała otworzyć. Poczuła na twarzy zimny powiew oceanicznej bryzy. Zamknęła oczy, starając się odzyskać spokój.

Sen był bardzo realny.

Oddychając głęboko i wsłuchując się w znajome odgłosy – skrzywienie masztów i stękanie wręg – powoli wracała do rzeczywistości. „To był tylko sen – tłumaczyła sobie. – Jeszcze jedno senne widziadło... „

„Czy sny są ogniwem łączącym nas ze światem duchów?

– napisała kiedyś w swoim dzienniku matka Joanny, lady Emily.

– Czy przekazują wiadomości, ostrzegają, a może wyjaśniają tajemnice?”

„Ja też chciałabym to wiedzieć, mamo” – pomyślała Joanna, zapatrzona w bezkresny, ciągnący się aż po linię horyzontu ocean.

Choć gwiazdy nad Indiami były wielkie i piękne, nie dorównywały okazałością tym, które Joanna obecnie podziwiała na nocnym niebie. Rolę dawnych, rozpraszających wątpliwości drogowskazów z dzieciństwa miały teraz przejąć nieznanne gwiazdozbiory mrugające do niej znad południowej półkuli.

Starła się pojąć znaczenie swojego niedawnego snu. To, że śniła o pogrzebie, a nawet o psie, było oczywiste. Ale jak miała wytłumaczyć sobie gwiazdne węże oraz własny strach? I skąd wzięła się pewność, że wąż był gotów ją unicestwić?

Na kilka tygodni przed śmiercią lady Emily zanotowała w swoim dzienniku: „Prześladują mnie nocne koszmary. Szczególnie przeraża mnie jeden majak, którego nie rozumiem, a jest nie do zniesienia. Inne sny są zaledwie osobliwymi wizjami wydarzeń. Nie budzą we mnie grozy. Wydają się tylko niewiarygodnie realne. Czyżby to były wspomnienia, które zatarty się w mojej pamięci? Czyżbym przypominała sobie czasy wczesnego dzieciństwa? Chciałabym to wiedzieć. Przeczuję, że w tych tajemniczych wizjach kryje się rozwiązanie zagadki mojego życia. I wiem, że jeśli wkrótce nie zostanie znalezione, zginę”.

Joannę wyrwały z rozmyślań niosące się po wodzie, padające w ciemnościach komendy, które narzucały tempo pracy: „Raz, raz, raz... „, oraz odgłos zanurzania wiosł. Przypomniała sobie, że „Estella” została unieruchomiona przez morską ciszę.

– W życiu nie widziałem czegoś podobnego – wyznał kapitan poprzedniego dnia. – Tyle lat spędziłem na morzu, a nie spotkałem się na tej szerokości geograficznej z bezwietrzną pogodą. Nie mogę tego pojąć. Wygląda na to, że będę musiał posadzić ludzi w barkasach i płynąć dalej niczym na galerze.

Joanna czuła narastający lęk.

W sanatorium w Allahabad, gdzie przez kilka tygodni przychodziła do siebie po niespodziewanej śmierci rodziców, śniła, że tak właśnie się stanie.

„Dlaczego? – zastanawiała się, dygocząc z zimna. – Czy to, co dręczyło moją matkę i w końcu ją zniszczyło, teraz zaczęło prześladować również mnie?”

– Musisz pojechać do Australii, Joanno – powiedziała lady Emily na kilka godzin przed

śmiercią. – Wybierz się w podróż, którą miałyśmy odbyć razem. Coś nas zabija. Znajdź źródło naszej zagłady i połóż mu kres. W przeciwnym razie twoje życie też się skończy przedwcześnie i nikt się nie dowie, co było tego powodem.

Joanna rozejrzała się po kajucie. Była kobietą zamożną. W czasie długiej podróży z Indii do Australii mogła pozwolić sobie na wygodną kabinę. Nie zniosłaby towarzystwa współpasażerów. Pragnęła samotności. Chciała zostać sama ze swoim smutkiem. Potrzebowała czasu, żeby spróbować dociec, co przydarzyło się jej rodzinie, a także jej samej, oraz zrozumieć, co ciągnie ją na drugi koniec świata do kraju, o którym wie tak niewiele.

Obrzuciła wzrokiem dokumenty leżące na małym biurku. Wśród nich znajdował się zapis spadkowy sporządzony dawno temu przez dziadków, których nie знаła. Usiłowała go rozszyfrować i, tak jak niegdyś jej matka, pojąć jego dziwną treść. Stanowił teraz część spuścizny Joanny. Nikt nie wiedział, gdzie leży wymieniona w akcie notarialnym ziemia, z jakiego powodu rodzice lady Emily ją nabyli ani czy kiedykolwiek na niej mieszkali. Wzrok Joanny spoczął na dzienniku matki – na „księdze życia” lady Emily wypełnionej opisami snów, lęków i daremnych wysiłków pojęcia tajemnicy swego życia: wczesnych lat dzieciństwa, o których nie zachowały się żadne wspomnienia, oraz sennych majaków, które zapowiadały zatrważającą przyszłość.

– Mam przeczucie, Joanno – oświadczyła lady Emily u kresu swoich dni – że odpowiedź na wszystko znajduje się w wymienionej w testamencie miejscowości o nazwie Karra Karra. Posiadłość ta leży gdzieś w Australii. Nieraz zastanawiałam się, czy nie stamtąd właśnie pochodzi kobieta, którą widuję w snach. Niewykluczone, że moja matka nie umarła i żyje nadal, choć jest to raczej mało prawdopodobne. Musisz odszukać Karra Karra, Joanno. Zrób to dla mnie. Po to, żeby ocalić siebie.

I w przyszłości swoje dzieci.

„Od czego mam ocalić siebie?” – pomyślała Joanna.

Wśród dokumentów na biurku znajdował się również list, zawierający stwierdzenie: „Twoje wypowiedzi są obrazą Boga”. Nie był podpisany, lecz Joanna wiedziała, że pochodził od ciotki Millicent, która wychowała jej matkę i dla której przeszłość Emily Drury była tak przerażająca, że nigdy nie chciała o niej wspominać. Wśród szpargałów na stoliku stał miniaturowy portret lady Emily, pięknej kobiety o smutnych oczach. Jak należało dopasować do siebie te wszystkie fragmenty, żeby rozwiązać zagadkę życia matki, a być może i przeznaczenia Joanny?

– Nie mam pojęcia, dlaczego twoja matka umiera – oznajmił lekarz. – Ten przypadek wykracza poza zakres mojej wiedzy. Nie jest chora, a jednak gaśnie. Przypuszczam, że to raczej schorzenie duszy niż ciała, ale nie potrafię wyjaśnić, co jest jego powodem.

Joanna domyślała się przyczyny. Kilka dni przedtem na teren obozu wojskowego, gdzie stacjonował jej ojciec, wdarł się pies chory na wściekliznę. Zapędził w kąt zamartłą z przerażenia Joannę i szycował się do skoku. Lady Emily zagroziła psu drogę. W momencie ataku zwierzę zostało zastrzelone przez żołnierza i padło martwe u ich stóp.

– Lady Emily ma wszystkie objawy wścieklizny, panno Drury – orzekł lekarz. – A przecież nie została pogryziona. Pozostaje dla mnie tajemnicą, skąd się wzięły te symptomy.

Joanna ponownie spojrzała przez świetlik na ciemny ocean. Słyszała pracujących przy wiosłach mężczyzn, którzy usiłowali wyciągnąć statek z morskiej ciszy. Pomyślała o swojej umierającej matce – zupełnie bezbronnej wobec siły, która ją zabijała. A także o tym, jak kilka godzin po śmierci ukochanej żony pułkownik Petronius przystawił sobie do skroni służbowy rewolwer i nacisnął spust.

– Dają znać o sobie dziwne moce, moja najdroższa Joanno – mówiła lady Emily w ostatnich chwilach życia. – Po tylu latach upomniały się o mnie. I upomną się też o ciebie. Proszę cię... pojedź do Australii, sprawdź, co się stało, i nie dopuść, by ta trucizna... ta klątwa wyrządziła ci krzywdę.

Joanna przypomniała sobie dawną opowieść swojej matki:

– Kapitan statku przywiózł mnie do domu ciotki Millicent w Anglii, gdy miałam cztery lata. Przyplłynęłam razem z nim żaglowcem, prawdopodobnie z Australii. Miałam ze sobą bardzo niewiele rzeczy. I w ogóle nie mówiłam. Nie byłam w stanie. Jestem przekonana, że to, co się wydarzyło na tamtym kontynencie, choć nie potrafię tego odtworzyć w pamięci, musiało być przeżyciem nie do opisanego. Ciotka twierdziła, że upłynęły miesiące, zanim się do niej odezwałam. To ważne, Joanno, żebyś się dowiedziała, co spotkało naszą rodzinę na antypodach.

Mniej więcej od roku, gdy lady Emily skończyła trzydzieści dziewięć lat, zaczęły ją prześladować nocne koszmary, które, jej zdaniem, mogły być wspomnieniami z okresu wczesnego dzieciństwa. Opisywała je w swoim dzienniku:

„Jestem małym dzieckiem, trzyma mnie na rękach młoda ciemnoskóra kobieta. Otaczają nas ludzie. Wszyscy w milczeniu na coś czekamy. Wpatrujemy się w otwór przypominający wyjście z jaskini. Odzywam się, ale zostaję uciszona. Przeczuję, że ma nadejść moja matka. Chcę, żeby przyszła. I niepokoję się o nią. W tym momencie sen się kończy, ale jest tak żywy i szczegółowy, że niemal czuję na skórze piekące promienie słońca. Zastanawiam się, czy nie są to obrazy z moich lat spędzonych w Australii. Ale co miałyby oznaczać?”

Joanna spojrzała na gwiazdozbiór zwany Krzyżem Południa. Jego wierzchołek wytyczał drogę do Australii, od której dzieliło Joannę zaledwie kilka dni podróży. Była zdecydowana dotrzeć tam i znaleźć odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Gdy zamknęła oczy pięknej lady Emily, zmarłej na tajemniczą chorobę, pomyślała: „Masz to już za sobą, matko. Lata koszmarnych snów i nie nazwanych lęków minęły. Wreszcie zaznasz spokoju”.

Ale podczas pobytu w sanatorium miała sen: widziała siebie na środku oceanu. Statek był unieruchomiony przez morską ciszę, martwe żagle zwisały z masztów, a kapitan poinformował załogę, że niebezpiecznie maleją zapasy wody i żywności. We śnie Joanna wiedziała, że to ona jest powodem groźby, która zawisła nad żaglowcem.

Po przebudzeniu uświadomiła sobie z przerażeniem, że to, co prześladowało przez całe życie lady Emily, nie umarło wraz z nią.

Przysłuchując się marynarzom, którzy w mroku pracowali przy wiosłach, Joanna na nowo nabrała przekonania o pilnej potrzebie własnej misji. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności – jej sen i unieruchomiony statek. W dziwnych majakach, które nękały jej matkę, musiał się kryć jakiś sens. Wpatrując się w noc, usiłowала wyobrazić sobie kontynent,



który leżał niedaleko stąd – Australię, gdzie czekały na nią tajemnice przeszłości, a kto wie, może i przyszłości?

– Melbourne! Port Melbourne! Proszę się przygotować do zejścia na ląd!

Joanna stała na pokładzie razem z innymi podróżnymi i obserwowała zbliżający się przylądek. Spieszno jej było do opuszczenia „Estelli” i ciasnej kabiny. Spojrzała ponad głowami ludzi oczekujących na przybycie statku. Miasto odcinało się wyraźnym konturem na tle nieba. Joanna zastanawiała się, czy za budowlami i wieżami kościołów, gdzieś w głębi kraju, który przez tysiące lat znany był tylko koczowniczym plemionom tubylców, znajdzie odpowiedzi, których szukała jej matka.

Gdy trap został spuszczonej i oficerowie statku zgromadzili się, żeby pożegnać pasażerów, Joanna spojrzała w niebo. Blask ją oślepił. Nie były to znane jej gorące promienie słońca Indii, w których dorastała, ani łagodne i mgliste światło Anglii, które kiedyś widziała jako dziecko. Słońce nad Australią świeciło ostro i przenikliwie, wydawało się niemal agresywne.

Joanna dostrzegła grupę tragarzy. Wbiegali na pokład, chwyтали walizki oraz wszystko, co im wpadło w ręce, i zapewniali szykujących się do zejścia na ląd pasażerów, że przeniesienie ich bagaży będzie kosztowało zaledwie kilka pensów. Joannę zagadnął młody ciemnoskóry mężczyzna:

– Pomogę pani. Za jedne sześć pensów. Dokąd się pani udaje? Przyjrzała mu się uważnie. Było to jej pierwsze spotkanie z Aborygenem – z przedstawicielem rasy, o której przez całe życie tak wiele słyszała.

– Dobrze – rzekła po chwili. – Proszę zanieść mój kufer do portu.

Mężczyzna złapał za uchwyt skrzyni, dźwignął ją w górę i z uśmiechem spojrzał na Joannę. Nagle jego twarz zmieniła wyraz. Zamrugnął powiekami, a potem odstawił bagaż, niespodziewanie się odwrócił i sięgnął po wiklinowy kosz, z którym nie mogła sobie poradzić jakaś staruszka.

– Pomogę pani, zgoda? – zaproponował i pospiesznie się oddalił.

Do Joanny podszedł marynarz z wózkiem bagażowym.

– Zawiozę kufer na ląd.

– O co mu chodziło? – spytała, wskazując na tubylca.

– Proszę nie przejmować się jego zachowaniem, panienko. Prawdopodobnie uznał, że kufer jest za ciężki. Krajowcy nie lubią się przemęczać. Odstawię pani bagaż do portu.

Schodząc po trapie, rozglądała się za Australijczykiem, lecz on jakby zapadł się pod ziemię.

– Jesteśmy na miejscu, panienko – rzekł marynarz, gdy znaleźli się na brzegu. – Czy ktoś na panią czeka?

Spojrzała w stronę ludzi tłoczących się w porcie. Wymachiwali w podnieceniu, witając pasażerów. Przypomniała sobie ustęp z dziennika swojej matki: „Czasami zastanawiam się, czy istnieje szansa na to, aby moi rodzice wciąż jeszcze żyli w Australii”.

Joanna wręczyła marynarzowi kilka pensów i odparła:

– Nie, nikogo się nie spodziewam.

Otoczona tłumem, starała się ustalić dalszy plan działania. Najpierw musiała znaleźć sobie jakieś lokum oraz sposób na utrzymanie się z finansowych zasobów, jakimi dysponowała. Dopiero po upływie dwóch i pół roku spadek stawał się jej własnością. Musiała się też zwrócić o pomoc w zlokalizowaniu ziemi należącej niegdyś do jej rodziny – do kogoś, kto znał Australię sprzed trzydziestu siedmiu lat.

Nagle jej uwagę przykuło zamieszanie za plecami i dobiegające krzyki:

– Stój! Zatrzymajcie tego chłopca!

Obejrzała się. Na pokładzie jakiś dzieciak usiłował się przedrzeć przez ludzką ciżbę. Wyglądał na cztery, pięć lat. Miotał się i rzucał w różne strony, by umknąć stewardowi.

– Zatrzymajcie go! – wołali ludzie, lecz chłopiec pierchnął, zbiegł trapem w dół i przemknął obok Joanny.

Pędził na oślep, rozpaczliwie przebierając chudymi nogami w krótkich spodenkach, a gdy steward go dopadł, rzucił się na płask i zaczął tłuc głową o ziemię.

– Hola, hola, mały! – rzekł mężczyzna, chwytając go za kołnierz. – Dostyc tego!

– Zadaje pan dziecku ból – wtrąciła się Joanna. Ukłękła przy malcu i stwierdziła, że ma rozcięte czoło.

– Nie bój się – powiedziała. – Nikt cię nie skrzywdzi. – Wyjęła z torebki chusteczkę i delikatnie przyłożyła ją do głowy dziecka. – To nie będzie bolało.

Podniosła wzrok na stewarda.

– Co się stało? – spytała. – Mały sprawia wrażenie przerażonego.

– Przykro mi, panienko, ale nie wiem. Nie jestem jego niańką. Chłopak został wsadzony na pokład w Adelajdzie. Przebywał pod pokładem przez kilka dni i było z nim samo utrapienie. Nic nie jadł i nie odzywał się ani słowem...

– A gdzie są jego rodzice?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że sprawił mi mnóstwo kłopotu i że miał wylądować w Melbourne. Ktoś powinien się tutaj po niego zgłosić.

Joanna zauważyła jednofuntowy banknot przypięty do koszuli chłopca oraz kartkę z jego imieniem i nazwiskiem: Adam Westbrook.

– Masz na imię Adam? – spytała. Dzieciak spojrzął na nią, lecz nie odpowiedział. Steward zaczął odpinać banknot.

– Przypuszczam, że to dla mnie, zważywszy na problemy, jakich mi przysporzył.

– Niech pan zostawi pieniądze. Należą do dziecka – rzekła Joanna.

Steward otaksował ją spojrzeniem. Spostrzegł, że jest śliczna. Nuta w jej głosie świadczyła o tym, że młoda kobieta przywykła do wydawania rozkazów. Jego uwagi nie uszedł też kosztowny ubiór ani etykieta pierwszej klasy na kufrze. Uznał, że ma do czynienia z damą.

– Chyba ma pani rację. Proszę nie sądzić, że nie lubię dzieci, tylko ten był wyjątkowo krnąbrny. Przez cały czas płakał i wymachiwał pięściami. I przez całą podróż nie wypowiedział ani jednego słowa. No cóż, muszę wracać na statek. – I zanim Joanna zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął w tłumie.

Przyjrzała się uważnie bladej i wymizerowanej buzi chłopca. Miała wrażenie, że gdyby

podniosła malca do światła, mogłaby go przejrzeć na wskroś. Dlaczego sam płynął statkiem? Musiał doznać jakiegoś nieszczęścia i pewnie bardzo cierpiał, skoro był gotów rozbić sobie głowę o kamienie.

Nagle dobiegł ją męski głos:

– Przepraszam, panienko, czy to jest Adam?

Podniosła wzrok. Przed nią stał bardzo przystojny mężczyzna. Miał mocno zarysowaną szczękę, prosty nos i zmarszczki od słońca wokół szarych oczu.

– Nazywam się Hugh Westbrook – przedstawił się, zdejmując kapelusz. – Przybyłem po Adama. – Uśmiechnął się do Joanny, a potem przyklęknął przed chłopcem. – Witaj, Adamie. Przyjechałem, żeby cię zabrać do domu.

Kiedy zdjął kapelusz, Joanna dostrzegła podobieństwo pomiędzy nim a malcem – mieli identyczne usta o wąskiej górnej i wypukłej dolnej wardze. A kiedy mężczyzna obrzucił dzieciaka poważnym spojrzeniem, między jego brwiami pojawiła się taka sama jak u chłopca pionowa bruzda.

– Sprawiasz wrażenie trochę wystraszonego, Adamie – zauważył Westbrook. – O nic się nie martw. Twój ojciec był moim kuzynem, a więc jesteśmy ze sobą spokrewnieni. – Wyciągnął rękę, lecz dzieciak się cofnął i oparł plecami o Joannę.

Westbrook miał ze sobą paczkę zawiniętą w brązowy papier i przewiązaną sznurkiem. Zabrał się do jej rozpakowywania.

– Przyniosłem to dla ciebie. Na pewno przyda ci się kilka nowych rzeczy. Czy matka wspominała ci kiedyś o Merindzie, mojej farmie owczej?

Chłopiec milczał nadal. Hugh Westbrook wyprostował się i zwrócił do Joanny:

– Nabyłem to w Melbourne. – Rozłożył marynarkę, w którą były zawinięte buty i kapelusz. – List nie zawierał żadnych szczegółowych informacji o potrzebach chłopca. To ubranie przyda się na teraz, a potem dokupię mu inne rzeczy. Proszę – rzekł, podając marynarkę chłopcu.

Malce wydał z siebie dziwny okrzyk i zasłonił głowę rękami.

– Pozwoli pan, że pomogę – zaproponowała Joanna. Ubrała chłopca, ale marynarka była za duża i malca prawie nie było w niej widać.

– Przymierzmy w takim razie nakrycie głowy – zasugerował Westbrook, lecz kapelusz opadł Adamowi na oczy i zatrzymał się na nosie.

– O mój Boże! – westchnęła Joanna.

– Nie przypuszczałem, że chłopiec będzie taki mały. W styczniu skończy pięć lat. Nie mam żadnego doświadczenia z dziećmi i kupiłem rzeczy na wyrost. – Spojrzał na dzieciaka z namysłem, a potem rzekł do Joanny: – Wyobrażałem sobie chłopca, który potrafi się sam sobą zająć. Nie mam pojęcia o potrzebach dzieci. Na farmie pracujemy całymi dniami. A tymczasem okazuje się, że Adam wymaga troskliwej opieki.

Joanna przyjrzała się rozcięciu na czole malca.

– On bardzo cierpi – zauważyła. – Czy spotkało go coś złego?

– Nie wiem dokładnie, co się stało. Jego ojciec zmarł kilka lat temu, gdy chłopiec był niemowlęciem. A ostatnio osierociła go również matka. Otrzymałem list od władz Australii

Południowej z zapytaniem, czy wezmę go do siebie. Jestem obecnie jego najbliższym krewnym.

– Biedactwo! – Joanna położyła rękę na ramieniu Adama. – Na co umarła jego matka?

– Nie wiem.

– Mam nadzieję, że nie był przy tym obecny. Jest taki mały. Widzę jednak, że jakieś bolesne przeżycia wycisnęły na nim swoje piętno. Czy ktoś cię skrzywdził, Adamie? – zwróciła się do chłopca. – Proszę cię, powiedz nam. Odczujesz ulgę, gdy wyrzucisz to z siebie.

Uwaga dziecka była jednak skupiona na załadowującym statek dźwigu portowym.

– Moja matka przeżyła wstrząs we wczesnym dzieciństwie – wyjaśniła Joanna Westbrookowi. – Była świadkiem jakiegoś straszliwego wydarzenia, które potem prześladowało ją przez całe życie. Nie miała nikogo bliskiego, kto by uzdrowił jej duszę, kto by jej pomógł zrozumieć własny ból i otoczył miłością. Wychowywała ją ciotka, osoba oschła i chłodna. Jestem pewna, że matkę zabiło wspomnienie o tamtym wydarzeniu z czasów dzieciństwa.

Wzięła Adama pod brodę i uniosła do góry jego buzię. W oczach dziecka czaił się ból i przerażenie. „Zachowuje się tak, jak gdyby przeżywał koszmar na jawie, w którym my uczestniczymy” – pomyślała.

Pochyliła się nad chłopcem.

– To nie sen, Adamie. Jesteś przytomny. Wszystko jest w porządku, naprawdę. Będziesz otoczony troskliwą opieką. Nikt cię nie skrzywdzi. Ja też miewam złe sny. Bez przerwy mnie nachodzą, ale wiem, że to tylko niegroźne majaki.

Westbrook przyglądał się Joannie, gdy uspokajała chłopca. Jej szczupła sylwetka, łagodnie nachylająca się nad dzieckiem, przywiodła mu na myśl rosnący na pustyni eukaliptus.

– Dziękuję. To miło, że zechciała nam pani pomóc – powiedział, gdy zauważył, jak kojąco podziały na chłopca jej słowa. – Osoba, która na panią czeka, będzie się niecierpliwić, panno...

– Drury – rzekła. – Joanna Drury.

– Przyjechała pani tutaj na wakacje, panno Drury?

– Nie, nie na wakacje. Obie z mamą planowałyśmy razem udać się w tę podróż. Zamierzaliśmy poznać historię naszej rodziny, a także odszukać ziemię, którą matka odziedziczyła. Zmarła jednak, zanim wyjechałyśmy z Indii. Dlatego przybyłam tutaj sama. – Uśmiechnęła się. – Nigdy dotąd nie byłam w Australii. Czuję się trochę oszołomiona!

Westbrook zauważył ze zdziwieniem, że iskra, która na moment rozbłysła w jej oczach, wkrótce zgasła. Rozpoznał kryjący się w uśmiechu młodej kobiety strach. Odczuł też rezerwę w jej głosie, jakby mówiąc o zwykłych sprawach, ukrywała jakąś tajemnicę. Był zaintrygowany.

– Dość dobrze znam Australię. Gdzie leży ziemia, której pani szuka?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam tylko, że w okolicy miejsca zwanego Karra Karra. Czy wie pan, gdzie to jest?

– Karra Karra. To nazwa w języku plemiennym. Czy znajduje się w kolonii Wiktorii?

– Przykro mi, ale nie wiem.

Westbrook przez moment zatrzymał na niej wzrok.

– Mam rozległe znajomości w Australii. Chętnie pomogę pani w poszukiwaniach.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Westbrook. Przypuszczam jednak, że pilno panu zabrać Adama do domu.

Uderzył go wdzięk, z jakim odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Spojrzał w stronę mężczyzn, którzy ustawili się wzdłuż trapu i uśmiechali zalotnie do schodzących na ląd pasażerek statku. Niektórzy z nich trzymali tabliczki z napisami: „Szukam żony. Potrzebna zdrowa i umiejąca gotować kobieta, małżeństwo niewykluczone”. Inni, bardziej bezczelni, zaczepiali je i coś wykrzykiwali. Nagle Westbrook wyobraził sobie samotną Joannę w Melbourne – w ruchliwym portowym mieście, gdzie na jedną kobietę przypadało czterech mężczyzn. Byłaby tu całkiem bezbronna i narażona na ordynarne zaczepki.

– Przepraszam, że o to pytam, ale gdzie się pani zamierza zatrzymać w Melbourne, panno Drury?

– Sądzę, że najpierw pójdę do hotelu, a potem rozejrzę się za jakimś domem lub mieszkaniem do wynajęcia.

– Tak więc możemy sobie nawzajem pomóc, panno Drury. Szuka pani kogoś, kto byłby pani przewodnikiem po Australii, a mnie potrzebna jest opiekunka do Adama. Czy możemy zawrzeć umowę? Przez jakiś czas pani . pomoże chłopcu przywyknąć do nowego otoczenia, a ja wybiorę się razem z panią na poszukiwania Karra Karra. To nie potrwa długo. Żenię się za sześć miesięcy. Na mojej farmie nie ma luksusów, a pani, jak się domyślam, przywykła do wygody. Ale oboje z Adamem będziecie mieli mój skromny dom do dyspozycji. I dopilnuję, by niczego wam nie brakowało. Chcę, żeby chłopiec od samego początku dobrze się u mnie poczuł, a przy pani jest spokojniejszy.

Gdy nie wydawała się do końca przekonana, dodał:

– Rozumiem pani wahanie, ale co ma pani do stracenia? Zawrzyjmy umowę na sześć miesięcy. Pani zaopiekuje się Adamem, a ja pomogę pani odnaleźć to, czego pani szuka. Powierzchnia Australii liczy ponad siedem i pół miliona kilometrów kwadratowych, z czego większość to tereny zupełnie dziewicze. Znam znaczną część tego kontynentu. Nic zdoła pani w pojedynkę zrealizować celu, który tutaj panią przywiódł. Potrzebuje pani czyjśgo wsparcia. Jeden z moich przyjaciół jest prawnikiem; mogę zwrócić się do niego z prośbą, by przyjrzał się aktowi własności ziemi, którą pani odziedziczyła. Proszę się wybrać do mnie choćby na miesiąc, a ja poradzę pani, od czego najlepiej rozpocząć poszukiwania. Obiecuję, że pod moim dachem nic niestosownego panią nie spotka. Niech pani rozważy moją propozycję, panno Drury, a ja w tym czasie sprowadzę powóz.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w tłumie. Nagle poczuła w swojej dłoni małą rękę. Spojrzała na Adama i napotkała ogromne szare, uważnie się w nią wpatrujące oczy. Zamyśliła się nad nieoczekiwanym obrotem wydarzeń. Pomyślała o bliskich, których zostawiła w Indiach, o dobrze znanych miastach, kulturze, w której dorastała, i wreszcie o młodym oficerze, który stał obok niej na pogrzebie i który się jej oświadczył. Nagle ogarnęła ją

nostalgia. Gdy obserwowała rozpraszający się powoli tłum w porcie – ludzi odjeżdżających powozami, dylżansami i konno zatłoczoną drogą prowadzącą do centrum Melbourne, po raz pierwszy w życiu poczuła się samotna. Przebywała wśród obcych, w nie znanym kraju. Gdyby nie chęć zadośćuczynienia życzeniu matki, z pewnością pozostałaby w Indiach.

Niespodziewanie powróciła myślami do młodego Aborygena, który niedawno wszedł na pokład statku. Przypomniała sobie osobliwe spojrzenie, jakim ją obrzucił w chwili, gdy podnosił kufer. Zaraz jednak przywołała się do porządku. Przecież nie miała innego wyjścia i musiała przyjechać do Australii.

Pomyślała o Hughu Westbrookowi i zdziwiła się stwierdzając, że wywarł na niej duże wrażenie. Był przystojny i młody – oceniała jego wiek na trzydzieści lat. Ale nie tylko to było w nim pociągające. Joanna przywykła do idealnie wyczyszczonych mundurów i nienaganych manier. Nawet prośba ojej rękę została wyrażona sztywno i uprzejmie, jak gdyby młody oficer w chwili oświadczyn kierował się regułami surowego protokołu. Joanna była pewna, że nigdy nie ośmieliłby się zagadnąć damy, która nie została mu formalnie przedstawiona. Westbrook zachowywał się swobodnie, najwyraźniej stosując się do własnych zasad, i to się Joannie w nim podobało.

Zaproponował, że pomoże jej odszukać Karra Karra. Zakładała, że będzie zdana na czyjąś pomoc, a on twierdził, że dobrze zna Australię. Czy powinna wyjawić mu dalszą część historii, która ją tu przywiodła – o snach i o następujących po nich nieszczęśliwych wydarzeniach? Uznała jednak, że jeszcze jest na to za wcześnie.

Ponownie przypomniła sobie reakcję młodego tubylca, który na jej widok gwałtownie się odwrócił, ale zaraz odsunęła od siebie to wspomnienie. A także proroczy sen o statku uwięzionym w morskiej ciszy. Wolała puścić wodze fantazji i snuć domysły co do wyglądu owczej farmy Hugh Westbrooka. Czy leżała wśród rozległych zielonych pastwisk, tak jak gospodarstwa, które widywała w Anglii? Czy osłaniały ją cienie dębów, a wróble ćwierkały w ogrodzie za kuchnią? A może dom Hugh Westbrooka nie przypominał wyglądem farm angielskich? Joanna przeczytała wszystkie dostępne materiały na temat tego ciekawego kontynentu, gdzie pierwotnie nie było zwierząt kopytnych ani dużych drapieżników, gdzie drzewa zamiast liści zrzucały jesienią korę, a tubylcze plemiona uchodziły za najstarszą rasę na ziemi. Nagle zapragnęła to wszystko zobaczyć.

– Co powie pani na moją propozycję, panno Drury?

Znowu stał przed nią Hugh Westbrook. Wciąż był bez nakrycia głowy i miał zmierzwiłone włosy. Joanna dorastała wśród oficerów mających gładkie fryzury, z przedziałkiem pośrodku. Włosy Westbrooka były długie, faliste, a niesforne kosmyki wymykały się na wszystkie strony, jak gdyby cesała je sama natura.

Czuła małą rękę Adama w swojej dłoni i pomyślała o tym, że rozpaczliwie tłukąc głową o ziemię, chciał zagłuszyć jakieś niewypowiedziane tragiczne wspomnienie.

– Zgoda, pojedę do pana na jakiś czas, panie Westbrook – rzekła.

Uśmiechnął się z widoczną ulgą.

– Czy ma pani ochotę zatrzymać się w mieście? Może chce pani wysłać list do rodziny i zawiadomić ją, gdzie się pani zatrzyma?

– Nie, to zbyt cenne – odparła. – Ja nie mam rodziny. Gdy Westbrook załadowywał jej kufer do powozu, sięgnęła do podręcznej torby, wyjęła małą butelkę oraz czysty bandaż i polała płynem ranę na czole chłopca.

– Czym pani przemywa skaleczenie? – spytał Westbrook.

– To olejek eukaliptusowy – odparła. – Ma właściwości antyseptyczne i przyspiesza gojenie.

– Nie sądziłem, że gdzieś poza Australią rosną drzewa eukaliptusowe.

– Kilka zostało sprowadzonych do Indii, gdzie mieszkałam. Mama kupowała olejek w tamtejszej aptece. Używała go do leczenia wielu schorzeń. Umiejętności medyczne należały do jej licznych talentów.

– Myślałem, że tylko Australijczycy znają moc uzdrawiającą olejku eukaliptusowego. Przecież to oni go odkryli. Używali eukaliptusa w celach leczniczych na wiele wieków przed przybyciem na ten kontynent białego człowieka.

Gdy powóz odjeżdżał z portu, zostawiając w tyle tłumy i „Estellę”, Joanna zastanawiała się, czy na obszarze siedmiu i pół miliona kilometrów kwadratowych znajdzie to, czego szuka. Pomyślała o ciemnoskórej kobiecie, która nawiedzała matkę w snach, i o dziadkach, którzy przyплыnęli do Australii ponad czterdzieści lat temu. Rozważała znaczenie dręczących ją majaków i coraz bardziej umacniała się w słuszności swojej decyzji o powrocie do tego miejsca, gdzie wszystko wzięło swój początek. To z nim były związane fragmentaryczne wspomnienia matki z czasów jej wczesnego dzieciństwa. A to, co się tu zaczęło, tutaj również powinno się zakończyć.

Pomyślała też o siedzącym obok niej mężczyźnie oraz o skrzywdzonym małym chłopcu – o ludziach, którzy nieoczekiwanie pojawili się w jej życiu. Przepełniło ją uczucie zwątpienia i strach.

## ROZDZIAŁ 2

Paulina Downs nie mogła się doczekać swojej nocy poślubnej. Gdy szwaczka wpinała ostatnie szpilki do eleganckiego peniuaru, Paulina obracała się na wszystkie strony, napawając oczy swoim odbiciem w ogromnym lustrze.

„Hugh zemdleje, kiedy mnie w tym zobaczy!” – myślała z podnieceniem.

Krój był najnowszy – spóźniony w stosunku do ostatnich trendów mody tylko o kilka tygodni, jakie zajęło przewiezienie wzoru i tkaniny z Paryża do Melbourne. Ałas w kremowym kolorze o odcieniu szampana ozdobiły koronki z Walencji i drobne guziczki z rodzaju tych, które potrafią wyprodukować tylko w Domu Mody Wortha. Peniuar zdawał się spływać wzdłuż szczupłego ciała, podkreślając pełne piersi i kształtne biodra, a sposób, w jaki układał się u stóp, sprawiał, że Paulina – choć słusznego wzrostu – wydawała się jeszcze wyższa. Całe tygodnie zajął jej wybór odpowiedniego fasonu. Nie mogła się zdecydować, co będzie mieć na sobie podczas pierwszej nocy z Hughiem Westbrookiem.

Peniuar stanowił tylko część bogatej ślubnej wyprawy. Sypialnia Pauliny w Lismore, w Okręgu Zachodnim, była zavalona belami materiałów, żurnalami, wykrojami i nie wykończonymi kreacjami. Nie były to zwyczajne suknie; Paulina uważała siebie za osobę wyjątkową. Musiała mieć pewność, że choć mieszka w koloniach na samym końcu świata, gdzie moda jest zwykle o kilka lat spóźniona, jej garderoba będzie uszyta według najnowszego kroju.

„Jakie to zachwycające, że będę nosić to wszystko jako pani Westbrook” – pomyślała, obrzucając wzrokiem swoje suknie. Stare i nudne krynoliny zostały w końcu zarzucone i w modzie zaczęły obowiązywać zupełnie inne fasony. Umierała ze zniecierpliwienia, żeby pokazać publicznie ten radykalnie nowy wynalazek zwany turniurą oraz śmiałe, wiązane z tyłu spódnice, których kraj unosił się kilka centymetrów nad ziemią. A te tkaniny! Była pewna, że niebieskie jedwabie oraz cyrnonowe ałasy, przewiązane czarną lub złotą aksamitką i ozdobione białymi koronkami przy szyi oraz przy mankietach, doskonale podkreślą jej piękne platynowe włosy i błękitne oczy. Strojenie się było główną pasją Pauliny. Nadażając za modą, zapominała o tym, że nie mieszka w Londynie, lecz w zapadłej kolonii nazwanej imieniem królowej Wiktorii.

Paulina należała do tutejszego ziemiaństwa. Urodziła się i wychowała w jednej z największych owczych farm w Okręgu Zachodnim. Od dziecka była rozpieszczana i otaczana zbytkiem. Ojciec nazywał ją księżniczką i wymusił od syna przyrzeczenie, że po jego śmierci zapewni Paulinie spokojne i wygodne życie. Obecnie mieszkała razem z bratem i liczną służbą w dwupiętrowym dworze w posiadłości liczącej dziesięć tysięcy hektarów. Czas upływał jej na polowaniach, na przyjęciach podczas weekendów oraz na balach wydawanych z okazji świąt i w celach dobroczynnych. Można by sądzić, że nie mieszka w Australii, lecz w zamożnej wiejskiej rezydencji w Anglii. Zarówno ona, jak i jej brat, Frank, nadawali ton tutejszej społecznej elicie. Paulina hołdowała zasadzie, że mieszkając w koloniach, nie wolno całkiem „zdziczeć”.



Jedynym niemodnym postępkim Pauliny było zwlekanie z zamążpójściem i wynikający z tej decyzji fakt, że w dwudziestym czwartym roku życia wciąż trwała w panińskim stanie.

Nie brakowało jej konkurentów, ale przeważali wśród nich nieokrzesani prostytutki, którzy szybko wzbogacili się na owcach lub na złocie i przyjeżdżali z australijskich pustkowi na pastwiska Wiktorii, aby odgrywać rolę panów. Cóż z tego, że niektórzy byli nawet bogatsi od jej brata. Paulinę raził ich brak obycia i fatalne maniere. Uprawiali hazard, pili piwo prosto z butelki, okropnie się wyrażali, a co gorsza, bez szacunku odnosili się do przedstawicieli wyższych sfer. Hugh Westbrook był wyjątkiem. Choć też przybył z buszu i zgromadził niewielki majątek w złocie, a ponadto miał zwyczaj pracować razem ze swoimi poganiaczami i sam grodził pastwiska, pod wieloma względami różnił się od innych hodowców. Miał w sobie coś, co urzekło Paulinę od pierwszej chwili. Poznała go dziesięć lat temu, kiedy to jako dwudziestoletni młody mężczyzna nabywał Merindę. Paulina była wtedy czternastoletnią dziewczynką.

Zakochała się w nim nie z powodu jego pięknego uśmiechu. Przede wszystkim dostrzegła w nim uczciwego człowieka, czego nie mogła powiedzieć o innych, osiedlających się w kolonii Wiktorii przybyszach. Przeczuwała drzemiącą w nim siłę – głęboko zakorzenioną, niezmienną i dającą poczucie stabilizacji. Merinda w chwili zakupu była podupadłą posiadłością z nielicznymi, zamieszkanymi przez dzikich lokatorów chałupami. Dzięki silnej woli i pracy własnych rąk Hugh zbudował na niej pokazową farmę. Dziesięć lat temu Frank przewidywał, że młody człowiek wyzbędzie się posiadłości przed upływem roku. Hugh udowodnił jednak, że zarówno Frank, jak i inni hodowcy byli w błędzie. Obecnie nikt już nie wątpił, że Westbrook zajdzie jeszcze wyżej.

„Oboje zajdziemy, mój kochany” – pomyślała Paulina. Najbardziej podniecające wydawało jej się to, że gdy inni zwracali uwagę na jego stwardniałe dłonie i zakurzone buty, ona widziała w nim subtelnego dżentelmena, jakim kiedyś miał się stać dzięki niej.

– Dosyć na dzisiaj – zwróciła się do szwaczki. – Pora na odpoczynek i na herbatę. Czy mogłabyś powiedzieć Elsie, żeby przygotowała dla mnie kąpiel?

Przez długi czas Paulina trzymała w tajemnicy swoje nadzieje związane z Hughiem Westbrookiem. Społeczność Okręgu Zachodniego oczekiwała od niej, że poślubi mężczyznę ze swojej sfery – kogoś zamożnego i kulturalnego. Paulina była jednak zdecydowana wyjść za mąż za Hughę. Nie przepuściła żadnej okazji spotkania się z nim. Widowała go na dorocznych pokazach hodowców, na urządzanych w stodołach potańcówkach, na przyjęciach u sąsiadów, na wyścigach oraz we własnym domu, gdy przyjeżdżał, żeby omówić problemy hodowlane z Frankiem. W miarę upływu czasu wzbudzał w niej coraz to większe pożądanie. Nieraz zjawiał się bez uprzedzenia. Przyjeżdżał konno i machał jej ręką na powitanie. Zwykle potem nie mogła zasnąć, wyobrażając sobie, że jest jego żoną i dzieli z nim sypialnię...

Nie potrafiła dokładnie określić, kiedy powzięła decyzję o poślubieniu Hughę. Z pełną premedytacją kokietowała go przez trzy lata i wciągała we flirt, tak aby był przekonany, że to on zabiega o jej względy. Wiedząc, jak pięknie wyglądają jej włosy w blasku księżyca, aranżowała w bezchmurne wieczory przechadzki z Hughiem po ogrodzie. Pilnowała, by był zapraszany na zawody łucznicze, gdyż podczas napinania cięciwy bardzo korzystnie

prezentowała się jej sylwetka i uwypuklał biust. Stwierdziwszy, że jest smakoszem jaj w sosie curry i ciastek „Dundee”, stała się również ich amatorką. A kiedy Hugh oświadczył, że lubi wiersze Byrona, poświęciła wiele dni na zapoznanie się z dziełami tego poety.

W końcu Hugh zaczął napomykać o małżeństwie. Skończył trzydziestkę i w jego wypowiedziach coraz częściej pojawiały się zwroty „kiedy się ożenię” albo „gdy będę miał własne dzieci”. Paulina uznała, że nadszedł stosowny moment. Inne kobiety również miały Hugh’a na oku. Choć Paulina przypuszczała, że ona jest obiektem jego zainteresowania, to jak dotychczas jej domysły nie zostały potwierdzone. I dlatego zdecydowała się na zrobienie niewyobrażalnego wprost kroku.

Gdyby jej postępek wyszedł na jaw, lokalna społeczność przeżyłaby wstrząs: Paulina oświadczyła się Hughowi. Jej przyjaciele uznaliby takie zachowanie za niegodne damy. Żaden mężczyzna nie zasługiwał na to, żeby kobieta aż do tego stopnia się dla niego zapomniała. Paulina oceniała jednak swoje posunięcie jako przejaw praktyczności. Upływał czas, a coraz to inne kobiety w okręgu zapraszały Hugh’a na herbatę i na wspólne przejażdżki konne, zabiegały o jego uwagę na przyjęciach. Namówienie Hugh’a na piknik w dniu, w którym od świtu zbierało się na deszcz, było zwykłą kalkulacją. Wybrali się razem konno nad rzekę. Zjedli lunch, na który składały się jaja w sosie curry i ciastka „Dundee”, potem zdążyli jeszcze przez chwilę porozmawiać o owcach, o polityce kolonialnej, Darwinie i o nowej powieści Juliusza Verne’a, gdy lunął ulewny deszcz. Paulina lepiej tego nie mogła zaaranżować. Szukając schronienia, rzucili się w stronę pobliskich drzew. Przemoczeni, potykając się, wpadli na siebie i wybuchnęli śmiechem. „Wiesz co, Hugh? Sądzę, że powinniśmy się pobrać” – rzekła Paulina, a on pocałował ją mocno i namiętnie. Gdy myślała o tym później, doszła do wniosku, że jego reakcja przyćmiła oślepiający blask błyskawicy rozdzierającej niebo ponad ich głowami. Pocałunek był tylko jeden, lecz w zupełności wystarczył. Hugh powiedział: „Wyjdź za mnie”, i Paulina wygrała.

Po oficjalnych zaręczynach odkryła jednak, że zmuszenie Hugh’a do ustalenia daty ślubu jest równoznaczne ze złapaniem w potrzask trąby powietrznej. Pierwszeństwo miała zawsze jego farma: ślub nie mógł się odbyć zimą z powodu kotnych owiec, które wkrótce miały rodzić i wymagały utrzymania jak największej czystości w zagrodach; wiosną trzeba było czuwać nad jagniętami i strzyc stado, latem nastawał czas kapania zwierząt i innych zabiegów hodowlanych, ale jesienią...

Paulina stwierdziła, że jesienią na farmie owczej jest najmniej pracy i razem z Hughiem uzgodnili, że ślub odbędzie się w marcu.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem aż do momentu nadejścia listu od władz Australii Południowej z informacją o Adamie Westbrook – dalekim krewnym Hugh’a.

Nagle w wizji wspólnej przyszłości z Hughiem pojawiła się rysa: nie będą mogli cieszyć się swoją obecnością ani kochać bez opamiętania. Rozpoczną swoje małżeńskie życie obarczeni obecnością dziecka jakiejś obcej kobiety. Paulina z niechęcią myślała o na wpół dzikim, niesfornym stworzeniu, które Hugh miał ze sobą przywieźć. „Nie musisz brać na siebie odpowiedzialności za to dziecko” – zasugerowała kiedyś, lecz natychmiast pożałowała tych słów, dostrzegając błysk złości w oczach narzeczonego. Zapewniła go prędko, że z

radością powita chłopca, lecz w głębi serca lękała się tego momentu.

Nie była jeszcze gotowa, by wziąć na siebie obowiązki matki. Chciała się najpierw oswoić z rolą żony. Wiedziała, że małżeństwo pociąga za sobą pewne wyrzeczenia i często wymaga przedkładania cudzych potrzeb ponad własne. Nie wyobrażała sobie, co to znaczy mieć dziecko. Jej matka zmarła wiele lat temu na gripę podczas szerzącej się w kolonii Wiktorii epidemii, która zabrała również dwie siostry Pauliny oraz jej młodszego brata. Wraz z jedynym ocalałym z rodzeństwa Frankiem Paulina była wychowywana przez ojca i kilka guwernantek. Nic nie wiedziała o stosunkach łączących matki z dziećmi. Chciała mieć kiedyś córkę i często wyobrażała sobie, jak uczy ją jazdy konnej, polowania i wychowuje na „nadzwyczajną” panienkę. Kształtowanie charakteru i nauczanie młodej dziewczyny musiało dawać wiele satysfakcji, ale na razie Paulina nie była w stanie pojąć macierzyńskich uczuć: miłości, oddania i poświęcenia.

– Kąpiel gotowa – rzekła służąca, wrywając Paulinę z rozmyślań.

Po męczącym i wyczerpującym dniu spędzonym przy wykrojach, wybieraniu tkanin oraz trwaniu w nieruchomej pozycji, gdy dwie krawcowe uwijały się ze szpilkami i nożycami, Paulina postanowiła się odprężyć i wziąć długą kąpiel. Była kobietą zmysłową. Lubiła pocałunek pereł na szyi, muśnięcie puchowego boa na gołej skórze ramion, rozkoszne zetknięcie ciała z aksamitnymi prześcieradłami i delikatną koronkową koszulą nocną. Lubiła też pieśczośliwie muskać opuszkami palców twarde szlachetne kamienie oprawione w srebro i w złoto. Niewiele było przyjemności, których Paulina sobie odmawiała i które byłyby jej obce. Frank mógł pozwolić sobie na to, żeby zaopatrywać siostrę w szampany z Francji i sprowadzać na jej stół najwykwintniejsze dania. Paulina spędzała godziny przy fortepianie, delektując się muzyką Chopina i Mozarta. Była miłośniczką polowań ze sforą psów, a podczas konnych przejażdżek pokonywała najbardziej niebezpieczne płoty i rowy, znajdując zadowolenie w prowadzeniu wierzchowca, w szybowaniu w powietrzu i wyzywaniu losu. Do nielicznych przyjemności, jakim zdołała się oprzeć dwudziestoczteroletnia Paulina Downs, należała ta najbardziej upragniona: intymne zbliżenie z mężczyzną.

Rozkoszowała się ciepłą wodą, powoli nacierając gąbką ciało. W zaparowanym lustrze dostrzegła odbicie Elsie, służącej, która rozkładała świeżą bieliznę. Młoda Angielka była ładna. Paulina wiedziała, że spotyka się z jednym ze stajennych z Lismore, i zastanawiała się, co dziewczyna robi z chłopakiem, kiedy przebywa z nim sam na sam.

Poczuła ukłucie zazdrości.

Gdy przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze – pięknej twarzy okolonej gęstymi, falistymi blond włosami – nasunęła się jej refleksja: „Paulina Downs, córka jednej z najstarszych i najzamożniejszych rodzin w kolonii Wiktorii, zazdrości swojej pokojówce!”

Ale to była prawda.

„Czy Elsie kocha się ze swoim chłopakiem? – zastanawiała się. – Czy rzucają się sobie w ramiona przy każdym spotkaniu, a potem pospiesznie szukają jakiegoś odosobnionego miejsca, gdzie obejmują się, całują i rozkoszują gorącem swoich ciał i delikatnością wzajemnych pieśczoł?”

Zamknęła oczy i zanurzyła się głębiej w wodzie. Przesunęła dłońmi wzdłuż bioder i na

nowo odczuła niemal fizyczny ból – dotkliwe pożądanie, potrzebę kochania się z Hughiem. Snuła fantazje na temat ich poślubnej nocy i rozpamiętywała pocałunek w deszczu, ekscytację, jaką obudziła w niej bliskość ciała narzeczonego i obietnica przyszłych rozkoszy.

„Już niedługo” – pomyślała. Za sześć miesięcy pozna ekstazę, o której od tak dawna marzyła.

Zegar w sypialni wybił godzinę i Paulina nagle uświadomiła sobie, że zrobiło się późno.

Postanowiła dołożyć wszelkich starań, żeby jej ślub był najbardziej okazały ze wszystkich, jakie odbyły się w Okręgu Zachodnim. Poprosiła Franka, który był właścicielem ukazującego się w Melbourne „Timesa”, aby wykorzystał swoje wpływy i namówił na występ podczas uroczystości zaślubin śpiewaczkę operową światowej sławy. Pauliny nie zadowalała żadna, nawet najdoskonalsza artystka z Australii, gdyż jej kolonialne pochodzenie obniżyłoby rangę wesela do wydarzenia na lokalną skalę. Na luty był zaplanowany w Melbourne występ Królewskiego Towarzystwa Operowego. Lydia Meacham, londyńska primadonna odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego i znana od Covent Garden po Leningrad z czystego i doskonale brzmiącego głosu, przybywała do Australii wraz z zespołem. Paulina marzyła, żeby Lydia zaśpiewała na jej ślubie, i nie omieszkała powiadomić o tym Franka.

Brat nie był zachwycony pomysłem, gdyż nie darzył szczególną sympatią Królewskiego Towarzystwa Operowego. „Uważają nas za niechcianych pasierbów” – zwykł narzekać, ilekroć zespół wyruszał w długą podróż z Anglii do australijskich kolonii. „Pyszną się, zadzierają nosa, wywyższają i sprawiają wrażenie, jakby wyświadczali nam ogromną łaskę” – mawiał.

Paulina wcale nie była oburzona. „To całkiem zrozumiałe. Przecież kolonie leżą tak daleko od metropolii. „

Przypomniała sobie, że wiele lat temu na swym pierwszym balu w Anglii poniosła prawdziwą klęskę. Czuła się beznadziejnie w niemodnej sukni. Dziewczęta w Londyńskiej Akademii nie mogły się nadziwić, że ma na sobie kreację, jakich od dawna się już nie nosi. A potem, dostrzegając zakłopotanie i przerażenie Pauliny, zapewniły, że jej to uchodzi: przybyła przecież z tak daleka. W końcu Paulina przywykła do protekcyjnego tonu, jakim zwracali się do niej i do brata Anglicy w Londynie. Nazywali ich kolonistami i najwyraźniej nie traktowali poważnie. Wiedziała, że tamte dziewczęta nie chciały być wobec niej okrutne. Wyraziły tylko otwarcie swój lekceważący stosunek do mieszkających w koloniach rodaków, których uważały za zacofanych i prowincjonalnych.

Paulina pojechała wtedy po raz pierwszy do Londynu, gdyż osiągnęła wiek upoważniający ją do „bywania w towarzystwie”.

Dziewczęta z zamożnych australijskich rodzin zawsze były wysyłane „do domu”, by nabrały tam towarzyskiej ogłady. Nawet matka Pauliny, która wychowywała się na farmie w Nowej Południowej Walii, odbyła w stosownym czasie podróż do ojczyzny. I Paulina też planowała, że towarzyski debiut jej córek nastąpi kiedyś w Anglii.

Owijając się w ręcznik, który przytrzymała Elsie, pomyślała: „Frank powinien wrócić lada moment. Nie mogę się go doczekać. Jakie ma dla mnie wieści? Czy zdołał zaangażować Lydię Meacham?” Wszystko musiało się przecież udać: ślub, przyjęcie weselne i miodowy

miesiąc. Całe jej przyszłe życie.

Uśmiechnęła się, gdy wróciła myślami do Hugh'a i do ich nocy poślubnej, którą miała nadzieję uczynić nocą niespodzianek dla nich obojga.

– Frank! Już wróciłeś? – spytał John Reed, widząc przyjaciela przy barze w pubie Finnegana.

Frank musiał podnieść wzrok, żeby napotkać jego spojrzenie. Reed górował nad nim, podobnie jak większość mężczyzn.

– Witaj, John. Dopiero co przyjechałem. Postanowiłem przed powrotem do domu wstąpić tutaj na drinka. – „Zanim będę zmuszony zakomunikować Paulinie nowiny”, pomyślał. – Co słychać w Glenhope?

– Dziękuję, wspaniale. Spodziewam się w tym roku ogromnych zysków. Czy masz jakieś wieści o wyprawie w głąb kontynentu?

Frank nabył upadającego „Timesa” dla rozrywki. Wkrótce jednak jego hobby przemieniło się w graniczące z obsesją pragnienie, aby stworzyć gazetę mogącą konkurować z ukazującą się w koloniach prasą. Wciąż jeszcze nakłady „Timesa” były małe, lecz dziennik sukcesywnie zdobywał nowych czytelników, głównie dzięki pomysłowości i energii właściciela. Frank nie ustawał w poszukiwaniach nowych sposobów dotarcia do odbiorcy. Kiedy więc się dowiedział, że wydawca „New York Herald” wysłał do Afryki niejakiego Stanleya, by odnalazł zaginionego doktora Livingstone’a, wpadł na pomysł utworzenia ekspedycji badawczej w głąb australijskiego lądu, kontynentu zwanego „Nigdy Nigdy”.

Już wcześniej wielu ludzi podejmowało próby przemierzenia Australii z południowego wschodu na północny zachód. Rozpoczynali wędrówkę w Melbourne lub w Adelajdzie i kierowali się w stronę Oceanu Indyjskiego. Zawsze jednak zatrzymywały ich rozległe słone pustynie, gdzie panowały bardzo wysokie temperatury. Śmiałowie, którzy odważyli się zapuścić w to piekło, przypłacali swoją decyzję życiem. Frank wierzył, że za pustynną strefą klimatyczną leży wielkie śródlądowe morze. Za własne pieniądze wyposażył na wyprawę dziesięciu ludzi i dał im szesnaście wielbłądów. Uczestnicy ekspedycji zabrali również ze sobą łódź ogromnych rozmiarów, którą ciągnęli na saniach w nadziei, że dotrą do obszaru wodnego. W zamian za finansowe wsparcie Franka odkryte morze miało zostać nazwane jego imieniem.

„Times” publikował najświeższe informacje o przebiegu kolejnych etapów podróży. Jednakże jakiś czas temu po członkach wyprawy zaginął wszelki śluch. Zaczęły krążyć nawet pogłoski, że podzielili los poprzedników i ponieśli śmierć na Wielkiej Pustyni Wiktorii.

– Sądzisz, że ich straciliśmy? – spytał Reed.

Frank dorastał, słuchając historii o aborygenach, którzy według podań zamieszkiwali ten ogromny, niezbadany region; fantastycznych powiastek o Krainie Snów, gdzie czary i cuda zdarzały się co dnia, oraz legend o duchach przodków, którzy toczyli walki z mitycznymi bestiami, takimi jak nocny potwór Yowie czy Tęczowy Wąż. Opowiadania te wydawały się białemu człowiekowi zbyt niesamowite, by mógł w nie uwierzyć. Jednak Frank zawsze twierdził, że muszą zawierać ziarno prawdy. A skoro w tej dzikiej głuszy żyli rdzenni mieszkańcy Australii, niewykluczone, że mógł tam również przetrwać biały człowiek.

– Jeszcze o nich usłyszymy, John – rzekł Frank. – Bądź spokojny.

Reed pociągnął łyk piwa.

– Co sądzisz o nowej barmance? – spytał.

Frank zauważył ją, gdy tylko wszedł do lokalu. Pub był usytuowany na obrzeżach Cameron Town, opodal miejsca gdzie główna ulica miasta łączyła się z wiejską drogą zwaną Traktem Camerona. Gdy Frank przybył tu późnym popołudniem, zaskoczył go widok wielu koni i gigów na podwórzu. Pub Finnegana był spokojnym lokalem. Droższy od innych w okolicy, gromadził elegancką klientelę, głównie zamożnych hodowców, którzy przychodzili tu, żeby się napić w spokoju i ciszy. Postrzygaczy i parobków obsługiwano w robotniczym pubie Faceya po drugiej stronie ulicy. Nieczęsto zdarzało się, żeby podwórze u Finnegana było tak zatłoczone jak tego październikowego popołudnia. Zdumienie Franka stało się jednak jeszcze większe, gdy stwierdził, że w środku nie ma wolnych miejsc.

– To z jej powodu – wyjaśnił Reed, wskazując głową barmankę, która nalewała whisky przy drugim końcu baru. – Zaczęła pracować tutaj sześć tygodni temu. I od tamtej pory stary Joe Finnegan nie może narzekać na zastój w interesie.

Frank uważnie się przyjrzał tej blisko czterdziestoletniej i niezbyt szczupłej kobiecie o zupełnie przeciętnej urodzie. Fason jej prostej sukienki z pewnością nie został zaprojektowany z myślą o pobudzaniu męskiej wyobraźni. Gdy podawała drinki i inkasowała pieniądze od klientów, Frank nie dostrzegł u niej typowej dla barmanek zalotności. Uznał, że nie ma w niej nic niezwykłego ani pociągającego.

– Naprawdę z jej powodu zgromadził się tutaj taki tłum? – spytał zdumiony.

– Nazywa się Ivy Dearborn – rzekł Reed. – Ma szczególny dar przyciągania ludzi.

– Co masz na myśli?

– Gdy nie obsługuje klientów, robi szkice. Czy widzisz leżący obok kasy blok rysunkowy oraz ołówek? Obserwuj ją. Za chwilę zacznie portretować któregoś z gości.

– Płacą jej za to?

– Ależ skąd! Nie robi tego dla pieniędzy! I nie przyjmuje zamówień! Zawsze wybór tematu należy do niej. Nigdy nie wiadomo, kogo będzie rysować ani w jaki sposób to zrobi. Jest też karykaturzystką i nie zawsze jej prace są pochlebne dla osoby, którą portretuje. Twierdzi, że przedstawia ludzi tak, jak ich widzi.

Żebyś zobaczył moją podobiznę! Tłusty miś koala o leniwym spojrzeniu!

Frank roześmiał się głośno.

– A więc wygląda na to, że jej prace są wiernymi kopiami rzeczywistości, nie sądzisz, John?

– Nie mów tego zawczasu. Właśnie ciebie rysuje.

– Mnie?!

– Wpadłeś jej w oko, gdy tylko wszedłeś do lokalu.

Dotychczas Frank dostrzegał jedynie stojącą przed nim whisky. Był całkowicie zaabsorbowany losami wyprawy, a także nowinami, które musiał obwieścić Paulinie. Nie mógł też zapomnieć o Hughu Westbrookowi, na którego się natknął w Melbourne, ani o dziewczynie, która miała mu pomóc w opiece nad chłopcem. Ta młoda kobieta pokazała mu

akt własności ziemi nabytej trzydzieści siedem lat temu przez jej dziadków. Zaintrygowała Franka, choć nie był w stanie stwierdzić, czy dokument jest nadal ważny. Zawsze szukał jakiejś przyciągającej uwagę czytelników historii i teraz zastanawiał się, czy stary akt notarialny nie okazałby się takim właśnie interesującym tematem.

– Idź i poproś Ivy, żeby pokazała ci twój portret. Nie jesteś ciekawy, jak ona cię widzi?

Frank domyślał się, w jaki sposób barmanka mogła go przedstawić. Nie miał złudzeń co do własnej aparycji. Miał trzydzieści cztery lata, był niski i łysiał, kobiety rzadko się za nim oglądały. W zeszłym roku zrobiono mu podczas jarmarku karykaturę. Został na niej przedstawiony jako dumnie stąpająca papuga kakadu z cygarem w dziobie.

– Jest samotna – kontynuował Reed. – Wynajmuje pokój u Mary Smith. Każdy z obecnych tu mężczyzn próbował umówić się z nią na randkę, ale bezskutecznie. Spytałem Finnegana, czy potajemnie z nią sypia, ale zaklinał się, że nie. Twierdził, że ich znajomość nie wykracza poza stosunki służbowe. Dla kogo ona siebie oszczędza?

Frank przyglądał się kobiecie, która zawzięcie machała ołówkiem, rysując coś w szkicowniku. Pracowała w skupieniu. Nie dostrzegał w jej oczach cienia służalczości, która świadczyłaby o nadziei na napiwek. Rysowanie zdawało się całkowicie ją pochłaniać.

Wreszcie skończyła i podała szkic siedzącemu za barem Paddy'emu Malloyowi, którego sportretowała. Wszyscy zgromadzili się wokół niego, żeby obejrzyć podobiznę. Nagle rozległ się krzyk:

– Spójrzcie, co ona ze mną zrobiła! To zniewaga! To niegodziwość!

– Dobry Boże! – rzekł John Reed. – Jak sądzisz, co mogło tak oburzyć biedaka?

John i Frank również podeszli do rozsierzonego Irlandczyka.

– Nie zniosę tego! – wykrzykiwał.

Frank ponad jego ramieniem rzucił okiem na szkic i stwierdził, że barmanka narysowała wysokiego ptaka podobnego do żurawia, w meloniku i z monoklem w oku, który łudząco przypominał Malloya.

– Daj spokój, Paddy – rzucił jeden z jego przyjaciół.

– Ona nie miała złych zamiarów.

– Żądam, żeby ją zwolniono z pracy! Domagam się, żeby ta kobieta natychmiast się stąd wyniosła!

– Spokojnie, panie Malloy. – Finnegan zbliżył się do zagniewanego gościa, wycierając ręce w fartuch. – Jestem pewien, że panna Dearborn nie zamierzała sprawić panu przykrości. To przecież tylko zabawa.

– Jeśli natychmiast nie zwolni pan tej...

– Uspokój się – przerwał Frank wściekłemu Malloyowi.

– Co się stało z twoim poczuciem humoru? Musisz przyznać, że autorka rysunku uchwyciła pewne podobieństwo.

– Och, tak sądzisz? Zobaczmy, jak tobie się spodoba ta zabawa, gdy obejrzysz własny portret. – Zgarnął z baru stos papierów i zaczął je przeglądać. – Jestem przekonany, że ciebie również narysowała. Z pewnością nie oszczędziła żadnego z nas.

Frank spojrział na barmankę, która nie wydawała się ani rozbawiona, ani zdenerwowana.

Przyłapał się na tym, że podziwia jej starannie upięte na czubku głowy piękne rude włosy. Napotkał jej oczy i poczuł, że oblewa się rumieńcem. Nagle stracił ochotę na oglądanie wykonanego przez nią swojego portretu.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, Malloy – rzekł. Zamierzał odejść, ale John Reed zatrzymał go ze śmiechem.

– Zaczekaj, Frank. Nie rób nam zawodu. Przekonajmy się, jak ta pani cię widzi.

Ktoś rzucił dowcip z tyłu sali i wszyscy się roześmiali. Angus McCloud, ponury Szkot, odezwał się z drugiego końca baru:

– Dziewczyna prawdopodobnie potrzebowała zaledwie pół kartki papieru, żeby cię narysować, Downs!

– A oto i twoja podobizna! – rzekł w końcu Malloy, lecz gdy przyjrzał się szkicowi, zaraz zrzędała mu mina.

Frank nie chciał oglądać rysunku, ale zdziwiła go reakcja Malloya oraz innych mężczyzn, którzy nagle zamilkli.

– A to heca, Downs! – zauważył któryś z gości. – Chciałbyś tak wyglądać!

Frank nigdy nie widział swojego portretu przedstawionego w tak pochlebny sposób. Twarz, choć podobna, była doskonalsza niż w rzeczywistości. Ivy wiernie odtworzyła jego oczy, ale włosom i brodzie w jakiś subtelny i tajemniczy sposób dodała urody. Frank nie mógł się oprzeć wrażeniu, że na rysunku jest niemal przystojny!

Podniósł wzrok na barmankę, która pracownicę wycierała kontuar, a potem ponownie spojrzął na szkic. W pubie wciąż zalegała cisza. Odchrząknął i powiedział:

– Nie rozumiem, co cię tak rozsierdziło, Malloy. Ta dama jest najwyraźniej bardzo utalentowana.

Irlandczyk odsunął na bok swój portret i sięgnął po drinka. Inni mężczyźni powrócili do stolików, miejsc przy barze i przerwanych rozmów. Frank podniósł szklanekę z whisky, a John Reed szturchnął go łokciem.

– Założę się, że wpadłeś jej w oko – stwierdził.

Frank nie wiedział, co o tym sądzić. Powoli sączył drinka i usiłował ustalić dalszy plan działania. Przede wszystkim powinien zawiadomić Paulinę. Zatrząsała go jednak myśl o przekazaniu jej nowin dotyczących spotkania z Westbrookiem, ślicznej opiekunki, którą przyszedł szwagier wioził ze sobą do domu, chłopca o imieniu Adam oraz licznych komentarzy, jakie w ciągu ostatnich kilku dni wywołało zachowanie Hugh'a. Próbował też skoncentrować uwagę na losach wyprawy i zastanowić się nad koniecznością wysłania ekipy ratunkowej.

Lecz wszystkie jego myśli powracały w końcu do Ivy Dearborn i do tego, co mógł oznaczać schlebiający mu portret.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale przyjechał pan Downs – rzekła Elsie, wchodząc do łazienki.

Paulina sięgnęła po szlafrok.

– Dziękuję, Elsie. Powiedz mu, że zaraz do niego przyjdę.

Frank nalał sobie drinka i rozejrzał się po pokoju siostry, który przywodził mu na myśl



damski kufer po eksplozji.

Wszędzie leżały ubrania – porozkładane na krzesłach i na sofie suknie, porozrzucane na tureckim dywanie plisowane i koronkowe części garderoby oraz porozwieszane wokół wstążki. Frank wiedział, że to ślubna wyprawa siostry. Spodziewał się astronomicznego rachunku od krawcowej, ale skoro Paulina była dzięki temu szczęśliwa, postanowił, że w ogóle o tym nie wspomni.

Jeszcze zanim zobaczył siostrę, poczuł gorącą parę i silną woń perfum. Najej widok pomyślał jak zwykle: „Mój Boże, jakaż ona jest piękna!” Miał słabość do wysokich kobiet. A barmanka u Finnegana, której zachowanie wciąż analizował w myślach, też nie była niska.

– Frank, kochanie – powiedziała Paulina, całując go w policzek – mam nadzieję, że przywozisz dobre nowiny.

Był rad, że siostra zamierza poślubić Hugh'a Westbrooka. Wiedział, że jako jedyna żona w kolonii Wiktorii będzie mogła być pewna swojego męża. Hugh Westbrook nie należał do kobieciarzy. Wszyscy wiedzieli, że ma tylko jedną wielką namiętność – Merindę.

– Musiałem użyć dyplomacji i złożyć obietnicę wynajęcia najlepszej orkiestry w Melbourne, a także zaproponować horrendalne wprost honorarium, ale twojemu życzeniu stanie się zadość. W końcu nadszedł z Londynu list z informacją, że wielka Lydia zgodziła się wystąpić na twoim ślubie.

– Och, Frank! Dziękuję! – wykrzyknęła Paulina, ściskając brata. – Teraz już wszystko ułoży się doskonale. Jak ja zdołam wytrzymać te sześć miesięcy!

Frank roześmiał się i pokręcił głową. Był pewien, że Paulina nie będzie miała trudności z wypełnieniem sobie czasu. Niebawem miały się odbyć zawody o Puchar Melbourne, którym towarzyszył bal u gubernatora, a także szereg przyjęć i polowań. Wkrótce potem wypadały święta Bożego Narodzenia i jak co roku państwo Ormsby wydawali w Strathfield wielką fetę; przygotowaniom Paulina poświęcała każdą wolną chwilę. Na Nowy Rok zaplanowany był bal maskowy, urządzany przez Colina i Christinę MacGregorów w Kilmarnock, po którym zwykle organizowane były liczne pikniki i letnie wycieczki nad morze.

Paulina przy toalecie rozczesywała włosy.

– Zaprosiłam dzisiaj MacGregorów na kolację, Frank. Mam nadzieję, że nie wymkniesz się chyłkiem do klubu.

– Przecież nie darzysz wielką sympatią tego małżeństwa.

– To prawda, ale ich farma graniczy z Merindą i wkrótce będą moimi sąsiadami. Pomyślałam więc, że muszę zacząć zaskarbiać sobie ich przyjaźń.

– Skoro mowa o Merindzie... Wyjeżdżając z Melbourne, natknąłem się na Hugh'a.

Frank zauważył, że na samą wzmiankę o narzeczonym zabarwiły się jej policzki, a oczy zaiskrzyły.

– Och, powiedz, czy Hugh jest już w drodze powrotnej do domu?

Zazdrościł Westbrookowi. Wątpił, by wzmianka o nim wywołała kiedykolwiek tak gwałtowną reakcję u jakiejś kobiety. Znowu pomyślał o swojej pochlebnej podobiznie. Dlaczego barmanka narysowała go w taki sposób, skoro wszystkich innych karykaturowała? Próbował porozmawiać z nią przed wyjściem z lokalu, ale była zajęta obsługiwaniem tłumu

klientów. Przypomniał sobie, że siostra czeka na jego odpowiedź.

– Tak, Paulino. Wyruszył już w drogę powrotną.

– A zatem jutro powinien być tutaj. Zaplanowałam piknik...

– Nie należy się go spodziewać prędzej niż przed upływem dwóch, trzech dni. Ja jechałem konno, a Hugh podróżuje powozem. I to na dodatek razem z dzieckiem.

– Och, a więc chłopiec przyptynał!

– Tak – rzekł Frank, opuszczając wzrok na szklanke z whisky. Dzieciak wydał mu się dziwnie wylężniony. – Jest jeszcze jedna sprawa.

Paulina obrzuciła brata pytającym spojrzeniem.

– Co takiego?

– Razem z nimi podróżuje kobieta.

– Kobieta?

– Tak. Hugh zatrudnił do opieki nad chłopcem niańkę, która przyptynała jednym ze statków z imigrantami.

Paulina słuchała ze zdumieniem. Jednym z powodów, dla których Hugh nalegał na tak długi okres narzeczeństwa, były nieodpowiednie dla kobiety warunki życia na farmie. Twierdził, że dostosowanie ich do potrzeb Pauliny wymaga czasu. A teraz sprowadzał tam inną kobietę.

Po chwili zazdrości przypomniała sobie imigrantki, które widywała. Zwykle były wdzięczne za każdy, nawet najskromniejszy dach nad głową.

– Wiem, co myślisz, moja droga – rzekł Frank. – Ale możesz za to winić samą siebie. Gdybyś zaoferowała pomoc w zaopiekowaniu się dzieckiem, Westbrook nie byłby zmuszony angażować niańki.

– Oczywiście masz rację. Może jego decyzja okaże się jeszcze dla nas błogosławieństwem. Przynajmniej będziemy mieli kogoś, kto się zajmie chłopcem, gdy wyruszymy w podróż poślubną. Przypomnij mi, jak dziecku na imię?

– Adam – rzekł Frank, sięgając do tacy z alkoholami, żeby ponownie napełnić szklanke.

Paulina uświadomiła sobie, że brat unika jej wzroku.

– O co chodzi, Frank? – spytała.

– Nie rozumiem, o co pytasz.

– Znam cię na wylot. Coś jeszcze przede mną ukrywasz. Co to takiego?

– No cóż, i tak dowiesz się o tym prędzej czy później. Będzie lepiej, jeśli sam ci o tym powiem. Niania jest... młoda.

– Młoda? Ile ma lat?

– Och, nie jestem dobry w szacowaniu czyjegoś wieku.

– Ile ona ma lat, Frank? Wzruszył ramionami.

– Sądzę, że nie skończyła jeszcze dwudziestu.

– A więc to dziewczyna?

– Nie, nie dziewczyna, Paulino. To młoda kobieta.

– Rozumiem. – Paulina ostrożnie odłożyła na toaletkę szczotkę do włosów. – Jak ona wygląda?

– No cóż, z pewnością nie tak, jak się tego spodziewasz. Nie przypomina większości imigrantek. Jest bardzo dobrze ubrana.

– Mów dalej. Frank pociągnął łyk.

– I może być uważana przez niektórych za urodziwą.

W pokoju wypełnionym sukniami, belami materiałów i koronek zapanowała cisza.

– Przez niektórych – powtórzyła Paulina. – A co ty o niej sądzisz? Czy twoim zdaniem jest ładna?

– Tak.

– Nie zawahałbyś się nazwać jej nawet piękną, prawda?

Odpowiedział milczeniem.

– Rozumiem. Czy wiesz, jak się nazywa?

– Joanna Drury.

„Joanna Drury – pomyślała Paulina. – Młoda i piękna Joanna Drury, która wiele dni podróży z Melbourne sam na sam z Hughiem.”

Przeszył ją zimny dreszcz.

– Pójdę się wykąpać i przebrać. – Frank odstawił kieliszek. – Mam nadzieję, że wybaczysz mi, moja droga, ale nie jestem dzisiaj w dobrym nastroju, nie chcę spotykać się z MacGregorami. Colin zanudza wszystkich opowieściami o swoim pochodzeniu, a biedna Christina tylko wzdycha. Nie weźmiesz mi tego za złe, prawda?

Ale siostra go nie słuchała.

– I tak zamierzałem wyjść wieczorem – rzucił Frank na odchodnym. – Umówiłem się z Johnem Reedem w pubie Finnegana...

Paulina nie słyszała nawet zamykania drzwi. Przyglądała się sobie w lustrze i myślała: „Frank ma rację. To tylko moja wina. Przeze mnie Hugh musiał wynająć opiekunkę. Mogę jednak sprawić, by ją zwolnił. Powiem mu, że chcę, aby do czasu naszego ślubu dziecko zamieszkało razem ze mną w Lismore”.

### ROZDZIAŁ 3

– Już niedługo dotrzemy do miejsca naszego noclegu – rzekł Hugh. Powóz toczył się drogą ocienioną eukaliptusami.

– Mam nadzieję, że nie jest pani przeciwna nocowaniu pod gołym niebem. Nie ma tu wielu przydrożnych zajazdów, dlatego ludzie po prostu rozbijają obozowiska.

Było późne październikowe popołudnie. Przejeżdżali w milczeniu obok zielonych pól, zabudowań oraz wielkich stad owiec z nowo narodzonymi jagniętami. Zostawili Melbourne daleko za sobą. Nadeszła wiosna i równiny Wiktorii budziły się do życia. Przez kilka godzin, jakie upłynęły od czasu opuszczenia miasta, Hugh opowiadał Adamowi o Merindzie – o nowym domu chłopca na farmie owczej w Okręgu Zachodnim.

– Dzięki owcom kolonie dojdą do świetności, zobaczy pani, panno Drury – oświadczył. – Świat potrzebuje wełny i baraniny, a my możemy to wszystko dostarczyć, pod warunkiem że będziemy współpracować ze sobą. Musimy doprowadzić do tego, żeby australijskie kolonie stały się pierwszym producentem wełny na świecie. Mam nawet pomysł, jak tego dokonać.

Joanna spostrzegła, że Adama zaczyna ogarniać senność, i z zadowoleniem pomyślała o tym, że wkrótce się zatrzymają.

– Zaledwie mała część tego kontynentu jest zamieszкана, tylko rejon wybrzeża, panno Drury – mówił dalej Hugh. – Na pozostałej, wewnętrznej części lądu panują zbyt surowe warunki i dlatego wciąż nie jest wykorzystana. Pracuję nad wyhodowaniem nowej odmiany owiec, przystosowanej do strefy pustynnej. Jeśli mi się powiedzie, na ziemi niczyjej będą się pasły milionowe stada.

Joanna zauważyła, że Hugh mówi wolno, robi przerwy pomiędzy zdaniami i starannie dobiera słowa. Nie spieszy się z wyrażeniem swoich opinii, tak jak to zwykli robić ludzie podczas towarzyskich spotkań na wojskowych placówkach w Indiach. Pomyślała, że Hugh Westbrook z pewnością nigdy nie musiał zabiegać o zabranie głosu, a przebywanie w tłumie jest doświadczeniem zupełnie mu obcym. Refleksyjność wypowiedzi odzwierciedlała jego samotnicze życie.

– Wygląda na to, że naprawdę jest pan zdecydowany ujarzmić pustynię, panie Westbrook – rzekła.

– Ma pani rację.

Adam wyprostował się nagle i wskazał przed siebie. Na drodze zgromadzili się jeźdźcy i piesi. Rozlegały się krzyki.

– Co tam się dzieje? – spytała Joanna.

Hugh ściągnął lejce. Gdy podjechali bliżej, dostrzegli mężczyznę, który wygrażał batem i przeklinał w głos. Hugh wysiadł z powozu i zawołał:

– Hej, wy tam! Co się stało?

Joanna zauważyła, że ludzie na koniach są białej rasy. Pieszymi byli ciemnoskórzy i nędznie odziani tubylcy. Domyśliła się, że stanowią rodzinę. Dostrzegła wśród nich parę starszków, młodą kobietę i mężczyznę oraz kilkoro dzieci. Wszyscy byli obładowani kocami

i tobołami.

– Próbowali nas okraść! – wyjaśnił Hughowi mężczyzna z batem. – Zatrzymali nas, prosząc o jałmużnę, a dzieciaki, korzystając z naszej nieuwagi, usiłowały ograbić juczne konie.

– To nieprawda, panie – odezwał się sędziwy starzec z białą brodą i oczami tak głęboko osadzonymi pod gęstymi brwiami, że prawie nie było ich widać. – To nieprawda – powtórzył, kręcąc głową. – Nie jesteśmy złodziejami.

– Dobrze widziałem, dziadzie! – zawołał jeździec, a potem zwrócił się do Hugh'a. – Trzeba mieć ich nieustannie na oku. Tylko patrz, żeby coś zwędzić.

W trakcie kłótni Joanna spostrzegła utkwione w niej oczy jednej z niewiast. Poczuła się nagle nieswojo.

W końcu konni spięli ostrogami wierzchowce i odjechali.

– Tamten człowiek nie mówił prawdy, panie – starzec zwrócił się do Hugh'a.

– Być może. – Hugh uważnie się przyjrzał zbitej w gromadę rodzinie, jej zniszczonej odzieży oraz dzieciakom uczeponym spódnicy matki. – Czy macie coś do sprzedania? Przydałyby mi się solidne kosze i koce.

– Nie mamy koszy, panie. Ani koców.

Kobiety zaczęły coś szeptać pomiędzy sobą. Starzec wysłuchał ich i ponownie zwrócił się do Hugh'a.

– Moja żona twierdzi, że może wam przepowiedzieć przyszłość.

– Ach tak. Wobec tego słucham – powiedział Hugh z uśmiechem. Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka monet.

Staruszka wsiadła do powozu, a gdy uważnie przyjrzała się Joannie, w jej oczach pojawił się twardy wyraz. Powiedziała coś w niezrozumiałym dla Joanny języku.

– Co ona mówi? – spytał Hugh starca.

– Żona uważa, że wokół pani są cienie. Cień psa, który za panią podąża i który nawet w tej chwili znajduje się tuż za pani plecami.

Adam rozejrzał się wokół siebie, a Joanna zamarła z przerażenia. Prześladowający ją majak nagle powrócił, koszmarny sen, jaki się jej przyśnił na statku – o psie, o pogrzebie i o wężu z gwiazd.

– Czy mogę ją o coś zapytać? – odezwała się Joanna. – Chciałabym się dowiedzieć, czy potrafi tłumaczyć sny.

– Są ważną częścią ich wierzeń – zauważył Hugh. – Co panią interesuje?

– Co oznacza sen o wężu, o olbrzymim wężu?

Gdy Hugh powtórzył mężczyźnie pytanie, starzec wyrzucił ręce w górę i powiedział kilka słów w języku Aborygenów.

– O co chodzi, panie Westbrook? – rzekła Joanna.

– Obawiam się, że złamaliśmy ich tabu. Im nie wolno rozmawiać o tym wężu.

– Nie rozumiem. O jakim wężu? Zaczekajcie! Proszę, niech pan ich zatrzyma! Chcę, żeby mi coś wyjaśnili.

Patrzyła na starca, który poprowadził rodzinę w stronę drzew, zbaczając z głównego

traktu. Stara kobieta obejrzała się za siebie, a po chwili zniknęła z pola widzenia.

Hugh z powrotem usadowił się na koźle, sięgnął po lejce.

– Przykro mi, panno Drury, ale o pewnych sprawach tubylcy nie chcą rozmawiać.

Obrzucił Joannę pełnym namysłu spojrzeniem.

– Pani drży, panno Drury – zauważył. – Czy coś się stało?

– Staruszka coś o mnie wiedziała. Domyśliłam się tego ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła. Mówiła o psie – pewnie o tym, który nieomal mnie zabił i przyczynił się do śmierci mojej matki.

– Nie sądzę – rzekł Hugh. – Przepowiadała przyszłość, a więc pies pewnie dopiero się w pani życiu pojawi.

– Nie – zaprotestowała Joanna, gdy powóz ruszył w mroku w dalszą drogę. – Dobrze zrozumiałam uwagę staruszki.

„Cienie. Co one mogą oznaczać?” – pomyślała.

– Dlaczego węże mają dla Aborygenów tak doniosłe znaczenie? – zwróciła się do Hugh'a.

– W ich mitologii ważną rolę odgrywa Tęczowy Wąż. Niewiele potrafię o nim powiedzieć. Wiem tylko, że jest istotą o niszczycielskiej mocy. Przypuszczam, że tubylcy utożsamiają go z czymś, czego trzeba się bardzo bać.

– Tęczowy Wąż – mruknęła, przypominając sobie sen o kolorowym wężu z dziennika swojej matki. – Co było powodem niedawnej sprzeczki, panie Westbrook? Dlaczego jeźdźcy złościli się na tych ludzi?

– Według nich Aborygeni chcieli ich okraść, ale ja w to nie wierzę.

– Jeden z mężczyzn zamierzył się nawet batem na starca. Dlaczego to zrobił?

– Niektórzy biali boją się rodowitych Australijczyków. Sądzą, że posiadają oni szczególne, nadprzyrodzone siły, i to ich przeraża.

– Czy te obawy są uzasadnione?

– Nie wiem, choć byłem świadkiem niezwykłych rzeczy, jakie dokonywały się w ich obecności – rzekł Hugh. – Biały człowiek po raz pierwszy postawił stopę w tej części kontynentu czterdzieści lat temu. Prawie nie znamy rasy ludzi zamieszkałej tutaj od tysiącleci. Niektórzy z nas mają wśród jej przedstawicieli przyjaciół. Ja zatrudniam kilku Aborygenów na swojej farmie i uważam, że są dobrymi pracownikami. Rdzenna Australijka, Sara, pomaga mi w prowadzeniu domu – zajmuje się praniem i wyręcza w niektórych czynnościach PingLi w kuchni. I jest jeszcze Ezekiel pamiętający czasy, kiedy jego współplemieńcy nie widzieli na oczy białego człowieka. Moja współpraca z tubylcami dobrze się układa i generalnie zgadzamy się ze sobą. Muszę jednak przyznać, że ich mentalność różni się od naszej i że nie zawsze ich rozumiem.

„Co zobaczyła staruszka, patrząc na mnie?” – zastanawiała się Joanna.

– Dokąd oni idą, panie Westbrook? – spytała. – Dokąd starzec prowadzi swoją rodzinę?

– Donikąd. Snują się bez celu. Teraz, kiedy ich ziemia została zajęta przez białych osadników, nie mają się dokąd udać. Słyszałem, że droga, którą obecnie jedziemy, jest przez nich nazywana szlakiem-pieśnią. Może z tego powodu natknęliśmy się tutaj na nich.

– Szlakiem-pieśnią?

– Nie jestem pewien, czy potrafię to pani wyjaśnić. Szlaki-pieśni są elementem wierzeń tubylców. Świętości stanowią dla nich tabu i nie wolno o nich rozmawiać, a już w szczególności z białym człowiekiem. Dlatego wciąż wiemy o Aborygenach tak niewiele. Najbliższym określeniem szlaku-pieśni są niewidzialne ślady. Wytarczają drogi, którymi przez tysiąclecia wędrowali ich przodkowie. Są niczym niewidoczne i przecinające kontynent trakty. Pierwotni mieszkańcy prawdopodobnie przemierzali się po całej Australii, a podczas swych wędrówek śpiewali o wszystkim, co napotykali. Wierzyli, że świat istnieje dzięki ich pieśniom. W religii rdzennych mieszkańców tych ziem pieśń jest równoznaczna z istnieniem – śpiewać znaczy żyć. Otaczają kultem całą przyrodę: skały, drzewa i kałuże w wyschniętych korytach rzek. A nawet – Hugh nachylił się w stronę Adama – małych chłopców, którzy w ogóle się nie odzywają!

Adam obrzucił Hugh'a czujnym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się nieśmiało.

Joanna obserwowała zacierający się w mroku krajobraz. Wraz ze zmierzchem zawisła nad światem dziwna cisza. Joanna zamyśliła się nad pradawną historią Australii. Czy rzeczywiście jakaś odwieczna magia prześladowała ją i jej rodzinę, w co najwyraźniej wierzyła jej matka?

Dziadkowie Joanny przybyli do Australii mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Aborygeni zaczęli tracić prawo do swoich ziem. Czy jakiś starzec, podobny do tego, którego przed chwilą spotkała, rzucił klątwę na Johna i Naomi Makepeace oraz na ich trzyletnią córkę Emily?

Próbowała wyobrazić sobie niewidzialne szlaki, zastanawiając się nad rodzajem pieśni, jakie pierwotni mieszkańcy mogli śpiewać. Pomyślała o matce – urodzonej i mieszkającej tutaj w pierwszych latach swojego życia. Powróciła myślą do tubylców, którzy przed chwilą stąd odeszli. Może trzydzieści siedem lat temu inni Aborygeni zaprowadzili małą Emily do władz kolonii, a potem umieścili ją na płynącym do Anglii statku. Czy wśród nich była kobieta, która zjawiała się w snach lady Emily?

W czasach dzieciństwa matki tubylcy z pewnością jeszcze nie stracili swojej tożsamości i godności. Ludzie, których niedawno widziała, byli wzbudzającymi litość życiowymi rozbitkami. Włóczyli się bez celu, podążając za jakimś nieuchwytnym marzeniem lub odziedziczonym po przodkach nakazem – może tym samym, który przywiódł na ten kontynent Joannę, a w jej matce obudził pragnienie powrotu do miejsca narodzin – w nadziei że zdoła odtworzyć ślady swojego życia, szlak-pieśń jej rodziny.

Joanna zapatrzyła się w znikającą w ciemnościach cieką wstęgę drogi. Wyobraziła sobie, że to jej własny szlak-pieśń, i zastanawiała się, czy zdoła dotrzeć do jego końca – i do początku.

Zatrzymali się opodal miejsca zwanego Dopływem Emu, gdzie inni podróżni porzabijali już namioty i porozpalali ogniska. Nad obozowiskiem, po którym biegały roześmiane dzieciaki, wisiał słup dymu, a w powietrzu unosił się aromat kawy i bekonu.

– Kim są ci ludzie? – spytała Joanna, gdy usiedli przy własnym ognisku.

– W większości to postrzygacze – odparł Hugh, mieszając herbatę w menażce. – Niebawem zacznie się sezon strzyżenia owiec i dlatego na drogach zrobiło się tłoczno. Zatrzymały się tutaj też rodziny zmierzające do farm znajdujących się na zachodzie i na

północy.

Joanna ze zdumieniem rozejrzała się wokół siebie. Jeszcze nigdy nie widziała tak wielu podróżujących ludzi.

Hugh, przyglądając się pochylonej nad ogniskiem Joannie, nie mógł się oprzeć spostrzeżeniu, że jest bardzo ładna i że jej ruchy są pełne wdzięku. Ze zdziwieniem stwierdził, że porównuje ją do Pauliny – do kobiety, którą miał wkrótce poślubić.

Skierował wzrok na Adama, biegnącego to tu, to tam po zajętych przez nich niewielkim polu biwakowym.

– Chłopiec trochę przyszedł do siebie – zauważył. – Mam nadzieję, że podróż nie będzie dla niego zbyt męcząca. Dopiero za cztery, może nawet pięć dni dotrzemy do Merindy. Przygotuję w powozie poślanie dla pani i dla Adama, a ja się prześpię tutaj, przy ognisku.

– To dziwne, że chłopiec nic nie mówi – rzekła Joanna.

– Nie odezwał się ani słowem od chwili opuszczenia Melbourne. Sprawia wrażenie, że zamknął się w sobie, ukrywa jakiś sekret. Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, na co umarła jego matka, może poznalibyśmy powód histerycznego wybuchu i przyczynę milczenia.

Hugh obrzucił Joannę wzrokiem. Cisnęły mu się na usta słowa: „Pani też ma swoje tajemnice. I też nie jest pani skora do zwierzeń”.

– Proszę opowiedzieć o miejscu, którego pani szuka – zaproponował. – Nazywa się Karra Karra, o ile się nie mylę, prawda?

Joanna sięgnęła do torby i wyjęła z niej poźółkły papier.

– Ten akt własności jest bardzo stary – wręczyła Hughowi dokument. – Na nieszczęście atrament spłowiał w niektórych miejscach. Nie byliśmy w stanie ustalić, gdzie ani kiedy został podpisany.

Westbrook przyjrzał się uważnie kartce i odczytał fragmenty tekstu: „Dwa dni jazdy od... i dwadzieścia kilometrów od Dopływu Dro... „ Dostrzegł też nieczytelny podpis i urzędową pieczęć. Niewątpliwie dokument został kiedyś zalany wodą i widniejąca na nim data była prawie całkiem zamazana.

– Trudno na podstawie tego stwierdzić, gdzie znajduje się ta ziemia – orzekł Hugh. – Powiedziała pani, że leży w pobliżu Karra Karra. To miano zostało z pewnością nadane jeszcze przez Aborygenów. Większość oryginalnych nazw zastąpiono innymi. Niektóre stare terminy nie są używane od tak dawna, że nikt już ich nie pamięta.

– A ja i tak znajdę to miejsce – powiedziała Joanna, zwijając dokument i z powrotem chowając go do torebki. – Nie mam innego wyjścia.

Herbata się zagotowała. Hugh napełnił nią dwa emaliowane kubki.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, panno Drury, że Karra Karra jest dla pani czymś więcej niż tylko kawałkiem odziedziczonej ziemi – zauważył.

Joanna najpierw zawołała Adama i poprosiła, żeby zaczął szykować się do snu, a dopiero potem odpowiedziała Hughowi:

– To prawda. Niewykluczone, że ta ziemia okaże się dla mnie czymś znacznie ważniejszym niż tylko spuścizną, panie Westbrook. Być może jest miejscem, gdzie urodziła się moja matka. Dlatego tak bardzo zależy mi na dokonaniu tego, czego jej się nie udało



zrobić.

Westbrook upił łyk herbaty.

– Moja matka zmarła, wydając mnie na świat – wyznał. – Zostaliśmy z ojcem sami. Nigdzie nie zapuściliśmy korzeni, nigdy nie mieliśmy własnego domu. Pokonywaliśmy rozległe, nie zamieszkane tereny i podejmowaliśmy każdą nadarzającą się robotę, jeżdżąc od miasta do miasta niczym pocztowe przesyłki. Ojciec zginął, gdy miałem piętnaście lat. Spadł z konia i poniósł śmierć na miejscu. Byliśmy w drodze do pracy przy strzyżeniu owiec. Pochowałem go pod jedynym drzewem, jakie rośnie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Od tamtego czasu byłem zdany tylko na siebie.

Umilkł i pociągnął kolejny łyk gorącej herbaty.

– Dlatego zgodziłem się wziąć do siebie Adama. Dzieciak potrzebuje domu i rodziny.

– Szczęściarz z niego, że ma pana, panie Westbrook – rzekła Joanna.

Hugh przyglądał się jej przez moment. Dostrzegł odbijający się w jej bursztynowych oczach blask księżycy.

– Dlaczego chciała pani zapytać staruszkę o węża? – ode – „, zwał się po chwili.

– Miał związek z moją matką. Prześladowały ją senne koszmary, w których często pojawiał się gigantyczny wąż. Najdziwniejsze jest jednak to, że od czasu śmierci matki ja również zaczęłam o nim śnić. To wszystko zostało tutaj zanotowane.

Wyjęła z torby dziennik matki. Hugh otworzył go na pierwszej stronie i przeczytał dedykację: „Emily Makepeace w dniu jej ślubu od kochającego męża, majora Petroniusa Drury’ego, 12 lipca 1850 roku”.

– To rodzaj pamiętnika – wyjaśniła Joanna. – Na początku był zwykłym notatnikiem, lecz potem matka doszła do wniosku, że jeśli będzie także zapisywała swoje sny i nawet najkrótsze wspomnienia, powróci jej pamięć i będzie mogła zapełnić puste miejsca w swoim życiorysie. A także... – urwała.

Hugh podniósł wzrok.

– A także co, panno Drury? – spytał.

– Nie jestem pewna, czy będzie miał pan ochotę mnie wysłuchać. Obawiam się, że moje stwierdzenie może zabrzmieć nieco dziwnie.

– Proszę, niech pani mówi.

– Moja matka uważała, że na naszej rodzinie ciąży jakaś klątwa – wyznała cichym głosem. – Nie miała na to żadnego dowodu. Po prostu to przeczuwała.

– Jakiego rodzaju klątwa?

– Nie wiem. I ona też tego nie wiedziała. Sądziła, że została rzucona przez Aborygenów.

Po chwili wahania Joanna opowiedziała o wściekłym psie, który wdarł się na teren wojskowej placówki, gdzie mieszkali, o tym jak lady Emily próbowała osłonić córkę przed atakiem, jak żołnierz w samą porę bestię zastrzelił i o symptomach wścieklizny, które kilka dni później wystąpiły u lady Emily.

– Do ostatniej chwili wierzyła, że przyczyną zbliżającej się nieuchronnie śmierci jest klątwa-trucizna, jak zwykła ją nazywać.

– Trucizna? Dlaczego trucizna?

– Nie mam pojęcia. Twierdziła, że śniła o tym. Uważała również, że po jej śmierci klątwa przejdzie na mnie.

– Czy pani w to wierzy?

– Sama nie wiem, w co mam wierzyć, panie Westbrook. Ale nie mogę pozbyć się wrażenia... że wokół mnie coś się zacieśnia. Może to tylko prześladowający mnie pech.

Gdy spojrział na nią pytająco, dodała:

– Statek, którym tu przyплыłam, został unieruchomiony przez ciszę morską w miejscu, gdzie podobno nigdy przedtem to się nie zdarzyło. Zmalały zapasy wody pitnej i groziło nam prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Anomalie pogodowe na otwartym morzu nie należą do rzadkości, panno Drury.

Westchnęła.

– Tak, to prawda. Wiem, że to zabrzmiało nieprawdopodobnie, ale przed wyjazdem z Indii miałam sen. I wyśniłam to wszystko. Sen dokładnie się ziścił.

– To dziwne, ale czasami możliwe. Nie ma podstaw, by sądzić, że przyczyną tego zdarzenia była pani. Czy śniąc o tym, wiedziała już pani o swoim wyjeździe do Australii?

– Tak.

– Ludzie wybierający się w podróż często miewają tego typu majaki. Niektórzy boją się żeglowania. Zbyt wiele statków przepada na morzu – to niebezpieczny środek transportu. Niepokoiła się pani przed wyprawą, to wszystko.

– Większość podróżnych obawia się rozbicia albo utonięcia statku, panie Westbrook. Nikt nie myśli o martwej fali.

Hugh przerzucił kilka kartek dziennika. Na początkowych stronach znajdowały się recepty na różne schorzenia i opisy sposobów przyrządzania lekarstw.

– Widzę, że pani matka znała się na medycynie.

– Często zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Mój ojciec był oficerem brytyjskiej armii. Nieraz stacjonował na placówkach, gdzie nie było lekarza. Matka uczyła się od lokalnych uzdrowicieli, czytała książki i samodzielnie zgłębiała medyczną wiedzę. Opiekowała się ojcem i mną, naszą służbą, a czasem nawet rannymi żołnierzami.

– Skąd się wzięło to zainteresowanie? Czy jej ojciec był lekarzem?

– Chyba nie. Był pastorem – misjonarzem, który przybył tu, żeby nawracać Aborygenów na chrześcijańską wiarę.

– Rozumiem – rzekł Hugh. Spojrzał, że kubek Joanny jest pusty. – Pozwoli pani, że jej doleję herbaty – zaproponował. – A więc pani matka uważała, że klątwa, albo trucizna, została rzucona przez rdzennych Australijczyków. Spędziła wśród nich wczesne lata swojego dzieciństwa, prawda?

– Przypuszczała jedynie, że tak było. Nie pamiętała tego okresu swojego życia, o którym wspomnienia prawdopodobnie powracały w jej snach.

– Może jej zainteresowanie uzdrawianiem wzięło swój początek właśnie od Aborygenów. Byli bardzo zdrową rasą, nim przybył na ich kontynent biały człowiek. Wiedzieli, jak zaradzić niemal każdej dolegliwości. Mówiła pani, że matka stosowała olejek eukaliptusowy w leczeniu wielu schorzeń. Do niedawna drzewa eukaliptusowe rosły tylko w Australii.

W tym momencie do Joanny podszedł Adam.

– A skoro mowa o złym stanie zdrowia... Adam nie wygląda najlepiej – powiedział Hugh.  
– Co z tobą, synku? Czy źle się czujesz?

Joanna przyłożyła dłoń do czoła chłopca i stwierdziła, że jest rozpalone.

– Boli cię głowa, Adamie? – spytała, a gdy dzieciak przytaknął, dodała: – Dam ci lekarstwo, po którym poczujesz się lepiej.

Wyjęła z torebki małe pudełko z kości słoniowej. Kiedy je otworzyła, Hugh dostrzegł w środku szereg maleńkich butelek. Joanna wlała kilka kropli z jednej z nich do swojej herbaty i podała chłopcu kubek.

– Co to takiego? – spytał Hugh.

– Wyciąg z kory wierzby. Złagodzi ból i obniży temperaturę. Dzieciak musiał bardzo mocno uderzyć głową. Wypij to, Adamie, a potem pójdziemy się położyć.

Kiedy chłopiec zasnął w powozie, Joanna zagadnęła Hugh'a:

– Czy zawsze miał problemy z mówieniem?

– Nie sądzę. Mary informowała mnie w listach, że Adam jest wesołym i zdrowo rozwijającym się dzieckiem. Przedstawiciele władz Australii Południowej twierdzili jednak, że nie usłyszeli od niego ani jednego słowa.

– Będziemy musieli go zachęcić, by opowiedział nam, co się stało. Ale nie od razu. Powinniśmy mu dać trochę czasu. Czy możemy napisać do władz kolonii Australii Południowej z prośbą, żeby podali nam więcej szczegółów dotyczących chłopca? Kto wie, może gdy się dowiemy, co mu się przytrafiło, zdołamy mu pomóc.

– Wyślę do nich list, gdy tylko przyjedziemy do Merindy.

– To ładnie z pana strony, że przygarnął pan chłopca, panie Westbrook. Adam jest bardzo nieszczęśliwy, potrzebuje opieki i serca.

– Po śmierci jego ojca napisałem do Mary, proponując, by zamieszkała razem z dzieckiem w Merindzie. Odpowiedziała jednak, że ich farma była marzeniem Joego i dlatego pragnie dalej na niej gospodarować. Wysłałem jej pieniądze, ale może powinienem był zrobić coś więcej.

– No cóż, najważniejsze, że teraz przyszedł pan z pomocą. Zaopiekował się pan jej synem i nie mam wątpliwości, że ona w jakiś sposób jest tego świadoma.

– Kto wie? Tubylcy wierzą, że zmarli są zawsze razem z nami. Wracają do Krainy Snów, lecz ani na chwilę nie przestają nam towarzyszyć.

– Do Krainy Snów?

Hugh wziął patyk i poruszył nim żarzące się polana w ognisku.

– Białemu człowiekowi niełatwo zrozumieć to pojęcie. Joanna spojrzała zdumiona na Hugh'a. Przypomniała sobie o jednym ze snów z dziennika swojej matki: „Śniłam znowu, że czekam przed grotą. Jestem mała i ktoś mnie trzyma w ramionach. Dostrzegam kobiety wyłaniające się z ciemnoczerwonego otworu. Czy to jest wyjście z pieczary? Postacie są ciemnoskóre, niosą jakieś przedmioty i śpiewają. Niespodziewanie pojawia się biała niewiasta i wiem, że to moja matka. Jest naga. Jej skóra wygląda bardzo blado w porównaniu z karnacją innych kobiet. Wołam coś, ale matka na mnie nie patrzy. Ma dziwny wyraz twarzy. Nagle

ogarnia mnie przerażenie”.

„Co to było? – zamyśliła się Joanna. – Sen czy wspomnienie zagrzebane głęboko w pamięci? A może jedno i drugie?”

– Krainą Snu, jak sędzę, tubylcy nazywają odległą przeszłość, kiedy po ziemi chodzili pierwsi ludzie i za pomocą pieśni tworzyli otaczającą ich rzeczywistość. Ich duchowość jest nierozdzielnie związana z ziemią. Z ziemi się wywodzimy, dzięki niej trwamy, a po śmierci wracamy do niej. Zranienie ziemi jest równoznaczne z okaleczaniem samych siebie. Z tego powodu tubylcy nigdy nie zajmowali się rolnictwem czy górnictwem ani nie rozwinęli żadnej działalności, która by w jakiś sposób zmieniła ich naturalne środowisko. Nie tylko uważali siebie za część natury, ale nią byli.

– Czy potrafia rzucić na kogoś klątwę, panie Westbrook? – spytała Joanna. – Czy mogą w ten sposób kogoś zniszczyć?

– Umieją wykorzystywać nadprzyrodzone siły i z pewnością są do tego zdolni. Wątpię jednak, czy ich przekleństwo ma jakąś moc, jeśli osoba, na której ciąży, nie wierzy w nie.

– A więc wystarczy po prostu nie dawać wiary klątwie, aby się przed nią zabezpieczyć?

Iskra z ogniska niespodziewanie wystrzeliła w niebo.

– Chyba nie przypuszcza pani, że ciąży na pani klątwa, prawda? – spytał cicho Hugh.

– Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, lecz wcale nie jestem pewna. Muszę się o tym przekonać, panie Westbrook. Dotychczas miałam jedynie okazję widzieć tubylców zebranych w Melbourne i tych przed chwilą na drodze. Czy są jeszcze tacy, którzy prowadzą dawny tryb życia?

– Zapewne chce się pani dowiedzieć, czy Aborygeni z Karra Karra nadal posiadają wzbudzającą w pani przerażenie tajemną moc?

– Czy oni wciąż tam są, jak pan sądzi?

– Przypuszczam, panno Drury, że tubylcy tak jak niegdyś zamieszkują wyludnione tereny – odparł Hugh, poruszony napięciem w jej głosie. – Przebywają wiele kilometrów stąd, w głębi lądu, na wielkiej pustyni. Trudno odgadnąć, w jaki sposób żyją. Są prawdopodobnie rozproszeni po całym, dotychczas nie zbadanym przez białego człowieka obszarze, obejmującym setki kilometrów kwadratowych. Mogą się tam dziać różne rzeczy, o których my nie mamy pojęcia. – Uśmiechnął się i dodał: – Nie sędzę, by ciążyło na pani przekleństwo, panno Drury. Naprawdę nie uważam, żeby to było możliwe.

Podniosła wzrok na gwiazdy, zastanawiając się, jak daleko stąd znajduje się Karra Karra, czy kiedykolwiek odnajdzie to miejsce, a jeśli tak, to w jaki sposób i kiedy. Pomyślała o matce, która znosiła przez całe życie udękę i strach, aż w końcu doszła do przekonania, że zawładnęło ją straszliwe Nieznane i skazało ją na przedwczesną śmierć.

Joanna poczuła ucisk w gardle, uświadamiając sobie własną samotność i przerażenie.

Westbrook uznał, że panna Drury wygląda bardzo młodo i pięknie. Wyczuł jednak w młodej kobiecie pewne napięcie. Szukał w myślach słów, które by ją uspokoiły, i zaczął cicho recytować:

*Spójrzcie na wesołe ogniska, migotliwym światłem błyskające, na zatłoczony teren*

*obozowiska i na ludzi w gromadach siedzących. Ten widok pobudza dawne wspomnienia i dźwięki odległych scherz. Echem się niosą harmonijne brzmienia pieśni płynących z głębi serc.*

Joanna spojrzała na Hugh'a z uśmiechem.

– Jaki ładny wiersz. Kto to napisał?

– Ja. Czasami, gdy pilnuję stada, dla zabicia czasu układam wiersze.

Ich oczy spotkały się nad wygasającym ogniskiem, lecz zaraz Joanna odwróciła wzrok. Sięgnęła po szal i narzuciła go na ramiona.

– Czy jesienne wieczory zawsze są tutaj takie chłodne?

– Mamy teraz wiosnę, a nie jesień, panno Drury.

– Och, tak, rzeczywiście. Zapomniałam. Muszę oswoić się z myślą, że tu Nowy Rok nastaje w pełni lata...

– Niech się pani nie martwi – rzekł Hugh. – Znajdziemy odpowiedzi na dręczące panią pytania. Zawarliśmy przecież umowę. Wkrótce przybędziemy do Merindy i tam będziemy mogli zająć się pani problemem. A tymczasem może się pani czuć w moim towarzystwie zupełnie bezpieczna, ponieważ ja nie wierzę ani w ciążącą na pani kłębę, ani w Tęczowego Węża.

## ROZDZIAŁ 4

– Obszar Merindy ciągnie się daleko jak okiem sięgnąć – wyjaśnił Hugh.

Joanna była urzeczona. Miała wrażenie, że patrzy na morze urodzajnych zielonych pastwisk łagodnie falujących pod bezchmurnym niebem. Wiał rześki wiatr, który poruszał połami jej spódnicy i targał rondem kapelusza Hugh'a. Orzeł kreślił w powietrzu koła, a w oddali wznosiły się zasnuwane mgłą góry o szczytach powyginanych niczym grzbiety morskich bałwanów, jak gdyby kiedyś górskie pasma były oceanem toczącym po brzegu fale, które zostały teraz zaklęte w kamienie.

– Na trzech tysiącach hektarów hodujemy obecnie pięć tysięcy owiec, ale farma dopiero się rozwija – rzekł Hugh.

– Skąd pochodzi jej nazwa, panie Westbrook?

– Została jej nadana jeszcze przez tubylców. W ich języku słowo „merinda” oznacza „piękna kobieta”.

– Czy to miano wymyślono z powodu jakiejś kobiety? Hugh spojrział na Joannę i spostrzegł, że w świetle słońca jej bursztynowe oczy pociemniały i nabrały głębokiej miodowej barwy. Niespodziewanie nasunęła mu się myśl, że być może mieszkała tu kiedyś osoba równie piękna jak ona.

– Tego nikt nie wie, choć krążą na ten temat legendy – odparł. – Według jednej z nich dawno temu, pewnie jeszcze w Czasach Snów, żyła tu młoda dziewczyna o imieniu Merinda. Była kobietą-pieśnią. To znaczy, że przechowywała wszystkie pieśni i wszystkie szlaki-pieśni swojego klanu. Każdy z członków plemienia znał jakąś ich część, ale tylko kobieta-pieśń i mężczyzna-pieśń pamiętali je wszystkie. Ich wiedza dawała klanowi moc.

Legenda głosi, że któregoś dnia jeden z Aborygenów, należący do szczepu żyjącego po drugiej stronie rzeki, postanowił ukraść potęgę Merindy i przepędzić jej współplemieńców, by zagarnąć dla siebie te tereny. Porwał Merindę i próbował ją zmusić, żeby zdradziła mu pieśni. Ona odmówiła jednak i umarła, nie wydając z siebie głosu. Dzięki temu jej lud pozostał bezpieczny.

– Czy to się wydarzyło właśnie tutaj?

– Tak. Podobno zginęła gdzieś w tej okolicy.

– A co się stało z tubylcami, którzy kiedyś tutaj mieszkali?

– W większości pomarli. Kiedy zaczęli przybywać tu pierwsi biali osadnicy, rodowici mieszkańcy sądzili, że tylko przejeżdżają przez ich tereny w poszukiwaniu swojego kraju. Ale kiedy biali ludzie zaczęli się osiedlać i wypierać Australijczyków z ziem ich przodków, rozpoczęły się krwawe walki. Jeśli coś zginęło z farmy białego człowieka, on i jego sąsiedzi organizowali pogoń i zabijali pierwszych napotkanych czarnych, choćby nie byli winni kradzieży. Tubylcy w odwecie palili ich farmy, mordowali całe rodziny i niszczyli zbiory. Odbywały się masowe rzezie. Biały człowiek w imię obrony swojej ziemi zgładził wiele australijskich klanów. A potem ci z krajowców, którzy zdołali przetrwać, zapadali na różne choroby – na ospę, odrę i grypę – gdyż nie byli na nie odporni. Szacuje się, że w ciągu kilku

pierwszych lat po przybyciu białych zesłańców z powodu szerzących się epidemii wyginęły tysiące tubylców.

– Wkrótce potem, gdy ich rodziny i klany zostały rozbite – mówił dalej Hugh – Aborygeni stracili poczucie jedności. Kręcili się w pobliżu domostw białych osadników, licząc na jałmużnę. Zasmakowali w alkoholu, dzieciaki zaczęły żebrać, a kobiety stawały się prostytutkami. W rezultacie stracili swoją starodawną wiedzę. Po rozpadnięciu się plemion młodzi tubylcy nie mieli od kogo nauczyć się zwyczajów i praw przodków. Przypuszczam, że wkrótce już całkiem zapomną o tradycjach swojej kultury.

Joanna spojrzała na ciągnące się aż do podnóża gór zielone pastwiska ogrodzone parkanami i żywopłotami. Ogarnęła wzrokiem okazałe stare eukaliptusy porastające tu i ówdzie równinę oraz olbrzymie stada owiec.

– Trudno wyobrazić sobie, że w tak pięknej scenerii rozegrała się tragedia – szepnęła.

„Czy ludzie, którzy tu kiedyś żyli, rzucili klątwę na moją matkę, żeby spotkał ją podobny los?” – zastanawiała się.

– Gdzie jest pana gospodarstwo, panie Westbrook? – spytała.

– Na samym końcu tej drogi. Czy widzi pani zabudowania pomiędzy drzewami?

– Tak, widzę.

Ni stąd, ni zowąd, stojący pomiędzy nimi Adam zawołał:

– Farma! Farma!

Hugh i Joanna ze zdumienia otworzyli szeroko oczy.

– Adamie, wreszcie się odezwałeś! – powiedziała Joanna, biorąc chłopca w ramiona. – Ty potrafisz mówić!

– Farma! – powtórzył podekscytowany dzieciak. – Farma!

– Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku przez pięć dni, a teraz całkiem niespodziewanie... – Hugh się roześmiał. – Żeby nakłonić chłopaka do mówienia, trzeba go było po prostu przywieźć do domu.

Podwórze w Merindzie otaczały walące się zabudowania, przy których stawianiu najwyraźniej wykorzystano materiały, jakie w danej chwili znajdowały się pod ręką. Część budynków powstała z okrągłaków i z desek, inne z kamienia. Wszystko wskazywało na to, że zostały wzniesione w różnym czasie i bez żadnego planu. W obejściu panowała hałaśliwa krzątania: jeźdźcy pokrzykiwali i pogwizdywali na przestraszone owce, zaganiając je do zagród, a owczarki ujadały jak oszalałe, biegając tam i z powrotem.

Gdy Hugh zatrzymał powóz, podjechał do niego mężczyzna na koniu.

– Dzięki Bogu, że wróciłeś, Hugh – powiedział. – Mamy poważne kłopoty... – Zamilkł na widok Joanny.

– To jest panna Drury, Bill – przedstawił ją Hugh, wysiadając z powozu. – Panna Drury zgodziła się zaopiekować chłopcem. A to jest Adam. O jakich kłopotach mówisz, Bill?

Jeździec jeszcze przez chwilę zatrzymał wzrok na Joannie.

– Stwierdziliśmy wszawicę w stadzie skopów.

– Przecież przed moim wyjazdem zwierzęta były czyste!

– Nie ma co do tego wątpliwości, Hugh. Owce mają charakterystyczne owrzodzenia i

została zaatakowana wełna.

– Kiedy to odkryliście?

– Jakies pięć dni temu. Larry Sznurek uważa, że wszy przeniosły się z merynosów, które kupiłeś w ubiegłym miesiącu w Nowej Południowej Walii, ale ja nie jestem tego pewien. Osobiście badałem te zwierzęta i mógłbym przysiąc, że nie były zawszone. Zachodzę w głowę, co się mogło stać przyczyną choroby.

Hugh skinął na chłopaka, który podkuwał konie przed stajnią.

– Czy schorzenie bardzo się rozprzestrzenia? – zapytał Billa.

– Nie potrafię tego jeszcze powiedzieć. Jeśli dopisze nam szczęście, skończy się na skopach.

– To i tak co najmniej jedna czwarta naszej strzyży. A co z kotnymi owcami?

– Lany Sznurek i jego ludzie właśnie je badają. Hugh dosiadł konia, którego przyprowadził mu stajenny.

– Czy jest szansa na uratowanie wełny przed przybyciem postrzygaczy?

– Wątpię.

Hugh zwrócił się do Joanny, która nadal siedziała z Adamem w powozie:

– To jest Bill Lovell, zarządca mojej farmy, panno Drury. Pani wybaczy, ale będę musiał pojechać razem z nim zbadać owce. Proszę wejść do domu i się rozgościć. Każę ludziom przynieść wasze bagaże. Jeśli macie ochotę coś zjeść, idźcie do kuchni. PingLi was nakarmi.

Joanna zamierzała coś powiedzieć, ale Hugh już zawrócił konia, puścił się galopem przed siebie i zniknął w gęstwinie.

– No cóż, Adamie – rzekła, zsadzając chłopca na ziemię. – Wygląda na to, że...

– Owce! – zawołał niespodziewanie dzieciak, wskazując zagrodę, gdzie kilku mężczyzn zmagало się z baranem.

– Tak, Adamie, to są owce – przytaknęła. Pragnęła, by chłopiec mówił dalej. – Ale teraz lepiej nie przeszkadzajmy tym ludziom, zgoda? Chodźmy najpierw obejrzyć dom.

Trzymając Adama za rękę, minęła podwórze i skierowała się do wskazanej przez Hugh'a chaty. Gdy przechodziła obok stajni, młody mężczyzna w skórzanym fartuchu przerwał podkuwanie konia i jawnie otaksował ją wzrokiem. Również inny stajenny spojrzął w jej stronę, na moment odwrócił oczy, lecz zaraz znowu się za nią obejrzał. Gdy podeszli do prymitywnej, zbudowanej z okrągłaków chałupy, Adam się ożywił. Pociągnął Joannę za rękę.

– Rzeka! – zawołał, wskazując w kierunku drzew za domem.

Spojrzała w stronę lasu graniczącego z północnym krańcem obejścia gospodarskiego, gdzie przed chwilą zniknął Hugh z zarządcą, i dostrzegła połyskującą pomiędzy gałęziami wodę.

– Możemy tam pójść, Adamie, jeśli chcesz – rzekła uszczęśliwiona, że chłopiec nieoczekiwanie przejawia oznaki radości.

Ruszyli biegnącą za chatą ścieżką, minęli las i doszli do odległych drzew. Gdy przedarli się przez gęstwinę, ich oczom ukazał się urzekający widok.

Stali w miejscu rozgałęzienia się rzeki, której odnoga tworzyła duże zakole. Otaczała ich symfonia dźwięków: plusk wody, szelest chłodnego wiosennego wiatru poruszającego



gałęziami akacji i eukaliptusów, bzykanie owadów. Joanna była oczarowana urodą otaczającej ją przyrody i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że znalazła się w raju. Majestatycznie wznoszące się stare drzewa gumowe tworzyły na nieruchomej tafli pomarańczowo-białe odbicia. Akacje eksplodowały tysiącem jaskrawożółtych kwiatów. A czarnobiały miodojad, poprząkowany błyszczącymi niebieskimi piórkami, przysiadł na zwisającej nisko gałęzi i przekrzywił łepkę na boki.

„Jak tu cudownie!” – pomyślała Joanna.

Przypomniała sobie plantację herbaty w Indiach, którą zwiedziła kiedyś z rodzicami. Tam budynek mieszkalny stał z dala od miejsc, gdzie wrzało od pracy – na wysokim wzgórzu, wśród drzew i zielonej trawy. Szkoda, że dom w Merindzie nie został zbudowany przy samej rzece, tylko obok hałaśliwego obejścia gospodarskiego.

Usłyszała plusk, a chwilę później Adam podbiegł na brzeg rzeki. Położył się na ziemi i zanurzył ręce w wodzie.

– Bądź ostrożny! – zawołała za nim Joanna, ale ku jej zdziwieniu chłopiec roześmiał się głośno.

– Dziobak! – krzyknął, rozpryskując dłońmi wodę. Joanna przyglądała się Adamowi w oszołomieniu, gdyż śmiech go odmienił. Jego policzki nabrały lekkich rumieńców, a spod oczu zniknęły niedawne cienie.

– Dziobak – powtórzył.

Lustrzana tafła ponownie się poruszyła i wynurzyło się z niej dziwaczne stworzenie o wyglądzie ni to bobra, ni to kaczki. Adam zapiszczał z uciechy i klasnął w dłonie.

„To zaczarowane miejsce” – pomyślała Joanna.

– Panno Drury! Co pani tutaj robi!

Obejrzała się i zobaczyła Hughę. Patrzył na nią z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Chcieliśmy zobaczyć rzekę – wyjaśniła.

– Obawiam się, że tu, przy billabongu, jest niebezpiecznie. Tym bardziej że nie zna pani drogi powrotnej przez las.

– Przy billabongu?

– Tak. W ten sposób Aborygeni nazywają starorzecze.

– Och, rozumiem – rzekła Joanna i zaraz dodała: – Tu jest pięknie.

– Tak, przyznaję. Zamierzam wybudować tutaj dom. Frontowe drzwi będą znajdowały się mniej więcej tu, gdzie stoimy. Ale jeszcze nie rozpocząłem budowy.

– Jak będzie wyglądał? – spytała, nie spuszczać z oczu Adama, który ściągnął buty i skarpety, a teraz, siedząc na brzegu, przebierał nogami w wodzie.

– Myślałem o zaprojektowaniu go w stylu typowym dla architektury Queenslandu, lecz Paulina, która wkrótce będzie moją żoną, marzy o domu, jaki zobaczyła w jednym z magazynów. Przeczytała artykuł o odbudowie Południa Stanów Zjednoczonych po zakończeniu działań wojennych i zafascynowała ją olbrzymia rezydencja z białymi kolumnami w Georgii, zwana Plantacją Wierzb. Na szczęście udało mi się znaleźć w Melbourne amerykańskiego architekta, który potrafi sprostać temu zadaniu.

– Wspaniale – rzekła Joanna. – Pewnie jest pan bardzo podekscytowany planami budowy.

– Tak – odparł Hugh, dostrzegając szczególny sposób, w jaki skupiały się wokół Joanny promienie słońca. Po pięciu dniach podróży wciąż wyglądała schludnie. Tylko spod spinek przytrzymujących włosy wymknęło się kilka kosmyków. Hugh uświadomił sobie, że chciałby jej coś powiedzieć, ale sam nie wie co.

Podeszła do częściowo zburzonych i sięgających jej do pasa kamiennych ścian.

– Co to jest? – spytała.

– Ruiny. Wiele lat temu żyli tutaj ludzie.

– Czy to jedno z tych świętych miejsc, o których pan kiedyś wspominał?

– Być może. Nie jesteśmy tego pewni. Tylko mężczyźni-pieśni potrafią, patrząc na drzewo lub skałę, stwierdzić, czy zostało stworzone przez przodka w Czasach Snu.

– A jeśli tak było w przypadku tego domu, czy to miejsce nadal jest święte?

– Tubylcy wierzą, że cokolwiek się kiedyś zdarzyło w świętym miejscu, wciąż w nim trwa i każde naruszenie jego spokoju jest równoznaczne z zakłóceniem przeszłości.

– Czy pastwiska po drugiej stronie rzeki też należą do Merindy?

– Nie, to tereny farmy Kilmarnock, której właścicielem jest Colin MacGregor.

– Tak tu zielono i uroczo – zauważyła Joanna, lecz zaraz umilkła zdumiona. Opodał, pomiędzy drzewami, stał nieruchomo mężczyzna i w milczeniu się jej przyglądał. – Czy zna pan tego człowieka, panie Westbrook?

Hugh spojrział w kierunku lasu.

– To Ezekiel, stary tubylec, o którym już wspominałem. Zatrudniam go czasami. Jest jednym z ostatnich przedstawicieli swojego pokolenia. Pamięta czasy poprzedzające przybycie na ten kontynent białego człowieka. Jeśli chce się pani dowiedzieć czegoś więcej o legendzie związanej z Merindą, najlepiej zwrócić się do niego.

Joanna nie mogła oderwać oczu od starca, który niespodziewanie zjawił się nad brzegiem rzeki, jak gdyby zmaterializował się z czerwono-brązowej gliny. Był ubrany w spodnie i w koszulę, ale nie miał butów, a siwe włosy i broda sięgały mu niemal do pasa. Stał zbyt daleko, by mogła zobaczyć jego oczy, lecz czuła na sobie ich przenikliwe spojrzenie.

– Dlaczego on tak dziwnie na mnie patrzy? – spytała Hugh.

– Widok kobiety w Merindzie jest dla niego czymś niezwykłym. Poza tym stoimy blisko ruin. Zawsze pilnie strzeże dawnych miejsc kultu.

Przenikliwy wzrok starca wytrącił Joannę z równowagi, na szczęście podbiegł Adam i zaabsorbował ją czym innym.

– Spójrzcie! – Chłopiec otworzył dłonie, w których ukrył pasikonika.

– Całkiem przystojny jegomość – zauważyła Joanna. – Adamie, powiedz: konik polny.

Hugh, przyglądając się Joannie, pomyślał o swojej młodości i samotnym życiu na pustkowiu, gdzie człowiek całymi tygodniami nie spotykał żywej duszy. Gdy jako dwudziestoltni mężczyzna kupił Merindę, nie miał czasu na przyjęcia i pikniki, gdyż bez reszty oddał się budowaniu farmy. Przez te wszystkie lata jego kontakty z kobietami ograniczały się do wizyt w domu publicznym w St. Kilda. A potem poznał Paulinę, kobietę niepodobną do żadnej ze spotkanych wcześniej. Pewnego deszczowego popołudnia rozbudziła go swoim namiętym pocałunkiem.

Podziwiał w Joannie urodę i umiejętne postępowanie z chłopcem, ale jednocześnie wydała mu się zupełnie bezbronna. Pomyślał o wspólnie spędzonych w drodze dniach oraz o wieczorach przy ognisku i ze zdumieniem odkrył, że jest przygnębiony z powodu kresu ich podróży.

Zdał sobie też sprawę, że po zbadaniu owiec z Billem Lovellem nie pomyślał o odwiedzeniu czekającej na niego w Lismore Pauliny, tylko pragnął jak najszybciej odszukać Joannę.

– Robi się późno – zauważył. – Odprowadzę panią i chłopca do domu.

– Wypuść konika polnego – zwróciła się do Adama Joanna. A gdy ruszyli w drogę powrotną, obejrzała się w stronę drzew. Ezekiel wciąż stał nad rzeką i nie odrywał od niej oczu.

Tak jak uprzedzał Hugh, wyposażenie chaty było bardzo skromne. W jednym kącie znajdowało się łóżko, w drugim kominek, a pośrodku stół. Ale Joannie w zupełności to wystarczało, tym bardziej że nie przewidywała długiego pobytu w Merindzie.

Hugh zostawił ją samą z Adamem. Oznajmił, że musi zbadać jeszcze inne stada, a potem wybiera się do Lismore. Joanna wspólnie z Adamem rozpakowała swój kufer, a potem posadziła chłopca przy kominku z zabawką, którą odziedziczyła po matce. Śmieszna maskotka zrobiona z futra kangura była jedną z nielicznych rzeczy, jakie czteroletnia Emily przywiozła ze sobą z Australii. Parobek, zwany Lanym Sznurkiem, przyniósł Joannie wodę do kąpieli i polana do kominka. Wyjaśnił ze śmiechem, że przezwisko przyłgnęło do niego nie z powodu jego wysokiej i chudej sylwetki, lecz dlatego że kiedyś usiłował przejść po linie rozciągniętej pomiędzy dwoma słupkami parkanu i wpadł twarzą w błoto. Joanna wykapała Adama i razem zjedli przyslaną z kuchni kolację, którą po obozowym wikcie powitali z radością. Składały się na nią befsztyki jagnięce, fasola, świeżo upieczony chleb, a także kubek mleka dla Adama oraz filiżanka herbaty dla Joanny.

W końcu Adam zasnął. Dzisiejszej nocy miał dzielić łóżko z Joanną, gdyż drugie obiecano wstawić nazajutrz. Chłopiec leżał na boku zwinięty w kłębek, trzymając w objęciach futrzaną zabawkę, której mała Emily nadała imię Rupert.

Było późno. Nad domem zapadła już noc, a o blaszany dach zaczęły stukać krople wiosennego deszczu. Joanna zdjęła podróżny strój, wykapała się, włożyła nocną koszulę i rozczesała włosy. A potem pochyliła się nad porozkładanymi na stole rzeczami, oświetlonymi ciepłym blaskiem oliwnej lampy.

Rozwinęła mały tobołek. Steward, zostawiając pod jej opieką Adama, oświadczył, że chłopiec miał to przy sobie, gdy wsiadał na statek w Adelajdzie. Joanna spodziewała się znaleźć w środku buty oraz kilka zabawek, lecz ku jej zdumieniu wewnątrz zawiniątka z kawałka koca znajdowała się oprawiona w czarną skórę Biblia, grzebień z kości słoniowej, złożona chusteczka i, najdziwniejsze ze wszystkiego, nie używana ścierka do naczyń z nadrukiem Devon, Anglia. Joanna otworzyła Biblię na stronie: „Rejestry rodzinne”. Widniały tam cztery adnotacje: „10 września 1865 roku Joe i Mary Westbrook zawarli związek małżeński”, „30 stycznia 1867 urodził się Adam Nathaniel Westbrook”, „12 lipca 1867 zmarł na gangrenę Joseph Westbrook”, „We wrześniu 1871 roku zmarła na zapalenie płuc Mary

Westbrook”.

Wewnątrz Pisma Świętego znajdowała się owinięta w chustkę cienka złota obrączka.

Joanna spojrzała na Adama, którego zamknięte powieki drgały w niespokojnym śnie, i pomyślała: „Tylko te pamiątki będą mu przypominały matkę – obrączka, kilka dat w Biblii, ścierka do naczyń z Devonu i grzebień z kości słoniowej”.

Sięgnęła po dziennik lady Emily. Przez długą chwilę trzymała notatnik w dłoniach, nim zdecydowała się go otworzyć.

Sprawiła jej przyjemność dotykanie bogatej skórzanej oprawy. Wyobrażała sobie, że zawarte w pamiętniku koleje losu matki tchnęły w niego życie. Zawierał również wspomnienia z przeszłości Joanny. Pomyślała o swoim szczęśliwym, niewinnym i zachwycającym świecie dzieciństwa, kiedy to wyobrażała sobie, że jej matka jest księżniczką o delikatnej i jasnej karnacji, która swoim wyglądem przywodzi na myśl białe pawie przechadzające się po nienagannie utrzymanych trawnikach rezydencji wicekróla. A swojego ojca, pułkownika, który nosił wysoki hełm i zawadiacki mundur z mosiężnymi guzikami oraz wypolerowane do połysku buty, zwykła wtedy uważać za władcę Indii. Był szarmancki i szlachetny, niczym bohaterowie bajek, ale małej Joannie najbardziej imponowała jego bezgraniczna miłość do żony.

Petronius Drury dorastał wśród ludzi, którzy zachowywali się i odzywali w wyważony sposób, kierowali się w życiu zasadami etyki i przestrzegali prawa własności. Uczucie, jakim pułkownik darzył swoją żonę, było wprost legendarne. Joanna niejednokrotnie słyszała uwagi: „Jakie szczęście w życiu ma Emily, Petronius jest jej bezgranicznie oddany...” „Nigdy nawet nie spojrz na inną kobietę...”, „Chciałabym, żeby mój Andrew był do niego podobny”.

Joanna przypuszczała, że właśnie z tego powodu ojciec nie potrafił żyć po śmierci żony.

Otworzyła dziennik i zaczęła czytać w świetle lampy.

Ze stron poświęconych wczesnym latom małżeństwa emanowało podniecenie i zachwyt. Znajdowały się tam opisy balów w pałacach i wizyt hinduskich księżniczek, recepty na ziołowe leki oraz ustępy odzwierciedlające filozoficzne nastroje lady Emily. W wieku dwudziestu czterech lat napisała: „Możesz, jeśli musisz”, a gdy miała trzydzieści lat, zanotowała: „Optymizm dodaje sił”. Dziennik zawierał też uwagi dotyczące mody: „Angielskie damy zwykły nosić sari narzucone na krynoliny”, oraz obyczajów: „Współczułam biednej pannie młodej, która zabrała głos przed żoną starszego rangą oficera, nie czekając na swoją kolej”. Tak matka Joanny prowadziła dziennik przez dziewięć lat, potem zaczęła pisać o innych sprawach.

Było to trzynaście lat temu. Lady Emily nadmieniła, że wypadają akurat szóste urodziny córki: „Urządziliśmy przyjęcie, na które zaprosiliśmy dwanaścioro dzieci wraz z rodzicami”. Od tego momentu pisała o prześladowających ją sennych koszmarach.

„Majaki powróciły – zanotowała na następnej stronie. – Nie nękały mnie od czasów dzieciństwa. Sądziłam już, że zdołałam uwolnić się od nich na dobre. A jednak znowu się powtórzyły – dziki pies na nowo mnie ściga, a olbrzymi wielobarwny wąż usiłuje mnie pożreć. Petronius twierdzi, że budzę się z krzykiem. Gdybym tylko mogła sobie cokolwiek

przypomnieć! Przeczuję, że w teczce mojego ojca znajduje się klucz do zagadki, lecz nie mam odwagi jej otworzyć. Dlaczego?”

W kominku syknął płomień. Adam krzyknął przez sen, ale się nie przebudził.

Joanna natknęła się na uwagę pochodzącą sprzed dziewięciu miesięcy: „To dziwne, ale wstrząs spowodowany pojawieniem się wściekłego psa pobudził moją pamięć. We wspomnieniach jak refren piosenki przewija się nazwa Karra Karra. Podejrzewam, że to miejsce ma dla mnie doniosłe znaczenie. Czyżbym się tam urodziła? A może właśnie w Karra Karra leży posiadłość moich rodziców? Przypominam sobie też imię Reenadeena, co ja, małe dziecko, wymawiam Reena. Zastanawiam się, czy to imię ciemnoskórej kobiety, o której snię, jak trzyma mnie w ramionach. Ale jest coś jeszcze: niewytłumaczalna pewność związana z Karra Karra, że dawno temu miałam tam pojechać, lecz tak się nie stało, gdyż poplątały się ścieżki mojego życia”.

„Czuję, że tajemnica tkwi zamknięta w mojej pamięci – napisała lady Emily później, gdy już dotknęła ją śmiertelna choroba. – Nie mogę się pozbyć myśli, że muszę ją wydobyć z zakamarków mojego umysłu. Ale nie potrafię! Lekarze twierdzą, że nic mi nie dolega. Wiem jednak, że nie mówią prawdy. Coś mnie zatruwa i jestem zupełnie bezsilna. Martwię się również o Joannę. „

Podczas następnych dni, gdy jeszcze lady Emily mogła pisać, notowała, że w Karra Karra czeka na nią „inna spuścizna”, o którą ma obowiązek się upomnieć. Opanowywała ją coraz większa trwoga, że jakaś siła z przeszłości usiłuje ją zniszczyć. Na ostatniej stronie napisała: „Przestałam się już lękać o siebie, lecz boję się o Joannę. Przypuszczam, że to, co się teraz upomniało o moje życie, nie skończy się wraz z moją śmiercią. Przeraza mnie myśl, że moja córka to również odziedziczy”.

Nagle od strony okna dobiegł jakiś szmer. Zaskoczona Joanna podniosła wzrok. Zobaczyła zaglądającą do środka ciemnoskórą twarz z ogromnymi oczami. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to twarz młodej Aborygenki. Wstała i podeszła do drzwi, ale gdy tylko je otworzyła, dziewczyna prędko zbiegła po schodach werandy.

– Zaczekaj! – zawołała za nią Joanna. – Nie uciekaj! Wróć! Rzuciła się za nią w pogoń i wpadła na Hugh'a.

– Co się stało? – spytał, chwytając ją w ramiona.

– Och, bardzo pana przepraszam, panie Westbrook. Biegłam na oślep!

– Nie widzi pani, że pada deszcz, panno Drury? – zapytał ze śmiechem.

Pospiesznie schronili się pod dachem werandy.

– Przepraszam, że zderzyłam się z panem. Zobaczyłam w oknie dziewczynę i chciałam z nią porozmawiać, ale uciekła.

– To Sara – wyjaśnił Hugh. – Chrześcijańska misja w pobliżu Cameron Town zabiega o zatrudnianie Aborygenek w większych posiadłościach, aby uczyły się domowych robót. Sara ma czternaście lat i przypuszczam, że musi być bardzo zaintrygowana pani osobą. Przykro mi, jeśli panią przestraszyła. Szedłem właśnie, żeby zapytać, czy czegoś pani nie potrzebuje.

– Nagle uświadomił sobie, że Joanna jest w koszuli nocnej, i przeszył go dreszcz – bolesne, zaskakujące ukłucie pożądania.

– Dziękuję, panie Westbrook. Niczego nam z Adamem nie brakuje – rzekła Joanna, podobnie jak on dopiero teraz zdając sobie sprawę ze swojego skąpego odzienia. – Czy wejdzie pan do środka?

– Nie, nie mogę. Wybieram się do Lismore. Dopiero co skończyłem badanie stada.

– I co z owcami?

Odwrócił wzrok, ogłuszony podnieceniem, jakie go ogarnęło.

– Obawiam się, że nie najlepiej – odparł. – Dochody z farmy owczej są uzależnione od wielkości rocznej strzyży wełny. Rozszerzenie się wszawicy będzie oznaczało kłopoty finansowe. Nie potrafimy znaleźć przyczyny choroby. Nie wiadomo, skąd się pojawiła. Ale najbardziej zdumiewające jest to, że tylko stada w Merindzie są nią dotknięte.

Nie powiedział jej wszystkiego. Gdy badał owce, podszedł do niego Ezekiel i stał dopóty, dopóki Hugh go nie zapytał, czy czegoś nie potrzebuje. I wtedy starzec go ostrzegł, że widzi wokół Joanny nieszczęście. Nie potrafił lub nie chciał wyjaśnić jego przyczyny.

– Rano pojedzie pani z jednym z moich ludzi do Cameron Town po ubranie dla Adama, a także po niezbędne rzeczy dla siebie – ciągnął Hugh. – Mam tam otwarte rachunki w kilku sklepach. Dam pani list polecający do tamtejszego prawnika, który jest moim przyjacielem. Chcę, żeby obejrzał pani akt własności i stwierdził, czy potrafi pani pomóc. – Ponownie spojrzał na Joannę, zatrzymując wzrok na jej długich włosach, i poczuł narastające, dziwne ukłucie bólu. Miał wrażenie, że nagle przestał panować nad sobą. Chciał odejść, lecz jednocześnie nie miał na to ochoty.

– Chętnie pojechałbym razem z panią, ale jestem potrzebny na farmie.

– Rozumiem – rzekła. – Dziękuję panu.

– Czy już zdomowiliście się trochę z Adamem? Wiem, że warunki życia są tutaj bardzo surowe...

– Jest nam bardzo dobrze, dziękuję.

– Jeden z moich ludzi wstawi jutro drugie łóżko. A ja oprowadzę panią i Adama po farmie. Mamy kilka młodych jagniąt i jestem pewien, że chłopiec chętnie je zobaczy.

Umilkł i spojrzał jej w oczy, walcząc z pragnieniem, które dopiero co się w nim zrodziło. Starał się je zagłuszyć i odepchnąć od siebie. Pomyślał o Paulinie, która wkrótce miała zostać jego żoną, i o tym, jak namiętnie wyznawała mu miłość.

– Dobranoc – powiedział i wycofał się w ciemność i w deszcz.

Joanna weszła do chaty, cicho zamykając za sobą drzwi.

Najpierw spojrzała na Adama, a potem wróciła do stołu i do zagadki, którą próbowała rozwikłać.

Trzydzieści siedem lat temu jej matka została odebrana rodzicom i odstawiona do ciotki mieszkającej w Anglii zjedną tylko zabawką i ze skórzaną teczką. Bez wątplenia ucieczka była zorganizowana w pośpiechu, co świadczyło o groźącym niebezpieczeństwie. A fakt, że razem z dziewczynką wysłano teczkę, oznaczał, że komuś zależało na ocaleniu jakichś dokumentów. Joanna odpięła srebrne sprzączki i wyjęła plik papierów.

Ciotka Millicent powiedziała tylko tyle, że małą Emily przywiózł angielski kapitan, który odebrał ją ze statku handlowego w Singapurze. Matka Joanny nie pamiętała nic z

długiej podróży. Sięgała pamięcią tylko do czasów, gdy bawiła się u ciotki w ogrodzie. Dopiero w dniu ślubu z Petroniusem dostała od ciotki teczkę z dokumentami. Wspomnienia wzbudziły w niej tak wielkie przerażenie, że po przyjeździe do Indii natychmiast ukryła teczkę gdzieś głęboko.

Joanna utkwiała oczy w stu kartkach rozłożonych przed sobą na stole i zapisanych nieznanym pismem. Nawet litery nie pochodziły z angielskiego alfabetu, lecz były rzędami tajemniczych symboli...

„Co to za dokumenty? – zastanawiała się Joanna. – Dlaczego zostały powierzone małej dziewczynce, którą odebrano rodzicom? I co mogą mieć wspólnego z Australią oraz z podróżą, którą pragnęła odbyć matka? Czy gdzieś pomiędzy dziwnymi znakami znajduje się wyjaśnienie lęków lady Emily, jej snów o dzikich psach, o węzach, o przeszłości i przyszłości?”

Joanna zaczęła powoli przeglądać stronicę, lecz napotykała tylko zagadkowe znaki. Informacje najwyraźniej zostały zakodowane. Co to był za szyfr, kto go wymyślił i w jakim celu?

Zaczął ją morzyć sen. Nie miała teraz siły łamać sobie nad tym głowy.

Skręciła płomień lampy i weszła do łóżka ostrożnie, żeby nie zbudzić Adama. Gdy położyła głowę na poduszce, dobiegł ją znajomy zapach, który natychmiast przywiódł jej na myśl Hugh'a Westbrooka. Poczowała silną woń kremu do golenia pomieszaną z delikatnym aromatem mydła do rąk i ledwo wyczuwalnymi śladami tytoniu, wełny i czegoś jeszcze. Zdumiała ją własna reakcja na tę nieoczekiwaną intymność. Odkryła, iż podniecają myśl o tym, że leży w miejscu, gdzie zwykle sypiał Hugh. Ogarnęło ją dziwne i nowe uczucie, którego przedsmak poznała mgliście, tańcząc w ramionach przystojnego młodego oficera.

Starła się nie myśleć o Hughu ani o zmarszczce pomiędzy brwiami, pogłębiającej się, ilekroć się nad czymś zastanawiała. Próbowwała odsunąć od siebie wspomnienia o jego niespodziewanych wybuchach śmiechu, o nawyku częstego zdejmowania kapelusza i przeczesywania dłonią włosów, o pomocnym uścisku jego dłoni w chwili wysiadania z powozu i o ostatnim spotkaniu, gdy wybiegła na deszcz, a on ją chwycił w objęcia.

Odczuwała senność, kiedy kładła się do łóżka, lecz teraz była całkiem rozbudzona. Zdradziło ją własne ciało i myśli, które wracały do Hugh'a. Zastanawiała się, co czułaby, gdyby teraz był tutaj razem z nią.

Przywołała się do porządku. Hugh miał się wkrótce ożenić. A ona przyjechała do Merindy tylko po to, żeby pomóc Adamowi przystosować się do nowego otoczenia i ustalić miejsce, od którego mogłaby rozpocząć poszukiwania. Absurdem było snucie fantazji o Hughu Westbrooku. Skupiła się na powodach swojej podróży do Australii: przybyła tu, żeby odnaleźć swoje dziedzictwo, które zdaniem matki czekało na nią w Karra Karra – i położyć kres snom.

Lecz jej myśli i tak w końcu podążyły za Hughiem.

## ROZDZIAŁ 5

– Vilma Todd przechwała się, że cię zniszczy, Paulino – rzekła Louisa Hamilton, przyglądając się z zazdrością włosom przyjaciółki.

Paulina Downs uchwyciła w lustrze odbicie stojącej za swoimi plecami Louisy i wybuchnęła śmiechem.

– Vilma nie odważy się wyzwać mnie na pojedynek, moja droga.

Siedziały w sypialni Pauliny i Louisa, patrząc na pokojówkę, która układała przyjaciółce włosy, sięgnęła dłonią do własnej wypracowanej fryzury, jak gdyby chciała się upewnić, że każdy kosmyk znajduje się na swoim miejscu.

Zgodnie z wymogami najnowszej mody włosy należało związywać w skomplikowany węzeł, który dziwacznie odstawał trzydzieści centymetrów z tyłu głowy. Kapelusz w związku z tym był bardziej nasunięty na czoło i niemal opadał na brwi. Jednak nie wszystkie kobiety szczyły się na tyle bujnymi puklami, by robić fryzurę z własnych włosów, i zwykle upinały koki na ukrytych drucianych konstrukcjach oraz poduszczkach. Louisa Hamilton znajdowała się w tej szczęśliwej sytuacji, że miała bogatego i hojnego męża, który kupił jej prawdziwą treskę. Powszechnie szanowany importer zapewnił Louise, że nie są to włosy zmarłej w szpitalu pacjentki ani zubożałej prostytutki pragnącej zdobyć środki do życia, lecz młodej nowicjuszki wstępującej do katolickiego zakonu. Olbrzymi kok Louisy był powodem jej radości i dumy, która jednak nie trwała długo: przyglądając się bowiem, jak platynowe sploty Pauliny śmigają niczym wstążki w rękach Elsie, miała świadomość, że to własne włosy przyjaciółki.

Po raz drugi poczuła ukłucie zazdrości, gdy Paulina zrzuciła szlafrok i pokojówka zaczęła ją odziewać w noszone pod sukienką turniury i halki. Louisa przypomniała sobie, że przed siedmioma laty, zanim wyszła za męża i urodziła sześcioro dzieci, była równie wąska w talii. Teraz jednak, w wieku dwudziestu pięciu lat, miała wygląd korpulentnej matrony i musiała uciekać się do przesadnie ciasnych gorsetów, a czasami nawet do morfiny, by uśmierzyć ból spowodowany zbyt mocnym ściągnięciem sznurówek.

Gdy Elsie zapinała niezliczone drobne guziczki z tyłu szarej jedwabnej kreacji Pauliny, Louisa dostrzegła własne odbicie w lustrze i miała ochotę czymś w nie rzucić. Wyglądała jak typowa, tęga żona hodowcy bydła – odpychająca kobieta, której jedynym celem w życiu było trwonienie pieniędzy męża i rodzenie dzieci. Zaraz jednak ogarnęło ją poczucie winy. Własne myśli czasami ją przerażały.

– Słyszałam, Paulino, że Vilma Todd trenowała przez całą zimę – stwierdziła, odwracając się tyłem do swojego odbicia. – Nie jesteś tym ani trochę zdenerwowana?

– Jeśli kiedyś dam się zastraszyć komuś takiemu jak Vilma Todd, w tym samym dniu możesz mnie skreślić z listy swoich przyjaciół, Louiso. Ona nie ma ze mną szans na strzelnicę. Nikt nie pokonał mnie przez cztery lata i zamierzam zatrzymać tytuł również w piątym roku.

Paulina cieszyła się skrycie, że Vi Ima będzie z nią konkurować w letnich zawodach



łuczniczych. Była znakomitą łuczniczką i Paulina wiedziała o jej intensywnym treningu. Zapowiadała się wspaniała walka. Jakież zadowolenie mogło dawać współzawodnictwo, jeśli przeciwnicy nie dorównywali sobie poziomem? Paulina uważała, że im sprawniejsi są konkurenci, tym więcej zabawy dostarcza sport.

– Nie mam pojęcia, jak ty to robisz – rzekła Louisa. – Ja staję się nerwowa nawet wtedy, gdy zgłaszam jeden z moich wypieków do konkursu ciast na dorocznym pokazie hodowców bydła. A gdybym kiedyś przypadkiem wygrała, chyba przez tydzień bym chorowała i nie wstawiała z łóżka!

– Dzięki rywalizacji czuję, że żyję, Louiso – wyznała Paulina, uważnie przyglądając się sobie w lustrze. – Zwycięstwo jest dla mnie wszystkim; stanowi bodziec i największą zachętę. Każdy głupiec może przegrać albo wycofać się z zawodów. Wygrać to znaczy uprawomocnić swoje istnienie.

Paulina uważała nieraz, że rywalizacja ma związek z seksem bez względu na to, czy dotyczy konkurowania z innymi ludźmi, tak jak to było w jej przypadku, czy też zmagania z naturą, tak jak w przypadku Hugh'a Westbrooka. Właśnie jego siła i waleczność najbardziej ją ujęły, gdy przekonała się, że nawet liczne niepowodzenia nie są w stanie powstrzymać go przed założeniem farmy w Merindzie. Determinacja, z jaką dążył do osiągnięcia celu, była imponująca. Paulina zawsze wiedziała, że pokocha tylko człowieka walczącego i wygrywającego. Inni ludzie upijali się winem, ona – zwycięstwami.

„A nawet drobnymi powodzeniami – pomyślała, modelując na głowie kapelusz – jak na przykład zmiana zdania Hugh'a na temat opiekunki, którą przywiózł z Melbourne. „Zaproponowała mu, żeby chłopiec zamieszkał w Lismore. Hugh oświadczył jednak, że woli, by zostało tak, jak ustalili. Paulina przewidywała, że będzie się upierał, lecz jednocześnie była pewna, że to ona w końcu postawi na swoim i panna Drury będzie musiała odejść.

Gdy przyjaciółka nagle westchnęła, Paulina spojrzała na nią i zapytała:

– Mam niejasne przeczucie, Louiso, że przyjechałaś nie po to, by mi powiedzieć o Vilmie Todd. O co chodzi?

– Jak widzę, wybrałam niewłaściwą porę. Szykujesz się do wyjścia.

Paulina dała znak pokojówce, by opuściła sypialnię, potem usiadła obok Louisy na łóżku.

– Zdradź, co cię sprowadza. Może zdołam ci w czymś pomóc.

– Niestety, nie będziesz mogła – odparła Louisa, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Wydaje mi się... że jestem w ciąży.

– Ależ droga Louiso! Przecież to nie powód do płaczu.

– Tak sądzisz? Dopiero co urodziłam Persephone, a teraz będę chodzić z następnym dzieckiem! Co ty możesz o tym wiedzieć! Nie znasz się na łóżkowych sprawach.

Sprawy łóżkowe! Paulina westchnęła. Właśnie zakosztowania tych doświadczeń nie mogła się doczekać. Znowu pomyślała o Hugh'u i o tym, jak zjawił się trzy dni temu po podróży z Melbourne. Zdążyła zaledwie wprowadzić go do salonu i zamknąć drzwi, gdy nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona i pocałował. Pod wpływem niespodziewanego i namiętnego pocałunku Paulinie zakręciło się w głowie. Gdyby Hugh się wtedy nie opamiętał, z pewnością posunęliby się jeszcze dalej, a ona nie musiałaby dzisiaj z

niecierpliwością wyczekiwać na poznanie zachwycających tajemnic nocy poślubnej. Ale chociaż Hugh postąpił, jak przystało na dzentelmena, Paulina wyczuła w nim napięcie i kipiącą energię. Sama też była podniecona.

– Nie masz pojęcia, jak to jest – mówiła dalej Louisa, przykładając chusteczkę do oczu. – Miles jest taki wymagający. Czasami udaję, że śpię, byleby tylko zostawił mnie w spokoju.

– Czy nie możesz o tym z nim porozmawiać?

– Porozmawiać z nim? Ależ on nie porusza przy mnie nawet tematów związanych z hodowlą bydła, a co dopiero mówić o roztrząsaniu osobistych spraw. Wiesz dobrze, że jest bardzo zasadniczy.

– Wiem – przyznała Paulina, zastanawiając się, dlaczego przyjaciółka poślubiła mężczyznę tak sztywnego i nadętego. Gdy siedem lat temu Miles Hamilton pocałował Louise przed ołtarzem, Paulina pomyślała, że minę ma kwaśną jak po zjedzeniu cytryny. Ale nie mogła jakoś wyobrazić sobie, żeby był wymagający w łóżku.

– Jestem bardzo nieszczęśliwa, Paulino. Nie wiem, jak zdołam to wszystko dłużej znosić.

Paulina zaczęła żałować, że przyjaciółka złożyła jej wizytę. Nie cierpiała obnoszenia się ze swoimi uczuciami, uważała takie zachowanie za godne politowania i w złym guście.

– Musisz nauczyć się panować nad sobą, droga Louiso. Płacz nie poprawi twojej sytuacji.

– Łatwo ci radzić. Zaczekajmy, aż sama będziesz po ślubie. Wtedy zmienisz zdanie.

– Nie mam zamiaru dopuścić do tego, by moje życie uległo zmianie z powodu małżeństwa. Z pewnością nawet jako mężatka będę sama decydować o sobie. Ty też postaraj się być panią siebie. Niewątpliwie to jest jakieś rozwiązanie, Louiso. Musisz tylko spróbować.

Louisa wykręcała w dłoniach chusteczkę i nerwowo rozglądała się po pokoju.

– Usiłowałam sama zadecydować o sobie – oświadczyła ledwo słyszalnym szeptem. – I zrobiłam straszliwą rzecz...

Nie dodała nic więcej. W końcu odezwała się Paulina:

– Dobrze wiesz, moja droga, że cokolwiek powiesz, nigdy nie wydobędzie się poza ściany tego pokoju.

Louisa podeszła do okna i wyjrzała na ogród, który był uważany przez wszystkich za najpiękniejszy w całej kolonii Wiktorii. Zbudowaną w stylu Tudorów rezydencję w Lismore otaczały setki hektarów sadów, rozległe trawniki, jezioro i park z łowną zwierzyną. Dom był oddalony od farmy owczej i sprawiał wrażenie angielskiego dworu w wiejskiej posiadłości. Z miejsca, w którym stała Louisa, widać było wyłożony kamiennymi płytami taras, gdzie Paulina i Frank wydawali przyjęcia. W pobliżu znajdowało się też boisko do gry w krykieta i strzelnica, a w oddali mieszkania służby, drewnitnia, obszerne stajnie i powozownie. Louisa wiedziała, że domem oraz ogrodem Franka i Pauliny zajmuje się pięćdziesięciu służących, a znacznie więcej ludzi pracuje na farmie. Lismore przypominało małe miasto posiadające własny sklep, kowala, kołodzieja, weterynarza i mieszkania dla stałych oraz przyjezdnych robotników. Tego wszystkiego Louisa również zazdrościła przyjaciółce.

„Czy Paulina jest w stanie mnie zrozumieć? – zastanawiała się. – Czy kobieta, która wie, że życie usłane różami, może pojąć, przez co ja muszę przechodzić?”

Louisa wiedziała, że przyjaciółka jest rozpieszczona. Starszy pan Downs, który wiele lat temu pracował w Anglii jako chłopiec stajenny, często opowiadał o goryczy i o licznych zawodach, jakie spotykały go w dzieciństwie. Był kopany jak pies, chłostany bez żadnego powodu i lżony przez bogatych ludzi, ponieważ nie potrafił się sam obronić. Przy każdym razie bata przysięgał sobie, że on też kiedyś stanie się bogaczem i będzie rządził innymi ludźmi. Wyjechał do kolonii, aby zrealizować swoje postanowienie, i na dziesięciu tysiącach hektarów bujnych pastwisk zachodnich równin Wiktorii utworzył świetnie prosperującą farmę owczą. A potem wybudował dom, który był kopią drewnianego dworu w stylu elżbietańskim, gdzie pracował kiedyś jako stajenny. Wyposażył go w najwspanialsze meble, dywany, żyrandole i obrazy, które sprowadził z Anglii, nie licząc się z kosztami.

Paulina żyła w świecie bogactwa i elegancji. Pokoje, do których Louisa została wprowadzona, stanowiły prywatny apartament przyjaciółki. Była tam sypialnia, salon, garderoba oraz łazienka. Louisa przypominała sobie, że szczególnie to ostatnie pomieszczenie wzbudzało wiele komentarzy w okolicy, a architekt, który je zaprojektował, przedstawiał fascynujące opisy tej zdumiewającej sali kąpielowej. W czasach gdy nawet najbogatsze domy nie były skanalizowane, Paulina obstawała przy posiadaniu własnej spłukiwanej toalety i głębokiej wanny, i to tuż obok sypialni! Louisa tak właśnie wyobrażała sobie skrzydło pałacu zajmowane przez Kleopatę. Paulina w typowy dla siebie sposób postępowała wbrew przyjętym zwyczajom. Każdy wiedział, że kąpiele są niewskazane dla zdrowia. Lekarze odradzali zanurzanie się w wannie, powołując się na samą królową, która nie kąpała się częściej niż dwa razy do roku. Paulina przechwalała się jednak, że codziennie przesiaduje w gorącej wodzie, i była zdania, że to najzdrowsza praktyka pod słońcem.

Czy taka rozpieszczona panna mogła mieć pojęcie o męczarniach, przez jakie przechodziła inna kobieta? Louisa czuła się wewnętrznie rozdarta. Nie liczyła na zrozumienie przyjaciółki, ale musiała się komuś zwierzyć. A Paulina była dyskretna.

– Odwiedziłam doktora Fullera w Cameron Town – wyznała w końcu. – Zwróciłam się do niego o radę. Słyszałam, że istnieją... metody zapobiegania tym rzeczom. Winifreda Cameron powiedziała mi, że kobiety w Europie znalazły sposób, aby nie zachodzić w ciążę. Jest to niezgodne z prawem i trzymane w tajemnicy. Nie wolno o tym rozmawiać ani pisać. Pomyślałam jednak, że doktor Fuller jako lekarz... Sądziłam, że on może coś o tym wiedzieć i zechce mi pomóc.

Paulina utkwiała w przyjaciółce oczy.

– I co? Pomógł ci? Louisa pokręciła głową.

– Udzielił mi wykładu na temat boskich praw i obowiązków żony, a potem nastraszył, że powie o mojej wizycie Milesowi. Błagałam go z płaczem, by tego nie robił. Zgodził się pod warunkiem, że wybije sobie z głowy głupie pomysły o próbach zapobiegania kolejnym ciążom. Jestem zrozpaczona, Pauino.

– Co zamierzasz dalej ze sobą począć?

– W mieście jest nowy doktor, David Ramsey...

– Tak, słyszałam o nim od Maude Reed. Ona twierdzi, że jest bardzo dobry.

– Przede wszystkim jest młody, Pauino. Liczę na to, że będzie bardziej liberalny. Mam

zamiar wybrać się do niego. Jestem gotowa na kolana błagać go o tę informację i przystać na każdą zaproponowaną przez niego kwotę. Nie dam za wygraną. Nie chcę skończyć jak moja matka, która umarła, rodząc osiemnaste dziecko w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

– Tak, wiem. – Paulina zastanawiała się, czy rzeczywiście istnieją sposoby, dzięki którym kobieta może sama decydować o swojej płodności. Nigdy przedtem o tym nie myślała. Zawsze wyobrażała sobie przyszłość w otoczeniu pięknych dzieci, swoich i Hugh Westbrooka. Ale problemom porodu oraz nieprzyjemnych doświadczeń związanych z ciążą, takich jak złe samopoczucie i przyrost wagi, nie poświęcała dotychczas wielu myśli, a tym bardziej zagadnieniu regulacji urodzeń. Teraz jednak ten temat szczerze ją zaintrygował. Uznała go za nowe wyzwanie. Nie zamierzała dopuścić, by jakiegokolwiek przeszkody uniemożliwiły jej oddawanie się ulubionym zajęciom, takim jak jazda konna, polowanie czy łucznictwo. A już szczególnie nie chciała podzielić losu Louisy, która jak inne młode żony w okolicy przedwcześnie się postarzała, rodząc co rok dziecko. Paulina postanowiła za wszelką cenę poznać tajemnicę europejskich kobiet.

– Wybacz, Paulino – rzekła Louisa. – Nie przyszedłam tutaj po to, żeby ci psuć przedpołudnie, ale było mi tak smutno, musiałam z kimś porozmawiać.

– Nic nie szkodzi, Louiso. Dobrze się stało, że mi o tym powiedziałaś. Kiedy wybierasz się do doktora Ramseya?

– Muszę znaleźć jakąś wymówkę usprawiedliwiającą wyjazd do Cameron Town. Chyba zaczekam, aż Miles będzie zajęty pakowaniem wełny w bele. – Louisa ponownie westchnęła. – Muszę wracać do dzieci.

– Mamy dziś taki piękny dzień, Louiso. Może pojedziesz razem ze mną do Kilmarnock? Zamierzam złożyć wizytę Christinie.

– Dziękuję, lecz nie będę ci towarzyszyć. Atmosfera Kilmarnock działa na mnie przygnębiająco. Biedna Christina. Wiem, że to nie jej wina, ale jest bardzo męcząca. Nie mam pojęcia, co cię skłania do tych odwiedzin.

– Za kilka miesięcy MacGregorowie staną się moimi sąsiadami. Chcę się z nimi zaprzyjaźnić.

– A ten jej mąż! Colin MacGregor jest wyjątkowo oschły i nudny. Nigdy nie przepuści okazji, by napomknąć, że jego ojciec jest lordem.

Gdy wyszły z pokoju, Louisa spytała:

– Co sądzisz o opiekunce do dziecka, którą Hugh przywiózł z Melbourne?

– Jeszcze jej nie widziałam.

– Bez trudu mogę sobie ją wyobrazić. Zatrudniłszy kiedyś dwie imigrantki, które dopiero co przyplęły statkiem. Nie potrafiły odróżnić widelca od łyżki, że już nie wspomnę o ich prostactwie! Pomimo to i tak są lepszymi służącymi od tubylczych dziewcząt.

Zeszły na parter i znalazły się w holu. Louisa dostrzegła w lustrze odbicie sylwetki swojej i Pauliny. Poczowała kolejne ukłucie zazdrości. Nigdy przedtem nie widziała sukni na turniurze – uznała, że szczupła i wysoka Paulina prezentuje się w niej bardzo korzystnie. Zastanawiała się, jak sama będzie wyglądać w sukni o nowym fasonie. Mierziły ją już ciężkie krynoliny kłębiące się niczym gradowa chmura.

– Na twoim miejscu paliłabym się z ciekawości, Paulino. Sądziłam, że zechcesz pojechać do Merindy, by ją zobaczyć.

Paulina miała pewne wyobrażenie o pannie Drury. Frank powiedział jej, że jest bardzo ładna, lecz niewątpliwie pochodziła ze społecznych nizin i przyjechała z nadzieją znalezienia w koloniach męża. Zdaniem Pauliny w Australii aż roiło się od tego typu kobiet.

– Nie jest nikim ważnym, żebym miała odwiedzać ją w Merindzie. W końcu to przecież tylko wynajęta opiekunka do dziecka, w dodatku na krótki okres. Gdy pobierzemy się z Hughiem, zamierzam zastąpić ją bardziej odpowiednią osobą.

– Pewnie masz na myśli kogoś starszego – zauważyła Louisa.

Paulina wybuchnęła śmiechem.

– Tak, kogoś w znacznie bardziej statecznym wieku.

– Żałuję, że nie jestem tak silna jak ty, Paulino – wyznała Louisa, gdy czekały na powozy.

– Ciebie nic nie zdoła przerazić, prawda? – spytała, wskazując na szklaną gablotę, gdzie były wyeksponowane niektóre z trofeów i nagród przyjaciółki.

Paulina uśmiechnęła się, zdecydowana nie uzewnętrzniać swoich ukrytych obaw i lęków. Wiedziała, że jest uważana przez ludzi za kobietę nieustraszoną. Lubiła polować na dzikie psy i dosiadać narowistych wierzchowców. Widząc jadowitego węża, który pojawił się na trawiastym korcie, gdy inne panie w popłochu rzuciły się do ucieczki, ona strzeliła z łuku i zabiła gada. Nawet Frank uważał ją za osobę o mocnych nerwach. „Gdybyś miała się kiedyś zmierzyć z afrykańskim lwem, Paulino, nie postawiłbym na biedne zwierzę złamanego szeląga!” – powiedział kiedyś.

A jednak było coś, czego Paulina się panicznie bała, lecz trzymała swoją słabość w tajemnicy.

– Oto twój powóz, Louiso – rzekła. – Proszę, zawiadom mnie o przebiegu wizyty u doktora Ramseya. Mnie też może się kiedyś przydać interesująca cię wiadomość.

– Dziękuję, Paulino, że wysłuchałaś moich żalów. Dam ci znać, co powiedział doktor Ramsey.

Wyszły w jasny blask słońca.

– Jeśli spotkasz Vilmę Todd, przekaż jej, że nie mogę się doczekać, kiedy stanę z nią w szranki na strzelnicy. Chętnie przyjmę przyjacielski zakład, jeśli i ona będzie skłonna postawić pieniądze.

– O jakim zakładzie mowa? – spytał Frank, który właśnie zszedł po schodach na dół. – Dzień dobry, Louiso. Już odjeżdżasz? Przekaż moje pozdrowienia Milesowi.

Paulina spojrzała na brata ze zdziwieniem. Nie było jeszcze południa, a on miał na sobie czarny frak i białą wykrochmaloną koszulę, w ręce trzymał cylinder oraz laskę.

– Frank, co cię napadło? – spytała. – Od kiedy zarządzasz farmą, każdą wiosnę spędzasz przy owcach. To prawda, że przez pozostałą część roku nawet napoleońska armia nie wyciągnęłaby cię z Melbourne, ale w okresie strzyży zwykle nie spuszczasz z oka postrzygaczy, niczym pies dingo pilnujący stada kangurów. Tymczasem już czwarty raz z rzędu wychodzisz w południe elegancko ubrany. Dokąd się wybierasz, Frank?

– Mam interesy w mieście – odparł, wciągając rękawiczki. – Poza tym to nie twoja

sprawa.

– Rozumiem. Chodzi o kobietę.

Żachnął się i próbował protestować, lecz Paulina powstrzymała go, podnosząc dłoń.

– Nie chcę nic o rym wiedzieć, Frank. Baw się dobrze. Tylko potem nie narzekaj, że spadła wielkość strzyży albo że nie otrzymałeś od pośredników dobrej ceny za wełnę. Ja jadę do Kilmarnock.

– Dobry Boże, a to z jakiego powodu?

– Robię to ze względu na Hugh'a. To ważne, żeby zaczął wyrabiać sobie pozycję w okolicy.

Frank patrzył za odjeżdżającą siostrą i uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu jej zazdrości. Ona miała mężczyznę, którego pragnęła, podczas gdy on, choć skończył już trzydzieści cztery lata, nie znalazł jeszcze kobiety, z którą mógłby się związać. A nie można mu było zarzucić, że nie podejmuje prób.

Tamtego wieczoru „U Finnegana”, gdy barmanka narysowała jego portret, wrócił do pubu i zaproponował, że ją odprowadzi do domu. O dziwo, panna Dearborn odmówiła. Następnego dnia spytał ją, czy wybierze się razem z nim na przejażdżkę powozem, lecz ponownie odrzuciła propozycję. Trzeciego wieczoru zaprosił ją na kolację. Odrzekła jednak, że nie jest głodna. Próbował więc przekonać samego siebie, że wcale mu na niej nie zależy. Za kogo ta grymaśna barmanka się uważała! Nie poszedł wczoraj do pubu i był z siebie dumny. Ale gdy się rano obudził, stwierdził, że nie może się powstrzymać, aby tam nie zajrzeć, i postanowił, że zanim się zajmie strzyżą, zje w pubie lunch.

Nie zamierzał dawać za wygraną. Któregoś dnia wystąpi z propozycją, której panna Dearborn nie będzie mogła się oprzeć. I wtedy ją zdobędzie jako jedyną mężczyznę w Okręgu Zachodnim.

W olbrzymim, zbudowanym na wzór średniowiecznego zamku domu w Kilmarnock znajdowało się wiele pokoi. Tylko do jednego mały Judd MacGregor bał się wchodzić, ponieważ sądził, że ten pokój nawiedzają duchy.

Leżąca pomiędzy Merindą i Lismore farma owcza Kilmarnock zajmowała ponad dziesięć tysięcy hektarów. Dom stanowił replikę zamku Kilmarnock w Szkocji. Był masywny, miał wieżyczki strzelnicze, mury obronne z blankami i długie wąskie okna zabezpieczone żelaznymi kratami. Brakowało tylko zwodzonego mostu, lecz otaczające dom głębokie kwiatowe rabatki sprawiały wrażenie fosy. Gmaszysko stało na samym środku rozległego trawnika, a przed wiejącymi z równin wichrami ochraniały je wysokie eukaliptusy. Groźnie wyglądająca i okazała rezydencja w Kilmarnock zwykle sprawiała na odwiedzających ją po raz pierwszy gościach przygnębiające wrażenie. Jej wnętrze też było urządzone w stylu z innego świata: ciemne boazerie na ścianach, gotyckie meble i stojące na straży rycerskie zbroje sprowadzone z Europy. Wszystko to miało na celu stworzenie atmosfery z czasów feudalizmu, by każdy, kto przechodził przez ciężkie drzwi wejściowe i mijał mroczny hol, którego ściany zdobiły skrzyżowane miecze i średniowieczne gobeliny, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Colin MacGregor jest udzielnym władcą.

Pokój, do którego się bał wchodzić siedmioletni Judd MacGregor, znajdował się za

masywnymi drzwiami pod kamiennym łukiem. Ilekroć chłopiec musiał się w nim stawić na wezwanie ojca. starał się omijać wzrokiem spoglądające na niego ze ścian i uwięzione w pozłaczanych ramach woskowe twarze srogich ludzi – dawno temu zmarłych kobiet i mężczyzn, którzy zdawali się patrzeć na żyjących zazdrosnym okiem. W pomieszczeniu przebywały też niewidzialne istoty, których niespokojne dusze krążyły nad rzeczami umieszczonymi w szklanej gablocie: srebrną tabakierką, okularami i rogiem byka. Judd znał historię każdego z tych przedmiotów.

Pierwszy należał do czternastoletniej Mary MacGregor, która została stracona za ukrycie księcia Bonnie Charliego w zamku Kilmarnock. Otrzymała w nagrodę pukiel jego włosów i przechowywała go właśnie w srebrnej tabakierce. Okulary były własnością sternika, który zawiózł księcia w bezpieczne miejsce, za co później został powieszony. Trzecia pamiątka była związana z osobą czwartego dziedzica Kilmarnock, Duncana, który żył w czternastym wieku i kiedyś natknął się na drodze na rozjuszonego buhaja. Lłzbrojony jedynie w sztylet uśmiercił byka i odrąbał jeden z jego rogów.

W pokoju znajdowały się jeszcze dziwniejsze rzeczy, które nie pochodziły ze Szkocji, lecz stąd, z Australii. Były to różnego rodzaju narzędzia walki i przedmioty związane z odprawianiem czarów. Judd wiedział, że należały kiedyś do tubylców i posiadały ogromną moc. Dowiedział się o tym od starego Ezekiela. Dusze uśmierconych zwierząt żyły w drzewcach włóczni, w bumerangach oraz w bębnach. Najbardziej potężna była *tjuringa*, która zdaniem Ezekiela zawierała czyjąś duszę. Judd bał się tego przedmiotu i nigdy nie zbliżał do niego, by uwięziony duch nie zdołał go pochwycić. Ojciec Judda chełpił się jednak swoimi zdobyczami i zawsze przyprowadzał gości do tego pokoju, który zarazem był jego gabinetem, by mogli podziwiać kolekcję.

Tamtego październikowego popołudnia Judd niepewnie przestępował z nogi na nogę, starając się skupić uwagę na słowach ojca.

Colin opowiadał synów i o bohaterstwie MacGregora w bitwie pod Culloden:

– Bezbronny MacGregor został przyparty do muru, lecz zanim stracił życie, chwycił z powozu włócznię i zabił ośmiu cumberlandczyków. Pojedziesz tam kiedyś, synu. Pokażę ci miejsce, gdzie Duncan, czwarty pan na Kilmarnock, uśmiercił rozjuszonego byka i odrąbał ten oto róg – rzekł z dumą, podając go chłopcu. Przez wieki młode pokolenia MacGregorów musiały udowodnić swoją męskość, opróżniając róg wypełniony czerwonym winem, a w herbie rodu znajdowała się głowa byka i motto: „Nie daj się zaskoczyć”.

Judd nie był wcale pewien, czy kiedykolwiek będzie miał ochotę pojechać do Szkocji. Ojciec opisywał swoją ojczyznę jako krainę mgieł, potworów zamieszkujących jeziora, niespokojnych dusz celtyckich wodzów, a także fok, które zamieniały się w kobiety, żeby mieć niewinnych mężczyzn.

Ale najgorsze ze wszystkiego były upiory i wampiry. Chłopiec przypuszczał, że są bardzo popularne w kraju ojca, gdyż babka Judda, lady Anna, przysłała mu makatkę pochodzącą z zamku w Szkocji z wyszytym napisem: „Niech dobry Bóg chroni cię przed upiorami, wampirami i niespokojnymi duchami, które awanturują się po nocach”.

Gdy Colin opowiadał synowi o wielkich bitwach klanów oraz o dzielnych wodzach,

którzy przez siedem wieków rezydowali w zamku Kilmarnock, wzrok Judda powędrował w stronę otwartego okna, gdzie słoneczny blask prześwitywał pomiędzy gałęziami wiązów i olch. Chłopiec zapragnął się tam znaleźć, na otwartej przestrzeni, pod piekącymi promieniami słońca, gdzie śmieją się zimorodki, a wygięte w łuk kangury zdają się latać na tle nieba.

Colin nie dostrzegł jednak roztargnienia syna. Myślał o domu swoich przodków, o wyspie Skye w Hebrydach Wewnętrznych, zwanej „Przystanią łagodnej zimy”, gdzie kiedyś książe Bonnie Charlie znalazł schronienie, nim opuścił Szkocję na zawsze. Była to wyspa czerwonych jeleni i złotopiórych orłów, nieprzebytych borów i czystych strumieni, śpiewających po zachodzie słońca drozdów i szybujących wokół kościelnych wież nietoperzy. Wspominał Skye – surową i dziką krainę wrzosów, wielkich paproci, elastycznej darni, granitowych szczytów, polodowcowych jezior, bagien i przybrzeżnych, głębokich niczym fiordy, mielisz oraz zamek w Kilmarnock – groźną i potężną fortecę; twierdzę na skalistym wzgórzu, siedzibę MacGregorów począwszy od jedenastego stulecia, gdy Szkocja była jeszcze nazywana Kaledonią.

Często śnił o ojczyźnie, gdzie orły bujały wysoko, rozpościerając dwumetrowe skrzydła, a w zimnych i ciemnych głębiach jeziora Kilmarnock pływał mityczny potwór. Marzył o tym, żeby znowu porozmawiać po celtycku – w „języku serca”, i zobaczyć, jak zimowa mgła zbiera się nad surowymi szczytami Black Cuillins.

Colin opuścił dom dwadzieścia lat temu, gdy był dziewiętnastoletnim młodzieńcem, po sprzeczce z ojcem, sir Robertem, o zarządzanie majątkiem.

Starszy MacGregor chciał wyrzucić dzierżawców i rozpocząć produkcję wełny oraz baraniny, syn zaś trzymał stronę przeganianych farmerów. Gdy ojciec postawił na swoim, Colin oświadczył porywczo, że wyjeżdża na zawsze. Stęskniony za Skye wrócił do domu po ośmiu latach. Ojciec go nie przyjął, lecz lady Anna potraktowała syna bardzo serdecznie. Odesłała go ze schedą, która teraz zdobiła jego gabinet. Colin nie uważał swojej podróży za daremną. Dzięki niej otrzymał skarby należnego mu dziedzictwa, a poza tym przywiózł do domu żonę.

Spojrzał na syna i pomyślał, jak bardzo chłopiec przypomina mu Christinę. Z każdym rokiem Judd MacGregor stawał się coraz wierniejszą kopią swojej matki. Miał płowe włosy, bławatkowe oczy i niewielki dołek w brodzie. Colin nie dostrzegał u chłopca żadnego podobieństwa do siebie ani do innych MacGregorów, którzy byli kruczoczarni i ciemnoocy. Małe usta Judda były pełne i wypukłe, tak jak Christiny, a łagodnie zaokrąglona broda nadawała mu wygląd cherubinka, podczas gdy wąskie wargi Colina tworzyły surową kreskę nad wydatną, kwadratową żuchwą.

– Pewnego dnia, synu, ty będziesz panem na Kilmarnock w Szkocji – rzekł Colin. – Kiedy mój ojciec umrze, ja stanę się sukcesorem zamku. A po mnie ty to wszystko odziedziczysz.

Ale Judd wcale nie był pewien, czy chce „to wszystko” odziedziczyć.

Rozległo się pukanie i w drzwiach pojawił się lokaj.

– Doktor Ramsey mówi, że może pan już przyjść, panie MacGregor.

Ojciec i syn weszli po schodach na górę, a gdy znaleźli się w sypialni, Colin zbliżył się do



Christiny i przysiadł na brzegu kanapy.

– Jak się czujesz, moja droga?

Christina leżała na atlasowych poduszkach, nogi miała owinięte błamem z lisiego futra. Zaciągnięte zasłony nie przepuszczały światła słonecznego, ale w blasku lampy oliwnej widać było jej bladą cerę i jasne włosy.

– Czuję się dobrze, kochanie. Nie jestem chora. Będę miała dziecko.

Colin spojrział na doktora Ramseya, który ze swoją rudą czupryną i chudą sylwetką wydawał się zbyt młody jak na lekarza.

– Jak ona się miewa, doktorze? – spytał Colin.

– Zauważyłem niewydolność szyjki macicy, panie MacGregor – stwierdził lekarz, składając słuchawki. – A to znaczy, że pańska żona może nie donosić dziecka. Poddałbym ją zabiegowi, gdyby nie ryzyko poronienia, które czasami może wywołać interwencja chirurgiczna. Zalecam bezwarunkowe leżenie w łóżku, ograniczenie poruszania się do minimum i absolutny spokój.

Chociaż diagnoza brzmiała zatrważająco, uspokoiła Colina. Fachowa terminologia budziła zaufanie do kompetencji lekarza, w przeciwieństwie do wyjaśnień starego doktora Fullera, który poprzednie poronienia Christiny przypisywał pełni księżyca i gęsiemu pierzu w poduszkach. Colin był zadowolony, że usłuchał rady Johna Reeda i posłał po doktora Ramseya, stawiając na jego młodość i dopiero co ukończoną medycynę.

Wziął żonę za rękę. Po ośmiu latach małżeństwa wciąż była piękna, a on wciąż zakochany, jakby go zauroczyła tamtego czarownego wieczoru w Glasgow. Ze zdenerwowania wychodził z siebie. Ta niebezpieczna ciąża nie była jego pomysłem. Po urodzeniu Judda Christina przeszła dwa poronienia, a raz wydała na świat martwe dziecko. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i obawom męża namówiła go jednak na podjęcie jeszcze jednej próby. I teraz się modlił, by nie musiał żałować tej decyzji.

Wszedł lokaj z wizytówką na tacy.

– Ma pani gościa – rzekł, podając kartonik Christinie.

– Żadnych wizyt! – zaprotestował Colin.

– Ależ to Paulina Downs, drogi Colinie. Z radością się z nią zobaczę.

– Pańska żona może przyjmować przyjaciół, pod warunkiem że wizyty nie będą jej ekscytować i nadwierać sił.

– Musisz uważać na siebie i na dziecko, Christino. Nie mogę cię stracić. Bez ciebie nie miałbym po co żyć.

Paulina weszła do sypialni w chwili, gdy Colin całował żonę. Usłyszała jego słowa:

– Kiedy będziesz już zdrowa, pojedziemy z dziećmi w odwiedziny do domu. Będziemy podziwiać blask księżyca na wrzosowiskach i zatrzymamy się w tej samej gospodzie, gdzie spędziliśmy naszą noc poślubną.

Paulina pomyślała: „Tak samo będzie między mną a Hughiem”.

– Jak to miło, Paulino, że przyjechałaś – rzekła Christina. – Usiądź, proszę. Czy miałaś już okazję poznać doktora Ramseya? Doktorze, przedstawiam panu pannę Paulinę Downs. Colinie, czy mógłbyś zadzwonić po herbatę?

– Słyszałem, że pan Westbrook ma wychowanka – rzekł Colin, podchodząc do dzwonka.  
– A jednak to nie to samo co posiadanie własnego dziecka, prawda?

Paulina nie była zainteresowana Colinem MacGregorem, nie mogła jednak zaprzeczyć, że ten ciemnowłosy Szkot jest bardzo przystojny. Znała kilka kobiet w okręgu, które nie ukrywały przed nią ochoty „zawarcia z nim bliższej znajomości”.

– Skoro mowa o Hughu, czy już to widziałas? – spytała Christina, wręczając Paulinie gazetę. – Pewnie jesteś z niego bardzo dumna.

Paulina czytała już wiersz narzeczonego zamieszczony na pierwszej stronie „Timesa”. Była to najnowsza ballada Hugh’a: „Czas poganiania bydła”, którą tak jak i swoje pozostałe wiersze opublikował pod pseudonimem Stary Poganiacz.

*W południowej krainie unosi się kurz, W ślad za dziesięcioletnim stadem dmucha  
pyłem Ponad czerwonymi pasmami wzgórz, Ponad czarną glebą i szarym łem.*

„Hugh jest zbyt skromny – pomyślała Paulina. – Muszę go przekonać, żeby podpisywał swoje wiersze prawdziwym nazwiskiem. „

– Jak się czujesz, Christino? – spytała. – Dowiedziałam się od Maude Reed, że cierpisz na poranne dolegliwości.

– Na poranne, popołudniowe i wieczorne – uśmiechnęła się Christina. – Dzisiaj jednak, tak jak już poinformowałam doktora Ramsey’a, czuję się znacznie lepiej. Chyba dzięki lekarstwu, które nadeszło wczoraj – rzekła, pokazując Paulinie mały flakonik.

Paulina wyjęła szklany korek i zaciągnęła się aromatyczną wonią znajdującego się wewnątrz wywaru.

– Rumianek? – spytała.

– Tak. A ponadto czarna szanta i tawuła z dodatkiem odrobiny olejku goździkowego – wyjaśnił doktor Ramsey. – To skuteczne lekarstwo na poranne nudności.

– Kto to przysłał? – spytała Paulina.

Christina wręczyła jej bilecik, który był dołączony do butelki z lekiem. Pismo należało niewątpliwie do damy. Pod listem widniał podpis: „Joanna Drury, Merinda”.

– Panna Drury posiada niewątpliwie godną podziwu wiedzę z zakresu ziołolecznictwa – stwierdził lekarz. – Spotkałem ją któregoś dnia w aptece Thompsona w Cameron Town. Kupowała różne rzeczy i to w tak dużych ilościach, że spytałem ją, do czego zamierza ich użyć. Odparła, że zawsze gromadzi zapasy ziół, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą przydać. Zdaje się, że jej matka też zajmowała się uzdrawianiem ludzi. Maude Reed przebywała w tym czasie w sklepie i opowiadała Winifredzie Cameron o porannych dolegliwościach pani MacGregor. Panna Drury musiała to usłyszeć i przysłała ten napar.

– Moje samopoczucie znacznie się poprawiło – rzekła Christina. – Muszę jej podziękować.

– Chętnie przekażę panie Drury wiadomość od pani, pani MacGregor – zaproponował prędko Ramsey. – W drodze do Horsam będę przejeżdżał jutro przez Merindę.

– Phoebe McCloud powiedziała mi, że panna Drury została zatrudniona przez Hugh’a

Westbrooka do opieki nad osieroconym chłopcem, którego wziął do siebie. Jaka ona jest, doktorze?

– Kto, panna Drury? – upewnił się lekarz, a Paulina zauważyła, że na jego twarzy wykwitły rumieńce. Przysłuchując się nieśmiało opisowi „uroczej i dystygowanej panny Drury”, spojrzęła na liścik. Ponownie odczytała poprawnie sformułowane powitanie i zakończenie, zwracając uwagę na doskonałą ortografię i interpunkcję oraz na nienaganny charakter pisma.

Zjawił się lokaj z następnym biletem.

– Przybyła panna Flora McMichaels, proszę pani – zaanonsował.

– Za dużo jest nas tutaj – zachnął się Colin.

Christina kazała jednak lokajowi wprowadzić pannę McMichaels.

Zakłopotana z powodu nowych informacji dotyczących Joanny Drury, Paulina zwróciła się z uśmiechem do lekarza:

– Jak podoba się panu życie w Okręgu Zachodnim, doktorze Ramsey? Po Melbourne wydaje się zapewne panu nudne.

– Ależ skąd, panno Downs! Od czasu mojego przyjazdu tutaj, to jest od pięciu tygodni, nie miałem jednej chwili dla siebie. Szczególnie teraz jestem bardzo zajęty. Uczyliśmy się na studiach o wypadkach podczas strzyżenia owiec, ale nie przypuszczałem, że zajęcie to jest aż tak bardzo niebezpieczne.

Do pokoju wkroczyła potężna kobieta w tak szerokich krynolinach, iż bezpieczeństwo stojących opodal stolików było zagrożone.

– Droga Christino – powiedziała, sunąc do kanapy z wyciągniętymi ramionami. – Dowiedziałam się od Maude Reed, że nie czujesz się zbyt dobrze. Zobacz, co ci przyniosłam.

Postawiła na podłodze wiklinowy koszyk i zaczęła z niego wydobywać słoje, puszki i owinięte w serwetki ciasta.

– Musisz być silna – oświadczyła, nie spuszczać Colina z oka.

Paulina poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Zbyt hałaśliwa i niewątpliwie szalejąca za Colinem Flora McMichaels uosabiała jej skrywany lęk. W oczach ludzi stare panny uchodziły za nieszczęśliwe kobiety, którym nie udało się zdobyć męża. Były skazane na samotność i drugorzędną pozycję społeczną. Z upływem lat stawały się zdziwaczalnymi ciotkami, które rodzina niechętnie wspierała finansowo.

Wzbudzały w Paulinie niepokój, a nawet przerażenie. Ich obecność przypominała jej o tym, jak nieprzewidziane i niesprawiedliwe mogą być koleje życia. Żadna kobieta nie wybierała sobie takiego losu. Paulina wiedziała, że Flora McMichaels – niegdyś ładna i wesoła dziewczyna – była zaręczona z sympatycznym młodym mężczyzną z dobrej rodziny. W przeddzień ślubu narzeczony zginął w wypadku na polowaniu i teraz, trzydzieści lat później, przyjaciele nazywali ją między sobą „biedną Florą”.

Paulina wiedziała, że takie nieszczęście może w każdej chwili dotknąć każdą kobietę. Tragedii nie sposób przewidzieć ani jej zapobiec. Obserwując uśmiechającą się zalotnie do Colina Florę, Paulina zastanawiała się, czy Joanna Drury jest podobna. Panna Drury mieszkała w Merindzie, w chacie Hugh'a. „Przeniosłem się do szałasów” – powiedział Paulinie

narzeczony. Ale to oświadczenie nie rozproszyło jej niepokoju.

Przypomniała sobie, jak poruszony był Hugh trzy dni temu po powrocie z Melbourne, gdy opowiadał o wszawicy wśród swojego najlepszego stada i o przewidywanych kłopotach finansowych. Wtedy nie zwróciła na jego słowa zbytnej uwagi. Dopiero teraz dostrzegła ich ukryty sens: Hugh może nie podołać wybudowaniu domu.

Pojęła swój błąd. Zamiast dać się ponieść błogiemu uniesieniu, powinna zachować czujność. Nagle Joanna Drury przestała być tylko zatrudnioną opiekunką, zmieniła się w rywalkę.

– Przyjechałam tu głównie po to, droga Christino – odezwała się nagle, przerywając gadatliwej Florze – żeby zaprosić ciebie, Colina i Judda na przyjęcie, jakie wydają dla Adama, tego chłopca, którego przywiózł Hugh. Pomyślałam, że powinien poznać sąsiadów.

– Świetny pomysł – potaknęła Christina. – To miło z twojej strony, Paulino. Biedne dziecko pewnie czuje się bardzo zagubione. Musimy dopilnować, Colinie, żeby Judd zaprzyjaźnił się z Adamem. Gdzie się podziewa Judd? Gdzie jest mój syn? Zbliź się do mnie, kochanie.

Judd opuścił swoje miejsce w kącie i wtulił się w ramiona matki. Domyślał się, że jest bardzo chora, ponieważ wszyscy otaczali ją ogromną troskliwością.

– Przyjęcie odbędzie się w ogrodzie – oznajmiła Paulina. Pomysł szybko nabierał realnych kształtów. – Przewiduję udział klaunów i magików. Chcę, żeby Adam zaprzyjaźnił się z innymi dziećmi.

„I będą czekały na niego prezenty – postanowiła. – Otrzyma własnego kuca oraz powóz, będzie mógł zjeść tyle cukierków, ile tylko zechce, i przygotuję dla niego pokój w Lismore, który zapełnię zabawkami. Kiedy nadejdzie pora odjazdu, nie zechce wracać do Merindy. Zostanie ze mną w Lismore.

I usługi panny Joanny Drury nie będą już dłużej potrzebne. „

## ROZDZIAŁ 6

Joanna była pewna, że dzieje się coś niezwykłego. Wyszła na werandę i znalazła przed frontowymi drzwiami pęk piór starannie związanych sznurkiem.

Nie zdarzyło się to po raz pierwszy. Podczas dwóch tygodni pobytu w Merindzie wciąż napotykała dziwne przedmioty: błyszczące kamienie z rzeki ułożone pod parapetem okiennym, polne kwiaty na najwyższym stopniu schodów, a trzy dni temu wianek spleciony z morskiej trawy oraz ludzkie włosy zawieszony na drzwiach wejściowych. I teraz pióra.

Kto podkładał te rzeczy i dlaczego to robił?

Rozejrzała się po obejściu. Przestraszone owce zaganiano do zagrody na strzyżenie. Hałas był ogłuszający.

Postrzygacze przybyli nazajutrz po jej przyjeździe do Merindy. Joanna zorientowała się, że jest to czas specyficznych zniw – wszystkie prace na farmie w ciągu całego roku są prowadzone dla tych trzech tygodni listopada: okresu strzyży i ładowania wełny na statki, które transportowały ją potem do Anglii. Sezon ten oznaczał ciężką harówkę od świtu do późnej nocy, kradzione godziny snu, pospiesznie spożywane posiłki i zaniechanie wszelkich innych prac aż do czasu wyjazdu ekipy postrzygaczy i spedycji wełny. Joanna widywała Hugh'a tylko wieczorami, gdy zaglądał do chaty, żeby zapytać o Adama i upewnić się, że jej oraz dziecku niczego nie brakuje.

Trzy pióra znalezione przed frontowymi drzwiami, różowe, z delikatnie zabarwionymi na żółto końcami, pochodziły od papugi kakadu i zostały związane cienkim sznurkiem z łyka. Przedtem natknęła się na trzy rzeczne kamienie i na trzy polne kwiaty.

To nie mógł być przypadek. Ktoś zadał sobie trud, żeby je zebrać i umieścić tam, gdzie miały zostać odkryte. Ale kto to zrobił i z jakiego powodu?

Zachodziła w głowę, przyglądając się Adamowi, który gonił po podwórzu kurczaki. Rana na jego czole już się zagoiła i nie powtórzyły się więcej napady złego humoru ani epizody z waleniem głową o ziemię. Ktoś obcy mógłby sądzić, że jest normalnym, zdrowym chłopcem – ale tylko jeśli go nie znał i nie widywał udręczonego wyrazu jego buzi, gdy dzieciak próbował coś powiedzieć, nie był świadkiem momentów jego niespodziewanego zamykania się w sobie ani nie musiał się zrywać z łóżka po nocach, gdy Adam krzyczał przez sen.

Joanna pomyślała o porzuconych w chacie zabawkach. Nabyła je od pana Shapiro – starego domokrażcy, który odbywał regularne tury po okolicy kolorowym wozem zaprzężonym w starą szkapę, zwaną Pinky, i sprzedawał wszystko, od perkalu po „prawdziwe arabskie perfumy”. Joanna kupiła rzeczy potrzebne do domu: kilim na ścianę, ceramiczny dzbanek do herbaty i zasłony do okien, a dla chłopca – latawiec i piłkę. Ku jej zdziwieniu Adam przyjął podarunki z zupełną obojętnością. Zrozumiała, że prawdopodobnie nigdy nie miał zabawek. Najlepiej czuł się w otoczeniu przyrody. Wiosłował po zakolu rzeki i potrafił godzinami przyglądać się dziobakowi poszukującemu na dnie pożywienia. Często zabierał ze sobą Ruperta, ale latawiec i piłka nie wzbudzały jego zainteresowania. Joanna próbowała na różne sposoby dotrzeć do chłopca i znaleźć klucz do jego udręki, lecz jak dotąd

bezsukutecznie. Gdy pokazała mu Biblię i ślubną obrączkę matki, wybuchnął płaczem.

Z niecierpliwością czekała na wiadomości od władz Australii Południowej. Miała nadzieję, że coś rzuci światło na bolesne przeżycia chłopca i podsunie jej pomysł na metodę ukojenia jego cierpień. Znowu powróciła myślami do matki. Zastanawiała się, czy lady Emily żyłaby dzisiaj, gdyby dawno temu ktoś pomógł jej stawić czoło niszczącej sile i ulżył w bólu.

Joanna wypatrywała również innych listów.

Któregoś przedpołudnia napisała do władz sześciu kolonii, na jakie była podzielona Australia, z prośbą o przekazanie informacji dotyczących Johna Makepeace'a, misjonarza, i Naomi, jego żony, oraz o przesłanie map. Któregoś dnia pokazała akt własności prawnikowi w Cameron Town. Dowiedziała się jednak, że dopóki nie odszuka kolonii, w której leży ziemia, nikt nie zdoła jej odnaleźć ani stwierdzić, czy dokument jest prawomocny.

Joanna spodziewała się też przesyłki z Cambridge.

Jeden z zapisów lady Emily, pochodzący sprzed ośmiu lat, dotyczył podróży do Anglii, w której Joanna towarzyszyła matce. „Ciotka Millicent tak boleśnie odczuwa stratę swojej siostry, że w ogóle nie chce rozmawiać na temat moich rodziców – zanotowała lady Emily. – Niemniej zdołałam wyciągnąć kilka informacji od jej sąsiadki, pani Dobson, która znała ją i moją matkę, gdy były jeszcze dziećmi. Kobieta wspomniała o Patricku Lathropie, który przyjaźnił się z moim ojcem w czasach akademickich. Jeśli odnajdę tego człowieka, może zdołam ustalić dokładne miejsce mojego urodzenia w Australii i dowiem się, czym tam zajmował się mój ojciec. „

Matka nigdy nie podażyła tym tropem. A Joanna była zdania, że tej wskazówki nie należy lekceważyć. Wiedziała, że w latach 1826 – 1829 dziadek uczęszczał do Christs College w Cambridge. Przed wyjazdem z Indii napisała więc do władz uniwersytetu i podała jako adres zwrotny Główny Urząd Pocztowy w Melbourne.

Dostrzegła nagły ruch w cieniu po drugiej stronie podwórza przy szopie, gdzie strzyżono owce.

Rozpoznała Sarę, młodą Aborygenkę, która pracowała w gospodarstwie Hugh'a. Dziewczyna stała nieruchomo i mierzyła Joannę spojrzeniem podobnym do tego, którym Ezekiel dwa tygodnie temu przyglądał się jej nad rzeką. W oczach czternastoletniej dziewczyny malował się taki sam niepokój, jaki Joanna dostrzegła przedtem we wzroku starca. Kryło się w nich coś więcej niż zwykłe zaciekawienie. Odniosła wrażenie, że Sara się jej obawia i stara się ocenić grożące niebezpieczeństwo.

Już nieraz przyłapywała młodą Australijkę na podglądaniu. Niejednokrotnie próbowała z nią porozmawiać i nawiązać przyjazne stosunki, lecz dziewczyna zawsze spieszenie się oddalała.

– Sara mówi po angielsku – zapewnił Joannę Hugh, gdy go o to zapytała. – Niezbyt biegle, ale można się z nią porozumieć. Wyobrażam sobie, jak musi być zaintrygowana pani osobą! Przypuszczam, że w misji, gdzie się wychowywała, nie widywała białych kobiet.

Dziewczyna podobała się Joannie. Miała wysokie kości policzkowe i ogromne oczy w kształcie migdałów, a skórę ciemną, o odcieniu mahoni, podobnie jak długie lśniące włosy. Nosila proste sukienki i chodziła boso. „Dlaczego mnie szpieguje?

– zastanawiała się Joanna. Może miała taki sposób bycia? Czy to ona podrzucała dziwne przedmioty na werandę?”

Niespodziewanie na podwórzu pojawił się Bill Lovell, zarządca farmy.

– Dzień dobry! – zawołał. – Przyniosłem coś dla chłopca. Joanna rzadko spotykała Billa, ale zawsze był dla niej bardzo miły. Miał niemal białe włosy i ogorzałą cerę człowieka nieustannie przebywającego na słońcu. Jego błękitne oczy sprawiały wrażenie spłowiałych od nawyku przemierzania wzrokiem ogromnych przestrzeni.

W cieniu werandy rozwinął worek z juty. Oczom Joanny ukazała się para maleńkich i mrugających do niej brązowych ślepi w puszystym pyszczku o nieprawdopodobnie dużym nosie, białej kędzierzawej brodzie oraz dziwaczkich uszach. Patrzyła jak urzeczona; nigdy dotychczas nie widziała z tak bliska misia koala.

– Znalazłem go w górnym biegu rzeki. Leżał na ziemi – wyjaśnił Bill. – Ma około ośmiu miesięcy i nie jest jeszcze dorosły. W pobliżu odkryłem martwe ciało samicy, zapewne jego matki. Prawdopodobnie została zastrzelona. Pomyślałem, że chłopiec ucieszy się z własnego zwierzątka.

– Adamie! – zawołała Joanna. – Chodź i zobacz, co przyniósł dla ciebie pan Lovell. – Spojrzała w kierunku szopy i stwierdziła, że Sara odeszła.

– Te stworzenia są dość uciążliwe – zauważył Bill. – Jestem pewien, że pani o tym słyszała.

– Och, tak, panie Lovell, zdążyłam się już o tym przekonać!

– Misie wszystkim zakłócały sen. Wpadała właśnie pora ich godów i nocami na skutek wrzasków samców oraz zawrota głowy samic ludzie nie mogli zmruczyć oka. Z tego powodu myśliwi byli często zachęceni do ich wybijania.

– A jednak nie mogłem zostawić go na pastwę psów dingo – wyznał zarządca.

– Spójrz, Adamie, co dostałeś – rzekła Joanna. – Tylko obchodź się z nim bardzo ostrożnie. Jest jeszcze młody.

– Kola – powiedział uszczęśliwiony chłopiec.

– Nie, Adamie. To jest miś koala – sprostowała Joanna.

– Powtórz: koala.

Adam ściągnął brwi, aż pogłębiła się zmarszczka pomiędzy nimi.

– Koala – rzekł.

– W języku Aborygenów słowo koala oznacza „nie pijący”

– wyjaśnił Bill. – Tak naprawdę te zwierzęta nie są niedźwiedziami. I powszechnie są uważane za stworzenia niezbyt inteligentne. Całymi dniami nic nie robią, tylko wiszą na drzewach i zapijają się sokiem z eukaliptusów. A poza tym są dziwacznie zbudowane. Ich torby nie mają otworów u góry, jak u kangurów, lecz na spodzie.

– Wyobrażam sobie, jakie to stwarza problemy tym mieszkańcom drzew! – roześmiała się Joanna. – Zrobimy dla niego budkę. Damy mu wodę do picia i... – spojrzała niepewnie na Billa. – Co jadają misie koala?

– Nie pijają wody, a żywią się tylko liśćmi eukaliptusów. Jakoś temu zaradzimy.

– Ma pan skaleczoną rękę.

– Owca próbowała mnie ugryźć. To nic poważnego.

– Pozwoli pan, że opatrzę ranę. Adamie, czy mógłbyś przynieść z domu moją torbę z lekarstwami oraz miskę z wodą?

– Proszę się tym nie kłopotać, panienko – bronił się Lovell, gdy Joanna odwijiała chusteczkę, którą przewiązana była ręka.

– Rana się wygoi. Gruby Larson polał ją naftą.

Joanna wybuchnęła śmiechem. Już pierwszego dnia w Merindzie natknęła się w chacie na butelkę z naftą, na której widniał napis: „Skuteczna na wszystko”.

– To nie wystarczy, panie Lovell – stwierdziła.

– Proszę zwracać się do mnie Bill.

– Zgoda, Bill. Jesteś chyba jednym z niewielu mężczyzn w Merindzie, którzy nie mają przezwiska!

– Tak, to prawda. Australijczycy rzeczywiście lubują się w przydomkach. Osoby, które ich nie noszą, należą tutaj do rzadkości.

Wrócił Adam z miską wody oraz torbą lekarską. Gdy Joanna przemywała ranę mydłem i nakładała na nią maść, chłopiec stał obok i podawał jej potrzebne rzeczy.

Bill patrzył, jak Joanna bandażuje mu dłoń, a potem skierował wzrok na jej pochyloną głowę i lśniące kasztanowe włosy, które w słońcu rzucały złote blaski. Od dawna, to jest od czasu śmierci Mildred, nie myślał o żadnej kobiecie, ale ta dziewczyna go zaintrygowała. Nie on jeden był nią zainteresowany. Mógłby przysiąc, że nigdy dotąd nie widział rano na farmie tak wielu uczesanych głów i ogolonych twarzy. Ostatnio zaczął też składać na farmie częste wizyty młody lekarz, doktor Ramsey. Rzekomo był zawsze tylko przejazdem i zaglądał, by sprawdzić, czy wszystkim dopisuje zdrowie. Bill był ciekaw, jakie ma zamiary względem panny Drury. Ze zdumieniem stwierdził, że odczuwa zazdrość. Ale czy młoda kobieta mogła zainteresować się takim starym dziadem jak on?

– Ma pani dużą wprawę w zakładaniu opatrunków, panno Drury – zauważył, zginając zabandażowaną rękę.

– Żałuję, że inni mężczyźni nie pozwalają udzielić sobie pomocy. Ilekroć próbuję opatrzyć ich skaleczenia, czmychają jak króliki!

– Mężczyźni nie lubią okazywać słabości przed kobietą.

– Ależ to głupota! Przecież mogą wykrwawić się na śmierć, zanim przybędzie doktor Fuller lub doktor Ramsey! Proszę dopilnować, żeby rana była czysta. Ugryzienia zwierząt mogą być niebezpieczne.

Oddała Adamowi resztkę gazy i pokazała, jak ją należy zwinąć.

– Jak przebiegają prace przy stryżeniu owiec, Bill? – spytała. – Dawno nie widziałam się z panem Westbrookiem, nie mogłam osobiście go o to zapytać.

– Nie najlepiej. Wszy mają zgubne skutki dla wełny, przez nie się łatwo rozpada. Hugh jest teraz przy kąpieniu zwierząt, nie sprawia wrażenia zbyt uradowanego.

Joanna spojrzała w stronę zarośli nad brzegiem i przypomniał się jej wiersz:

*Zgiełkowi życia i codziennemu harmiderowi Tylko dwie postawy stawiają skuteczny opór:*



### *Zdolność okazania drugiemu współczucia w niedoli I wrodzone męstwo.*

Strofy były zapisane niewprawną ręką na wewnętrznej stronie okładki jednej z książek, na które Joanna natknęła się w Merindzie. Pod spodem widniał podpis autora: Hugh Westbrook, lat siedemnaście.

Już w pierwszym dniu swojego pobytu na farmie Joanna odkryła niewielki księgozbiór. Na drewnianej półce mieściły się stare, wielokrotnie wertowane tomiki poezji, podręczniki historii i prowadzenia gospodarstwa oraz powieści, wśród których znajdowały się dzieła Trollope'a, Thackeraya, Dickensa, a nawet sióstr Bronte. Każdy egzemplarz z pewnością był wiele razy czytany, a w kilku Joanna zauważyła notatki na marginesie i podkreślenia. W skrypcie „Hodowla owiec i produkcja wełny” znalazła pożółkłe wycinki z gazet i magazynów, z artykułami zatytułowanymi: „Zastosowanie naukowych zasad w produkcji wełny” i „Uprawa koniczyzny”. Na półce stał też bardzo zużyty słownik, atlas świata oraz historia australijskich kolonii.

Dzięki niewielkiej bibliotece Joanna mogła nieco więcej dowiedzieć się o właścicielu Merindy.

„Nie chodziłem do szkoły – wyznał jej przy ognisku, gdy biwakowali w pobliżu Dopływu Emu. – Nigdzie nie zagraliśmy z ojcem długo miejsca. Wciąż musieliśmy jeździć po kraju w poszukiwaniu pracy. Niedaleko Toowoombi mieszkał w lesie stary pustelnik i on nauczył mnie pierwszych liter. „

Skromna kolekcja Hugh'a pozwoliła Joannie poznać drogę jego samodzielnej edukacji. W książce „Dziwne losy Jane Eyre” prawie na każdej stronie widniały podkreślone słowa, których znaczenie najwidoczniej nastolatek sprawdzał w słowniku. Wewnątrz okładki były zanotowane dwie daty: 10 lipca 1856 i 30 czerwca 1857. Joanna domyślała się, że oznaczają dzień rozpoczęcia i zakończenia lektury. Hugh miał wtedy piętnaście lat i przeczytanie książki zajęło mu prawie rok. Ale z „Opowieścią wigilijną” zapoznawał się już od sierpnia do października 1860 roku. Był wtedy dziewiętnastoletnim młodzieńcem i nie rozumiał znaczenia już tylko kilku słów. Świadczyło to dobitnie o jego umysłowym rozwoju. I podczas gdy datujące się od 1858 roku zapiski na marginesie podręcznika historii zawierały wiele błędów, uwagi w poradniku prowadzenia owczej farmy z 1867 roku, a więc sprzed czterech lat, były niemal bez zarzutu i zanotowane wprawnym charakterem pisma.

Joanna bez trudu mogła wyobrazić sobie koleje życia Hugh'a Westbrooka. Przed oczami przewijały się jej obrazy: najpierw chłopca, który mozolił się nad prawidłowym zapisaniem liter, potem żadnego wiedzy i ślęczącego z pochyloną głową nad atlasem świata nastolatka, który z niewiadomego powodu zakreślił kółkiem jedno z miast w Queenslandzie, a obok narysował gwiazdkę, i wreszcie pewnego siebie mężczyzny posiadającego wiedzę „uczonych” farmerów z dalekiej Anglii, którą zdobył dzięki lekturze lokalnych, australijskich gazet.

Były też wiersze zapisane ołówkiem lub atramentem na skrawkach papieru – niektóre bez poprawek, inne z powykreślanymi wyrazami, jak gdyby ich autor starał się wyczelować każde słowo i doprowadzić utwór do perfekcji. Hugh pisał ballady o banitach, zwanych

opryskami australijskimi, o postrzygaczach i o australijskich pustkowiach. Joanna odkryła, że „Ballada o wdowie postrzygacza” nie dotyczy kobiety, która straciła męża, lecz której mąż w poszukiwaniu pracy „trafił na szlak kangurów” – czyli przepadł na pół roku i wrócił do domu bez grosza.

– Przykro mi, że pan Westbrook ma kłopoty – rzekła do Billa.

– Znam Hugh'a od dawna, ale jeszcze nigdy nie widziałem go tak przygnębionego – wyznał zarządcą.

Gdy odszedł, Joanna pokazała Adamowi, jak należy umyć narzędzia.

– Trzeba wszystko odłożyć na miejsce, by w razie potrzeby znajdowało się pod ręką.

Na podwórzu rozległo się wołanie i oboje podnieśli wzrok.

– Skończ układać instrumenty – poleciła Adamowi i wyszła przed dom. – Dzień dobry – powitała zbliżającego się konno posterunkowego Johnsona. To była jego czwarta wizyta na farmie w czasie ostatnich dwóch tygodni.

– Wiedziałem, że będę przejeżdżał przez Merindę, panno Drury, więc odebrałem dla pani pocztę.

Joanna była zdziwiona, że policjant za każdym razem używa tej samej wymówki.

– Dziękuję panu – rzekła. – To bardzo uprzejmie z pana strony.

Zauważyła, że Johnson ma po raz pierwszy na sobie mundur. Zastanawiała się, czy wybiera się dokądś w jakiejś oficjalnej misji. Rzadko widywano posterunkowego w sztywnym czarnym uniformie z błyszczącymi guzikami. Gdy zsiadł z konia, Joanna spostrzegła, że ma wypolerowane buty, a od odznaki na rondzie kapelusza odbijają się promienie słońca. Wykryła także zapach wody kolońskiej i brylantyny.

– Cudowny wiosenny dzień, prawda, panno Drury? – spytał, wręczając jej pocztę.

– Rzeczywiście piękny, panie Johnson – odrzekła, prędko przebiegając wzrokiem korespondencję. Jej uwagę przykuły dwa zwrotne adresy – jeden z Australii Południowej, a drugi z Uniwersytetu Cambridge.

W tym momencie podszedł Adam. Policjant odwrócił się do niego.

– Witaj, synu – powiedział. Dzieciak zaczął wrzeszczeć.

Joanna starała się nie jechać zbyt szybko, żeby jeszcze bardziej nie zatrzwożyć chłopca. Gdy zdołała go trochę uspokoić, zaproponowała przejażdżkę powozem. Czuli, że musi go zabrać z domu, by znalazł się z dala od policjanta.

Jechali przez piękną okolicę, posuwając się w ślad za małym, hałaśliwym stadem owiec i jagniąt. Adam miał wciąż oczy spuchnięte od płaczu, ale jego uwagę przykuła już przyroda. Chyba nawet nie usłyszał pytania, co go tak przestraszyło. Zamknął się w sobie, niczym kwiat stulający płatki.

W końcu dotarli nad rzekę, gdzie mieli okazję zobaczyć niecodzienny widok.

Na brzegu stała olbrzymia maszyna przypominająca wyglądem lokomotywę parową. Zionęła czarnym dymem i wprawiała w wir wielkie koła połączone skórzanymi pasami z mniejszymi, które były przymocowane do dużego zbiornika. Górą buchała para, a rurami u podstawy wylewała się wrząca woda. Joanna zatrzymała powóz. Oniemiała ze zdumienia, nie odrywała wzroku od beczących, wpychanych do rzeki i zaganianych różgami do parującego

basenu owiec, gdzie stojący wewnątrz wysmołowanych beczek mężczyźni energicznie je szorowali. Gdy zwierzęta wychodziły na przeciwległy brzeg, były śnieżnobiałe.

Joanna dostrzegła Hugh'a. Miał zachmurzoną minę.

– Dzień dobry! – zawołała.

Odwrócił się. Niespodziewanie wróciło do niego wspomnienie, jak pierwszego wieczoru w Merindzie Joanna wybiegła z chaty wystraszona, a on przez moment trzymał ją w ramionach. Próbował zapomnieć o tym wydarzeniu, lecz nie mógł.

Nagle przypomniał sobie słowa Billa Lovella sprzed lat, kiedy to zarządca trochę za dużo wypił: „Żona nie lubiła moich pieścizot. Była najszcześliwsza, gdy już zrobiłem swoje. Takie właśnie są kobiety. Mają inną naturę niż my. Do spraw seksu odnoszą się z odrazą. Nie mam pojęcia, dlaczego Bóg stworzył dwie, tak bardzo różniące się od siebie płcie. Ciekawe, jak wyobrażał sobie zachowanie rodzaju ludzkiego?”

A potem Hughowi zabrzmiały w głowie słowa Phoebe Ferguson, która prowadziła dom schadzek w St. Kilda: „Większość moich klientów to żonaci mężczyźni, panie Westbrook. Rzadko zdarzają się kawalerowie. Mężowie przychodzą tu, żeby otrzymać to, czego odmawiają im żony. Szczególnie wysoko urodzone damy nie znajdują upodobania w wypełnianiu małżeńskich obowiązków”.

Hugh przypomniał sobie reakcję Pauliny sprzed dwóch tygodni na jego pocałunek. Był pewien, że ona nie będzie okazywała mu niechęci. A zaraz potem przyłapał się na tym, że zastanawia się również nad Joanną.

– Och, panna Drury, co za miła niespodzianka! – Gdy pomagał Joannie wysiąść z powozu, spostrzegł, że w jej oczach kryje się zmartwienie. – Czy zdarzyło się coś złego? – spytał.

– Adam przed chwilą okropnie się czegoś przestraszył.

– Co się stało?

Joanna opowiedziała o przerażeniu chłopca.

– Adam był jeszcze bardziej wystraszony niż wtedy na nabrzeżu. Przypuszczam, że powodem było pojawienie się posterunkowego Johnsona.

– Niemożliwe! Przecież dzieciak już wcześniej go widywał.

– To prawda, ale nigdy w mundurze. Ta przesyłka nadeszła wraz z dzisiejszą pocztą – z kieszeni spódnicy wyciągnęła list od władz Australii Południowej. Zdążyła go już przeczytać. Resztę korespondencji zostawiła w domu. – Adama znalazł poszukiwacz złota. Powiedział władzom, że przyszedł na farmę, licząc na jałmużnę, i usłyszał krzyk dziecka. W domu zastał chłopca i martwą kobietę. Udał się więc do najbliższego miasta, żeby sprowadzić pomoc. Gdy wrócił na farmę w towarzystwie policjanta, Adam wciąż był sam z od dawna już nieżyjącą matką.

– Mój Boże! – westchnął Hugh, patrząc na chłopca, którego najwyraźniej zahipnotyzował widok czyszczącej wełnę maszyny.

– Musiał przepłakać wiele dni – zauważyła Joanna. – Sądzę, że to przeżycie wyjaśnia jego obecne problemy z mówieniem.

– A przeraził się Johnsona, bo umundurowany policjant rozłączył go z matką. – Hugh

podszedł do powozu i zwrócił się do Adama: – Słyszałem, że się przestraszyłeś dzisiaj rano. Nie martw się, nikt cię stąd nie zabierze. Tutaj masz dom. Jesteśmy przecież rodziną, prawda? Chodź, zobaczysz, jak myjemy owce – wyciągnął rękę. Po chwili wahania chłopiec podał mu dłoń.

Gdy znaleźli się nad samą wodą i Adam z zaciekawieniem obserwował pracę maszyny parowej, Joanna zwróciła się do Hugh'a:

– Dla pana również nadeszła przesyłka, panie Westbrook – oznajmiła. – To paczka z Cameron Town, ze składu książek.

– Ach, tak... – Hugh nie odrywał wzroku od zwierząt przechodzących przez rzekę. – Może ją pani otworzyć, panno Drury. Zamówiłem tę książkę dla pani.

– Dla mnie?!

Hugh nie powiedział nic więcej, a Joanna pomyślała o podręczniku, na jaki natknęła się w jego domu – o historii australijskich kolonii od 1788 do 1860 roku. Znalazła w nim mapę, przedstawiającą wyspę na końcu świata, z miastami i osadami rozrzuconymi wzdłuż wybrzeża, wewnątrz której znajdowała się wielka pusta plama zwana „Nigdy Nigdy” – tajemnicze serce Australii. Było to nie zbadane centrum kontynentu, na mapę nie zostały naniesione żadne rzeki, góry ani punkty orientacyjne – rozległy ląd, którego podobno nie widział żaden biały człowiek. „Co tam może być? – zastanawiała się Joanna, patrząc na nią. – Jaki jest ten nie odkryty świat i jakie plemiona go zamieszkują? Czy istnieją tam jakieś miasta, o których nic nie wiedzą mieszkańcy australijskiego wybrzeża?”

Rozważania te niespodziewanie przywiodły jej na myśl tajemnicze serce Hugh'a Westbrooka, które było podobne do ogromnych przestrzeni „Nigdy Nigdy” – tak samo zagadkowe i nieodgadnione.

– To nowy proces czyszczenia wełny – rzekł po chwili Hugh z nagłym zażenowaniem. – Dotychczas wysyłaliśmy brudne runo do fabryk włókienniczych w Anglii i dopiero tam było prane. Odkryliśmy jednak, że uzyskamy więcej pieniędzy, jeśli zrobimy to sami przed załadowaniem wełny na statek.

– Pan Lovell powiedział, że nie jest pan zadowolony z wielkości tegorocznej strzyży, panie Westbrook.

– Obawiam się, że wszawica dotknęła moje najlepsze stada. Jak pani widzi, włókna są krucho i łamią się w wodzie. Runo z pięciu tysięcy sztuk owiec jest bezużyteczne, a roczny dochód zerowy.

Podczas swojego bardzo krótkiego pobytu w Australii Joanna zdążyła się już dowiedzieć, że całe życie hodowcy, a także jego pieniądze i reputacja zależą od wielkości strzyży. Co roku w grudniu żaden hodowca nie spoczął, dopóki potężne bele wełny nie zostały dostarczone do Melbourne, skąd były wysyłane drogą morską przez pośredników do fabryk włókienniczych w Lancashire, i dopóki nie wzbogacił się o roczny zysk. I teraz patrząc, jak runo rozpada się w wodzie, zrozumiała, dlaczego Hugh jest przygnębiony.

Nagle jej uwagę przykuła żółta piana zbierająca się przy brzegach rzeki. Joanna uklękła nad samą wodą i nabrała w dłoń woskowego osadu.

– Co to jest, panie Westbrook? – spytała.

– To, co zostaje splukane z wełny – tłuszcz, pot, brud...

– I lanolina?

– Tak, i lanolina.

– Hinduscy medycy oceniają ją bardzo wysoko – wyjaśniła, badawczo przyglądając się substancji na opuszkach palców.

– Twierdzą, że skóra wchłania ją szybciej niż sporządzone z olejów maści i dlatego stanowi doskonałą podstawę różnych leków, które nie mogą być przyjmowane doustnie. Moja matka często stosowała ją w leczeniu. Niestety, składnik ten, sprowadzany z Anglii, był bardzo drogi. A tutaj jest w zasięgu ręki: leży na brzegu rzeki. Czy mogę go trochę zebrać?

– Ależ oczywiście! Może pani to wykorzystać do tego celu – podał jej menażkę.

– Pomożesz mi, Adamie? Chłopiec przyskoczył ochoczo.

– Pokażę ci, jak to się robi. Delikatnie zgarniaj tylko pianę z powierzchni wody, o tak.

Przyglądając się Adamowi napełniającemu menażkę, Joanna się roześmiała.

– I pomyśleć, że moja mama odmierzała lanolinę z aptekarską dokładnością! Czy uwierzy pan, panie Westbrook, że czasami płaciłyśmy funta za słoiczek tej substancji i cztery funty za puszkę? A tutaj można ją brać za darmo.

– Zrobione! – rzekł Adam, pokazując napełnioną menażkę.

– Kiedy usunę zanieczyszczenia i oddzielę lanolinę od wosku, stanę się bogata. – Spojrzała na odrywającą się od brzegu pianę, którą porywał prąd strumienia. – Szkoda, że rzeka zabiera ze sobą tak cenną substancję! To wielkie marnotrawstwo!

– Dzisiaj po raz pierwszy użyłem tego urządzenia – odparł Hugh. – Do tej pory wysyłałem do Anglii nie oczyszczone runo.

Joanna na moment zapatrzyła się w wodę, a potem spytała:

– Czy pan wie, panie Westbrook, że pan Thompson, aptekarz z Cameron Town, bierze dziesięć szylingów za uncję lanoliny?

Lecz Hugh obserwując pianę, która znikła za zakrętem rzeki, przebywał myślami daleko.

Popołudnie było upalne i bezwietrzne. Adam spał po obiedzie, Joanna siedziała na werandzie i przeglądała korespondencję, którą przyniósł jej posterunkowy Johnson, a Bill Lovell usiłował sklecić małą klatkę dla osieroczonego misia koali.

Pierwszy list, który Joanna otworzyła, pochodził od władz kolonii Queensland i zamiast oczekiwanej mapy lub informacji, zawierał krótką notatkę: „Proszę uiścić sześć pensów za mapę topograficzną oraz dwa pensy za odszukanie w kartotekach akt małżeństwa Makepeace”.

Jednakże druga odpowiedź, która pochodziła z Uniwersytetu Cambridge, była bardziej obiecująca. „Patrick Lathrop – donosił autor listu – uczęszczał do Chrisfs College w latach 1826 – 1830. Ostatnią wiadomość od niego uczelnia otrzymała w 1851 roku, kiedy to pan Lathrop popłynął żaglowcem do Kalifornii i zatrzymał się w hotelu «Regent» w San Francisco. „

Joanna zmarszczyła brwi. Od tamtej pory upłynęło już dwadzieścia lat. Ale przynajmniej miała jakiś punkt zaczepienia, bo jeśli rzeczywiście pan Lathrop był bliskim przyjacielem dziadka, mógł znać dokładne miejsce jego pracy w misji.

Na końcu Joanna rozpakowała przesyłkę ze składu książek w Cameron Town, którą Hugh pozwolił jej otworzyć. Zerwała sznurek, zdarła brązowy papier i znalazła wewnątrz paczki książkę zatytułowaną „Kody, cyfry i zagadki”. Przeglądając w zdumieniu stronicę wypełnioną dziwnymi znakami graficznymi, doszła do wniosku, że Hugh po to zamówił tę pozycję, by mogła odszyfrować zapiski dziadka. „Zawarliśmy umowę” – powiedział jej pierwszego wieczoru w obozowisku przy Dopyłwie Emu. Joanna była pewna, że ta książka będzie miała dla niej szczególne znaczenie.

– Niech pani posłucha – rzekł Bill Lovell. – Ktoś śpiewa. Joanna podniosła głowę i usłyszała melodyjny dziewczęcy głos.

W cieniu szopy po drugiej stronie podwórza dostrzegła Sarę. Obejście i zagrody były puste i ciche, strzyża dobiegła końca, ekipa postrzygaczy pojechała dalej, a nad opustoszałym i niemal pozbawionym oznak życia domostwem ciężko zawisł dokuczliwy skwar.

Sara stała mniej więcej w tym samym miejscu co rano. Śpiewała wysokim głosem piosenkę w niezrozumiałym języku z powtarzającym się refrenem. Ani na chwilę nie odrywała od Joanny oczu.

– Skąd się Sara wzięła w Merindzie? – zapytała Joanna Billa, odczuwając nagle niepokój.

– Zatrudniłszy ją, ponieważ poprosił nas o to przełożony chrześcijańskiej misji dla tubylców, pastor Simms. Twierdził, że grozi jej utrata duszy.

– Co to znaczy?

– No cóż... zapewne przyłapali ją w chwili, gdy była wtajemniczana przez Aborygenki. Jednym z celów misji jest pokazanie tubylcom sposobu życia białego człowieka i niedopuszczanie do przyswajania przez nich plemiennych zwyczajów.

– W co kobiety wtajemniczały Sarę?

– Nie wiem, naprawdę. To ich tabu. Religijne praktyki są trzymane w ścisłej tajemnicy. Zapewne dotyczyły przekazywania młodym praw obowiązujących w klanie, zapoznawania z życiem przodków, ze szlakami-pieśniami i z wierzeniami. Jeśli tubylcza młodzież zostanie przyjęta do społeczności plemiennej, należy do niej do końca życia. Misjonarze tego nie lubią, ponieważ nad wtajemniczonymi Aborygenami trudno jest panować. Ale gdy młodzi ludzie nie zgłębią tajemnej wiedzy, nie zostają zaakceptowani przez klan. Zwracają się wtedy o pomoc do białych.

– To okrutne – zauważyła Joanna.

– Misjonarze kierują się szlachetnymi pobudkami, panno Drury. Działają w dobrej wierze i są przekonani, że dzięki nim tubylcy będą mieli lepsze życie. Niestety niektórzy misjonarze odczuwają lęk przed rdzennymi mieszkańcami tych ziem. Są zdania, że Aborygeni mają w duszy mroczne zło, które trzeba poskromić.

Joanna przyglądała się dziewczynie. Sara miała długie szczupłe kończyny i błyszczącą w słońcu skórę. Jej zwiewne jedwabiste włosy przywodziły na myśl wodospad. A melodia z powtarzającym się refrenem, którą nuciła, brzmiała mile dla ucha.

– Czy mieszkający w misjach tubylcy są szczęśliwi? – spytała Joanna, myśląc o swoich dziadkach.

– Nie potrafię odpowiedzieć – rzekł Bill. – Są skryci i trudno stwierdzić, co naprawdę

myślą. Biały człowiek wprowadził wiele ulepszeń w ich życie, ale wyrządził im też ogrom krzywd. Młodzi ludzie, którzy nie wychowują się wśród plemion, tracą swoją kulturową tożsamość. Starsze pokolenie ich nie uznaje, a jednocześnie są odrzucani przez społeczność białego człowieka.

Joanna przypomniała sobie o Ezekielu. Była ciekawa, co starzec myśli o Sarze – na wpół wtajemniczonej Aborygence pracującej na farmie białego człowieka. Ezekiel czasami też bywał zatrudniany przez Hughę. Co w głębi duszy sądził o nowej rasie, która wtargnęła na jego ląd?

– O czym ona śpiewa? – spytała Joanna.

– Domyślam się, że opowiada jakąś historię. Ich pieśni są odpowiednikami ksiązek. Rozumiem tylko pojedyncze słowa. Śpiewa o owcach... o owcach, które tracą runo.

Joanna jak urzeczona wsłuchiwała się w melodię i niezrozumiałe słowa pieśni.

– Wciąż napotykam dziwne przedmioty, Bill – wyznała, nie mogąc oderwać wzroku od Sary. Gdy je opisała, Bill stwierdził:

– Prawdopodobnie mają związek z odprawianiem czarów. A sądząc po sposobie, w jaki dziewczyna śpiewa, przypuszczam, że to ona je podkłada.

– Co oznaczają? I co to za czary?

– Nie wiem. Prawdopodobnie nauczyła się ich od tutejszych kobiet, z którymi zetknęła się w misji. Jest tylko w połowie Aborygenką. Wiem, że jej matka pochodziła z tych ziem, a ojciec był biały. Pewnie zdążyła jednak zgłębić niektóre tajniki plemiennej wiedzy, zanim pastor Simms zdołał ją wyrwać spod wpływu tubylców.

– Jak myślisz, czego ją uczyli?

– Kiedy jako mały chłopiec mieszkałem na australijskich pustkowiach, Aborygeni żyli tak samo jak w chwili przybycia białego człowieka przed stu laty. Pamiętam, że zwykli tańczyć rytualne tańce *corroborees* i śpiewali tajemnicze pieśni. Wierzyli wtedy w Czasy Snu i nie mieli pojęcia, czym jest kradzież ani prawo własności. Nie posiadali nic swojego. Każdy z nich był częścią tej ziemi. Wszystkim się dzielili. Kiedy jakiejś rodzinie się poszczęściło i upolowała dużego kangura, nikt nie chodził głodny. Dawali przyrodzie szansę na wygojenie ran. Nie opróżniali do końca kałuż w wyschniętym korycie rzeczonym, a polując, nigdy nie trzebili całej zwierzyny. Kiedy zabijali jakieś zwierzę, prosili je najpierw o przebaczenie. I odprawiali czary, które miały potężną moc. Sądzę, że właśnie z nimi tubylcze kobiety zapoznały Sarę.

Joanna pomyślała o swojej matce i o rdzennych Australijczykach, wśród których wychowywała się jako małe dziecko. A także o tajemniczej truciznie, która mogła od nich pochodzić i ją zniszczyć.

Ponownie ogarnęło ją znajome przeczucie nadciągającego nieszczęścia.

– Jaką moc ma pieśń, którą dziewczyna śpiewa – złą czy dobrą?

– Zapewne interesują panią również znalezione przedmioty? No cóż, pióra papugi kakadu, szczególnie te różowe i żółte, zwykle używane są jako amulet.

– Jako amulet? Co przez to rozumiesz, Bill? Wzruszył ramionami.

– Dziewczyna próbuje nas przed czymś ochronić. Joanna jeszcze przez chwilę

przyglądała się Sarze, a potem przypomniała sobie zapis w dzienniku swojej matki: „Znowu śniła mi się przeszłość. W każdym razie takie odniosłam wrażenie. Byłam małą dziewczynką. Przebywałam z ciemnoskórą kobietą – tą samą, która pojawiała się w innych snach i prawdopodobnie miała na imię Reena. Ukryłyśmy się za skałami i obie bałyśmy się czegoś. Reena układała w dłoniach pióra i śpiewała”. Pomimo upału Joannę przeszedł zimny dreszcz.

– Czy Sara uważa, że potrzebna nam jest jej pomoc?

Bill spojrział na trzymaną w dłoni gałązkę eukaliptusa, którą podawał misiowi koala do zjedzenia. Nie odpowiedział. Nie chciał zasmucać Joanny, informując ją, że stary Ezekiel z jakiegoś powodu nabrał do niej uprzedzeń i powiedział Hughowi, że jej obecność będzie miała zgubne skutki dla Merindy. Hugh zlekceważył ostrzeżenie, a starzec zaczął rozpowiadać wśród pracujących na farmie Aborygenów, że Joanna ściągnie na nich nieszczęście. Bill nie rozumiał, co stary Ezekiel ma przeciwko pannie Drury, jednak starzec cieszył się ogromnym autorytetem wśród zabobonnych parobków. Istniało duże ryzyko, że przestraszą się i odejdą. A Hugh nie mógł sobie teraz pozwolić na to, żeby ich stracić.

Sara przestała śpiewać. Ku zdumieniu Joanny podeszła i zatrzymała się przy schodach na werandę. Niespodziewanie w drzwiach pojawił się Adam. Gdy zobaczył dziewczynę, zbiegł do niej na dół. Obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem, a potem położyła rękę na jego głowie.

– *Wandjitrup* – powiedziała. Joanna zerwała się z miejsca.

– Co ona robi?

– Nie ma powodu do obaw, panno Drury. Sara nie skrzywdzi malca. W ten sposób okazuje dziecku swoją sympatię – kładąc mu rękę na głowie.

Joanna jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy dziewczyna uklękła i patrząc na Adama powiedziała:

– Nie umiesz ładnie mówić, Sara też. Poczujemy się nawzajem języka białego człowieka, zgoda?

A potem podniosła wzrok na Joannę i uśmiechnęła się przyjaźnie.



## ROZDZIAŁ 7

– Frank Downs otrzymał ostatnio nową mapę, panno Drury – zakomunikował Joannie Hugh, prowadząc powóz. – Powiedział mi, że obejmuje znacznie rozleglejszy obszar Australii niż wszystkie dotychczas sporządzone. Być może miejscowość Karra Karra też została na nią naniesiona.

Joanna nie spodziewała się, że zostanie zaproszona na przyjęcie, które Paulina wydawała na cześć Adama. Była więc zaskoczona, gdy Hugh poprosił ją, żeby wybrała się razem z nimi do Lismore.

– Adam będzie się czuł pewniej, mając panią przy sobie – argumentował. – A pani będzie miała okazję poznać ludzi, którzy mogą okazać się pomocni w poszukiwaniach. Choć moim zdaniem przede wszystkim warto liczyć na wsparcie Franka.

Był upalny listopadowy dzień. Mijali stada ostrzyżonych owiec. Pola zaczęły już żółknąć od piekących promieni słonecznych. Adam jechał w milczeniu, siedząc pomiędzy Joanną a Hughiem. Miał na sobie nowe ubranie i był starannie uczesany. Wyjaśnili mu, dokąd jadą i po co, lecz pomimo to sprawiał wrażenie, że nadal nie pojmuje celu ich wyprawy. Co to takiego jest przyjęcie i dlaczego wydawano je na jego cześć? Hugh też włożył dzisiaj swój najlepszy strój: elegancką, ciemnobrązową zamszową marynarkę, białą koszulę, tabaczkowe spodnie, błyszczące buty o wiśniowym odcieniu i kapelusz. Joanna była ubrana w żółtą aksamitną sukienkę i miała nakrycie głowy w tym samym kolorze.

Sara została w domu. Nikt nie pomyślał o tym, żeby ją zabrać, choć od pewnego czasu stała się nierozłączną towarzyszką zabaw Adama. Ostatnio wstawiono dla dziewczyny łóżko na werandę, a Joanna przerobiła dla niej dwie swoje sukienki. Sara zaczęła uczestniczyć w pracach domowych i pomagała przy zbieraniu ziół oraz korzeni, lecz przede wszystkim zajmowała się Adamem. Zabierała chłopca do lasu i opowiadała mu historie o zwierzętach – legendy „Jak koala stracił ogon” i „Dlaczego żółw ma skorupę”. Zachęcała go do rozmowy i nakłaniała do powtarzania słów. Adam mówił coraz więcej i coraz wyraźniej.

Joanna miała nadzieję, że dowie się czegoś od Aborygenki o tubylcach. Wypytywała ją o pieśni i o dziwne rzeczy, które znajdowała przed drzwiami domu. Usiłowała nawet wy badać, przed czym amulety mają chronić mieszkańców farmy, ale Sara udawała, że nie rozumie pytań. A może tak było w istocie?

Aborygenka coraz bardziej intrygowała Joannę. Niezaprzeczalnie jej sposób bycia cechowało pewne dostojeństwo. Posiadała też rozległą wiedzę o zjawiskach przyrody. Potrafiła na przykład przy bezchmurnym niebie przepowiedzieć deszcz.

– Pinky! – wykrzyknął nagle Adam.

Z naprzeciwna nadjeżdżał wymalowany w wesołe barwy rozklekotany wóz pana Shapiro, kołyszając się na boki i dzwoniąc rondlami. Pinky, stara klacz, zatrzymała się obok powozu Hugh Westbrooka, zanim domokrażca zdążył ściągnąć lejce.

– Miło mi powitać państwa w tak pięknym dniu – rzekł handlarz, uchylając sfatygowanego kapelusza. – Co za szczęśliwy traf, że się spotkaliśmy! Przywiozłem pocztę

dla pani, panno Drury – oznajmił, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

W Okręgu Zachodnim nie było urzędu pocztowego i przywożenie sąsiadom listów należało do powszechnie wyświadczanych grzeczności. Joanna przebiegła wzrokiem adres zwrotny na kopercie. Przesyłka pochodziła z siedziby misji Kościoła anglikańskiego w Sydney i była odpowiedzią na jej pytanie o dziadków.

Joanna uściła wymagane przez władze kolonii opłaty, a teraz z zaniepokojeniem oczekiwała na mapy i wyciągi z kartotek. Napisała również do wszystkich towarzystw misyjnych, jakie udało się jej zlokalizować w Australii. Dotychczas otrzymała odpowiedzi z pięciu i dowiedziała się, że małżeństwo Makepeace nie figuruje w rejestrach żadnego z nich.

– Proszę, Adamie – powiedziała, podając chłopcu list, tak jak to zwykle robiła. – Otworzysz kopertę?

– Wybieracie się na przyjęcie, prawda? – ciągnął pan Shapiro. – Widziałem po drodze wiele ciągnących do Lismore powozów. Pewnie szykują tam wspaniałą ucztę. Przypuszczam, że będzie dużo jedzenia. I mnóstwo piwa.

Uśmiechnął się nieśmiało, jak gdyby nagle poczuł się zażenowany z powodu własnych słów. Nikt nie znał historii życia pana Shapiro. Jak daleko wszyscy sięgali pamięcią, był nierozłącznie związany z Okręgiem Zachodnim. Mógł mieć siedemdziesiąt, ale równie dobrze dziewięćdziesiąt lat. Mówił z wyraźnym obcym akcentem. Handel, jaki prowadził, nie był zbyt dochodowy i starzec musiał często uciekać się do proszenia o poczęstunek. Słyszał jednak z uprzejmości. Krążyły plotki o jego zamordowanej dawno temu przez żołnierzy w starym kraju rodzinie: o żonie i o dziecku.

– Co to za kwiaty, panie Shapiro? – spytał Hugh, wskazując na bukiet w wiadrze na siedzeniu obok starca.

– To angielskie pierwiosnki, panie Westbrook. Świeżo zerwane z ogrodu dziś rano. Otrzymałem je jako zapłatę za nici.

– Ile pan za nie żąda? – spytał Hugh, sięgając do kieszeni. Zachmurzone oczy za grubymi okularami zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Jak od pana, panie Westbrook, dwa pensy. Bardzo proszę.

– Oto trzy pensy za pańską fatygę, panie Shapiro. Staruszek utkwiał wzrok w monetach leżących na dłoni i zacisnął wokół nich palce.

– Bóg wynagradza hojnych ludzi, panie Westbrook – stwierdził, a potem chwycił za lejce i odjechał.

Hugh podał kwiaty Joannie, nim sam również sięgnął po cugle.

– To dla pani.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– We włosy, Joanna – odezwał się Adam.

– Dobrze – rzekła, trochę zmieszana z powodu nieoczekiwanego gestu Hugh'a. Podala chłopcu bukiet, wybrała kilka drobnych kwiatów i wetknęła je w kok.

Adam podał jej otwarty list. Prędko przebiegła wzrokiem zwięzłą treść. Ku jej rozczarowaniu urzędnik Kościoła anglikańskiego w Sydney utrzymywał, że w tamtejszych rejestrach nie ma zapisu, który by świadczył o tym, że małżonkowie Makepeace przebywali w

australijskich misjach.

– Dobre nowiny? – spytał Hugh.

– Niestety nie. Okazuje się, że mój dziadek nie był misjonarzem Kościoła anglikańskiego.

– Złożyła list. Zamierzała dołączyć go do coraz większego stosu korespondencji.

W czasie podróży widzieli tu i ówdzie skryte pomiędzy drzewami domostwa. Hugh opowiedział Joannie historię każdego z nich. Jeszcze za czasów poprzedniego pokolenia ten ład był zupełnie nie znany Europejczykom i równie tajemniczy jak księżycowy krajobraz. Gdy raporty pierwszych badaczy dotarły do Anglii, gdzie nie było już żadnej „ziemi niczyjej”, tylko posiadłości zazdrośnie strzeżone przez starą arystokrację, rozpoczęła się masowa emigracja. Do australijskich kolonii przybywali mieszkańcy Anglii, Szkocji i Walii, Cameronowie, Hamiltonowie i MacGregorowie, z liczną dziatwą i banalnymi marzeniami. Podejmowali walkę z tubylcami, którzy zamieszkiwali te tereny od tysięcy lat, i wybijali ich albo wypierali z ziem przodków. Wycinali lasy, robili na rzekach tamy, hodowali owce i uprawiali pszenicę. Szybko się bogacili. Budowali wielkie domy, a ich żony nosiły drogie suknie. Tworzyli koła myśliwskie oraz elitarne kluby dla dżentelmenów i zapominali o tym, że byli kiedyś górnikami i zamiataczami ulic.

Mieszkali teraz w okazałych rezydencjach zaprojektowanych w różnych stylach – georgiańskim, elżbietańskim i gotyckim – którym nadawali imponujące nazwy. Jedne oddawały ducha kraju pochodzenia ich właścicieli – na przykład szkocki zamek Kilmarnock. Inne odzwierciedlały gusty jego mieszkańców, tak jak „Willa Śródziemnomorska” w Barrow Downs. Była wśród nich także dziwaczna mauretańska budowla zamieszkiwana przez gałąź rodziny Cameronów. Joanna odkryła, że w okolicy nie ma dwóch podobnych do siebie domów. Wszystkie na swój sposób sprawiały wrażenie, że należą do innego miejsca na świecie.

Nawet w ogrodach rosły kwiaty i drzewa sprowadzone z Anglii, ze Szkocji i z Irlandii. Od czasu do czasu dostrzegała królika lub sarnę – zwierzęta również nie pochodzące z kontynentu australijskiego. Podobnie było z ptakami, takimi jak szpaki, wróble czy szczygły. Uderzający wydał się Joannie fakt, że mieszkańcy tych imponujących posiadłości za wszelką cenę starali się stworzyć wrażenie, że nie żyją w Australii, lecz w Suffolk, Yorkshire czy Cork.

Lismore, o czym Joanna wkrótce miała okazję się przekonać, nie było wyjątkiem. Gdy Hugh zboczył z głównej drogi i skierował powóz w stronę podjazdu wysadzanego po obu stronach wiązami, przed jej oczami pojawił się angielski dwór, który przypominał okazałe domy, jakie widywała niedaleko miejsca zamieszkania ciotki Millicent. Przed budynkiem rozpościerał się nienagannie utrzymany trawnik. Ogrodnicy musieli nieźle się namozolić przy grabiach, nożycach i wężach do podlewania, żeby trawa narażona na działanie australijskiego słońca zachowała angielską zieleń.

Przed frontem domu stał rząd powozów. Hugh znalazł wolne miejsce pomiędzy nimi i oddał lejce chłopcu, który podbiegł, gdy tylko zajechali. Wybrukowaną alejką przeszli na tyły domu, gdzie odbywało się przyjęcie.

Joanna była zaskoczona, że przybyło aż tak wielu gości. Niektórzy siedzieli przy

stolikach, inni stali w cieniu drzew, pili, jedli i prowadzili ciche rozmowy. Po ogrodzie biegały dzieci w różnym wieku. Joanna doszła do wniosku, że jest tu reprezentowana większość zamożnych rodzin z okolicy. Przy długich, nakrytych białymi obrusami i zastawionych jedzeniem stołach uwijała się służba. Grube plastry wołowiny i mięsa jagnięcego skwierczały na ogrodowych rożnach, z olbrzymich beczek piwa i wina napełniano nie kończące się szeregi szklanek. Na jednym z trawników dorośli grali w krykieta, a na innym w badmintona. Atrakcją dla dzieci była mała karuzela poruszana przez osła. Pod płóciennym pasiastym baldachimem grała kapela. Wszystko to bardziej kojarzyło się Joannie z jarmarkiem niż z prywatnym przyjęciem w ogrodzie.

Ujrzawszy zmierzającą w ich stronę pięknie ubraną kobietę, Joanna domyśliła się, że to narzeczona Hugh'a. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażała. Paulina Downs – w przeciwieństwie do swojego brata, którego Joanna poznała podczas przypadkowego spotkania w Melbourne – była wysoka, miała gęste blond włosy i pomimo panującego upału nosiła imponującą zieloną suknię z weluru oraz ozdobiony piórami kapelusz w tym samym kolorze.

– Witaj, kochanie – rzekła, biorąc Hugh'a pod rękę i całując go w policzek. – Z niecierpliwością czekaliśmy na wasze przybycie. Wszyscy chcemy jak najprędzej poznać Adama.

– Paulino – powiedział Hugh – pozwól, że ci przedstawię pannę Joannę Drury.

Joanna poczuła na sobie chłodny wzrok gospodyni.

– Miło mi. – Paulina skinęła głową i zwróciła się do dziecka: – Jak się miewasz, Adamie? – Wyciągnęła do niego dłoń.

– Wkrótce będę twoją nową mamą. Podoba ci się przyjęcie? Zostało zorganizowane specjalnie dla ciebie.

Gdy chłopiec się cofnął, Joanna upomniała go:

– Przywitaj się, podaj rękę pannie Downs. – A potem skinęła zachęcająco głową i dodała cicho: – Śmiało, Adamie.

Paulina wsunęła dłoń pod ramię narzeczonego.

– Musimy znaleźć Franka, Hugh. Niedawno otrzymał telegram z Melbourne i jest bardzo ożywiony. Najprawdopodobniej twoje przedsięwzięcie z lanoliną okaże się bardzo zyskowne.

– Zawdzięczam to pannie Drury – wyjaśnił Hugh. – To był jej pomysł.

– Naprawdę? – Paulina przestała się uśmiechać. Zmierzyła Joannę od stóp do głów, obrzucając spojrzeniem kwiaty w jej włosach. – To miło – rzekła i odwróciła się do Joanny tyłem.

– Chodźmy. Musimy przedstawić Adama jego nowym przyjaciom.

– Szukałem cię, Westbrook – zaczepił Hugh'a postawny mężczyzna o rumianej twarzy i grzmiącym głosie. – Chciałem z tobą porozmawiać o nowym urządzeniu do czyszczenia wełny. Słyszałem, że jest...

– Nie teraz, John – przerwała mu Paulina. – Hugh dzisiaj należy tylko do mnie. Poznaj Adama, naszego honorowego gościa.

– Możesz przyjechać i obejrzeć maszynę, kiedy tylko zechcesz – zaproponował Hugh. Inni goście słysząc to, podeszli bliżej i zaczęli wypytywać o najnowszy wynalazek.

Joanna obserwując Hughę, Adama i Paulinę, którzy znaleźli się nagle w centrum zainteresowania wszystkich obecnych, doszła do wniosku, że popełniła błąd przyjeżdżając tutaj. Czuła, że jest niepożądanym gościem.

Wmieszała się w tłum obcych ludzi. Jedni udawali, że nie wiedzą, kim jest, inni posyłali jej zaciekawione spojrzenia. Nagle przypomniała sobie o mapie, o której mówił Hugh, i postanowiła wejść do domu. Trafiła do kuchni zatłoczonej pokojówkami i szoferami. Służba najwidoczniej urządziła własne przyjęcie. Wszyscy zamilkli na jej widok i wydawali się zmieszani.

– Czy mogłabym w czymś pani pomóc? – zwróciła się do niej starsza kobieta w czarnej sukni, z pękiem kluczy u pasa.

Jeden z mężczyzn zerwał się z miejsca i w popłochu włożył marynarkę. Joanna odparła pośpiesznie:

– Nie, dziękuję. Przemierzyła prędkim krokiem kuchnię i weszła w głąb domu.

Za jej plecami na nowo podniósł się gwar rozmów i śmiechy.

Znalazła się w mrocznym korytarzu. Jedne tylko drzwi w głębi były otwarte. Podeszła tam i zajrzała do środka. Ściany pokoju od podłogi po sufit zapełniały półki z książkami. Dostrzegła głębokie skórzane fotele i turecki dywan. A potem zauważyła mapę.

Wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał Hugh – przedstawiała cały australijski kontynent, z miastami wzdłuż linii wybrzeża, miasteczkami i osadami oraz wielkim, pustym wnętrzem. Joannę ogarnęło podniecenie. Łudziła się, że wypatrzy miejscowość o nazwie przypominającej Karra Karra lub „Dopływ Dro... „, jaka figurowała w akcie własności. Ze szczególną uwagą przemierzała wzrokiem przylądki i rzeki, gdzie mogli zatrzymać się jej dziadkowie. Miała nadzieję, że nie zapuścili się w głąb lądu. Ale nie znalazła żadnej nazwy bodaj zbliżonej do tych, których szukała. Utkwiła oczy w pustej plamie pośrodku kontynentu, bez miast, bez rzek i bez jakichkolwiek oznaczeń, jak gdyby obszar ten przykryła chmura. „Karra Karra musi być gdzieś tam” – pomyślała rozczarowana.

Kiedy cofnęła się o krok, spostrzegła na biurku kartkę zapisaną znajomym pismem. Był to wiersz zatytułowany „Swagman”, zanotowany ołówkiem na odwrocie rachunku ze sklepu z artykułami zbożowymi. Joanna wiedziała już, że natchnienie spływało na Hughę w najdziwniejszych momentach: gdy sprawdzał ogrodzenie albo dokonywał inspekcji stada. Zwykł zapisywać swoje myśli na świstkach papieru, jakie znajdowały się pod ręką.

Nagle otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do biblioteki.

– Ach, tutaj pani jest, panno Drury. Jak widzę, znalazła pani mapę. Czy odkryła w niej pani coś interesującego?

– Niestety nie.

– Co pani o tym myśli? – spytał Hugh, widząc, że czyta jego wiersz.

– Jest bardzo ładny, chociaż niezupełnie dla mnie zrozumiały. Co znaczy, na przykład, słowo *swagman*?

– To człowiek, który wędruje po australijskich pustkowiach, niosąc na plecach toból z całym swoim dobytkiem.

– Czyli inaczej wędrowiec?

– Raczej włóczęga.

– Skąd się wzięło to określenie?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że pochodzi z czasów, gdy byli tu wysyłani pierwsi skazańcy.

Spojrzeni na siebie poprzez dzielący ich i skąpany w słońcu pokój.

– Rozmawiałem przed chwilą z Frankiem. Przekazał mi dobre wieści – rzekł Hugh. – Zaraz na drugi dzień po naszym spotkaniu nad rzeką zacząłem się rozglądać za rynkiem na otrzymywaną w procesie czyszczenia runa lanolinę. Przedyskutowałem tę sprawę z Frankiem, który zna wszystkich biznesmenów od Adelajdy po Sydney. Skontaktował się z dwoma towarzystwami farmaceutycznymi. Wyraziły zainteresowanie naszą ofertą. Otrzymaliśmy też zapewnienie, że kupią od nas każdą ilość tej substancji! – Umilkł. – Tak więc pomimo wszystko osiągnę w tym roku zyski. I zawdzięczam to pani, panno Drury.

Joannę uderzyło nagle spostrzeżenie, że Hugh pasuje do tego eleganckiego wnętrza. Chata i zabłocone podwórze w Menndzie zdawały się nie mieć nic wspólnego z tym wysokim, przystojnym mężczyzną w zamszowej marynarce. Uzmysłowała sobie, że nie zna go jeszcze od tej strony. I nasunęła się jej myśl: „Powinien mieszkać w wytwornym domu i żyć jak dżentelmen”.

– Wróćmy na przyjęcie – zaproponował i podał jej ramię.

– Jak sobie radzi Adam? – spytała. – Boję się, że tak liczne towarzystwo może go przestraszyć.

– Odnoszę wrażenie, że chłopiec czuje się bardzo zagubiony.

W holu Joanna zwróciła uwagę na osobliwe obrazy, których nie zauważyła wcześniej. Przystanąła, żeby się im bliżej przyjrzeć.

Nie były to zwykle olejne płótna, lecz duże kawałki kory, ozdobione koncentrycznymi kołami, falistymi liniami, skupiskami kropek i rzędami kresek.

– To malarstwo na korze – wyjaśnił Hugh, dostrzegając jej zaciekawienie. – Frank kupił te obrazy kiedyś od starego tubylca, który pochodził z plemienia żyjącego na północy.

Im dłużej Joanna przyglądała się malowidłom, tym stawały się mniej chaotyczne i zaczęły się z nich wyłaniać kształty. Dostrzegła ludzką twarz, kobietę z dużym biustem, mężczyznę z wyolbrzymionymi genitaliami, kangura z małym, coś, co wyglądem przypominało drzewo, chmury i rzekę, i w końcu wokół wszystkich figur zobaczyła dużego węża, który sprawiał wrażenie, że je zamierza pochłonąć.

– Ten rysunek jest przerażający – stwierdziła, cofając się o krok.

– Prawdopodobnie odebrała pani zamysł jego twórcy. Starzec, który sprzedał Frankowi ten obraz, nazwał go trucizną-pieśnią.

Joanna spojrzała na Hugh'a zaskoczona.

– Trucizną-pieśnią?!

– To metoda karania winnych. Tubylcy mieli bardzo ściśle określone reguły postępowania i jeśli ktoś łamał jedno z ich licznych praw lub naruszał tabu, skazywano go na śmierć. A jednym ze sposobów egzekucji było „unicestwienie śpiewem”. Czy widzi pani rysunki pośrodku obrazu? Reprezentują wszelkie stworzenie: ludzi, zwierzęta, drzewa, rzeki i

chmury. A kształt na obrzeżu malunku przedstawia Tęczowego Węża, który zamierza to wszystko pożreć. Kobietapieśń i mężczyzna-pieśń potrafili, patrząc na rysunek, wyśpiewać truciznę-pieśń. Wierzyli, że osoba, dla której jest przeznaczona, umrze.

Joannę przeszedł chłód.

– I co? Czy ludzie pod jej wpływem naprawdę umierali?

– Słyszałem opowieści, które to potwierdzały. Trucizny-pieśni słyną ze swojej magicznej mocy i człowiek, któremu ją wyśpiewano, nie może odwrócić swojego losu. Lekarze są wówczas bezsilni.

Joanna patrzyła na Hugh'a szeroko otwartymi oczami, w których czaił się lęk.

– Czy to możliwe... że moja matka bała się tej trucizny? – spytała z trudem. – Czyżby ktoś odśpiewał truciznę-pieśń? Ale dla kogo przeznaczoną? Dla rodziców mojej matki czy dla niej samej? Czy to prawdopodobne, żeby przypomniawszy sobie o wydarzeniu, którego była świadkiem jako dziecko? Jak pan sądzi, panie Westbrook, czy moją matkę zabiła trucizna-pieśń?

– Wątpię w to, panno Drury. Powiedziała pani, że w tamtym czasie lady Emily była małą dziewczynką. Zapewne niewiele rozumiała z tego, co się działo.

Nagle Joanna przypomniała sobie o zapiskach dziadka.

– A jeśli notatki, które dziadek wysłał razem z moją matką do Anglii, zawierają truciznę-pieśń? Mógł nie zdawać sobie z tego sprawy. Czy istnieje prawdopodobieństwo, że dokumenty, które staram się rozszyfrować, są właśnie tą klątwą?

– To tylko przesady, panno Drury. Nam, cywilizowanym ludziom, trudno dać wiarę, by pieśń mogła zabić – rzekł Hugh. lecz sam dosłyszał brzmącą w swoich słowach nieszczerłość. Lata spędzone wśród australijskich pustkowi, gdy jego jedynymi towarzyszami zabaw byli chłopcy z tubylczych plemion, nauczyły go, że istnieją tajemne moce, które wykraczają poza granice zdrowego rozsądku i opierają się wszelkim naukowym wyjaśnieniom.

Nagle przypomniał sobie sprzeczkę z Ezekielem sprzed dwóch dni. Aborygen twierdził, że Joanna powinna opuścić Merindę. „Widzę wokół niej duchy, szefie – oznajmił starzec. – Tkwią w niej silne moce. Jej obecność zakłóca równowagę. Przodkowie radzą mi w snach, żeby odeszła. „

Hugh ponownie zganił starca za plecenie głupstw i oświadczył, że nie chce więcej słyszeć na ten temat ani słowa. Ezekiel mimo to stwierdził: „Pańskie stada dotknęła wszawica, poniósł pan znaczne straty i spotkają pana jeszcze większe nieszczęścia”. Hugh wiedział, że stary Aborygen przestrzega innych tubylców, iż pracują na nawiedzonej przez zło farmie. Jak dotąd odeszło już czterech najlepszych pracowników, a pozostałych ogarnął lęk.

Widząc strach w oczach Joanny, Hugh postanowił nie dopuścić do tego, żeby dowiedziała się, co Ezekiel wokół rozpowiada.

– Panno Drury – rzekł, dotykając jej ramienia – chodźmy sprawdzić, co porabia Adam.

Gdy wyszli z domu, Joannę na moment oślepił blask słońca i przestroniła ręką oczy. Wciąż miała przed nimi tajemnicze malowidła oraz ich groteskowe piękno.

Paulina natychmiast porwała Hugh'a. Joanna usłyszała, że ktoś ją woła.

Obejrzała się. W jej stronę zmierzał doktor Ramsey. Miał na sobie ciemnozielony frak,

czarny krawat i był bez nakrycia głowy. Jego włosy połyskiwały złotem w promieniach słońca.

– Cieszę się, że panią widzę, panno Drury.

– Dzień dobry, doktorze Ramsey.

– Co u pani słuchać? I jak się czuje Adam? Czy zdołała go pani nakłonić do mówienia?

– Tak, lecz wciąż jeszcze mówi mało i niewyraźnie – odparła, rozglądając się za chłopcem. Dostrzegła go wśród grupy dzieci.

– Niestety, wiemy bardzo niewiele na temat ludzkiego mózgu – stwierdził lekarz. – Nie wątpię jednak, że pani dobroć i cierpliwość okażą się dla malca zbawienne. Szczęściarzem z niego, że ma panią za opiekunkę, panno Drury. Chodźmy na lampkę szampana... Czytam właśnie Darwina „O powstawaniu gatunków” – wyznał, gdy szli obok siebie. – Czy zna pani tę książkę?

– Nie, ale słyszałam o niej – odparła Joanna, czując na sobie czyjś wzrok. – Mój dziadek, którego miejsce pobytu w Australii staram się ustalić, studiował w Cambridge razem z Darwinem.

Obrzuciła spojrzeniem gości w ogrodzie. Nikt na nią nie patrzył, a jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest obserwowana.

– Zazdroszczę Darwinowi – wyznał Ramsey. – Zapisał się na zawsze w historii ludzkości. W dzisiejszych czasach tak dużo dzieje się w nauce, a zwłaszcza w medycynie, dokonywane są liczne odkrycia i mamy wielu wspaniałych naukowców. Weźmy na przykład Pasteura, Listera czy Kocha. Przyszłe pokolenia na pewno będą o nich pamiętać. Chciałbym dorzucić i swoją cegiełkę w rozwój medycyny, panno Drury.

W tym momencie Joanna spostrzegła na obrzeżach ogrodu Ezekiela. Miał na sobie tę co zwykle postrzępioną koszulę i zakurzone spodnie. Stał nieruchomo, niczym posąg. Tylko jego długie siwe włosy i broda powiewały w podmuchach wiatru. Przeszywał Joannę wnikliwym spojrzeniem.

– Dobrze się pani czuje, panno Drury?

– Tak, dziękuję – odparła z uśmiechem, choć przelekła się świdrującego wzroku Ezekiela.

Spostrzegła, że Adam znajduje się w centrum uwagi małej grupy osób, które robią mnóstwo zamieszania, usiłując mu włożyć na głowę zabawny kapelusz, jakie dzieci noszą podczas przyjęć – Wołałabym, żeby Adama zostawiono w spokoju – rzekła Joanna. – Chłopiec nadal nie ufa ludziom, a tłumy go przerażają. Kim jest ten ładny dzieciak o blond włosach, który z nim rozmawia?

– To Judd, syn Colina MacGregora, który stoi tuż za nim. Ojciec Colina należy podobno do szlacheckiego szkockiego rodu.

Joanna spojrzała na ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę czuwającego nad chłopcami, którzy podejmowali nieśmiałe próby nawiązania przyjaźni.

– Ach, to mąż Christiny MacGregor. Jak ona się miewa?

– Jeśli będzie ostrożna, donosi ciążę. Czy widzi pani tę władczą damę w czarnej sukni zabawiającą towarzystwo?

Joanna spostrzegła kobietę okazałej postury w obszernych krynolinach, która dominowała



nad gronem niewiast pijących herbatę.

– To Maude Reed – rzekł Ramsey – najbardziej dostojna matrona w okolicy. Ma osiem córek, dwadzieścia troje wnuków oraz ponad trzydzieścioro prawnuków, a troje nowych w drodze. Jej mężem jest John Reed – lekarz wskazał postawnego mężczyznę, stojącego w towarzystwie Hugh Westbrooka i Franka Downsa.

Joanna zauważyła, że Hugh spojrział w kierunku Ezekiela i zachmurzył się nagle. Gdy David Ramsey opowiadał jej o innych gościach obecnych na przyjęciu, ona obserwowała Hugh, który podszedł do starego Aborygena. Dzielili ją od nich zbyt duża odległość, by mogła dosłyszeć, o czym mówią, odniosła jednak wrażenie, że Hugh jest zły. Ezekiel miał twarz bez wyrazu; potrzasał tylko głową i gestykulował.

– Doktorze Ramsey...

– Proszę nie zwracać się do mnie w tak oficjalny sposób. Na imię mam David.

– Zgoda, mówmy sobie po imieniu. Czy widzisz tamtego starego człowieka, Davidzie?

– To Ezekiel. Myśliwi często najmują go na polowania jako naganiacza.

– Czy mieszka w Lismore?

– Och, nie. Nikt nie wie, gdzie żyje. Zjawia się co jakiś czas i ludzie najmują go do pracy. Tajemnicą jest, gdzie się podziewa między podjęciem kolejnych robót.

– Dlaczego na nas patrzy?

– Myślę, że jest zaciekawiony.

Twarz Ezekiela nadal pozostała nieporuszona, podczas gdy Hugh był najwyraźniej wściekły. Joanna zastanawiała się, co może być powodem ich kłótni. Czyżby ona? Przypomniała sobie o obrazie trucizny-pieśni i o swoich snach. I ponownie przeszedł ją zimny dreszcz.

– Chciałbym wiedzieć, Joanno, czy będzie mi wolno czasami dokąś cię oficjalnie zaprosić. W wigilię Bożego Narodzenia jest organizowany bal w Strathfield. Czułbym się ogromnie zaszczycony, gdybyś zechciała mi na nim towarzyszyć.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Powinnam w tym dniu zostać w domu z Adamem.

– A co powiesz na piknik w którąś z niedziel?

Joanna spojrzała na miłą twarz Davida – na zielone oczy okolone złotymi rzęsami oraz na plamki piegów na policzkach – i zdziwiła się, jak on młodo wygląda, choć jest co najmniej o pięć lat od niej starszy.

Spostrzegła, że Hugh wrócił do gości, a Ezekiel oddalił się i zniknął pomiędzy drzewami. Paulina podeszła do narzeczonego i władczo wzięła go pod ramię. Joanna usłyszała własne słowa:

– Dobrze, Davidzie. Chętnie wybiorę się z tobą na piknik. Nagle Adam zaczął głośno płakać. Podbiegła i wzięła go na rękę.

– Nie zrobiłem nic złego. Próbowałem go tylko rozśmieszyć – usprawiedliwiał się mężczyzna w stroju klauna.

– Cicho, Adamie, nie płacz – uspokajała chłopca Joanna.

– To tylko zabawa.

– Kto to słyszał, żeby taki duży chłopiec bał się klauna!

– Maude Reed podeszła, szeleszcząc obszernymi krynolinami.

– On się na tym nie zna – wyjaśniła Joanna. – Nigdy nie chodził na przyjęcia ani nie widywał klaunów. Wkrótce oswoi się z nowymi atrakcjami.

– Panna Drury ma rację, Maude. – Paulina precyzyjnie się przez tłum gości. – Chodź na lody, Adamie. Założę się, że nigdy przedtem ich nie próbowałeś. Panno Drury, jeszcze nic pani nie jadła. Zapraszam do stołu!

Podeszli do bufetu zastawionego ciastkami, puddingami, sałatkami, zimnymi mięsami, serami i owocami, przy którym kelnerzy obsługiwali gości, a kucharze kroili szynkę, pieczoną wołowinę i dziczyznę. Paulina podała Adamowi miseczkę z lodami, które chłopiec najpierw ostrożnie skosztował, a potem zaczął pałaszować z zapałem.

– Proszę się poczęstować puddingiem, panno Drury – zwróciła się do Joanny. – Zapewniono mnie, że jest przyrządzony według oryginalnego przepisu australijskiego, który podobno wymyślili pierwsi zesłani tutaj skazańcy. Hugh powiedział mi, że *M* przybyła pani z Indii. Musi się pani czuć obco w kolonii Wiktorii. Jest pani pewna, że zdoła pani przywyknąć do tutejszych warunków? Z pewnością prowadzimy odmienny tryb życia niż ten, do którego jest pani przyzwyczajona. Z nami, mieszkańcami Okręgu Zachodniego, przybyszym zwykle trudno się zasymilować. Często okazuje się to wręcz niemożliwe.

Paulina nałożyła na swój talerz odrobinę sałatki ziemniaczanej, ostrygi i kilka plasterków pieczeni.

– Niedawno przyплыnęła do nas z Anglii kobieta – mówiła dalej. – Była młoda i niedoświadczona, podobnie jak pani. Wyszła za mąż za jednego z tutejszych hodowców, lecz wytrzymała w Australii tylko rok. Doszła do wniosku, że nie znosi tutejszego życia, i najbliższym statkiem wróciła do starego kraju.

– Jestem tylko przejazdem w kolonii Wiktorii, panno Downs – wyjaśniła Joanna. – Przybyłam do Australii, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego na temat ziemi, którą odziedziczyłam, i historii mojej rodziny.

– Naprawdę? – Paulina widząc, że miseczka Adama jest pusta, odstawiła swój talerz. – Chodź ze mną, Adamie. Chciałabym ci coś pokazać. Pani również, panno Drury.

We trójkę weszli do domu.

– Słyszałam, że otoczenie jest bardzo ważne dla rozwoju dziecka – mówiła, gdy pokonywały ciąg szerokich schodów. – Dobrze znam Merindę. Nie ma tam odpowiednich warunków do wychowywania dziecka. A to podwórze! Przyzna pani, że to nie jest najlepsze miejsce dla chłopca.

– Adam przywykł do życia na farmie – stwierdziła Joanna.

– Być może, ale nie będzie tam dłużej mieszkał. Wróci na Merindę, gdy Hugh wybuduje dom. Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Paulina, otwierając drzwi i usuwając się na bok.

Adam i Joanna weszli do dziecięcej sypialni. Stało w niej łóżko z baldachimem i szafa, ściany zdobiły tapety w kwiaty, a przez mansardowe okno sączyły się promienie słońca. Pokój zawałony był zabawkami. Znajdowały się tu pluszowe misie, żołnierzyki z drewna, pociąg z wagonami, sztalugi i farby oraz koń na biegunach – wszystko, o czym dziecko

mogło tylko zamarzyć.

– Kupiłam to osobiście i specjalnie wybrałam dla Adama. Paulina przyklekła przy chłopcu i spytała: – Co myślisz, Adamie, o swoim nowym pokoju?

Joanna rozejrzała się po wnętrzu. Zastanawiała się, jak dzieciak zniesie przebywanie w tym pomieszczeniu po swobodzie, do jakiej przywykł nad rzeką.

– Chciałabym, żebyśmy się jak najprędzej zaprzyjaźnili – ciągnęła gospodyni. – Począwszy od dzisiaj zamieszkas w Lismore – oświadczyła, a potem zwróciła się do Joanny:

– Po przyjęciu chłopiec nie pojedzie do Merindy, lecz zostanie tutaj.

– Pan Westbrook nic o tym nie wspominał.

– Hugh jeszcze o tym nie wie, ale na pewno się zgodzi. Oboje z Adamem musimy mieć trochę czasu, żeby do siebie przywyknąć.

– Dobrze panią rozumiem – rzekła Joanna – ale w życiu chłopca nastąpiło ostatnio wiele zmian. Poniósł straszliwą stratę i doświadczył niewyobrażalnego wprost nieszczęścia.

– Hugh powiedział mi o wszystkim. Zamierzam wynająć prywatnego nauczyciela, który będzie udzielał Adamowi lekcji prawidłowej wymowy. Jak ci się podoba ten pomysł, Adamie?

Joannę zatrwożyła myśl o przetrzymywaniu chłopca w sali lekcyjnej. A potem odkryła w sobie również inne uczucie – zazdrość, i to nie tylko o Adama.

Wrócili do stołu, gdzie Hugh, Frank i John Reed raczyli się angielskimi biszkoptami oraz truskawkami.

– Szaleństwem jest sądzić, Hugh, że zdołasz wyhodować rasę owiec przystosowaną do życia w Cmeenslandzie i w Nowej Południowej Walii – przekonywał John Reed. – Z powodu nadmiernej suszy i zbyt wysokich temperatur hodowla nie może się tam udać. Takie próby już były podejmowane, lecz żadna z nich nie zakończyła się powodzeniem.

– Ja zamierzam odnieść sukces – oświadczył Hugh.

– Wy, Queenslandczycy, jesteście okropnie uparci.

– Ale za to potrafimy przetrwać w każdych warunkach – zauważył Hugh z uśmiechem. John zmierzył wzrokiem Franka.

– Jesteś dzisiaj podejrzanie małowówny. To niepodobne do ciebie.

– Muszę przemyśleć kilka spraw – rzekł Frank.

Chciał zaprosić na dzisiejsze przyjęcie Ivy Dearborn, lecz Paulina nie wyraziła na to zgody. Ivy w pubie powiesiła na ścianie jego portret, lecz w dalszym ciągu odrzucała wszystkie propozycje Franka. Nie miał o to żalu, po prostu dbała o swoją reputację. Podejrzewał, że pragnie być traktowana z szacunkiem – w odmienny sposób, niż zwykle ludzie odnoszą się do barmanek. Ale czy mogło być coś bardziej niewinnego i zacniejszego niż przyjęcie wydawane na cześć małego chłopca, sieroty? Paulina zajęła jednak w tej sprawie nieugięte stanowisko i Frank musiał ustąpić. Gdyby postawił na swoim i przyprowadził Ivy, siostra bez wątpienia nie przyjęłaby jej grzecznie. Definitywnie straciłby u wybranki szansę. Wciąż nie dawał za wygraną. Im więcej zaproszeń odrzucała, tym bardziej mu na niej zależało. Skorygował swoje pierwsze wrażenie o jej raczej tuzinkowej urodzie. W ciągu ubiegłych tygodni podczas częstych wizyt „U Finnegana” Frank odkrył w Ivy subtelny

urok – nieosiągalna, stała się dla niego obiektem pożądania. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Frank miał nadzieję odpowiednim podarunkiem zwrócić na siebie jej uwagę.

John Reed zagadnął Hugh'a.

– Widziałem przed chwilą, że rozmawiałeś z Ezekielem. Nie byłeś zbytnio zadowolony. Czym się zdenerwowałeś?

– To sprawy związane z farmą, John – odparł Hugh, nie odrywając oczu od kieliszka.

– Ezekiel wszystkim rozpowiada, że nad Merindą od pewnego czasu ciąży fatum. Słyszałem o tym od ludzi z mojej farmy i uznałem, że powinienem ci o tym powiedzieć – rzekł Frank.

– Rozumiesz coś z tego?

– Nic a nic – odrzekł Hugh, zerkając w stronę Joanny.

– Po prostu miałem pecha, tuż przed okresem strzyży wszawica dotknęła moje stado. Przypuszczam, że Ezekiel próbuje jakoś po swojemu to wytłumaczyć.

– O, panna Drury! – Frank zwrócił się do Joanny. – Mam nadzieję, że pani mnie pamięta. Spotkaliśmy się kiedyś przypadkowo w Melbourne. Czy dowiedziała się pani czegoś o swoim akcie własności?

– Oczywiście, że pana pamiętam, panie Downs – rzekła Joanna i opowiedziała mu o swojej wizycie u prawnika Hugh'a w Cameron Town.

– Ma rację – przyznał Frank. – Obawiam się, że dopóki nie stwierdzimy, w której kolonii została wydana koncesja gruntowa, pani dokument będzie dla nas bezwartościowy.

Joanna pomyślała o zaszyfrowanych zapiskach swojego dziadka, mogących być kluczem do rozwiązania zagadki. Książka, którą otrzymała od Hugh'a, okazała się nieprzydatna. Kod w papierach dziadka nie należał do powszechnie znanych.

– Może będę mógł w czymś pomóc – zaoferował się Frank, wyciągając z kieszeni mały notes. – Każdy pani powie, że uwielbiam wszelkie osnute tajemnicą historie. Jeśli uzyskam pani zgodę na opublikowanie krótkiego ogłoszenia w mojej gazecie, może ktoś je przeczyta i...

Na widok dziwnych zawijasów, które stawał w swoim notatniku, spytała:

– Cóż to za osobliwe pismo, panie Downs?

– To stenografia. Wymagam jej znajomości od wszystkich członków mojego personelu.

– Stenografia?

– Tak. Umożliwia szybkie notowanie za pomocą znaków graficznych i skrótów. Istnieje wiele typów stenografii. Ten szczególny system zapisywania został opracowany w 1837 roku przez Pitmana. Jak pani widzi, jest bardzo efektywny. Dzięki niemu reporter może zarejestrować w całości każdą wypowiedź. Ludzie od dawna stosują systemy skrótowego zapisu. Już Marcin Luter podobnie notował, przygotowując swoje kazania.

– Mogę spojrzeć? – spytała Joanna. Frank wręczył jej notes. Wyciągnęła kartki wypełnione symbolami, które zdążyła już dobrze poznać, ale które nie zostały ujęte w szczegółowym podręczniku „Kody, cyfry i zagadki”. – Czy zna pan ten szyfr, panie Downs?

Frank obrzucił wzrokiem znaki i odparł:

– To nie jest szyfr, panno Drury, lecz stenogram, tylko innego typu. Wydaje mi się

dziwnie znajomy, choć sam nie wiem, gdzie go już widziałem.

– A więc mój dziadek zostawił notatki zapisane za pomocą stenografii! – w głosie Joanny zabrzmiało podniecenie. – Przypuszczam, że jeśli zdołam je odczytać, dowiem się, gdzie mieszkali dziadkowie oraz gdzie znajduje się poszukiwana przeze mnie ziemia. Czy przypadkiem nie wie pan, w jaki sposób mogłabym poznać inne typy stenografii?

– Mam podręcznik poświęcony różnym stenograficznym systemom i chętnie go pani pożyczę, panno Drury. Radziłbym też napisać do Towarzystwa Stenograficznego w Londynie i załączyć próbkę pisma. – Frank schował notatnik do kieszeni. – Opublikuję pani historię w wydaniu poniedziałkowym. Pani dane personalne oczywiście nie zostaną ujawnione. Umieszczę tylko zapytanie, czy ktoś nie posiada informacji dotyczących... jak brzmiało nazwisko pani dziadków?

– Makepeace. John i Naomi Makepeace. Mieszkali tu w latach 1830 – 1834, w miejscowości zwanej Karra Karra.

Paulina zauważyła, że Adam jest senny.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Utniesz sobie drzemkę – zaproponowała.

– O jakim pokoju mówisz, Paulino? – zdziwił się Hugh. Gdy mu wyjaśniła, rzekł krótko:

– Chłopiec nie zostanie w Lismore. Wróci do Merindy.

– Ależ tutaj będzie miał lepsze warunki, kochanie...

– Merinda jest jego domem i tam będzie mieszkał.

– Sądzę, że powinniśmy mu dać prawo wyboru.

– Jest za mały, by mógł sam decydować o sobie. Wraca do Merindy.

Paulina posłała Hughowi zalotny uśmiech.

– Zgoda. Niech będzie, jak chcesz, kochanie. W końcu już za cztery miesiące zostanę jego mamą.

Po przyjęciu, gdy Hugh niósł na rękach śpiącego Adama do powozu, a odźwierny dźwigał prezenty malca, Joanna stwierdziła, że jest skrajnie wyczerpana. Nie dawało jej spokoju malowidło na korze, a także niepokój o chłopca i lęk z powodu zimnej kalkulacji Pauliny. Uzmysłowała też sobie, że przepełnia ją uczucie, którego do dzisiaj nie znała – zazdrość.

## ROZDZIAŁ 8

Adam przyglądał się rysunkowi Sary, przedstawiającemu ptaka w locie, i próbował opisać, co widzi. Złożył usta, lecz nie wymówił żadnego słowa. Zaczął się jąkać i rozdrażniony dał za wygraną.

Sara obrzuciła chłopca przeciągłym, pełnym namysłu spojrzeniem.

– Dlaczego nie możesz mówić, mały? – spytała. – Jaki duch powstrzymuje twój język?

Dzieciak zrobił przeproszącą minę i Sara objęła go ramieniem.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – rzekła.

Siedzieli na werandzie i odbywali poranną lekcję angielskiego. Nauczanie chłopca okazało się bardzo trudne. Kłopoty Adama z wymową nie były związane z wychowywaniem się pomiędzy tubylcami, którzy nie znali języka angielskiego, tak jak to było w jej przypadku. Sara wiedziała, że z czasem będzie władać angielszczyzną równie biegle jak Joanna. Problemy Adama wynikały z innych, nieznanых przyczyn.

Adam ponownie utkwiał oczy w obrazku. Pragnął spełnić polecenie Sary. Zawsze była dla niego bardzo miła. Nigdy się nie gniewała, gdy nie mógł czegoś powiedzieć. Znał to słowo i usiłował je wymówić, ale nie potrafił nakłonić ust, by poddały się jego woli. To było tak jak wtedy...

Nie chciał o tym myśleć. Coś się wówczas wydarzyło i starał się to zrelacjonować, lecz słowa więzły mu w gardle. Rozpłakał się, a to policjanta rozzłościło. Zabrali go potem z domu i wsadzili samego na statek.

Podjął kolejną próbę.

– Jas... Jaskółka! – Spojrzał na dziewczynę. – Jaskółka – powtórzył, wskazując rysunek.

– Tak, bardzo dobrze – pochwaliła go i przytuliła.

– A teraz powiedz mi, dokąd jaskółka... Nagle zamarła.

W kurzu gospodarskiego obejścia leżał owczarek szkocki i opędzał się ogonem od much. Był upalny i ospały grudniowy poranek. Letni żar z niepohamowaną zawziętością palił ziemię na popiół. Sara podniosła w górę oczy, kierując myśli ku niebu i starając się określić uczucie, jakie niespodziewanie ją ogarnęło. Omiotła wzrokiem ciągnące się na wschód od Merindy aż po linię horyzontu pola. „Dzieje się coś niezwykłego” – pomyślała.

– Saro! – powiedział Adam.

Spojrzała na chłopca. Jego głos zabrzmiał zbyt donośnie. Coś było nie w porządku. Czowała to.

– Saro! – powtórzyło dziecko, ciągnąc ją z całej siły za spódnicę.

Zamknęła powieki, starając się znaleźć w głębi siebie wyjaśnienie nagłego niepokoju. Już przedtem się zdarzało, że słyszała w myślach ostrzegający głos. Stara Deereere – kobieta należąca do starszyny plemiennej – tłumaczyła to tym, że Sara któregoś dnia pójdzie w ślady swojej matki i będzie posiadała Wiedzę klanu.

Na razie jednak Wiedza Sary była niekompletna i nieuchwytna, co często wprawiało dziewczynę w zdenerwowanie. Stara Deereere twierdziła, że to na skutek przerwania

procesu jej inicjacji. Gdyby kobietom pozwolono w pełni wprowadzić ją w dorosłe życie, potrafiłaby jak matka pojmować Wiedzę świat. A tak, siedząc w cieniu werandy i obserwując dziwne światło wokół obejścia i zabudowań, nie rozumiała swojego przeczucia. Wiedziała tylko, że jest bardzo naglące i że dotyczy Joanny.

Przypomniała sobie, jak ubiegłej nocy wyrwał ją ze snu czyjś krzyk. Zajrzała do wnętrza chaty przez okno. Młoda Angielka siedziała rozdygotana na łóżku, a potem zaczęła krążyć po pokoju w ciemnościach, jak gdyby chciała odegnać od siebie niemiłe wspomnienie. Sara dostrzegła wylężniony wyraz jej twarzy i zastanawiała się, czy powodem strachu był zły sen.

– Chodźmy na spacer. – Wzięła chłopca za rękę.

Poszli w stronę drzew nad rzeką. Sara w dalszym ciągu starała się zidentyfikować źródło swojego niepokoju. Czy wywołała go prawdziwa Wiedza, czy też jej własne obawy, które wynikały z częstej obecności Joanny w pobliżu ruin?

Tak wiele było niezrozumiałych spraw, które pragnęła pojąć. Gdyby mogła porozmawiać ze starą Deereere! Pastor Simms zakazał jej jednak widywania się z kobietami ze starszyny plemiennej. A stara Deereere wiedziała wszystko. Na pewno potrafiłaby jej wytłumaczyć, czym różni się Joanna od innych białych kobiet. Sara dostrzegła odmienną młodą Angielkę już pierwszego dnia, gdy zobaczyła ją pochyloną nad książką, którą czytała co wieczór i w której czasami sama coś zapisywała.

Czyżby Joanna była kobietą-pieśnią? Sara wiedziała, że książka, którą opiekunka Adama nazywała dziennikiem, zawiera pieśni jej matki. Codziennie ją zgłębiała, by – zdaniem Sary – zachować Sen swojej rodzicielki. Gdyby obrzęd inicjacji Sary został zakończony, ona też śpiewałaby Sen swojej matki, wzbogacając go o własne pieśni, tak jak Joanna spisywała swoje, które potem miały być przekazane jej córkom. Oczywiście Joanna i Sara nigdy na ten temat ze sobą nie rozmawiały, nigdy też młoda Angielka nie nazwała dziennika swojej matki księgą Snów. Ale Sarze nie trzeba było tego mówić.

Ciekawe, czy Joanna odziedziczyła nadprzyrodzone moce po matce. Znała właściwości lecznicze ziół i wiedziała, które z nich są trujące. A dotykając przegubu dłoni, potrafiła powiedzieć, czy człowiek ma mocne serce. Zaprowadziła kiedyś Sarę nad rzekę i pokazała jej rośliny, które wypędzają chorobę. Czy to nie były tajemne umiejętności?

Matka Sary – kobieta-pieśń – też je posiadała, a i Sara często wyczuwała je w sobie. Ale odbierała jako szepty, muśnięcia w ciemnościach i niepokoiła się, czy na skutek nie dokończonej inicjacji drzemające w niej tajemne siły kiedyś się w pełni rozwiną. Zwykle dziewczyna uświadamiała sobie ich istnienie w chwili, gdy stawała się kobietą, podczas pierwszego krwawienia. Sara jak dotąd bezskutecznie czekała, by dały znać o sobie.

Oboje z Adamem dotarli do drzew. Zwolnili kroku.

– Saro... – zaczął Adam. Dziewczyna przyłożyła palec do ust.

– Pst! Bądź cicho!

Zdjęła buty, które dostała od Joanny, i zaczęła się boso skradać pomiędzy drzewami w stronę rzeki. Dostrzegła Joannę w pobliżu ruin – młoda kobieta siedziała na ziemi pod starym drzewem gumowym. Sara zauważyła, że zapisuje coś w książce swojej matki. Zamarła w bezruchu, nie spuszczać jej z oka.

„Przejrzałam do końca podręcznik z zakresu stenografii, lecz nie natknęłam się na system, który bodaj w przybliżeniu przypominałby ten zastosowany przez dziadka – pisała Joanna, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana. – Wysłałam list do Towarzystwa Stenograficznego w Londynie. Może Patrick Lathrop, którego usiłuję odszukać, zna te dziwne symbole i skróty. Muszę odkryć klucz do życia mojego dziadka, a tym samym do życia mojej matki. Ubiegłej nocy miałam straszliwy sen związany z malowidłami, które widziałam wczoraj w Lismore. Przebudziłam się wylekniona i nie mogłam z powrotem zasnąć. To był dziwny majak – stałam naga przy grocie. W moją stronę szedł pan Westbrook. Wzbudzał we mnie ogromne pożądanie. Pragnęłam, by wziął mnie w ramiona. Nagle zjawił się olbrzymi wąż – ten z obrazu na korze. Uzmysłowiłam sobie, że zamierza zabić pana Westbrooka. Próbowałam go ostrzec, ale nie byłam w stanie krzyknąć ani nic powiedzieć. Usiłowałam podbiec, ale nie mogłam się ruszyć z miejsca. Obudziłam się wstrząśnięta i przepełniona uczuciem strachu. Czyżby ten sen miał również okazać się proroczy jak tamten o uwięzieniu «Estelli» przez ciszę morską? Czy moja obecność w Merindzie rzeczywiście stanowi dla pana Westbrooka zagrożenie? A jeśli tak, to co jest jego źródłem?”

Joanna otrzymała już kilka listów z innych kolonii wraz z mapami i wyciągami z kartotek, lecz nawet w najbardziej szczegółowych planach nie znalazła miejscowości o nazwie Karra Karra, a urzędnicy biur meldunkowych donosili, że nie mają w swoich ewidencjach zapisu świadczącego o pobycie małżeństwa Makepeace w Australii. Ostatnio Joanna skoncentrowała wysiłki na odszukaniu nieuchwytnego Patricka Lathropa, kolegi dziadka z czasów studiów w Cambridge.

Wróciła do swoich notatek.

„Pan Westbrook obiecał skontaktować się z panem Asquithem z Urzędu do spraw Aborygenów, mającego siedzibę w Melbourne. Twierdzi, że człowiek, który jest zatrudniony w instytucji sprawującej nadzór nad rdzennymi Australijczykami, może mieć na ich temat dużo wiadomości. Łudziłam się, że Sara będzie dla mnie źródłem informacji o tubylcach, ale ilekroć poruszam ten temat, dziewczyna staje się bardzo powściągliwa. Jednego jestem pewna: Sara z rosnącym niepokojem śledzi moją obecność tutaj, nad rzeką. Przypuszczam, że nie lubi, gdy odwiedzam miejsce w pobliżu ruin. Wciąż przyłapuję ją na tym, że obserwuje mnie z daleka. Gdy ubiegłej nocy przebudziłam się z koszmarne snu, czułam, że przygląda mi się przez okno. Chciałam porozmawiać o niedawnym majaku, a także zapytać o znaczenie węża i groty, ale wtedy musiałabym jej również opisać, jak bardzo pożadam Hugh Westbrooka. „

Joanna przestała notować. Skierowała wzrok na rozległe i pożółkłe od palących promieni słońca równiny, które prześwitywały pomiędzy krzewami oraz powykręcany konarami drzew. Przepatrzyła każde wzniesienie i każdą pochyłość trawiastego morza, omiatając wzrokiem drzewa gumowe nad rzeką Murray, wypasające się stada owiec oraz pojedyncze sylwetki jeźdźców, i zastanawiała się, czy jednym z nich nie jest Hugh Westbrook. Koszmar senny znowu powrócił – z całym ogromem strachu i cielesnego pragnienia.

Była zaniepokojona, że jej tęsknota do Hugh Westbrooka przybiera na sile. Pożądała Hugh Westbrooka aż do bólu, który dawał znać o sobie niemal w każdej części ciała – w sercu, w opuszkach palców i



w biodrach; przypominał trawiący głód.

Czy wystawiała go na niebezpieczeństwo, pozostając w Merindzie? Czy ostatni sen był ostrzeżeniem, że wydarzy się coś złego? Może powinna stąd odejść? Doszły ją słuchy, że Ezekiel rozpowiada wszystkim o nieszczęściu, jakie Joanna ściąga na Merindę. Wiedziała, że z jej powodu rzuciło pracę na farmie kilku parobków. A przecież przyjechała tu tylko po to, by pomóc Hughowi w opiece nad Adamem. Nie chciała nikomu sprawiać kłopotu. Przypomniała sobie markotną minę Hugh'a w chwili, gdy dowiedział się od zarządcy, że z Merindy odeszło dwóch kolejnych Aborygenów. Nigdy przy niej o tym nie wspominał, lecz kiedy wróciła myślą do przyjęcia w Lismore i przykrej wymiany zdań między Hughiem a Ezekiem, zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście jej obecność nie sprowadza złego losu na farmę.

Ale dokąd miała pójść?

Doktor Ramsey powiedział jej kiedyś: „Miałem okazję pracować z pielęgniarkami szkolonymi przez Florence Nightingale, a mają one najwyższe kwalifikacje zawodowe. Wpadł mi do głowy pewien pomysł, panno Drury. Z pani znajomością leków naturalnych i z moją medyczną wiedzą moglibyśmy stworzyć znakomity zespół”.

Zimorodek zaśmiał się nagle nad głową Joanny, wyrывая ją z rozmyślań. Podniosła wzrok. Dostrzegła błyskające na nią z góry oko o przenikliwym spojrzeniu.

Jej myśli znowu podążyły za Hughiem. Przypomniała sobie, jak wczoraj wjechał konno na podwórze. Zastanawiała się, co czułaby, gdyby była jego żoną, gdyby wiedziała, o której ma się go spodziewać wieczorem w domu, i gdyby miała pewność, że wraca tylko do niej.

Nagle dobiegł ją jakiś hałas. Wstrzymała oddech i nasłuchując rozejrzała się wokół. Ale dostrzegła jedynie pnie starych eukaliptusów, które gubiły swoją białoszarą korę, oraz pokryte mchem ruiny. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest obserwowana. Nad polaną zapanował nieziemski spokój. Ucichło nawet szemranie wody w strumieniu. Rodzina łososiowo-różowych papug kakadu zerwała się z gałęzi i odfrunęła, mocno uderzając skrzydłami. Ale Joanna niczego nie słyszała. Zdawała sobie jedynie sprawę ze złotego słonecznego światła cętkującego usłaną liśćmi ziemię i z uderzeń własnego serca.

– Czy ktoś tam jest?! – zawołała. Nie doczekała się odpowiedzi.

– Sara?! – zawołała jeszcze głośniejszym głosem. – Adam?! Cisza.

Postąpiła kilka kroków. Choć nikogo nie zauważyła, wyraźnie wyczuwała czyjaś obecność.

– Kim jesteś? – spytała. – Odezwij się, proszę.

Coś zaszeleściło pomiędzy drzewami i rozległy się dziwne odgłosy stąpania.

Joanna zmarszczyła brwi. Dźwięki nie przypominały kroków człowieka.

Ostrożnie podjęła dalszą wędrówkę pomiędzy drzewami. Po chwili przystanęła. Jak okiem sięgnąć, aż do podnóża gór, ciągnęły się równiny Merindy – ocean pożółkłych traw. Rozejrzała się na boki, najpierw w prawo, w stronę domu, a potem w lewo, gdzie jej oczom ukazał się widok...

Wstrzymała oddech. Stała jak zahipnotyzowana.

– Dzień dobry – powiedziała w końcu.

Dwoje dużych brązowych oczu okolonych gęstymi rzęsami mrugnęło do niej w odpowiedzi.

– Dzień dobry – powtórzyła. Jeszcze nigdy nie widziała kangura z tak bliskiej odległości.

Była to samica, która niemal dorównywała wzrostem Joannie. Stała zaledwie kilka metrów dalej na zadnich nogach, podpierając się ogonem. Przednie łapy trzymała skrzyżowane na piersi. Z torby na brzuchu wystawał łepk młodego kangura.

Nieruchomo trwały naprzeciw siebie i przyglądały się sobie wzajemnie. Joanna bała się poruszyć w obawie, że spłoszy zwierzę. Obrzuciła wzrokiem młodego kangura. Był duży, ledwie się mieścił w torbie matki. Worek marszczył się pod wpływem ruchów młodego zwierzęcia, które wierciło się, jak gdyby brakowało mu miejsca w kieszeni matki i było gotowe z niej wyskoczyć.

– Jaki jesteś śliczny – powiedziała.

Kangurzyca zamrugła oczami, zawróciła, ociężale opadła na przednie łapy i pobiegła susami w stronę wody. Oczarowana Joanna podążyła za nią.

Samica powoli zmierzała w kierunku strumienia wpadającego do rzeki. Olbrzymie nogi szybowały ponad ziemią, niosąc ją oraz jej ciężkie brzemię. Zatrzymała się tuż nad brzegiem. Joanna, zachowując dystans, podeszła ją od drugiej strony i zafascynowana obserwowała jej dziwne zachowanie. Gdy kangurzyca zniżyła się nisko nad ziemią, torba rozchyliła się i wypadł z niej młody.

Joanna stała bez ruchu, patrząc jak małe zwierzątko chwiejnie stawia kroki. Matka śledziła każdy jego ruch. Mały kangur próbował skubnąć trawę z bagien, ale się przewrócił. Zaraz się podniósł, lecz najwyraźniej sprawiało mu trudność utrzymanie w równowadze ciężkiego ogona i zadnich łap. Spojrzał na Joannę, ale pomimo to nadal zachowywał się spokojnie.

Joanna narwała pełną garść soczystych źdźbeł i podsunęła je młodemu zwierzątkowi. Zrobiła krok w jego stronę, a potem następny, wreszcie podeszła na wyciągnięcie ręki. Gdy rzuciła mu pożywienie i wycofała się, młody kangur zaczął skubać ofiarowaną trawę.

Samica wydała z siebie cichy, przywołujący pisk i mały do niej wrócił. Polizała go po sierści, poiskała za uszami i pomogła mu z powrotem wejść do torby. Po chwili zniknęła w gęstwinie.

Joanna patrzyła za nią, nie wiedząc o tym, że śledzą ją czyjeś oczy.

Sara, drżąc na całym ciele i wciąż trzymając Adama za rękę, opuściła swoją kryjówkę za drzewami i skierowała się w stronę domu.

Kiedy Joanna zobaczyła, że Hugh na podwórzcu siodła konia, zeszła do niego po schodach werandy.

– Jadę do Melbourne, panno Drury – oświadczył, naciągając popręg. – Wrócę za dwa tygodnie, przed samymi świętami Bożego Narodzenia. Czy nie potrzebuje pani czegoś z miasta?

Joanna zastanawiała się, czy nie porozmawiać z nim o opuszczeniu Merindy. Wczorajszy sen nie dawał jej spokoju i bała się, że mógł być proroczy, ale rzekła tylko:

– Nie, dziękuję, niczego mi nie potrzeba.

– Zajrzę do miejskiej biblioteki. Może znajdę tam coś interesującego. Znam też pewną firmę prawniczą w Melbourne, z którą miałem już wcześniej do czynienia, i spróbuję dowiedzieć się czegoś o pani akcie własności. Czy da sobie pani sama radę ze wszystkim?

– Przecież nie będę sama. Mam do pomocy Adama i Sarę. Pan Lovell także zostaje z nami. – Rozejrzała się wokół. – Nie widziałaś Sary, Adamie?

– Nie było jej tu od rana. Joanna zmarszczyła brwi.

– Nigdy nie zniknęła na tak długo. Ciekawa jestem, dokąd poszła.

Adam zbiegł na dół po stopniach werandy.

– Poszła zobaczyć małego kangura! Hugh chwycił chłopca i okręcił w powietrzu.

– O czym ty mówisz, Adamie?

– Dzisiaj rano widziałam nad rzeką młodego kangura – wyjaśniła Joanna.

Hugh spojrział na nią zdumiony.

– Był sam?

– Ależ nie, razem z matką.

– Mam nadzieję, że nie podeszła pani zbyt blisko?

– Szczerze mówiąc, bardzo blisko. Dałam nawet małemu trochę trawy do zjedzenia.

Hugh ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

– Ależ panno Drury, przecież mogła pani zginać! Czy matka młodego była w pobliżu?

– Oczywiście. I zrobiła coś bardzo dziwnego. Pozwoliła małemu wyleźć z torby, a potem wsadziła go do niej z powrotem, choć ledwie się mieścił.

Hugh wymienił spojrzenie z Lovellem.

– A więc widziała pani narodziny małego kangura?

– To nie były narodziny. Młody był już całkiem duży.

– Kangury rodzą się dwukrotnie, panno Drury. Pierwsze przyjście na świat jest takie samo jak u innych zwierząt, lecz młody kangur przez osiem miesięcy przebywa w torbie matki, gdzie ssie mleko. Gdy samica uznaje, że jest gotowy do samodzielnego życia, pozwala mu wyjść z worka i po raz drugi wydaje go na świat. Była pani świadkiem drugich narodzin.

– Naprawdę?

– Ja też to widziałem – rzekł Adam. Bill podrapał się po głowie.

– Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by był świadkiem czegoś takiego. A znam ludzi, którzy naprawdę widzieli wiele.

Z zachmurzoną miną Hugh skończył przypinać do siodła skórzaną torbę.

– Życzyłbym sobie, żeby w przyszłości postępowała pani bardziej roztropnie, panno Drury. Kangury atakują, czując zagrożenie. A w szczególności samice z młodymi. Uderzenia ich tylnych łap mogą być śmiertelne.

Obrzucił Joannę wzrokiem i stwierdził, że wyszła na dwór z gołą głową.

– Niech pani mi obieca, że będzie bardziej rozważna – rzekł z uśmiechem.

Cofnęła się, obserwując jego odjazd.

Bill Lovell zdjął kapelusz, by wytrzeć chusteczką jego wnętrze.

– Pójdę już lepiej do stajni. Jedna z kłaczy niebawem się ożrebi. Gdyby pani czegoś potrzebowała...

– Ożrebi się! – wykrzyknął Adam. – Czy będzie mi wolno to zobaczyć?

– Sama nie wiem – rzekła niepewnie Joanna.

– Myślę, że chłopiec może pójść ze mną i popatrzeć, panno Drury. Czy ma pani ochotę nam towarzyszyć?

– Tak, oczywiście. Tylko wróć po kapelusz.

W domu Joanna się zamyśliła. Nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy Hugh'a w chwili, gdy opowiedziała mu o spotkaniu z kangurem.

Otwarte drzwi wypełnił nagle cień.

– Sara! – rzekła. – Gdzie się podziewałaś tak długo? Dziewczyna wzięła ją za rękę.

– Proszę pójść ze mną.

Przechodząc obok stajni, Joanna krzyknęła do Billa, że wróci za kilka minut.

Gdy dotarli do ruin nad rzeką, Sara usiadła na ziemi i wskazała Joannie miejsce obok siebie.

– Widziałam panią – odezwała się po chwili. – Z kangurzą i jej młodym.

– Wiem o tym – stwierdziła Joanna. – Adam mi powiedział. Po co przyprowadziłaś mnie tutaj?

– Muszę pani o czymś powiedzieć. Biały człowiek nigdy nie widział narodzin kangura. Duch tego zwierzęcia na to nie zezwalał. Świadcami mogli być tylko ludzie z totemu Kangura. Teraz jesteśmy w świętym Miejscu Snów Kangura.

Joanna spojrzała na majestatyczne drzewa gumowe i na perlistą powierzchnię stawu. Wyczuła jakąś zmianę w otoczeniu. Działo się coś niezwykłego.

– Przez wiele dni odwiedzała pani to zakazane miejsce, a jednak wciąż pani żyje. Była pani świadkiem narodzin młodego kangura i nie umarła. Przebywa pani w świętym miejscu, a Kangur się nie gniewa. Posiada pani ogromne tajemne moce. Należy pani do klanu Kangura.

Joanna obrzuciła dziewczynę zdumionym spojrzeniem.

– Ale przecież ja nie pochodzę stąd! Jak mogłabym należeć do klanu Kangura?

– Duch Kangura nawiedził mnie w nocy i kazał mi opowiedzieć o pani śnie.

Joanna nie odrywała od dziewczyny wzroku.

– Nie urodziłam się w Australii – rzekła.

Sara zamknęła oczy, jakby chciała wejrzeć w głąb siebie.

– Wszyscy ludzie mają swoje totemy. Biali również. Kangur dał pani znak. Była pani obecna przy narodzinach młodego. Jest pani kimś szczególnym dla Snów Kangura. Czy pani wie, gdzie przebiega jej szlak-pieśń?

– Mój szlak-pieśń? Nie mam pojęcia. Sądzę, że w ogóle go nie mam.

– Każdy go ma – stwierdziła Sara. – A gdzie jest szlak-pieśń pani matki?

– Nie wiem. Pewnie gdzieś tutaj, w Australii. Dlaczego o to pytasz?

– Ponieważ pani nim podąża. To on panią tu przywiódł.

– Nie jestem nawet pewna, czy dokładnie rozumiem, co to takiego. Jak zatem miałabym nim podążać? Czy mogłabyś mi wyjaśnić pojęcie szlaku-pieśni?

– Miejsce, w którym obecnie przebywamy, należy do Snu Kangura. Szlak-pieśń Kangura przebiega przez Merindę, a wiedzie stamtąd... – Sara wskazała na północ. – Z bardzo daleka.

W Czasach Snów Pierwszy Kangur pokonał wielką odległość, żeby przybyć w to miejsce, a żywota dokonał gdzieś tam.

– Dziewczyna wskazała na południe. – Tym jest właśnie szlak-pieśń: szlakiem ducha i czasu, tym co łączy przeszłość z teraźniejszością.

Joanna nie odrywała od Sary wzroku.

– Skąd masz pewność, że właśnie tutaj przebiega szlak-pieśń Kangura?

– Niech pani spojrzy – dziewczyna wskazała porośniętą trawą wzgórze w górnym biegu rzeki. – Tam śpi Pierwszy Kangur. Czy widzi pani jego wielkie zadnie nogi, długi ogon i małą głowę?

Joanna przymrużyła oczy. Na początku niczego nie dostrzegła, ale potem doszukała się w ukształtowaniu wzgórza zarysu zwierzęcej sylwetki, choć może tylko wyobraziła go sobie.

Nagle Sara zaczęła śpiewać.

– Co robisz?

– Śpiewam Sen Kangura.

– Nie rozumiem.

Dziewczyna narysowała patykiem na ziemi linie, koła i kropki.

– To jest szlak-pieśń Pierwszego Kangura – wyjaśniła.

– Przybył stamtąd, a doszedł aż tam. Rozumie pani? Joanna widziała nadal tylko linie, koła i kropki.

Upalne popołudnie ciężko zawisło nad lasem. Nagle Joanna poczuła się dziwnie lekko, jakby zawisła ponad własnym ciałem. Widziała drzewa i rzekę jak przez mgłę. Ogarnął ją błogi nastrój zbliżony do stanu uśpiania. Sara nieoczekiwanie wydorosła na jej oczach. Choć słowa pieśni brzmiały niezrozumiale, Joanna czuła jej rytm w żyłach. Przed oczami zaczęły się jej przewijać obrazy starsze niż czas, w których odradzała się przeszłość.

Zamknęła powieki. Było jej gorąco i czuła się ociężale. Miała wrażenie, że śni. Nagle zobaczyła czerwoną skalistą górę, strzelanojące w niebo płomienie ognisk, wielkie stada lecących ptaków oraz poruszające się w takt przedwiecznej muzyki sylwetki ludzi, którzy wyciągali w górę włócznie. I wreszcie spostrzegła stworzenia o potężnych tylnych łapach i małych głowach, które skakały z wdziękiem – olbrzymie stado kangurów majestatycznie poruszających się po bezkresnej czerwonej równinie. Ludzkie postacie podążały w ślad za zwierzętami, oddając im cześć.

Promienie popołudniowego słońca przebijały przez korony drzew, głośno bzyczały muchy i komary. Joanna usiłowała odzyskać zdolność jasnego rozumowania.

„Jak to możliwe, że widzę te obrazy?” – zastanawiała się. Przypomniała sobie urywek z dziennika – kolejne niepokojące wspomnienie matki:

„Ubiegłej nocy miałam sen o kangurach – o wielkich stadach przemierzających czerwone równiny. Była w nim także czerwona góra – ta sama, która już mi się śniła. Widziałam ciemne sylwetki ludzi ostro odcinające się na tle czerwonego słońca. Czyżbym kiedyś była świadkiem tej fantastycznej sceny?”

– Co możesz powiedzieć mi o Tęczowym Wężu? – spytała Joanna, gdy Sara skończyła śpiewać.

– Jest bardzo potężny i należy do tajemnic kobiet, do ich Snów.

– Czy kobiety mają odrębne Sny?

– Tak. Nasze szlaki-pieśni są potężniejsze od szlaków-pieśni mężczyzn, gdyż życie jest w nas. Mogę pani to wyjawić, ponieważ pani jest kobietą. Chłopcy są poddawani wielu próbom, zanim staną się mężczyznami. Muszą cierpieć w czasie inicjacji, mają przecinaną skórę i krwawią. Dziewczętom jest to oszczędzone, ponieważ samoistnie stają się kobietami. – Umilkła, a potem spojrzała na Joannę i dodała: – Moja matka była kobietą-pieśnią. Znała tajemne mity kobiet oraz ich rytuały i odprawiała śpiewem kobiece obrzędy. Gdyby na tej ziemi nie przybył biały człowiek, ja również stałabym się kobietą-pieśnią.

– Czy ty też należysz do klanu Kangura?

– Nie – odparła dziewczyna. – Moim Przodkiem była Foka, a Kraina Snów Foki leży daleko stąd. Któregoś dnia podążę moim szlakiem-pieśnią – Drogami Przodków – i odnajdę mój Sen.

– Czy to znaczy, że pochodzisz od foki? – spytała w zadumie Joanna.

Sara się uśmiechnęła.

– Pierwsza Foka, od której wywodzi się klan, wypłynęła na południowych wodach jeszcze w Czasach Snów. Śpiewem stworzyła siebie, a także wyspy i skały. Nauczyła swoje dzieci Pieśni Foki, przekazywanej potem z pokolenia na pokolenie, która podawana przez wieki dotarła w końcu do mnie.

– Ale przecież nie jesteś foką?

– Zmieniłyśmy się. Zeszłyśmy na ląd i powoli stałyśmy się kobietami. Lecz moim Snem nadal jest Foka, chociaż jestem człowiekiem. Zna pani starego Ezekiela, naganiacza? Jego Sen związany jest z Emu, a starej Deereere z Kakadu. Wszyscy wywodzimy się od jakichś Przodków. Ezekiel ma zakaz spożywania mięsa emu oraz noszenia piór tego ptaka. Stara Deereere nie może jadać mięsa papugi kakadu. A mnie nie wolno zabić foki, pożywiać się jej mięsem ani nosić jej futra.

Joanna zamyśliła się głęboko.

– Przykro mi, ale nadal nie rozumiem, czym jest Sen.

– Łączy nas z matkami, które żyły przed nami, oraz z naszymi córkami, które dopiero mają się urodzić. Moja matka śpiewała mi o swoich snach. To samo robiła przedtem jej matka. W ten sposób możemy się cofnąć aż do pierwszej pieśni Przodków. Ja będę kiedyś śpiewać ją córkom, tak by za moim pośrednictwem mogły połączyć się ze wszystkimi poprzednimi matkami aż do Czasów Snów Foki.

– Biali ludzie nie postępują w ten sposób. Matka nigdy nie śpiewała mi o swoim Śnie – stwierdziła Joanna.

Sara uśmiechnęła się łagodnie.

– Ależ robiła to. Przecież przekazała pani swój Sen. Jest zawarty w książce, w której czasami pani też coś zapisuje.

– Masz na myśli jej dziennik?

– Tak. To jest jej szlak-pieśń, który pani teraz wzbogaca. Podążanie za Snem matki jest pani obowiązkiem wobec własnej córki.

Joanna patrzyła na Sarę jak urzeczona. Kiedy Hugh starał się jej wyjaśnić istotę szlaków-pieśni, wyobrażała sobie, że są czymś namacalnym, na kształt oznakowanych i biegnących przez leśne obszary ścieżek. Teraz jednak zaczęła pojmować, że ich sens jest znacznie szerszy i że mogą być po prostu dziennikiem czy korespondencją pomiędzy dwoma generacjami kobiet. Szlaki-pieśni były kontaktem dusz i przekazywaniem z pokolenia na pokolenie mądrości oraz uczuć. Lady Emily zauważyła to kiedyś, o czym świadczy wzmianka w jej dzienniku: „Kiedy piszę o mojej matce, czuję się tak, jakby wciąż żyła i nadal była ze mną, chociaż jej nie pamiętam”.

– Gdzie jest twoja matka? – spytała Joanna.

– Uciekła z misji, by wrócić do swojego klanu. Dowiedziałam się jednak, że zdradziła białej kobiecie nasze tajemnice i że mężczyzna-pieśń rzucił na nią pieśń-klątwe.

Joanna przełękła się nagle.

– Czy masz na myśli truciznę-pieśń?

– Tak.

– I... co się stało dalej? Umarła?

– Nie wiem. Być może kiedyś tutaj wróci. Kobiety-pieśni zwykle wracają.

– Moja matka wspominała o truciznie – rzekła wolno Joanna. – Zastanawiam się, czy trucizna-pieśń nie stała się przyczyną jej śmierci. Ale jej adresatką była moja babka, a nie ona.

– Duch babki jest bardzo potężny – stwierdziła dziewczyna.

– Czy patrząc na mnie, dostrzegasz ciężące nade mną fatum? Czy widzisz truciznę-pieśń?

– Proszę zaczekać – rzekła Sara, unosząc w górę dłoń. Rozejrzała się wokół siebie, a potem powoli wstała z miejsca. Joanna również się podniosła. Zobaczyła zbliżającego się od strony drzew Ezekieła. Niósł bumerang podobny do tego, jaki Joanna widziała na ścianie gabinetu w Lismore. Starzec podszedł do Sary.

– Tabu – rzekł, a potem zwrócił się do Joanny: – Niech pani stąd odejdzie. Nie powinna pani tu przebywać. Sprawy, o których mowa, nie są przeznaczone dla pani uszu. Ściągnie pani na nas złe czary.

– Nie masz racji, sędziwy ojciec – odezwała się Sara, a w oczach starego mężczyzny błysnął wyraz zdziwienia.

– Nie wolno ci o tym mówić, dziecko – upomniał dziewczynę.

Joanna zauważyła, że Sara drży na całym ciele. We wzroku dziewczyny krył się strach, ale i wyzwanie. Ze sposobu, w jaki Ezekiel patrzył na młodą Aborygenkę, wywnioskowała, że nie przywykł do sprzeciwu.

– Naciągają straszliwe wydarzenia – powiedział i chociaż nie podniósł głosu, chociaż twarz wciąż miał kamienną, Joanna wyczuła jego gniew, a także ogarniający ją lęk. Starzec wydał jej się jeszcze groźniejszy niż zwykle.

Przez chwilę stał, wpatrując się w Joannę i Sarę bez słowa, potem zniknął pomiędzy drzewami.

## ROZDZIAŁ 9

Boże Narodzenie! Czas prezentów, kołęd, jemioli i wina z korzeniami. Czas uwodzenia – pomyślała Paulina, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze.

Ponownie rzuciła okiem w stronę zegara stojącego na kominku. Dochodziła ósma trzydzieści, a Hugh obiecał przed swoim wyjazdem do Melbourne dwa tygodnie temu, że przyjedzie po nią o dziewiątej w Wigilię i zabierze ją na bal w Strathfield. Trzy dni temu zawiadomił ją telegraficznie, że opuszcza Melbourne. Przypuszczała więc, że obecnie przebywa już w Merindzie i szykuje się do wyjścia.

Przygotowała dla Hugh'a niespodziankę. Postanowiła nie zwlekać dłużej z poślubną nocą i przeżyć ją dzisiaj, a nie za trzy miesiące.

Miała na sobie atlasowy peniuar w barwie brzoskwini, który należał do ślubnej wyprawy. Suknia balowa wciąż była rozłożona na łóżku, a turniura i halki nadal wisały w szafie.

Plan uwiedzenia Hugh'a wpadł Paulinie do głowy dzisiaj rano, gdy wyrwały ją ze snu gorące promienie grudniowego słońca. Wylegiwała się w pościeli odorzona wonią wyperfumowanych prześcieradeł i delectowała się wspomnieniami niedawnego erotycznego snu o Hugh'u. Pożądała go niemal boleśnie. W chwili gdy zastanawiała się, jak zdoła przetrwać dzielący ją od daty ślubu kwartał, nasunęło się jej na myśl proste rozwiązanie: nie będzie dłużej czekać.

Jej rozumowanie nie było pozbawione pewnej dozy wyrachowania. Dostrzegła w Joannie prawdziwe zagrożenie. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak młoda Angielka wyglądała na przyjęciu. I choć pierwiosnki w jej włosach były przejawem wyjątkowo złego gustu, dowodziły, że panna Drury zagieła parol na Hugh'a. Paulina postanowiła stoczyć z nią batalię. Nie wątpiła, że po dzisiejszej nocy, kiedy uwiedzie Hugh'a, jej zwycięstwo będzie zagwarantowane.

Panował upał, a w powietrzu unosiła się ciężka woń gardenii i mimozy. Atlas delikatnie muskał nagą skórę. Opracowując w myślach strategię, przesunęła dłonią wzdłuż bioder. Wszyscy służący, z wyjątkiem Elsie, która była wtajemniczona w spisek, mieli dzisiaj wychodne. Plan przewidywał, że pokojówka przyprowadzi Hugh'a na górę, a Paulina zamiast balowej sukni będzie miała na sobie kuszący peniuar i rzuci się narzeczonemu w objęcia. Hugh nie zdoła się oprzeć, a potem będzie już jej na zawsze.

Pukanie do drzwi wyrwało Paulinę z rozmyślań. Była zdziwiona. Ponownie spojrzała na zegar. Hugh zjawiał się przed czasem.

Okazało się jednak, że przybył Frank. Miał już na sobie wieczorowy strój.

– Przychodzę życzyć ci dobrej nocy. Będę „U Finnegana”.

– Nie wybierasz się na bal?

– Mam inne plany. W pubie odbywa się prywatne przyjęcie. Dla samych kawalerów – mrugnął do siostry.

Paulina знаła zamiary swojego brata. Widziała bransoletę wysadzaną brylantami, którą kupił potajemnie i zapakował w złoty papier.



– To dość ponury sposób spędzenia Wigilii – rzekła drwiącym tonem.

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdził, myśląc o zarezerwowanym pokoju w zajezdni „Pod Lisem i Sforą Ogarów”. Zamierzał znaleźć dyskretny moment, by wręczyć Ivy prezent. Był przekonany, że kiedy panna Dearborn go rozpakuje, nie odrzuci zaproszenia na kolację.

Spojrzał na Paulinę.

– Sądziłem, że lada chwila spodziewasz się Hugh'a. Dlaczego jeszcze nie jesteś ubrana?

– Chyba zjawisz się jutro na obiedzie bożonarodzeniowym, prawda? – rzekła, ignorując jego pytanie. – Myślę, że nawet Finnegan zechce spędzić ten dzień z rodziną.

– Oczywiście – odparł Frank. Wyjrzał przez okno. Sprowadzone z Anglii szyby były stare i rozszczepiały promienie księżyca na pryzmatyczne barwy. Zastanawiał się, gdzie panna Dearborn będzie jutro na obiedzie. Ciekawe, jak barmanki spędzają święta? „Co o niej wiesz? Skąd pochodzi?” – spytał kilka dni temu Finnegana.

„Nie mam pojęcia – odparł właściciel pubu. – Zjawiła się u mnie pewnego dnia, szukając pracy. Teraz można już zatrudniać kobiety w barach, Frank. Choć nie jest piękną, znam moich klientów i wiedziałem, że dla niej będą tu częściej zaglądać. Pokazała mi też swoje rysunki. Pomyślałem, że dzięki nim interes zacznie się rozwijać. Cieszę się, że dałem jej tę robotę. Jest zawsze pogodna, nie miga się od pracy, od czterech miesięcy ani razu nie wzięła wolnego i nie należy do kobiet, które swoim zachowaniem narażają na szwank reputację lokalu. „

Frank przeprowadził tę rozmowę w dniu, gdy przyszedł do pubu i przeżył wstrząs na widok zaczerwienionych i opuchniętych od płaczu oczu Ivy. Ale jeszcze bardziej się zdumiał, stwierdzając, że jest wściekły na osobę, która ją doprowadziła do łez, a także z powodu własnej bezsilności.

Patrząc na ogrody Lismore skąpane w blasku księżyca, Frank pojął, że jest smutny – a takie uczucie rzadko go ogarniało.

– Co cię gnębi? – usłyszał szelest atłasu i poczuł na ramieniu dotyk ręki. – Czy myślisz o wyprawie?

To był jeden z powodów jego przygnębienia. Wczoraj otrzymał wiadomość od ekipy ratowniczej, którą wysłał na poszukiwania zaginionej ekspedycji. Dowiedział się, że znaleziono ciała wszystkich jej członków z wyjątkiem jednego, który uszedł z życiem. Najwidoczniej zostali zamordowani przez Aborygenów i Frank czuł się za ich śmierć odpowiedzialny. To on wpadł na pomysł zorganizowania wyprawy i on ją sfinansował.

Poprzysiął sobie, że otoczy opieką wdowy i rodziny ofiar.

– Wyślesz następną ekspedycję, Frank – pocieszała brata Paulina. – Wreszcie ci się powiedzie. Zobaczysz, morze w głębi łądu zostanie w końcu odkryte i nazwane twoim imieniem.

– To niemożliwe, dopóki żyją tam tubylcy.

– Dlaczego zabili białych odkrywców, jak sądzisz?

– Pewnie członkowie wyprawy zakłócili swoją obecnością spokój któregoś z ich świętych miejsc.

– To się niebawem skończy, Frank. Incydenty tego typu zdarzają się coraz rzadziej.

Wkrótce cały kontynent stanie się bezpieczny dla białego człowieka.

– Być może, tylko jakim kosztem? – zadumał się. Paulina uważnie przyjrzała się bratu.

– Jesteś w dziwnym nastroju. O co chodzi? Sądzę, że nie tylko problem wyprawy zaprzęta twój umysł. Jest jeszcze coś, prawda?

Dlaczego nie mógł przestać myśleć o Ivy Dearborn? Wymieniali ze sobą zdawkowe uwagi przy barze, śmiechem przyjmowała jego żarty, a gdy brał od niej szklankę, czasami dotykali się w przelocie palcami. Dlaczego nie mógł wrócić do Melbourne, gdzie powinien pilnować interesów związanych z wydawaniem gazety? Miał w swoim życiu wiele kobiet, lecz nigdy się nie oszukiwał. Dobrze wiedział, że nie on wydaje się im ponętny, tylko jego pieniądze.

A może Ivy miała męża? I była zbiegłą żoną? Czy rzeczywiście nazywała się Dearborn? Znowu przypomniał sobie jej zapłakaną twarz oraz uśmiech, jakim starała się ukryć swój ból. Ogarniała go wściekłość na samą myśl o tym, że któryś z bywalców lokalu, może nawet jeden z jego przyjaciół, mógł Ivy znieważyć. Jakie zachowanie lub jakie słowa stały się przyczyną jej płaczu?

Nagle przypomniał sobie o bransolecie z brylantami w swojej kieszeni. Kiedy ją kupował, sądził, że będzie pięknym podarunkiem. Teraz jednak wydała mu się zbyt okazała. Był pewien, że zdradzi jego intencje i niewątpliwie urazi Ivy. Co on sobie wyobrażał! Nie mógł nieoczekiwanie podarować jej czegoś takiego!

– Paulino – zwrócił się do siostry – czego chcą kobiety? Uniosła brwi w zdziwieniu.

– Tego samego co mężczyźni, jak sądzą. Szczęścia, sukcesu...

– Nie o to mi chodzi – niecierpliwił się, bo nadeszła pora, żeby się udać do pubu, a on czuł, że nie ma podarunku, który panna Dearborn zechciałaby od niego przyjąć. – Gdybyś była kobietą, która nie ma niczego, co najbardziej pragnęłabyś otrzymać?

– Gdybym niczego nie miała, chciałabym mieć wszystko!

– wyznała. Widząc jednak grymas na twarzy brata, dodała:

– Tak naprawdę to kobiety wcale nie są zainteresowane posiadaniem dóbr materialnych, Frank. Jeśli kobieta darzy cię uczuciem, zależy jej tylko na tobie.

Ale przecież on od trzech miesięcy ofiarowywał siebie Ivy, lecz jak dotąd był odrzucany!

Paulina niewiele wiedziała na temat nowej wybranki Franka, zaczynała jednak podejrzewać, że jest to więcej niż przelotny flirt. Zrobiło się jej przykro na widok przygnębionej miny brata, tym bardziej że ona była szczęśliwa z Hughiem.

– Co o niej wiesz? – spytała.

– Jest barmanką.

– A więc daj jej to, czego nie otrzyma od innych mężczyzn.

– Co to takiego?

– Szacunek.

Frank pomyślał o bransolecie z brylantami i o pokoju zarezerwowanym w zajeździe „Pod Lisem i Sforą Ogarów”. Nagle przypomniał sobie pewien szczegół: Ivy zawsze nosiła na szyi mały złoty krzyżyk. I wiedział już, co robi.

– Dziękuję ci, Paulino – pocałował siostrę w policzek. – Wszystkiego najlepszego z

okazji świąt. Niech nam obojgu spełnią się wigilijne życzenia.

Paulina roześmiała się, zamykając za bratem drzwi. Nie miała zamiaru zdawać się na los. Dzisiejszego wieczoru postanowiła wziąć go w swoje ręce i pomóc w ziszczeniu się marzeń.

Hugh jechał przez skąpaną w blasku księżycy równinę. O kilometr drogi od Merindy dostrzegł leżący w rowie wóz pana Shapiro. Pinky, wciąż zaprzęgnięta, spokojnie skubała trawę. Hugh zajrzał do wnętrza pojazdu, ale nie znalazł domokrażcy. Rozejrzał się wokół. Pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć, lecz po panu Shapiro zaginęł wszelki ślad.

Hugh dosiadł konia i ruszył w dalszą drogę. Postanowił jak najszybciej zawiadomić o pustym wozie posterunkowego w Cameron Town.

Podwórze w Merindzie było puste i ciche. Hugh spojrział w stronę jedyne okna chaty, z którego sączyło się złote światło. Zawahał się. Postanowił, że najpierw się wyszykuje na bożonarodzeniowy bal w Strathfield, nim da znać pannie Drury o swoim przybyciu.

W szafasie nie zastał żywego ducha. Wszyscy zatrudnieni na farmie parobcy wybrali się na przyjęcie do pubu „U Faceya” przy głównym trakcie lub rozjechali się do swoich domów i rodzin. Hugh ubrał się bardzo starannie. Jednym z celów jego podróży do Melbourne była wizyta u krawca i odbiór wieczorowego stroju, którego miara była wzięta wiele miesięcy temu. Paulina towarzyszyła wtedy Hughowi w mieście i wybrała dla niego zarówno materiał, jak i krój, a także czerwoną atlasową podszewkę do peleryny. Przejrzał się w lustrze. Zdało mu się, że patrzy na obcego mężczyznę. Noszenie szykownego ubioru, którego dopełnienie stanowił cylinder i szpilka z czarną perłą – również wybrane przez Paulinę – było dla niego czymś niezwykłym.

Wziął paczki, które przywiózł z miasta, i wychodząc przypomniał sobie o przewróconym wozie. Dokąd mógł się udać stary handlarz?

Joanna piekła w domu świąteczne ciasto, a Adam i Sara siedzieli przy stole pochłonięci malowaniem. Pan Shapiro kilka dni temu zatrzymał się w Merindzie; uskarżał się na ból głowy i Joanna dała mu herbatę z kory wierzbowej. W rewanżu starzec podarował Adamowi farby i Sara uczyła chłopca posługiwania się akwarelą. Przez okno wpadały powiewy ciepłego wiatru. Joanna wrzuciła do rozczyntu ciasta daktyle i orzechy, przysłuchując się rozmowie Sary z Adamem, a potem skierowała wzrok na drzwi, czekając na Hugh'a. Wiedziała, że niedawno przybył, i spodziewała się go w każdej chwili.

– Bardzo ładne są twoje obory na obrazku – pochwaliła Adama Sara. – Teraz domaluj ludzi.

– Nie. Nie chcę malować ludzi.

Joanna ponownie spoglądała w stronę drzwi, niecierpliwie wypatrując Hugh'a, a jednocześnie bojąc się rozmowy, jaką zamierzała z nim przeprowadzić. Od czasu spotkania nad rzeką z Ezekielem dwa tygodnie temu i od powtarzających się sennych majaków o obrazach trucizny-pieśni biła się z myślami, czy nie opuścić Merindy. Przeczucie nadciągającego zagrożenia stawało się coraz silniejsze. Dojrzewała w niej pewność, że wydarzy się coś złego.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi. Joanna wytarła ręce i starała się ukryć zdenerwowanie.

– Wesołych świąt – powitał ją Hugh, stając na progu z pakunkami.

Joanna ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stroju. W cylindrze i w pelerynie wydawał się wyższy i bardziej barczysty. Czarny frak i prążkowane spodnie nadawały mu wygląd światowca. Był taki przystojny, taki piękny! Zastanawiała się, czy znajdzie w sobie dość siły, by odejść.

– Dobry wieczór, panie Westbrook. Witamy w domu.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała na sobie przepasaną fartuszką bladą suknię z podwiniętymi rękawami. Dostrzegł mękę najej rękach i płonące policzki. Pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej niż dzisiaj.

– Nie, nie – odezwał się nagle chłopiec i prędko usunął coś ze stołu.

Joanna uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Czy możemy porozmawiać na werandzie? Gdy zamykała drzwi, wyjaśniła szeptem:

– Adam przygotował dla pana prezent, ale nie chce go jeszcze pokazać. Ostrzegam, że może mieć pan trudności z jego zidentyfikowaniem. To stojak do fajek.

– Ależ ja nie palę!

– Chłopiec zobaczył go w jednym z czasopism i postanowił, że pan też musi coś takiego mieć. Pracował nad nim przez cały dzień. Jak minęła podróż?

– Wstąpiłem do Inspektoratu Nieruchomości w Melbourne i podałem wszystkie dane o pani akcie własności. Jeśli posiadłość znajduje się w kolonii Wiktoria, może zdołają ustalić jej miejsce położenia. Za kilka tygodni zawiadomią nas o wynikach poszukiwań. Niestety wizyta w bibliotece nie przyniosła żadnych rezultatów. Poprosiłem, żeby przekazywali mi wszelkie wiadomości na temat miejscowości o nazwie Karra Karra.

– Bardzo dziękuję – rzekła Joanna. – Jestem ogromnie wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił. – Chciała powiedzieć mu o swoich obawach i o planach opuszczenia Merindy. Nie wiedziała jednak, od czego zacząć.

– Jak się miewa Adam?

– Mówi już trochę więcej. Sara ma bardzo dobre podejście do chłopca. Ale nadal nie możemy nakłonić go, żeby opowiedział nam o swojej matce i o tym, co się wydarzyło.

– Zamierzam jutro zabrać go ze sobą do Lismore na świąteczny obiad. A jakie pani ma plany, panno Drury?

– Doktor Ramsey wybiera się tutaj z wizytą. Mam nadzieję, że nie jest pan temu przeciwny?

– Oczywiście, że nie. – Hugh poczuł lekki zapach perfum Joanny. – Przywiozłem dla Adama prezent z Melbourne. – Podał Joannie paczkę, w której znajdowała się mosiężna luneta, podobna do używanych przez marynarzy. – A to upominek dla Sary, szal. Zostawię prezenty na werandzie. Rano pani je wręczy, dobrze? – Sięgnął do kieszeni. – A to dla pani.

Joanna uniosła wieczko małego pudełka i znalazła na wyściółce z atlasu parę delikatnych niebieskich kolczyków.

– To lazuryty – wyjaśnił Hugh. – Mam nadzieję, że będą pasowały do błękitnej broszki, którą pani często nosi.

Były piękne i doskonale dobrane do broszki.

– Dziękuję. Są śliczne.

Hugh stał tak blisko... Miała ochotę go objąć, pocałować i powiedzieć, że to najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymała, i że go kocha.

– Niech pani je jutro włoży.

Joanna spojrzała na pudełko, które trzymała w swoich ubrudzonych mąką dłoniach, i pomyślała: „Nie będę ich nosić dla doktora Ramseya ani dla żadnego innego mężczyzny, tylko dla ciebie”.

– Ja też mam dla pana prezent – rzekła i zniknęła w głębi domu.

Wróciła po chwili z paczką owiniętą w brązowy papier. Hugh zdjął opakowanie, przez chwilę zdumiony przyglądał się podarunkowi.

– To na pańskie wiersze – stwierdziła.

Przesunął dłonią po skórzanej i bogato ornamentowanej oprawie z napisem wytłoczonym w kształty złotych liści: „Dziennik”. Przewertował puste kremowe kartki, które czekały, by je wypełnić.

– Jest piękny – stwierdził, myśląc o balladzie, której początek wymyślił w drodze do Melbourne:

*Szlak jest długi i wyschnięta każda grobla,  
Rzepy czepiają się stóp obtartych,  
krwawiących, W rozgrzanym powietrzu unosi się mgła  
Pod niebem mosiężnym, nisko  
wiszącym...*

Zapisał ten wiersz na kwicie, ale teraz mógł go przenieść do albumu.

– Wszystkiego najlepszego z okazji świąt, Joanno – powiedział i miał ochotę dodać: „David Ramsey jest w tobie zakochany i chce cię poślubić”.

Był zaskoczony, czując ogarniającą go falę pożądania.

Podczas dwóch tygodni nieobecności w domu nie mógł przestać myśleć o Joannie. W czasie samotnej podróży pojawiała się w jego wyobraźni jak żywa. Zmieniała się z sekundy na sekundę i była nieuchwytna. A teraz stała przed nim i wypełniała kontury obrazu przechowywanego w pamięci. Niespodziewanie przypomniał sobie słowa: „Przebyła wzburzone morza, by dotrzeć do złotego lądu...”

– Pójdę już – oznajmił, myśląc: „Paulina będzie się o mnie niepokoić”. – Pojutrze przyjedzie architekt, pan McNeal, który będzie nadzorował budowę domu. Chcemy w nim zamieszkać z Paulina po ślubie, dlatego prace rozpoczną się zaraz po Nowym Roku.

„Ślub, nowy dom, Paulina...”, – pomyślała Joanna.

– Zanim pan odjedzie, chciałabym o czymś powiedzieć, panie Westbrook – rzekła.

Zdumiała go powaga w jej głosie.

– Tak, słucham.

Poczuła oszalały łomot serca.

– Zamierzam wyjechać z Merindy. Sądzę, że tak będzie lepiej.

– O czym pani mówi? – spojrzał na nią zaskoczony.

– Pewnie nie widział się pan jeszcze z Billem Lovellem. W czasie pana nieobecności

reszta Aborygenów porzuciła pracę na farmie. Wiem, że powodem jestem ja. Nie myślę się, prawda?

Obrzucił ją zdumionym wzrokiem.

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Dowiedziałam się od Sary, że Ezekiel rozpowiada wśród parobków o nieszczęściu, jakie ściągam na Merindę. Przepowiada straszliwe wydarzenia, do których dojdzie, jeśli tu zostanę. W dniu pana wyjazdu do Melbourne spotkałam go nad rzeką. – I Joanna zwięzłe opisała całe zajście.

– Kazałem Ezekielowi trzymać się od pani z daleka.

– To nie jego wina, panie Westbrook. Nie może się pan na niego gniewać z powodu jego wierzeń. Rozumiem, że na pierwszym miejscu stawia dobro swoich pobratymców. Próbuje bronić tego, co jest dla niego ważne. Między innymi po to przyjechałam do Australii – żeby poznać dawny tryb życia krajowców, który wpłynął na losy mojej rodziny i moje. Przeczucia Ezekieła są częścią tej zagadki, nie mogę ich ignorować. Muszę je zrozumieć i spróbować się z nimi zmierzyć. Nie chcę stąd odchodzić, uważam jednak, że zostając, sprawię jeszcze więcej kłopotu.

– Chyba nie wierzy pani w te bzdury? To niemożliwe, żeby pani zważała na zabobony, na złe uroki!

– Nieważne, w co ja wierzę, panie Westbrook. Istotne jest to, o czym on jest przekonany. Zaraził swoimi obawami ludzi, którzy pracowali dla pana. Jeśli odejdę, oni wrócą...

– Nie, nie odejdzie pani. Nie pozwolę, żeby stary głupiec dyktował mi, jak mam zarządzać farmą.

– Ale pańscy parobcy...

– Zatrudnię następnych. – Nagle chwycił ją za ramiona. – Panno Drury, Joanno. Niech się pani nie lęka Ezekieła. On pani nie skrzywdzi. Jest naprawdę niegroźny...

– To nie tylko sprawa Ezekieła. W dniu, w którym przybyłam do Melbourne, na pokład statku wszedł młody tragarz. Gdyby mógł pan zobaczyć jego wzrok, w chwili gdy na mnie spojrzał... Myślę, że się mnie bał. Miałam zły sen, majak o panu... o nas. Wydawał się tak realny, że do dzisiaj nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, jakie we mnie wywołał. Prześladowuje mnie niepokój. Czuję, że wydarzy się coś złego. Lękam się o pana, o Adama, o Merindę i o siebie. Wiem, że oprócz widzialnego świata jest jeszcze inny, którego istnienie coraz wyraźniej zaczynam odbierać. Moja matka również go czuła, choć mieszkała tysiące kilometrów stąd. Była przekonana, że korzenie tajemnych mocy tkwią tutaj, w Australii. Aborygeni wierzą w nadprzyrodzone siły, w trucizny-pieśni i w czary. Skąd możemy wiedzieć, czy nie mają racji?

– Nie pozwolę pani stąd odejść, Joanno. Nie w ten sposób. Przecież nie ma się pani dokąd udać. – Jeszcze mocniej chwycił ją za ramiona. – Musi pani tu zostać, Joanno. Niech mi pani obieca, że nigdzie się stąd nie ruszy.

Usłyszeli pospieszne kroki. Matthew, jeden z chłopców stajennych, prędko wbiegł po schodach werandy.

– Pan Lovell zachorował, panie Westbrook! – oznajmił. Joanna wróciła do domu po torbę

lekarską. Znaleźli Billa |

w jego szafasie.

– Od jak dawna jest w takim stanie? – spytał Hugh chłopaka.

– Nie mam pojęcia, panie Westbrook. Nie widzieliśmy go I od kilku dni. Sądziłyśmy, że wybrał się dokądś ze świąteczną | wizytą.

– Słyszysz mnie, Bill?

– Hugh... – jęknął chory. – To tylko zwykłe przeziębienie.

– Mogę pana zbadać? – odezwała się Joanna. Usiadła na brzegu łóżka, dotknęła czoła zarządcy i wyszukała puls na szyi.

Bill zamrugnął powiekami.

– Dzień dobry, panno Drury – rzekł chrapliwym głosem.

– Czy coś pana boli?

– Tak, brzuch.

– Kiedy zaczął się pan źle czuć?

– Jakiś tydzień temu... rozbolała mnie głowa i gardło...

– Dlaczego nikogo pan nie zawiadomił?

– Sądziłem, że to minie – rzekł z uśmiechem.

– Niech pan spokojnie leży. Zaopiekujemy się panem. Joanna z Hughiem wyszli przed szafas.

– Gorączka pustynna – stwierdził Hugh. – Od dawna nie spotkałem się z tą chorobą, lecz rozpoznaję symptomy.

– Nie jestem pewna, ale objawy kojarzą mi się z inną przypadłością. Zwykle gorączce towarzyszą przyspieszone uderzenia serca. Tymczasem pan Lovell ma zastanawiająco wolny puls. Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć, co to za dolegliwość... Wydaje mi się, że w dzienniku mojej matki jest o tym wzmianka.

Poszła do domu i zaraz wróciła.

– To się wydarzyło, gdy byłam bardzo mała – stwierdziła, przerzucając kartki dziennika.

– W kwaterze wojskowej, gdzie stacjonował mój ojciec, wybuchła epidemia. Matka opisała ją, zwracając szczególną uwagę na zastanawiające tętno. Jest! Znalazłam!

Na chwilę pograżyła się w lekturze, nim podała dziennik Hughowi.

– Pan Lovell ma klasyczne objawy – zauważyła, gdy Hugh odczytywał zapiski lady Emili o przebiegu epidemii. – Nie spotyka się ich w żadnej innej chorobie.

– A więc to tyfus! – Hugh zamknął oprawny w skórę dziennik. – Siodłaj konia – polecił chłopcu stajennemu. – Odszukaj doktora Ramseya i powiedz mu, że jest pilnie potrzebny. Jeśli nie zastaniesz go w domu, jedź do Strathfield. Może wybrał się na bal. Pospiesz się! – ponaglił chłopaka i zwrócił się do Joanny: – Sytuacja jest poważna, jeśli to rzeczywiście tyfus. Musimy natychmiast działać.

– Pan Lovell ma wysoką gorączkę, która może jeszcze wzrosnąć. Muszę spróbować ją obniżyć.

Joanna ponownie udała się do domu po miednicę z wodą i po ręczniki, a Hugh zdjął cylinder oraz pelerynę, rzucił je na łóżko i usiadł obok Billa.

– Co ty wyrabiasz, stary? – mówił do przyjaciela, jakby obaj byli dziećmi. – Poczuleś się samotny i zapragnąłeś, abyśmy poświęcili ci więcej uwagi?

Bill uśmiechnął się, lecz widać było, że cierpi.

Joanna położyła mu na czole zimny kompres z ręcznika. Spojrzeli na siebie z Hughiem przez łóżko. Dostrzegł w jej oczach strach, zdawała się mówić: „Wiedziałam, że to się wydarzy... „

W końcu przybył David Ramsey. Był w wieczorowym stroju.

– Słyszałem, Bill, że nie czujesz się dobrze – rzekł, zdejmując cylinder. – Zaraz się przekonamy, co ci dolega.

Wsunął choremu termometr w usta, a potem zadarł mu koszulę i zbadał brzuch. Błada skóra pocętkowana była różowymi plamami. Gdy ucisnął ją lekko, Bill aż krzyknął z bólu.

– Rzeczywiście to tyfus – przyznał lekarz, gdy razem z Joanną i Hughiem wyszli na zewnątrz. – Jacko Jackson znalazł na swoim polu zwłoki domokrądcy, pana Shapiro. Wygląda na to, że starzec czołgał się do zabudowań, gdzie miał nadzieję otrzymać pomoc.

– Sądzi pan, że mamy do czynienia z wybuchem epidemii? – spytał Hugh.

– Niewykluczone. Uważam, że powinniśmy liczyć się z taką ewentualnością i zachować wszelkie środki ostrożności.

– Proszę powiedzieć, co mamy robić.

– Najpierw trzeba umieścić Billa w odosobnionym miejscu. Nie pozwólcie się do niego zbliżać nikomu z wyjątkiem pielęgnujących go osób. Nie wiadomo, co powoduje tyfus ani w jaki sposób choroba się rozprzestrzenia. Osobiście jestem zwolennikiem teorii zarazków. W przypadku niektórych chorób doświadczenia wykazały, że odizolowanie ich ofiar może zahamować szerzenie się epidemii. Nie wiemy dokładnie, dlaczego tak się dzieje, ale metoda ta bywa czasami skuteczna.

– A co z Billem? Czy wyzdrowieje?

– Na tę chorobę nie ma lekarstwa. Możemy go jedynie dożywiać, nawadniać i za wszelką cenę starać się obniżyć gorączkę. Jeśli za jakieś dwa lub trzy tygodnie nie wystąpią komplikacje, powinien z tego wyjść. Muszę was jednak uprzedzić, że tyfusowi często towarzyszą powikłania, zwykle zapalenie płuc lub pęknięcie jelita cienkiego, które prowadzi do zapalenia otrzewnej. Obserwujcie uważnie innych pracowników. Zwracajcie uwagę na bóle głowy i pleców, na nagły brak apetytu. Bóle brzucha wystąpią wkrótce potem. Zostawię ci ten termometr, Joanno. To nowy wynalazek. Zmierzenie za jego pomocą temperatury trwa tylko trzy minuty. Co się zaś tyczy opieki nad pacjentami...

– Nie martw się, Davidzie. Wiem, co należy robić – rzekła Joanna. – Znalazłam wskazówki w dzienniku mojej matki.

– Wobec tego zabieramy się do roboty – powiedział Hugh. – Najpewniej jutro będziemy mieli do czynienia z tyloma przypadkami tyfusu, że nie zdołamy się zająć wszystkimi chorymi.

Gdy doktor Ramsey odjechał, Ezekiel wyszedł z cienia, nasłuchując.



## ROZDZIAŁ 10

Joanna przesiedziała całą noc przy Billu. Hugh z chłopcem stajennym przebrali go przedtem i owinęli w mokre prześcieradło, a ona została przy chorym, zmieniając często kompres na jego czole, podając mu picie i sprawdzając co pół godziny temperaturę. Jeden z parobków, który wrócił po północy z pubu „U Fanceya”, gdzie świętował Boże Narodzenie, pozwolił sobie na uwagę, że obecność Joanny przy nieodzianym mężczyźnie jest niestosowna. Lecz kiedy spostrzegł, jak poważny jest stan Billa, nie powiedział już nic więcej.

Hugh przebrał się w roboczy strój. Najpierw wstąpił do pubu „U Fanceya” i spośród klientów wybrał na tyle trzeźwych, by mogli mu towarzyszyć. Poinformowani o symptomach, środkach zapobiegawczych oraz sposobach opiekowania się ewentualnymi chorymi, rozjechali się po całej okolicy. Zagląдали do wszystkich zamieszkałych miejsc, budzili ludzi i ostrzegali ich przed możliwością wybuchu epidemii. Hugh udał się do Strathfield, gdzie się odbywał bal, i wygłosił zwięzłą mowę do zebranych gości, radząc im, by niezwłocznie wrócili do domów. Potem pojechał do Lismore i zawiadomił Paulinę. Dopiero gdy znowu był w drodze po krótkiej wizycie u narzeczonej, uświadomił sobie, że nie miała na sobie sukni balowej.

O świcie w święto Bożego Narodzenia okazało się, że dwanaście osób zachorowało na tyfus, w tym dwóch parobków z Merindy.

Chorych przeniesiono do szałas, gdzie Joanna zorganizowała szpital. Materace z łóżek zostały porozdzielane pomiędzy ludzi, którzy odtąd mieli sypiać na dworze lub w szopie przeznaczonej do strzyżenia owiec. Joanna uprzedziła wszystkich, żeby nie pili wody ze studni ani z rzeki bez przegotowania, i poleciła, by natychmiast zawiadamiali ją o wystąpieniu u kogokolwiek pierwszych objawów choroby. Łóżka w szałasie wymoszczono workami wypełnionymi liśćmi eukaliptusa, które łatwo można było usunąć, spalić i zastąpić nowymi. Przy drzwiach stały wiadra z niegaszonym wapnem, którym regularnie przemywano ściany.

Bill Lovell został przeniesiony do szałas-szpitala, by Joanna mogła jednocześnie doglądać jego i innych pacjentów. Leżał za parawanem i przez cały czas ktoś przy nim czuwał. Sara, która uznała zastosowane środki ostrożności za niewystarczające – gdyż wszystko wskazywało na to, że choroba wzięła początek w Merindzie – wyszukała odpowiednie kamienie oraz pióra i niepostrzeżenie porozkładała je wokół domu.

Hugh wrócił w południe w dzień Bożego Narodzenia. Był wyczerpany i głodny, ale nie zamierzał kłaść się spać, dopóki nie zostaną powiadomione o epidemii wszystkie domostwa w okolicy.

– U Maude Reed wystąpiły pierwsze symptomy choroby – oznajmił w trakcie posiłku. – A w pobliżu Mount Rouse natknąłem się na rodzinę, której niemal wszyscy członkowie zostali nią dotknięci. Zostawiłem tam Larry’ego, żeby w miarę możliwości opiekował się zarażonymi. Jeśli epidemia się rozprzestrzeni, będziemy musieli znaleźć sposób na dostarczanie chorym wody i żywności.

– Należy myć ręce natychmiast po opuszczeniu zakażonego domu, wtedy panu ani pańskim ludziom nic się nie stanie – stwierdziła Joanna. – Proszę się też niczym tam nie częstować. Hinduscy lekarze byli zdania, że powietrze i ludzki oddech nie roznoszą tyfusu. Nic wam nie grozi, jeśli zachowacie niezbędne środki ostrożności.

– A czy pani dobrze się czuje? – spytał Hugh, nim wyszedł.

– Tak.

– To nie pani wina, Joanno – rzekł cicho. – Takie rzeczy się zdarzają, a ludzie często miewają w związku z nimi złe przecucia. Ale pani nie ma z tym nic wspólnego. Niech pani mi obieca, że będzie uważać na siebie i na Adama.

Odjechał w kierunku wschodnim, gdzie na rozległych równinach były porozrzucane liczne małe farmy. Joanna wyznaczyła jednego z parobków, aby zebrał ludzi, którzy zajęliby się napełnianiem butelek przegotowaną wodą, a sama w asyście dwóch stajennych skoncentrowała się na doglądaniu trzech pacjentów.

Do Merindy przybył Frank Downs i towarzyszył Hughowi. Rozwozili sąsiadom jajka, przegotowane mleko, brzoową herbatę Joanny i przekazywali instrukcje, jak należy opiekować się zarażonymi. Na obszarze o powierzchni pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych chorymi zajmowało się tylko dwóch lekarzy.

Frank wstąpił najpierw do domu przy wysadzonej drzewami alei na przedmieściach Cameron Town.

Podczas wigilijnej kolacji „U Finnegana” był świadkiem, jak inni mężczyźni usiłowali podarować Ivy kosztowne prezenty, a ona grzecznie odmawiała ich przyjęcia. Lecz kiedy Frank jej zaproponował swoje towarzystwo podczas pasterki, odpowiedziała: „Tak”.

Wysłuchali mszy, odśpiewali kolędy, a potem wybrali się jego powozem na przejażdżkę. Frank pragnął czegoś więcej, lecz dobrze wiedział, że nie powinien się narzucać. Rozmawiali o rozgrywkach krykieta i wynikach wyścigu o Puchar Melbourne, o pogodzie i wreszcie o francusko-pruskiej wojnie w Europie. A kiedy odwiózł Ivy do domu i spytał, czy nie wybrałaby się razem z nim na piknik, wyraziła zgodę.

Piknik miał się odbyć w ten weekend, lecz w obecnej sytuacji wszystkie plany musiały ulec zmianie.

W holu usiłowała Franka zatrzymać gospodyni.

– Nie przyjmujemy tutaj mężczyzn! – wykrzykiwała, j– To dom cieszący się dobrą reputacją!

Wyminał ją, wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz. Zapu – I kał do drzwi Ivy i powiedział pospiesznie:

– Wybuchła epidemia tyfusu. Niech pani tutaj zostanie, nie J chodzi do pubu. Proszę nie opuszczać domu, dopóki niebezpieczeństwo nie będzie zażegnane.

Uścisnął jej rękę.

– Wróć, żeby sprawdzić, jak się pani czuje.

Trzy dni później zewsząd dochodziły wieści o przypadkach J zachorowań na gorączkę tyfusową; w promieniu stu trzydziestu kilometrów od Cameron Town szerzyła się epidemia. I nikt nie wiedział, skąd ją przywleczono.

Okręg Zachodni ogarnęła panika. Nie było rodziny, której nie dotknęłaby choroba. W Monivae zapadła na nią niemal cała służba i chorymi musiała się zaopiekować pani domu wraz z dwiema córkami. W Glenhope płonęła gorączką Maude Reed, a jej mąż zapobiegawczo raczył się dużymi dawkami whisky. W Strathfield pozapalano świece w rodzinnej kaplicy i państwo Ormsby na klęczkach nieustannie odmawiali różańce. W Kilmarnock Colin MacGregor pozamykał wszystkie drzwi i okna i nie przyjmował żadnych gości, sądząc podobnie jak większość ludzi, że tyfus roznosi się w powietrzu.

Ponieważ doktorzy Ramsey i Fuller nie byli w stanie sprostać wszystkim wezwaniom, ludzie zaczęli się zwracać o pomoc do Joanny. „Ona wyleczyła kiedyś moje dzieci, gdy latem miały gorączkę” – oznajmiła Winifreda Cameron przyjaciółkom. „A pamiętacie, jak skutecznie zaradziła porannym nudnościom Christiny MacGregor? – powiedziała Louisa Hamilton i zaraz dodała cicho: – Kto wie, może skończyłyby się i moje problemy z opuchniętymi kostkami, gdybym nie zważając na sceptycyzm Pauliny, zwróciła się do panny Drury po poradę. „

Sąsiedzi Hugh'a przyjeżdżali do Merindy, a Joanna, kierując się wskazówkami zaczerpniętymi z dziennika matki, mówiła im o potrzebie owijania pacjenta w mokre prześcieradła w celu obniżenia gorączki, o częstym podawaniu płynów, o ciągłej obserwacji chorego, a także o konieczności przegotowywania mleka i wody przed spożyciem. Zapewniała, że wiatr nie przenosi tyfusu, a świeże powietrze w pokoju może mieć dla zakażonego zbawienne skutki.

Powóz doktora Ramsey'a był często widywany na wiejskich drogach. Lekarz odwiedzał chorych, do których go wzywano, stwierdzał tyfus, ordynował zastrzyki z digitaliny pacjentom o słabszym sercu, udzielał pielęgnarskich instrukcji tym, którzy wciąż jeszcze czuli się dobrze, i odjeżdżał przygnębiony własną bezsilnością. W przypadku tyfusu lekarz niewiele mógł pomóc. A tymczasem pomimo picia przegotowanej wody i troskliwej opieki, jaką otaczano osoby zarażone, epidemia wciąż się rozprzestrzeniała. Ramsey'a zaczęły nachodzić wątpliwości.

Dziewięć dni po świętach Bożego Narodzenia przybył do Merindy. Zastał Joannę w szafasie, gdzie opiekowała się dziesięcioma ciężko chorymi. Przystanął w drzwiach. Gdy delikatnie uniosła głowę jednego z pacjentów, pomagając mu się napić, Ramsey pomyślał, że wygląda pięknie pomimo niewyspania, zmęczenia i zgrzebnego fartucha zakrywającego suknię.

– Larry! Pomóż mi przytrzymać Johnno! – zawołała, gdy chory zaczął się rzucać w malignie.

Chwilę później, kiedy porobek znowu leżał spokojnie, podniosła wzrok i uśmiechnęła się do lekarza.

– Witaj, Davidzie – podeszła do niego, odgarniając z twarzy włosy. – Jak się miewasz?

– Dziękuję, dobrze, a ty? Jak się czuje Adam?

– Jest zdrow, dzięki Bogu.

– Muszę z tobą porozmawiać, Joanno.

– Dobrze. Sprawdzę tylko w kuchni, czy jest dość przegotowanej wody. Pójdiesz ze

mną?

– Nie jestem pewien, czy postępujemy właściwie – mówił Ramsey, gdy szli przez podwórze spalone od słońca na popiół. – Przy dotychczasowej opiece chorzy gorączkują przez trzy tygodnie, a nawet dłużej. Są potem tak osłabieni, że nawet jeśli przeżyją tyfus, zapadają na zapalenie płuc, które w ich przypadku nieuchronnie kończy się śmiercią, o ile przedtem nie umrą na zapalenie otrzewnej. Ludzi zabija długi przebieg choroby, a nie ona sama, Joanno. Gdybyśmy zdołali wcześniej wypędzić ją z ciała, gdybyśmy potrafili ją wyleczyć zaraz...

– Nie mamy na tyfus lekarstwa, Davidzie.

– Właśnie nad nim pracuję – wyznał. – Czytałem ostatnio, że europejscy lekarze eksperymentują nową metodę leczenia tyfusu. Dezynfekują przewód pokarmowy częstymi dawkami jodiny i kwasu karbolowego.

– Ależ to trucizna!

– To prawda, lecz tylko w dużych ilościach. Częste czyszczenie jelita i usuwanie z niego zarazków tyfusu może uzdrowić pacjenta, nie sądzisz?

– Czy naukowcy stosujący tę metodę odnieśli już jakieś sukcesy?

Ramsey zmarszczył brwi.

– Wciąż przeprowadzane są próby. W kilku przypadkach zakończyły się powodzeniem, ale odnotowano też zgony.

– Wolę zajmować się chorymi, korzystając z doświadczeń mojej matki, Davidzie.

Lecz on pomyślał o Edwardzie Jennerze – odkrywcy szczepionki przeciwko ospie, o Theophile’u Laennecu, który wynalazł stetoskop, oraz o Rudolphie Yirchowie, który pierwszy wykazał, że niewidoczne gołym okiem komórki mogą być źródłem pewnych chorób – o wszystkich badaczach, którzy wnieśli wkład w rozwój medycyny. David Ramsey rozpaczliwie pragnął dołączyć do ich grona.

Epidemia zataczała coraz szersze kręgi. Czterech duchownych w strefie zakażonej nie mogło nadażyć z grzebaniem zmarłych, kościoły były opustoszałe i dziwnie ciche. Wszyscy wiedzieli, że szansę na ocalenie daje tylko całkowita izolacja od świata.

Okazało się jednak, że nawet dobrowolni więźniowie, tacy jak państwo Ormsby w Strathfield czy MacGregorowie w Kilmarnock, nie są bezpieczni. Pozamykane okna i drzwi nie zatrzymały straszliwego tyfusu. Zaczaił się w wodzie, którą pili, i w żywności, którą spożywali. Skąd mogli wiedzieć, że niewidzialny mikroorganizm może zadać śmiertelny cios? Doktor Ramsey próbował ostrzec ludzi przed mikroorganizmami, ale jak mieli się bać czegoś, czego nie widzą?

Gdy Christina MacGregor zaczęła się uskarżać na bóle głowy i gardła, Colin MacGregor pojechał do Cameron Town po Davida Ramseya.

– Niech pan się stara obniżyć gorączkę zimnymi kompresami – polecił lekarz po zbadaniu pacjentki. – I proszę podawać żonie tyle płynów, ile tylko organizm zdoła przyjąć. Poza tym w jej pokoju panuje straszliwy zaduch. Niech pan pootwiera wszystkie okna i wpuści do środka świeże powietrze. Gdyby stan pańskiej żony się pogorszył, a ja byłbym nieuchwytny, proszę się zwrócić o pomoc do Joanny Drury z Merindy. Ona będzie wiedziała, co należy

zrobić.

Christina była w ósmym miesiącu ciąży.

– A co z dzieckiem, doktorze? – spytał Colin. Lekarz nie potrafił odpowiedzieć.

Hugh i Frank nadal jeździli po okolicy. Pomagali farmerom grzebać ich żony oraz dzieci i przywozili na farmę samotnych parobków, którzy zapadli na tyfus. Joanna pilnowała, by chorym robiono zimne okłady, czuwała nad ich dożywianiem i podawaniem płynów oraz nad wymianą eukaliptusowych liści w siennikach. Chodziła pomiędzy łózkami i mierzyła pacjentom temperaturę, pamiętając o tym, by zawsze zdezynfekować termometr alkoholem przed podaniem go następnemu choremu. Pomimo troskliwej opieki gorączka wciąż się podnosiła, puls stawał się coraz wolniejszy, na wzdętych brzuchach pojawiały się różowe plamy i chorzy rzucali się na łózkach w malignie. Epidemia wciąż się rozprzestrzeniała.

Ezekiel stał ukryty za eukaliptusami nad rzeką i przyglądał się Sarze, która odprawiała swój codzienny rytuał. Od czasu gdy choroba zaatakowała Merinę, dziewczyna przychodziła codziennie rano nad staw, rozkładała przyniesione z domu przedmioty: grzebień, chusteczkę oraz Biblię i śpiewała nad nimi pieśni. Rzeczy te należały do ludzi, z którymi mieszkała. Starzec wiedział, że Sara używa ich do odprawiania czarów, które mają uchronić przed chorobą troje białych. Obserwował ją każdego dnia i był coraz bardziej zdumiony. Dostrzegał w niej sprzeczności: posługiwała się językiem białych ludzi i nosiła ich ubrania, lecz odprawiała tajemne rytuały czarnych.

Nie mógł się nadziwić. Dlaczego dziewczyna, którą rozłącono z rodziną, której szczerp rozpędzono i splugawiono jego szlaki-pieśni, troszczy się o los ludzi winnych temu wszystkiemu?

Sara skończyła śpiewać i odgarnęła z twarzy włosy. Spojrzała pomiędzy drzewami w stronę zabudowań i szałasów, w którego oknach i drzwiach wisiały prześcieradła nasączone płynami dezynfekującymi. Siała tam spustoszenie straszliwa trucizna, wobec której środki odkażające okazywały się mało skuteczne i którą należało zwalczać czarami. Sara obawiała się, że jej własna magia nie jest dostatecznie silna. Potrzebowała pomocy.

„Pójdę do misji – postanowiła. – Poproszę Deereere, żeby nauczyła mnie pieśni mającej moc zdolną pokonać ciężącą na Joannie truciznę-pieśń.”

Nagle zeszywniała. Starzec wrócił, obserwował ją. Wyczuwała za plecami jego obecność. Upłynęły cztery tygodnie od czasu, kiedy właśnie w tym miejscu mu się przeciwstawiła. Wspomnienie o tym incydencie nie dawało jej spokoju. W dzieciństwie uczono ją szacunku dla osób starszych, zwracania się do nich „matko” lub „ojcze”, zdawania się na ich mądrość i polegania na ich sądach. Ale Ezekiel nie rozumiał, że Joanna jest kimś wyjątkowym. Sara nie chciała w niczym uchybić starcowi, lecz ją rozzłościł.

– Łamiesz tabu, ojcze – odezwała się nagle, nie odwracając głowy. – Obserwujesz rytuał kobiety. Bezczęścisz swoją obecnością Miejsce Snu.

– Nie łamię żadnego tabu – oświadczył Ezekiel, wyłaniając się zza drzew. Pałał gniewem. Nie przywykł do tego, by strofowała go młoda dziewczyna. W dawnych czasach...

Sara podniosła się z ziemi i spojrzała mu prosto w twarz.

– To Miejsce Snu kobiety – stwierdziła. – Tutaj Pierwszy Kangur przemówił do Joanny.

W oczach Aborygena błysnął wyraz zwątpienia.

– Ściągnęła chorobę na Merindę!

– Nie, ojcze. Epidemię sprowadziła magia czarnych ludzi. Na Joannie ciąży trucizna-pieśń.

Ezekiel był zdumiony. Sara zauważyła na jego twarzy walkę uczuć.

– Joanna jest kobietą-pieśnią – dodała.

– Ależ ona jest biała!

– Mimo to jest kobietą-pieśnią.

Odwrócił wzrok na otaczający go las. Radził się powietrza i nieba, odwoływał się do własnej mądrości, wreszcie pokręcił głową i powiedział:

– Nie rozumiem. Sądziłem, że nadchodzi kres Snów.

– Nie, ojcze – rzekła Sara. – Sny pozostaną tutaj na zawsze. Joanna ma tajemne moce. Ale ciąży nad nią klątwa czarnego człowieka.

– Czy widzisz przy niej truciznę-pieśń? – spytał. Sara była zmuszona odpowiedzieć przecząco.

– Nie, nie widzę, lecz sama mi o tym powiedziała. Klątwa ciążyła przedtem również na jej matce i babce.

– Ach, ona ci powiedziała. – Ezekiel znowu pokręcił głową. – Poczekajmy, może się o tym przekonamy – rzekł w końcu.

A potem odwrócił się i odszedł.

Joanna przystanęła na podwórzu i spojrzała w stronę rozległych równin. Nie widziała Hugh'a już od wielu dni. Źle sypiała. Prześladowały ją koszmary o zapadających na tyfus ludziach i o Hughu, który chory i samotny przebywa z dala od domu. Wyobrażała go sobie, jak trawiony gorączką i bólem leży majacząc obok któregoś z pasterskich chałup.

Wiedziała, że Hugh codziennie jeździ do Lismore. Paulina Downs zorganizowała ekipę kobiet. Oddawały chorym swoje prześcieradła i łóżka, zbierały jajka, gotowały wodę i napełniały nią butelki. Mężczyźni odbierali zgromadzone w Lismore zapasy i zawozili je do odległych farm.

Joanna miała nadzieję, że wkrótce Hugh'a zobaczy. Szła teraz do „szpitala”, żeby sprawdzić, czy „pielęgniarki” należycie wywiązują się z obowiązków. Chorzy mieli coraz wyższą gorączkę i coraz wolniejsze tętno. Jeden z pacjentów wracał do zdrowia, ale dwaj inni leżeli bez przytomności. W stosunku do tych dwóch zachowywała szczególną czujność, obawiała się zapalenia płuc. W szafasie unosił się ciężki odór choroby i środków odkażających. Panował upał, wszędzie było pełno much. Sienniki szybko się brudziły i nieustannie trzeba było w nich wymieniać liście eukaliptusów. Zdarzały się chwile, gdy Joanna była bliska kapitulacji. Okres ten przypominał jej ostatnie dni życia lady Emily, kiedy to matka coraz bardziej słabła, a ona nie mogła jej pomóc. Bała się, że zawładną nią te same co wtedy uczucia: bezsilność, rozpacz i złość.

Zajrzała do Billa Lovella. Od wigilijnego wieczoru minęły już trzy tygodnie i według doktora Ramsey'a oraz dziennika jej matki zarządca powinien zacząć wracać do zdrowia. Lecz kiedy Joanna weszła za parawan, którym był oddzielony od innych chorych, przeżyła wstrząs.

– Matthew – zwróciła się cicho do chłopca stajennego myjącego podłogę niegaszonym wapnem. – Odszukaj bezzwłocznie doktora Ramseya i powiedz, żeby natychmiast przyjechał.

Wróciła do łóżka chorego. Po drganiu zamkniętych powiek poznała, że gałki oczne prędko się poruszają. Twarz Billa była szara jak popiół.

Joanna chwyciła dziennik matki i otworzyła go na stronie, której treść znała już na pamięć. Pomimo to ponownie przebiegła ją wzrokiem, niczym Biblię, znajdując pociechę w znajomych słowach, a jednocześnie dostrzegając w nich dokładną kronikę obecnych wydarzeń.

„Dobiega końca trzeci tydzień epidemii – pisała lady Emily. – Jaswaran jest nieustrudzony w opiece nad chorymi. Ubiegłej nocy zmarł major Caldwell. Petronius jest teraz u jego żony. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, że ten straszliwy tyfus nigdy nie minie. Martwię się o małą Joannę. Czy postępuję właściwie, zatrzymując ją przy sobie? Może powinnam ją stąd odesłać?”

Joanna zamknęła oczy i pomyślała o Adamie, który wydawał się jej taki delikatny, a także o Sarze. Dziewczyna, choć mocna, mogła być nieodporną na chorobę białego człowieka. Każdej nocy Joanna modliła się o dobrą radę i zadawała sobie te same pytania, które niegdyś stawiała jej matka. A kiedy otworzyła oczy i zaczęła dalej czytać, natknęła się na wniosek, jaki również i jej się nasunął: „Ale dokąd Joannę wyślę, kto się nią lepiej zaopiekuje niż ja?”

Zamknęła dziennik i przez chwilę trzymała go w dłoniach. Nagle poczuła bliskość matki, jakby lady Emily była obecna i osobiście udzielała jej wskazówek. A potem przypomniała sobie słowa Sary: „Dziennik jest szlakiem-pieśnią pani matki”.

Do szafasu wszedł David Ramsey. Włosy miał sklezione od potu, a na brodzie nie ogolony zarost. Postawienie diagnozy nie zabrało mu wiele czasu.

– To zapalenie otrzewnej, Joanno.

– Jak możemy mu pomóc?

David miał ochotę wykrzyknąć, że gdyby starczyło mu odwagi na zastosowanie eksperymentalnej metody leczenia, może ocaliłby Billowi życie.

– Nic już nie da się zrobić – powiedział znużonym głosem. – Trzymaj go w pozycji półsiedzącej i z wyjątkiem małych łyków wody nie podawaj mu niczego. Wkrótce skona.

– Zostaniesz przez chwilę ze mną, Davidzie?

Dostrzegł smutek w oczach Joanny, miał ochotę wziąć ją w ramiona. Zapragnął wyjechać z Okręgu Zachodniego i znaleźć się razem z nią z dala od choroby, śmierci i niemocy.

– Przykro mi, ale jestem potrzebny chorym.

– Tak, oczywiście.

Joanna znalazła za parawanem płaczącego Matthew, który słyszał jej rozmowę z Ramseyem.

– Postaraj się sprowadzić Hugh'a – rzekła łagodnie, kładąc mu rękę na ramieniu. – Powinien teraz być przy Billu.

Chwilę później Hugh wjechał na podwórze. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego i przybitego. Miał wystraszone spojrzenie człowieka będącego świadkiem ogromu nieszczęść. Widział całe rodziny powalone przez chorobę – matki, ojców i dzieci; ludzi trawionych

gorączką i odwodnionych, którzy leżeli na materacach majacząc, i nie było nikogo, kto by się nimi zaopiekował ani kto by ich pogrzebał. Niedawno spotkał dziesięcioletniego chłopca, który choć sam spragniony i chory, zwilżał wodą rozpalone twarze swoich bliskich.

Ilekoć Hugh wracał z objazdu po okolicy, zawsze był pełen obaw, co zastanie w domu – dotkniętą tyfusem Joannę lub Adama. Bardzo by chciał zostać z nimi i ich ochraniać. Ale był potrzebny gdzie indziej. A poza tym w jaki sposób mógłby im pomóc? Czasami ogarniała go niemal paraliżująca wściekłość i uczucie bezradności. Nasuwały się też wspomnienia o chwili, gdy jako piętnastolatek grzebał swojego ojca pod jedynym drzewem w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Nie było przy tym księdza, żałobników, a trumnę zastąpił niebieski koc, który służył niegdyś panu Westbrookowi za okrycie podczas wielu nocy spędzonych pod wygwieżdżonym niebem.

Hugh pospiesznie skierował się do szałasu. Wszedł za parawan, za którym leżał jego przyjaciel. Joanna podniosła się z miejsca.

– Czy Matthew panu powiedział...

– Tak – rzekł, siadając przy łóżku. Śmierć wycisnęła blade piętno na ogorzałej twarzy Billa. – Witaj, stary.

Zamglone oczy z trudem odnalazły jego wzrok.

– Dzień dobry, Hugh. Czy dotarliśmy już do Coorain?

– Prawie jesteśmy na miejscu, Bill.

– To dobrze. Mam dosyć pracy poganiacza. Chcę się osiedlić i założyć własną małą owczarnię...

Mówił przez chwilę o przeszłości, o ludziach, którzy od dawna już nie żyli, i o opustoszałych miastach w głębi lądu. Około północy nieco oprzytomniał i rzekł niemal normalnym głosem:

– Nie rezygnuj z pisania ballad, Hugh. Niech Australijczycy pamiętają, jakimi ludźmi byli niegdyś.

Zmarł tej samej nocy.

– Był dla mnie niczym ojciec – mówił Hugh płacząc, a Joanna nie potrafiła go pocieszyć.

Paulina wyjęła termometr spod pachy Elsie i odczytała temperaturę. Termometr, choć stary w porównaniu z używanym przez doktora Ramsey'a, był dokładny i Paulina stwierdziła w ten parny grudniowy dzień, że gorączka pokojówki podwyższyła się o jeden stopień.

Wyjęła ręcznik, który wyjęła z wiadra z zimną wodą, i przyłożyła go do twarzy dziewczyny.

– Nie powinna pani tego robić, panno Downs – szepnęła Elsie.

– Ty opiekowałaś się mną, więc teraz ja powinnam zaopiekować się tobą – powiedziała cicho Paulina.

– Jak się czuje Tom? – dopytywała się pokojówka o młodego mężczyznę, w którym była zakochana.

Tom umarł wczoraj.

– Dobrze – skłamała Paulina.

– Dlaczego nie przyjdzie mnie odwiedzić?



– Pomaga panu Downsowi rozwozić zapasy żywności po okolicy. Leż spokojnie, Elsie. Wszystko będzie dobrze.

Paulina ponownie wrzuciła ręcznik do wiadra i wyciągnęła następny. Wykręciła go i położyła na rozpalonych ramionach służącej. Skierowała wzrok na naznaczoną śmiercią twarz dziewczyny i pomyślała: „Jak prędko i łatwo uchodzi z nas życie”. Ponownie uderzyło ją spostrzeżenie o nieprzewidywalnej zmienności losu i przypomniała sobie pannę Floreę McMichaels, trzydzieści lat temu owdowiałą jeszcze przed ślubem.

Zostawiła Elsie pod opieką innej pokojówki i wróciła do ogrodu, gdzie kobiety przygotowywały kosze z żywnością oraz składały prześcieradła, które miały być dostarczone dotkniętym chorobą rodzinom.

– Gdzie jest Winifreda? – spytała, rozglądając się wokół siebie.

Louisa wyprostowała się i jęcząc rozmasowała sobie krzyż. Była w piątym miesiącu ciąży.

– Pojechała do domu. Zachorował mały Timmy.

Paulina przez chwilę obserwowała uwijające się na trawniku kobiety. Z każdym dniem coraz ich mniej stawiało się do pracy. Albo same zapadały na tyfus, albo zostawały w domach, by opiekować się bliskimi. Paulina pomyślała o Hughu: zastanawiała się, gdzie teraz jest i czy nie zachorował. Nerwy miała napięte do ostateczności. Toma, narzeczonego Elsie, dwudziestojednoletniego chłopaka – zdrowego jak konie, którymi się opiekował – tyfus zmógł w dziesięć dni.

Ustawione rzędem na stole szklane naczynia mieniły się różnymi barwami w świetle słońca. Znajdowały się wśród nich butelki po mleku, po piwie i po lekarstwach. Wożono je do okolicznych domów i z powrotem dostarczano do Lismore, gdzie były myte i sterylizowane, a potem napełniane przegotowaną wodą do picia. Paulina zakasała rękawy i pomimo upału oraz zmęczenia zabrała się do roboty.

Louisa podniosła wzrok i dostrzegła na obrzeżach ogrodu obcą kobietę, która wahała się, czy podejść.

– Pójdę zobaczyć, co to za jedna – oznajmiła. Ciężkim krokiem ruszyła ku nieznajomej.

– Czym mogę pani służyć?

– Czy mam przyjemność z panną Downs?

– Nie, nazywam się Hamilton. Panna Downs jest zajęta przy napełnianiu butelek. A kim pani jest?

– Ivy Dearborn. Chciałabym pomóc.

Louisa zmierzyła wzrokiem prostą suknię nieznajomej oraz wystające spod skromnego kapelusza płomiennorude włosy. Zorientowała się, z kim ma do czynienia. Słyszała, jak mąż wspominał o nowej barmance „U Finnegana”.

– Przykro mi, ale mamy już dosyć rąk do pracy.

Ivy spojrzała w stronę stołów zastawionych jedzeniem i piciem oraz piętrzących się stosów prześcieradeł. Wiedziała, że ogromnej robocie nie zdoła sprostać garstka pracujących kobiet. Zatrzymała wzrok na Paulinie. Była wysoka, piękna i zupełnie niepodobna do Franka – mężczyzny, o którym Ivy myślała przez wiele miesięcy. Od tamtego wieczoru, kiedy

narysowała jego portret, wciąż go wypatrywała. Miała ochotę przyjąć jego zaproszenia, ale się bała z powodu swoich wcześniejszych doświadczeń. A potem nieoczekiwanie poprosił ją, żeby wybrali się razem do kościoła. Miała wygórowane marzenia, które teraz się rozwiały.

– Rozumiem – powiedziała i odeszła.

– Kto to był? – spytała Paulina, gdy Louisa wróciła do stołu.

– Nikt. To tylko barmanka. Chciała pomóc.

– I co? Odesłałaś ją?

– Nie potrzebujemy tutaj kobiet jej pokroju.

– To mój dom, Louiso, i ja będę decydować, kto jest tu mile widziany, a kto nie – stwierdziła Paulina i odwinęła rękawy sukni, gotowa pospieszyć za kobietą.

Ale zanim zdołała to zrobić, zjawił się lokaj z Kilmarnock.

– Panno Downs, pan MacGregor prosi, żeby pani natychmiast przyjechała – zakomunikował.

Paulina przywołała powóz.

Zastała Colina przy łóżku Christiny, która majaczyła w gorączce. Judd stał w kącie z pobladłą buzią.

– Nie mogę nigdzie znaleźć Ramseya – rzekł Colin.

– A kobieta, która dotychczas zajmowała się Christiną, zachorowała dzisiaj rano. Czy mogłaby pani przy niej jakiś czas posiedzieć? Zamierzam pojechać do Merindy i przywieźć tu pannę Drury.

Paulinę przeraził wygląd Colina. Dumnego dziedzica Kilmarnock prawie nie poznała, tak był chudy, blady i przestraszony.

– Lepiej będzie, jeśli zostanie pan przy żonie – zauważyła.

– Ja udam się po pannę Drury.

Hugh wjechał na ciche i opustoszałe podwórze Merindy, zeskoczył z konia i wszedł do szałasu. Joanna przykrywała prześcieradłem ciało zmarłego parobka. Miała podkrążone oczy, a sukienka zdawała się na niej wisieć.

– Hugh – powiedziała tylko i upadła zemdlona. Zaniósł ją do domu i położył do łóżka. Oddychała głęboko.

Zasnęła.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Była piękna i wydawała się bardzo krucha. Pomyślał, że jej skóra zbyt mocno opina kości.

W otwartych drzwiach stanęła Paulina.

– Czy ona jest chora? – spytała.

Hugh pochylał się nad Joanną z zatroskanym wyrazem twarzy. Podniósł wzrok.

– Witaj, Paulino – rzekł zaskoczony. – Nie, ale jest skrajnie wyczerpana. Rozpaczliwie potrzebuje snu.

– Colin MacGregor prosił, żeby przyjechała. Stan Christiny jest bardzo ciężki.

– Przekaż mu, że przyjedzie, gdy tylko trochę się prześpi.

Gdy Paulina z powrotem znalazła się w sypialni Christiny w Kilmarnock, oświadczyła Colinowi:

– Panna Drury przybędzie trochę później.

– Dlaczego nie przyjechała od razu?

Zawahała się. Nie mogła wymazać z myśli obrazu Hugh'a siedzącego obok Joanny na łóżku i delikatnie gładzącego ją po policzku.

– Musi najpierw dojrzeć chorych parobków – rzekła i zdziwiła się, że tak łatwo wymyśliła kłamstwo.

Christiną umarła trzy godziny później, zabierając ze sobą nie narodzone dziecko. Colin łkał głośno, był nieprzytomny z rozpaczy. A siedmioletni Judd, który wciąż stał bez słowa w kącie, wiedział, że w końcu stało się to, czego się najbardziej obawiał – jego matka dołączyła do duchów z gabinetu ojca.

Joannę przebudziły odgłosy dobijania się do drzwi. Przez chwilę walczyła z sennością, ale kiedy spróbowała usiąść, stwierdziła, że jest bardzo osłabiona. Rozejrzała się po pokoju. Było późne popołudnie. Usiłowała sobie przypomnieć, w jaki sposób się tutaj znalazła. I nagle wróciła jej pamięć: zemdląca w szalasię.

Ponownie rozległo się pukanie.

– Kto tam? – spytała.

– Mam wiadomość dla pani od doktora Ramsey'a, panno Drury.

Joanna rozpoznała głos jednego z parobków.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak osłabiona.

W końcu otworzyła drzwi i mężczyzna wręczył jej przesyłkę przywiezioną przed chwilą przez posłańca z Cameron Town.

Gospodyni Ramsey'a zawiadamiała w liście Joannę, że lekarz zachorował i prosi, by do niego przyjechała.

– Pan Westbrook wziął powóz, panienko.

– Wobec tego każ chłopcu stajennemu osiodłać dla mnie któregoś z wierzchowców. Czy wiesz, gdzie się podziewa Sara z Adamem?

– Chłopiec pomaga PingLi w kuchni, a dziewczyna powiedziała, że ma do załatwienia jakąś sprawę.

Joanna umyła ręce i twarz, uczesała się i poczuła się trochę lepiej, choć w dalszym ciągu była bardzo zmęczona.

Zastanawiała się, jaka sprawa mogła zajmować Sarę. Przed wyjściem zostawiła na stole kartkę z informacją, dokąd się wybiera.

Jechała szybko, by zdążyć przed zmierzchem. Zastała Ramsey'a w łóżku. Pokój przesycony był wonią choroby i śmierci. Joannie wystarczył jeden rzut oka, by wiedzieć, że siność ust lekarza oraz dziwna bladość twarzy nie jest spowodowana tyfusem. Zażył truciznę – eksperymentalne „lekarstwo”. Na nocnej szafce dostrzegła butelki z jodyną oraz z kwasem karbolowym.

Usiadła przy łóżku Davida i położyła mu na czole zimny kompres.

Gospodyni stała w drzwiach i załamywała ręce.

– Nie wiedziałam, co robić. Przecież to on jest lekarzem. Ramsey otworzył oczy i uśmiechnął się do Joanny.

– Ostatniego dnia, kiedy się widzieliśmy, wystąpiły u mnie pierwsze symptomy... – powiedział z trudem. – Stwierdziłem wtedy zapalenie otrzewnej u Billa Lovella, pamiętasz? Od razu wiedziałem, że to tyfus.

– Nic nie mów – rzekła. – Zaopiekuję się tobą. Pokręcił przecząco głową.

– Nie, Joanno. Dobrze wiem, co się stało. Nigdy nie odważyłbym się przeprowadzić eksperymentu na innych. Musiałem najpierw wypróbować lekarstwo na sobie. – Podniósł dłoń, wskazując butelki z trucizną. – Chciałem się przyczynić do rozwoju medycyny. Pragnąłem stać się kimś takim jak Jenner czy Pasteur. Ale mi się nie udało. Sam siebie zabiłem...

Umarł. Joanna delikatnie zamknęła mu powieki.

Gdy powoli wracała wiejską drogą do Merindy, wciąż miała w pamięci twarz Davida. Czuła się tak, jakby z niej samej także uleciało życie i była martwa. Szybko nadciągał zmrok, lecz ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Na ramionach dźwigała brzemię odpowiedzialności za wszystkich zmarłych. Jak miała postąpić wobec tego ogromu nieszczęść? A może stary Ezekiel się nie mylił? I gdyby tu nie przyjechała, nie doszłoby do tej tragedii?

Zakręciło się jej w głowie. Przypomniała sobie, że od wczoraj nic nie jadła. Spojrzała na pogrążoną w mroku drogę i starała się ustalić, jak duża odległość dzieli ją jeszcze od Merindy. Wiedziała, że trakt najpierw skręca na południe, a potem znowu przez kilka kilometrów biegnie w kierunku północnym. Nie była pewna, czy zdoła go pokonać. Usiłowała ocenić, jak długo jeszcze będzie widno.

Zrobiło się jej słabo. Nagle poczuła strach, że nigdy nie dojedzie do Merindy. Uznała, że jedyną szansą na powrót do domu jest skrócenie drogi przez pastwiska.

Pognała konia przez wyschnięte trawy. Szybki galop nie sprawiał jej tym razem przyjemności. Pomyślała o Davidzie i zaczęła płakać.

W końcu dostrzegła w oddali prześwitujące pomiędzy gałęziami drzew światła farmy. Jeszcze bardziej popędziła wierzchowca.

Gdy podejmowała decyzję o jeździe na skróty, nie wzięła pod uwagę rzeki, którą trzeba było pokonać. Koń na widok wody stanął dęba. Joanna puściła wodze. Krzyknęła, upadając na ziemię.

Adam się bał. Podczas nieobecności Sary, która potajemnie składała wizytę w misji, pomagał kucharzowi. Nie zaglądał do domu, żeby nie obudzić Joanny. Wieczorem zobaczył, że nie ma jej w łóżku, więc skierował się do szałas. Parobcy nie wpuścili go do środka i kazali mu się trzymać z dala od tego miejsca. Teraz zapadła noc, a on wciąż był sam.

Nie lubił samotności. Przypominała mu o pewnym wydarzeniu, kiedy też był zdany tylko na siebie. Bał się tych wspomnień. Nie miał zamiaru o nich myśleć, a tym bardziej opowiadać. Nie dopuszczał ich do siebie, kiedy Joanna nakłaniała go do zwierzeń. Ale teraz się lękał. Czuł się tak samo jak wtedy, dawno temu, gdy wrócił z podwórza i zastał leżącą na ziemi matkę z dziwnie pobladłą twarzą. Próbował ją obudzić, lecz nie mógł. Wołał do niej bez końca. Jego panika zamieniła się w przerażenie, gdy zrozumiał, że mama zasnęła na zawsze i on nie zdoła jej wyrwać z tego snu.

Rozejrzył się po pustym i cichym podwórzu. Zastanawiał się, czy Sara i Joanna wybrały

się razem nad rzekę. Poszedł do lasu, lecz nie znalazł tam nikogo. Przestraszył się jeszcze bardziej. Nigdy dotąd nie był tutaj nocą.

Na drugim brzegu dostrzegł osiodłanego konia bez jeźdźcy. W najważniejszym miejscu przeszedł rzekę w bród i znalazł leżącą na ziemi kobietę. Nagle wydało mu się, że znowu jest w swoim dawnym domu i że wszystko dzieje się od nowa.

– Mamo! – krzyknął, podbiegając do Joanny. – Mamo, obudź się! Nie śpij! Mamo! Mamo! – Szarpał ją, lecz nie reagowała.

Próbował skupić myśli. Powinien sprowadzić pomoc, pobiec po kogoś, ale był zbyt przerażony. Rzucił się na trawę i zaczął walić głową o ziemię. Płakał w poczuciu bezsilności i trwogi.

– Mamo! Zbudź się! – Ukrył buzię w dłoniach i zaszlochał. Nie mógł mamy dobudzić. Nie potrafił się przemóc, żeby się ruszyć z miejsca i pójść po pomoc. Tkwił tylko przy niej bezradnie i płakał.

W końcu się uspokoił. Joanna miała zamknięte oczy, a jej włosy były rozrzucone na trawie.

Nagle zdał sobie sprawę, że to nie jest jego matka.

Uklęknął i powiedział zmieszany:

– Joanno? Joanno, obudź się! – Potrząsnął ją za ramię. – Zbudź się, Joanno!

Wstał i popatrzył na nią z góry, obezwładniony uczuciem strachu i niezdecydowania. Obejrzał się przez ramię w stronę świateł farmy. Nie chciał opuszczać Joanny. Bał się zostawić ją samą. Ale wiedział, że jeśli nie sprowadzi pomocy, ona może się nigdy nie obudzić. Tak jak mama.

Zawrócił i pognął przed siebie ile sił w nogach.

– Ratunku! Na pomoc! – krzyczał, wpadając na podwórze. Wbiegł na werandę, lecz w domu nikogo nie zastał. Zajrzał do kuchni. Na piecu bulgotało coś w garnku, ale chińskiego kucharza nigdzie nie było widać.

– Na pomoc! Na pomoc! – wołał, pędząc w stronę szafasu. Zatrzymał się przed zaporą z prześcieradeł. Piekąca woń karbolu paliła w gardło i gryzła w oczy.

Zawrócił i wybiegł na drogę.

Hugh cieszył się, że jest już blisko domu. Był nieludzko zmęczony. Obok niego jechała w milczeniu Sara, którą zabrał po drodze. Odwiedziła misję, lecz tam jej powiedziano, że stara Deereeree zmarła na tyfus.

– Przykro mi, Saro – rzekł Hugh, wyczuwając ogromny ból dziewczyny. – Bardzo ci współczuję.

– Osiągnęła już sędziwy wiek. – Sara nie dodała nic więcej. Nie wolno jej było rozmawiać o zmarłych. Wiedziała, że do końca życia będzie nosić w sobie pamięć o starej Deereeree. Niestety, wszystkie tajemnice starej kobiety – czary, pieśni i mądrość jej przodków – umarły wraz z nią.

– Kto to biegnie z naprzeciwka? – zdumiał się nagle Hugh. – Ależ to Adam!

Zatrzymał powóz i zeskoczył na ziemię.

– Co tu robisz, Adamie? Co się stało?

– Joanna jest ranna! Tam nad rzeką! Spadła z siodła! Nie mogę jej dobudzić!

Hugh zjechał z drogi w pola i popędził konie. Gdy dotarli do drzew, wyskoczył z powozu i pokonał resztę drogi biegiem.

– Joanno! – wołał. – Joanno!

Nagle dostrzegł pasącego się wierzchowca, a chwilę później Joannę, która siedziała i rozcierała sobie głowę.

– Mój Boże, Joanno – powiedział, upadając obok niej na kolana.

– Zrzucił mnie koń...

Wziął ją w ramiona, pocałował i mocno przytulił do siebie.

– David nie żyje, Hugh – szepnęła. – To koszmar. Pomógł jej wstać i jeszcze przez chwilę trzymali się nawzajem w objęciach.

Podszedł do nich Adam.

– Jesteś zdrowa, Joanno? – spytał. – Przeraziłem się. Nie chciałaś się obudzić. Tak jak mama. Ale teraz jest już dobrze. Sprowadziłem pomoc.

– Dzielny chłopak – rzekła Joanna, czując, że bliskość Hugh'a działa na nią kojąco. Nie była już ani słaba, ani znużona. Miała wrażenie, że czerpie od niego siłę. Pragnęła, żeby nigdy nie wypuszczał jej z objęć. – Spisałeś się na medal, Adamie.

## ROZDZIAŁ 11

Sara zebrała kamienie, pióra oraz opaski z ludzkich włosów i zaniósła je nad rzekę. Jej czary działały: tyfus minął. I choć w okolicy zmarło wiele osób, to przecież Joanna, Hugh i Adam ocalili.

Ludzie mówili, że zarazę do Wiktorii Zachodniej przywłókł pan Shapiro. Sara uważała jednak, że przyczyną epidemii była trucizna-pieśń. Świadczył o tym fakt, że jej zabiegi odeгнаły chorobę. Musiała teraz zakopać rytualne przedmioty, które posiadały potężną moc, żyły własnym życiem i trzeba im było okazać szacunek. Zagrzebała je w miękkiej gliniastej ziemi nad brzegiem rzeki i zaśpiewała ostatnią pieśń. Tym razem była to miłość-pieśń.

Sara dostrzegała uczucie, jakie zrodziło się i narastało pomiędzy Joanną a Hughiem. Oboje dzielili je z małym, skrzywdzonym chłopcem, którego rany zaczęły się ostatnio zablźniać. Lecz Hugh miał się niebawem ożenić, a Joanna oświadczyła, że wyjeżdża. Sara uważała, że nie powinna tego robić. Jej miejsce było tutaj. Do Merindy przywiódł ją szlak-pieśń.

Miłość-pieśń, której Sara dawno temu nauczyła się od matki, miała potężną moc i teraz dziewczyna śpiewała ją, żeby połączyć Hugh'a z Joanną.

Gdy zakopała już wszystkie przedmioty i upewniła się, że nie zostaną odnalezione, znowu wyczuła za drzewami obecność starca. Przez chwilę wydawał się Sarze duchem. Był ubrany w spodnie i koszulę, które otrzymał w misji, lecz na głowie miał opaskę z ludzkich włosów, a na jego gołych ramionach Sara dostrzegła stare blizny, ślady po dawnych plemiennych obrzędach. Miał przy sobie bumerang.

Teraz, kiedy zakończyła już swój rytuał, mógł do niej podejść. Podniosła się z miejsca, okazując mu szacunek. Patrzyli na siebie poprzez zalaną słońcem polanę.

– Działają tu silne moce, ojcze – odezwała się dziewczyna. – To moce kobiety-pieśni i trucizny-pieśni. Prowadzą ze sobą wojnę. Potrzebna mi twoja pomoc.

Ezekiel skierował wzrok na swój bumerang. Była to broń „śmiercionośna”, a nie „powracająca”. Sam go wyrzeźbił wiele lat temu i wyrzył na nim magiczne symbole. Zastanawiał się, dlaczego przez ostatnie tygodnie tak wiele czasu poświęca rozmyślaniom. Śledził przebieg wydarzeń, tak jak obiecał Sarze, i był coraz bardziej zdumiony. Teraz już nic nie wydawało się proste. Dawniej ludzie postępowali według ściśle wytyczonych reguł. Zasady prawa określały, kiedy teściowa może odezwać się do zięcia, kiedy syn ma być poddany inicjacji, gdzie kto zajmuje miejsce przy ognisku i na kim spoczywa obowiązek przyniesienia wody. W czasach poprzedzających przybycie na te ziemie białego człowieka wszyscy znali prawo i przestrzegali jego norm, a świat był uporządkowany i skutecznie opierał się chaosowi. Teraz ludzie zapomnieli o dawnym porządku, łamali wszelkie nakazy i starsze pokolenie nie potrafiło już znaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

Biała kobieta w Merindzie była dla Ezekieła wielką niewiadomą. Obserwował ją. Budziła niepokój, lecz jednocześnie szacunek. Był świadkiem, jak odprawiała czary, ratując ludzi przed chorobą, w tym także siebie i Hugh'a, którego Ezekiel uważał za przyjaciela.

– Dlaczego śpiewasz miłość-pieśń? – zwrócił się do Sary.

– Żeby zatrzymać Joannę. Odeszła dzisiaj rano. Chcę, by Hugh sprowadził ją tu z powrotem.

Na nowo podjęła pieśń. Ezekiel pociągnął nosem i spojrzał w niebo. Miłość-pieśń należała do magii kobiet, o której nic nie wiedział. Może była skuteczna. Odwrócił się i przemykając pomiędzy drzewami, skierował się w stronę głównej drogi. Miłość-pieśń mogła mieć dużą moc, lecz członkowie starszyny plemiennej dobrze wiedzieli, że człowiek swoim działaniem powinien czasami wspierać tajemne praktyki.

Hugh i Paulina składali kwiaty na grobach znajomych: Billa Lovella, Davida Ramseya, Cameronów, McClintocków i Dunnów. Na jednym nagrobku wyryty był napis: „Dziecko Hamiltonów – 22 stycznia 1872 roku”. Louisa nie zachorowała na tyfus, ale stres wywołany epidemią spowodował przedwczesny poród. Paulina kładła kwiaty na małym grobie zastanawiając się, czy przyjaciółka zdołała wydobyć tajemnicę zapobiegania ciąży od doktora Ramseya przed jego śmiercią.

Prawie wszystkie odwiedzające cmentarz kobiety były w głębokiej żałobie. Paulina chcąc uszanować ból innych, włożyła szarą suknię wykończoną czarną lamówką. Ona i brat zdołali się ustrzec przed epidemią. Frank był w rozpacz, bo panna Dearborn zniknęła. Spędził wiele dni na poszukiwaniach, lecz w końcu zrezygnował. Zrozumiał, że umarła na tyfus. Wrócił do Melbourne i zajął się prowadzeniem gazety, choć wciąż cierpiał z powodu utraty Ivy.

Pomiędzy grobami trawa żółkła w promieniach letniego słońca. Paulina szła pod rękę z Hughiem, myśląc: „Musimy się teraz zwrócić ku przyszłości. Tragedię trzeba zostawić za sobą. Przecież życie toczy się dalej”. Lecz temat ślubu, od którego dzielił ich tylko miesiąc, wciąż nie był poruszany.

– Straszliwy dzisiaj upał – zauważyła, poruszając wachlarzem. – Mam nadzieję, że w dniu naszego wesela nie będzie tak gorąco.

– Paulino... – zaczął Hugh.

Czuła, że zbliża się nieuchronnie. Pragnęła temu zapobiec za wszelką cenę.

– Opuśćmy to smutne miejsce, mój drogi – zaproponowała. – Wybierzmy się na przejażdżkę w góry. Panuje tam cudowny chłód.

– Musimy porozmawiać, Paulino – stwierdził Hugh. Nadciągało to, czego się obawiała od chwili, gdy zastała Hugh'a pochylonego nad śpiącą Joanną w Merindzie.

– Nie bądź taki poważny, kochanie – rzekła z uśmiechem. – Przygnębiająca atmosfera tego miejsca źle wpłynęła na twój nastrój. A może wybierzmy się do zajazdu „Pod Lisem i Sforą Ogarów” i zjemy...

– Zawsze byłem wobec ciebie uczciwy, Paulino. Muszę więc i teraz zdobyć się na szczerść. To dotyczy Joanny Drury.

– Nic nie mów, proszę.

– Postąpiłbym niehonorowo, gdybym cię poślubił, zatajając prawdę. Darzę cię zbyt wielkim szacunkiem, żebym mógł zachować się w ten sposób.

Paulina zeszywniała.

– Pewnie masz zamiar mi wyjawić, że jesteś w niej zakochany.



– Tak.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Domyślam się, że chcesz ją zatrzymać, by nadal opiekowała się Adamem?

– Nie, to nie byłoby uczciwe postawienie sprawy. Joanna odchodzi.

– Dlaczego w takim razie zdecydowałeś się o tym powiedzieć?! – wykrzyknęła.

– Ponieważ to prawda. Ty także zdajesz sobie z tego sprawę. Nie mógłbym zostać twoim mężem wiedząc, że oboje ukrywamy to przed sobą.

Paulina zadrżała.

– A co ze mną? Kochasz mnie?

Spojrzał na nią. Była piękna i elegancka, lecz on myślał o Joannie, o tym, jak ją całował, i o namiętności, która wstrząsnęła nimi obojgiem. Wziął rękę Pauliny w swoje dłonie i powiedział:

– Szanuję cię i podziwiam, Paulino.

– Ale mnie nie kochasz.

– Bardzo cię lubię.

– Zależy mi na twojej miłości, Hugh, a nie na sympatii! Odwróciła się do niego plecami. Dlaczego nie mieliby dzielić tej małej tajemnicy? Cóż złego mogła im wyrządzić? Paulina udawałaby, a z czasem może naprawdę by uwierzyła, że Hugh kocha tylko ją. I kto wie, może faktycznie tak by się stało?

Czuła, że wzbiera w niej złość, gdy przypomniawszy sobie, jak Hugh pochylał się nad Joanną z czułością. Paulina miała wtedy ochotę krzyknąć do rywalki: „Odejdź stąd! Nie zasłużyłaś sobie na niego! Nie zakochałaś się w nim, gdy miałaś czternaście lat! Nie zarzuciłaś mu ramion na szyję i nie pocałowałaś go, gdy zdobył główną nagrodę na Pokazie Hodowców! Nie przepłakałaś wielu dni, widząc go w koszuli zbroczonej krwią, bladego jak śmierć, gdy przyniesiono go do domu z polowania. Nigdy nie stałaś obok torów gonitwy na wyścigach i nie modliłaś się całym sercem o zwycięstwo dla niego. A ja to wszystko robiłam! Hugh jest mnie przeznaczony!”

– Czy powiedziałeś o tym dlatego, że chcesz odwołać nasz ślub? – zapytała ze spokojem.

– Nie, Paulino. Nie po to.

– Ale chciałbyś tego, prawda?

– To, czego ja chcę, nie ma tutaj nic do rzeczy.

– Mój Boże, Hugh! Nie zależy mi na tym, żeby mieć męczennika za męża! I nie mam zamiaru wstępować z tobą w związek małżeński tylko dlatego, że jesteś człowiekiem honoru!

– Będę dla ciebie dobrym mężem, Paulino. I postaram się, żeby nasze wspólne życie było udane. Nigdy cię nie zdradzę, przyrzekam.

Paulina zamknęła oczy. „Tyle że nie będziesz mnie kochał”

– pomyślała.

– Jak prędko nasze życie zmieni się w piekło? – spytała.

– Czy zaraz potem, gdy ksiądz ogłosi nas mężem i żoną, zaczniesz mnie nienawidzić za to, że nie jestem Joanną?

– Nigdy nie będę cię nienawidził, Paulino.

– Ale moja obecność zacznie cię z czasem nużyć. A to będzie dla mnie jeszcze gorsze!

Zamyśliła się nad swoją miłością do tego mężczyzny i nad planami zdobycia go dla siebie. Przypomniała sobie piknik w deszczu, swoje oświadczenia, kampanię, jaką wytoczyła przeciwko Joannie Drury. Chciała tej dziewczynie dać do zrozumienia, że jest intruzem. Pragnęła ją stąd przepędzić. Sięgając myślami wstecz, dostrzegła, z jak wielką logiką, wyrachowaniem i determinacją prowadziła swoją batalię. A teraz pojęła, że choć zyskała sobie lojalność Hugh'a i mogła nawet nosić jego nazwisko, to nie zdobyła jego samego. Zwycięstwo, jakie odniosła, wcale jej nie zadowalało.

– Chcę, żebyś ożenił się ze mną z miłości, Hugh, a nie ze szlachetnych pobudek.

– Na razie nie mogę ci ofiarować gorącego uczucia, Paulino.

– Wobec tego powinniśmy odwołać nasz ślub – stwierdziła. Gdy nic nie powiedział, poczuła, jak ostrze porażki głębiej wbija się w jej serce.

Dlaczego miłość była aż tak bezlitosna? Colin MacGregor zamknięty w swoim zamku oplakiwał śmierć żony, Frank prowadził gorączkowe poszukiwania kobiety o imieniu Ivy, a Paulina...

– Nie chodzi mi tylko o Joannę – rzekła, instynktownie przyjmując pozycję obronną. – Są również i inne przeszkody. Dom nie jest jeszcze wybudowany, a na samą myśl o tym, że miałabym zamieszkać w kurnej chacie, cierpnie mi skóra. A wiem, że nie jesteś skłonny przeprowadzić się do Lismore, gdyż nie mógłbyś doglądać swojej farmy. Ostatnio zrozumiałam też, że pomimo usilnych starań... nie umiem wykrzesać z siebie ciepłych uczuć do Adama. Chłopiec nie darzy mnie zbytnią sympatią, a ja nie jestem jeszcze przygotowana, by wziąć na siebie odpowiedzialność za dziecko, szczególnie za dziecko innej kobiety.

– I kto tu mówi o szlachetnych pobudkach? – zadrwił Hugh. Podniosła wyżej głowę.

– Pozwól, żebyśmy do końca zachowali dla siebie nawzajem szacunek. Chyba choć tyle jesteśmy sobie winni.

– Czy jesteś tego wszystkiego pewna, Paulino?

„Nie! – krzyknęła w głębi duszy. – Wcale nie jestem pewna. Weź mnie w ramiona i powiedz, że mnie kochasz i że ożenisz się ze mną bez względu na to, co powiem. „

– Tak – rzekła, odwracając twarz w drugą stronę. – Sądzę, że tak będzie lepiej.

Wyciągnął do niej rękę, lecz zachnęła się gwałtownie.

– Proszę cię, Hugh. Jeśli zaraz stąd nie odejdziesz, nie zdołamy się rozstać z godnością. Nie dopuścimy do sceny, której potem oboje będziemy żałować.

– Pozwól, że cię odwiozę do domu, Paulino.

– Wrócę na piechotę. Lismore leży niedaleko stąd, a poza tym mam wiele spraw do przemyślenia. Muszę odwołać wesele i wszystkim udzielić wyjaśnień...

Zdjęła pierścionek zaręczynowy i chciała go wręczyć Hughowi, ale zaprotestował.

– Zatrzymaj go, Paulino. Przecież wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

Gdy odchodziła, w jej oczach zabłyszczały łzy jak brylanty. Pojęła ogrom swojej porażki. Uświadomiła sobie, czego jej nigdy nie będzie dane doświadczyć: nie zazna z nim rozkoszy, nie zobaczy ich pierwszego dziecka w jego ramionach. Miała dwie wizje przyszłości: jedną, która stawała się teraz udziałem Joanny Drury, i drugą, jej własną – długich samotnych lat

wypełnionych uczuciem żalu, podczas których przemieni się w surową, zgorzkniałą kobietę i będzie porównywała każdego mężczyznę do Hugh'a Westbrooka, lecz u żadnego nie doszuka się jego zalet. Powstrzymując łzy, widziała siebie w roli „biednej panny Flory”, o której przyjaciele mówią ze współczuciem, że „została na lodzie”.

Postanowiła do tego nie dopuścić. Było jeszcze trzecie rozwiązanie. W głowie zaczął jej świtać nowy pomysł. Skierowała oczy na wschód, w kierunku Kilmarnock, i pomyślała o przystojnym Colinie MacGregorze, który zamknięty w zamku opłakiwał stratę żony.

„Drogi panie Westbrook, kiedy otrzyma Pan ten list, ja już będę w drodze do Melbourne” – pisała Joanna.

Dyżurny niebawem miał odjechać. Siedziała przed zajazdem „Pod Lisem i Sforą Ogarów” razem z innymi pasażerami i czekała na załadunek bagaży. Jej kufer pierwszy został umocowany na dachu.

Powróciła do pisania listu.

„Oboje wiemy, że nie mogłabym zostać w Merindzie po Pańskim ślubie. Dlatego postanowiłam wyjechać już teraz, aby oszczędzić nam obojgu trudnego pożegnania. Pan ma przed sobą nowe życie, a ja się muszę skoncentrować na celu, dla którego przyjechałam do Australii. Być może nie jestem odpowiedzialna za tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce w Merindzie i pociągnęły za sobą śmierć tak wielu ludzi. Wiem jednak, że znajduję się we władaniu mocy, nad którymi nie jestem w stanie zapanować. Złożyłam obietnicę matce, że dowiem się, jaka klątwa ciąży nad naszą rodziną i znajdę sposób, by zniweczyć jej działanie. Jestem to także winna moim przyszłym dzieciom.”

Ponownie oderwała się od listu, myśląc o Hughu – o tym, jak ją znalazł nad rzeką i wziął w ramiona, o przepływającej przez jej ciało fali gorąca, o pocałunkach.

„Przyjechałam tu nie po to, by się zakochać i zapuścić korzenie, lecz aby upomnieć się o moją własność, odnaleźć Karra Karra i przepędzić demony, które prześladowają kobiety z rodu Makepeace” – przywołała się do porządku.

Próbowała się skupić na dalszych planach. Pięciomiesięczne poszukiwania nie zbliżyły jej do rozwiązania zagadki zawartej w dokumentach dziadka. Otrzymała wiadomość od pana Asquitha, który był członkiem zarządu Rady do spraw Aborygenów. Kontaktując się z nim, miała nadzieję, że problemy tubylców są mu bliskie i będzie mógł jej udzielić jakichś informacji. Okazało się jednak, że pan Asquith jest bankierem, został wybrany do zarządu z przyczyn politycznych i nigdy nie odwiedził żadnej chrześcijańskiej misji dla Aborygenów ani rezerwatu. Pracownicy Urzędu Nieruchomości w Melbourne również nie mogli Joannie pomóc. Oświadczyli, że nie potrafią zlokalizować poszukiwanej ziemi, gdyż zawarte w akcie własności informacje są zbyt skąpe. Joanna nie doczekała się też odpowiedzi od Patricka Lathropa zamieszkałego w Ameryce najomego jej dziadka.

Musiała zacząć wszystko od początku i poszukać nowych wskazówek, które naprowadziłyby ją na właściwy trop.

„Z ogromnym smutkiem opuszczam Merindę – pisała dalej – ale nie ma już powodu, który uzasadniałby mój dalszy pobyt na farmie. Chłopiec wraca do zdrowia. Zauważyłam, że od tamtego wieczoru, kiedy znalazł mnie Pan nad rzeką i wyjaśnił mi, że nie jest

odpowiedzialny za śmierć matki, gdyż nie mógł jej uratować, rozpoczął się proces gojenia jego ran. Sara pomoże Adamowi w pełni odzyskać równowagę. A także Pan oraz panna Downs.

Nigdy nie zapomnę chwil spędzonych w Merindzie. Pan również na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Życzę Panu zdrowia i wszelkiej pomyślności. „

– Proszę wsiadać, panienko – rzekł woźnica. – Zaraz odjeżdżamy.

Joanna zapieczętowała list, wrzuciła go do skrzynki pocztowej i zajęła miejsce w pojeździe. Odprowadzający pomachali swoim bliskim na pożegnanie, woźnice chwycili za lejce i dylizans, przechylając się na boki, ruszył przed siebie.

Gdy współtowarzysze podróży przedstawiali się i wymieniali uwagi o upalnej pogodzie oraz o błogosławieństwie wygaśnięcia epidemii tyfusu, Joanna wyglądała przez okno, żegnając w milczeniu znajomą okolicę. „Może za kilka lat wrócę tu, żeby przekonać się, na jakiego młodzieńca wyrósł Adam i jak potoczyły się losy Sary. Oraz Hugh’a.”

Dylizans niespodziewanie się zatrzymał. Na zewnątrz rozległy się krzyki.

– Pewnie spóźniony podróżny – zasugerował jeden z pasażerów.

– Mój Boże, przecież nie ma już wolnego miejsca – rzekła jakaś starsza pani.

Nagle otworzyły się drzwi i Joanna spostrzegła w nich Hugh’a. Odniosła wrażenie, że jest wściekły.

– Spotkałem Ezekiela na drodze. Powiedział mi, że wyjechałaś. Jak mogłaś odejść bez pożegnania, Joanno?

– Hej, wy tam! – zawołał woźnica. – Musimy jechać!

– Sądziłam, że tak będzie lepiej – tłumaczyła się Joanna.

– Mój Boże, gdyby nie Ezekiel, mógłbym cię stracić! Wsiadaj, Joanno! Nie pozwolę ci odejść! – I zwrócił się do woźnicy. – Niech pan zdejmie kufer panny Drury. Zaszło nieporozumienie.

– Ależ panie Westbrook... Hugh... – zaczęła Joanna.

– Chcę się z tobą ożenić. Kocham cię, Joanno. Poczula na sobie wzrok współpasażerów.

– Nie rozumiem. Panna Downs... Wyciągnął do niej rękę.

– Wróć ze mną do Merindy. Proszę cię, Joanno.

– Ale przecież uzgodniliśmy... mam na myśli kłopoty...

– Na miłość boską, Joanno! Nie ma takich problemów, których nie potrafilibyśmy rozwiązać. Kocham cię, nie mogę bez ciebie żyć. Jesteś mi potrzebna. I Adamowi również.

– Zatrzymuje pani dylizans, panienko – zauważył woźnica. – Niech się pani zdecyduje, czy jedzie dalej razem z nami. Muszę się trzymać rozkładu.

Spojrzała Hughowi w oczy. Pomógł jej wsiąść. Chciała coś powiedzieć, lecz on przyciągnął ją do siebie i pocałował. Objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek.

## **Część druga**

**1873**

## ROZDZIAŁ 12

Obcy spacerował pomiędzy drzewami. Sara pozostała w ukryciu, skradając się za nim wzdłuż brzegu rzeki. Gdy zatrzymywał się, ona też przystawała, a gdy podejmował dalszą wędrówkę, ona ruszała w ślad za nim jak cień. Nigdy przedtem go nie widziała.

Przyszła tutaj, żeby nazbierać korzeni mniszka dla Joanny, i w wodzie mignęło jej odbicie dziwacznie odzianego mężczyzny. Miał na sobie spodnie z kozłowej skóry i białą lnianą koszulę z szerokimi rękawami. Nie nosił marynarki, krawata ani nakrycia głowy i Sara stwierdziła, że jego ciemnoblonde włosy, związane na karku, są niemal tak długie jak jej. Chodził z wielką księgą, w której na każdym postoju coś zapisywał. Obrzuciła spojrzeniem jego smukłe ręce i doszła do wniosku, że ma przed sobą dżentelmena.

Znowu przystanął, przyglądając się jednemu z drzew, a potem zmrużył oczy, kierując wzrok w niebo prześwitujące pomiędzy splątanymi konarami. Coś zanotował. Sara dostrzegła błysk metalu na prawym przegubie jego dłoni.

Obcy nie powinien tutaj przebywać. Ten zakątek należał do Joanny i do niej. Hodowały tu zioła, dzieliły się doświadczeniami i wymieniały się tajemnicami kobiet. Joanna opowiadała jej o wielkim świecie, gdzie na rozległych oceanach żeglowały statki, o mężczyznach, którzy tańczyli sztywno wyprostowani z pięknie ubranymi kobietami, a Sara snuła opowieści o wierzeniach przodków.

Uważała polanę nad rzeką za miejsce swojej inicjacji. Pastor Simms przerwał obrzęd przyjęcia jej przez starszą kobietę do społeczności dorosłych i nie zdążyła nauczyć się wszystkich plemiennych sekretów, ale poznała inne, które były równie święte. „Jeśli włożysz do ziemi ziarno, będziesz je podlewać, zapewnisz mu dostęp światła i otoczysz miłością, zacznie rosnąć, tak jak dorasta ludzka istota” – tłumaczyła jej Joanna. Aborygeni nigdy nie wsadzali ziaren do ziemi i nie hodowali roślin. To była magia białego człowieka – dobra magia.

A dzisiaj, w tym marcowym dniu, obcy mężczyzna spacerował po ich ziemi. Sarę ogarnęło dziwne uczucie, którego nie potrafiła nazwać.

Nieznajomy mógł ściągnąć na to miejsce złe czary i zakłócić swoją obecnością szlak-pieśń. Przebywał niebezpiecznie blisko świętych ruin. Sara uświadomiła sobie, że musi go zatrzymać.

Obserwowała go. Podeszedł do zakola rzeki. Jego wysoka, szczupła sylwetka na moment zarysowała się ciemnym konturem na tle opalizującej powierzchni wody. Zmierzał w stronę ruin. Skradała się bezszelestnie, ani na moment nie spuszczał go z oczu. Stał przed zwałoną ścianą i ona zatrzymała się również. A gdy przyklęknął przed świętymi kamieniami i wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć, Sara krzyknęła.

Joanna przyglądała się rysunkowi Tęczowego Węża. Poczwała przejmujące zimno. Wyglądał dokładnie tak, jak opisywała go matka w swoim dzienniku – ogromny gad, który prześladował lady Emily w snach. Wydał się Joannie dobrze znajomy. Ogarnął ją niepokój. Wąż mierzył ją swoim jedynym okiem o przenikliwym spojrzeniu, drwił i rzucał wyzwanie.

– Wiem, że interesuje się pani życiem Aborygenów – rzekł pan Talbot, właściciel księgarni. – Więc gdy tylko wpada mi w ręce jakaś pozycja, która mogłaby panią zaintrygować, odkładam ją dla pani. Ta książka, fascynująca moim zdaniem, jest białym krukiem.

Joanna przeczytała tytuł pracy sir Finlaya Cobba: „Moje życie wśród Aborygenów”, napisanej w 1827 roku – czterdzieści lat po tym, jak biały człowiek po raz pierwszy postawił stopę w Australii, i trzy lata przed przybyciem na ten kontynent Naomi i Johna Makepeace.

– Dziękuję, panie Talbot – powiedziała, nie mogąc oderwać oczu od niepokojącego wizerunku Tęczowego Węża. – Wydaje się bardzo interesująca.

Spojrzenie gada było hipnotyzujące. Joanna nagle uzmysłowiła sobie, że pojedyncze oko odgrywało wielką rolę w snach lady Emily – nie tylko w prześladowających ją majakach, ale i we wspomnieniach. „Widzę moją matkę, która wychodzi z jakiejś grotty, a chwilę potem wypada stamtąd również ogromny wąż, którego jedyne ślepie wydaje mi się przerażające. To dziwne, ale kobieta, która mnie trzyma na rękach, nie jest wystraszona. Wszyscy obecni na równinie ciemnoskórzy ludzie sprawiają wrażenie szczęśliwych. „

– Pani Westbrook? – wyrwał Joannę z rozmyślań pan Talbot. – Czy życzy pani sobie tę książkę?

– Tak – odparła, podając mu egzemplarz i sięgając do torebki. Przyłożyła rękę do brzucha, myśląc o nowym życiu, które rozwijało się wewnątrz niej. Spodziewała się dziecka. Jej bezgraniczną radość zakłócał jedynie strach przed dziedzictwem matki.

Półtora roku upłynęło od czasu, kiedy „Estelle” uwięziła na oceanie cisza morską, Joanna i Hugh byli małżeństwem od dwunastu miesięcy, Merinda prosperowała, a Joanna z coraz większą determinacją starała się rozwikłać zagadkę związaną z przeszłością rodziny i znaleźć ziemię, wymienioną w akcie własności dziadków. Ale do tej pory nie zdołała się wiele dowiedzieć. Ludzie odpowiadali na ogłoszenie zamieszczone przez Franka Downsa w „Timesie”, ale ich informacje na nic się nie zdały – to daty okazywały się niewłaściwe, to nie zgadzały się inne fakty. Zdarzały się też podejrzane oferty udzielenia informacji za opłatą. Z Towarzystwa Stenograficznego w Londynie nie nadeszła żadna wiadomość i Joanna zaczęła już wątpić, czy otrzyma stamtąd jakąkolwiek pomoc. Wizyta w kartograficznej firmie Farrell i Synowie w Melbourne również nie rzuciła nowego światła na nazwy umieszczone w akcie własności, a wszystkie rządowe departamenty miernictwa, do których Joanna się zwróciła z zapytaniem, przysyłały tę samą odpowiedź: „Potrzebujemy więcej informacji”.

Joanna wiedziała jednak, że musi szukać dalej, szczególnie że oczekiwała dziecka.

Wierzyła, iż jej wytrwałość zostanie w końcu nagrodzona. Popędzała konie, chciała jak najszybciej wrócić do domu i do Hugh'a. Dopiero co kupiona książka leżała w koszyku razem z pocztą, wśród której znajdował się długo oczekiwany list od pana Patricka Lathropa z San Francisco. Żałowała, że nie może jeszcze bardziej pospieszać konia, by prędzej znaleźć się przy Hughu. Kochali się tak mocno, że każda rozłąka z mężem sprawiała Joannie niemal fizyczny ból. Niecierpliwiła się, żeby pokazać mu list, który zdawał się zawierać obietnicę, że poszukiwania niebawem dobiegną końca. „Przypuszczam, że znał pan mojego dziadka” – napisała do Lathropa przed kilkoma miesiącami. Nie traciła nadziei, że starszy pan jeszcze żyje, i wierzyła, że któryś z jej listów wreszcie dotrze do adresata. Tym bardziej że jej

korespondencja nie była odsyłana. I wreszcie nadeszła odpowiedź.

Joanna zajechała na podwórze. Adam pomagał w stajni. Miał teraz sześć lat i wprost się palił, żeby uczestniczyć we wszystkich pracach na farmie. Hugh'a i Sary nigdzie nie było widać. Weszła po schodach na werandę.

Seria nieprzewidzianych wydarzeń w ubiegłym roku opóźniła budowę nowego domu i państwo Westbrook nadal mieszkali w drewnianej chacie. Dla wygody powiększono ją tylko o nowe pokoje. Wewnętrzne ściany zostały otynkowane i przybito mebli. Joanna marzyła o zamieszkaniu wraz z rodziną nad rzeką, gdzie powietrze było czyste, świeże i zdrowe, z dala od kurzu, much i odorów owczych zagród. Wszystko wskazywało na to, że przeprowadzka niebawem nastąpi, Hugh bowiem po dokonaniu inspekcji swojego dziesięcioletniego stada oświadczył, że w listopadzie osiągną rekordową strzyżę oraz produkcję lanoliny i że zaraz potem będą mogli rozpocząć budowę nowego domu.

Postawiła kosz na ziemi i wyjęła z niego książkę. Przeczytała podtytuł: „Prawdziwe i szczegółowe sprawozdanie z pobytu białego człowieka wśród dzikiego plemienia w Australii”. Drżała na myśl o tym, co lektura może zawierać. Liczyła na to, że znajdzie w niej wzmiankę o czerwonej górze ze snów swojej matki, opis kultu Tęczowego Węża albo wyjaśnienie przyczyn rzucania klątwy w formie trucizny-pieśni. Była przekonana, że jej dziadkowie naruszyli jakieś tabu i zostali za to ukarani.

Schowwała list Lathropa do kieszeni i wyszła na dwór, żeby odszukać Adama, a potem rozejrzeć się za Hughiem.

Mężczyzna podniósł wzrok i zobaczył ciemnoskórą dziewczynę. Milczała, stojąc nieruchomo w półcieniu. – Dzień dobry – powiedział z uśmiechem. Nadal wpatrywała się w niego bez słowa.

– Piękne miejsce – zauważył. – Mieszkasz tutaj? Wciąż mu się przyglądała.

– Czy to ty założyłaś ten ogród?

Pośród dziko rosnących przy starorzeczu roślin – jaskrów, dzwonków, ogromnych paproci oraz krzewów o wyglądzie drzew oliwnych – Joanna i Sara zasadziły egzotyczne zioła: koper, pieprz i rozmaryn, które miały, jak twierdziła Joanna, właściwości lecznicze. Hodowały również imbir w dolnym biegu rzeki, gdzie niewielki wodospad otoczony skąpanymi w słońcu głazami zapewniał roślinom niezbędną wilgotność powietrza. Imbir rósł w pobliżu ruin, lecz aż tu dobiegała mocna, odorująca woń jego późno rozkwitających kwiatów.

Sara zauważyła, że nieznajomy ma na ręce piękną srebrną bransoletę wysadzaną turkusami. Nigdy przedtem nie widziała, żeby mężczyzna nosił biżuterię.

Uważnie przyglądał się ziołom.

– To jaskier różnolistny – zauważył. – Indianie w Ameryce leczą nim choroby żołądka. – Rozejrzał się po ogrodzie.

– Wygląda na to, że rosną tu same rośliny lecznicze. Jesteś uzdrowicielką?

Sara zamrugnęła powiekami, wskazując na zabudowania za jego plecami. Obejrzał się przez ramię.

– Czy tam mieszka właściciel tego ogródka? – spytał z uśmiechem. – Teraz przynajmniej



wiem, że rozumiesz, co do ciebie mówię. Nazywam się Philip McNeal – wyciągnął rękę, lecz Sara wciąż stała nieporuszona.

Ogarnął wzrokiem jej głęboko osadzone oczy, długie i jedwabiste włosy, gołe stopy oraz sukienkę, która najwyraźniej należała kiedyś do innej kobiety, a teraz została przerobiona na jej miarę. Nic nie wskazywało na to, że dziewczyna się go boi ani że jest nieśmiała. Ale w jej zachowaniu widoczna była nieufność i czujność. „Aborygenka – pomyślał – którą ktoś usiłuje wychować na cywilizowanego człowieka. „

Gdy zbliżył się do pokrytej mchem ściany, Sara zeszywniała.

– Nie chcesz, żebym tu przebywał, prawda? – spytał.

– Pewnie to miejsce jest święte? Wiem coś o tym. Należę do ludzi, którzy z ogromnym szacunkiem odnoszą się do miejsc kultu religijnego.

Choć jej oczy pozostały czujne, dostrzegł w nich iskrę zainteresowania.

– Przypominasz mi pewną kobietę, którą kiedyś znałem – wyznał. – Należała do szczepu Indian Navaho. Opiekowała się mną, gdy byłem ranny. Nazywała się Pyłek Kwiatu na Wietrze. Próbowałem przed chwilą odczytać znaki na tych kamieniach. Czy rozumiesz ich znaczenie? Pyłek Kwiatu mieszkała w pobliżu kanionu, gdzie też znajdowały się ruiny. Mówiono o nich, że były niegdyś domostwami szczepu Anasazi – „starożytnych cudzoziemców” – którzy zostawili znaki podobne do tych tutaj.

Kiedy poruszył ręką, stwierdził, że jej wzrok podąża w ślad za przegubem jego dłoni.

– Podoba ci się moja bransoleta? – Zdjął ją, żeby pokazać dziewczynie. – To indiańska robota. Proszę, obejrzyj ją sobie.

Sara cofnęła się o krok.

– *Tjuringa* – rzekła.

– A więc potrafisz mówić – powiedział z uśmiechem.

– Nie wiem, co oznacza słowo *tjuringa*. Noszę tę ozdobę, by zawsze pamiętać o osobie, która była dla mnie kimś szczególnym. Rysunki na metalu tworzą opowieść. Na wierzchu wyryta jest tęcza, a pod spodem wąż, który był totemem Pyłku Kwiatu.

Sara przypatrywała się bransolecie szeroko otwartymi oczami.

– Opowiedz mi o tym miejscu – poprosił. – Naprawdę chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć.

Odwróciła wzrok, kierując spojrzenie w stronę brązowych równin skąpanych w blasku zachodzącego słońca.

– Pewnie pytam o rzeczy, którymi nie powinienem się interesować – rzekł McNeal, z powrotem zakładając bransoletę.

– Z Pyłkiem Kwiatu było tak samo. Ludzie z jej plemienia przez wiele lat walczyli z białymi żołnierzami, lecz w końcu musieli odbyć długą wędrówkę przez pustynię i zamieszkać na ziemi, która nie należała do ich przodków. Pyłek Kwiatu też na początku odnosiła się do mnie z rezerwą, lecz potem zyskałem jej zaufanie. Przedstawiciele mojego rządu uważali, że Indianie powinni nauczyć się żyć w przyzwoitych warunkach. Jestem architektem i zlecono mi nauczenie współplemieńców Pyłku Kwiatu budowania prawdziwych, wygodnych domów.

Sara nie odrywała od mężczyzny oczu. Uznała, że jest bardzo przystojny, pomimo nieznacznie skrzywionego nosa. Mówił o totemach, klanach, świętych miejscach i tęczowych wężach – o sprawach, których nigdy dotąd nie poruszał przy niej biały człowiek.

– Sara – powiedziała cicho. Uniósł brwi.

– Czy tak się nazywasz? Sara? Bardzo ładne imię. Jestem pewien, że się zaprzyjaźnimy. Zostałem zaangażowany do wybudowania tutaj domu.

Przez jej twarz przemknął wyraz niepewności, lecz zanim McNeal zdążył cokolwiek powiedzieć, spostrzegł zmierzającą w ich stronę młodą kobietę, która prowadziła za rękę chłopca.

– Dzień dobry – powiedziała. – Pan Philip McNeal, prawda? Miło mi pana poznać. Nazywam się Joanna Westbrook.

– Wymienili uścisk dłoni, a architekt pomyślał, że żona Hugh'a Westbrooka jest bardzo ładna. Zauważył, że jej oczy mają barwę bursztynu. Gęste kasztanowe włosy upięte nad szczupłym karkiem odsłaniały parę jasnoniebieskich kolczyków.

– Jak widzę, zdążył już pan poznać Sarę – rzekła.

– Tak, lecz młoda dama najwyraźniej nie życzy sobie, żebym tu przebywał.

– To miejsce ma szczególne znaczenie dla ludzi z jej plemienia, panie McNeal. Sara mieszka razem z nami na farmie.

– Sara jest moją przyjaciółką – dodał chłopiec, a architekt się roześmiał.

– Szczęściarz z siebie – rzekł z uznaniem.

– Przedstawiam panu Adama – powiedziała Joanna. Chłopiec zerknął ciekawie na architekta.

– Czemu nosi pan długie włosy? McNeal ponownie się roześmiał.

– To zwyczaj przejęty od Indian, wśród których żyłem przez jakiś czas w Ameryce. Nauczyli mnie wielu rzeczy – wyjaśnił, rzucając spojrzenie w stronę dziewczyny. – Dlaczego te ruiny są dla Sary święte, pani Westbrook?

– Aborygeni wierzą, że Pierwszy Kangur przechodził tędy w Czasach Snów i że powołał śpiewem to miejsce do istnienia. Jego duch wciąż jest tu obecny. Nikomu nie wolno tutaj przebywać poza członkami Klanu Kangura.

– Tubylcy to bardzo uduchowieni ludzie – zauważył McNeal, mierząc wzrokiem milczącą dziewczynę.

Rozejrzał się po starych drzewach gumowych, które rosły wokół i odbijały się w lśniącej tafli zakola rzeki.

– Pański mąż życzy sobie, żebym tutaj postawił dom. Co się stanie, jeśli to zrobię?

– Czego się pan obawia, panie McNeal?

– Aborygeni mogą podjąć walkę, gdy zostanie zakłócony spokój ich świętego miejsca.

Joanna ponownie przypomniała sobie słowa Farella, kartografa: „Niewykluczone, że nazwa Karra Karra została zmieniona dawno temu i dzisiaj nazywa się Dopływem Johnsona albo New Dover. Może pani przejeżdżać przez ziemię, której pani szuka, i w ogóle o tym nie wiedzieć”.

– Powiedziano mi, że tubylcy niegdyś stawiali opór – rzekła – ale nie zdołali się obronić

przed dosiadającymi koni i uzbrojonymi w karabiny Europejczykami.

– Tam, skąd pochodzę, do dzisiaj trwają wojny – stwierdził McNeal. – Szczepy Siuksów, Nawaho i Apaczów walczą o swoją ziemię. Prowadzą straszliwe, krwawe bitwy, w których obie strony ponoszą ciężkie straty.

– Tak, wiem. Słyszeliśmy o tym.

McNeal spojrział na Sarę, a potem zwrócił się do Joanny:

– Co stanie się według wierzeń Aborygenów, jeśli wybudujemy tutaj dom?

– Miejsce to znajduje się na szlaku-pieśni. A tubylcy uważają, że zmiana szlakupieśni jest równoznaczna ze zmianą odwiecznie ustalonego porządku. Naruszanie świętych miejsc jest zakazane, gdyż powoduje burzenie świata.

– Burzenie świata – powtórzył McNeal, myśląc o dniu, kiedy pożegnał się z Pyłkiem Kwiatu. Już wtedy wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

– Czy rzeka czasami wylewa? – rzekł rozglądając się za innym miejscem pod budowę domu.

– Nie wiem. Proszę zwrócić się z tym pytaniem do mojego męża. Przybyłam do Australii zaledwie półtora roku temu.

– Co sprowadziło panią tutaj? – Był zaintrygowany, jaki związek może łączyć tę wzbudzącą szacunek młodą niewiastę z rezolutnym chłopcem oraz z na wpół dziką Aborygenką.

– Moja matka umarła dwa lata temu w Indiach. Przyczyną jej śmierci było schorzenie duszy. Podobno śmiertelna przypadłość stanie się również moim udziałem. Przyjechałam tu, by poznać jej źródło.

– Czy dlatego założyła pani tutaj ogród z leczniczymi ziołami?

– Rośliny, które tu hoduję, leczą ciało, panie McNeal. Obawiam się, że odnalezienie potrzebnego mi lekarstwa okaże się bardziej skomplikowane. Przypuszczam, że jest związane z pewnym określonym miejscem.

– Z miejscem?

– Tak. Nazywa się Karra Karra. Moja matka sądziła, że właśnie tam znajduje się klucz do zagadki. Lecz jak dotąd nie udało mi się go odnaleźć.

– Czy to święte miejsce?

– Nie wiem. Być może.

– Dlaczego tak trudno je zlokalizować?

Joanna pomyślała o pewnym dżentelmenie, którego poznała w ubiegłym roku w Melbourne. Ten uczony z Anglii spędził pięć lat, badając zwyczaje Aborygenów. „Jeśli Karra Karra jest świętym miejscem – wyjaśnił jej – może pani nigdy do niego nie trafić. Dowiedziałem się, że zakazane jest wymawianie świętej nazwy w obecności białego człowieka. Tak więc jeśli nawet spotka pani tubylca, który będzie znał położenie tej ziemi, nie wyjawia go pani. „

– A może Karra Karra nie oznacza realnego miejsca, pani Westbrook, lecz stan umysłu albo jakiś filozoficzny pogląd – zamyślił się architekt.

– Co to jest? – spytał Adam, wskazując na bransoletę. Joanna dostrzegła Ezekiela wśród

drzew po drugiej stronie rzeki. Przywykła już do tego, że starzec niespodziewanie się zjawiał, a potem równie nagle znikał. Ani razu nie odezwał się do niej od tamtego dnia, gdy przyszedł z bumerangiem, ale wiedziała od Sary, że stary tubylec nie jest już przeciwny jej obecności w Merindzie. Czasami nawet odnosiła wrażenie, że czuwa nad jej bezpieczeństwem.

– Tego człowieka powinien pan zapytać o kulturę Aborygenów, panie McNeal – powiedziała.

Architekt spojrzął w stronę starca, który stał nad brzegiem rzeki nieruchomo jak posąg.

– Może Sara zechce udzielić mi wyjaśnień. Życie amerykańskich Indian, wśród których spędziłem trochę czasu, koncentrowało się wokół pieśni. Potrafili je śpiewać przez wiele godzin, a nawet i dni. Były dla nich wszystkim – ich historią, sztuką i religią. Pieśń o Kojocie, na przykład, składała się z ponad trzystu pieśni.

– Co to jest kojot? – spytał Adam.

– Dziki pies żyjący w Ameryce. Trochę mniejszy od waszego dingo.

Joannę przeszedł nagły chłód. Przed południem któregoś dnia w ubiegłym tygodniu, gdy na moment oderwała się od pracy w ogrodzie i podniosła wzrok, zobaczyła wśród drzew dingo. Przystanął, spojrzął na nią, a potem odszedł. Żywo utkwiło jej w pamięci przerażenie, jakie ogarnęło ją na widok tego zwierzęcia. Uświadomiła sobie, że odziedziczyła po matce zabobonny lęk przed psami.

– A co pana sprowadziło do Australii, panie McNeal?

– spytała.

– W pewnym sensie również poszukiwania. Studiowałem w Ameryce. Sądziłem, że zdołam się tam nauczyć wszystkiego, lecz wkrótce przekonałem się, że bardzo niewiele wiem o życiu. Mój ojciec zginął na wojnie pod miejscowością zwaną Manassas, a matka nigdy nie pogodziła się z jego stratą. Chciałem się dowiedzieć, co popycha ludzi do wojen i dlaczego tak, a nie inaczej zorganizowany jest świat. Podróżowałem po całej Ameryce, szukając odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. W tym celu zamieszkałem przez jakiś czas wśród Indian i również po to przybyłem tutaj.

Spojrzął w kierunku Sary, która razem z Adamem uważnie przyglądała się bransolecie.

– Obawiam się, że mamy pewien problem, pani Westbrook – oznajmił. – Spędziłem cały ranek nad rzeką i doszedłem do wniosku, że najlepszym placem pod budowę domu jest miejsce starych ruin. Nie ulega wątpliwości, że ludzie, którzy tu żyli dawno temu, również o tym wiedzieli. Wszędzie indziej grunt jest zbyt piaszczysty lub bagnisty. Istnieje też niebezpieczeństwo wylewu rzeki. Oboje z mężem będziecie zmuszeni dokonać wyboru – czy chcecie budować tutaj czy też na miejscu starej chaty, w której obecnie mieszkacie.

Blisko domu Hugh puścił konia galopem. Miał nowiny dla Joanny i spieszył je przekazać. Gdy zeskoczył z siodła, usłyszał wołanie. Mrużąc oczy przed marcowym słońcem, dostrzegł zbliżającego się jeźdźcę. Był to Jacko, właściciel pastwiska o pow. wierzchni trzech tysięcy hektarów, które leżało na północny wschód od Merindy.

– Czy mógłbyś mi poświęcić chwileczkę?

Hugh był strudzony podróżą, znużony spiekotą i niecierpliwił się, żeby jak najprędzej zobaczyć Joannę.

– Słucham, o co chodzi?

Jacko zeskoczył na ziemię. Był tęgi i bardzo się pocił podczas tych ostatnich upalnych dni lata.

– Chciałem cię zapytać, czy nie potrzebujesz służącej. Może zatrudniłbyś moją Peony?

– Służącej?

– Byłem dziś rano w mieście i dowiedziałem się od Poll Gramercy, że twoja żona szuka kobiety do pomocy. Ponieważ oczekuje dziecka, trudno jej będzie samej prowadzić dom.

Niebotycznie zdziwiony Hugh milczał.

– Peony to dobra dziewczyna – ciągnął Jacko. – Może nie należy do najbardziej rozgarniętych, ale jest uczciwa i spokojna. Ma osiemnaście lat i nie przypuszczam, żeby jakiś mężczyzna zechciał się z nią ożenić. Oboje z żoną martwimy się o jej przyszłość. Co o tym sądzisz?

Hugh prawie go nie słyszał. Wrócił myślami do ostatnich dni, przypominając sobie poranne niedyspozycje Joanny, szczególnie wyraz jej twarzy i wyjątkowo radosny nastrój, w jakim wybierała się do Cameron Town. Powrócił do rzeczywistości.

– Jacko, dowiedziałeś się o tym od Poll Gramercy? – upewnił się. Wdowa Gramercy była miejscową akuszerką.

– Nie gniewasz się, mam nadzieję, że cię nagabuję. Gdy wieść się rozniesie, armia dziewcząt będzie błagała o tę pracę. A moja Peony, no cóż, nie jest zaradna...

Hugh myślał gorączkowo. A więc Joanna złożyła wizytę położnej.

– Zastanowisz się nad tym? – spytał Jacko.

Wszyscy znali biedną Peony Jackson, którą matka wydała na świat podczas orki w polu na dwa miesiące przed czasem. Żona Jacko była wtedy sama, znikąd nie mogła wezwać pomocy, a miała zaledwie siedemnaście lat. Przez całą dobę rodziła swoje pierwsze dziecko. Nikt nie dawał dzieciątku szans, lecz ono, ku zaskoczeniu wszystkich, przeżyło. Peony wyrosła na miłą dziewczynę, cichą i posłuszną, tylko że niezbyt inteligentną.

– Naradzę się z żoną, Jacko. Sądzę, że twoja córka otrzyma tę pracę. A teraz wybacz... – i Hugh zaczął się oddalać.

Jacko pozostał jednak na miejscu. Odgonił muchę z twarzy.

– Ciekaw jestem, Hugh, czy słyszałeś już o moich kłopotach.

– Przebywałem ostatnio poza domem. Co to za kłopoty?

– Moje stada zachorowały na świerzb. Nie będę miał w tym roku strzyży.

Wiadomość ogłuszyła Hugh'a. Wiedział, że sąsiad walczy o utrzymanie farmy. Taka strata mogła oznaczać jego bankructwo, a Jacko miał przecież na utrzymaniu sześćoro dzieci, i jeszcze siódme było w drodze.

– Przykro mi – powiedział. – Nie wiedziałem o tym.

– Jestem gotów przysiąc, że stoi za tym ten drań, MacGregor – oświadczył Jacko, ocierając chustką twarz. – Od dawna miał zakusy na moje pastwiska. Nie zdziwiłbym się, gdyby wpuścił pomiędzy moje stada zarażone owce. Pamiętasz Roba Jonesa, właściciela farmy sąsiadującej z moją? Za sprawą MacGregora został zrujnowany. Nie potrafię tego udowodnić. Nie mam jednak wątpliwości co do tego, że Rob sprzedał swoją ziemię

MacGregorowi. A teraz ten łotr chce zagarnąć również i moją własność.

– Dlaczego sądzisz, że to sprawka MacGregora?

– Przysłał do mnie swojego agenta z ofertą pożyczki. To oczywiste, do czego on zmierza, Hugh. Jeśli przyjmę od niego pieniądze, a przyszedł rok okaże się niepomyślny i znowu nie będę miał strzyży, zagarnie moją farmę.

Hugh spojrział na szeroką, uczciwą twarz Jacko i miał ochotę zakląć. MacGregor bardzo zmienił się w ciągu ubiegłego roku po śmierci żony. Zzerała go nienawiść. A także chciwość – wykupywał ziemię w okolicy, niekiedy uciekał się nawet do bezwzględnych metod. Sprawiał wrażenie człowieka, który zapomniał o istnieniu sumienia i o zasadach etyki. Jego postępowanie wprawiało innych hodowców w coraz większe zdumienie. Hugh podejrzewał, że MacGregor chętnie przejąłby również Merindę.

– Nie lubię, gdy ludzie są wyrzucani z własnej ziemi, Jacko – oświadczył. – Powiedz agentowi MacGregora, że nie chcesz zawierać z nim umowy. Ja ci udzielę pożyczki.

Jacko ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę? Możesz sobie na to pozwolić?

Hugh pomyślał o zaplanowanej niebawem budowie domu, o owcach nowej i kosztownej rasy, które zamierzał sprowadzić, i o studniach, które chciał wywiercić. A teraz... jeszcze Joanna spodziewała się dziecka. Ale po przeprowadzonej inspekcji owiec wszystko wskazywało na to, że zysk z rocznej strzyży będzie dobry.

– Nie martw się, Jacko. Jakoś sobie poradzę. A w przyszłym roku razem z innymi hodowcami odwieziesz wełnę do Melbourne, zobaczysz.

Gdy Jacko odjechał, Hugh schronił się w chłodnym wnętrzu chaty. Nie zastał w domu Joanny, ale na stole leżał koszyk z zakupami oraz dzienniki i czasopisma, które zwykle zabierała dla niego z miasta.

Wyszedł na dwór i znowu spostrzegł zbliżającego się jeźdźca – młodego mężczyznę o nazwisku Tim Forbes, który pracował w charakterze gońca w Cameron Town. Poślaniec wiózł przyczepiony do siodła pocztowy worek.

– Specjalna przesyłka dla pana, panie Westbrook – oznajmił. – Proszę pokwitować odbiór.

Zostawił pudełko owinięte w brązowy papier i przewiązane sznurkiem. Paczka była zaadresowana do Joanny, nadawcą okazał się prawnik z Bombaju, który co kwartał przysyłał Joannie pensję.

Hugh znalazł żonę nad rzeką w pobliżu ruin. Przebywała tam w towarzystwie Adama i Sary, a także architektka z Melbourne.

– Tato! – zawołał chłopiec, podbiegając do Hugh'a. – Co to jest?

– To przesyłka dla twojej mamy. Dzień dobry, panie McNeal – powitał architektka, potrząsając jego dłonią. – Jak widzę, nie miał pan kłopotu ze znalezieniem Merindy.

– Właśnie omawialiśmy z pańską żoną lokalizację nowego domu.

– Przede wszystkim chciałbym pana zawiadomić, panie McNeal, że zmieniliśmy zamiar – rzekł Hugh, obejmując Joannę w talii. – Kiedy spotkaliśmy się ponad rok temu, powiedziałem, że interesuje nas projekt rezydencji w stylu amerykańskiego Południa; z

kolumnami oraz dachem ze szczytami. Zdecydowaliśmy jednak, że nasz dom ma być typowo australijski – wkomponowany w otoczenie i dostosowany do tutejszego klimatu. Nie zależy nam na tym, by miejsce zamieszkania zdradzało nasze pochodzenie lub było wyrazem nostalgii.

Spostrzegł zmarszczkę na czole architekta i spytał:

– O co chodzi, panie McNeal?

– Jest pewien problem, Hugh – wyjaśniła Joanna. Opowiedziała mu o świętym miejscu.

– Ależ tylko tutaj możemy postawić dom! – zachnął się.

– Przemawiają za tym solidne, kamienne fundamenty, dobry drenaż i brak ryzyka spowodowanego wylewami rzeki.

– To Miejsce Snów, Hugh – zauważyła Joanna.

– Aborygenów już tutaj nie ma. Zapomnieli o tych ruinach, podobnie jak o innych swoich świętych miejscach. A my musimy gdzieś zamieszkać. Nie możemy przecież wiecznie żyć w chałupie.

Widząc zmartwienie na twarzy żony, zwrócił się do architekta.

– Co pan o tym sądzi?

– Chyba jest możliwa inna lokalizacja, panie Westbrook. Muszę zbadać grunt, stwierdzę, gdzie podłoże jest piaszczyste, a gdzie gliniaste oraz na jakim poziomie występują wody gruntowe. Skoro nie zależy już panu na domu w stylu amerykańskim, niewykluczone, że zdołam sporządzić taki projekt, którego lokalizacja będzie również i gdzie indziej możliwa. – Uśmiechnął się.

– Lubię podejmować nowe wyzwania. Jeśli pan pozwoli, jeszcze się tu trochę porozglądam.

– Ależ oczywiście, bardzo proszę.

McNeal ponownie zagłębił się w las, kierując się w stronę rzeki, a Sara z Adamem po chwili wahania podążyli za nim.

– Skąd nadeszła ta paczka, Hugh? – spytała Joanna. Spojrzał na nią z niepokojem.

– Co stwierdziła Poll Gramercy?

– Kto ci powiedział, że ją odwiedziłam? To miała być niespodzianka, Hugh!

– Udała ci się. Jestem zaskoczony, i to bardzo. Czego się od niej dowiedziałeś?

– Potwierdziła moje przypuszczenia. Będziemy mieli dziecko, Hugh.

Chwycił ją w objęcia i pocałował.

– Wolałabyś chłopca czy dziewczynkę?

– Ze względu na ciebie chciałabym, żeby to był chłopiec. Ja jednak zawsze marzyłam o córce.

– Ja też bym pragnął, żeby to była dziewczynka. Nie miałem nigdy siostry ani nie znałem swojej matki. Często myślałem o tym, jak miło byłoby mieć córkę.

Ponownie pocałował i mocniej przygarnął do siebie tę cudowną kobietę, która półtora roku temu niespodziewanie pojawiła się w jego życiu i całkowicie je odmieniła. Przypomniał sobie balladę, jaką zaczął wówczas układać zainspirowany obecnością Joanny w Merindzie: „Przepełnęła wielkie wezbrane morza, by przybyć na ten złoty łąd... „ Ten najdłuższy wiersz,

jaki kiedykolwiek napisał, był już niemal skończony i Hugh nagle wymyślił tytuł: „Sen. Dla Joanny”.

– Przed chwilą przywiózł ją Tim Forbes – rzekł, wręczając żonie paczkę. – Nadeszła specjalną pocztą.

– To od pana Drexlera! – stwierdziła zdumiona Joanna, mocując się ze sznurkiem i łąkowymi pieczęciami.

– Mam dla ciebie nowiny. Gdy zeszłego roku odwiozłem strzyżę, poznałem pewnego człowieka o nazwisku Finch, pamiętasz?

Przypomniała sobie. W listopadzie ubiegłego roku Hugh opowiedział jej o spotkaniu z panem Finchem, właścicielem baranów rzadkiej rasy. Wyjaśnił, że pochodzą z francuskiej hodowli, są rasy rambouillet. Miał nadzieję, że krzyżując je z merynosami, wyhoduje silne owce, które będą zdolne przetrwać na jałowych równinach Queenslandu. Niestety, interesujące go stado nie było na sprzedaż.

– Otrzymałem dzisiaj telegram od Fincha. Postanowił wrócić do Anglii i zaproponował mi kupno tryków. To wspaniałe zwierzęta, Joanno – duże, dorodne, o mocnej budowie i długowłosej wełnie. Finch powiedział, że jedna sztuka daje dwadzieścia pięć funtów nie mytej wełny. Wyobraź sobie, Joanno, jeśli połączę najokazalsze barany z moimi najlepszymi samicami merynosów, stworzymy krzyżówkę, której hodowlę będzie można rozwijać na obszarze całego Queenslandu i Nowej Południowej Walii! Od dawna o tym marzyłem, a teraz realizacja celu jest niemal w zasięgu ręki. Nie mogę przepuścić tej okazji!

– Oczywiście – rzekła Joanna, wyczuwając podniecenie Hugh'a. – Jak prędko zdołamy sprowadzić tu stado?

– Muszę natychmiast pojechać do Melbourne. Finch mnie pierwszemu złożył ofertę sprzedaży, ale z pewnością pojawią się inni kupcy. – Umilkł, obrzucając ją wzrokiem. – A więc będziemy mieli dziecko. – Roześmiał się. – To zabawne, gdy mąż dowiaduje się o ciąży swojej żony od innego mężczyzny.

– Ten, kto zawijał tę paczkę, z pewnością nie chciał, żeby kiedykolwiek została rozpakowana – zauważyła Joanna, usiłując rozwiązać sznurek.

– Co Drexler mógł przysłać, jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia. Naraził się na duże koszty, nadając ją specjalną pocztą. Spójrz tylko, ile musiał nalepić znaczków.

Joanna nie utrzymywała korespondencji z prawnikiem. Dostawała tylko czeki, które wysyłał jej co kwartał. Dopiero za rok spodziewała się wiadomości od pana Drexlera, w związku z uzyskaniem wraz z pełnoletnością prawa do dysponowania spadkiem po rodzicach.

– Och, Hugh, zapomniałam ci powiedzieć! – sięgnęła do kieszeni spódnicy po list z San Francisco. – Nadszedł z dzisiejszą pocztą od pana Lathropa... to człowiek, o którym wspominała matka w swoim dzienniku.

Podczas gdy Joanna mocowała się z opornym szpagatem, Hugh otworzył kopertę i przeczytał:

„Droga Panno Drury, proszę wybaczyć, że dopiero teraz odpisuję na Pani listy, ale długo przebywałem poza domem. Dużo podróżuję i moim stałym adresem w Kalifornii jest hotel



«Regent». W razie potrzeby może się Pani kontaktować ze mną za pośrednictwem właścicielki hotelu – pani Robbins.

Byłem szkolnym kolegą Pani dziadka. W latach 1826 – 1829 uczęszczaliśmy obaj do Christs College w Cambridge, gdzie przygotowywano nas do zawodu pastora w Kościele anglikańskim. Dobrze pamiętam zarówno Johna, jak i jego siostrę, zakochaną w nim po uszy żonę. Byłem drużbą na ich ślubie. Przypominam sobie, że John wprost płał z niecierpliwości, żeby jak najprędzej podjąć pracę. Nie wyjechał jednak do Australii jako misjonarz, Panno Drury. A jego notatki z pewnością nie są kazaniem”.

– Jeśli nie są kazaniem, to czym w takim razie? – zdziwił się Hugh.

Powrócił do listu.

„John nie skończył szkoły w Cambridge, gdyż doszedł do wniosku, że nie odpowiada mu życie duchownego – pisał dalej Lathrop. – Prawdę mówiąc, podejrzewam, że dziadek Pani był agnostykiem, choć nigdy się do tego nie przyznawał. Zamiast głoszenia Biblii, bardziej nurtowało go udowadnianie zawartych w niej faktów. Przypominam sobie, że szczególnie interesował go problem raju.

Miał na jego temat swój własny pogląd. Uważał, że Pan Bóg, rozczarowany postawą Adama i Ewy, postanowił stworzyć jeszcze jedno miejsce wiecznej szczęśliwości w innej części świata. John sądził, że znajdzie je w Australii. Dowiedział się z prasy o odnalezieniu w rejonie Sydney prymitywnego plemienia, którego członkowie nie umieli pisać ani czytać, chodzili nagi i nie potrafili uprawiać ziemi. Uznał, że to drugi raj, z którego Bóg nie wygnał pierwszych rodziców. Teoria Johna bazowała na fakcie, że Aborygeni czcili węża, który wzbudzał w nich zabobny lęk. Nie mogli zatem być przez niego kuszeni do skosztowania zakazanego owocu z drzewa wiedzy. Nie wiem, czy John kiedykolwiek zdołał udowodnić swoją tezę.

Wspomniała Pani o notatkach zostawionych przez dziadka. Być może dotyczyły obserwacji ludzi, których zwyczajnie badał. „

Hugh odwrócił kartkę na drugą stronę.

„Twierdzi Pani, że są zapisane za pomocą jakiegoś kodu. W Cambridge niektórzy z nas robili stenogramy z wykładów. Ja opracowałem własną, niezbyt udaną metodę stenografowania. Pamiętam natomiast, iż system stosowany przez Pani dziadka był bardzo efektywny. Jeśli przyśle mi pani próbkę jego zapisków, może zdołam je rozszyfrować.

Przykro mi, że nie mogę podać bardziej szczegółowych informacji, o jakie prosi mnie Pani w swoich listach. Nie wiem nic o miejscu pobytu Pani dziadków w Australii. Przypominam sobie tylko jeden fakt i mam nadzieję, że się okaże pomocny. Gdy odprowadzałem ich do portu czterdzieści lat temu, w 1830 roku, zapamiętałem, że nazwa ich statku pochodziła od jakiejś mitycznej bestii. Nie przypominam sobie, do jakiego portu mieli zawinąć. Ale jeśli zidentyfikuje Pani statek, może dowie się Pani, dokąd wtedy popłynął. „

– Mityczna bestia! – rzekł Hugh.

– Może jednorozec – zasugerowała Joanna. – Albo wąż morski. Gdzieś w rejestrach muszą znajdować się zapisy o statkach zawijających do australijskich portów. Pojadę razem z tobą do Melbourne.

– Poproszę o pomoc Franka Downsa. Ma w mieście wielu przyjaciół.

– Hugh, nie mogę otworzyć tej paczki.

– Pozwól, że ja spróbuję. – Rozerwał sznurek, lakowe pieczęcie, zdarł papier i z powrotem wręczył Joannie przesyłkę. Pudełko było wymoszczone słomą, a wewnątrz znajdowała się mniejsza kasetka oraz list.

– Och, Hugh! – wykrzyknęła Joanna po zapoznaniu się z treścią pisma. – Już teraz mogę otrzymać spadek! Pan Drexler twierdzi, że skoro jestem mężatką, nie muszę czekać do następnych urodzin. A to taka wielka kwota! Co my z nią zrobimy?

– To twoje pieniądze, Joanno. Twoi rodzice chcieli, żebyś nimi dysponowała. Zastanów się, co chcesz z nimi zrobić.

Namyślała się przez moment.

– Chciałabym je przeznaczyć na poszukiwania Karra Karra. Moja matka z pewnością wykorzystaby je właśnie na ten cel. A resztę odłożę dla naszej córki, by zabezpieczyć jej przyszłość.

– Co jest w tej kasetce?

– Nie wiem. Pan Drexler twierdzi, że moi rodzice trzymali ją u niego w sejfie.

Joanna podniosła wieczko i wyjęła z kasetki szlifowany kamień, który z trudem się mieścił w jej dłoni.

– To opal – stwierdził Hugh. – Opal ognisty. Świadczą o tym czerwone błyski, które zdają się podążać za słońcem, kiedy poruszasz ręką. Ogniste opale są rzadko spotykane i przez to bardzo cenne.

Joanna patrzyła jak zahipnotyzowana. Kamień był wielkości pomarańczy, miał nieregularny szlif i mienił się oślepiającymi barwami. Na blad różowej powierzchni błyskała żywa zieleń i płomienna czerwień, która zdawała się tańczyć niczym ogień i tak jak zauważył Hugh, podążała za słońcem.

– Jest piękny! – zachwyciła się Joanna. – Jak sądzisz, gdzie go rodzice zdobyli? Czy to możliwe, aby pochodził stąd?

– Słyszałem o opalach znajdujących w Nowej Południowej Walii, ale nie były tak wielkie. Może ten został przywieziony z Meksyku.

– Płomienie w środku migoczą, jakby się poruszały. Hugh, jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem.

– Emanuje ciepło. Sam się przekonaj – rzekła, kładąc opal na dłoni męża.

– Nic nie czuję. Nie wiedziałas dotychczas o jego istnieniu?

– Nie przypominam sobie, żeby rodzice kiedykolwiek o nim wspominali – rzekła, wpatrując się w błyskające serce opalu. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Podszedł do nich Philip McNeal, a tuż za nim zjawiła się Sara, prowadząca Adama za rękę.

– Myślę, że problem zostanie rozwiązany, panie Westbrook. Znalazłem grunt nadający się pod budowę domu. Musimy się tylko głęboko wkopać w ziemię – na jakieś półtora metra do dwóch poniżej poziomu rzeki – a następnie zrobić betonową podstawę i zabezpieczyć

fundamenty wałem ochronnym. Zbudujemy zaporę, by podczas wylewu rzeki woda nie podeszła za blisko. Obawiam się jednak, że realizacja tego projektu okaże się kosztowniejsza i znacznie dłuższa od przewidywanej. Jeśli jednak nadal jest nim pan zainteresowany, proszę pójść za mną, pokażę panu to miejsce.

A potem zwrócił się do Joanny i dodał z uśmiechem:

– Wiem, że z punktu widzenia Sary dokonałem trafnego wyboru, ponieważ nie protestowała, kiedy się tam przechadzałem.

Gdy obie wracały w milczeniu do domu, dziewczyna obejrzała się za Philipem McNealem.

## ROZDZIAŁ 13

– Widziano twoją przeciwniczkę, Vilmę Todd, w towarzystwie Colina MacGregora. Jeździli razem konno – oznajmiła Louisa Hamilton, patrząc, jak Paulina mierzy z łuku do odległego celu i wypuszcza strzałę.

I trafia. Prosto w dziesiątkę.

– Naprawdę? – Paulina sięgnęła do kołczanu po następny grot i nasadziła go na cięciwę, koncentrując się na tarczy.

Strzała utkwiała w samym środku.

– Pięknie, Paulino! – pochwaliła Louisa. – Sześć trafień z odległości trzydziestu metrów to rekordowy wynik w Klubie Łuczniczym Okręgu Zachodniego.

Panna Downs trenowała na własnej strzelnicy w Lismore. Louisa przyglądała się jej, popijając lemoniadę.

– Zazdrozczę ci twojej sprawności – westchnęła.

Paulina rzuciła przyjaciółce przelotne spojrzenie. Do niedawna darzyły ją zazdrością wszystkie znajome, lecz ostatnio zawiść przerodziła się w cichą satysfakcję. Paulina dobrze знаła powód – Hugh wybrał zamiast niej niańkę! Nikt nie zwracał uwagi na zapewnienia Pauliny, że to ona odwołała ślub. Dla nikogo nie miał też znaczenia fakt, że Joanna nie była opiekunką do dzieci i że wywodziła się ze szlacheckiego rodu. Reputacja Pauliny i tak poważnie ucierpiała z powodu zerwanych zaręczyn.

– O czym to ja mówiłam? – zamyśliła się Louisa. – Ach tak, o Vilmie Todd i o Golinie MacGregorze. Cztery razy widziano ich razem w różnych miejscach. Ludzie snują domysły na temat rychłego ślubu.

– Doprawdy? – Paulina czekała, aż stajenny wyjmie strzały z tarczy. Zdążyły już do niej dotrzeć wieści o Vilmie i Colinie, ale się nimi nie przejmowała. Nie martwiła się, choć kilka młodszych od niej dziewczyn w okolicy miało na oku przystojnego wdowca, który stanowił świetną partię. Nie zrażał jej też fakt, że pomimo starannie zaplanowanej kampanii MacGregor z sobie tylko znanych powodów odrzucił jej względy. Była pewna, że w końcu i tak go zdobędzie.

Gdy tarcza znowu była pusta, Paulina podniosła łuk, wymierzyła i wypuściła strzałę. Tym razem lekko chybiła celu.

Wyczuwała skryte zadowolenie siedzącej w cieniu parasola przyjaciółki, postanowiła jednak nie zwracać na to uwagi. „Louisa i inni znajomi niech sobie myślą, co chcą – doszła do wniosku, posyłając kolejny grot do umieszczonej trzydzieści metrów dalej tarczy i trafiając w dziesiątkę. – Nie pozwolę, by długo cieszyli się moimi niepowodzeniami. „, Młode kobiety zabiegające o względy MacGregora nie zdawały sobie sprawy z tego, że Paulina chowa w rękawie asa, który zapewni jej zwycięstwo.

Wiedziała o Colinie coś, co dla innych pozostawało tajemnicą: on nigdy się nie zakocha. Była obecna przy śmierci Christiny i widziała, czym było dla niego odejście żony. W przeciwieństwie do innych dziewcząt nie łudziła się, że zdoła go w sobie rozkochać. I

odpowiadał jej taki stan rzeczy. Miała bowiem jeszcze jedną nad rywalkami przewagę: również nie była już zdolna do miłości. Zależało jej tylko na nazwisku Colina, na jego majątku, na pozycji żony i – podobnie jak jemu – na dzieciach.

– Colin MacGregor z pewnością się powtórnie ożeni, Paulino – rzekła Louisa. – Oświadczył, że nie zamierza posyłać syna do szkoły, woli zatrzymać go przy sobie, w Kilmarnock. Chłopcu potrzebna więc będzie matka.

Louisa przyglądała się bacznie przyjaciółce, starając się dostrzec objawy załamania. Paulina słynęła z dyscypliny, jaką narzuciła swojemu ciału. Wiecznie chwalono „jej wysoką formę oraz imponującą figurę”. A Frank w chwili braterskiego przypochlebiania się siostrze napisał kiedyś w dodatku do „Timesa”: „Panna Downs, Artemis naszych czasów, zdobywczyni w łucznictwie sześciu pucharów, i tym razem swoimi wysokimi umiejętnościami wprawiła widzów w zdumienie”. Ale jeśli nawet Paulinę niepokoił fakt, że nie zdołała usidlić mężczyzny, na którego zagięła parol – co było powszechnie wiadome – skrzętnie ukrywała porażkę. Louisa odnosiła wrażenie, że przyjaciółce nic nie ubyło na pewności siebie.

– Ale chociaż widywany jest z Vilną Todd – kontynuowała swój wywód – to ja raczej jestem skłonna postawić na Verity Campbell. W końcu dziewczyna ma dopiero dziewiętnaście lat, a biedna Vilma niebawem skończy dwadzieścia cztery. Każdy rozumny mężczyzna woli wziąć za żonę kobietę młodszą.

Dwudziestosześcioletnia Paulina wypuściła następną strzałę. I znowu sięgnęła celu.

– Któregoś dnia rozmawiałam z Poll Gramercy – zmieniła temat Louisa. – Dowiedziałam się od niej, że Maude Reed weszła w trudny dla kobiety okres...

Przysłuchując się tym wywodom, Paulina uświadomiła sobie, że minął już ponad rok od chwili, gdy Louisa straciła dziecko podczas epidemii tyfusu i jak dotąd nie zaszła ponownie w ciążę. Była ciekawa, czy przyjaciółka zdołała zgłębić tajemnicę antykoncepcji.

– Poll Gramercy powiedziała mi o czymś jeszcze. – Louisa nie odrywała oczu od Pauliny. – Joanna Westbrook spodziewa się dziecka.

– Tak, wiem o tym.

Musiała się skupić na następnym strzale, żeby zachować panowanie nad sobą. Gdy po raz pierwszy usłyszała nowinę o ciąży Joanny, wpadła we wściekłość. Nie mogła się nadziwić, co ją pchnęło do szaleńczej wielkoduszności i dlaczego pozwoliła Hughowi odejść. Doszła do wniosku, że przyczyniła się do tego atmosfera cmentarza. Przebywając w otoczeniu tak wielu nowych grobów, poczuła dziwną i nietypową dla siebie potrzebę okazania wspaniałomyślności. Ale teraz nie zamierzała dopuścić, by reszta życia upłynęła jej na opłakiwaniu własnej porażki. Zdaniem Pauliny żałowanie czegokolwiek było stratą czasu i prowadziło donikąd. Hugh ożenił się z inną i na tym koniec.

Ale czy był szczęśliwy ze swoją młodą żoną z Anglii?

– Wydaje mi się, że Angus McCloud smali do ciebie cholewki – zauważyła Louisa.

Paulina westchnęła i opuszczając łuk, skinęła na chłopca stajennego, żeby przyniósł jej lemoniadę.

Pomyślała o mężczyznach, którzy zaczęli zabiegać o jej względy, gdy tylko rozeszły się

wieści o jej zerwanych zaręczynach z Hughiem. Starali się wyrzucić na niej wrażenie i składali liczne obietnice. Różnili się wzrostem, wiekiem i wyglądem. Byli w większości ludźmi majątynymi i bez wyjątku nudziarzami. Zdarzały się chwile, kiedy wolałaby wcale nie wychodzić za mąż. Wysoko ceniła sobie niezależność, ludzie jednak uważali niezamężną kobietę za osobę przegraną, która nie zdołała pokonać konkurencji. Poza tym Paulina czuła się samotna. Co miała dalej począć ze swoim życiem?

Na obiekt swych starań wybrała Colina. Wprawdzie najwyraźniej nie brał jej pod uwagę jako kandydatki na żonę, lecz była zdecydowana nie dopuścić, żeby i on się jej wymknał. A to wiązało się z drugim, tylko jej znanym, sekretem o Colinie.

Myśl o nim ją podniecała. Był człowiekiem o silnym i gwałtownym charakterze. Ludzie mówili, że ostatnio stał się bezwzględny. Bez najmniejszych skrupułów wykupywał ziemie sąsiadów. Może właśnie do takich ludzi należała przyszłość? Do pieniędzy nie dochodzili słabeusze, nie oni budowali imperia. Paulina była ciekawa własnych doznań podczas aktu miłosnego z Colinem MacGregorem. Zastanawiała się, co będzie czuła, leżąc w łóżku w jego ramionach.

Nagle odwróciła się od tarczy. Uświadomiła sobie, że najwyższy czas zacząć działać.

– Wybacz mi, Louiso, ale muszę załatwić pewną sprawę. Przyjaciółka była zaintrygowana tą nagłą decyzją.

– Może cię dokądś podwieźć?

– Jadę w przeciwnym kierunku. Zostań tu, moja droga, i dopij lemoniadę. Dobrze wiem, jak źle znosisz upały.

Kilka minut później Paulina opuściła Lismore. Samson, piękny jabłkowity koń, pędził galopem po trawiastej równinie. Przeskakiwał żywopłoty z głogu i drewniane opłotki, a grzmiący odgłos jego kopyt dudnił głośnym echem. Wystraszone papugi kakadu zrywały się z drzew gumowych i trzepocząc skrzydłami, wzbijały się w niebo. Paulina myślała o Colinie MacGregorze. Pewnie prowadziła konia, trzymając mocno wodze.

– Strzelaj! – krzyknął Colin. – Powiedziałem, strzelaj! Judd usiłował się skupić na celu, ale tak bardzo drżał, że nie był w stanie zapanować nad strzelbą.

– Do diabła, Judd! Strzelaj!

Chłopiec wypalił na oślep, pocisk odbił się rykoszetem od skały, a wielka kangurzyca uciekła spłoszona.

Colin zaklął pod nosem. Znowu stracili zwierzę z oczu.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, Judd – rzekł i potrząsnął głową. – Od kilku tygodni tropiliśmy tę olbrzymkę. Pozwoliłeś jej uciec, choć nie mogłeś mieć lepszej pozycji do strzału.

Judd się nie odzywał.

– No cóż, przynajmniej tyle udało się nam upolować; całkiem niezłe jak na jedno przedpołudnie. – Colin ruszył pod drzewo gumowe, gdzie piętrzył się stos zastrzelonych zwierząt. Judd przyglądał się im z przygnębieniem. Były różnej wielkości i maści, lecz przeważały wśród nich młode sztuki, o miękkim popielatym futrze i oczach podobnych do sarnich, z powodu których polowanie na kangury wzbudzało w chłopcu odrazę.

– Podłóż ogień – zwrócił się Colin do mężczyzny stojącego w pobliżu stosu. – Wystarczy na dzisiaj.

To było dla Judda najgorsze – zabijali zwierzęta nie dla mięsa ani futer, lecz dla sportu. Chłopiec wspominał czasy, kiedy jeszcze żyła jego matka. Do Kilmarnock zapraszano gości i organizowano dla nich wielkie polowanie, podczas którego uśmiercano kilkaset kangurów, a potem palono je na stosie. Czasami podkładano ogień, gdy niektóre zwierzęta jeszcze żyły, i Judda w drodze powrotnej do domu dobiegały ich agoniczne krzyki.

– Nie martw się. Judd – pocieszał chłopca ojciec. – Nie można zawsze wygrywać. Masz dopiero dziewięć lat. Z czasem się nauczysz. Idę o zakład, że następnym razem ustrzelisz tę kangurzycę. Zdawało mi się, że miała młodego w kieszeni. A więc twoje trofeum będzie podwójne!

Nie podejrzewał, że przygnębienie synka wynika z całkiem innych powodów. Chłopiec nie zdołał zapanować nad łzami. W końcu rzucił strzelbę na ziemię, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Colin przytulił syna do piersi.

– Nie martw się – powiedział. – Wiem, jak się czujesz. Ja w twoim wieku też jeździłem z ojcem na polowania i nie dorównywałem sprawnością innym myśliwym. Jesteś jeszcze dzieckiem. Kiedyś staniesz się strzelcem wyborowym, obiecuję. A teraz przestań już płakać.

Mały Judd stłumił szloch, przejechał dłonią pod nosem i wytarł rękę w spodnie. Colin zmarszczył brwi.

– Gdzie twoja chusteczka? Proszę, weź moją. To ona służy do wycierania nosa, a nie rękaw.

– Do cholery z tym! – zaklął Judd, biorąc chustkę z rąk ojca.

Colin zdziwił się i oburzył, słysząc te słowa.

– Gdzie się nauczyłeś takiego języka?

– Hodowcy owiec tak mówią.

– Ale ty nie jesteś hodowcą owiec i nie będziesz kłął. Zrozumiałeś?

Judd skinął w milczeniu głową, a Colin wziął go za ramiona.

– Posłuchaj mnie. Któregoś dnia staniesz się właścicielem Kilmarnock. Jest ci pisana przyszłość lorda i dżentelmena. A dżentelmeni nie wyrażają się w ten sposób.

Uważnie przyglądał się twarzy syna. Chłopiec tak bardzo przypominał mu jego ukochaną Christinę. Znowu pomyślał: „Judd potrzebuje matki”.

1 choć wzdrygał się na samą myśl o tym, wiedział, że w końcu będzie musiał podjąć decyzję. Czternaście miesięcy upłynęło od śmierci żony i nadeszła pora, by zastanowić się nad powtórny ożenkiem. Nie mógł ryzykować utraty Judda, a tym samym pozbawienia się następcy. Nie mógł dopuścić do tego, by jego wielki trud okazał się daremny.

Gdy młody Colin przybył do Australii i stwierdził, że nie ma tu lordów ani chłopów, nie ma wyraźnie określonej śmietanki towarzyskiej i społecznych nizin, zrozumiał, że prędzej czy później wyłoni się spośród przybyszów arystokracja. Wybudował więc w tym na wpół jeszcze dzikim kraju zamek, by przypominał wszystkim rodakom, że żyje pomiędzy nimi prawdziwy lord. Ciężko pracował, by nazwa Kilmarnock kojarzyła się z potęgą, a każdy zwykły

śmiertelnik czuł się dumny, iż mieszka w bliskim sąsiedztwie Colina MacGregora. Jego nazwisko i dorobek nie mogły zginąć wraz z nim.

Wziął Judda za rękę i zaprowadził go do namiotu, gdzie zastawiono stoły. Colin górował wzrostem nad służącymi i stajennymi. Miał na sobie sweter, tweedową marynarkę, moleskinowe spodnie oraz lśniące, wysokie czarne buty. Był eleganckim mężczyzną o wyglądzie arystokraty. Pracę na farmie zostawił swoim agentom, a sam skupił się na zajęciach bardziej godnych dżentelmena.

Wziął szklanekę z whisky, którą mu podał jeden ze stajennych, i odwrócił się do swojego zarządcy, Locky'ego McBeana. Locky dopiero co przyjechał konno i stał przed pracodawcą, obracając kapelusz w dłoniach. Colin nie lubił tego człowieka, ale go potrzebował; tym bardziej że zarządca wykonywał polecenia bez zadawania zbędnych pytań.

– Niestety, przywożę złe wieści, panie MacGregor. Chodzi o Jacko Jacksona.

– Słucham.

Locky zerknął na butelki trunków, lecz tylko na moment.

– Owce Jacksona mają świerz b i nie przyniosą w tym roku strzyży. – Ponownie spojrzął na trunki i oblizał usta.

– I co? – spytał Colin. Wiedział, że sąsiedzi, tacy jak Hugh Westbrook czy Frank Downs, pozwalają pracownikom spoufalać się ze sobą, lecz on był przeciwny zwyczajowi pijania alkoholu z parobkami. – Powiedz wreszcie, o co chodzi!

– Jackson odrzucił pańską... ofertę pożyczki.

– Jak to możliwe? Przecież nie ma w kolonii banku, który udzieliłby mu kredytu.

– Wygląda na to, że otrzyma pomoc od Hugh'a Westbrooka. Twarz Colina pociemniała. Kiedy Westbrook pojawił się tu prawie dwanaście lat temu, nikt nie dawał wiary, że przetrwa. Tymczasem ku zaskoczeniu wszystkich nie tylko utrzymał się na farmie, ale ją rozwinął. Teraz mogła jej już tylko zagrozić jakaś klęska żywiołowa. Merinda przynosiła coraz większe zyski. Zajmowała najlepsze równiny nad rzeką z doskonałymi pastwiskami oraz z mnóstwem studni.

„To nie jest w porządku, że Westbrookowi tak dobrze się wiedzie, podczas gdy biedna Christina leży w grobie” – pomyślał Colin.

– Rozumiem – powiedział i odprawił zarządcę. Przez chwilę przyglądał się swojej whisky. Gdy podniósł wzrok, dostrzegł na równinie sylwetkę jeźdźca. To była kobieta. Dosiadała konia jak mężczyzna. Tak mogła jeździć tylko jedna ze znanych Colinowi dam: Paulina Downs.

Podejrzał, że Paulina widzi siebie w roli drugiej pani MacGregor. Przypomniał sobie ostatnią wizytę w Lismore w celu przedyskutowania sprawy dwóch tysięcy hektarów pastwisk, które ciągnęły się u południowego podnóża gór. Ziemia ta od trzydziestu trzech lat należała do Downsów. Kupił ją jeszcze starszy pan Downs, gdy w 1840 roku poszerzał swoje włości. Wiele osób uważało ją za bezużyteczną. Nie nadawała się do wypasu owiec, miała zbyt małe zasoby wody i nie można było na niej uprawiać pszenicy ani innych zbóż. Dla Colina przedstawiała jednak bezcenną wartość – ciągnęła się wzdłuż północnej granicy z Merindą.



Przypominał sobie, że Paulina powitała go radośnie, a nawet kokietowała, ale gdy poznała cel jego wizyty, w jednej chwili przybrała sztywną pozę i oświadczyła wyniośle, że wątpi, czy brat zechce tę ziemię odsprzedać.

Colin rozważał kandydaturę Pauliny na swoją wybrankę, ale kiedy pomyślał o jej niezależności i o skłonności do współzawodnictwa, uznał, że wiązanie się z nią byłoby błędem. Nie chciał mieć w żonie partnera; szukał matki dla swoich dzieci. Przyszła pani MacGregor miała być uległa, posłuszna, płodna i mało wymagająca, Colin bowiem zakładał, że poza sypialnią oraz pokojem dzieciennym niewiele ich będzie łączyć. A Paulina Downs nie pasowała do tego obrazu.

– Dzień dobry – powiedziała, podjeżdżając bliżej. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Colin MacGregor stał wysoki i wyprostowany w promieniach słońca, z czarnymi włosami rozwianymi na wietrze. Przez jej ciało niespodziewanie przepłynęła fala pożądania.

– Ależ skąd, panno Downs – odparł. – Oczyszczam okolicę ze szkodników. Może zechce pani wziąć udział w polowaniu? Mam ze sobą dodatkowe strzelby.

– Nie potrzebuję strzelb – wskazała łuk, który wiozła na siodle.

– Łuki i strzały nie są odpowiednią bronią podczas prawdziwego polowania.

– Moja strzała jest równie niezawodna jak pańska kula. Uśmiechnął się.

– Znakomicie. Tamto drzewo jest oddalone od nas o trzydzieści metrów. Czy strzała go dosięgnie?

Colin przyglądał się Paulinie, gdy zsiadała z konia, wybierała strzałę i napinała łuk. Jej platynowe loki przykrywał kapelusz z piórami. Suknia z obcisłym stanikiem podkreślała jej pełne piersi, obszerną spódnicę na turniurze wydymał wiatr. Paulina odwiodła cięciwę. Jej widok przywiódł Colinowi na myśl dawno temu przeczytany wiersz: „Bezlitosna Diana, księżycowa łowczyni, zabójczyni jeleni, wieczna dziewica... „

Ludzie sądzili o tej wysokiej i szczupłej pannie o jasnej cerze i dużej dozie kobiecości, że jest delikatna. Lecz Colin był pewien, że Paulina ma niespożyte siły zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Nikt nie podejrzewał, że używa łuku przeznaczonego dla mężczyzn, którego słaba kobieta nie mogłaby napiąć.

Wypuściła strzałę i pewnie umieściła ją w celu. Colin uświadomił sobie, że w jej postawie kryje się zmysłowość. Uderzyło go spostrzeżenie, że jest kobietą wprost stworzoną do łóżka.

Gdy sięgnęła do kołczanu, zauważył:

– Nasza rywalizacja nie jest uczciwa, panno Downs. Nie sztuka trafić do nieruchomego celu.

Obróciła się i trzymając przed sobą napięty łuk, skierowała strzałę prosto w Colina. Wzdrygnął się, a potem wybuchnął śmiechem.

– Czy może pani polować, posługując się tak prymitywnym narzędziem? A może potrafi pani tylko się mierzyć z drzewami i ze stogami siana’?

Zluzowała cięciwę i opuściła łuk.

– Z tej broni mogę strzelać do wszystkiego, panie MacGregor – oświadczyła.

– Sądzi pani, że jej skuteczność dorównuje strzelbie?

– Ma pan ochotę się o tym przekonać? Uśmiechnął się szeroko.

– Nad rzeką widziano kangurzycę z małym. Obiecałem ją Juddowi. Chłopiec ma dopiero dziewięć lat i dotychczas nic jeszcze nie upolował. Zechce pani nam towarzyszyć? Chyba że wątpi pani w niezawodność swojej broni.

– Wprost przeciwnie, panie MacGregor. Jestem jej pewna. Z przyjemnością zademonstruję panu, co strzała potrafi zdziałać na polowaniu.

Wyprawa zmierzała w stronę rzeki. Paulina i Colin jechali na przedzie, pomiędzy nimi Judd na kucu, a z tyłu stajenni, niosąc koce, kosze z żywnością i strzelby. Pochód zamykał stary tubylec, Ezekiel, który siedział na oklep na koniu.

– Czy nadal jest pan zainteresowany nabyciem tych dwóch tysięcy hektarów, panie MacGregor? – spytała Paulina.

– Czyżby brat pani zdecydował się je sprzedać?

Paulina nie rozmawiała jeszcze o tym z Frankiem, lecz raczej by się nie sprzeciwiła. Wiedziała, że ziemia ta jest dla niego bezużyteczna.

– Z pewnością zdołam go nakłonić do rezygnacji z tego ugoru.

– Kiedy będę mógł się z nim spotkać w celu omówienia warunków?

– Frank jest ostatnio bardzo zajęty w swoim wydawnictwie, ale może pan zawrzeć z nim umowę za moim pośrednictwem.

– Jakie są zatem warunki?

– Jeszcze nie wiem, lecz jestem pewna, że zdołamy dojść do porozumienia.

Zmierzył ją wzrokiem, ale się nie odezwał.

– W jakim wieku jest Judd? – zmieniła temat. – Ma już dziewięć lat, prawda? Pewnie wkrótce pošle go pan do szkoły.

– Postanowiłem zatrzymać go w domu.

– Biedne dziecko. Chłopiec w tak trudnym wieku potrzebuje matki. Ostatnio szerzą się plotki, panie MacGregor, o panu i o Vilmie Todd.

– Zdaje się, że ludzie mają zbyt dużo wolnego czasu. Mówiąc bez ogródek, panno Downs, nie zamierzam prosić o rękę panny Todd. Ani Verity Campbell, którą również łączy się z moją osobą, o czym też zapewne już pani słyszała.

– Czy nie myśli pan o tym, żeby się ponownie ożenić?

– Mam taki zamiar. Chciałbym jednak poślubić kobietę spoza Okręgu Zachodniego.

Gdy opowiadał jej o różnych kandydatkach na żonę – córkach zamożnych mieszkańców Melbourne – Paulina czuła, jak topnieje jej pewność siebie. Zaraz jednak przypomniała sobie, że w odróżnieniu od innych młodych panien zna sekret Colina: tej nocy, kiedy umarła Christina, poprzysiągł zemstę Hughowi Westbrookowi, którego obwinił o śmierć żony i nie narodzonego dziecka. Od tamtej pory Paulina obserwowała MacGregora i była świadkiem jego narastającej obsesji doprowadzenia Hugh'a do ruiny. Znała przyczynę determinacji Colina, z jaką zabiegał o zakup tak dużej połaci ziemi – chciał przejąć Merindę i zniszczyć człowieka, który, w jego przekonaniu, powinien odpokutować za śmierć Christiny. To, że Colin mógł dopiąć celu, nie martwiło Pauliny. Hugh też potrafił walczyć. Doszła do wniosku, że z dużym zainteresowaniem będzie przyglądać się zmaganiom obu mężczyzn.

Byli już nad rzeką. Z pobliskiego gniazda na ziemi zerwała się para wystraszonych siewek. Poszybowały w górę, przez chwilę krążyły nad intruzami i zapikowały w dół, przeraźliwie skrzecząc. Ezekiel wysunął się na czoło grupy i prowadząc konia wzdłuż brzegu, badał teren. Colin, Paulina i Judd podążali tuż za nim. Nad wodą panowała cisza, a wokół unosiła się woń gliniastej ziemi i rozkładu. Pomiędzy potężnymi pniami rosnących nad Rzeką Czerwoną drzew gumowych ścieliły się cienie. Konie ostrożnie wybierały drogę, omijając zwalone i przeżarte przez termyty pnie oraz jamy mogące być kryjówkami węży. Emu, który wysiadywał dopiero co złożone jajka, wyciągnął szyję i poruszył się niespokojnie.

– Była tu, panie MacGregor – powiedział cicho Ezekiel, wskazując świeży ślad kangura. – Całkiem niedawno. Może nawet dzisiaj rano. Mały jest przy niej.

Colin skinął głową. Uzgodnili z Paulina, że oboje będą celować do samicy – on ze strzelby, ona z łuku – a młodego kangura zostawią Juddowi.

Przeszli w bród rzekę i jeszcze przez chwilę podążali brzegiem, dopóki tropiciel nie doprowadził ich do małej zatoki. Uniósł dłoń, zsunął się z konia i na czworakach zaczął uważnie badać ziemię. Pozostali uczestnicy wyprawy czekali w milczeniu.

Ezekiel znał dobrze ten teren. Jako chłopiec mieszkał niedaleko stąd ze swoją rodziną, która liczyła niemal trzydziestu członków. Był świadkiem, jak jego krewni po kolei umierali na choroby przywleczone do Australii przez białych ludzi albo ginęli z ich rąk. Z całej rodziny tylko on jeden ocalał.

– Co o tym sądzisz? – spytał go w końcu Colin. Aborygen wyprostował się i zmarszczył czoło.

– Myślę, że kangurzyca przechodziła pomiędzy tamtymi drzewami. Ale stary Ezekiel dalej nie pójdzie.

– Dlaczego?

– Tamto miejsce należy do Snu Emu. Zakłócając jego spokój, ściągniemy na siebie nieszczęście, panie MacGregor.

– W takim razie ty zostań, Ezekielu. Judd, trzymaj się blisko mnie.

Posuwali się naprzód, klucząc pomiędzy drzewami. Dopiero na małej polanie zeskoczyli z wierzchowców na ziemię, zostawili je pod opieką stajennych i w milczeniu ruszyli pieszo świeżym tropem.

Nagle Colina dobiegł jakiś dźwięk. Przystanął i rozejrzał się wokół siebie. Judd szedł nieuważnie i wpadł na ojca, za co został ukarany pełnym nagany spojrzeniem. Wstrzymując oddechy, przez chwilę we trójkę nasłuchiwali.

– Jest tam! – szepnęła Paulina, wskazując przed siebie. Napięła łuk i naprowadziła go na cel.

W jesiennej mgle zamajaczyła niebieskoszara sylwetka. Wielka kangurzyca podniosła się z trawy i spojrzała w kierunku myśliwych. Obok niej młody skubał rosnące nad rzeką źdźbła.

Colin podniósł strzelbę, ale Paulina już wypuściła śmiertelny grot.

Samica uderzyła głuchym o ziemię potężnym tylną kończyną. Młody usłyszał alarmujący sygnał. W chwili gdy kangurzyca dawała susa, grot strzały trafił ją w pachwinę. Zwaliła się na ziemię i wierzgała wściekle. Za moment znowu poderwała się do skoku, brocząc krwią.

Zanim zdążyła ją dosięgnąć druga strzała Pauliny, wypaliła strzelba Colina. Rażenie pocisku odrzuciło zwierzę do tyłu. Wystraszony mały kangur doskoczył do matki, okręcił się na własnym ogonie i rzucił do ucieczki.

– Strzelaj, Judd! – krzyknął Colin. – Masz cel jak na dłoni. No już! Nie zwlekaj!

Chłopiec zamarł z przerażenia. Drżał na całym ciele i nie był w stanie utrzymać nieruchomo broni.

– Teraz!

Judd starał się naprowadzić lufę na przestraszone zwierzę. Poczłł mdłości. Zaczłł płakać.

– Do diabła, chłopcze! Strzelaj!

Chłopiec pociłgnł za spust i upadł na ziemię ogłuszony wystrzałem.

– Trafiliś go! – zawołał Colin, podbiegając do martwych kangurów. – To ta samica, którą tropiliśmy na wiosnę, Judd! A nie mówiłem, że miała małego w kieszeni? – Przydepnął butem swój łup, wyciłgnł z ciała zwierzęcia strzałę i rzucił ją Paulinie pod stopy.

– Przegrała pani zawody, panno Downs – powiedział. Paulina nie zwracała jednak na niego uwagi, pomagając malcowi podnieść się z ziemi.

– Uspokój się, Judd, cicho już, cicho... Chłopiec zanosił się od płaczu.

– Biedny mały kangur! – szlochał.

– Podejdź tu, Judd – rzekł Colin ze zniecierpliwieniem. Dzieciak nie poruszył się z miejsca, wstrząsany spazmatycznym szlochem.

Stajenni wybiegli z za drzew.

– Dobry strzał, sir – orzekł jeden z nich. A potem uklękł, wyciłgnł z za pasa nóż i przystąpił do obcinania kangurom ogonów.

– Zbliź się, Judd – rzekł Colin z patosem. – To twoje trofeum.

Chłopiec się cofnął, pociłgając nosem i łkając.

– Idź, Judd. – Paulina lekko popchnęła dzieciaka. – Zrób, jak ci ojciec każe.

Chłopiec ruszył przed siebie sztywno wyprostowany. Jego błękitne oczy stały się ogromne. Na widok odciętych zakrwawionych ogonów zrobiło mu się słabo.

– Chodź, synu – rzekł Colin, sięgając po ogon młodego kangura. – To twoja pierwsza zdobycz. Możesz być z niej dumny.

Wził chłopca za ramię. Paulina próbowała go powstrzymać, pojmując jego zamiar, ale było już za późno. MacGregor pomazał zakrwawionym ogonem twarz i włosy dziecka.

Judd zaczął wrzeszczeć.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyknął Colin, przytrzymując wrywającego się chłopaka.

– Jest przerażony. Niech pan da mu spokój – poradziła Paulina.

– Przerażony! Do diabła, panno Downs! Mnie wysmarowano krwią, gdy miałem siedem lat. i wcale się nie bałem!

– On tego nie rozumie! Nie wie, po co pan to robi!

Stajenni wymienili ze sobą zaniepokojone spojrzenia. Zazwyczaj dotkliwie odczuwali skutki ataku furii hodowcy. Ezekiel przyglądał się tej scenie. Już przedtem widywał rytuał obcinania ogona pierwszej myśliwskiej zdobyczy i smarowania krwią świeżo upieczonego myśliwego. Pewien hodowca owiec wyjaśnił Ezekielowi, że tradycja ta pochodzi ze starego

kraju, gdzie urządzano polowania na zwierzę zwane lisem. To był jeden z nielicznych obrządków białego człowieka, który trafiał do wyobraźni starego Aborygena. Tyle że biali myśliwi zawsze zapominali przed zabiciem zwierzęcia poprosić je o przebaczenie. Jak wiedział każdy rdzenny Australijczyk, niedopełnienie tego rytuału mogło ściągnąć na człowieka zły los.

Judd wierzgał, kopał i wrzeszczał, dopóki ojciec go nie puścił. Paulina chwyciła chłopca w ramiona.

– Już dobrze – uspokajała. – Wszystko w porządku. Przechodzą przez to wszyscy myśliwi. To już się więcej nie powtórzy.

– Niech pani go nie rozpieszca – zganił ją Colin. – On ma wyrosnąć na mężczyznę! Przestań płakać, Judd!

– Krzyk na nic się nie zda, a może jedynie zaszkodzić. Nie widzi pan, że dzieciak jest wyprowadzony z równowagi? – Pogłaskała chłopca po włosach. – Już dobrze. Wracamy.

Zaprowadziła Judda do stajennych, gdzie umyła mu twarz. Colin podszedł do Pauliny.

– Proszę mi wybaczyć, że się uniosłem, panno Downs. Martwię się o syna. Musi nauczyć się samodzielności. Gdybym go stracił...

– Nic mu nie będzie, panie MacGregor. Odwróciła twarz pod wiatr i przestłoniła dłonią oczy.

– Czy tam leży Merinda? Słyszał pan, że żona Hugh'a spodziewa się dziecka?

Spostrzegła, że stężyły mu rysy.

– Nie zdziwię się, jeśli za kilka lat będzie miał pan w sąsiedztwie całą gromadkę dziatwy – rzekła ze śmiechem. – Podobno Hughowi ostatnio dobrze się powodzi. Rozpoczął budowę dużego domu nad rzeką i sprowadza jakieś nadzwyczajne stado baranów, które ma dać początek nowej i silnej rasy owiec. Gdy przybył tu przed laty, nikt nie przypuszczał, że tak daleko zajdzie, prawda?

Colin chwycił ją za ramię.

– Powiedziała pani, panno Downs, że brat jest gotów sprzedać tę ziemię.

– No cóż, może sprzedaż nie jest właściwym określeniem...

– Co pani chce przez to powiedzieć?

Spojrzała w stronę Judda, który najwyraźniej już zapomniał o strachu.

– Chłopiec ma się lepiej. Potrzebuje delikatnej ręki. Po chwili Colin odezwał się ostrożnie:

– Ma pani rację, panno Downs. Judd potrzebuje matki. Wiele o tym myślałem. Czy nie zrobię mu krzywdy, jeśli sprowadzę do domu całkiem obcą osobę? Pewnie wołałyby mieć przy sobie kogoś znajomego.

– Pański syn zna przecież zarówno pannę Todd, jak i pannę Campbell.

– Tak, to prawda.

Szukał w myślach odpowiednich słów.

– Zastanawiam się, panno Downs, czy Judd nie wołałby, żebym ożenił się kimś podobnym do pani.

– Do mnie?

Spojrzał w stronę gór i Merindy. Wyobraził sobie Hugh'a Westbrooka, który wiódł szczęśliwy żywot u boku żony.

– Zastanowi się pani nad tym? – spytał. Paulina uśmiechnęła się słodko.

– Być może.

## ROZDZIAŁ 14

„Najdroższa siostrzo – głosił nagłówek listu. – Po pięciu miesiącach spędzonych na morzu przybyliśmy wreszcie do kolonii Sydney. Żadne słowa nie oddadzą koszmaru naszej podróży. Razem z panną Pratt i dwiema innymi damami tłoczyłyśmy się w kabinie o wymiarach dwa metry na trzy, nie mieściłyśmy się w kojach, które były zbyt wąskie, a gdy jedna z nas chciała się ubrać, trzy pozostałe musiały wyjść na zewnątrz. Obok naszej kajuty znajdowały się dwa obrzydliwie cuchnące klozety – jedyne na statku – z których korzystało ponad dwustu pasażerów. Wielu emigrantów nie miało odzieży na zmianę i dotknęła nas plaga wszy. Na pokładzie aż się roiło od szczurów. Podczas pobytu na morzu urodziło się ośmioro dzieci, a pięcioro innych zmarło”.

Joanna zapatrzyła się w obmywane przez deszcz okno. Przyglądała się poświacie wokół gazowych latarni. Dobiegał ją turkot przejeżdżających ulicą powozów oraz stukot końskich kopyt na bruku. Na dworze panował chłód; w dwóch dużych kominkach apartamentu hotelu „Król Jerzy”, w sypialni i w saloniku, gdzie siedziała obserwując deszczowy zmierzch, płonął ogień. Joanna pracowała od wczesnych godzin rannych, przeglądając książki i dokumenty przysłane przez Franka Downsa z redakcji „Timesa”. Stanowiły zadziwiającą zbieraninę aktów własności, zawiadomień, listów prywatnych i handlowych, pożółkłych gazet, pamiętników i dzienników pokładowych, a wszystkie pochodziły z 1790 roku. Zostały zebrane i skatalogowane przez pracowników „Timesa”. Miały być wykorzystane w specjalnym albumie upamiętniającym przypadające za cztery lata stulecie odkrycia Australii. Frank udostępnił materiały Joannie, gdy opowiedziała mu o liście Lathropa zawierającym wzmiankę o statku dziadków, który nosił miano mitycznej bestii.

– Australijczycy kochają tajemnicze opowieści – oznajmił, gdy przyniósł do hotelu pudła z dokumentami. – Historia twojej rodziny, droga Joanno, jest wyjątkowo niesamowita. Jeśli w tych papierach znajduje się coś, co doprowadzi cię do Karra Karra i w końcu odnajdziesz to miejsce, będziemy mieli niezły temat dla „Timesa”.

Choć poszukiwania prowadzone przez Joannę miały na celu bardziej ważką sprawę niż znalezienie „niezłego tematu”, była wdzięczna Frankowi za pomoc. Podobał się jej entuzjazm, z jakim mówił o swoim młodym kraju.

– Australia istnieje tylko dzięki temu, że Ameryka wyrwał się spod wpływów Anglii. Wielu ludzi nie zdaje sobie z teg’ sprawy – powiedział jej kiedyś. – Aż do 1776 roku Angli wysyłała do amerykańskich kolonii kryminalistów. A kiedy drzwi te zostały przed nią zamknięte, musiała znaleźć inny śmietnik dla wyrzutków społeczeństwa. Australia świetnie nadawała się do tego celu i dlatego tu jesteśmy.

Frank oznajmił, że książka ma się zaczynać od odkrycia Australii przez kapitana Cooka. Joanna wyraziła wątpliwość, czy Aborygeni zgodziliby się z tym, że ich ląd został „odkryty” i Frank przyznał:

– Rzeczywiście, „inwazja” jest bardziej odpowiednim określeniem.

Joanna pomyślała o Sarze. Była ciekawa, co dziewczyna rob’ w tej chwili. Podejrzewała,

że pewnie nie spuszcza z oka Philip McNeala oraz jego pracującej nad rzeką ekipy. Młoda Aborygenka coraz bardziej interesowała się Amerykaninem, zawsze był blisko niego.

Zegar na kominku wybił szóstą. Hugh wyszedł rano, żeby zorganizować przetransportowanie do Merindy nowej rasy baranów, którą nazwał zeus. Zapowiedział też, że zajrzy do domu panny Tallhill, u której zostawił akt własności Joanny i próbkę stenopisu Johna Makepeace'a. Planował również wybrać się do znawcy kamieni szlachetnych w celu wyceny opalu. Joannała moment spodziewała się męża. Byli przecież umówieni z Frańkiem na kolację w hotelowej restauracji.

Jej wzrok spoczął na liście, który dopiero co przeczytała. Pochodził z 1820 roku i był podpisany przez niejaką pannę Margo Pelletier. Joanna zastanawiała się, w jaki sposób Frank wszedł w jego posiadanie. Zamyśliła się też nad losami panny Pelletier – dlaczego opuściła Anglię i jak dalej potoczyło się jej życie.

Podniosła notatkę zatytułowaną: „Do adwokata, George'a Fletchera Moore'a, Australia Zachodnia, 1834 rok. Raport w sprawie warunków życia Aborygenów w koloniach”, i przeczytała:

„Czarni są niezwykłą rasą, której zupełnie obce są podstawowe wzorce zachowań cywilizowanego człowieka. Ludzie ci nie budują domów, nie oddają czci Bogu ani nie boją się diabła, nie uznają zasad moralnych, nie mają sumienia i nie przywiązują się do ziemi”.

Podczas wielogodzinnego studiowania dokumentów Joanna nie natknęła się na żadną zaczerpniętą z mitologii nazwę statku ani na wskazówkę, która pomogłaby jej rozwiązać zagadkę przeszłości rodziny. Miała nadzieję, że znajdzie wzmiankę o czerwonej górze albo o małżeństwie białych, które żyło wśród Aborygenów. Książka zakupiona w księgarni nie zawierała przydatnych dla Joanny informacji.

Otworzyła ostatnie pudełko i sięgnęła po napisane odręcznym piśmem ogłoszenie: „Złodziej, który ukradł moje konie w ubiegłą niedzielę, niech wie, że zostanie schwytany i będzie srogo żałował swojego postępk”. Na górze kartki znajdowała się dziura – ślad po gwoździu, którym przybito obwieszczenie do drzewa.

W końcu Joanna wzięła do ręki postrzępiony egzemplarz gazety z 1835 roku wydanej w Sydney.

W rubryce „Ogłoszenia publiczne” przeczytała: „W sobotę przybył do Sydney z Londynu statek «Nemrod» płynący przez Plymouth, Teneryfę i Przylądek Dobrej Nadziei, dowodzony przez kapitana White'a. Przywiózł ładunek miedzi, zestawy narzędzi, odzież, powozy, pocztę i artykuły na potrzeby rolnictwa. Na jego pokładzie znajdował się komplet pasażerów. Właściciele linii Buchanan i Spółka uprzejmie informują, że statek za tydzień wyrusza w drogę powrotną do Anglii i zabierze za opłatą dwudziestu podróżnych”.

Joanna zastanawiała się, czy istnieje gdzieś podobne do tego ogłoszenie, zawiadamiające o przybyciu w 1830 roku statku „Minotaur”, „Cyklop” lub „Pegaz” z ładunkiem towarów i kompletem pasażerów, wśród których znajdował się mężczyzna o nazwisku Makepeace oraz jego żona Naomi.

Gdzie dziadkowie mogli na tym rozległym kontynencie po raz pierwszy postawić stopę?

– Nie znajdziesz żadnych notatek o statku, który zawinąłby w 1830 roku do Melbourne –



uprzedził Joannę Frank. – Port ten wówczas nie istniał. Nic tu nie było, a tę ziemię zamieszkiwali jeszcze Aborygeni.

Tak więc poszukiwania ograniczały się do Sydney i Brisbane na wschodzie, Adelajdy na południu i Perth na zachodzie.

Joanna postanowiła nie tracić nadziei. Pomyślała o listach, które zamierzała napisać do właścicieli żaglowców – w adresy miał ją zaopatrzyć Frank. Jeśli zdoła ustalić, na pokładzie którego statku płynęli jej dziadkowie, może uda się jej odnaleźć miasto, do którego przybili, oraz miejsce narodzin jej matki. Gdyby miała jakiś punkt zaczepienia, może potrafiłaby rozwiązać tajemnicę przeszłości, odkryć przyczynę koszmarnych snów, które wciąż ją prześladowały, i położyć kres swoim obawom, że nie narodzone dziecko również je odziedziczy.

Cichemu głosowi panny Adeli Tallhill wtórował szept deszczu za oknem.

– Wielogodzinne badanie tego dokumentu dostarczyło mi wiele przyjemności, panie Westbrook. To praca podobna do rozwiązywania zagadki. Z radością spieszę powiadomić pana, że udało mi się rozszyfrować pewne fragmenty pisma.

Hugh siedział w salonie przy buchającym ciepłem kominku. Na stole stała taca z karafką sherry i herbatnikami. Pokój był zagracony i przesiąknięty ciężką wonią lawendy.

Panna Tallhill – inwalidka przykuta do fotela na kółkach, która mieszkała razem z rodzicami i zarabiała na skromne utrzymanie kaligrafią – przyjmowała zlecenia przepisywania prywatnych listów, wypełniania dyplomów i zaproszeń oraz układania liścików miłosnych. Słyszała również w Melbourne z wykonywanych przez siebie ekspertyz odręcznego pisma.

Hugh spojrzał dyskretnie w kierunku zegara nad kominkiem. Chciał już wracać do hotelu. Po załatwieniu formalności związanych z przetransportowaniem nowego stada do Merindy, zatrzymał się w biurze firmy Buchanan i Spółka, gdzie dowiedział się, że wśród floty morskiej tego przewoźnika znajdują się statki „Pegaz” i „Minotaur”. Urzędnik obiecał, że napisze do siedziby spółki w Londynie z prośbą o przekazanie informacji dotyczącej historii obu jednostek.

Następnie Hugh zaniósł opał do pośrednika handlu kamieniami szlachetnymi. Ekspert nie potrafił ustalić miejsca wydobycia minerału ani jego ceny rynkowej, zaproponował jednak Hughowi jego kupno za pokaźną kwotę.

– Co zdołała pani odczytać, panno Tallhill? – spytał Hugh. Kobieta przyjrzała się gościowi. Przypuszczała, że jest blisko trzydziestki. Miał zamglone szare oczy i uroczą pionową zmarszczkę pomiędzy brwiami. Wokół niego unosił się przyjemny zapach. Po chwili stwierdziła, że to woń lanoliny. A więc był hodowcą owiec. Dostrzegła w tym mężczyźnie siłę charakterystyczną dla ludzi, którzy przywykli do trudów życia na pustynnych obszarach kontynentu. Ten człowiek jednak, w przeciwieństwie do innych, miał dobre manieri i cechował się ogładą.

Położyła przed nim akt własności i smukłą, delikatną dłonią wskazała pierwszy akapit dokumentu.

– Najpierw skoncentrowałam się na słowach: „Dwa dni jazdy od”, po których

następowała jakaś nieczytelna nazwa, oraz: „dwadzieścia kilometrów od” czegoś, co wyglądało na Dopływ Dro... Proszę spojrzeć, pokażę panu, jak zdołałam to w końcu odczytać.

Wyjęła kartkę papieru, żeby zademonstrować Hughowi sposób rozwiązania zagadki.

– Czy widzi pan ten zawijas i tę kreskę? Przyjrzałam się uważnie widocznym liniom, a potem na papierze starałam się uzupełnić słowa brakującymi częściami liter. Stosowałam różne warianty, dopóki nie pojawił się jakiś wyraz. Tutaj na przykład znajduje się litera „e”. A ta wygląda jak „b”, ale wtedy słowo byłoby pozbawione sensu. Dopiero gdy dopiszemy „r”, staje się zrozumiałe.

Hugh porównał eksperymentalne próbki z wyblakłym pismem na dokumencie.

– Pierwsza z nazw to Durrebar – stwierdziła panna Tallhill.

– Rzeczywiście, teraz i ja to widzę – powiedział, kiwając głową.

– Odszyfrowanie drugiej nastęczyło trochę więcej trudności, ale w końcu i temu zadaniu zdołałam sprostać. To Dopływ Drozda. A oto w jaki sposób do tego doszłam. – I wyciągnęła kolejny arkusz wypełniony różnymi wyrazami i literami.

– Nie mam już cienia wątpliwości, panie Westbrook, że niniejszy akt dotyczy ziemi leżącej dwa dni jazdy od Durrebar – podejrzewam, że to nazwa używana przez tubylców – i dwadzieścia kilometrów od miejsca zwanego Dopływem Drozda.

– Rozumiem – rzekł podekscytowany Hugh. – Czy udało się pani rozpoznać kolonię, w której ten dokument został wydany?

– Niestety nie. Pismo było narażone na działanie wody. Urzędowa pieczęć i data zostały niemal całkowicie zmyte. Przeanalizowałam je starannie, panie Westbrook, ale nie potrafię odczytać. Jak pan widzi, podpis jest zupełnie nieczytelny.

– Dopływ Drozda i Durrebar – upewnił się Hugh, pragnąc jak najprędzej wrócić do Joanny. – Sam nie wiem, jak mam pani dziękować, panno Tallhill.

Uśmiechnęła się.

– Nie ma o czym mówić. Każdy potrafiłby to zrobić. Zadanie wymagało tylko trochę cierpliwości i czasu, którym jak pan widzi, dysponuję w nadmiarze – westchnęła.

– Kiedy będzie się mogła pani zająć stenopisem Johna Makepeace’a?

– Już go badałam, panie Westbrook, lecz jak dotąd nie zdołałam złamać kodu. Jeśli może mi pan zostawić tę próbkę, poświęcę jej analizie więcej czasu. Zawiadomię pana listownie o moich odkryciach.

Hugh próbował wynagrodzić pannie Tallhill trud, lecz odmówiła przyjęcia zapłaty.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność, panie Westbrook. Poza tym nie zakończyłam jeszcze pracy. Niezwłocznie przystąpię do dalszego badania stenopisu.

Gdy wyszedł, podjechała wózkiem do okna. Zza zasłony wyjrzała na skapaną w deszczu ulicę i obserwowała Hugh’a Westbrooka wsiadającego do powozu. Jego podobieństwo do Stephena, który wyruszył dwadzieścia lat temu na poszukiwanie złota i nie powrócił, wprowadziło ją w zdumienie. Nigdy nie straciła nadziei, że któregoś dnia odzyska ukochanego.

Odsunęła się od okna i wróciła w poblizkie kominka. „Paraliż spowodowany atakiem hysterii – orzekli lekarze. – Nie ma żadnej fizycznej przyczyny bezwładu pani nóg, panno Tallhill. Może pani chodzić, jeśli tylko pani zechce. „

Ich diagnoza była bezsensowna. Cóż mogli wiedzieć o schorzeniach, których korzenie sięgały serca?

Westchnęła. Hugh Westbrook przypomniał jej o Stephenie. I właśnie z tego powodu nie mogła odesłać go z kwitkiem. Nie zniosłaby widoku rozczarowania na jego twarzy, która była tak podobna do twarzy ukochanego. Dlatego nie wyznała mu prawdy, że nie zdołała odczytać słów w akcie własności i że z pewnością nikt nie potrafi tego zrobić. Nazwa Dopływ Drozda miała prawdopodobne brzmienie. Cóż komu szkodziło, że Hugh Westbrook uwierzył w istnienie tej miejscowości? I czy jakieś znaczenie miał fakt, że słowo Durrebar było również jej wymysłem? Hugh Westbrook uśmiechał się. I w chwili radości jeszcze bardziej przypominał jej Stephena.

„Tajemnicze miasto” – myślał Frank Downs, rozglądając się po Melbourne. Cały ten kraj pełen był zagadek. Gdy Frank stał w górującym wysoko nad miastem oknie, z którego roztaczał się widok na dachy domów, mosty i fabryczne kominy, wyobrażał sobie ciągnące się w oddali ogromne przestrzenie. Wiązało się z nimi tak wiele ciekawych historii i fascynujących przygód. To one pchnęły Franka do wydawania gazety – chciał być blisko pulsu tego tajemniczego kontynentu. Dobrze wiedział, czego ludzie chcą i co ich fascynuje. Od obozowych ognisk na odludziu po salony Melbourne nic bardziej nie pasjonowało Australijczyków niż niezwykle historie. I „Times” zaspokajał te oczekiwania. Teraz, kiedy nauka stała się obowiązkowa w koloniach, Frank spodziewał się, że w ciągu dwóch dziesięcioleci wyrosnie nowe pokolenie czytelników – młodych, wykształconych i żądnych rozrywki ludzi. A ukazujący się w Melbourne „Times”, dzięki energii i pomysłom Franka Downsa, miał jej dostarczyć.

Frank kupił gazetę siedem lat temu za dwa tysiące funtów. Użył nie lada sztuczek, żeby ją uratować i stworzyć poczytny dziennik. Był innowatorem. Kiedy przejmował zarząd nad „Timesem”, w podawaniu najświeższych wiadomości wyprzedzały go wszystkie inne pisma. Dobrze wiedział, że chcąc przetrwać, musi znaleźć sposób na przekazywanie informacji przed swoimi konkurentami. Wpadł na pomysł i zaczął wysyłać na pokłady przybijających do portu statków reporterów, którzy kupowali prasę od pasażerów i od członków załogi, a potem niezwłocznie wracali do miasta i dołączali do druku dodatki bezcennie skopiowane słowo w słowo z angielskich gazet. Kiedy inni wydawcy zaczęli go naśladować, Frank znowu ich wyprzedził. Posyłał dziennikarzy do Adelajdy, gdzie zawijały statki w drodze do Melbourne. Pracownicy gazety na miejscu pospiesznie czytali angielskie czasopisma, a następnie przekazywali za pośrednictwem telegrafii najświeższe informacje. Wkrótce inne wydawnictwa również zaczęły to praktykować. Wtedy Frank zawarł umowę z pocztą, by dostarczała „Timesa” bez pobierania dodatkowych opłat do jego wiejskich abonentów. Wysyłał nakłady pociągami oraz pospiesznymi dylizansami spółki Cobb i w ten sposób zyskał sobie na prowincji spragnionych wiadomości czytelników.

Symbolem sukcesu Franka była Wieża Zegarowa, najwyższy budynek w Melbourne. Wznosił się na pięć pięter i górował nad brudnymi ulicami, a w każdym jego oknie jarzyło się gazowe światło. W ten mglisty kwietniowy dzień przywodził na myśl latarnię morską. Biuro Franka znajdowało się na ostatnim piętrze. Koledzy śmiali się z niego, gdy urządzał swój

gabinet. „Będziesz fruwał na górę razem z papugami kakadu” – żartowali. Wszyscy wiedzieli, że ostatnie piętra są najmniej atrakcyjne. Któż chciałby pokonywać tyle schodów! Przyjaciele Franka, ludzie na stanowiskach, zwykle zajmowali pomieszczenia na parterze. Lecz Frank, entuzjasta odkryć i wynalazków, urządził wielki spektakl na otwarcie budynku i wwiózł przyjaciół do swojego biura windą o napędzie parowym!

Teraz, stojąc przy oknie, wyobrażał sobie dudniącą pod stopami maszyną wydawniczą. Drukarskie maszyny napędzane parą grzmiały dzień i noc, a prawie stu zecerów składało w długich metalowych kolumnach jutrzejsze poranne wiadomości. W biurach wydawnictwa panował ożywiony ruch. Ciągłe przybywali nowi posłańcy, przynosząc raporty z parlamentu, z posterunku policji i z portu. Umieszczony wysoko na ścianie olbrzymi zegar, nad którym znajdował się napis: „TIMES” NIGDY NIE ŚPI, głośno odmierzał minuty i niczym wielkie oko obserwował zabiegany personel.

Frank spojrzął na czasomierz i pomyślał, że najwyższa pora udać się do hotelu „Król Jerzy”, gdzie umówił się z Westbrookami na kolację.

„Dzieje życia Joanny Westbrook – pomyślał. – To dopiero zagadkowa historia!” Czasami zdawało mu się, że w równym stopniu jak żonie Hugh'a zależy mu na poznaniu niesamowitych wydarzeń, które rozegrały się trzydzieści trzy lata temu w miejscowości Karra Karra. Cóż za niespodziewane i straszliwe nieszczęście spotkało młodego białego człowieka, jego żonę i ich małe dziecko? Jaka klątwa czy też trucizna-pieśń prześladowała Emily Makepeace w snach o Tęczowym Wężu? I w jaki sposób młode małżeństwo zdołało żyć wśród plemienia, które dopiero co dowiedziało się o istnieniu białego człowieka?

Opowieści o białych ludziach żyjących wśród Aborygenów dotyczyły zawsze „dziczalego białego mężczyzny” lub „dziczalej białej kobiety”. Krótka historia Australii obfitowała w takie wydarzenia. Nawet teraz krążyły plotki o znalezieniu wśród plemienia w zachodniej części Queenslandu „dzikiego białego człowieka”. Frank zastanawiał się, czy mężczyzna ten nie należał przypadkiem do zaginionej ekspedycji, która wyruszyła w głąb lądu w 1871 roku. Ekipa policjantów natknęła się na niego wśród tubylców w pobliżu Dopływu Coopera i człowiek ten twierdził, że jest zaginionym członkiem wyprawy. Utrzymywał również, że jego współtowarzyszy nie wymordowali tubylcy; sami powybijali się nawzajem podczas kłótni. Policja przywiozła mężczyznę do Melbourne i Frank zamierzał osobiście z nim porozmawiać.

Już wychodził z biura, gdy podeszła sekretarka i podała mu kopertę:

– Do pana, panie Downs. Tę przesyłkę doręczono przed chwilą.

List był od prawnika i zawierał kontrakt przekazania Colinowi MacGregorowi dwóch tysięcy hektarów ziemi.

Frank cieszył się, że siostra w końcu wychodzi za mąż. I choć on sam, być może, wybrałby dla niej kogoś innego na męża, to fakt, że była szczęśliwa, sprawiał, że i on podzielał jej radość. I gdy spytała, czy mógłby w prezencie ślubnym przepisać dwa tysiące hektarów ziemi na Colina, nie śmiał odmówić jej prośbie. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu przyszłemu szwagrowi zależało na tych nieużytkach, ale siostra była zadowolona i tylko to się dla Franka liczyło. Od czasu zerwania zaręczyn Pauliny z Westbrookiem obawiał się, że

zostanie starą panną. A tymczasem sprawy dla wszystkich układały się pomyślnie.

Gdyby tylko mógł wpłynąć na poprawę własnej sytuacji!

Podczas rocznego pobytu w Melbourne, po epidemii tyfusu, zawarł wiele znajomości z różnymi młodymi i stanowiącymi dobre partie kobietami. Jednak jego kontakty z nimi nie wykaczały poza uprzejmości i przyjaźń. Zwykle przestawał się widywać z dopiero co poznanymi pannami po dwóch, trzech spotkaniach. Nie zainteresował się żadną z nich.

Często myślał o Ivy Dearborn i wciąż był zaniepokojony jej tajemniczym zniknięciem. Po bezowocnych poszukiwaniach w Okręgu Zachodnim umieścił ogłoszenie w "Timesie", ale nikt nie odpowiedział.

Wchodząc do windy, z której nikt inny oprócz niego nie chciał korzystać, tłumaczył sobie, że Ivy zmarła na tyfus albo wróciła do Anglii. Cokolwiek się z nią stało, postanowił wymazać ją z pamięci. Miał teraz na głowie inne sprawy.

## ROZDZIAŁ 15

– Jest takie miejsce, którego nikt jeszcze nie widział... – Sara snuła opowieść, uwijając się przy kuchni. Parzyła herbatę dla Philipa McNeala i dla Adama. – To dolina porośnięta zieloną trawą oraz drzewami i poprzecinana strumieniami. Mieszkają tam księżyce. Są bardzo szczęśliwe w swojej dolinie, lecz czasami stają się niespokojne. Gdy zapada noc, udają się na obchód nieba. Zawsze robią to w pojedynkę. Nie wiedzą, że po drugiej stronie gór żyje olbrzym, który chwyta wędrujący księżyc i co noc odcina go po kawałku. Kiedy z księżycą zostaje już tylko cienki pasek, olbrzym rozłupuje go na części, które odtąd są gwiazdami. A potem....

McNeal i Adam czekali.

– Jak kończy się ta historia? – spytał Philip, gdy Sara nie dodała nic więcej.

Dziewczyna się zamyśliła.

– Nie pamiętam – rzekła po chwili.

– To ładna opowieść. Znasz ich tak wiele. Może powinnaś zacząć je zapisywać?

Potrząsnęła głową.

– Nie wolno nam tego robić. •

Philip obserwował ją przy pracy – szczupła i wysoka jak na piętnastolatkę, z długimi kończynami i ciemną skórą. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać, gdy stanie się kobietą. A potem pomyślał o Pyłku Kwiatu oraz o spędzonych z nią nocach i dniach. Czy ona też, podobnie jak Sara, zacznie zapominać plemienne mity?

W oddali przetoczył się grzmot. Sara spojrzała w stronę okna i zmarszczyła brwi. „Dzisiejszą nocą zawładnęły złe moce” – pomyślała.

– To tylko burza – zauważył Philip, jak gdyby czytał w jej myślach. – Wszystko będzie dobrze.

Ale Sara pokręciła głową i posmutniała.

– Czy sądzisz, że dzisiejsza noc będzie gorsza od innych? – zapytał.

Dziewczyna nie wiedziała, skąd o tym wie. Czasami miewała przeczucia. Podobnie przedstawiała się sprawa z mitami Aborygenów. Sara nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek słyszała je od kogoś ze starszyny plemiennej w misji. A jednak je znała. Na przykład o księżycach stara Deereeree nie opowiadała jej nigdy. Więc skąd się te historie wzięły w jej głowie? Miewała też wizje dotyczące ludzi, wydarzeń i scen, w których trudno było doszukać się sensu. Wiedziała, że nie są wspomnieniami, w każdym razie nie jej własnymi. Bywały również chwile, kiedy odkrywała w sobie wiedzę o pewnych właściwościach, jak na przykład tę o liściu dzikiego geranium, który przyłożony w miejscu ukąszenia owada zapobiega powstawaniu opuchlizny. Joanna zapytała, kto ją tego nauczył, lecz Sara nie potrafiła udzielić odpowiedzi.

Czasami te przebliski wiedzy zatrzażały dziewczynę. Zdawały się nad nią panować. Kiedy indziej znowu stawały się dla niej źródłem otuchy, gdyż w głębi duszy przeczuwała, że stanowią część jej dziedzictwa.

Żałowała, że nie wolno jej pójść do misji. Pragnęła porozmawiać ze współplemieńcami. Wracła tam kilkakrotnie, nie powiadamiając o tym Joanny. Zawsze wybierała drogę przez pola, unikając głównych traktów i omijając miasta, żeby nikt jej nie zobaczył. Rozmawiała z członkami starszyny plemiennej, spotkania te były jednak bardzo ryzykowne. Gdyby pastor Simms ją zastał, wpadłby w złość.

Odwiedzanie misji i utrzymywanie kontaktu z Aborygenami stawało się coraz trudniejsze. Stara Deereeree nie żyła, a inni bali się kary, która groziła za nauczanie plemiennych praktyk. Tak więc podczas wizyt w misji witano Sarę wystraszonymi spojrzeniami i milczeniem.

Przerażało ją to. Nie chciała zrywać więzi z ludźmi należącymi do jej plemienia. Zdażyła już zapomnieć wiele podań, nie była pewna reguł i tabu. Potrzebowała pomocy starszych, którzy potrafiliby ją pokierować. Czasami przysłuchiwała się opowieściom Ezekiela, lecz on należał do innej Krainy Snów i był mężczyzną. Nie mógł wyjawić jej sekretów kobiet. Sara coraz bardziej żałowała, że nie dokończyła obrządku inicjacji.

Słyszała, jak Philip McNeal rozmawia cicho z Adamem, podchodzi do kominka, żeby dorzucić polan, a potem sprawdza, czy okno jest mocno zamknięte przed wzmagającym się wichrem. Lubiła Amerykanina. W jego obecności czuła się bezpieczna. Zastanawiała się, czy nie opowiedzieć mu o swoich lękach związanych z trucizną-pieśnią, która prześladowała Joannę, i o złej magii, która być może ściągnęła na Merindę tyfus, a teraz sprowadzała przerażającą burzę. Nadciągała ulewa inna od wszystkich.

McNeal podszedł do kuchni i stanął obok dziewczyny, przypatrując się jej pracy.

– Amerykanie nie pijają herbaty – rzekł cicho. – Są amatorami kawy. Wiesz, co to jest?

Sara odmierzała łyżeczką herbatę do dzbanka.

– Nie, nigdy nie piłam kawy.

Nie uszedł jej uwagi żaden szczegół w jego zachowaniu – cichy śmiech ani swoboda, z jaką się poruszał.

– Pyłek Kwiatu była do ciebie podobna. Ona też posiadała dar przewidywania wydarzeń. Twierdziła, że przemawiają do niej przodkowie. Mówiła też, że jej przeczucia są bardziej zbliżone do wspomnień. Czasami miewała wizje. Czy z tobą jest podobnie?

„Tak – pomyślała. – Ze mną jest tak samo. „ W oddali po niebie przetoczył się grzmot.

– Chyba masz rację, Saro, rzeczywiście czeka nas nieprzyjemna noc – rzekł McNeal, patrząc w okno. A potem utkwiał w dziewczynie oczy. – Zejdę na budowę i odeślę robotników do domu. Nie chcę narażać ich na niebezpieczeństwo. Czy sądzisz, że powinienem to zrobić?

Odpowiedziała mu nieruchomym spojrzeniem. „O czym jeszcze wiesz?” – zastanawiał się, sięgając po marynarke.

Joanna zajechała bryczką na podwórze. Odległe góry o tej późnej popołudniowej godzinie były skąpane w zadziwiającej zielono-błękitnej poświacie. Wokół szczytów zebrały się chmury, niebo oświetlał niezwykle blask, wyczuwało się gwałtowny spadek ciśnienia. Nadciągała burza.

Joanna pojechała do Cameron Town, żeby sprawdzić, czy nie nadeszła odpowiedź od armatora, właściciela statków „Pegaz” i „Minotaur”. Miała również nadzieję, że zastanie tam

korespondencję od Patricka Lathropa z San Francisco. Ale na poczcie czekał na nią tylko jeden list – od ciotki Millicent.

Pora była już późna, niebo wyglądało groźnie. Joanna rozejrzała się po pustym obejściu. O tej porze parobcy przebywali zwykle w pubie „U Faceya” albo w swoich kwaterach, gdzie prowadzili rozmowy przy rumie i whisky. Nazajutrz wypadała niedziela, a Hugh, jedyny w okolicy, dawał pracownikom wolne w sobotnie popołudnia. Ale z baraków nie dobiegały żadne głosy, nie rozlegały się też dźwięki drumli ani bandzo. A w stajniach nie było koni.

– Co się dzieje, Matthew? – zapytała stajennego, który odebrał od niej bryczkę.

– Wszyscy są przy owcach, proszę pani. Pan Westbrook powiedział, że zanoszą się na burzę. Zwierzęta stały się nerwowe. Wylęknione mogą rzucić się do ucieczki.

Joanna omiotła wzrokiem ciągnące się pod szarym niebem równiny. Był czerwiec, zima, sezon kocenia się owiec. Podczas ubiegłych tygodni Hugh i jego ludzie golili ogony i tylne nogi owcom, które wkrótce miały mieć młode. Robili to ze względów higienicznych. Przy jagniętach należało zachować szczególną czystość, by zapobiec rozmnażaniu się much i powstawaniu infekcji. To była żmudna i niebezpieczna praca. Mężczyźni przytrzymywali wierzgające owce, uważając przy tym, żeby się nie zaciąć ani nie zranić zwierząt. Po tak ciężkiej robocie zwykle nie mogli się doczekać pod koniec tygodnia swojej sobotniej porcji rumu. Lecz dzisiaj, z powodu groźby nadciągającej burzy, pojechali doglądać stad.

Gdy Joanna weszła do kuchni, zastała płonący w palenisku ogień, który wypełniał pomieszczenie ciepłem i rozlacał wokół przytulny blask. Peony, córka Jacko, siedziała przy stole i czyściła klosz olejowej lampy, Adam zjadał chleb z masłem i jajkiem.

– Mamo! – zawołał, podbiegając do Joanny.

Wzięła go w ramiona i przytuliła do siebie. A potem zdjęła kapelusz i powiesiła na wieszaku.

– Gdzie jest mój mąż? – spytała.

– Nad rzeką razem z panem McNealem – odparła dziewczyna. – Przyjechał do domu i uprzedził nas o nadciągającej burzy.

– Zaraz wrócę – rzekła Joanna, szczerze owijając się szalem i kierując się w stronę drzwi.

– Pójdę z tobą! – zawołał Adam.

– Zostań w domu, dotrzyмай towarzystwa Sarze i Peony. Podążając prowadzącą nad rzekę ścieżką, Joanna widziała na horyzoncie rozdierające niebo błyskawice. Podniosła wzrok na szare niebo i nie mogła się nadziwić, że to czerwiec. W Indiach wszystkie Angielki powyjeżdżały już do górskich kurortów, by jak co roku schronić się tam przed letnimi upałami. Tutaj natomiast, na zachodnich równinach Wiktorii, panował środek zimy.

Wyszła na polanę w miejscu, gdzie w zakolu rzeki odbijało się niebo o barwie ołowiu. W mroku pomiędzy drzewami dostrzegła męża i Philipa, oglądających cementową wylewkę, na której miały stanąć fundamenty nowego domu. Wybrane pod budowę miejsce oddalone było od świętych ruin, by nie zakłócać spokoju duchów Aborygenów. I nie trzeba będzie wyciąć ani jednego drzewa. Maude Reed powiedziała kiedyś do Joanny: „Gdy stawialiśmy nasz dom, wykarczowaliśmy wszystkie drzewa gumowe, a na ich miejsce zasadziliśmy angielskie



wierzby i wiązy”.

Joanna przystanąła na moment, przyglądając się mężowi, który rozmawiał z architektem.

Hugh był bez nakrycia głowy i wiatr mierzwił mu włosy. Buty i spodnie miał ubrudzone błotem, podwinął rękawy koszuli. Bardzo różnił się od innych hodowców owiec, którzy zawsze usiłowali udowodnić światu, jak dobrze się im powodzi. I nawet gdy pracowali przy stadach lub prezentowali nagrodzone sztuki bydła na pokazach, udawali angielskich dżentelmenów.

„Czy nasza miłość kiedyś przeminie?” – zastanawiała się Joanna. Zawsze witała Hugh'a z radością, gdy wracał wieczorami z pastwiska, gdy pojawiał się w drzwiach do kuchni lub gdy dobiegał ją jego głos. Modliła się, by jej szczęście trwało wiecznie.

Zawołała męża po imieniu, lecz jej głos utonął w huku przetaczającego się ponad górami grzmotu. Kilka sekund później pojawiła się błyskawica.

– Hugh! – zawołała ponownie.

Odwrócił się do niej rozpromieniony, a Philip McNeal na powitanie uniósł dłoń.

– Uważaj – ostrzegł ją Hugh, gdy przekraczała nie zabezpieczony betonowy próg. Wyciągnął ramiona i Joanna przytuliła się do niego całym ciałem. „Niech zawsze będzie tak jak teraz” – pomyślała, gdy ją całował.

– Cieszę się, że już wróciłaś – powiedział. – Zaczynałem się niepokoić. Za kilka minut miałem zamiar wysłać kogoś na drogę. Sprawdzamy z Philem, czy wszystko jest należycie zabezpieczone. Czeka nas prawdziwa nawałnica. Patrz pod nogi – ostrzegł, podając jej rękę. Na podłodze z betonu wałały się narzędzia, leżał gruz oraz resztki obrobionych drewnianych pali, a któryś z robotników zostawił w kącie menażkę z nie dopitą herbatą.

Znaleźli się w miejscu przyszłego salonu. Po równinach ścielił się mroczny cień.

– Co powiedziała Poll Gramercy? – spytał Hugh.

– Stwierdziła, że wszystko w porządku i że mam przed sobą jeszcze pięć miesięcy.

– Czy była jakaś poczta?

– Nic ważnego – odpowiedziała Joanna.

Nie chciała wspominać o wiadomości od ciotki Millicent, która odpisała w związku z prośbą Joanny o więcej informacji dotyczących dzieciństwa matki. List był krótki: „Twoja biedna matka umarła. Zostaw ją w spokoju”.

Porywisty wiatr mierzwił taflę stojącej w zakolu wody.

– W każdej chwili może lunąć deszcz – mruknął Hugh, patrząc w niebo. – To będzie ciężka noc dla ludzi czuwających przy owcach.

– Hop! Hop! – dobiegło ich wraz z powiewem wichru wołanie. – Hop! Hop! Jesteś tam, Hugh?

Odwrócili się w stronę pędzącego na koniu i machającego kapeluszem parobka o przezwisku Mieszaniec Eddie.

– Hugh! Chodź szybko!

– Co się stało, Eddie?

– Pięć kilometrów stąd piorun zważył drzewo. Owce rzuciły się do ucieczki. To straszne!

– Zbierz ludzi.

– Tłoczące się stada wyłamały ogrodzenie od strony północnej i nie możemy ich zatrzymać. Pędzą jak szalone w stronę rzeki! – opowiadał parobek.

– Wracaj do domu, Joanno – rzucił Hugh, podchodząc do swojego konia. – Czy mógłby pan odprowadzić moją żonę, panie McNeal?

Patrzyli za nim, jak odjeżdża w niespokojną noc.

Hugh i Eddie przemierzali równiny rozdzielane wybuchami piorunów. Rzeczne koryta, zwykle wyschnięte, teraz wypełniała woda, drzewa się gięły do ziemi pod naporem wiatru. Gdy dotarli do północnej granicy farmy, z nieba lały się strugi zacinającego deszczu. Hugh spojrzął w dół. Jego oczom ukazał się mrożący krew w żyłach widok.

Tysiące ogarniętych paniką owiec pędziło tabunem, parobcy na koniach galopowali tam i z powrotem, usiłując je zatrzymać. Psy szczekały jak oszalałe, a pioruny bez ustanku rozszarpały niebo i ziemię olbrzymimi ognistymi mieczami.

– W jaki sposób, u diabła, mógł się zawalić płot?! – krzyknął Hugh, podjeżdżając do Larry’ego.

– Na pewno nie został uszkodzony przez pędzące stado! – odkrzyknął zarządca. Jego głos był ledwie słyszalny w huku wiatru. – Spójrz, przewrócił się na tę stronę.

Hugh podjechał do wyłamanego ogrodzenia i stwierdził, że Larry ma rację. Drut i słupy leżały po stronie jego posiadłości i musiały być już zwalone, zanim zwierzęta do nich dotarły. Tej szkody z pewnością nie mogła też wyrządzić nawałnica.

– Ależ tamta ziemia należy do Franka Downsa, a on zawsze dbał, by ogrodzenia były w dobrym stanie.

Podjechał do nich Tom Watkins. Z ronda jego kapelusza przelewała się woda i ściekała na przeciwdeszczowy płaszcz.

– Hugh! Owce są już w rzece! – krzyknął. Od tego momentu zaczął się prawdziwy koszmar.

W domu Joanna z Philipem pospiesznie mocowali okiennice. Peony siedziała nieruchomo, zamarła z przerażenia, i przysłuchiwała się grzmotom. Sara mówiła cicho do Adama, usiłując rozproszyć jego lęk. Chata trzęsła się pod naporem wiatru, który przez komin wyrzucał na kuchnię popiół z paleniska i grad iskier. W pewnym momencie zajął się leżący przed kominkiem dywanik. Joanna zdeptała ogień.

– Peony – zwróciła się do dziewczyny – przynieś ze spiżarni wszystkie wolne menażki. Zagotujemy dużo wody na herbatę.

– Czy pani mąż zdoła uratować stado? – spytał Philip.

– Nie wiem – odparła, przypominając sobie o wypadkach utonięć podczas prób wyciągnięcia owiec z rzeki.

Rozejrzała się po pobladłych z trwogi twarzach. Sara tuliła do siebie Adama, a Philip kręcił się w pobliżu nich. „Nic złego im się nie stanie – pomyślała Joanna. – Nie miałam żadnych proroczych snów ani niedobrych przeczuć. „, Lecz następny grzmot skierował jej myśli ku Hughowi, który walczył z żywiołem.

Podeszła do niej Sara. Obejrzała się przez ramię sprawdzając, czy nikt jej nie usłyszy.

– Dzisiejszą nocą zawładnęły złe moce – szepnęła. Joanna poczuła znajome ukłucie

paniki. Doświadcziała jej już przedtem – w koszmarnych snach i podczas epidemii tyfusu. Łudziła się wtedy, że jej obawy są czczym wymysłem. Przecież ona nie może być przyczyną nieszczęść. Ale teraz wyczytała z oczu Sary, że klątwa znowu daje o sobie znać.

– Wiele złego wydarzy się dzisiejszej nocy – powiedziała cicho dziewczyna. – Będą ranni. Koś umrze. Tęczowy Wąż jest zagniewany.

Joanna spojrzała na nią zdumiona.

– Tęczowy Wąż?

– On stworzył rzeki w Czasach Snów, a teraz kieruje ich biegiem.

Joanna pomyślała o ogromnym wężu z jedynym, budzącym grozę okiem, który pojawiał się zarówno w jej snach, jak i w snach matki. Czy lady Emily słyszała kiedyś o przekleństwie rzuconym przez Tęczowego Węża?

– Rozumiem. – Spojrzała Sarze prosto w oczy. – Bądźmy przygotowane na najgorsze. – Sięgnęła do kredensu po torbę lekarską. – Panie McNeal, czy zechciałby pan pójść do baraków po zapasowe koce? I proszę wziąć po drodze z kuchni dużą menażkę.

Nagle rozległo się pukanie, do pokoju wtargnął wiatr i deszcz, a w otwartych drzwiach pojawił się parobek o imieniu Bandzo. Lewą rękę miał przewiazaną kawałkiem nasiąkniętego krwią materiału.

Joanna i Philip pomogli mu wejść do środka, a Sara wyprowadziła Adama do sąsiedniego pomieszczenia.

– Straszne rzeczy dzieją się nad rzeką – oznajmił parobek, z wdzięcznością przyjmując szklaneczkę whisky. – Wielu pasterzy jest rannych i nie ma nikogo, kto by się nimi zajął.

Joanna zdezynfekowała skaleczenie i zabandażowała rękę, a potem zebrała bandaż, torbę oraz whisky i sięgnęła po nieprzemakalny płaszcz.

– Proszę zaopiekować się Adamem i Sarą, panie McNeal – rzuciła u drzwi.

– Nie może tam pani pójść – zaprotestował Amerykanin.

– Mam na uwadze pani obecny stan.

– Nic mi nie będzie. Wezmę ze sobą Matthew.

Miał ochotę zawołać ją i powstrzymać, lecz już zbiegła po schodach werandy i zniknęła w mroku.

Matthew miał oczy ogromne z przerażenia. Zaprzągnął konia do bryczki i starał się uspokoić zdenerwowane zwierzę. Joanna wrzuciła na tylne siedzenie pojazdu koce, latarnię, pudełko zapalek, torbę z medykamentami i przykryła wszystko płóciennym prześcieradłem. A potem sama wdrapała się na kozioł. Matthew zajął miejsce obok niej.

Wiedziała, że na piątym kilometrze znajduje się studnia. Hugh obwiózł ją po całej, liczącej siedem tysięcy hektarów farmie i pokazał wszystkie drogi, bramy, studnie oraz graniczne placówki, przy których jeźdźcy zwykli biwakować. Czym innym była jednak niespieszna przejażdżka po skąpanych w słońcu pastwiskach, kiedy pobliskie góry ułatwiały orientację w terenie, a czym innym zagłębianie się w burzową noc.

Jechali w strugach ulewnego deszczu. Wkrótce Joanna była przemoczona do suchej nitki. Koń zarżał, gdy obok nich uderzył piorun. Dwukrotnie bryczka o mało się nie przewróciła.

Widzieli tysiące owiec, którym nie pozwalali rozbiec się pasterze i wciąż krążące

owczarki. W świetle błyskawicy Joanna rozpoznała jednego z mężczyzn. Obrzucił ją wystraszoną spojrzaniem i coś do niej zawołał.

W końcu znaleźli się u stóp wzniesienia, które oddzielało południowozachodnie pastwiska od terenów, gdzie wypasały się kotne owce. Joanna popędziła konia, by wspiać się błotnistym zboczem w górę. Gdy dotarli na szczyt, ich oczom ukazał się wzbudzający grozę widok.

W dole rozpościerały się pogrążone w mroku i deszczu równiny, daleko wznosiły się góry, majestatyczne i groźne. Często oświetlały je błyski, stwarzając złudzenie, że kamienne wierzchołki toczą się w ich stronę niczym olbrzymie, spienione, skaliste bałwany. Po lewej Joanna dostrzegła rzekę, której zwykle spokojny nurt zdawał się kipieć. Spływał gwałtownie z gór, porywając po drodze wszystko. Wiatr chłostał rosnące wzdłuż brzegów drzewa, a owce całymi setkami staczały się do rozszalałej wody.

Joanna zamarła z trwogi.

Tysiące owiec biegało w panice po całej równinie, a ludzie i psy starali się zapędzić je w stado. Gnaly na oślep białą falą przed siebie, za moment zmieniały kierunek, klucząc niczym ławica ryb. Jak tylko pasterze zdołali zagonić zwierzęta w gromadę, kolejna błyskawica rozdzierała niebo i część owiec znowu odrywała się od stada. Widok był hipnotyzujący i zatrważający zarazem.

A nad rzeką...

Pasterze zdołali powstrzymać część uciekających owiec, wbijając się w nie klinem i odganiając od rzeki, jednak wiele zdążyło do niej dotrzeć i zsuwało się po błotnistym brzegu. Ludzie w pośpiechu ścinałi drzewa, usiłując zbudować na rzece tamę i uchronić zwierzęta przed porwaniem przez prąd.

Joanna popędziła konia. Bryczka potoczyła się w dół zbocza, straszliwie podskakując i grożąc wywróceniem. Marchew kurczowo zaciskał dłonie na oparciu swojego siedzenia. Wreszcie karkołomna jazda dobiegła końca. Wysiedli z pojazdu, zapadając się w błoto po kostki. Zacinające strugi deszczu utrudniały widoczność, ale i tak zdołali zobaczyć wystarczająco dużo: owce uwięzione w błocie – beczące, szamoczące się i roniące młode – martwe jagnięta w mule, rżące i wierzgające konie, leżącego nieruchomo owczarka z pyskiem zatopionym w głębokiej kałuży i ludzi stojących po pas w rwącym nurcie, zawzięcie wymachujących siekierami, zwalających drzewa i wyciągających na linach owce z rzeki.

W potokach ulewnego deszczu Joanna nie mogła dostrzec Hugh'a. Gdy Matthew podbiegł nad brzeg, by pomóc przy ratowaniu zwierząt, chwyciła fałdy przemoczonej spódnicy i z trudem zaczęła się przeprawiać przez grząski grunt. Dojrzała Larry'ego oraz Toma Watkina. Obaj stali na pniu zwalonego eukaliptusa i chwyтали na lasso tonące owce.

Grzmiało nieustannie, w górze przetaczały się skłębione chmury. Nawałnica wciąż przybierała na sile.

Wreszcie Joanna wypatrzyła Hugh'a. Był nad samym brzegiem i wyciągał z topieli szamoczącą się owcę. Kilku ludzi weszło w wodę, usiłując schwytać zwierzę gołymi rękami.

Jeden z mężczyzn poślizgnął się i upadł, pętla się zsunęła i owca porwana przez wir popłynęła w dół rzeki. Prąd rzucił nią o skały. Obróciła się w wodzie niczym kłoda drzewa,

rozpaczliwie wymachując sterzcącymi do góry nogami, i wkrótce zniknęła w mrocznej dali.

Joanna z trudem zeszła nad brzeg.

– Hugh! – zawołała.

Odwrócił się i zmrużył oczy, starając się cokolwiek dostrzec w strugach ulewnego deszczu.

– Joanno! Co ty tutaj robisz?

– Chcę pomóc!

– Wracaj do domu!

– Hej tam! Hugh! – zawołał Lany, stojąc na pospiesznie skleconym moście z drzewa eukaliptusowego. – Złapałem następną!

Trzej mężczyźni weszli do wody i chwycili liny. Wyciągnęli zwierzę i zataszczyli je na brzeg. Joanna czuła coraz większe przerażenie. Owca była martwa, a jej na wpół narodzone jagnię, którego tylko głowę było widać, również nie żyło.

Nagle rozległ się krzyk. Larry rzucając lassem wpadł do rzeki. Tom Watkins bez namysłu skoczył mu na pomoc.

– Freddo! Obwiąż mnie liną! – polecił Hugh jednemu ze swoich pracowników. – Prędko!

Joanna zamarła patrząc, jak mąż znika w spienionym nurcie. Podbiegła do mężczyzn, którzy trzymali koniec sznura. Obcasy grzęzły im w błocie, gdy z całą siłą zapierali się nogami. Zsuwali się jednak w dół, tracąc oparcie pod stopami. Joanna stanęła za Freddo i choć parobek krzyknął, żeby odeszła, również zaczęła ciągnąć linę.

W strugach wody dostrzegali od czasu do czasu Hugh'a, który usiłował płynąć pod prąd. Kilkakrotnie zniknął w kipieli, ale zaraz znowu się wyłaniał. Dokonywał nadludzkich wysiłków, by dotrzeć do Larry'ego i Toma.

Joanna łkając ciągnęła linę z całych sił. Freddo stracił równowagę, runął do tyłu prosto na nią i oboje upadli w błoto. Na szczęście w porę podbiegli dwaj ludzie z pomocą. Joanna czuła w dłoniach szarpnięcia liny i modliła się o ocalenie Hugh'a. Nagle zniechęciła tę rzekę, która zaledwie trzy kilometry dalej rozgałęziała się, tworząc zakole tak bliskie jej sercu, piękne i spokojne. Doszła do wniosku, że nie cierpi Merindy, Wiktorii i całej Australii.

Przysięgła sobie, że jeśli Hugh zginie dzisiejszej nocy, ona nigdy nie przebaczy tej ziemi, że go zabiła.

Nagle mężczyźni zgromadzeni blisko wody zaczęli się cofać. Freddo odsunął na bok Joannę, robiąc przejście, i razem z innymi pomagał wydostać się z rzeki Hughowi, który trzymał kogoś w objęciach. Ciało człowieka wyciągniętego na mulisty brzeg było równie bezwładne i pozbawione życia jak utopionych owiec. Joanna rozpoznała Lany'ego.

Puściła linę i podbiegła do męża.

– Ze mną wszystko w porządku – zdołał jedynie powiedzieć. – Zaopiekujcie się Larrym. Ja wracam po chłopaka.

I zanurkował ponownie. Joanna widziała w deszczu, jak płynie pomiędzy wirującymi na powierzchni szczątkami owiec. Zadanie trzymania liny pozostawiła mężczyznom, a sama skupiła uwagę na zarządcy, w którym ledwie tliło się życie. Czoło miał głęboko rozcięte i złamaną nogę. Kość przebiła materiał spodni, Lany obficie krwawił. Joanna zdjęła mu pas i

jak opaską ucisnęła nim kończyne, a potem poprosiła Eddiego, żeby jej pomógł przenieść rannego.

– Potrzebuję kawałka deski! – zawołała, przekrzykując wiatr, gdy zarządca został już ułożony w bryczce. – Muszę złożyć Larry’emu nogę.

Eddie podniósł głaz i zawzięcie walił nim w bryczkę, dopóki nie zaczęły odpadać z niej deski. Potem zatrwożony przyglądał się zabiegom Joanny, która usiłowała oczyścić ranę i zatamować krwawienie.

Obok huczała potężna, wzbudzająca przerażenie rzeka. Toczące się wody unosiły drzewa, owce oraz dwóch ludzi – piętnastoletniego Toma Watkinsa i Hugh’a. Wiatr co chwila chwiały bryczką.

Eddie wsunął deskę pod nogę Larry’ego.

– Złap go za kostkę – poleciła Joanna – i mocno pociągnij. Ale nie szarp! Powoli!

Parobek odchylił się do tyłu, ciągnąc za nogę nieprzytomnego zarządcę. Nagle rozległ się przyprawiający o mdłości zgrzyt, kość schowała się pod skórę i Joanna prędko przywiązała stopę Larry’ego do deski.

– Możesz już iść i pomóc innym, Eddie – powiedziała. Miała ochotę się obejrzeć i sprawdzić, co się dzieje w nurtach rzeki, lecz nie starczyło jej odwagi. Zajmując się rannym, modliła się żarliwie. Larry był przeraźliwie blady, ale żył.

Przystąpiła do opatrzenia rany na jego nodze, ponownie ją przemyła, zszyła jedwabną nicią, a potem odkaziła nadmanganianem potasu i owinęła bandażem, który wkrótce przemókł. Zwinięty koc podłożyła nieprzytomnemu pod głowę zamiast poduszki. Po raz kolejny zbadała puls rannego i dla osłony przed deszczem z drugiego koca zrobiła prowizoryczny namiot.

Obejrzała się w stronę brzegu. Wciąż stała tam grupa ludzi z linami. Hugh’a nie było między nimi.

Larry oczy miał otwarte i szkliste. Nie żył.

Świt odsłonił dramatycznie zmieniony krajobraz. Potężne i stare drzewa, które rosły na pastwiskach jeszcze przed przybyciem na te ziemie białego człowieka, były poprzewracane i leżały ze sterczącymi w górę korzeniami. Rozwłócone po równinie szopy, płoty i zbiorniki przywodziły na myśl zniszczone dziecinne zabawki. Na łąkach potworzyły się rozlewiska, odbijające błękitne niebo.

Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, leżały padłe owce.

Joanna stała obok powozu, trzęsąc się pod pożyczoną marynarką, oszalała z trwogi i wyczerpania. Tak jak wszyscy w ogóle nie spała tej nocy.

Philip McNeal był tutaj również i brnąc z trudem w błocie, razem z innymi przeciągał martwe zwierzęta do świeżo wykopanego rowu. Przy wielu owcach były małe, wciąż połączone z matkami pepowiną.

Ludzie w milczeniu wykonywali swoją ponurą pracę, a w górze krążyły olbrzymie padlinożerne ptaki.

Nagle pojawił się jeździec i zapanowało ogólne poruszenie. Przybywał od strony dolnego biegu rzeki i wiózł przed sobą na siodle zwłoki. Joanna podbiegła do niego razem z innymi, a

gdy ciało zostało położone na ziemi i nie wyczuła pulsu, jeden z mężczyzn delikatnie wziął ją za ramiona i powiedział cicho:

– To już się na nic nie zda, proszę pani. On nie żyje. Utkwiła wzrok w martwej twarzy Toma Watkinsa. Głowa chłopaka roztrzaskała się o skały.

– Czy nie widział pan Hugh’a? – spytała jeźdźca, znając odpowiedź, jeszcze zanim zdążył zaprzeczyć. Hugh został porwany przez prąd. Ośmiu jeźdźców przeszukiwało teren wzdłuż rzeki.

Philip położył Joannie rękę na ramieniu.

– Powinna pani wrócić do domu, zjeść coś i trochę poleżeć. Potrząsnęła przecząco głową. Hugh’a wciąż nie było.

– Hej! Spójrzcie tylko, kto tam idzie! – dobiegło ją nagle czyjeś wołanie.

Zobaczyła nad brzegiem kuśtykającego mężczyznę.

– Hugh! – zawołała, podbiegając do męża.

Wyglądał okropnie. W podartym, ubłoconym ubraniu i z wymizerowaną twarzą, ściągniętą zmęczeniem, wydawał się o dziesięć lat starszy.

– Joanno – wziął ją w ramiona i pocałował. – Nic ci się nie stało, kochana?

– Mój Boże, sądziliśmy już, że nie żyjesz! – przyłgnęła do niego rozpaczliwie. Po policzkach spływały jej łzy, – Co z Larrym?

– Nie żyje. Znaleźli również Toma Watkinsa... Hugh milczał.

Ludzie otoczyli go tłumnie, niektórzy dotykali go, chcąc się upewnić, czy wzrok ich nie myli.

– Dzięki Bogu nic ci się nie stało – powiedział jeden ze starszych parobków, walcząc ze łzami.

– Tak, jestem cały i zdrowy. Teraz muszę zadbać o innych. Czy ktoś posłał po PingLi i polową kuchnię?

– Chodźmy do domu, Hugh – rzekła Joanna. – Powinieneś odpocząć.

– Zaczekaj – zatrzymał ją, ogarniając wzrokiem ogrom zniszczeń.

Położyła głowę na jego ramieniu. Zadrżał i westchnął głośno.

– Wygląda na to, że straciliśmy większość jagniąt.

– Wszystko będzie dobrze, Hugh – pocieszała męża. – Zostało jeszcze stado rasy zeus, które przetrwało burzę.

– Tak, to prawda. Ale nie będziemy mieli w tym roku strzyży ani lanoliny. A ja pożyczyłem pieniądze Jacko. Joanno, przykro mi. Obawiam się, że musimy się wstrzymać z budową domu.

– Wiem – potaknęła, zastanawiając się, kiedy otrzyma swój spadek z Indii. – Najważniejsze, że jesteś zdrow i cały. Mogę mieszkać gdziekolwiek, byleby z tobą. Nie potrzebujemy dużego domu. W każdym razie jeszcze nie teraz. Mamy siebie nawzajem, Adama oraz Sarę i oczekujemy dziecka. Tylko to się liczy.

Przygarnął żonę mocno do siebie i pocałował niemal rozpaczliwie, wśród ogromu śmierci spragniony życia, które obiecywało jej ciało.

## ROZDZIAŁ 16

„Droga Joanno – pisał Frank – właśnie otrzymałem wiadomość od przyjaciela pracującego dla «Biuletynu» w Sydney. Z przykrością muszę Cię zawiadomić, że choć przekopał tamtejsze archiwa, nie znalazł żadnej wzmianki o statku, który nosiłby imię mitycznej bestii. Osobiście natknąłem się na informację o «Jednorożcu». Niestety, okazało się, że jednostka ta w latach 1780 – 1810 woziła skazańców i nie zabierała na pokład innych pasażerów. Zapewniam Cię jednak, że będę nadal prowadził poszukiwania.

Jest jeszcze jedna sprawa – proszę, namów swojego upartego męża, żeby przyjął ode mnie pożyczkę. W pewnym sensie czuję się odpowiedzialny za wasze katastrofalne straty. Te dwa tysiące hektarów podarowałem szwagrowi. I choć trudno mi uwierzyć, by Colina stać było na taką nikczemność, nie mogę wykluczyć tej ewentualności. Proszę Cię, Joanno, spróbuj nakłonić Hugh'a, by zgodził się wziąć ode mnie pieniądze. „

Frank podpisał i złożył list. Nic nie mógł poradzić, że w związku z tą sprawą miał złe przeczucia. Zbieg okoliczności wydawał się mało prawdopodobny – gdy tylko Colin wszedł w posiadanie ziemi graniczącej na północy z Merindą, od razu na farmę spadło nieszczęście. Szerzyły się pogłoski, że MacGregor obciąża winą Westbrooka za śmierć żony i szuka zemsty. Czy rzeczywiście tak było? Pomysł wydawał się szalony. Frank nie miał okazji, by zapytać o to szwagra osobiście. Colin i Paulina wyjechali na miodowy miesiąc zaraz po przyjęciu weselnym i obecnie znajdowali się w drodze do Szkocji oraz rodzinnego domu Colina na wyspie Skye.

Paulina sprawiała wrażenie szczęśliwej, choć wesele było znacznie mniej okazałe niż to, jakie zaplanowała niegdyś, kiedy była narzeczoną Westbrooka. Colin zenił się po raz drugi, uroczystość była więc skromna i uczestniczyło w niej zaledwie kilkoro najbliższych przyjaciół. Frank uznał za prawdziwą przewrotność losu fakt, że siostra została macochą dziewięcioletniego Judda, podczas gdy zerwanie zaręczyn z Westbrookiem tłumaczyła niechęcią do wychowywania cudzego dziecka.

Nie próbował jednak roztrząsać tego problemu. Już dawno zaniechał wysiłków zrozumienia kobiet. Ilekroć którąś zainteresował, wywracała jego życie do góry nogami. Ivy Dearborn była tego najlepszym przykładem. Najpierw długo odrzucała jego względy, a gdy okazała mu przychylność, zniknęła na dobre. Cieszył się, że zdołał przeboleć jej stratę. Nie znosił, kiedy coś go rozpraszało. I nie lubił angażować się w związki uczuciowe.

„Kiedy się zamierzasz ożenić?” – spytała go Maude Reed na weselu. Nie tylko ona interesowała się jego planami. W Lismore zabrakło gospodyni i każda matka mająca córkę na wydaniu chętnym wzrokiem patrzyła na właściciela tej posiadłości. Tak więc gdy tylko ksiądz ogłosił, że związek małżeński Colina i Pauliny został zawarty, Frank znalazł się w centrum uwagi kobiet – od młodzianki Verity Campbell po starą swatkę Constance McCloud. „Nie możesz zostać na zawsze w kawalerskim stanie, Frank – przekonywała Louisa Hamilton. – Mężczyzna nie powinien żyć samotnie. „

„Oto cała Louisa – myślał Frank. – Uważa siebie za zbyt wielką damę, by użyć słowa



«celibat», nie ulega jednak wątpliwości, że właśnie do tego pije.”

O Franku nie można było powiedzieć, że żyje w celibacie. Każdy zamożny mężczyzna w Melbourne mógł się bawić do woli. Frank miał przyjaciółki w całym mieście i było mu to na rękę – zadawał się z kobietami, które chętnie przyjmowały od niego pieniądze i podarunki, a w zamian nie stawiały żadnych żądań, w szczególności matrymonialnych. Bardzo mu odpowiadał ten stan rzeczy. Uważał, że w wieku trzydziestu sześciu lat ma jeszcze przed sobą mnóstwo czasu i powinien nacieszyć się życiem, nim zwiąże się z jedną niewiastą i zajmie płodzeniem następcy.

– Frank? – Z otwartych drzwi dobiegł go czyjś głos.

W wejściu stał Erie Graham, reporter „Timesa”, który właśnie wrócił z portu, gdzie starał się zasięgnąć języka. Frank wiedział, że ten wysoki młodzieniec w meloniku wprost się pali, żeby wyrobić sobie w gazecie nazwisko. Był jednym z najbardziej cenionych przez Franka dziennikarzy. To on wygrzebał dla „Timesa” historię o pojmaniu Dana Sullivana, notorycznego przestępcy, i wyprzedził z jej opublikowaniem kolegów z „Epoki” i „Argusa”.

– Wejdz, Ericu. Mam nadzieję, że znalazłeś coś interesującego do jutrzejszego wydania. – Frank osobiście redagował wszystkie artykuły przed ich oddaniem do druku.

– Obawiam się, że nie wydarzyło się dzisiaj nic godnego uwagi. – Graham zdjął kapelusz, poprawił starannie wybrylantynowane włosy i sięgnął do notesu. – Pozwól, że sprawdzę. Do portu przybił amerykański kliper. Może by o tym napisać?

– Klipery już dawno przestały być czymś niezwykłym.

– Chyba masz rację. W pobliżu wybrzeża widziano wieloryba zabójcę.

– Jak daleko od brzegu?

– Nie zdołałem zdobyć tej informacji.

– Widziano go z plaży?

– Nie.

Frank pokręcił głową.

– A co powiesz na to? – rzekł Erie, przerzucając notatki.

– Jutro do portu przybija s/s „Orion”. Jest to już piąty statek, który po przepłynięciu Kanału Sueskiego zawija do Melbourne.

– Przybycie pierwszego było sensacją, piątego już nie jest – zauważył Frank. Do gabinetu wszedł jeden z pracowników gazety i wręczył mu stos materiałów do korekty. Frank przystąpił do ich przeglądania, podczas gdy Graham nadal zdawał relację ze swoich dziennikarskich poszukiwań.

– Mam coś zabawnego – stwierdził i zaczął czytać:

– „Grupa stałych bywalców pubu odprowadzała do portu barmankę, która odpływała do Anglii. Jak się okazało, zebrali niezłą kolekcję... „

Frank nie słuchał. Historia na pierwszej stronie dotyczyła jedyne ocalałego członka zaginionej wyprawy z 1871 roku, którego policja znalazła w okolicach Dopływu Bednarza. Człowiek ten popełnił samobójstwo, zanim policjanci zdołali przetransportować go do Melbourne.

– A niech to wszyscy diabli! – mruknął Frank. Zamierzał poświęcić tej historii specjalny

dodatek. Miała to być bezpośrednia relacja członka ekspedycji od wyjazdu z Melbourne aż do momentu, kiedy przedstawiciele władz znaleźli go wśród Aborygenów. A teraz w gazecie mogła być zamieszczona o tym jedynie krótka wzmianka.

Erie dotarł do końca swojego raportu i z przygnębieniem stwierdził, że nie ma w nim niczego, co warto byłoby wydrukowania na pierwszej stronie jutrzejszego wydania „Timesa”. Gdyby przynajmniej zawinięcie do portu amerykańskiego klipera dostarczyło jakiegoś ciekawego tematu, tak jak w przypadku statku, który przyplłynął w ubiegłym miesiącu wraz z zespołem badaczy wybierających się na biegun południowy. Przybyły dzisiaj kliper, jeśli Graham dobrze się orientował, przywiózł ładunek herbatników, uznawanych przez Amerykanów za znakomite. Erie osobiście wolałby historię o bywalcach pubu, którzy odprowadzali do portu ulubioną barmankę. Nie była to może istotna wiadomość, ale stanowiła dobry temat na artykuł. Tym bardziej że kobieta była artystką. Stała przy statku, rysowała portrety i rozdawała je na pożegnanie jako pamiątki. Ericowi udało się nawet zdobyć jeden z nich. Poprosił barmankę o podobiznę premiera kolonii Wiktoria. Wykonana przez nią karykatura łudzaco przypominała oryginał i była komiczna.

– Co więc robimy, Frank? – spytał Graham.

Ale szef nadal myślał o ocalałym członku wyprawy z 1871 roku. Doszedł do wniosku, że historia mimo wszystko nie jest jeszcze stracona. Można ją przecież przedstawić jako relację policjanta z rozmowy z odnalezionym. Frank uznał, że opowieść stanie się nawet ciekawsza dzięki pewnej dozie literackiej fikcji.

– Wykorzystasz któryś z moich materiałów? – spytał Erie.

– Powinienem zamieścić w jutrzejszym wydaniu jakieś informacje dotyczące polityki. W przeciwnym razie ludzie zaczną sądzić, że w parlamencie wszyscy pomarli.

– Przykro mi, ale nie mam żadnych tego typu wiadomości.

– W porządku. Napisz o wielorybie. Nadmien jednak, że podplłynął niebezpiecznie blisko rybackiej łodzi. I zaznacz, że to był szary wieloryb.

– Ależ szare wieloryby nie pływają w wodach południowych!

– Nic nie szkodzi. Są za to większe.

Po wyjściu Grahama Frank dokończył przeglądanie materiałów, jedne prędko redagując, inne odrzucając, a do innych jeszcze dołączając komentarze. Następnie przewertował własną korespondencję – listy od czytelników, biurowe zapiski oraz zaproszenia od różnych organizacji. Natknął się też na notatkę, która została przysłana z działu badań: „Po przestudiowaniu najnowszych map obejmujących Queensland, Nową Południową Walię, Wiktorię, Australię Południową i Zachodnią stwierdzamy, że nie ma na nich miejscowości o nazwie Dopływ Drozda ani Durrebar”.

Frank zmarszczył brwi. To dziwne. Hugh powiedział, że panna Tallhill była pewna dokonanej przez siebie analizy. Najwidoczniej musiała się pomylić, a Frank miał teraz przed sobą nieprzyjemne zadanie powiadomienia o tym Joanny. Łudził się, że gdy żona Hugh'a pojedzie do Karra Karra, wyśle razem z nią reportera, który będzie zdawał czytelnikom „Timesa” relację z podróży.

Spojrzął na zegarek. Była pora lunchu. Z radością pomyślał o piwie z pasztetem i o

towarzystwie swoich kolegów dziennikarzy w knajpce „Pod Czterokonnym Zaprzęgiem”. Gdy sięgał po płaszcz, w drzwiach ponownie zjawił się Eric Graham.

– Wiem, że nie drukujemy w „Timesie” ilustracji, Frank. Powiedziałeś jednak, że potrzebujesz czegoś z dziedziny polityki. Co sądzisz o zamieszczeniu tego? – spytał pełen zapału, wyciągając rysunek, który zdobył w porcie.

Frank spojrział na karykaturę.

– Mój Boże, ależ to premier we własnej osobie! Cudowne! Nie znając człowieka, można wszystko o nim powiedzieć! Gdzie to zdobyłeś?

– Towarzystwo, składające się z bywalców jednego pubu, odprowadzało do portu barmankę. Trzymałem się blisko nich w nadziei, że zdobędę temat do artykułu o interesującym człowieku: o barmance portretującej swoich klientów.

Frank wytrzeszczył na Erica oczy.

– Co takiego?! Gdzie ją spotkałeś?

– W porcie. Wybierała się w powrotną podróż do Anglii.

– Dobry Boże, człowieku! Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś! – Frank chwycił płaszcz i rzucił się w stronę drzwi. – Którym statkiem miała odpłynąć?

– Wydaje mi się, że „Księżniczką Julianną”. Ale żaglowiec chyba już odbił od brzegu...

Frank wyskoczył z taksówki, zanim zdążyła się zatrzymać, wręczył banknot kierowcy, który próbował protestować, że nie ma drobnych, by mu wydać resztę z tak dużej kwoty, i zniknął w tłumie.

Przeszukał nadbrzeże, chodząc od przystani do przystani, odczytując nazwy zakotwiczonych statków i przepychając się przez ludzką ciżbę. W końcu zagadnął jednego z celników:

– Gdzie jest „Księżniczka Julianna”?

– Dopiero co odpłynęła.

Frank dostrzegł znikające za linią horyzontu białe żagle.

– Wobec tego wynajmę łódź i ją dogonię. – Miał zamiar ruszyć w stronę małej przystani, gdzie wyblakły szyld reklamował łodzie do wynajęcia, ale celnik złapał go za rękaw.

– Nie ma żadnych wolnych łodzi. Ktoś widział niedaleko od brzegu wieloryba i wszyscy popłynęli, żeby go zobaczyć.

Frank zaklął pod nosem, ogarniając wzrokiem panujący w porcie chaos. Dopiero co przybyły dwa duże statki, ta sama co zwykle kapela grała „Boże, chroń królową”, ten sam tłum witał pasażerów schodzących na ląd, a drobni opryszkowie jak zwykle wypuścili się na łów, szukając ofiar do grabienia.

W kącie przystani, z dala od tłumy, siedziała na wielkim kufrze elegancko ubrana rudowłosa kobieta. Patrzyła w morze. Wiatr powiewał piórami jej kapelusza. Frank podszedł powoli.

– Dzień dobry, Ivy – powiedział. Z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Chyba straciłam rozum – wyznała. – Po tylu starannie obmyślonych planach, długim oszczędzaniu na bilet i pożegnalnym przyjęciu, jakie wydali dla mnie przyjaciele, nie mogłam się zmusić do wejścia po trapie na pokład.

– Dlaczego?

– Reporter z twojej gazety poprosił mnie o rysunek. Wiedziałaś, że go zobaczysz.

– Mój Boże! Sądziłem, że zmarłaś na tyfus. Dlaczego odeszłaś? Dokąd wyjechałaś?

– Podczas epidemii dowiedziałam się, że twoja siostra mobilizuje kobiety do zbierania żywności i gromadzenia zapasów dla dotkniętych chorobą rodzin. Pojechałam do Lismore i zaoferowałam swoją pomoc. Ale mnie tam nie chciano. Choć brakowało do pracy ochotniczek, uznano, że jestem osobą niegodną niesienia pomocy. I wtedy w pełni zdałam sobie sprawę z naszego położenia. Msze w kościele i niedzielne pikniki nie zmieniają faktu, że jestem zwykłą barmanką.

– Zamieszczałam ogłoszenia w „Timesie”, że cię szukam.

– Wiem, widziałam je.

– To dlaczego nie skontaktowałaś się ze mną? Dlaczego się ukrywałaś?

– Bo moje uczucia do ciebie są bardzo skomplikowane! A także muszę być ostrożna.

– Z jakiego powodu?

Był tak blisko, że widziała wyraźnie każdy szczegół jego twarzy, piwne oczy o łagodnym spojrzeniu, okolone drobnymi zmarszczkami. Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy spotkali się w świetle dnia. Teraz, kiedy znowu był przy niej – na jawie, a nie w myślach – gdy siedzieli ramię przy ramieniu w blasku słońca, Ivy raz jeszcze przemyślała swoje uczucia do Franka. I zrozumiała, że wcale nie są zagmatwane.

– Kiedy niezamężna kobieta walczy o swą godność, musi wystrzegać się zażyłych stosunków z mężczyznami. Mężczyzna może sobie na wiele pozwolić, kobieta nie. Spytaj, kogo chcesz, a każdy ci powie, że zasługuję na szacunek.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oto była tu i siedziała tuż obok. Dostrzegał czarne plamki w jej zielonych oczach, połyskujące kolczyki i kosmyki rudych włosów poruszające się pod smagnięciami oceanicznej bryzy. Kiedy się uśmiechała, w kącikach jej oczu pojawiały się drobne zmarszczki. Przypomnił sobie słowa Finnegana, że Ivy jest blisko czterdziestki.

– Powiedz mi... – rzekł cicho – dlaczego nie odpłynęłaś na pokładzie „Julianny”? I dokąd się wybierałaś?

– Nie wiem dokładnie. Chciałam się znaleźć... daleko stąd.

– Z dała ode mnie?

– Być może.

– ^ A jednak zostałaś.

– Tak, to prawda.

– Wróć do mnie, Ivy. Daj mi szansę.

– Nic o mnie nie wiesz. Moja matka...

– A mój ojciec był dziesiątym synem robotnika bez grosza z Manchesteru. Nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Wiem tylko, że czuję się dobrze, gdy myślę o tobie i gdy cię widzę. Pozwól mi być przy tobie. Proszę cię, Ivy. – Wyciągnął do niej rękę. – Jesteś mi przecież wciąż winna piknik.

## ROZDZIAŁ 17

Sara wiedziała, który pokój zajmuje Philip McNeal. Czekła w ukryciu w pobliżu tylnego wejścia do pensjonatu i nasłuchiwała dobiegających z kuchni odgłosów, jakie towarzyszyły przygotowaniom do śniadania. Podniosła wzrok na jego okno. Poczowała narastający niepokój. Miała nadzieję, że zdążyła przybyć na czas. Modliła się o to w duchu.

Służące w końcu się oddaliły, wynosząc tace z herbatą i z tostami, a Sara ukradkiem weszła, minęła hol i nie zauważona wbiegła boso na górę.

Drzwi do pokoju Philipa były otwarte. Dostrzegła pustą szafę, stół zawalony planami i przyborami kreślarskimi oraz łóżko z wymiętą pościelą.

Philip stał przy komodzie, pakował ubrania do walizki. Podniósł oczy, a jego brwi wygięły się ze zdumienia w łuk.

– Sara! Co za miła niespodzianka! – powiedział, zbliżając się do dziewczyny. Rozejrzał się po korytarzu. – Jesteś sama?

Nie odpowiadała.

– W jaki sposób tutaj dotarłaś? Przyszłaś pieszo z Merindy?

– Tak.

– Dlaczego? Milczała przez chwilę.

– Chciałam się z tobą pożegnać – wyznała w końcu.

– Przeszłaś bez butów tyle kilometrów, żeby powiedzieć mi do widzenia?

Sara utkwiała wzrok w swoich pokrytych kurzem bosych stopach.

– Znamy się już pół roku, ale przez cały ten czas nieczęsto się odzywałaś. Domyślam się, że zostałaś powiadomiona o moim wyjeździe, prawda? Pana Westbrooka nie stać obecnie na wybudowanie domu, więc uznałem, że najwyższa pora wracać do domu. Tym bardziej że otrzymałem list od brata z wiadomością o chorobie matki. – Obrzucił ją spojrzeniem. – Będzie mi ciebie brakowało.

Przez moment nie spuszczał oczu z tej wysokiej, ciemnoskórej Aborygenki stojącej w drzwiach. Spostrzegł, że dzisiaj związała włosy wstążką. Nigdy przedtem tego nie robiła. Pomyślał o jej codziennej obecności nad rzeką, gdy rano przychodził na budowę ze swoją ekipą. Aż do zachodu słońca, gdy pakował narzędzia i odjeżdżał, kręciła się opodal, prawie niewidoczna w cieniu drzew gumowych, i przyglądała się jego pracy.

– Przykro mi – rzekła. Spojrzał na nią zdumiony.

– Z powodu choroby twojej matki.

– Miło, że to mówisz – zauważył, zwijając koszulę i upychając ją do walizki. – Nigdy nie wspominałaś o swoich rodzicach...

Niepewnie przestępowała z nogi na nogę, jakby bała się przekroczyć próg jego pokoju.

– Znasz swoich rodziców? – spytał.

– Mój ojciec był biały – odparła cicho. – Miał własną farmę. Ludzie mówią, że potrzebował kobiety i wykradł moją matkę z jej rodzinnej osady. Przez jakiś czas trzymał ją u siebie, a potem pozwolił jej odejść.

Philip stał nieruchomo z na wpół złożoną koszulą w dłoniach.

– Moja matka wróciła do swoich – mówiła dalej Sara. – Klan jej nie przyjął. Została wyprowadzona poza obręb plemiennego obozowiska. Udała się więc do chrześcijańskiej misji dla Aborygenów. I tam się urodziłam.

– Jak dalej potoczyły się jej losy?

– Wyruszyła na wędrowkę po buszu, z której nigdy nie powróciła.

Philip rzucił koszulę na łóżko i zaproponował:

– Chodź, odwiozę cię do domu.

Zeszli do stajni. Jego klacz była już gotowa do drogi. Wspiął się na siodło i wyciągnął rękę do Sary. Dziewczyna się zawahała.

– Nigdy nie jeździłaś konno, prawda? – spytał.

Pokręciła głową.

– Obiecuję, że nic złego ci się nie stanie – rzekł z uśmiechem. – Oprzyj stopę o moją. – Wciągnął ją na siodło. – A teraz obejmij mnie w pasie.

Trzymała się go mocno, gdy przemierzali skąpane w słońcu zielone pastwiska i mijali stada owiec. Zamknęła oczy i oparła policzek o jego plecy. Czuła smągnięcia wichru we włosach, a pod dłońmi uderzenia serca Philipa. Wkrótce pędzili galopem. Odrzuciła do tyłu głowę i jeszcze mocniej objęła siedzącego przed sobą jeźdźca. Miała ochotę minąć farmę i nie oglądając się na nic, jechać z nim dalej w stronę górskiej grani na linii horyzontu.

Podróż nieubłaganie dobiegła jednak końca. Zajechali na podwórze w Merindzie. Philip pierwszy zeskoczył z siodła i pomógł zsiąść Sarze.

– Pragnę ci to ofiarować – rzekł, odpinając srebrno-turkusową bransoletę i wręczając ją dziewczynie. – Pamiętaj o mnie.

– Kiedy wrócisz, Philipie McNeal?

Podniósł na nią wzrok, zaskoczony. Nigdy przedtem nie zwracała się tak do niego.

– Może za sześć miesięcy. Najdalej za rok. Będziesz już dorosła i obstępiona tłumem młodych mężczyzn zabiegających o twoje względy. Z pewnością nie znajdziesz wtedy czasu dla takiego starego dziada jak ja.

Przyciągnął ją do siebie i objął.

– Zostań z Bogiem, Saro – powiedział i pocałował ją w czoło.

Obserwując jego odjazd, pomyślała o dniu, w którym po raz pierwszy spotkała go nad rzeką, kiedy to postanowił wybudować dom z dala od świętych ruin. Przypomniała sobie jego opowieści o ludziach za oceanem, którzy, podobnie jak Aborygeni, żyli w klanie i oddawali cześć przodkom będącym ich totemem. Wspominała sposób, w jaki śmiał się podczas rozmów z robotnikami, kiedy kopali rowy lub wylewali beton, oraz jak siadał na trawie, posilał się razem z nimi i relacjonował swoje przygody z podróży po Ameryce. Pomyślała o jego bezgranicznym oddaniu pracy, gdy studiował plany, naradzał się z Hughiem Westbrookiem, badał każdy centymetr kwadratowy gruntu i zlecał robotnikom ponowne zrobienie czegoś, co nie zostało wykonane prawidłowo. Nigdy ich nie krytykował, lecz zawsze służył radą. Często spoglądał w stronę Sary i czasami się do niej uśmiechał, gdy przyglądała mu się zza drzew.

Wyjechał. Piętnastoletnia Sara King nie miała wątpliwości, co teraz musi zrobić.

Joannie nie dawało spokoju dziwne i nie znane dotychczas uczucie. Prześladowało ją przez cały dzień i nie pozwalało skupić się na pracy w ogrodzie nad rzeką, gdzie sadiła rzadką odmianę imbiru. Zajmowała się tym od kilku godzin, dzieląc młode kłącza i zagłębiając je w wilgotną glebę. Roślina ta, zasadzona na wiosnę, dawała plon jesienią, w porze obumierania liści. Sadzonki musiały być bardzo młode, wyłącznie w jasnozielonym kolorze, i powinny mieć, podobnie jak ziemniaki, co najmniej po trzy oczka. Zadanie należytego ich przygotowania wymagało więc dużej staranności.

A tymczasem Joanna nie mogła się skoncentrować. W jej myślach i uczuciach panował chaos. Była szczęśliwa, a jednocześnie coś zakłócało jej spokój.

Chmura przesłoniła słońce. Joanna przerwała pracę i spojrzała w niebo.

Kończył się gorący, wczesnowiosenny, wrześnieowy dzień. Wokół brzęczały pszczoły, bzykały muchy i szczebiotały ptaki. Joanna była w ósmym miesiącu ciąży. Czuła się słaba i ospała. Znowu dał znać o sobie niepokój, który nie odstępował jej od kilku dni, podążał za nią niczym cień.

Odłożyła łopatę i wreszcie się wyprostowała.

Jej obawy pewnie były spowodowane tym, że nazajutrz przypadała druga rocznica jej przybycia do Australii. Płynąc na pokładzie „Estelli” spodziewała się, że odnalezienie Karra Karra i zebranie informacji o spuściznie po dziadkach jest kwestią kilku dni. Tymczasem po dwudziestu czterech miesiącach prowadzonych na szeroką skalę poszukiwań wiedziała tyle samo na temat aktu własności Johna Makepeace’a co w chwili wyjazdu z Indii. Obie nazwy: Dopytyw Drozda i Durrebar okazały się złudne. Hugh i Frank tłumaczyli to tym, że w ciągu czterdziestu trzech lat, które minęły od czasu pobytu dziadków w Australii, nazwy miejscowości musiały ulec zmianie. Patrick Lathrop nie zdołał jak dotychczas rozszyfrować notatek szkolnego kolegi, a z firmy Buchanan i Spółka, armatora w Londynie, nadeszła informacja, że statki „Pegaz” i „Minotaur” zostały zbudowane w 1836 roku, a więc sześć lat po opuszczeniu Anglii przez małżeństwo Makepeace’ów.

Joanna wiedziała jednak, że te wszystkie nowiny nie są jedynym powodem jej niepokoju. Istniała inna, głębsza przyczyna, która miała związek z dzieckiem i z trucizną-pieśnią.

Poczuła w łonie poruszenie dziecka. Zastanawiała się, czy udziela mu się jej wzburzenie. Od dnia, w którym stwierdziła, że jest w ciąży, jej radość zaćmiewały złe przeczucia i lęki. W miarę przybliżania się terminu rozwiązania rósł jej niepokój. Czy moc trucizny-pieśni, jaka ciążyła nad jej rodziną, wciąż działała pomimo upływu lat? Joanna pomyślała o tajemniczych dokumentach dziadka i przeszedł ją zimny dreszcz. Czy były trucizną-pieśnią, która teraz miała zostać przekazana jej dziecku?

Oparła się plecami o olbrzymi głaz. Kamień oddawał ciepło dnia, co podziałało na nią kojąco. Sięgnęła do koszyka po dziennik matki. Przerzuciła kilka kartek i przeczytała: „23 lutego 1848 roku. Zastanowiło mnie pochodzenie słowa *dandelion*. Kochany Petronius wyjaśnił mi, że nazwa ta wywodzi się z języka francuskiego: *dent de lion*, co znaczy «zab łwa», z powodu poszarpanych brzegów liści tej rośliny”. 14 maja 1850 roku lady Emily napisała: „Stary Jaswaran jest prawdziwą skarbnicą wiedzy medycznej. Dzisiaj pokazał mi, jak zrobić krople do oczu z korzenia lukrecji. Są znakomitym lekiem na zapalenie spojówek”.

Niedawno Joanna natknęła się na zapisek pochodzący z 30 stycznia 1871 roku, a więc zrobiony na trzy miesiące przed śmiercią matki: „Modlę się, by trucizna nie przeszła na Joannę”.

Nagle zerwał się wiatr, niósł od pastwisk beczenie owiec.

Joanna pomyślała o Hughu, który przebywał w zagrodzie zbudowanej z myślą o kotnych owcach. Choć burza zniszczyła niemal cały żywy inwentarz Merindy, Hughowi zostało do doglądania blisko trzysta samic nowej rasy. Wkrótce miały mieć młode i Hugh czuwał nad nimi. Na jagnięta zaraz po urodzeniu czyhało wiele niebezpieczeństw – począwszy od orłów i jastrzębi, porywających młode w powietrze, po kruki, które zniżały lot i wydziobywały nowo narodzonym zwierzętom ślepią. Joanna wiedziała, że te jagnięta są szczególnie ważne dla Hugh'a. Ich narodziny były pierwszym krokiem do realizacji jego marzenia o poprawie sytuacji materialnej Merindy.

„A jeśli potomstwo rasy zeus okaże się gorsze?” – zastanawiała się, ogarniając wzrokiem zielone pastwiska. Od kilku miesięcy hodowcy zaglądali na farmę Hugh'a, żeby obejrzyć nowe stado i snuć domysły o szansach na przyszłość. „Popełniłeś błąd, Hugh – oświadczył kiedyś Ian Hamilton, stojąc przy płocie i dłubiąc wykałaczką w zębach. – Nigdy nie otrzymasz najprzedniejszej wełny z potomstwa tej rasy. A każdy hurtownik jest zainteresowany wełną najwyższego gatunku. „ John Reed potrząsnął głową. „Na Nowej Zelandii próbowali tego samego. Skrzyżowali lincolny z merynosami i uzyskali fatalne rezultaty. Jagnięta miały słabo rozwinięte łopatki. Na twoim miejscu dałbym sobie spokój, Westbrook. To strata pieniędzy. „

Jeden Frank Downs zachęcał Hugh'a do przeprowadzenia eksperymentu. Posiadał dwadzieścia tysięcy hektarów w Nowej Południowej Walii, gdzie dotychczas hodowla nie była możliwa. Obiecał, że kupi pierwsze tryki pochodzące z Merindy, jeśli krzyżówka okaże się udana. A teraz nadchodził moment, kiedy staną się znane wyniki doświadczeń hodowlanych.

Joanna modliła się, by wysiłki męża uwieńczone zostały sukcesem. Utkwiła wzrok w betonowych wylewkach wykonanych przez pana McNeala. Zamiast ośmiu potrzebnych pod budowę domu były tylko cztery. Pomyślała o ofercie pożyczki Franka oraz o stanowczej odmowie Hugh'a przyjęcia od kogokolwiek pieniędzy. Sama zaproponowała mężowi sprzedaż opalu, lecz nawet nie chciał o tym słyszeć. Na nieszczęście nastąpiła pewna zwłoka w przekazaniu jej spadku wskutek zagmatwanej procedury prawnej. Pan Drexler zawiadomił Joannę w ostatnim liście, że niespodziewanie zgłosił roszczenia do części kapitału jeden z krewnych ojca. I choć prawnik zapewniał, że sprawa zostanie rozstrzygnięta na jej korzyść, to moment nadejścia gotówki został odroczone. A straty na farmie z powodu burzy były ogromne. Hugh tkwił po uszy w długach.

Joanna zastanawiała się, czy krążące pogłoski są prawdziwe, czy rzeczywiście Colin MacGregor był odpowiedzialny za tę tragedię. Nie pojmowała, jakie pobudki mogły go pchnąć do tak potwornego czynu. Nie miał powodu, żeby nienawidzić Hugh'a. Poll Gramercy, akuszerka, wspomniła o zemście, ale za co miałby się mścić? Joanna przypuszczała, iż niektórzy Aborygeni wciąż uważają, że to ona ściga na farmę zło. Dobrze chociaż, że



Ezekiel już nie buntował przeciwko niej ludzi.

Marzyła o nowym domu. Rozumiała jednak dumę męża, która skłoniła go do podjęcia decyzji o pozostaniu w starej chacie, dopóki nie będzie ich stać na kontynuację budowy. Chata została powiększona i wprowadzono w niej szereg udogodnień. Joanna wiedziała, że i tak kiedyś będą mieli duży piękny dom nad rzeką.

Wiatr przywiał do niej woń kwiatów imbiru. Ponownie próbowała zrozumieć niepokój, który zdawał się za nią podążać. Nie zwierzała się Hughowi ze swoich obaw. Tak bardzo się cieszył na rychłe narodziny dziecka, że nie chciała niczym zakłócać jego radości. W dalszym ciągu pisywał wiersze. Frank Downs postanowił wydać najnowszą balladę pod jego prawdziwym nazwiskiem. Gdy ludzie odkryli, że wiersze Starego Poganiacza, które ukazywały się od czasu do czasu w „Timesie”, są pióra Westbrooka, Hugh znalazł się w centrum zainteresowania mieszkańców Okręgu Zachodniego.

Joanna wiedziała, dlaczego wszyscy kochają jego poezję, a w szczególności ostatnią balladę, zatytułowaną „Kraina Snów”, którą przyjaciele zgodnie uznali za najlepszą. „Na krańcach dzikiego kraju, gdzie promienieją blaskiem duchy czarnych ludzi”... Była pięknym poetyckim opisem ojczyzny Hugh’a – znaleźli się w niej postrzygacze i hodowcy owiec, poganiacze bydła i przestępcy, emu i jastrzębie, a także Tęczowy Wąż „wijący się wokół postaci żony... którego cielsko jest niebieskie od łba po ogon i prążkowane w żółtoczerwone paski”. Hugh chciał w wersetach ocalić od zapomnienia dawną Australię.

Pod wpływem palącego słońca Joannę zaczęła ogarniać senność. Na gałęzi ponad jej głową usiadła jasnożółta papuga kakadu. Joanna spojrzała na wysokie łodygi imbiru, na ich ostro zakończone liście oraz różowe kwiaty drgające w mgiełce wodospadu. Wiatr przetrząsnął kilka kartek dziennika. Joanna skierowała wzrok na ozdobne pismo matki: „Córka urodziła się o świcie. Zamierzamy nadać jej imię Joanna. Przestałam już być dziewczyną. Stałam się kobietą”.

Dziennik wysunął się Joannie z rąk. „Może ten niepokój budzą dokonujące się we mnie zmiany – pomyślała. – Czy to samo odczuwa każda dziewczyna, która oczekuje pierwszego dziecka? Czy ten moment jest przejściem z młodości w wiek dojrzały?” Joanna sądziła, że stała się kobietą, gdy po raz pierwszy kochała się z Hughiem. Albo że się nią stanie, gdy skończy dwudziesty pierwszy rok życia. Teraz zrozumiała jednak, że prawdziwym potwierdzeniem jej kobiecości będzie wydanie na świat dziecka.

Zamknęła oczy, próbując odsunąć od siebie obawy. Położyła ręce na brzuchu i wyczuła nerwowe ruchy maleństwa. Pragnęła być szczęśliwa, chciała doświadczać jedynie czystej radości i uniesienia, wiążącego się z doniosłym momentem przejścia w okres macierzyństwa i pełni kobiecości. „Może tym przemianom zawsze towarzyszy lęk? A chwila pozbycia się dawnego ja i stawania się kimś nowym jest dla każdej dziewczyny ekscytująca, ale i zatrważająca zarazem” – myślała Joanna, poddając się senności. Żałowała, że nie ma przy niej matki, która by ją przeprowadziła przez tę graniczącą z cudem metamorfozę.

Zastanawiała się, co powiedziała kiedyś Sara na temat inicjacji wśród Aborygenów – o matkach, córkach i szlakach-pieśniach, lecz nim zdołała sobie przypomnieć, zmorzył ją sen.

Sara szła wzdłuż rzeki. Stąpała ostrożnie, żeby nie zakłócić spokoju Miejsc Snu, które

mijała. Za każdym razem gdy rozpoznawała któreś z nich – Miejsce Snu Diamentowej Gołębicy czy Złotej Papugi Kakadu, śpiewała cicho, okazując należny szacunek.

Niosła tobolek, a w nim glinę, ochrę i pióra kakadu, które zebrała z myślą o rytuale, jaki chciała odprawić po urodzeniu się dziecka Joanny, aby zapewnić mu zdrowie, otoczyć dobrymi czarami i związać je z ziemią, na której przyszło na świat. Teraz jednak zamierzała wykorzystać te przedmioty w innym celu. Miała przy sobie również tłuszcz emu, który ukradła z kuchni, zrobioną własnoręcznie opaskę z włosów oraz buty, które dawno temu dostała od Joanny i których dotychczas nie nosiła.

Szła miarowym tempem, z twarzą skierowaną w stronę słońca. Stawiała duże kroki i pilnowała się, żeby mieć wzrok utkwiony przed sobą. Zostawiła daleko w tyle zabudowania, stada na pastwiskach i ludzi. Szukała odosobnienia. W trakcie marszu śpiewała szlak-pieśń Pierwszej Foki – szlak-pieśń swojej matki i babki.

Dotarła do miejsca nad rzeką osłoniętego kotarą z drzew i głązów. Przez chwilę wsłuchiwała się w wiatr. Powoli okręciła się wokół własnej osi i nie dostrzegła żadnych farm, płotów ani jeźdźców. Wiedziała, że biali ludzie boją się magii Aborygenów. Wielebny Simms zamknął ją kiedyś na trzy dni bez jedzenia i picia za uprawianie „pogańskich praktyk”. A ona starała się tylko uciszyć deszcz, który groził zniszczeniem misyjnych pól.

Powoli rozebrała się i starannie złożyła ubranie. Rozwiązała tobolek, wyjęła wszystkie przedmioty i odśpiewała pieśń każdego z nich, układając je na brzegu: ochrę, tłuszcz, pióra, przepaskę z włosów i buty. A potem obmyła się w rzece. Nazbierała kamieni oraz suchej trawy i rozpałała ognisko. Rozniecając płomień, śpiewała, prosząc Wszechobecną Matkę, aby przekazała ogniewi swoją moc. Przy ogniu sporządziła mieszanekę z gliny i ochry.

Gdy farba była gotowa, wysmarowała się tłuszczem. Natarła nim ciało, aż jej czerwonobrazowa skóra zabłysła w promieniach zachodzącego słońca. Natłuściła włosy i posypała je popiołem z ogniska. Wreszcie przystąpiła do malowania swojego nagiego ciała.

Najpierw zaznaczyła kontury czerwoną i czarną farbą, zwracając się do Snu Krzewu Jagodowego, gdzie wzięli swój początek czarnoskórzy, i do Snu Przybrzeżnej Gliny, skąd wywodziła się rasa czerwona, aby przodkowie tchnęli moc w tworzone przez nią wzory. Pastykiem nałożyła białą farbę, rysując paski ciągnące się wzdłuż rąk aż do ramion, kreśląc koła wokół piersi i stawiając kropki na brzuchu. Biodra pomalowała w gwiazdy, słońca, wzburzone oceaniczne fale oraz w symbole kamienistej plaży, leżącej daleko na południu i będącej pierwotnym domem foki. Ani na moment nie przerywała śpiewu, by tchnąć moc w malowidła i umowne znaki. Śpiewała szlak-pieśń swojej matki.

Miała świadomość, że nie zna wszystkich pieśni, gdyż rytuał jej inicjacji został zakłócony. Była jednak pewna, że posiadała wystarczającą wiedzę.

Gdy skończyła malować swe ciało, włożyła opaskę na włosy i usiadła z twarzą skierowaną w stronę zachodzącego słońca.

W dymie z ogniska wyczuwała woń zwęglonej trawy z Miejsca Snu Kangura, spalonego tłuszczu i piór – magiczny dym opanowany przez duchy potężnego Kangura, Emu i Papugi Kakadu. Zamknęła oczy i wciąż śpiewała, kołysząc się do taktu. Czuła, jak promienie słońca przesywają jej ciało. Pod powiekami poruszały się kolorowe kształty. Zerwała się na nogi i

rozpoczęła taniec odtwarzający daleką wędrówkę foki z Antarktydy do ciepłych mórz.

Była świadoma zmian dokonujących się w jej ciele. Miała wrażenie, że wokół niej porusza się potężny ocean, wyczuwała słony smak wody i widziała szemrzący strumień, który połyskiwał zielono pomiędzy wirującymi kępami wodorostów.

W jej ciało wstępowała siła, a żyłami przepływała magiczna moc. Odśpiewała i odtńczyła Sen swojego klanu, kontynuując w ten sposób szlak-pieśń, tak jak to robiły przed nią jej matka i babka.

Nie powinna w pojedynkę odprawiać obrządku inicjacji. Plemienne prawo przewidywało obecność matki, która przeprowadziłaby córkę przez święte rytuały i przekazała jej szlak-pieśń. Lecz Sara była zdana tylko na siebie.

Joanna śniła.

Obserwowała wyjście z grotty; była bardzo mała i ktoś ją trzymał na rękach.

Kobiety pojawiły się w otworze jaskini i mała Joanna na ich widok poczuła się szczęśliwa. A potem dostrzegła piękną białą kobietę, która szła razem z innymi i tak jak one śpiewała. Joanna pomyślała, że to pewnie jej matka. A potem nasunęła się jej refleksja: „Czyżbym śniła sen mojej matki?”

We śnie dziewczynka zwróciła się do kobiety, która trzymała ją w ramionach: „Czy mogę wejść do grotty?”

Otrzymała odpowiedź odmowną: „Nie, tam wolno wchodzić tylko dziewczętom, które stają się kobietami. I muszą być w towarzystwie swoich matek”.

„A czy tatusiowie mogą tam przebywać?” – dociekało dziecko.

„Tatusiowie nie mają tam wstępu. W tej jaskini ściągliby na siebie złe czary. „

Nagle Joanna zobaczyła mężczyznę, który opuścił za kobietami grotę i przemykał się pomiędzy skałami. „Tam jest mój tatuś!” – krzyknęła i wyciągnęła do niego ręce.

W tym momencie sen się zmienił. Niebo pociemniało. Ludzie rzucili się w pościg za człowiekiem, który wyłonił się z wnętrza góry. Niespodziewanie pojawiły się psy. Joanna biegła w stronę mężczyzny, którego uważała za ojca, choć był do niego niepodobny. Psy coraz bardziej się zbliżały. Mężczyzna sprawiał wrażenie, że chce ją do siebie przygarnąć, a ona pragnęła do niego dotrzeć, lecz nagle zaczął się zmieniać. Na jej oczach upadł na ziemię, a jego ciało się wydłużyło na kształt olbrzymiego kolorowego węża.

Usiłowała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała ochotę uciec, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Wąż pełznął powoli w jej stronę. Lady Emily stała obok. Joanna zamarła z przerażenia. Olbrzymi wąż coraz bardziej się do nich przybliżał i nie spuszczał z nich swojego złotego oka. Był coraz bliżej.

Nagle psy rzuciły się w stronę lady Emily, ale zanim zdążyły ją obskoczyć, została połknięta przez węża.

Joanna widziała, jak matka znika w jego paszczy. Krzyknęła. Nagle wąż był przy niej, owinał się wokół jej talii i zacieśniał sploty. Poczula nieznośny ból.

Obudziła się przestraszona. Zapadał zmrok. Leżała w pogrążonym w ciemnościach lesie, długo nie mogła się otrząsnąć z przerażającego snu. Jeszcze nie zdawała sobie sprawy z ostrych bólów brzucha. Myślała o niezwykłości niedawnego majaku. Jak to możliwe, że śniła

sen swojej matki? Próbowwała go przeanalizować i pojąć jego znaczenie. Przypomniała sobie o lęku, jaki przez całe życie budziły w lady Emily psy. Zastanawiała się, czy sen mógł być wspomnieniem wydarzenia, którego matka była kiedyś świadkiem. Czy trucizna-pieśń miała coś wspólnego z psami? I była formą klątwy rzuconej na małżeństwo Makepeace oraz przyszło pokolenia? Czy była przekleństwem, które miało związek z psami?

Nagle nasunęło się jej inne wspomnienie – sprzed dwóch lat, gdy na drodze do Dopływu Emu stara Aborygenka przepowiedziała Joannie jej los: „Widzę cień psa, który podąża za panią”... Joanna sądziła wtedy, że kobieta nawiązuje do minionych wydarzeń, Hugh jednak był zdania, że mówi o przyszłości. Czy moc przekleństwa była śmiercią zsyłaną za pośrednictwem psów?

Jakiego czynu dopuścili się dziadkowie, że ściągnęli na siebie i potomków tak straszliwą karę? Lady Emily opisała w swoim dzienniku sen, w którym widziała ojca wyłaniającego się z groty. Czyżby wydarzyło się to naprawdę? Kiedy indziej napisała: „Coś jest pogrzebane i muszę to wydobyć na światło dzienne. Mam obowiązek powrócić do Karra Karra i upomnieć się o swoją spuściznę”. O jaką spuściznę chodziło? I co to wszystko miało znaczyć?

Joanna rozejrzała się wokół. Tajemna moc Aborygenów była wszędzie niemal wyczuwalna. Choć już w większości powymierali, wciąż były tu obecne ich duchy. Joanna pojęła nagle przyczynę własnych lęków, które prześladowały ją podczas ciąży. Bała się w głębi duszy, że odziedziczony po matce strach zostanie również w jakiś niewytłumaczalny sposób przekazany jej nie narodzonemu dziecku.

Usiłowała się podnieść, lecz nie mogła. Krzyknęła z bólu. Dusił ją Tęczowy Wąż.

„Nie, to tylko dziecko przychodzi na świat przed czasem” – pomyślała zatrwożona.

Sara kąpała się w strumieniu. Zmywała z siebie święte symbole i tłuszcz emu, przekazując ich moc rzece. Patrzyła, jak odpływają w tajemne miejsce. Zmazala wyryte w ziemi nad brzegiem znaki i zagasiła ogień. Rytuał został wypełniony. Samodzielnie dokonała obrządku własnej inicjacji. Matka nie przeprowadziła jej przez odwieczne tajemnice. Sara nie miała babki, która przekazałaby jej mądrość przodków, ani siostr czy kuzynek, które świętowałyby razem z nią przyjęcie do wspólnoty dorosłych. Nie było też klanu, który by ją z miłością powitał w swoim gronie. Musiała sama sobie radzić. Wiedziała, że odtąd już tak będzie zawsze.

Rytualny obrządek jej plemienia został odprawiony po raz ostatni.

Pomyślała o Philipie McNealu, o tym jak jechała razem z nim w siodle, obejmowała go ramionami i czuła uspokajające uderzenia jego serca. Ostrożnie zdjęła z szyi rzemyk, schowała do kieszeni sukienki kość pochodzącą z Miejsca Snu Foki, po raz pierwszy włożyła buty i na koniec wsunęła dłoń w bransoletę od Amerykanina.

A potem odwróciła się plecami do znikającego za horyzontem słońca.

Ból ponownie dał znać o sobie, obejmując Joannę pętlą ognia. Leżała oparta plecami o skałę i starała się równomiernie oddychać. Często pomagała matce, która asystowała przy wielu porodach, mogła się więc uważać za doświadczoną akuszerkę. Zamknęła oczy, próbując wnikać w głąb swojego ciała. Działo się z nią coś złego. Dziecko powinno się obrócić przed urodzeniem, a tymczasem wciąż wysoko wyczuwała jego główkę. I bóle

zaczęły następować po sobie zbyt często.

Wsluchiwała się w noc, lecz dobiegał ją tylko plusk wodospadu i szemranie wiatru w drzewach. Pomyślała o Tęczowym Wężu, któremu każdy Aborygen oddawał z bojaźni cześć i którego się bała nawet jej matka. Teraz ów lęk, zrodzony pod wpływem niedawnego snu, udzielił się także jej. Czuła, że poruszają się wokół duchy drzemiące w skałach i w gałęziach, jak gdyby jej obecność w lesie budziła je z wiecznego snu. Przypomniała sobie opowieści Sary o nieszczęściach, jakie spotykają osobę, która bezcześci święte miejsce. Nie wolno było stanąć na uosabiającym przodka kamieniu ani otrzeć się o zamieszkaną przez duchy gałąź. Sara wyjaśniła jej, że w dawnych czasach ludzie wiedzieli, które drzewo można bezpiecznie przechodzić, a któremu kamieniowi czy drzewu należy okazać szacunek. Ale Joanna nic nie wiedziała o miejscu, w którym się znajdowała.

Z trudem wstała z ziemi. Prawie natychmiast znieruchomiała pod wpływem kolejnego płomiennego bólu. Próbowwała postawić krok, lecz wysiłek jeszcze bardziej spotęgował jej cierpienie. Zaczął się poród.

Nagle dobiegło ją mrozące krew w żyłach wycie, przeciągły skowyt wygłodniałego dingo.

Koszmar powrócił. Ogarnął ją paniczny lęk przed psami.

Musiała uciec jak najdalej od krwiożerczych dingo. Zaczęła powoli oddalać się od rzeki, przesuując się od drzewa do drzewa i przystając co chwila, gdy ból stawał się zbyt silny. Twarz zrosiły jej krople potu.

Panujące w lesie ciemności rozpraszał jedynie sierp księżyca. Joanna przypomniała sobie opowieści Sary o pojawiających się w nocy duchach. „Po zachodzie słońca – opowiadała jej kiedyś dziewczyna – zjawy i upiory chodzą po ziemi, wykradają dzieci i zabijają starców. Ludzie wiedzą, że nocą nie wolno oddalać się od ognisk. O tej porze trzeba trzymać się razem i zachować czujność. „

Joannę obezwładnił ból. Jej oddech stał się urywany i krótki. Żałowała, że nie ma przy niej Sary. Byłaby spokojniejsza. Dziewczyna znała tajemnicze siły wędrujące po nocy i potrafiła sobie z nimi radzić.

„Wkrótce ktoś musi przybyć – pomyślała. – Pewnie wszyscy się zastanawiają, dokąd poszłam. Może nawet już zaczęli mnie szukać. A jeśli Sara i Adam sądzą, że przebywam razem z Hughiem w zagrodach dla jagniąt? Co będzie, jeśli upłyną godziny, nim ktoś się zaniepokoi?”

Na ziemi zamajaczyło coś bezkształtnego – niskie, pokryte mchem ruiny tubylców. Myśl, że Pierwszy Kangur może przebywać w tych starych kamieniach, wydawała się kojąca. Joanna wczołgała się do wnętrza zawałonej budowli i oparła plecami o mur.

Nastąpił kolejny bolesny skurcz, a potem dobiegł Joannę szelest i czyjś oddech.

To była Sara.

– Sprowadzę pomoc.

– Nie, nie ma na to czasu. – Joanna chwyciła ją za rękę. – Dziecko się rodzi. Będziesz musiała mi pomóc. Weź szal i rozłóż go pode mną.

Sara obejrzała się za siebie. Pomiędzy drzewami nie było widać zabudowań

mieszkalnych. Nawet gdyby zawołała, nikt by jej nie usłyszał.

– Pomóż mi! – poprosiła Joanna z jękiem. Dziewczyna pochyliła się nad rodzącą.

Nagle Joanna krzyknęła. Sara zadarła do góry jej spódnicę i zamarła przerażona.

Zobaczyła dwie maleńkie, białe i nieruchome stopki.

Joanna krzyknęła ponownie. Dziewczyna wpatrywała się w nią w osłupieniu. Stopki najpierw wysunęły się nieco, a wkrótce potem cofnęły.

– Widzisz nóżki? Musisz je chwycić – szepnęła Joanna, dysząc ciężko. – Następnym razem musisz dziecko przytrzymać.

Sara przypominała sobie porody, których była świadkiem. Ostrożnie wzięła w dłonie maleńkie nóżki.

Przy następnym skurczu delikatnie za nie pociągnęła, lecz dziecko się nie przesunęło. Z niepokojem zauważyła, że Joanna nadmiernie krwawi.

Usiłowała pozbierać myśli. Powinna pobiec do domu i sprowadzić pomoc. Na kogo mogła liczyć? Hugh przebywał w oddalonych zagrodach, a posyłanie kogoś po Poll Gramercy, która mieszkała aż w Cameron Town, było bezcelowe.

Joanna wydała z siebie ostry, urwany krzyk, a gdy Sara stwierdziła, że dziecko nadal się nie przesunęło, przypomniała sobie, w jaki sposób rodziły kobiety w chrześcijańskiej misji dla Aborygenów.

Zerwała się na równe nogi i rozpaczliwie zaczęła szukać w ciemnościach grubego patyka. A potem rzuciła się na kolana i zaczęła kopać w ziemi. Zapamiętała ryła w wilgotnym gruncie, rozrzucając wokół siebie grudki ziemi. Kamienie odsuwała na bok. Ociekając potem, wygrzebywała ubłoconymi po łokcie rękami jamę. Później rozwinęła szal i rozłożyła go w szerokim dole. Pomogła Joannie wstać.

– Niech pani tam podejdzie, prędko!

Poruszały się z trudem. Dziewczyna podtrzymywała Joannę, która uklękła nad jamą.

Uda rodzącej napięły się pod wpływem kolejnego, potężnego skurczu. Sara wypatrywała dziecka.

– Jeszcze raz – poleciła.

Joanna podczas parcia zatopiła palce w ramieniu dziewczyny. Znowu pojawiły się dwie maleńkie nóżki. Sara chwyciła w dłonie zziębnięte stopki.

– Jeszcze raz! Zaraz się urodzi!

Ale dziecko wydobyło się z łona matki dopiero po kilku kolejnych skurczach. Sara chwyciła je na ręce. Była to maleńka, czerwona i pomarszczona dziewczynka. Drżała, lecz nie wydała żadnego głosu.

Joanna osunęła się na ziemię, a Sara prędko nazrywała trawy z Miejsca Snu Kangura i otarła nią ciało nowo narodzonej dziewczynki. Potem odessała śluz z jej nosa i ust i płaczące już dzieciątko położyła matce na piersi.

Joanna była szczęśliwa, wreszcie poczuła spokój. Trzymała córeczkę w ramionach. Podążyła myślami do Naomi Makepeace, która gdzieś w australijskiej gęszy wydała na świat swoje dziecko, oraz do lady Emily, która urodziła córkę na zapomnianej przez Boga placówce wojskowej w Indiach. I dostrzegła szlak-pieśń – łączącą je nić, która niczym srebrne włókno

więzała babki poprzez matki z wnuczkami. Oglądała swoje śliczne dziecko i pomyślała: „Oto moja córka”.

Zaśmiała się cicho i podniosła wzrok na Sarę, która leżała obok, własnym ciałem ogrzewając ją i dziecko.

– Uchroń ją przed Tęczowym Wężem – szepnęła Joanna. Sara miała nadzieję, że znajdzie w sobie moc zawartą w szlakach-pieśniach kobiet. Miała nadzieję, że zdoła raz na zawsze odegnąć pieśnią kłutwę, która ciąży nad Merindą oraz nad tą kobietą i jej dzieckiem.

## **Część trzecia**

**1880**



## ROZDZIAŁ 18

– Proszę pani – powiedział stojący w drzwiach chłopiec. – Co się stało mamie?

„Twoją mamę spotkało nieszczęście polegające na tym, że poślubiła niewłaściwego człowieka” – pomyślała Joanna, umocowując bandaż.

– Miała mały wypadek, ale wyzdrowieje – odparła. Fanny prosiła, żeby nikomu nie mówić o przyczynie jej obrażeń.

Był wczesny poranek. Kilka godzin temu, o brzasku, domowników w Merindzie zbudziło dobijanie się do frontowych drzwi i krzyki oszalałego z przerażenia chłopca: „Proszę pani, niech pani ze mną pojedzie! Prędko! Mojej mamie strasznie leci krew z nosa!” Państwu Westbrook często zakłócano sen lub posiłki. Kobiety w Okręgu Zachodnim przywykły do wzywania Joanny, ilekroć zdarzał się jakiś wypadek. Wolały się zwracać o pomoc do niej niż do lekarza z Cameron Town. Choć nie miała medycznego wykształcenia, to każda z nich – od Maude Reed po żonę najbiedniejszego osadnika – twierdziła, że ma delikatniejsze ręce i więcej zrozumienia dla osób cierpiących niż prawdziwi lekarze.

Tak więc Joanna i Sara ubrały się prędko i o świcie wyruszyły bryczką w drogę. Chłopiec jechał konno za nimi. Domostwo Drummondów leżało w odległości dwudziestu kilometrów od Merindy. Była to zapadła farma, na której stała drewniana chałupa z nieokorowanych pali, wałaca się stodoła oraz pozostałości po zagrodzie dla owiec. Mikę Drummond usiłował utrzymać dziesięciohektarowe gospodarstwo pszenicy oraz ośmioro obdartych dzieciaków, wśród których najstarsze miało dziesięć lat, a najmłodsze cztery miesiące. Joanna była tutaj niedawno, kiedy Drummond pobił żonę podczas poprzedniej pijackiej burdy.

– Dlaczego nie zgłosiłaś na niego skargi u posterunkowego McManusa, Fanny? – spytała, myjąc ręce i odwijając rękawy bluzki. Mówiła cicho, żeby nie słyszały dzieci, które zgromadziły się w drzwiach. Były bose, zasmarkane, a na ich buziach malowało się zdziwienie.

– To nie jego wina – stwierdziła Fanny niewyraźnie, bo miała spuchnięte i popękane usta.  
– Zasłużyłam na karę.

Joanna pokręciła głową. Ta kobieta zawsze brała winę na siebie.

Zdumiewający wydawał się fakt, że choć Australijczycy tak rozpaczliwie szukali żon, a przybyłe na ten kontynent panny usilnie zabiegały o zdobycie męża, ich związki rzadko bywały udane. Młodzi mężczyźni przyjeżdżali do Australii pełni złudzeń, że prędko się wzbogacą. Widząc, że ich marzenia rozpadają się jak domki z kart – farmy nie przynoszą zysku, w kopalniach złota nie zgarnia się kruszcu łopatomy, a oszczędności całego życia przepadają w grach hazardowych – mścili się za swoje klęski na żonach, niewinnych świadkach własnych niepowodzeń. A naiwne, niewykształcone dziewczyny z Anglii, dysponujące środkami umożliwiającymi im zaledwie utrzymanie się przy życiu, wychodziły za mąż za pierwszego lepszego mężczyznę, który omamił je obietnicami. Zazwyczaj zaraz po opuszczeniu statku wyrażały zgodę na poślubienie zupełnie obcego człowieka. Dla tych niewinnych panien noc poślubna była prawdziwym wstrząsem i nosiła znamiona gwałtu.

Dalsze ich życie nieodmiennie stawało się prawdziwym kieratem – wychowywały liczne potomstwo, wiecznie borykając się z długami, ubóstwem oraz pijaństwem męża.

Joanna spojrzała na posiniaczoną twarz Fanny. Mikę tym razem puścił w ruch pięści. Dotychczas to się nie zdarzało.

– Nie możesz przejść nad tym do porządku, Fanny – stwierdziła.

– A jak mam sobie sama poradzić z ośmiorgiem dzieci? – Młoda kobieta próbowała się uśmiechnąć. – Nie będzie z nim już więcej problemów. Obiecał nie pić wódki.

Joanna wstała z łóżka i związała paskami swój medyczny kufer. Nie korzystała już z małej torby, która niegdyś należała do jej matki. Zabierała ze sobą na wizyty domowe tak dużo medykamentów, że mieściły się tylko w dużym koszu zrobionym przez jedną z kobiet z misji dla Aborygenów.

– Obawiam się, że nie mogę pani zapłacić – rzekła Fanny.

Joanna rozejrzała się po chacie. Obrzuciła wzrokiem leżący na podłodze materac dla dzieci, stół, który od wielu tygodni nie widział mydła ani wody, pół bochenka chleba i niemal całkiem opróżnioną, otwartą puszkę po herbacie.

– Nie szkodzi. Zapłacisz mi, gdy będziesz mogła – powiedziała, dobrze wiedząc, że moment ten nigdy nie nadejdzie.

Joanna i Sara schyliły głowy, przechodząc pod oberwaną framugą drzwi. Znalazły się w ostrym świetle wczesnego poranka. Dzieciaki zeszyły im z drogi, nie spuszczać z nich oczu. Joanna rozejrzała się po zakurzonej podwórzu, gdzie stał przechylony na jedną stronę powóz bez kół. Dostrzegła też uwiązaną krowę o sterczących żebrach. Nie mogła się nadziwić, że tak wychudzone zwierzę jeszcze żyje. A potem spojrzała na dzieci. Wiedziała, że pomimo zabiegów misjonarzy i przedstawicieli rządu, którzy będą nalegać, aby uczęszczały do miejscowej szkoły, nigdy do niej nie pójda z powodu braku butów i chęci, a ich ojciec oświadczy, że są potrzebne do pracy na farmie. Joanna nie miała złudzeń, że wyrosną na analfabetów, podobnie jak ich rodzice.

Sięgnęła do kieszeni spódnicy po garść cukierków. Dzieciaki chciwie je zgarnęły.

Gdy sadowiła się w powozie obok Sary, w drzwiach pojawiła się Fanny Drummond. Na jej twarzy malował się wyraz zakłopotania.

– Co się stało? – spytała Joanna.

– Zastanawiam się, czy nie mogłaby mi pani pomóc... – młoda kobieta unikała wzroku Joanny, zniżyła głos. – Chodzi mi o dzieci. Mam już ich ośmioro. Pytałam o radę Poll Gramercy, ale ona jest katoliczką i nie chciała...

– Rozumiem – powiedziała cicho Joanna. Często zadawano jej to pytanie. – Czy masz morską gąbkę do mycia?

– Znajdzie się jakaś w domu.

– Wytnij z niej kawałek wielkości jajka i obwiąż ją wokół mocną nicią, mniej więcej o takiej długości – zademonstrowała Joanna. – Węzeł nie może się zsuwać. Przechowuj ją w occie. Kiedy będziesz podejrzewać, że mąż chce odbyć z tobą stosunek, włóż gąbkę głęboko do pochwy, tak aby sznurek pozostał na zewnątrz i żebyś mogła ją potem stamtąd wyciągnąć. Usuń gąbkę możliwie jak najszybciej po zbliżeniu z mężem. Fanny utkwiała w Joannie

przerażone oczy.

– Jeśli on się o tym dowie, na pewno mnie zabije!

– Nie będzie o tym wiedział, Fanny. Postaraj się tylko, by nie spostrzegł, że wkładasz gąbkę ani że ją wyjmujesz. Ten środek nie jest zupełnie bezpieczny, ale często działa.

Ruszyły w drogę. Gospodarstwo Drummondów znikło w oddali.

– Następnym razem będzie gorzej – zawyrokowała Sara. – Okaże się, że Fanny ma złamaną rękę albo nogę.

– Powiadomię o tym incydencie posterunkowego McManusa. Pojedzie do Drummondów, trochę się tam rozejrzy i da srogą nauczkę Mike’owi. Czasami to skutkuje.

Dwie młode kobiety jadące w blasku słońca były ubrane w praktyczne bawełniane bluzki, długie brązowe spódnice, a na wysoko upiętych włosach miały kapelusze z szerokimi rondami. Przypadkowy przechodzień mógłby wziąć je za siostry, gdy siedziały obok siebie w bryczce i odganiając muchy, prowadziły cichą rozmowę. Ich podobieństwo kończyło się jednak z chwilą, gdy Sara odsłaniała twarz. Kiedy Joanna zaczęła zabierać ze sobą młodą Aborygenkę do porodów lub do innych medycznych interwencji, dziwiło to ludzi. Z czasem umiejętności Sary wzrosły i zaczęto ją akceptować nawet w tak dużych rezydencjach, jak Faliste Wzgórza czy folwark Williamsów, gdzie ciemnoskórym służącym wolno było przebywać jedynie w kuchni. Również biali parobcy przemogli swoją niechęć do niosącej im lekarską pomoc Aborygenki. A dwudziestojednoletnia Sara King była już uważana za jednego z członków rodziny Westbrooków i tylko przybysze na jej widok unosili brwi.

Gdy przejechały kilka kilometrów, Joanna zatrzymała bryczkę, wyciągnęła dziennik i zanotowała w świetle porannego słońca: „12 marca 1880 roku. Fanny Drummond ponownie została pobita przez męża. Tym razem obrażenia wymagały założenia szwów”. Przemilczała dalszy przebieg wizyty. Rozpowszechnianie informacji o antykoncepcji było prawnie niedozwolone. Dziennik mógł wpaść w obce ręce i gdyby istniała w nim wzmianka na ten temat, obie z Sarą znalazłyby się w poważnych kłopotach.

Spojrzała w stronę horyzontu. Zbliżała się pora jesiennych deszczy. Ale niebo wciąż było czyste, niebieskie niczym talerz z chińskiej porcelany. Pomimo wczesnej pory w powietrzu nie wyczuwało się ani odrobiny wilgoci. Okolicę zalała fala letnich upałów. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się pożółkłe pastwiska. Joanna z trudem wypatrzyła w oddalali wolno przesuujące się małe stado owiec. Dopisała w swoim dzienniku: „Z pewnością wkrótce dotknie nas zapowiadana susza, a wtedy Fanny Drummond będzie miała o wiele poważniejsze zmartwienie. Obawiam się, że jej mąż należy do tego typu mężczyzn, którzy porzucają rodzinę w trudnych czasach”.

Dziennik, pięknie oprawiony w safian, dostała w prezencie od Hugh’a w dzień po narodzinach ich pierwszego dziecka. Beth przyszła na świat sześć i pół roku temu. Od tamtego czasu Joanna wszystko opisywała – relacje z wydarzeń, a także własne obserwacje i refleksje. Była tam cała historia rodziny Westbrooków, łącznie z narodzinami w 1874 roku ich drugiego dziecka, Edwarda, które zmarło następnego lata, poprzez dwa poronienia Joanny i narodziny ostatniego synka – który spoczywał pod kamieniem z wyrytym napisem: „Simon Westbrook, zmarł w 1878 roku. Żył trzy miesiące”.

Joanna skrupulatnie odnotowywała wszystkie ważniejsze wydarzenia:

„14 stycznia 1874 roku. Dyfteryt zabrał czternaścioro dzieci w Cameron Town. Wystąpiłam z wnioskiem stworzenia podziemnego systemu kanalizacyjnego i oddzielenia go od ścieków, które spływają wzdłuż głównej ulicy”.

„18 listopada 1876 roku. Pożary strawiły pięćdziesiąt tysięcy hektarów buszu. Miejscowości Gracemere i Strathfield poniosły ciężkie straty”.

„30 maja 1877 roku. Byliśmy na weselu Verity Campbell z posterunkowym McManusem. To była piękna uroczystość, w której uczestniczyło ponad dwieście osób”.

„12 listopada 1878 roku. Jacko Jackson zbankrutował i za długi przekazał swoje trzy tysiące hektarów Hughowi. Przeniósł się wraz z rodziną do Merindy. Hugh zatrudnił go jako zarządcę, a żona Jacko przyjęła posadę kucharki”.

Dziennik był również kroniką poszukiwań związanych z przeszłością lady Emily.

Joanna prowadziła sumiennie zapiski dotyczące osób, z którymi się kontaktowała, terminów spotkań oraz ich rezultatów. Gdy nie zdołała odszukać miejscowości Dopływ Drozda i Durrebar, ponownie wysłała list do panny Tallhill, prosząc o określenie prawdopodobieństwa popełnienia pomyłki. Została jednak poinformowana, że panna Tallhill wyjechała w celach leczniczych na północ i że od tamtej pory nie było od niej żadnej wiadomości. W dzienniku pod datą 25 lipca 1877 roku widniała notatka: „Otrzymałam jeszcze jeden list od Patricka Lathropa z San Francisco. Wyraził w nim ubolewanie, że z powodu złego stanu zdrowia nie może poświęcić badaniom pisma mojego dziadka tyle czasu, ile by sobie życzył. Zapewnił mnie jednak, że będzie kontynuował pracę”. Potem następowała kolejna informacja: „Mój ostatni list do Patricka Lathropa został odesłany z adnotacją: «Adresat nie żyje»,”. W dzienniku znajdowały się kopie korespondencji, jaką Joanna prowadziła ze wspólnotami misyjnymi, z towarzystwami żegludowymi, a także z ciotką Millicent w Anglii, która choć zawsze odpowiadała na listy Joanny, nigdy nie wspominała o swojej siostrze Naomi ani o wychowywanej przez siebie Emily. Nie poruszała też tematu Karra Karra.

Wreszcie dziennik zawierał mapy sporządzone przez Joannę na podstawie informacji zawartych w akcie własności. Próbowwała zlokalizować na nich dwie poszukiwane miejscowości. A potem pokazała własne szkice kartograficzne Hughowi i Frankowi Downsowi w nadziei, że im się skojarzą z jakimś konkretnym miejscem. Jednak obaj wyrazili tylko przypuszczenie, że posiadłość jest rozległa i może być sporo warta. Joanna dokładnie prześledziła obszary wzdłuż linii wybrzeża kontynentu australijskiego, liczącej blisko dwadzieścia tysięcy kilometrów, i zestawiała z nimi swoje mapy, łudząc się, że będą do siebie pasować. Zawsze okazywało się jednak, że brakuje klucza do wszelkich informacji: nazwy portu, do którego zawinęli jej dziadkowie.

Joanna zapełniała też dziennik własnymi próbami odszyfrowania stenopisu Johna Makepeace’a, ale za każdym razem powstawały nonsensy. Ostatnio usystematyzowała wszystkie wskazówki znalezione w zapiskach matki oraz pochodzące z innych źródeł. Lista była skąpa i nie można było na jej podstawie wysnuć żadnego wniosku.

Gdy odkładała dziennik do koszyka, poczuła na sobie wzrok Sary.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała.

– Zauważyłam, że pocierasz czoło.

– Naprawdę? Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Cierpisz na bóle głowy, prawda? I ostatnio nie sypiasz zbyt dobrze. Słyszałam w nocy twoje kroki. Czy coś się stało, Joanno? Co jest powodem twojej bezsenności?

Joanna pomyślała o radości, jakiej zaznała w czasie ubiegłych kilku lat – o swoim życiu z Hughiem, z Beth i z Adamem, który rósł zdrowo i normalnie się rozwijał. Ale i w tym szczęśliwym okresie ani na moment nie zapomniała o swoim dziedzictwie, o trucizniepieśni i o strachu przed czyhającym na nią nieszczęściem. Jej obawy uciszyły się tylko i mniej pilnie oddawała się poszukiwaniom Karra Karra. Ostatnio jednak nocne koszmary powróciły, a wraz z nimi dawny lęk.

– Znowu prześladowają mnie majaki, Saro – wyznała. – Śni mi się to samo co przedtem: dzikie psy, Tęczowy Wąż i grotą w czerwonej skale. Po przebudzeniu jestem nie tylko przerażona, ale czuję, że muszę udać się na miejsce, gdzie rozgrywają się te wydarzenia, i stawić czoło czemuś, sama nie wiem czemu. Moja matka pod koniec życia odbierała ten sam nakaz.

– Kiedy powróciły koszmary? Joanna zastanawiała się przez moment.

– Tuż przed porą strzyży. Prześladowają mnie od sześciu miesięcy.

– Czy domyślasz się, co je może wywoływać?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że zapisałam dzień, kiedy po raz pierwszy dały znać o sobie. – Sięgnęła po dziennik i przerzuciła kilka kartek. – Jest, znalazłam. To było po przyjęciu urodzinowym Beth. – Zmarszczyła brwi. – Dziwne...

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że coś sobie przypominam... – Spojrzała na Sarę. – Majaki zaczęły dręczyć moją matkę, gdy ja skończyłam sześć lat. No cóż, wygląda na to, że podświadomie musiałam odebrać tę sugestię. Czytałam o snach mojej matki, a teraz mój umysł próbuje je odtworzyć.

Zamilkły na moment. Otaczająca ich przyroda zaczynała się budzić do życia. Ciszę wczesnego poranka przeszył śmiech zimorodka.

– Jak to możliwe, że śnię o czymś, co nigdy mnie nie spotkało? – zadumała się Joanna. – Czyżbym odziedziczyła po matce wspomnienia? A może moje sny są odtwarzaniem w pamięci wydarzeń, o których dawno temu ona mi opowiadała?

– To nieważne, czy są rzeczywiste i czy naprawdę istnieje trucizna-pieśń – zauważyła Sara. – Skoro jesteś przekonana, że coś złego się wydarzy, to prawdopodobnie tak się stanie.

Joanna spojrzała na Sarę z trwogą.

– Czy to znaczy, że historia się powtórzy? Czy Beth ma doświadczyć tego samego, przez co przeszłyśmy obie z matką? Wydarzenia zaczynają układać się w podobny schemat, Saro. Nigdy nie bałam się psów, lecz od pewnego czasu odczuwam lęk przed nimi. Kiedyś nie miewałam złych snów, a teraz wciąż mnie nękają. Co mogę zrobić, żeby temu zapobiec? Nie pozwolę, aby moja córka stała się kolejną ofiarą tego szaleństwa.

– O czym śnisz, Joanno? Czy z twoich snów W7nika jakiś wniosek?

– Dowiaduję się z nich, że powinnam się bać. Zaczynam sądzić, że istotną rolę odgrywa opal, może być kluczem do całej zagadki.

– Co zamierzasz robić dalej?

W Melbourne odbywało się ważne dla życia kraju wydarzenie – Wystawa Powszechna. Joanna zamierzała wybrać się na nią z Adamem i Beth. Mieli w niej uczestniczyć reprezentanci wszystkich australijskich kolonii, a także większości narodów świata: przedstawiciele rządów, dziennikarze, odkrywcy, naukowcy, misjonarze oraz eksperci z najrozmaitszych dziedzin.

– Zamierzam zabrać opal ze sobą do Melbourne – oznajmiła. – Nie wątpię, że wśród tak wielu ludzi znajdzie się ktoś, kto będzie potrafił określić pochodzenie kamienia.

Joanna minęła stare domostwo i ruszyła nowym podjazdem w stronę rzeki, gdzie kontynuowano budowę domu, wstrzymaną z różnych powodów przed blisko siedmioma laty. Jak zwykle uderzyła ją zmiana w krajobrazie. Gdy przybyła tu dziewięć lat temu, okolica wyglądała zupełnie inaczej. Było mniej zabudowań, więcej drzew, a zakurzone leśne dukty nazywano szumnie drogami. Ale teraz wraz z koleją, którą doprowadzono z Melbourne do Cameron Town, dotarli tu ludzie. Powstawały nowe arterie komunikacyjne, pozakładano linie telegraficzne, a w okolicy pojawiały się coraz to nowe domy. Wciąż przybywało też studni, wiatraków i ogrodzeń.

Merinda również się rozrastała. Pomimo groźby suszy farma prosperowała dzięki roztropności Hugh'a, jego trafnym inwestycjom i wzrostowi ceny lanoliny.

Pierwsze jagnięta rasy zeus okazały się bardzo dorodne. Gdy dorosły, Hugh skrzyżował je z potężnymi saksonami. Potomstwo było silnej budowy i dało mocną wełnę. Każdy znawca twierdził, że hodowla tej odmiany powinna się dobrze rozwijać na suchych terenach. Uzyskiwana wełna wprawdzie nie była delikatna, lecz świetnie się nadawała do produkcji dywanów i koców. Ostatnio światowy popyt na wełnę najwyższej jakości zaczął spadać, wzrosło zapotrzebowanie na gatunek pośledniejszy i tańszy. Frank Downs pierwszy zdecydował się wypróbować nową, wyhodowaną w Merindzie rasę owiec na swoich dwudziestu tysiącach hektarów pastwisk w Nowej Południowej Walii. Wszyscy byli ciekawi, jak zwierzęta poradzą sobie w trudnych warunkach. Znaleźli się również i inni gotowi podjąć ryzyko hodowcy, którzy nabyli nowe stada Westbrooka, w nadziei że hodowla na nieużytkach będzie przynosić zyski. Do wiosny 1880 roku, sześć i pół roku po narodzinach pierwszego jagnięcia, eksperymentalna hodowla nowej rasy była już prowadzona w kilku gospodarstwach w koloniach Wiktorii i Nowa Południowa Walia.

Dobrobyt Merindy rzucał się w oczy. Przybyło budynków, zagród i żywego inwentarza. Na podwórzu panował większy ruch i hałas niż kiedykolwiek przedtem. Młode owce beczały, tryki biegały za samicami w zagrodzie rozplodowej, a parobcy mieli pełne ręce roboty. Tylko stara chata, powiększona o nowe pokoje stopniowo dobudowywane wraz z upływem lat, stała na dawnym miejscu. Zewnętrzne ściany zostały świeżo odmalowane, wokół nich biegła weranda, okolona olbrzymimi słonecznikami i wielobarwnymi oleandrami, a po obu stronach kamiennej ścieżki rozpościerały się trawniki. Teraz, kiedy podjęto budowę nowego domu, Joanna uświadomiła sobie, że niechętnie opuści stare domostwo.

Dojechała do polany i zatrzymała bryczkę w cieniu drzew – jej własnych, które wyrosły wysokie i silne z młodych roślin własnoręcznie sadzonych przez nią dziesięć lat temu. Przystanęła, przyglądając się Beth – dziewczynce o ciemnokasztanowych, przywodzących na myśl barwę kory drzewa włosach, która brodziła przy brzegu w zakolu rzeki. Stary i na wpół ślepy owczarek o imieniu Guzik biegał za nią, rozbryzgując wodę. Rodzice dali małej na chrzcie imię Elizabeth, po matce Hugh'a. Była silnym i zdrowym dzieckiem. Joanna porównywała ją czasami w myślach do rosnących wokół Merindy eukaliptusów. Oboje z Guzikiem tworzyli nierozłączną parę. Dwa lata temu Beth uratowała zwierzę przed losem, jaki zwykle stawał się udziałem bezużytecznego psa pasterskiego – przed kulką w łeb. Hugh uległ prośbie dziecka, a teraz Guzik był nieodłącznym towarzyszem dziewczynki.

Adam, który niedawno skończył trzynaście lat, siedział w cieniu drzewa i malował akwarelę. Wyrósł na przystojnego chłopca, z oczami podobnymi do Hugh'a i tym samym poważnym marsem pomiędzy brwiami. Brakowało mu tylko krzepkości Westbrooków. Fascynowało go wszystko, co było związane z przyrodą – skamieliny, owady, kamienie i rośliny. A kiedy przeczytał dzieło Darwina „O powstawaniu gatunków”, oświadczył, że pragnie zostać naturalistą. Zapisano go na specjalny program naukowy do liceum w Cameron Town, na który miał zacząć uczęszczać od przyszłego miesiąca. Nie było dnia, by Joanna nie zachwycała się dziećmi. Już gdy chodziła w ciąży z Beth, przeczuwała istnienie macierzyńskiej miłości. Ale dopiero kiedy po raz pierwszy wzięła dziecko w ramiona, uczucie to spadło na nią z siłą niemal ogłuszającą. Jak to możliwe, że stawało się coraz większe? Joanna obserwując córkę często zastanawiała się, jak ludzkie serce może pomieścić taki bezmiar tkliwości. Dopiero teraz pojęła istotę więzi pomiędzy matką a córką i w pełni zrozumiała uczucie, jakim darzyła ją lady Emily.

Ale szczęście Joanny mąciła świadomość nadciągającego zagrożenia. Gdy obserwowała bawiącą się w starorzeczu Beth, wstrząsnęło ją kolejne silne uczucie: determinacja, by chronić córkę przed spuścizną strachu i śmierci odziedziczoną po lady Emily. Żaden Tęczowy Wąż ani trucizna-pieśń nie mogła skrzywdzić jej dziecka.

Dostrzegła Hugh'a, który wyłonił się zza drzew, pogrążony w rozmowie z jakimś mężczyzną.

Nie wyglądał na swoje trzydzieści dziewięć lat. Joanna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w zakurzonych spodniach, flanelowej koszuli i kapeluszu z szerokim rondem jest ucieleśnieniem przystojnego bohatera swojej ostatniej ballady „Jedyne drzewo na równinie”.

Sara wysiadła z powozu i podeszła do dzieci, a Joanna nadal przyglądała się mężowi, w którego postawie widoczne było napięcie, gdy rozmawiał z architektem, panem Hackettem.

Pomyślała o jego niedawnym życzeniu odbycia podróży do Queenslandu i odwiedzenia „szlaków młodości”. Chociaż ballada „Jedyne drzewo na równinie”, którą napisał prawie cztery lata temu, została wspaniale przyjęta przez czytelników, od tamtego czasu nie wzięła pióra do ręki.

– Chcę wrócić do Queenslandu – oznajmił niespodziewanie pewnej nocy. – Sam nie wiem dlaczego. Być może powodem jest świadomość, że niebawem skończę czterdziestkę i że moja młodość minęła. Od pewnego czasu tęsknię za Queenslandem. Chcę cię tam zabrać

ze sobą, Joanno. Wybierzemy się tylko we dwoje, bez dzieci. Pokażę ci miejsca, w których dorastałem – miasta, ludzi i odosobnione farmy. Pragnę, żebyś zobaczyła to wszystko, zanim przepadnie na zawsze.

Ale nie mieli czasu na tę trwającą co najmniej kilka tygodni podróż. Hugh był wiecznie potrzebny w Merindzie, podobnie jak ona. A teraz należało jeszcze dopilnować budowy domu. Siedem lat upłynęło, nim odrobili spowodowane przez burzę straty. Ich sytuacja finansowa była teraz na tyle dobra, że gdy w końcu nadszedł z Indii spadek, Joanna mogła go odłożyć w celu zapewnienia przyszłości Beth, ponieważ oboje z Hughiem ustalili, że Adam odziedziczy gospodarstwo.

Gdy wszczęcie robót na podstawie planów budowlanych Philipa McNeala stało się znowu możliwe, wylała rzeka i podmyła teren. Ponad rok trwały prace nad umocnieniem istniejących już fundamentów i przygotowaniem placu budowy. Potem w kolonii Wiktoria wybuchła epidemia grypy i przykuła wielu ludzi do łóżek. Wszelkie roboty – przy zbiorach zboża, przy strzyży i na budowach musiały zostać wstrzymane. Później okolicę obiegnęła fałszywa pogłoska o znalezieniu złota w pobliżu Horsham. Podążyły tam tłumy, a w większości gospodarstw pozostali jedynie najbardziej lojalni pracownicy. Obecnie, gdy nie było już problemu z siłą roboczą, a Hugh miał pieniądze, pojawił się kolejny problem: nie mogli znaleźć architekta, który podjąłby się kontynuowania prac według planów McNeala. Żaden nie pochwałał lokalizacji budowy. Każdy radził rozebranie starych ruin i postawienie domu na ich miejscu. W chwili przybycia Joanny Hugh właśnie o to spierał się z panem Hackettem.

Odczekała, aż rozzłoszczony architekt się oddali. Dopiero wtedy podeszła i objęła męża.

– Co się stało Fanny Drummond? – spytał.

– Nie jest taką szczęściarą jak ja – odparła. Gdy przyciągnął ją do siebie, z jego twarzy natychmiast zniknął wyraz niezadowolenia. Joanna zawsze przywodziła mu na myśl cytaty z Biblii o posłannictwie pokoju. Uważał, że obecność żony działa na wszystkich uspokajająco i pokrzepiająco.

Zerwał się gorący i nietypowy jak na marzec wiatr. Deszcze nie nadchodziły, przeciągały się letnie upały. Hugh wyczuwał w powietrzu suchy pył. Na niebie nie było ani jednej chmury. W rozlewisku obniżył się poziom wód, a zasilająca je rzeka sączyła się wąską strugą. W ciągu wszystkich lat spędzonych w Merindzie Hugh nie doświadczył jeszcze tak srogiej suszy. Schylił się po garść ziemi. Wydała mu się nadmiernie sypka, martwa. Pomyślał o pożółkłych, wypalonych przez słońce pastwiskach, a także o owcach usiłujących znaleźć pożywienie i wodę. Podniósł wzrok na bezchmurne niebo i pomyślał, że jeśli wkrótce nie nadejdą deszcze, zaczną tracić stado.

„Cholerny MacGregor” – pomyślał, mrużąc oczy przed palącym pyłem.

Hugh stał się z Colinem MacGregorem na ostatnim posiedzeniu Stowarzyszenia Hodowców, na którym wygłosił mowę o nieodpowiedzialnym niszczeniu ziemi. MacGregor powycinał drzewa, które rosły nad rzeką po stronie posiadłości Kilmarnock, i sprzedawał je za wysoką cenę jako budulec. Trzebiąc lasy, odsłonił okoliczne pastwiska przed wiatrem. Hugh usiłował zalesić teren, lecz bezskutecznie. Za każdym razem wiatr porywał wierzchnią warstwę gleby wraz z nasionami.



Hugh skierował wzrok w stronę, gdzie dwadzieścia lat temu rósł las. Teraz znajdowała się tam pusta równina, z której sterczały pniaki. Krajobraz się zmieniał. Zwierzyna została przetrzebiona. Hugh nie mógł przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widział kangura. Zostały wyparte z tych obszarów przez nowe osady i grodzone pastwiska oraz, co było najgorsze ze wszystkiego, przez masowe polowania, które lokalne ziemiaństwo wciąż uważało za sportową rozrywkę.

„Ziemia jest nadmiernie eksploatowana – pomyślał Hugh. – Zbyt mało sadzi się na niej roślin. W przyrodzie musi być zachowana równowaga. Aborygeni o tym wiedzieli. Gdy natrafiali na obfitującą w ryby wodę w wyschniętym korycie rzecznym, zatrzymywali się przy niej tylko na krótki czas, a potem ruszali dalej. I nigdy nie wracali w to miejsce, dopóki nie mieli pewności, że ryb znowu jest tam pod dostatkiem. Dawali naturze czas na wygojenie ran. A biały człowiek tego nie robi. „

– Jesteś dzisiaj bardzo małomówny – zauważyła Joanna. – Jak układa się współpraca z panem Hackettem?

– Właśnie go zwolniłem. Uparł się, żeby budować w miejscu ruin. Wiem, że się nie dogadamy.

Joanna utkwiała wzrok w porośniętych mchem ścianach nad brzegiem zakola. Na powierzchni wody mieniły się błyski słonecznych promieni.

Od wyjazdu Philipa McNeala upłynęło sześć i pół roku. Od tamtej pory tylko raz otrzymali od niego wiadomość – cztery lata temu, gdy zawiadomił ich listownie o śmierci matki.

– Wszyscy uważają, że brakuje nam piątej klepki. Nie chcą słuchać o szlakach-pieśniach ani o Krainach Snów. I prawdę mówiąc, Joanno, nie jestem pewien, czy mam ochotę im tłumaczyć. Ale dom i tak zostanie wybudowany. Daję ci na to słowo!

– Bez architekta? Wygląda na to, że trudno dzisiaj o dobrych fachowców. Pewnie wszyscy są zajęci rozbudową Melbourne.

Hugh uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

– Tak się składa, że mam dobre wieści – oznajmił, wyciągając kopertę. – Ten list nadszedł, gdy byłeś u Drummondów. Przysłał go Philip McNeal.

– Philip? Och, Hugh! – wykrzyknęła Joanna, przebiegając wzrokiem treść pisma. – Przyjeżdża do Melbourne na Wystawę Powszechną! I chce odwiedzić Merindę!

– Zamierzam go poprosić, żeby zatrzymał się u nas przez jakiś czas i wznowił budowę. W końcu to on postawił fundamenty.

Joanna przywołała Sarę skinieniem dłoni.

– Podejdź do nas! Mamy dobre nowiny!

Gdy Sara przeczytała list, jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Philip wraca. Wiedziałam, że w końcu przyjedzie. Píše, że wybiera się tu w towarzystwie żony i dziecka. – Spojrzała na Joannę. – Ożenił się. Ciekawa jestem, jaką sobie wybrał kobietę. Nawet nie podał jej imienia.

Zatrzymała wzrok na srebrnej bransolecie z turkusami, którą często nosiła. Przypomniła sobie dzień, kiedy otrzymała ją od Philipa. Miała wtedy piętnaście lat i była w nim zakochana

po L uszy. Od tamtej pory wiele o nim myślała. Zastanawiała się, gdzie przebywa i co robi. „To miło, że znowu go zobaczę” – pomyślała.

– Wracajmy do domu – rzekła Joanna. – Czekają nas przygotowania przed jutrzejszą podróżą. – A gdy zmierzali w stronę chaty, stwierdziła: – Żałuję, że nie jedziesz razem z nami do Melbourne, Hugh.

– Ja też chciałbym się tam wybrać, ale niektóre odwierty zaczynają się zamulać, a studnia na piątym kilometrze całkiem wyschła. Musimy teraz pokonywać większe odległości, żeby napoić stada. Nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Mam nadzieję, że wystawa dostarczy wam niezapomnianych przeżyć.

Beth biegła w podskokach przodem, wyśpiewując: „Jedziemy do Melbourne! Jedziemy do Melbourne!”, a Joanna stwierdziła, że radość z podróży przyćmiewa jej wspomnienie sennych koszmarów i świadomość, że mogą być zapowiedzią nieszczęścia.

Wynajęli apartament w hotelu „Król Jerzy” przy Elizabeth Street. Joanna z Sarą mieszkały w jednym pokoju, w drugim – Adam z Beth. Wybrali się rano na wystawę, w dniu otwarcia, i skierowali się prosto do Sali Sztuki i Architektury. Przepychając się przez tłum, dotarli do amerykańskiego stoiska, przy którym zostali poinformowani, że pan McNeal udał się do Sydney i będzie tam przebywał aż do końca tygodnia.

Te siedem dni były pełne przygód i dziwów. Już samo gwarne i tętniące życiem miasto dostarczało ich w obfitości. Ale na terenie wystawy działały się prawdziwe cuda. W holu tłoczyli się kolorowo poubierani cudzoziemcy, którzy rozmawiali w niezrozumiałych językach. Można tu było skosztować różnych narodowych potraw, a zewsząd dobiegała muzyka ludowa wielu krajów. Podekscytowana publiczność z zapartym tchem obserwowała eksponaty nowej naukowej ery. Prezentowano tu tajemnice wszechświata i organizowano najbardziej zdumiewające widowiska. Przy urządzeniach zwanych maszynami do pisania siedzieli ludzie i na oczach widzów wystukiwali zadrukowane arkusze, a mężczyzna w marynarce w kratę rozrzucał kurz po idealnie czystym dywanie, a potem zbierał go za pomocą czarodziejskiego przyrządu zwanego zamiataczką. Była tam szafka zwana lodówką, służąca do przechowywania w chłodzie żywności, i wynalazek zwany odkurzaczem, demonstrowany przez kobietę w fartuchu oraz chłopaka, poruszającego nogami miechy, dzięki którym urządzenie działało. Zaprezentowano też widzom „elektryczną świecę” – paliła się bez płomienia czystym, białym światłem, a jej źródłem nie była oliwa ani nafta, lecz maszyna zwana elektrycznym generatorem.

Joanna i Sara miały trudności z dotrzymaniem kroku dzieciom, które przechodziły od eksponatu do eksponatu i z okrzykami zachwytu wskazywały coraz to nowy wynalazek. Przy jednym ze stanowisk objaśniano działanie telefonu, a pewien Amerykanin obok pokazywał, jak funkcjonuje cudo zwane fonografem. Nakłonił kogoś z tłumu, żeby przemówił do pudełka, gdy sam w tym czasie kręcił korbką, a chwilę później rozległ się głos tego samego mężczyzny!

Na wystawie znalazło się również mnóstwo zabawnych przedmiotów, takich jak bujany fotel, którego bieguny służyły do ubijania masła, albo budzik polewający wodą twarz śpiącego i wprawiający w ruch łóżko czy też maszyna na kołach wyposażona w siedzenie

oraz w dymiący motor, która wozila człowieka niczym pociąg bez szyn i o której mówiono, że będzie środkiem transportu przyszłości.

Nie zabrakło też eksponatów wzbudzających grozę. Adam przez długą chwilę przyglądał się szkieletowi dinozaura, który był prezentowany w dziale poświęconym nauce, na stoisku francuskim. Znajdowała się tam również gipsowa figura małpoluda, rekonstrukcja znalezionej we Francji, w jaskiniach CroMagnon, ludzkiego przodka, pod którym widniał napis: „Jego wiek jest szacowany na 35 tysięcy lat”.

Gdy przechodzili pod olbrzymią wygiętą w łuk framugą drzwi, Joanna uchwyciła w wysokim lustrze o połączonych ramach ich odbicie. „Oto moja rodzina!” – pomyślała z dumą. Adam, starannie uczesany, miał na sobie pierwsze długie spodnie. Beth, z lokami opadającymi na ramiona, była ubrana w sukienkę z obniżonym stanem i z olbrzymią kokardą z tyłu. Przyciągająca spojrzenia mężczyzn ciemnowłosa Sara nosiła wciętą w pasie suknię na turniurze, a jej brązowo-miedziane sploty zakrywał nasunięty na czoło kapelusz z piórami. I wreszcie Joanna, wciąż szczupła w wieku dwudziestu ośmiu lat, wybrała na dzisiejszy dzień błękitną aksamitną suknię, której fałdy zamiatały marmurową posadzkę. „Brakuje tylko Hugh’a, a obraz byłby doskonały” – pomyślała.

Zbyt prędko zbliżał się dzień wyjazdu z Melbourne. Już nazajutrz mieli wyruszyć w drogę powrotną. Choć pobyt w mieście dostarczył im wielu wrażeń, Joanna nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy Hugh’a.

Koszmarne sny, z widmem Tęczowego Węża i dzikich psów, i tu ją ścigały. Wielokrotnie budziła się po nocach. Z ulicy dobiegały ją nieznane odgłosy. Tęskniła za Hughiem i farmą. I choć majaki różniły się za każdym razem, zawsze powtarzały się w nich te same elementy: psy, Tęczowy Wąż i opal, a także prawdziwe przerażenie, które nie ustępowało natychmiast po przebudzeniu. Gdy leżała w łóżku, wsłuchując się w przyspieszone tętno, wydawało się jej, że wyczuwa obecność czyhającego w ciemnościach gada.

„To się nie dzieje naprawdę – tłumaczyła sobie. – To tylko wyobrażenia powstałe po lekturze dziennika matki. „ Joanna wiedziała jednak, że tak jak sugerowała Sara, jej próby stłumienia niepokoju nie zdadzą się na nic. Sny wciąż podsycaly lęk o własne bezpieczeństwo oraz o bezpieczeństwo córki. Joanna zdawała sobie sprawę, że musi albo odkryć źródło trucizny-pieśni, by przerwać jej działanie, albo w jakiś sposób przekonać samą siebie, że zagrożenie nie istnieje.

Fakt pojawiania się opalu w snach zrodził w niej przypuszczenie, że może kamień jest tym ogniwem, które doprowadzi ją do rozwiązania zagadki. Pochodził z Australii czy też rodzice Joanny weszli w jego posiadanie w Indiach? Niestety, obecni na wystawie geologowie i eksperci z różnych krajów nie pomogli jej ustalić miejsca wydobycia opalu.

Przed powrotem do domu pozostała im jeszcze tylko jedna sprawa: odnalezienie Philip’a McNeala.

– Och, patrz! – zawołała Beth, a jej podniesiony głos zmieszał się z tysiącem innych głosów odbijających się echem pod kopułą rotundy. Chwyciła brata za rękę i zaciągnęła go do dużego stoiska.

Rodzina Westbrooków zebrała się przy nim, żeby podziwiać frapujące żywe obrazy, jakie

składały się na ekspozycję zatytułowaną „Dziennik «Times» ma zaszczyt przedstawić stulecie Melbourne”. Znajdowały się tam cztery dioramy, które zajmowały niemal całą długość holu. Gospodarze wystawy zapraszali gości, by idąc wolno wzdłuż wytyczonego aksamitną taśmą szlaku, podziwiali kolejne fazy historii Melbourne. Diorama „Australijski busz, 1780” ukazywała na wpół nagich Aborygenów, którzy rzucali bumerangami i malowali swoje ciała, „Prymitywna wioska, 1830” – kilku białych osadników, mieszkających w szałasach, „Ubogie miasto, 1845” – zrekonstruowany dom handlowy, przed którego frontem stał uwięzany żywy koń, i wreszcie „Tętniące życiem centrum finansów i handlu, 1870” – pierwsze drapacze chmur na tle masztów i kominów parowców w ruchliwym porcie.

W przewodniku, który można było kupić za jednego pensa, znajdowało się wyjaśnienie, że pomysłodawcą i realizatorem tej kosztownej ekspozycji jest Frank Downs, wydawca „Timesa”. Biuletyn informacyjny nie zawierał jednak wzmianki o tym, że prawdziwą autorką pomysłu była Ivy Dearborn.

Po podwieczorku, składającym się z lemoniady i ptysi, Joanna zaprowadziła swoją gromadkę do Sali Zdrowia, gdzie dzieci odkryły ze zdumieniem, że przemysł farmaceutyczny oferuje leki niemal na każdą znaną ludzkości przypadłość. Lekarze myli ręce mydłem „Ivory”, a dzieci w szpitalnych łózkach ochoczo chrupały krakersy „Doktor Graham”. Demonstrowano działanie pasów elektrycznych i gorsetów przepuklinowych. Sprzedawcy przy stoiskach rzucali wyzwania ponad głowami zgromadzonego tłumu, pytając, czy wśród zwiedzających znajdzie się ktoś, kto podważy skuteczność leku Indian Kickapoo albo środka przeciwrakowego doktora Fotte’a. Amerykanin o nazwisku Kellogg prezentował nowe płatki śniadaniowe z selera, które „gwarantowały obniżenie popędu płciowego”. A w sprzedaży znajdowały się książki o zaskakujących tytułach, jak „Turecki sposób uprawiania miłości” albo „Znaczenie snów”. Dorosłym wręczano za darmo próbki środków pobudzających witalność: „Przyjaciel mężczyzny” oraz „Preparat doktora Coopera gwarantujący wzmocnienie włosów”. Maluchy otrzymywały kolorowe pocztówki reklamujące „Leki uspokajające dla dzieci pani Winslow” oraz „Różowe tabletki dla anemików doktora Smileya”.

Grupa lekarzy francuskich prowadziła wykłady na temat nowej „teorii zarazków”, którą ostatnio sformułował ich rodak, Ludwik Pasteur. Joanna przysłuchiwała się wywodom dotyczącym bakterii i bakcyli, mikrobów oraz sposobu odkrycia ich chorobotwórczych właściwości. Medycy posługiwali się przykładem zarazka tyfusu i przedstawiali go na olbrzymich diagramach, a Joanna pomyślała o Davidzie Ramseyu, który oddał życie za medycynę. Umarł przedwcześnie. Jego marzenia zostały urzeczywistnione przez badaczy i przyniosły im sławę.

W następnej sali natknęli się na szereg małych stoisk. Znajdowały się tam tylko stoły i krzesła oddzielone od siebie linami. Wśród wystawców przeważały towarzystwa zajmujące się problematyką społeczną, takie jak: Liga Abstynencji Kobiet czy Zakład dla Obląkanych pod wezwaniem Świętego Józefa. Joannę szczególnie zainteresowało jedno z nich: Towarzystwo Brytyjskich Misji dla Indian. Było usytuowane pomiędzy Organizacją na rzecz Pomocy Porzuconym Kobietom, zasilaną przez Joannę od czasu do czasu datkami, a zupełnie

nie znaną jej Armią Zbawienia. Przystanęła przed wywieszką: „Fundusz do Walki z Głodem w Indiach” i nawiązała rozmowę z opiekującą się stoiskiem parą ludzi. Jak się okazało, byli to misjonarze, którzy „poświęcili dwadzieścia lat życia służbie Bogu w Pendźabie”. Dzieci się nudziły. Adam żałował, że nie może wrócić do wystawy Królewskiego Towarzystwa Odkrywców, gdzie wśród eksponatów znajdowały się prawdziwe trofea łowców głów z Nowej Gwinei.

– Nie miałam o tym pojęcia. Oczywiście, włączę się do pomocy – powiedziała Joanna misjonarzom po wysłuchaniu ich sprawozdania na temat katastrofalnej sytuacji żywnościowej w Indiach.

Adam i Beth przeszli na drugi koniec sali, by się przyjrzeć z bliska ekspozycji, która przedstawiała małą farmę.

Niewielką zagrodę wytyczał płot z prawdziwych sztachetek, a na podłodze leżała rozsypana ziemia. Były tam stogi siana, koń zaprzężony do pług i biegające swobodnie psy. Kilku chłopców strzygło owce i doiło krowy. Odbywał się pokaz rąbania drzewa, młócenia pszenicy i przesiewania ziarna. Grupa młodych mężczyzn siedziała przy długim stole nad mikroskopami i uważnie przyglądała się próbkom gleby, nasionom oraz źdźbłom traw. Inni studiowali planszę, na której pokazano budowę anatomiczną owcy. Dżentelmeni w czarnych surdutach wyjaśniali widzom, że są „świadkami najnowocześniejszych metod postępowej i znanej na całym świecie edukacji”. Beth i Adam spostrzegli napis umieszczony nad wystawą: „Szkoła Rolnicza w Tongarra”. Pod spodem znajdowała się mniejsza wywieszka: „Przeczytaj”, a pod nią leżał stos broszur.

Adam sięgnął po jedną z nich. Zawierała mnóstwo ilustracji przedstawiających chłopców strzygących owce, jeżdżących konno i kierujących nowoczesnymi pługami. Na jednej z rycin uczniowie śpiewali w kaplicy, na innej grali w krykieta. Były tam też zamieszczone zdjęcia sal lekcyjnych.

Dzieci obeszkły stoisko wzdłuż płotu. Były zafascynowane, że mogą oglądać wewnątrz budynku typowo wiejską scenerię.

– To cudowna szkoła, Beth – stwierdził Adam. – Do niej powinienem się zapisać, a nie do liceum w Cameron Town.

– Ja też tam kiedyś pójdę! – rzekła Beth.

– Głuptasie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ to szkoła tylko dla chłopców, nie widzisz? – Adam wskazał młodzieńców uczestniczących w pokazie, a potem udawał siostrze, że na zdjęciach w broszurze nie ma kobiet ani dziewcząt. – Gdy dorośniesz, będziesz się kształcić na pensji dla panien.

Beth zmarszczyła brwi. Wcale nie podobał się jej ten pomysł.

– Wszędzie was szukałyśmy – rzekła Joanna, podchodząc do dzieci razem z Sarą.

Skierowali się do Sali Sztuki i Architektury. Gdy zbliżyli się do stoiska amerykańskiego, Sara była zdumiona, słysząc bicie własnego serca. Nagle go spostrzegła. Choć miał na sobie staromodny zielony surdut i szare spodnie, wyglądał dokładnie tak jak we wspomnieniach – wysoki, szczupły i przystojny.

– Dzień dobry, panie McNeal! – rzekła Joanna.

– Witam panią, pani Westbrook – podszedł, podając jej rękę. – Miałem nadzieję, że się spotkamy.

– W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy od pana list. Miło mi znowu pana widzieć, panie McNeal!

– A ja jestem Beth – przedstawiła się sześćioletnia dziewczynka.

Philip roześmiał się i potrząsnął małą rączką.

– Jak się miewasz, Beth?

– Urodziła się w dniu, kiedy się pożegnaliśmy – stwierdziła Sara.

Philip odwrócił się zdumiony.

– Sara?! – wykrzyknął.

– Cieszę się, że znowu cię widzę. A to jest Adam. Na pewno go pamiętasz.

– Oczywiście. Ogromnie wyrosłeś, Adamie – zauważył Philip, wymieniając z chłopcem uścisk dłoni. Potem zwrócił się do Joanny: – Czy jest pani zadowolona z nowego domu?

– Wciąż nie jest wybudowany, ale to długa historia. Napisał pan w liście, że będzie mógł przyjechać do Merindy w odwiedzin. Hugh ogromnie się ucieszy z pańskiej wizyty.

– Prawdę mówiąc, z przyjazdem do Merindy wiąże duże plany. Piszę książkę poświęconą australijskiej architekturze, którą cechuje jedyny w swoim rodzaju, niespotykany gdzie indziej styl. Chcę wykorzystać mój pobyt tutaj, żeby się czegoś więcej nauczyć. Studiowałem miejską architekturę Sydney i Melbourne, a teraz chciałbym się lepiej przyjrzeć budownictwu wiejskiemu.

– W takim razie nie znajdzie pan lepszego miejsca niż Okręg Zachodni, panie McNeal. Zapraszamy w gościnę. Chętnie obwieziemy pana po okolicy. Kiedy możemy się pana spodziewać?

Zerknął w stronę Sary, a na jego twarzy ponownie odmalował się wyraz zaskoczenia i zainteresowania.

– Muszę tu zostać do końca trwania wystawy, ale potem oboje z żoną będziemy wolni. Nie musimy natychmiast wracać do Ameryki.

– Proszę zatem nas zawiadomić o terminie państwa przyjazdu – rzekła Joanna. – Do zobaczenia.

Opuścili salę, mijając kolejne łukowe przejście z bujnymi palmami po obu stronach. Z powodu drzew żadne z nich nie zauważyło stoisk po drugiej stronie, nad którymi znajdowały się wywieszki: „Dom Dziecka pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny”, „Fundusz Zapomogowy dla Żydów” oraz „Chrześcijańska Misja dla Aborygenów Karra Karra”.

Gdy wychodzili z wystawy, słońce chyliło się już ku zachodowi, a marcowe niebo spowijał mrok. Joanna przystanęła, rozglądając się po ruchliwej ulicy. Od czasu jej przybycia na ten kontynent Melbourne bardzo się zmieniło. I zmiany wciąż postępowały. Miała wrażenie, że gdy na moment zamknie oczy, znowu pojawią się niepostrzeżenie nowe domy, inne zostaną zburzone, a po jezdni będzie turkotać kilkadziesiąt nowych powozów. To miasto różniło się znacznie od Cameron Town, gdzie przeważały domy jedno i dwupiętrowe, gdzie na spokojnej ulicy rozlegał się od czasu do czasu leniwy stukot końskich kopyt, a kowboje,

parobcy i pasterze spotykali się w prowincjonalnych pubach, żeby się napić piwa i porozmawiać.

Joanna czuła, że porywa ją dudniące życiem Melbourne. Było tu tak wiele nowych i pięknych ogrodów, konnych tramwajów w jaskrawozielonym kolorze oraz pomników upamiętniających działalność ludzi, którzy wstawili się dokonaniem dla kraju. Niemal nie mogła uwierzyć w to, że zaledwie przed pięćdziesięcioma laty miasto było „prymitywną wioską”!

– Chodźmy! Spróbujemy złapać dorożkę – rzekła Joanna. Gdy rozglądali się po ulicy, dostrzegli wychodzącą ze sklepu Paulinę MacGregor.

Joanna przez chwilę przyglądała się kobiecie, której prawie nie знаła. Hugh wciąż obwiniał Colina MacGregora za zwałenie płotu i straty dużej części stada w rzece, choć nigdy nie zdołał tego dowieść. W rezultacie, pomimo bliskiego sąsiedztwa, nie utrzymywali przyjaznych stosunków. Westbrookowie nie bywali na przyjęciach wydawanych w Kilmarnock, w których uczestniczyli prawie wszyscy z Okręgu Zachodniego, i gdy Merinda była miejscem towarzyskich spotkań, również MacGregorowie nigdy nie byli na nich obecni. A kiedy w Cameron Town odbywało się zebranie Stowarzyszenia Żon Hodowców Owiec, na którym panie omawiały projekty działalności filantropijnej i rozdzielały datki na cele dobroczynne, Paulina i Joanna nigdy nie rozmawiały ze sobą i omijały się wzrokiem.

Paulina wyszła ze sklepu i przystanąła na chodniku, jak gdyby nie mogła zdecydować, w którą ma się udać stronę. W wieku trzydziestu trzech lat żona Colina wciąż była szczupłą i atrakcyjną. W swojej opiętej w talii, ciemnoniebieskiej jedwabnej sukni przyciągała wzrok wielu mężczyzn.

Joanna zaczęła się już zastanawiać, dlaczego Paulina, która bardzo dba o swoją reputację, przebywa samotnie w miejscu publicznym, i wtedy właśnie na ulicy zatrzymał się elegancki powóz zaprzężony w dwa konie. Joanna spostrzegła, że Paulina się uśmiecha na widok wysiadającego z pojazdu mężczyzny, który ruszył ku niej z wyciągniętymi dłońmi.

Uchwyciła w przelocie jego profil.

Ależ to był Hugh!

A potem...

Zmarszczyła brwi. Dżentelmen wziął Paulinę pod rękę i odwrócił się tyłem do Joanny. Nie widziała już jego twarzy.

Czy to możliwe, żeby to był Hugh?

– Spójrz, mamo – rzekł Adam. – Mamy dorożkę.

Joanna się nie odezwała.

– Mamo?

Gdy ponownie skierowała wzrok na ulicę, dostrzegła znikający w głębi powozu tren sukni Pauliny. To był Hugh. Joanna mogłaby przysiąc.

– Saro, czy widziałaś...

Potrząsnęła głową. Ależ to nie mógł być on! Po pierwsze, tamten mężczyzna nie dorównywał mu wzrostem, a po drugie, skąd, na Boga, Hugh wziąłby się w Melbourne?

– Nieważne. Chyba jestem zmęczona – stwierdziła, obserwując ruszający powóz.

Najwyraźniej po tygodniu pełnym wrażeń i koszmarnych snów miała przywidzenia. – Wsiadajmy do dorożki.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi i woźnica z powrotem zajął miejsce na koźle, wszyscy odetchnęli z ulgą. Przyjemnie było wracać do domu.

Adam ciągnął nie kończące się opowieści na temat cudownych rzeczy, jakie widział, oraz ludzi, jakich miał okazję spotkać – badaczy, podróżników latających balonem, poszukiwaczy przygód i odkrywców, którzy uczestniczyli w ekscytujących wyprawach, dotarli do wszystkich egzotycznych miejsc na ziemi i nadawali rzekom oraz górcom własne nazwiska. Ale najwięcej mówił o dinozaurze wystawionym na stoisku wraz z wykopaliskami z CroMagnon.

– Temu zajęciu zamierzam się kiedyś poświęcić! – oznajmił. – Będę odkrywał kości prastarej rasy ludzi i dawno wymarłych zwierząt. Być może natknę się na jakąś roślinę, której nikt przede mną nie widział.

– Nazwij ją moim imieniem – poprosiła brata Beth.

– Zgoda. Pojadę do Nowej Gwinei i odkryję rzadki gatunek orchidei. Nadam jej imię *Elizabethus officinale*. Jak ci się ta nazwa podoba?

– Co tam masz, Adamie? – zainteresowała się Joanna. Chłopiec wyciągnął plik broszur i ulotek, które zebrał na wystawie.

– Były rozdawane za darmo – wyjaśnił, wręczając druki Joannie. – Proszę, mamó, obejrzyj je sobie.

Zawierały różne reklamy – od „Elektrycznych pasów Wilsona” i „Tabaki do żucia”, po zaproszenie do „Gabinetu doktora Snowa na Swanson Street na gratisowy seans jego genialnej metody leczenia hipnozą” oraz kupon upoważniający do sześciopensowej zniżki przy zakupie kapelusza w „Sklepie McMahona z galanterią męską” na Colins Street.

– Chyba wolno mi było je wziąć? – zaniepokoił się chłopiec.

– Oczywiście! Przypuszczam jednak, że wydawcy tych reklam woleliby, żeby dotarli do ludzi skłonnych wydać pieniądze w ich sklepach – zauważyła Joanna. Oddając reklamówki chłopcu, natknęła się wzrokiem na wystającą spod pliku papierów ulotkę. Na samej górze widniało wydrukowane słowo „Karra”. Wyciągnęła ją na wierzch. W broszurze apelowano o pomoc dla chrześcijańskiej misji dla Aborygenów Karra Karra w Nowej Południowej Walii.



## ROZDZIAŁ 19

Dziecko zaczęło płakać i Mercy Cameron wyciągnęła po nie rękę.

– Lepiej ją wezmę – rzekła. – Chce być przy swojej mamie.

– Tak, oczywiście – odparła Paulina, niechętnie oddając niemowlę.

– Choć Jannie ma zaledwie dwa miesiące, dobrze wie, kto jest jej mamą, prawda, Jannie kluseczko?

Paulina przez moment przyglądała się dziewczynce, wyraźnie spokojniejszej w ramionach matki, a potem odwróciła się i odeszła. Dzieci, czekając na swoją kolej, ustawiły się w ogonku na strzelnicy. Paulina opuściła stanowisko, żeby zobaczyć córeczkę Mercy Cameron, a teraz wracała do dzieciaków, by je nauczyć trafiania do celu. Przed oczami mignął jej w przelocie napis powyżej namiotu: „Obejrzyj pokaz. Życie jest krótkie, a okazja może się już więcej nie powtórzyć”. Przeszedł ją chłód. Hasło przypomniało jej o zbliżających się urodzinach. Za kilka dni miała skończyć trzydzieści trzy lata.

W ten ciepły kwietniowy poranek teren wesołego miasteczka w Cameron Town był zatłoczony. Zdawało się, że żaden mieszkaniec Okręgu Zachodniego nie omieszkął przepuścić okazji, by podziwiać niezwykle sceny boksowania się Aborygena z kangurem i mężczyzny połykającego miecz, uczestniczyć w zawodach w rąbaniu drewna i w konnych gonitwach. Zgromadzonych widzów bawił mężczyzna chodzący na szczudłach, magik o imieniu Presto i klauni dosiadający osłów, wróżka Magda przepowiadała przyszłość. Paulina i Louisa Hamilton zajmowały się na strzelnicy dziećmi, które kierowały miniaturowe strzały do tarczy umieszczonej na ostrwi do suszenia siana. To miejsce cieszyło się wyjątkową popularnością. Trzy strzały kosztowały jednego pensa, a zyski były przeznaczone na nowy Dom Sierot w Cameron Town. Paulina nie mogła się jednak skupić na pracy. Zbyt pochłaniały ją dwie sprawy: dzieci oraz mężczyzna, którego poznała w ubiegłym miesiącu w Melbourne – John Prior, przedsiębiorca z Sydney, człowiek uderzająco podobny do Hugh'a Westbrooka.

– Jannie męczą częste kolki – oświadczyła Mercy, przypatrując się Paulinie, która asystowała chłopcu napinającemu cięciwę łuku. – Maude Reed poradziła mi, że bym włożyła cukierek miętowy do mleka, ale metoda ta okazała się mało skuteczna.

Paulina przeczytała kiedyś książkę poświęconą opiece nad niemowlętami autorstwa sławnej niańki z Melbourne. Zawsze zapoznawała się też z artykułami o pielęgnacji dzieci zamieszczanymi w czasopiśmie kobiecych i przysłuchiwała się z uwagą wynurzeniom doświadczonych matek. Miała ochotę powiedzieć Mercy, że cukierek powoduje gazy i że lepszym środkiem byłby liść mięty, zachowała jednak tę uwagę dla siebie. Już dawno temu stwierdziła, że w sprawach związanych z pielęgnowaniem niemowląt nikt nie chce słuchać wskazówek bezdziejnej kobiety.

„To niesprawiedliwe” – pomyślała, czując pod dłońmi szczupłe ramiona chłopca, któremu pomagała mierzyć do tarczy. Zdobyła rozległą wiedzę dotyczącą opieki nad dzieckiem. Nic nie mogła poradzić na to, że nie miała własnego potomstwa. Przecież sam fakt

jego posiadania jeszcze nie robił z nikogo eksperta w tej dziedzinie. Wydanie na świat syna lub córki wciąż było jednak dla kobiety sprawą honoru. Niewiasta bezdzietna uchodziła za upośledzoną, gorszą od innych, i nikt nie liczył się z jej zdaniem.

Paulina czasami tak bardzo pragnęła dziecka, że budziła się z płaczem w środku nocy. W pierwszych latach małżeństwa z Colinem niecierpliwie i na próżno wypatrywała u siebie objawów ciąży. Jeździła do specjalistów w Melbourne i zwracała się o poradę do miejscowych akuszerok. Zalecały jej picie różnych gatunków herbaty i sypianie z ziołami pod poduszką. Jak dotychczas nic nie skutkowało.

– Widać taka jest wola Boga, moja droga – oświadczył pastor Moorehead, gdy wyjawiała mu swój niepokój. – Musisz się z nią pogodzić. Z jakiegoś jemu tylko znanego powodu nie chce, byś doświadczyła macierzyństwa.

Paulina czuła się pokrzywdzona. Louisa Hamilton miała aż sześcioro dzieci. Czy Bóg nie mógł trochę sprawiedliwiej okazywać swojej szczodrości?

Maude Reed znalazła inne wytłumaczenie przyczyny jej bezpłodności. „Dziecko nie zostanie poczęte, jeśli pomiędzy mężem i żoną nie ma miłości – oświadczyła bez osłonek. – A ja wyczuwam chłód pomiędzy tobą a Colinem. W tych warunkach nie może dojść do zapłodnienia. „

„Czy brak uczucia może być przyczyną? – rozmyślała Paulina. – Czy aby nie to samo sugerował pastor Moorehead? Może Bóg nie chce dopuścić, żeby dzieci przychodziły na świat w domach, gdzie panuje zimna atmosfera?” Jeżeli faktycznie w tym tkwił problem, istniało tylko jedno rozwiązanie – nakłonienie Colina, żeby ją pokochał.

Po siedmiu latach małżeństwa Colin był dla Pauliny wciąż obcym człowiekiem. Życie każdego ze współmałżonków toczyło się oddzielnie, niczym dwa obracające się niezależnie od siebie koła, które stykały się tylko wtedy, gdy w Kilmarnock był wydawany bal lub gdy organizowano polowanie. Colin i Paulina odgrywali wtedy rolę idealnego małżeństwa. Troszczyli się o siebie, śmiali się ze swoich żartów i prawili sobie nawzajem komplementy. Colin zachowywał się ze zwykłą sobie arogancją, a Paulina czarowała gości urodą. Napojone drogim szampanem ziemianstwo kolonii Wiktorii, po okazaniu należnego szacunku państwu na Kilmarnock, rozjeżdżało się do swoich domów pełne podziwu i zazdrości.

A potem dwa koła od nowa zaczynały wirować obok siebie. Colin odjeżdżał do owczych zagród, do męskich klubów w mieście lub oddawał się sprawom polityki, a Paulina wracała do swoich zajęć w instytucjach charytatywnych, do klubu tenisowego oraz na strzelnicę łuczniczą. Oboje zwracali się do siebie per pan lub pani MacGregor, wieczorami wspólnie spożywali kolację, sypiali osobno, a raz w tygodniu Colin przychodził w nocy do łóżka Pauliny. Odbywali stosunek w sposób rytualny i wykalkulowany.

Paulina doszła do wniosku, że z takiego związku nigdy nie będzie dziecka.

Czasami jednak się zdarzało...

Pomagając małemu chłopcu napiąć cięciwę i naprowadzić strzałę na cel, pomyślała o poślubnej nocy spędzonej na statku w drodze do Szkocji. Przypomniała sobie twarde ciało męża i chwilę, kiedy wziął ją w ramiona. Próbowwała coś wtedy powiedzieć, lecz on położył jej rękę na ustach.

– Nic nie mów – rzekł.

Ogłuszyła ją siła i brutalność, z jaką zaspokajał żądze. Był nienasycony. Odnosiła wrażenie, że zamierza ją zniszczyć. Chciała być jego partnerką, lecz przygniótł ją swoim ciężarem i posiadał z wielką gwałtownością, która ją na początku przeraziła. Wkrótce jednak lęk minął i Paulina całkowicie mu się oddała. Dotychczas nie знаła uczucia bezgranicznego podporządkowania się komuś. Po raz pierwszy w życiu uległa.

I bardzo się to jej spodobało.

W ten sposób kochali się w początkowym okresie trwania ich związku. Paulina była przekonana, że z tak wielkiej namiętności musi się począć dziecko. Lecz mijały lata, a ona wciąż nie zachodziła w ciążę. Z czasem namiętność zaczęła przygasać.

A teraz Paulina wpadła w rozpacz. Weszła w okres ostatniej dekady płodności kobiety i zatrwazała ją myśl o przyszłości – o samotnych, pustych latach, kiedy jej pozycja w społeczeństwie zostanie zredukowana do roli „cioci” cudzych dzieci.

Oczywiście był jeszcze szesnastoletni Judd, który wyrósł na młodzieńca o niezależnych poglądach. Chłopiec jednak skutecznie opierał się jej zabiegom macierzyńskim. Po głębszym namyśle Paulina musiała przyznać przed samą sobą, że nie podjęła większych wysiłków, by chłopca do siebie zbliżyć. Był synem innej kobiety. Wypełnianie obowiązków macochy nie mogło się równać z wychowywaniem dziecka z własnej krwi i kości.

Dobrze wiedziała, co ludzie o niej myślą. Choć regularnie zwyciężała w zawodach łuczniczych i odnosiła sukcesy we wszystkim, czego się tylko tknęła, nie potrafiła sprostać zadaniu, z jakim radziła sobie większość niewiast; zadaniu, do jakiego została stworzona.

Nie mogła ścierpieć ludzkiego współczucia. Marzyła, by dane jej było zrobienie tego, co przed chwilą zrobiła Mercy Cameron – zabranie niemowlęcia z ramion innej kobiety i stwierdzenie: „Lepiej je wezmę. Chce być przy swojej mamie”.

– Trzymasz łuk w niewłaściwy sposób – wyjaśniła malcowi. Otoczyła go ramieniem i pomogła napiąć cięciwę. – Musisz mierzyć poniżej celu – poradziła. – Skieruj końcówkę grotu w ziemię pod tarczą, odciągnij do tyłu strzałę, tak aby pióra dotykały twojego ucha. Spójrz, w ten sposób... a potem ją wypuść.

Strzała pomknęła w niewłaściwym kierunku, trafiła w płócienną ścianę stoiska i przełamała się w pół.

– Tym razem było lepiej – rzekła Paulina cierpliwie. – Musisz się trochę bardziej przyłożyć. Spróbuj jeszcze raz.

Choć za jednego pensa były przewidziane trzy próby, Paulina pozwoliła chłopcu strzelić po raz piąty, ale i tym razem chybił celu. Kiedy jego kolejka dobiegła końca i w oczach dziecka pojawiły się łzy, Paulina wręczyła mu nagrodę za dobre chęci.

– Nie możesz nagradzać wszystkich dzieci, Paulino – upomniała ją Louisa, gdy chłopiec pobiegł, żeby pochwalić się rodzicom swoim trofeum. – Niczego się nie nauczą, jeśli będą premiowane za niepowodzenia.

– To mu z pewnością nie przyniesie szkody, Louiso.

– Zadziwiające, że właśnie ty to mówisz.

Paulina przyjrzała się przyjaciółce, która była tak tęga, że z trudem poruszała się na

niewielkiej strzelnicy. W jaki sposób zdołała urodzić sześcioro dzieci? Czyżby jej wzajemne uczucia z mężem były aż tak ciepłe? A może Maude Reed myliła się twierdząc, że do zapłodnienia niezbędna jest miłość? Ten temat nieustannie zaprzętał umysł Pauliny i może właśnie dlatego nie mogła wyrzucić z pamięci Johna Priora, przedsiębiorcy z Sydney.

Przechadzała się po największym centrum handlowym w Melbourne – domu towarowym Wallacha, którego dumą był szeroki asortyment oferowanych do sprzedaży artykułów, od wstążek po kuchenki gazowe – gdy nagle spostrzegła w dziale męskim Hugh'a Westbrooka. Wręczał należność za zakupiony towar. Zdziwiła się, widząc go w Melbourne. Przeszył ją dawny dreszcz podniecenia. Nie mogła odwrócić się i odejść, choć tak właśnie powinna się była zachować w stosunku do mężczyzny, którego jej mąż uważał za wroga. Ale dawne uczucie Pauliny do Hugh'a nigdy nie wygasło. Śmiało podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

– Jak radzą sobie bez ciebie twoje owce, kochanie? – zagadnęła, przybierając możliwie najbardziej szyderczy ton.

Zaskoczony odwrócił się, a ona zbyt późno uświadomiła sobie pomyłkę. Przed nią stał obcy mężczyzna.

– Och, bardzo przepraszam. Wzięłam pana za kogoś innego! Nieznajomy, który był zadziwiająco podobny do Hugh'a, sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Jego zysk, moja strata – stwierdził. I zanim zdążyła się wycofać, uchylił kapelusza. – John Prior, do pani usług.

Paulina nie mogła pojąć, co ją powstrzymało od odejścia. Aby zadośćuczynić nakazom przyzwoitości, natychmiast powinna się była z godnością wycofać. Nawet zwykła robotnica nie ośmieliłaby się zaczepić obcego mężczyzny w miejscu publicznym. Ona jednak stała jak przykuta do ziemi. Może przyczyną było podobieństwo nieznajomego do Hugh'a, choć miał zupełnie inny głos i nie dorównywał mu wzrostem, a może sposób, w jaki się do niej uśmiechał, uderzająca w jego zachowaniu pewność siebie i kosztowny strój. W każdym razie Paulina zbyt długo trwała bez ruchu i stwierdziła nagle, że prowadzi konwersację z mężczyzną, którego jeszcze przed chwilą nie знаła, a co gorsza, nikt go jej nie przedstawił.

– Pomyliłam pana z moim starym przyjacielem. Zapewniam, że nie mam zwyczaju zaczepiania obcych dżentelmenów!

– Ale teraz już mnie pani zna. A skoro przeszkodziła mi pani w tej ważnej transakcji handlowej, przynajmniej jest mi pani winna wyjawienie swojego nazwiska.

Na moment się zapomniała. Mężczyzna tak bardzo przypominał jej Hugh'a...

– Paulina MacGregor – rzekła.

– Czy wyglądam na hodowcę owiec? Poczula, że się rumieni.

– Przypomina mi pan mojego przyjaciela, który jest właścicielem farmy owczej.

Zmierzył ją przeciągłym, taksującym spojrzeniem, a potem, najwyraźniej zadowolony z tego, co widzi, rzekł cicho:

– Prawdziwy szczęściarz z pani przyjaciela. Wiele dałbym za to, żeby do mnie też zwracała się pani: „kochanie”.

– To przyjaźń z dawnych czasów – wyjaśniła pospiesznie. – Traktuję go jak brata.

– Rozumiem. Byłbym zaszczycony, gdyby mnie również zechciała pani w ten sposób traktować. Proszę mi wyświadczyć uprzejmość i wypić ze mną filiżankę herbaty.

Paulinie zaparło dech. Mężczyzna stał zbyt blisko niej, a jego uśmiech był zbyt poufaly.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe, panie Prior – stwierdziła.

– Dlaczego nie?

– Nie znamy się, a poza tym jestem zamężna.

– Z przyjemnością będę gościł na herbacie również pani męża!

Obrzuciła wzrokiem sprzedawcę, najwyraźniej rozbawionego ich rozmową. Pod wpływem jej spojrzenia oddalił się czym prędzej.

– Mój mąż nie przyjechał razem ze mną do Melbourne, panie Prior – oświadczyła.

– Jestem zaskoczony. Gdyby pani była moją żoną, nigdy bym nie pozwolił przebywać pani samej w tym niebezpiecznym mieście. – I zaraz dodał: – Ani gdziekolwiek indziej.

– Posuwa się pan zdecydowanie za daleko – uznała i odwróciła się, zamierzając odejść.

– To miał być komplement, a nie zniewaga, pani MacGregor. Zapewniam, że moje zamiary wobec pani są jak najbardziej uczciwe. Przyjechałem do Melbourne w interesach na kilka dni i nie znam tutaj nikogo. Czuję się samotny i zagubiony. A jeśli będę musiał spożyć bodaj jeszcze jeden posiłek zdany wyłącznie na własne towarzystwo, oszaleję.

– Czy jest pan aż takim nudziarzem? – spytała, nie mogąc się powstrzymać od kokieterii.

– Sam ze sobą? Owszem, lecz potrafię być błyskotliwy przy tak czarującej kobiecie jak pani.

Paulina wzdrygała się na myśl o zaakceptowaniu propozycji, a jednak ją przyjęła. Co więcej, perspektywa spotkania z Johnem Priorem na herbacie wydała się jej podniecająca.

Umówiła się z nim przed wejściem do domu towarowego. W czasie dwóch godzin dzielących ją od ustalonego terminu nie potrafiła skupić się na zakupach. Była zdumiona swoim niezrozumiałym zachowaniem, a jednocześnie podekscytowana jego zachwycającą niestosownością. Włosy Johna Priora różniły się odcieniem od włosów Hugh'a, nieznanemu nie miał też czerstwej cery właściciela Merindy, ale pomimo to podobieństwo obu mężczyzn było uderzające i Paulina nie mogła przestać o tym myśleć. Gdy opuściła sklep o wyznaczonej porze i spostrzegła pana Priora, który zajechał po nią pięknym powozem zaprzężonym w dwa konie, wyszła mu naprzeciw i podała rękę.

Popołudnie upłynęło im przy herbacie i kanapkach. Rozmawiali o cudach prezentowanych na wystawie. Niepostrzeżenie mijały godziny, a gdy pozapalano latarnie gazowe i atmosfera stała się bardziej intymna, Paulina stwierdziła, że jest pod dużym urokiem nieznanego. Tak przywykła do chłodnego zachowania Colina, że zapomniała już, jak miłe może być towarzystwo mężczyzny. A John Prior miał w sobie dużo ciepła. Gdy pochylony nad stołem patrzył na nią, odnosiła wrażenie, że jest jedyną kobietą na świecie i że tylko jej poświęca całą swoją uwagę. Zahipnotyzował ją swoją atencją, oczarował pochlebstwami i okazywanym szacunkiem. Słuchał, jakby każde jej słowo miało dla niego doniosłe znaczenie. Śmiał się, kiedy mówiła o czymś zabawnym, i zdawało mu się, jak twierdził, że zna ją od dawna. Paulina wbrew samej sobie poczuła się zniewolona przez tego mężczyznę, który uosabiał wszystkie zalety, jakich brakowało Colinowi.

– Proszę, niech pani pozwoli zaprosić się do teatru dzisiaj wieczorem, a potem na kolację  
– zaproponował John Prior, gdy w końcu nadeszła pora rozstania.

Paulina wiedziała, że powinna odmówić i od razu zakończyć znajomość. Była jednak zbyt głęboko poruszona urokiem tego mężczyzny i wyraziła zgodę na spotkanie.

Wieczorem czuła się tak jak niegdyś. Znowu była młoda i ponętna, od lat tak serdecznie się nie śmiała. Otrząsnęła się z przygnębiającej atmosfery Kilmarnock. Doświadczała dawno zapomnianych już doznań: przyjemności prowadzenia flirtu, elektryzującego dotyku męskiej dłoni i zawrotów głowy, jakie towarzyszą rodzącemu się pożądaniu. John Prior zachowywał się przez cały czas bardzo dyskretnie i taktownie. Pomagał jej wysiąść z powozu i zdjąć pelerynę. Zaglądał głęboko w oczy. Odczytywała ukryty sens każdego jego gestu. I choć to, co ich oboje przerażało i ekscytowało, do końca pozostało niewypowiedziane, Paulina była pewna, że John Prior podziela jej odczucia.

Gdy rozstawali się, wymieniając wizytówki i o chwilę za długo przeciągając uścisk dłoni, Paulina obiecała sobie, że już nigdy się nie spotkają.

Nie mogła jednak o nim zapomnieć.

Z rozmyślań wyrwała ją najmłodsza córka Louisy Hamilton, Persephone.

– Mamo, czy mogę dostać cukrową watę?

– Ależ kochanie – rzekła Louisa, wymachując wachlarzem – stoisko z watą cukrową znajduje się po drugiej stronie wesołego miasteczka. Jest za gorąco na tak długi spacer.

– Zaprowadzę ją tam – zaproponowała Paulina. – A dla mamy kupimy lemoniadę, zgoda, Persephone?

Wybrały drogę pomiędzy straganami pełnymi błyskotek. Przez chwilę śledziły zabawę z monetą i kółkiem. Przystanąły przed afiszem: „Oto Wielki Karmin strzela z wycelowanej w swoje gardło strzelby!” oraz przed najokazalszym plakatem, który był rozlepiony na murach i płotach całego Okręgu Zachodniego i informował o występach Wielkiego Cyrku Australijskiego: „Plejada znakomitych komików! Rycerze Palestyny! Olbrzymi namiot mieszczący aż sześćset osób! Najlepsza objazdowa orkiestra dęta! Australijscy bardowie śpiewający cudowne pieśni w przerwach pomiędzy oryginalnymi i interesującymi pokazami! Nasz cyrk jako jedyny szczyci się trupą japońskich iluzjonistów! Z dumą prezentujemy po raz pierwszy w Australii numer na trapezie, samego Monsieur Leotarda, który będzie wykonywał ćwiczenia bez żadnych materaców zabezpieczających! Cyrk wystąpi w piątek 10 kwietnia 1880 roku w Cameron Town”.

– Spójrz, ciociu Paulino! – zawołała Persephone, wskazując mężczyznę w kraciastej marynarce. Stał na podwyższeniu i nawoływał publiczność. Za jego plecami wisiała kurtyna, na której było wymalowane niebo, chmury i rozległe zielone równiny. Towarzyszył mu człowiek, którego osobliwy wygląd przykuwał zdumione spojrzenia wszystkich dzieci.

Paulina przystanąła, choć nie wódz Buffalo, „prawdziwy Indianin z Ameryki” w spodniach z kozłej skóry i w okazałym pióropuszu ją zainteresował, lecz człowiek z sąsiedniego namiotu. Zachęcał widzów, by za jednego pensa zobaczyli „Pannę Sylve Starr, australijską Wenus”, będącą pierwowzorem słynnego posągu Lindstroma, w takiej samej pozycji, w jakiej pozowała artyście. „Przekonacie się sami, że tylko dzięki jej urodzie

rzeźbiarz mógł stworzyć tak sensacyjne dzieło”. Za plecami mężczyzny wisiał olbrzymi plakat przedstawiający pannę Starr w dwóch ujęciach – po prawej stronie w czerwonej sukni o nieprawdopodobnie wąskiej talii i dużym dekolcie, a po lewej jako posąg Wenus z kwiatami zakrywającymi jej nagość. Pomiędzy dwiema podobiznami figurowała lista „znakomitych wymiarów panny Starr” – od nosa po stopy. Uwagę Pauliny przykuła nie tyle uroda panny Starr, ile tłum mężczyzn, chcących kupić bilety na jej pokaz. Paulina dostrzegła zafascynowanie, z jakim przyglądali się plakatom z wizerunkiem kobiety. Przypomniała sobie, że jej kiedyś też posyłali podobne spojrzenia. Powoli jednak zainteresowanie jej osobą malało i spostrzeżenie to raz jeszcze uświadomiło Paulinie upływ czasu.

Znowu pomyślała o Johnie Priorze. Wiedziała, że jej pożąda, lecz nie chciała się z nim kochać. Przeżycie przygody miłosnej nie stanowiło dla niej problemu: miała dostatecznie dużo wielbicieli. Niejeden mężczyzna dawał jej do zrozumienia, że chętnie utrzymywałby z nią intymne stosunki. I zdarzały się takie momenty, na przykład podczas balu, gdy odurzona szampanem wirowała na parkiecie w silnych ramionach wysłuchując składanych szeptem podniecających propozycji i zastanawiała się, czy ulec pokusie i pojechać do wiejskiego zajazdu albo wybrać się na długą przejażdżkę powozem. Ale przedmiotem pragnień Pauliny nie był seks. Colin zaspokajał ją pod tym względem. Potrzebowała miłości i własnego dziecka.

A jedynym mężczyzną, którego pożądała, był oczywiście Hugh Westbrook. Spotkanie z Johnem Priorem sprawiło, że dawne uczucia znowu powróciły, po wielu latach wypierania się ich i po niezliczonych próbach pogrzebania bolesnych wspomnień. W towarzystwie biznesmena z Sydney czuła się, jakby znowu była z Hughiem. Prior rozniecił w niej dawną miłość i na nowo zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby poślubiła Hughę. Czy miałyby dzieci?

– Wreszcie panią znalazłam, pani MacGregor – dopadła ją pani Purcell, przełożona sierocińca. Niosła dwa kubki z herbatą.

– Ogromnym sukcesem zakończyła się sprzedaż dzieł sztuki – stwierdziła. – Za te pieniądze będziemy mogli kupić pięć nowych łóżek do Domu Sierot. A jak się mają sprawy na strzelnicy? Mam nadzieję, że czasami zajrzy pani do nas z wizytą. Dzieci tak bardzo potrzebują miłości i troski.

Paulina zbierała na sierociniec pieniądze i podpisywała czek, ale jak dotąd jej noga tam nie postąpiła.

Rok temu pani Purcell miała czelność zasugerować, żeby Paulina zaadoptowała któreś z dzieci. Każdy wiedział, kim naprawdę były – bękartami porzuconymi na schodach sierocińca przez matki, które się ich wyrzekły. A Paulina nie chciała wychowywać dziecka innej kobiety. Pragnęła mieć własne.

Wróciła na strzelnicę i podała Louisie szklanekę zimnej lemoniady, którą przyjaciółka przyjęła z wdzięcznością.

– Mój Boże, co za potworny skwar!

Fakt, że Louisa dotychczas nie zemdląca w zbyt ciasnym gorsecie pod ciężką jedwabną suknią, Paulina uznała za prawdziwy cud. Przy każdym ruchu przyjaciółki rozlegał się trzask

fiszbinów, a materiał w miejscach pod pachami był ciemny od potu.

– Zazdroszczę ci szczupłej figury, Paulino – rzekła Louisa nie bez nuty zawiści w głosie.  
– Zawsze wyglądasz nienagannie, jak gdyby upał w ogóle nie robił na tobie wrażenia. Spójrz na moją tuszę. Oto rezultat licznych ciąż! Próbowałam się trochę odchudzić, ale to trudne, zważywszy, że codziennie muszę dopilnować trzech posiłków dla ośmiu osób!

Paulina pozbierała łuki oraz strzały i poukładała je na drewnianym pulpicie strzelnicy.

– Szczęściara z ciebie – kontynuowała swój wywód Louisa. – Judd jada w szkole, a Colin często stołuje się w klubie. Możesz się wystrzegać pokus.

Ale Paulina nie słuchała przyjaciółki. „Wiem, że Colin jest zdolny do miłości – myślała. – Kiedy wychodziłam za niego za męża, byłam pewna, że nie jest w stanie nikogo ponownie pokochać. Sądzę jednak, że jest mężczyzną uczuciowym. „Miała okazję się o tym przekonać, gdy dziewięć lat temu złożyła wizytę Christinie. Zastała go wtedy przy boku młodej żony. Był czuły, zatroskany i pełen poświęcenia. To źródło uczucia musiało tkwić w nim gdzieś nadal. Czyżby początkowo błędnie Colina oceniała? Pewnie wina leżała po jej stronie, nie potrafiła do niego dotrzeć. Może jego uczucie wciąż na nią czekało?

– Spójrz tylko na tę dziewczynę! Jestem gotowa przysiąc, że w ciągu godziny znowu urosła!

Paulina się obejrzała. Do strzelnicy zbliżała się najstarsza córka Louisy, Minerva. Była wysoką, niebieskooką dziewczyną o bujnych włosach i zmysłowych ustach. Miała prawie szesnaście lat i Paulina widziała, jak odwracają się za nią wszystkie męskie głowy.

– Cieszy się już względami wielu adoratorów – stwierdziła Louisa, wymachując wachlarzem. – Twierdzą jednak, że jest o wiele za młoda, by myśleć o zamążpójściu. Chociaż ja miałam osiemnaście lat, gdy poślubiłam Hamiltona, a Minerva osiągnie ten wiek już za dwa i pół roku. – Roześmiała się. – I pomyśleć, że teraz, gdy wreszcie mam za sobą problem rodzenia dzieci, muszę zacząć przygotowywać się do roli babci!

Paulina miała ochotę nakazać Louisie Hamilton, aby zamilkła. Powstrzymała się jednak, skupiając uwagę na swoich planach związanych z Colinem. Obmyślała sposób nakłonienia go do pokochania jej i spłodzenia dziecka.

Colin stał w drzwiach gabinetu, które wychodziły na ogród. Głęboko wciągnął w płuca suche, gorące powietrze. Nastął kwiecień, a noce wciąż były ciepłe jak w styczniu. Podobnie jak i inni hodowcy w Wiktorii Colin modlił się o to, by susza nie odbiła się niepomyślnie na tegorocznej strzyży. Na światowym rynku spadły ceny wełny. Dwadzieścia lat temu za funt tego surowca płacono dwadzieścia dwa centy, obecnie – zaledwie dwanaście. Zwiększenie rocznych zysków Kilmarnock stawało się z każdym rokiem coraz trudniejsze. A teraz jeszcze na dodatek panowała susza.

Colin przyjrzał się swojemu odbiciu w okiennej szybie i dostrzegł twarz swojego ojca, dwunastego dziedzica Kilmarnock – przystojnego mężczyzny o ostrych rysach, na którego spojrzenie służący milkli, a kobiety drżały. Była to twarz udzielnego władcy. Colin nie mógł się z nim równać. Fortuna, jakiej się dorobił, była niepewna. W dużej mierze zależała od deszczu i od suszy, od owiec i od trawy, a suwerenności jego wielkiego gospodarstwa – liczącego ponad dwanaście tysięcy hektarów – nie gwarantowały prawa dziedziczne i



szlacheckie, tak jak to miało miejsce w przypadku posiadłości jego ojca; zagrażały jej kaprysy pogody i ekonomii. Colin wiedział, że jeśli nie zachowa dostatecznej czujności, może wszystko stracić.

Pomyślał o Hughu Westbrookowi. Pomimo niepowodzeń spowodowanych suszą Westbrook dzięki nowej odmianie owiec odniósł w tym roku finansowy sukces.

Gdy Hugh wprowadził nową rasę baranów do swego stada, Colin publicznie się z niego wyśmiewał. „Nigdy mu się to nie uda – powiedział do Johna Reeda i Angusa Hamiltona. – Każdy głupiec wie, że na zachód od Darling Downs nie da się hodować owiec. „ Ale nowe stado w Merindzie zapowiadało się obiecująco. Niektórzy hodowcy kupowali od Hugh'a tryki i krzyżowali je z nagrodzonymi na pokazach samicami. Potem przeprowadzali dokładną selekcję i eliminowali słabsze zwierzęta, dopóki stado nie było mocne. Już trzecie pokolenie nowej odmiany owiec wypasano na ziemiach, na których nigdy przedtem nie prowadzono hodowli, a o rasie z Merindy było głośno od Coleraine po Barcoo.

A w Colinie narastała zawiść.

Gdy wszedł w posiadanie bezużytecznych dwóch tysięcy hektarów u podnóża gór, zwałił płot wzdłuż granicy z Merindą. Sądził, że szczęście jest po jego stronie, ponieważ stado Westbrook'a zginęło w rzece. Ale po tym incydencie ludzie w okręgu zaczęli na niego krzywo patrzeć i musiał trochę okiełznać żądzę władzy i zemsty. Nigdy jednak nie zapomniał Westbrookowi tego, że powstrzymał Joannę przed niesieniem pomocy umierającej Christinie. Uzbroił się w cierpliwość. „Westbrook prędzej czy później będzie cierpiał tak samo, jak ja kiedyś cierpiałem – pomyślał ponuro. – I równie wielkie będzie jego poczucie straty. „

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł z czapką w dłoni Locky McBean, dawny zarządca Colina.

– Dobry wieczór, panie MacGregor. Właśnie wróciłem.

– Widzę. Jakie przywozisz wieści?

Locky kilka lat temu awansował ze stanowiska zarządcy w Kilmarnock na egzekutora dzierżaw z gospodarstw należących do MacGregora. Niektóre rodziny dzierżawiły ziemię od Colina i oddawały mu prawie cały zysk, zatrzymując dla siebie tylko niewielki procent od sprzedaży wyprodukowanych dóbr. Inni kupowali od niego małe farmy i regularnie spłacali dług hipoteczny plus procent od zysku uzyskanego ze strzyży. Zadaniem Locky'ego było dopilnowanie, żeby każdy punktualnie wywiązał się z płatności i żeby nikt nie próbował MacGregora oszukać. Nawet w tak ciężkich jak obecnie czasach Locky wymagał terminowej zapłaty od najuboższych farmerów.

Wydobył sfatygowaną księgę i położył ją na biurku przed Colinem.

– Będzie musiał pan podwyższyć obciążenie hipoteczne Drammondów – stwierdził, wskazując brudnym palcem jedną z rubryk.

– Dlaczego?

– Z powodu suszy ich owce mają słabą wełnę. Zysk ze strzyży będzie w tym roku niższy i poniesie pan z tego tytułu stratę.

Powszechnie stosowaną praktyką wśród właścicieli ziemskich było podwyższanie stopy procentowej od hipoteki w sytuacji, gdy dzierżawcy nie uzyskiwali oczekiwanych rocznych

zysków ze strzyży. Problem polegał jednak na tym, że gospodarze, tacy jak Drummondowie, aby zapłacić wyższe oprocentowanie długu hipotecznego, musieli obniżyć koszty produkcji – zwykle przez zwalnianie dodatkowej siły roboczej, co powodowało w okolicy wzrost bezrobocia.

– Wyznacz mu termin jednego miesiąca – polecił Colin. – Jeśli nie zapłaci, wyrzuc go z farmy.

– Drummondowie mają ośmioro dzieci.

– Nic mnie to nie obchodzi. Czego dotyczy kolejna sprawa?

Spędzili kilka minut przeglądając rachunki i Locky zasugerował, aby wyeksmitować z gospodarstw jeszcze kilka rodzin. Byli to farmerzy, którzy w przeciwieństwie do Drummondów spodziewali się w tym roku niezłych zysków i po sprzedaży wełny lub pszenicy dysponowaliby wystarczającą gotówką na spłacenie długu hipotecznego. Powszechnie stosowaną przez Colina praktyką w takich wypadkach było jednak żądanie natychmiastowego uiszczenia należności, przed okresem strzyży oraz przed żniwami, i wyrzucanie rolników wraz z ich rodzinami z gospodarstw. W ten sposób w rękach Colina zostawał kapitał zainwestowany w farmy przez dzierżawców. MacGregor ponownie odsprzedawał gospodarstwa innym, pełnym złudzeń ludziom, którzy zaoszczędzili trochę pieniędzy i marzyli o posiadaniu własnej ziemi. A potem ich wyrzucał, gdy byli bliscy nabycia do niej praw. Wykorzystywał tę śmiesznie prostą metodę pomnażania pieniędzy i gardził innymi właścicielami ziemskimi, którzy jej nie stosowali. Była przecież całkowicie legalna.

Po wyjściu McBeana sięgnął po list od matki, który otrzymał dzisiaj rano ze Szkocji, i ponownie odczytał zdanie o doniosłym znaczeniu: „Twój ojciec jest ciężko chory. Moim życzeniem jest, abys wrócił do domu”.

„Do domu” – pomyślał Colin z goryczą. Wcale nie chciał porzucić ziemi, na której się urodził. Prawdę mówiąc, próbował pojednać się z ojcem siedem lat temu, gdy w czasie miodowego miesiąca przywiózł Paulinę na Skye. Sir Robert nie chciał ich przyjąć. Nie mógł zapomnieć słów, które usłyszał od syna wiele lat temu, gdy posprzecwali się w kwestii usunięcia farmerów z gospodarstw w celu wprowadzenia bardziej dochodowej produkcji baraniny. Colin wzgardził wtedy dziedzictwem i pożegłował do Australii. Oboje z Paulina spędzili na wyspie dwa tygodnie. Spacerowali po brzoźowych i olszynowych lasach, jeździli konno po wrzosowiskach, gdzie wypasały się czarne owce, polowali w otaczającym zamek dąbrowach, łowili ryby w jeziorze Kilmarnock, odkrywali porośnięte mchem celtyckie krzyże i grobowce oraz wryte na nich nieczytelne już napisy i jadali kolacje w towarzystwie lady Anny. A potem wyjechali, skracając wizytę, podczas której ani razu nie widzieli się z sir Robertem.

Colina wyrwało z rozmyślań ponowne pukanie do drzwi. Tym razem pokazał się w nich Judd w mundurku szkoły rolniczej w Tongarra – szarych flanelowych spodniach i granatowym blezerze. Chłopiec był wysoki i wąty. Miał jedwabiste platynowe włosy i jasnoniebieskie oczy.

– Czy mogę z tobą zamienić słowo, ojczu? – spytał. Colin ucieszył się na widok Judda.

– Oczywiście, synu, wejdź.

Młodzieniec zamknął za sobą drzwi, lecz nie wszedł w głąb pokoju. Wolałby porozmawiać z ojcem w innym miejscu, na przykład w salonie, gdzie historia i umarli nie byli tak natrętnie wszechobecni. Judd wciąż czuł trwogę w gabinecie ojca. Starał się nie patrzeć na najnowszą makatkę lady Anny. Wisiała za szkłem na ścianie i był na niej wyszyty wiersz o „nawiedzanym przez duchy kościele w Kilmarnock”, skąd „nocami dobiegają jęki upiorów i zjaw”. Judd wolał ballady Hugh’a Westbrooka, których tematem były bezkresne australijskie pustkowia, złote słońce, rozświetlone niebo i pełni temperamentu ludzie, którzy nie bali się duchów ani legend.

– O co chodzi, Judd? – spytał Colin, nalewając sobie whisky. Z niecierpliwością wypatrywał dnia, kiedy będzie mógł wprowadzić syna do klubu w mieście i po raz pierwszy wypić z nim drinka.

– Proszono mnie, abym podjął decyzję, ojcze. Wkrótce będę miał szesnaście lat, a za rok zakończę objęty programem kurs. Ale gdybym miał zostać w szkole, zapiszą mnie na specjalny...

Colin uniósł dłoń.

– Dobrze znasz moje zdanie w tej sprawie, Judd. Przecież już o tym rozmawialiśmy. Chcesz jeszcze raz przedyskutować ten problem?

– Uważam, że jesteś niesprawiedliwy, ojcze.

– Judd – rzekł Colin, uśmiechając się z pobłażliwością. – Nie możesz jeszcze wiedzieć, czego naprawdę chcesz. Masz zaledwie piętnaście lat.

– Wkrótce skończę szesnaście. Czy nie wiedziałeś, gdy byłeś w moim wieku, czego chcesz?

Uśmiech Colina stał się smutny i pełen mądrości.

– Wydawało mi się tylko, że wiem. Ale byłem młody, niedoświadczony i popełniałem wiele błędów. Chcę cię przed nimi ustrzec.

– Wolałbym, żebyś mi je pozwolił popełnić.

W przeblýsku pamięci Colin ujrzał chmurną twarz sir Roberta.

– Błędy niosą ze sobą ból – wyznał synowi. – Pragnąłbym zaoszczędzić ci cierpienie, które stały się moim udziałem. Czasami żałuję, że ci ustąpiłem i zdołałeś wymusić na mnie zgodę na pójście do szkoły w Togarra. Powinienem być cię wysłać na naukę do Anglii, tak jak to wcześniej zaplanowałem. Myślałem jednak, że zdobyta przez siebie wiedza w szkole rolniczej może być pożyteczna dla Kilmarnock. Teraz widzę, że się myliłem.

– Ależ ojcze, to wspaniała szkoła! – zapewnił chłopiec żarliwie. – Sądzę, że któregoś dnia zdołam wykorzystać to, czego się w niej nauczyłem, i wyhoduję nową odmianę pszenicy, która będzie dawała plony w suchym i gorącym klimacie.

– Masz zostać hodowcą owiec, a nie producentem zboża, Judd. – Colin położył rękę na ramieniu syna. – Dlaczego się wiecznie spieramy? Czy nie widzisz, że mam jedynie na uwadze twoje dobro? Nie dopuszczę do tego, żebyś się poniżał, wykonując zawód nauczyciela.

– Nie zamierzam być nim do końca życia, ojcze. Chcę zostać naukowcem.

Colin pokręcił głową. Skąd się wziął w tym chłopcu tak wielki upór? Nagle zobaczył siebie w podobnym gabinecie, mieszczącym się w olbrzymim kamiennym zamku, jak stoi przed mężczyzną o surowym wyrazie twarzy. I usłyszał słowa ojca: „Pewnego dnia będziesz dziedzicem Kilmarnock. Nie zezwalam na twój wyjazd do Australii”.

„Nie, to była inna sytuacja. Musiałem opuścić Szkocję” – pomyślał Colin.

– Judd – zwrócił się do syna. – Zbudowałem tę farmę dla ciebie. W dniu twoich narodzin poprzysiągłem sobie, że kiedyś przekazę ci prawdziwe imperium. A ty masz czelność mi mówić, że zadowala cię pozycja zwykłego belfra?

– Wcale mnie nie zadowala, ojcze. Jest mnóstwo rzeczy, których się pragnę nauczyć, a także...

– Pewnego dnia zostaniesz dziedzicem Kilmarnock, Judd...

– Nie jestem szkockim lordem, ojcze, i nigdy nim nie będę. Chłubię się tym, że jestem Australijczykiem.

Colin nie chciał słuchać dłużej. Kto chłopcu wbił do głowy takie poglądy? Począwszy od dnia, kiedy Judd zaczął cokolwiek rozumieć, Colin opowiadał mu o domu na Hebrydach. Opisywał piękno wyspy Skye, wiecznie zachmurzone niebo, łąki niczym gruby zielony aksamit, jeziora o barwie płynnego ołowiu, urwiste szczyty i wałace się chałupy zagrodników. Mówił mu o wiekach historii nierozzerwalnie związanej z tą ziemią. Uczył syna wierności i miłości do siedziby swoich przodków w Kilmarnock oraz do ich wspólnej ojczyzny – Szkocji.

W którym miejscu popełnił błąd, że nie zdołał wpoić synowi celtyckiej dumy? Bohaterami dzieciństwa Judda powinni być walczący o wolność Szkocji William Wallace i Robert Bruce, a nie skazany za rebelię Parkill i banita o nazwisku Kelly, zesłani przed laty do Australii.

Paulina przechodziła korytarzem obok gabinetu Colina. Zza zamkniętych drzwi dobiegły ją podniesione glosy. Wypatrywała właśnie dogodnego momentu na przeprowadzenie rozmowy z mężem i nakłonienie go do wspólnych wakacji w jakimś romantycznym miejscu. Przystanęła i przez chwilę nasłuchiwała.

Colin znowu się kłócił z Juddem.

Paulina czasami żałowała, że chłopiec nie jest jej rodzonym synem. Ten wysoki przystojny młodzieniec, bardziej podobny do matki niż do ojca, był bardzo inteligentny i ujmujący. Paulina starała się, zwłaszcza na początku, zastąpić mu matkę. Ale najwidoczniej żadne z nich nie mogło zignorować faktu, że Judd był synem innej kobiety. Paulina czuła się przy nim dziwnie skrępowana, a chłopiec to wyczuwał. Zwracał się do niej po imieniu i przedstawiał przyjaciółom jako żonę swojego ojca. Bywały jednak chwile, kiedy Paulina wolałaby, żeby ją nazywał matką, przynajmniej przy obcych.

Uchyliła drzwi i przyglądała się mężowi, który podszedł do barku i nalewał sobie whisky. W wieku czterdziestu ośmiu lat Colin wciąż miał imponującą sylwetkę i był w doskonałej fizycznej formie, a siwe nitki w jego czarnych włosach dodawały mu tylko urody. Paulina przypomniała sobie ogromne pożądanie, jakie wzbudzał w niej podczas miodowego miesiąca. Tak boleśnie tęskniła za jego pieszczotami! Co się stało z dawną namiętnością?

W którym momencie Colin stał się dla niej jedynie współlokatorem?

Powróciła myślami do Johna Priora. Mężczyzna ten obudził w niej dawne uczucia, jakie żywiła niegdyś do Hugh'a Westbrooka – nie tylko cielesne żądze, lecz także czułość i serdeczność.

Dobiegły ją słowa Colina:

– Żaden MacGregor z Kilmarnock nie był nauczycielem i nigdy nie będzie!

– Ależ ojciec... – zaprotestował Judd.

– Dobry Boże! Co by na to powiedziała matka?

– Paulina nie jest przeciwna mojej decyzji...

– Nie mówię o niej! Mam na myśli twoją prawdziwą matkę! Paulina zamarła. Powoli zamknęła drzwi i została znowu sama wśród ścielących się po korytarzu cieni.

A zatem Colin był przepojony miłością, tak jak przypuszczała. Tyle że to uczucie nie było przeznaczone dla niej. To oczywiste. Christina wciąż była panią jego serca. I Paulina uświadomiła sobie, że prawdopodobnie pozostanie nią na zawsze.

Utkwiła wzrok w cieniach, jak gdyby od nich oczekiwała rady. Pragnęła własnego dziecka. Pomyślała o Johnie Priorze. A potem o Hugh'u Westbrooku.

Wybierając się z pierwszą od dziewięciu lat wizytą do Merindy, Paulina chciała wyglądać możliwie jak najlepiej i dlatego ubrała się z wielką starannością. Nie była zdenerwowana ani zniecierpliwiona. Wręcz przeciwnie. Stwierdziła, że jest bardzo spokojna. „Zdesperowana kobieta chwyta się każdego, nawet najbardziej rozpaczliwego środka” – pomyślała.

Od chwili pierwszego spotkania z Johnem Priorem nie mogła oderwać myśli od Hugh'a Westbrooka. Snuła rozważania, co by się stało, gdyby tak głupio nie odstępowała go innej kobiecie. Zastanawiała się, jak wyglądałoby synowie i córki jej i Hugh'a. Myślała o pustym pokoju dziecinnym obok swojej sypialni, o chwilach rozczarowania każdego miesiąca i o narastającym, rozpaczliwym pragnieniu urodzenia dziecka, nim przeminają jej płodne lata.

Przejrzała się w lustrze. „Nadał piękna” – oto jak opisywano ją w prasie. Paulina wiedziała, że niebawem w jej blond włosach pojawią się srebrne pasma. „Kobiecie do twarzy z siwizną, jeśli dokonała czegoś w życiu” – pomyślała.

A jakimi osiągnięciami ona się mogła poszczycić w wieku trzydziestu trzech lat? Miała gablotę wypełnioną trofeami – pucharami i statuetkami. Były błyszczące, lecz zimne. Nie można ich było przytulić ani pokochać i nie odwzajemniały miłości. O ile większą przedstawiałyby dla niej wartość, gdyby miała komu je zostawić. O ile bardziej satysfakcjonowałyby ją jeździeckie i łucznicze sukcesy, gdyby mogła przekazać swoje umiejętności córce. Życie wydawało się teraz Paulinie jałowe i bezcelowe.

Na jej toalecie leżał najświeższy egzemplarz „Timesa”. Przeczytała list, zamieszczony na ostatniej stronie gazety:

„Najwyższy czas, żebyśmy przestali myśleć o sobie jako o mieszkańcach Wiktorii, Queenslandu czy Nowej Południowej Walii. Zacznijmy się uważać za Australijczyków – napisał w nim Hugh Westbrook. – Anglia nie jest już naszym domem i nie za oceanem powinniśmy szukać oparcia. Pora, żebyśmy weszli w następny wiek jako zjednoczeni obywatele tego kontynentu”.

Paulina słyszała, że Hugh opowiada się za utworzeniem federacji australijskich kolonii.

Od kiedy przybył na ten kontynent pierwszy biały człowiek, Australia została podzielona na sześć niezależnych od siebie terytoriów, a przejawem braku jakiegokolwiek współpracy pomiędzy nimi był odrębny dla każdej kolonii system pocztowy, oddzielna armia i marynarka wojenna, wprowadzanie wysokich ceł importowych na towary sprowadzane z sąsiedniej jednostki administracyjnej, a nawet inny rozstaw szyn kolejowych. Wszystko to, zdaniem Hugh'a, działało przeciwko interesowi całej Australii. „To absurdalne – napisał w gazecie – że gdy człowiek wybiera się w podróż z Nowej Południowej Walii do Wiktorii, musi przestawiać zegarek. W rywalizacji pomiędzy koloniami prześcigamy nawet narody Europy. Szczery patriotyzm Hugh'a napęłniał Paulinę dumą i jeszcze bardziej ją do niego przyciągał.

Powziąwszy decyzję, wstała od toaletki. Nie miała żadnych wątpliwości ani obaw w związku ze swoją wizytą w Merindzie. Musiała tam pojechać. W ciągu siedmiu lat małżeństwa z Colinem nie doczekała się dziecka. Schadzka z Johnem Priorem – mężczyzną, który ją podniecał, ale którego nie kochała – z wielu względów nie wchodziła w rachubę. Jej marzenia ziszczą się w Merindzie.

\*

Hugh zajechał na podwórze, zostawił konia pod opieką chłopca stajennego. Na miejscu dawnego frontu budynku znajdowała się teraz boczna weranda. Starą chatę przerobiono na kuchnię, w której oknach wisiały ciężkie zasłony z zielonego brezentu, chroniące przed ostrymi promieniami zachodzącego słońca. Hugh wszedł przez bramę w żywopłocie do małego ogrodu przed frontem nowego budynku, który został postawiony, gdy stary okazał się dla Westbrooków za ciasny, a nie stać ich jeszcze było na kontynuację budowy nad rzeką. Dwa domy były ze sobą połączone zadaszonym pasażem. Nowy był skromny, miał wysoki dach w kształcie piramidy, który w gorące dni zapewniał cyrkulację powietrza, oraz bardziej przestronną werandę z wiklinowymi meblami i kwiatami w doniczkach.

Joanna była na trawniku przed domem. Siedziała na stołku w pełnym blasku słońca i szcztokowała świeżo umyte włosy. W tym odosobnionym miejscu pozwoliła sobie na rozpięcie górnych guzików bluzki i podwinięcie rękawów. Hugh patrzył na żonę z miłością. Po ośmiu latach małżeństwa jej widok wciąż go podniecał, nawet podczas prozaicznych zajęć, jak choćby mycie włosów. Gdy po raz pierwszy zastał Joannę przy cotygodniowych ablucjach, wziął ją na ręce i zaniósł do domu, do łóżka. Przypominał sobie, jak wilgotne kosmyki przylepiały się do jej nagich ramion. I teraz też miał ochotę to zrobić. Ale w ciągu ośmiu lat ich sytuacja uległa zmianie. Nie mogli już zachowywać się tak swobodnie jak niegdyś. Z drugiej strony werandy dobiegły Hugh'a głosy Adama i Beth, w oknie salonu mignęła sylwetka pokojówki, która coś czyściła, a w drodze do domu natknął się na parobka.

Zawołał żonę, wymachując plikiem korespondencji, którą przywiózł z Cameron Town.

Usiedli na werandzie. Joanna poprosiła służącą o herbatę. To był ich codzienny rytuał – przerwa w pracy, czytanie poczty i dzielenie się najświeższymi wiadomościami. Ta spokojna godzina należała tylko do nich dwojga.

– Jest odpowiedź z Karra Karra – stwierdziła Joanna, gdy zapięła bluzkę i odwinęła rękawy. Tylko włosy pozostawiła rozpuszczone, aby wyschły.

Przed wyjazdem z Melbourne, zaraz gdy odkryła nazwę Karra Karra w broszurze Adama, usiadła i napisała do misji. Wyjaśniła w liście powód swojego zainteresowania tym miejscem i zapytała, czy w tamtejszych rejestrach nie figurują osoby o nazwisku Makepeace. Gdy czytała odpowiedź nadesłaną przez pana Williama Robertsona, dyrektora misji, Hugh przeglądał swoją pocztę.

– Dobre nowiny! – rzekł po chwili. – McNeal się odezwał. Zapowiedział swój przyjazd zaraz po zamknięciu wystawy, to jest za miesiąc. Oznajmił, że nie musi natychmiast wracać do Ameryki i może od razu przystąpić do budowy naszego nowego domu. Odpiszę mu i zaproponuję, by oboje z żoną zatrzymali się u nas. Mamy przecież dużo miejsca, a hotel w mieście jest bardzo drogi. Po co narażać go na niepotrzebne „wydatki? – Spojrzał na Joannę.  
– Jakie wieści nadeszły z misji?

– Niewiele dowiedziałam się od dyrektora – stwierdziła, ponownie przebiegając wzrokiem list. – Trochę mnie to dziwi. Słowem nie wspomniał o dziadkach ani nie odpowiedział na żadne z moich pytań. Ale zaprosił nas, żebyśmy przyjechali w dogodnym czasie.

– Może ma tak wiele do powiedzenia, że woli osobiście przekazać wszystkie informacje.

– Być może – zgodziła się, chowając list do koperty. – Sądziś, że misja ta jest miejscem, którego szukam? Wciąż mam wątpliwości.

– Przekonamy się, gdy tam pojedziemy – rzekł Hugh. W bramie żywopłotu pojawił się Jacko, zarządca Merindy.

– Mamy kłopoty, Hugh. Odwiert szósty i siódmy się zamulił.

– Już idę – powiedział Hugh, podnosząc się z miejsca i wkładając kapelusz. – Zaraz sprawdzimy, co się da z tym zrobić. – Pocałował Joannę w policzek. – Postaram się wrócić na kolację, ale może będę tam musiał zostać na noc.

– Przyślę do ciebie PingLi z koszykiem, jeśli się nie pokażesz.

Odprowadziła Hugh'a wzrokiem, a potem znowu sięgnęła po tajemniczy list z misji Karra Karra. Nagle na tle wysokiego żywopłotu spostrzegła ze zdumieniem sylwetkę kobiety. Jej zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy stwierdziła, że gościem jest Paulina MacGregor.

– Proszę, wejdź, Paulino. Obawiam się, że minęliście się z moim mężem.

– Wiem. Czekałam, aż odjedzie. Chciałam się spotkać z tobą.

– Wejdź do środka – zaproponowała Joanna. – W salonie jest chłodniej. Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję – odparła Paulina, wchodząc do mrocznego wnętrza, które pachniało pastą o woni świeżej cytryny i jesiennymi kwiatami. Gdy ostatnim razem złożyła Hughowi wizytę, wnętrze jego chaty było surowe i niemal bezosobowe. Teraz miał przyzwoity dom – skromny, lecz bardzo zadbane i ozdobiony winoroślą oraz kwitnącymi krzewami. W niewielkim saloniku znajdowały się nowe meble, turecki dywan o jaskrawych barwach, abażury z frędzlami, fotografie w ramkach i koronkowe firanki. I Paulina raz jeszcze rozważała: „Co by było, gdyby... „

– W czym mogę pomóc? – zapytała Joanna.

Wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy widziały się po raz ostatni. Paulina pomyślała, że

Joanna wygląda bardzo młodo. Przypomniała sobie, że żona Hugh'a nie ma jeszcze trzydziestu lat. A z rozpuszczonymi włosami wydawała się nawet młodsza.

– Przyjechałam tu w osobistej sprawie i sama nie wiem, od czego zacząć.

Joanna czekała, siedząc w milczeniu.

– Powiedziano mi, że jesteś dyskretna – rzekła bez ogródek Paulina, mocno zaciskając na kolanach dłonie w rękawiczkach.

– Masz moje słowo, że cokolwiek powiesz, nie wydobędzie się poza ściany tego pokoju.

– Wobec tego od razu przystąpię do rzeczy. Z pewnością wiesz, że jestem od siedmiu lat mężatką i dotychczas nie doczekałam się dziecka. Słyszałam, że dzięki twojej radzie Verita McManus zaszła w ciążę, choć lekarze i Poll Gramercy nie robili jej żadnych nadziei. Czy możesz mi pomóc?

– Niewykluczone, że będę mogła – rzekła Joanna. – Ale najpierw muszę podjąć próbę rozpoznania przyczyny twojej bezpłodności. Bardzo często powodem jest drobny błąd w postępowaniu.

– Zanim zastanowimy się nad tym, muszę ci o czymś powiedzieć...

Paulina rozejrzała się po salonie, który mógł być jej własnym. Zatrzymała wzrok na portretach dziewczynki i chłopca, na wazonie z kwiatami, który stał na eleganckiej serwantce, oraz na leżącej na półce Biblii. Z kuchni dochodziła domowa krzątanina, a z werandy głosy nawołujących się dzieci. W porównaniu z tym miejscem Kilmarnock kojarzyło się z muzeum – nie było domem, lecz składnicą pamiątek.

– Przez te wszystkie lata czułam się urażona – wyznała Paulina, patrząc na Joannę. – Uważałam, że ukradłaś mi Hugh'a. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że on prawdopodobnie nigdy do mnie nie należał. Szczególnie w pierwszym roku po epidemii tyfusu żywiłam do ciebie bardzo nieprzyjemne uczucia. I właśnie wtedy zrobiłam coś, czego się do dzisiaj wstydzę.

Joanna obrzuciła Paulinę nieodgadnionym spojrzeniem. Obie unikały się nawzajem przez tak wiele lat, że poufny ton rozmowy i nieoczekiwane zwierzenia rywalki wprawiły ją w zakłopotanie.

– Mam na myśli dwa tysiące hektarów graniczące na północy z Merindą. Ta ziemia należała do mojego brata. Dobrze wiedziałam, że Colinowi na niej zależy. Była częścią planu zemsty, jaką poprzysiągł Hughowi po śmierci Christiny. Zaproponowałam ją Colinowi, ponieważ chciałam, żeby się ze mną ożenił. Nie wiedziałam dokładnie, co knuje. Przykro mi, że oboje z Hughiem ponieśliście podczas burzy tak ogromne straty.

Joanna słuchała ze zdumieniem.

– Nie pojmuję. Doszły mnie plotki o zemście twojego męża, ale za co miałby się mścić?

Paulina opowiedziała jej o okolicznościach śmierci Christiny i o obietnicy Hugh'a, że Joanna przyjedzie do Kilmarnock, gdy tylko się obudzi.

– Skłamałam – wyznała. – Wtedy wiedziałam już, że straciłam Hugh'a, i nienawidziłam was obojga. Dlatego powiedziałam Colinowi, że odmówiłaś przyjazdu i udzielenia pomocy jego żonie.

– To dlatego obwiniał za jej śmierć Hugh'a i mnie.



– Tak.

– Rozumiem. – Joanna wstała i podeszła do kominka. Przesunęła palcem po jego obramowaniu i zanotowała w myślach, by zwrócić uwagę Peony, że znowu zapomniała powycierać kurze.

– Doceniam twoją szczerłość, Paulino – odezwała się po chwili.

– To była prawdziwa tragedia. W czasie burzy zginęło dwoje ludzi, a Hugh był bliski utraty życia. Merinda znalazła się wtedy w bardzo ciężkim położeniu, ale stopniowo jej sytuacja się poprawiała i obecnie jest całkiem pomyślna. No cóż, niektóre uczucia są niezależne od ludzi. Myślę, że powinniśmy postarać się zapomnieć o tej sprawie...

„Lecz nic już nie przywróci życia Larry’emu ani piętnastoletniemu chłopcu, którzy zginęli na skutek głupiej zemsty” – pomyślała z ciężkim sercem.

– Będę zmuszona zadać ci kilka bardzo osobistych pytań – uprzedziła Joanna, z powrotem siadając na krześle. Postanowiła, że później, gdy będzie sama, pomyśli o zwierzeniach Pauliny i zastanowi się, kiedy, w jaki sposób i czy w ogóle powie o nich Hughowi.

– Możesz mnie pytać, o co tylko chcesz.

– Czy często kochacie się z mężem?

„Czy się kochamy? – pomyślała kwaśno Paulina. – My tylko idziemy razem do łóżka i odbywamy stosunek. Miłość nie ma tu nic do rzeczy.”

– Raz w tygodniu – odparła.

– Czasami pozycja może mieć znaczenie przy zapłodnieniu. Czy zwykle leżysz na plecach?

Paulina poczuła, że się rumieni. Nawet lekarze, u których bywała, nie interesowali się tak intymnymi szczegółami jej małżeńskiego pożycia.

– Tak – rzekła.

Joanna miała kilka dalszych pytań: Czy Paulina wstaje z łóżka po stosunku? Czy zaraz potem się kąpie? I czy ma zwyczaj regularnego korzystania z prysznicu? A potem przystąpiła do wyjaśnień, dzieląc się z Paulina swoją wciąż jeszcze skąpą wiedzą na temat funkcjonowania kobiecego organizmu i tajemniczego procesu zapłodnienia.

Kupiła w Melbourne podręcznik zatytułowany „Współczesna ginekologia”. Został napisany w 1876 roku przez amerykańskiego lekarza światowej sławy, kilka lat po odkryciu ludzkiej komórki jajowej. Autor książki zakładał, że rozwój komórki jajowej podlega okresowym cyklom, które mogą być w jakiś sposób powiązane z cyklami menstruacyjnymi. W swoich rozważaniach posunął się nawet o krok dalej od innych uczonych, wysuwając sugestię, że miesiączki nie są wywoływane fazami księżyca, tak jak dotychczas powszechnie sądzono, ale że mają na nie wpływ czynniki fizjologiczne.

Choć teoria ta została zdecydowanie odrzucona przez społeczność lekarską, Joanna zastanawiała się, czy nie jest aby prawdziwa. Może istotnie w organizmie kobiety zachodzą regularne cykle, które da się przewidzieć? Pomyślała o farmerach hodujących owce. Skąd od wieków wiedzieli, że owce są płodne tylko w krótkim okresie w ciągu roku? A co więcej, potrafili ten okres przewidzieć i dopuszczali w tym czasie do samic barany. Czyżby również

kobieta była płodna tylko podczas kilku dni cyklu, które można określić i przedstawić na wykresie?

– Chciałabym cię prosić, żebyś prowadziła dziennik przez trzy albo cztery pełne okresy pomiędzy miesiączkami – zwróciła się do Pauliny. – Każdego dnia opisuj nawet co godzinę swoje samopoczucie. Dam ci termometr. Mierz codziennie temperaturę i nanosź ją na wykres. Odnotowuj każdą odczuwaną zmianę – zarówno fizyczną, jak i psychiczną. Rejestruj wszystkie swoje stany emocjonalne, bóle głowy i inne problemy. Może dostrzeżemy w nich jakąś prawidłowość. A dzięki temu być może zdołamy określić twój najbardziej płodny okres w cyklu.

– Zrobię tak, jak proponujesz.

– Nie mogę ci niczego zagwarantować, ale eksperymenty, przeprowadzone w związku z teorią cyklu zwanego owulacją, przyniosły obiecujące rezultaty.

Obie wstały z miejsc i patrzyły na siebie poprzez wypełniony pyłkami promień światła słonecznego.

– Pamiętaj też o poduszce pod biodrami i pozostań w pozycji na plecach jakiś czas po stosunku. I wystrzegaj się niektórych gatunków herbaty, przede wszystkim miętowej i jałowcowej.

Odjeżdżając z Merindy, Paulina analizowała w myślach zalecenia Joanny dotyczące prowadzenia kalendarza i sporządzania wykresów. I zastanawiała się: „A co z miłością?”

## ROZDZIAŁ 20

Sara stała przed lustrem i uważnie przyglądała się swojemu odbiciu. Przed chwilą wyszła z kąpieli i była naga.

W Merindzie lada moment spodziewano się McNeala wraz z małżonką. W domu trwały ostatnie przygotowania: Beth nakazywała Guzikowi, żeby był grzeczny, Adam dopytywał się Joanny, czy pan McNeal opowie mu o Ameryce, a Joanna zapewniała panią Jackson, kucharkę, że bezy brzoskwińowe okażą się wielkim kulinarnym sukcesem. Farma od wielu dni, to jest od czasu kiedy małżonkowie McNeal przyjęli zaproszenie Westbrooków, szykowała się na przyjęcie gości. Joanna zarządziła generalne porządki: razem z dwiema wynajętymi do pomocy dziewczynami z ogromną werwą sprzątała pokoje, jak gdyby chciała zrobić z wiejskiego domu wymuskany pałac. Pościągano firanki i dywany, podłogi zostały wyszorowane i wypolerowane, a pościel wyprana i wyprasowana. Nie było przedmiotu, który nie zostałby odkurzony, a gdy tego wymagał – naprawiony, wypucowany i z powrotem starannie odstawiony na miejsce. Dom pachniał cytrynową oliwą i wypiekami pani Jackson.

Ustalono, że na czas budowy McNealowie zamieszkają w Merindzie. Philip z żoną miał sypiać w łóżku Sary, która przeniosła się do pokoju Beth.

Sara słyszała, że wszyscy wyszli już na werandę, żeby powitać gości, lecz ona się nie spieszyła. Guzdrała się przy kąpieli, a teraz mitrężyła czas przed lustrem, mierząc krytycznym wzrokiem swoje obfite piersi i szerokie biodra. Myślała z niezadowoleniem o nadmiernej wybujałości odziedziczonej po matce budowy. Wołałaby mieć drobny biust Joanny i być równie szczupła.

Była zaskoczona, że Philip się ożenił. Uważała go za niespokojnego ducha – za człowieka, który nigdy nie zapaści korzeni w wiecznej tułaczce po swoim szlaku-pieśni. A może to właśnie szlak-pieśń doprowadził go do kobiety, którą poślubił, i okazało się, że przez całe życie jej szukał. Od dnia spotkania z nim na wystawie Sara nie mogła myśleć o niczym innym. I fakt ten bardzo ją niepokoił. Jako młoda dziewczyna była w nim zakochana, lecz dawno już porzuciła nadzieję, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Szczególnie gdy upływały lata, a on nie dawał znaku życia. Nagły przyrwy uczyć na jego widok w Melbourne ją zaskoczył. Starła się je zrozumieć. To niemożliwe, żeby wciąż jeszcze się w nim durzyła.

Była ciekawa, co on o niej myśli. Jaka refleksja przemknęła mu przez głowę, gdy ją pierwszy raz zobaczył po prawie siedmiu latach?

Usiłowała wyobrazić sobie jego żonę. Była pewna, że Philip mógł poślubić jedynie kobietę o mocnym charakterze. Przypomniała sobie o Pyłku Kwiatu. Może właśnie z nią się ożenił. Często wspominał o niej w rozmowach z Sarą.

Nie, przecież jego żona miała na imię Alice. Philip poinformował o tym Westbrooków w swoim ostatnim liście.

Pomimo zamkniętych okiennic i worków z wodą zawieszonych na zewnętrznych ścianach w celu ochłodzenia budynku, w pokoju było gorąco. Pomiędzy listewkami żaluzji sączyło się do wnętrza domu zachodzące słońce. Sara położyła dłonie na piersiach. Miała wilgotną i

rozpaloną skórę. Zamknęła oczy. „Philip jest żonaty” – powiedziała sobie.

Szybkie kroki na korytarzu przypomniały jej, że nie może już sobie pozwolić na dalszą zwłokę. A potem dobiegł ją dźwięczący po całym domu głos Beth:

– Już są na drodze! Jadą!

Ubrała się w gorączkowym pośpiechu i drżącymi dłońmi pozapinała guziki w białej bluzce. Wysoki kołnierzyk i mankiety były wykrochmalone, a halki ciężkie i rozłożyste. Z niechęcią pomyślała o swojej garderobie – bardzo niepraktycznej podczas upału. Często zastanawiała się nad tym, dlaczego mieszkające w gorącym klimacie australijskie kobiety ubierają się tak, jak gdyby nadal żyły w chłodnej i mglistej Anglii. Sara stosowała się jednak do powszechnie przyjętych zwyczajów. Ścisnęła talię gorsetem, upięła włosy na czubku głowy, zamocowała broszkę z kameą pod niewygodnym kołnierzykiem i wbiła stopy w skórzane pantofle na wysokich obcasach.

Wyszła na werandę w momencie, gdy na podwórze zajechał powóz. Beth chciała wybiec naprzeciw ogrodową ścieżką, lecz Joanna ją powstrzymała.

– Zachowuj się, jak przystało na damę – skarciła córkę, kładąc jej rękę na ramieniu.

Wszyscy domownicy byli podekscytowani. Wizyty gości nie dziwiły nikogo w Merindzie, ale odwiedzającymi byli zwykle zaprzyjaźnieni z Hughiem hodowcy. Obecność na farmie architekta z Ameryki została uznana za wydarzenie niezwyklej wagi.

Z jednej strony powozu wysiadł Hugh, a z drugiej Philip. Obaj wyciągnęli dłonie, pomagając zejść na ziemię pani McNeal oraz małemu chłopcu.

– Jakaż ona śliczna! – szepnęła stojąca za plecami Joanny pani Jackson. – I jaka młoda! Wygląda nieledwie jak dziewczynka!

Sara ogarnęła wzrokiem drobną postać kobiety odzianej w brązową welurową suknię podróżną. Nie uszedł jej uwagi delikatny sposób, w jaki Alice McNeal dotknęła stopą ziemi, wdzięczne wygięcie nadgarstka w chwili podawania dłoni Philipowi oraz skromny uśmiech, jaki posłała Hughowi. Kiedy McNeal wziął syna za rękę, Sara spostrzegła, że Alice sięga mężowi zaledwie do ramienia. W towarzystwie idących obok niej mężczyzn przywodziła na myśl lalkę. Spod jej zgrabnego kapelusza spływały bujne czarne włosy. Miała niewyobrażalnie jasną karnację i twarz w kształcie serca. Reprezentowała typ urody, jaki ostatnio cieszył się dużą popularnością w damskich żurnalach.

– Chciałbym przedstawić moją żonę Alice, pani Westbrook. A oto mój syn, Daniel – rzekł Philip.

Joanna z wyciągniętymi ramionami zeszła po schodach.

– Tak się cieszę, że mogę panią poznać, pani McNeal. Witamy w Merindzie. Dzień dobry, Danielu. Uroczy z ciebie chłopiec!

Gdy Alice McNeal wchodziła na werandę, Sara spostrzegła jej blady uśmiech i głęboko osadzone, podkrążone oczy. Uderzył ją niewidoczny z daleka melancholijny wyraz twarzy kobiety.

– To są moje dzieci, Adam i Beth. A to panna Sara King, która mieszka razem z nami.

Sara uznała, że oczy żony Philipa spoczęły na niej o moment za długo. Po chwili wszyscy weszli do domu.

Gdy znaleźli się w salonie, Hugh nie zdołał powstrzymać zniecierpliwienia.

– Może zeszlibyśmy nad rzekę i rzucili okiem na miejsce budowy? – zwrócił się do architekta. – Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co sądzisz o lokalizacji przyszłego domu, Philipie.

– Ależ Hugh, kochanie – zaprotestowała Joanna – nasi goście dopiero co przyjechali. Pozwól im trochę odpocząć.

– Nie jestem zmęczony, pani Westbrook – oświadczył Philip, gdy obaj z Hughiem zmierzali już w stronę drzwi. – I wprost się palę do rozpoczęcia roboty. Mam kilka nowych pomysłów, które jak sądzę, mogą się państwu spodobać. Chodzi mi przede wszystkim o oświetlenie gazowe. Przewiduję, że za dziesięć lat znajdzie się w każdym australijskim domu. Jeśli od razu zainstalujemy rury i przeznaczymy jedno z pomieszczeń na piec, zaoszczędzimy wydatków na późniejsze przebudowy. Myślę też o wewnętrznej kanalizacji...

Panowie wyszli, prowadząc ożywioną rozmowę, a Adam oraz Beth z nieodłącznym psem podążyli za nimi. Joanna spytała panią McNeal, czy nie zechciałaby się odświeżyć, i Alice przyjęła jej propozycję z wdzięcznością.

– Oboje z Danielem chętnie umyjemy się i przebierzemy, pani Westbrook. Podróż była bardzo wyczerpująca.

– Wskażę drogę do pani pokoju – zaoferowała Joanna, lecz w tym momencie w wejściu pokazał się Hugh i spytał:

– Nie pójdziesz z nami, kochanie?

– Dołącz do panów, Joanno – powiedziała Sara. – Chętnie zaprowadzę panią McNeal i Daniela do ich pokoju.

Wniosła bagaże gości do domu.

– Na dworze panuje straszliwy upał – zauważyła żona Philipa. – W jaki sposób udaje się wam utrzymać niższą temperaturę w pokojach?

– Wieszamy na zewnętrznych ścianach mokre worki. Woda parując chłodzi wnętrze budynku.

Sara wskazała drogę do swojej sypialni, z której usunięto jej osobiste rzeczy i dostawiono dodatkowe łóżko oraz dzieciinne łóżeczko dla Daniela.

– Toaletka została opróżniona – wyjaśniła, otwierając szuflady. – W szafie jest sporo miejsca na ubrania. Tutaj znajduje się wyjście na werandę – podeszła do francuskich drzwi z żaluzjami. – Tam stoi dzban ze świeżą wodą, a dodatkowe ręczniki leżą w szafie na górnej półce. Gdyby potrzebowała pani czegoś... Chłopiec niespodziewanie wybiegł z pokoju.

– Danielu! – zawołała Alice, ruszając w pogoń za synem. Znalazły dzieciaka w sąsiedniej sypialni w chwili, gdy sięgał po leżącą na łóżku Beth zabawkę.

– Nie ruszaj! To nie twoje, Danielu.

– Myślę, że nic złego się nie stanie, jeśli się trochę pobawi – uznała Sara.

Alice patrzyła na dziwny przedmiot, który syn ścisnął w dłoniach.

– Jeszcze nie widziałam tak zdumiewającej lalki. Przypomina poduszkę z futra. Czy to miś? A może króliczek?

– Sama nie wiem. Zabawka jest bardzo stara, należała kiedyś do matki Joanny. – Sara

pochyliła się nad chłopcem. – Ten zwierzak nazywa się Rupert. Będiesz o niego dbał?

Alice rozejrzała się po ciasnym i zagraconym pokoju, w którym ledwo się zmieściło drugie łóżko.

– Oddała nam pani swoją sypialnię, prawda, panno King?

– zwróciła się do Sary. – Przykro mi, że z naszego powodu została pani narażona na niewygodę. Powiedziałam Philipowi, że oboje z Danielem możemy zatrzymać się w hotelu, lecz nalegał, byśmy zamieszkali tutaj – Nie są to wielkie niewygody – rzekła Sara. – Będę sypiała razem z Beth. Wcale mi to nie przeszkadza. I proszę zwracać się do mnie po imieniu.

Alice spojrzała na nią niepewnie. Przy wysokich słupkach baldachimu wydawała się jeszcze drobniejsza.

– Jestem trochę zaskoczona całą tą sytuacją – wyznała, uśmiechając się przeprasząco. – Od kiedy się pobraliśmy, wciąż żyjemy z Philipem na walizkach. Opuściliśmy Anglię, żeby zamieszkać w Ameryce. A potem przyjechaliśmy do Melbourne na wystawę. Nie sądziłam, że będziemy tak długo poza krajem. Tęsknię za moją rodziną w Anglii. Już od tak dawna nie widziałam się z moimi bliskimi.

Spojrzała na chłopca, który obracał w dłoniach maskotkę, jak gdyby nie mógł ustalić, gdzie jest jej głowa, a gdzie ogon. Dziecko miało czoło zroszone potem i oblepione kosmykami włosów.

– Daniel nigdy nie miał prawdziwego domu – mówiła cicho Alice. – Tułamy się wiecznie po hotelach, gdyż zawód Philipa wymaga ciągłej zmiany miejsca. W związku z wystawą odbyliśmy długą oceaniczną podróż do Australii i spędziliśmy pięć miesięcy w Melbourne. A teraz...

Spojrzała na Sarę i jeszcze raz uśmiechnęła się przeprasząco.

– Doceniamy waszą gościnność. I jeszcze raz dziękuję za odstąpienie nam swojego pokoju. To bardzo uprzejmy gest z twojej strony. Po tylu latach spędzonych w hotelach miło jest znowu znaleźć się w domu. Daniel z pewnością będzie tu bardzo szczęśliwy.

– Może liczyć na towarzystwo Beth, no i oczywiście zwierząt. – Sara uświadomiła sobie, że tę piękną kobietę otacza wyraźnie wyczuwalna atmosfera smutku.

Alice McNeal przez chwilę jej się przyglądała.

– Philip mówił mi o tobie. Rzeczywiście jesteś tak sympatyczna, jak mnie o tym zapewniał.

Sara cicho zamknęła za sobą drzwi. Usiłowała zrozumieć swoje zagmatwane emocje – nagłe i niespodziewane uczucie do Philipa, litość dla jego żony oraz smutek z powodu małego chłopca, który nigdy nie miał swojego domu.

Skrupulatnie odmierzając do garnka z wrzącą wodą liście kopru, Sara starała się nie myśleć o Philipie. Był późny wieczór, a ona na oszklonej werandzie parzyła ziołowy syrop. Joanna i Alice siedziały w salonie z Danielem i Beth, Hugh i Philip poszli nad rzekę, na miejsce budowy. Z oddali dobiegało zawodzenie psów dingo.

Gorące powietrze w kontakcie z ciałem przywodziło na myśl ciepły aksamit. Nawet gwiazdy sprawiały wrażenie rozpalonych. A żółty i jasno świecący księżyc wydawał się wielki niczym słońce. Sara miała wilgotną skórę, halki lepiły się jej do nóg. Mieszając syrop,

myślała o Philipie. Siedział naprzeciwko niej przy kolacji. Wciąż miała przed oczami jego oświetloną blaskiem świec twarz. Przyłapała się na tym, że jak zahipnotyzowana wpatruje się w jego usta.

Podczas prowadzonej przy stole rozmowy przechwytywała utkwiony w niej wzrok. Nie była pewna, czy wydawało się jej tylko, czy rzeczywiście dostrzegła w jego spojrzeniu ukryte wyznanie? Wyśmiała własną zbyt wybujałą fantazję. Usiłowała przekonać siebie, że tylko w jej wyobraźni Philip spogląda na nią częściej niż na innych. Ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ilekroć zabiera głos, opowiadając o Ameryce, o wystawie i o nowych pomysłach związanych z budową domu Westbrooków, patrzy tylko na nią. Czy aby nie prowokowała tych spojrzeń? Czy sama zwracała uwagę na pozostałe osoby? Czy była w stanie powiedzieć, co Joanna i Alice miały na sobie podczas kolacji? Straciła apetyt. Dłubała w talerzu, wpatrując się w swój kieliszek z winem i przysłuchując się, jak Alice McNeal opisuje oceaniczną podróż z San Francisco. Zauważyła, że Philip zwraca się do żony „kochanie”. Co jakiś czas rozlegał się jego ciepły śmiech. Przeprosiła wszystkich, gdy przenosili się do salonu, wyjaśniając, że nie może zwlekać z ugotowaniem syropu, ponieważ zerwany koper szybko traci lecznicze właściwości, i odeszła.

A teraz, gdy oderwała się od pracy, żeby spojrzeć przez okno na skąpane w księżycowym blasku równiny, zdała sobie sprawę z tego, że obecność Philipa w tym domu będzie dla niej bardzo kłopotliwa.

Nagle dobiegły ją jakieś szmery. Obejrzała się i dostrzegła go w chwili, gdy się wyłaniał zza drzew.

– Piękny wieczór! – powiedział, stając w otwartych drzwiach. – Szukam Joanny. Przyszedłem prosić ją o radę.

– Pewnie jest u Beth i czyta jej bajkę przed snem. Może ja potrafiłabym ci pomóc?

Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

– Przypuszczam, że to nic ważnego – rzekł, podwijając rękaw koszuli. – Nad rzeką rośnie jakaś roślina, która mi nie służy.

Gdy znalazł się w kręgu światła, dostrzegła na jego przedramieniu zaognioną wysypkę.

– To uczulenie – stwierdziła. – Nie przypominam sobie, żebyś cierpiał na alergię, gdy byłeś tu ostatnio.

– Bo nie cierpiałem. Wiem, co to może być. Już kiedyś, w kraju, dokuczały mi podobne dolegliwości. Czy Joanna nie zasadziła przypadkiem w swoim ogrodzie topoli? Jestem na nie uczulony.

– Przed paru laty sprowadziliśmy z Ameryki kilka gatunków drzew, w tym również topole. Pozwól, że się tym zajmę.

– Mam wysypkę na obu rękach. – Philip podwinął drugi rękaw i usiadł na jednym ze stołków. – Pali mnie niczym ogień.

– Rozejrzył się po pomieszczeniu wyeksponowanym w ciągu dnia na działanie promieni słonecznych. Pełno było tu ustawionych na podłodze i zwisających z sufitu roślin doniczkowych, płaskich koszy z sadzonkami oraz tac z suszonymi liśćmi i trawami. Roboczy blat aż ugiął się pod ciężarem butelek, dzbanów i słoików, a w powietrzu unosiła się intensywna

woń kopru i miodu.

Sara przestawiała słoiczki, szukając lekarstwa. W chwili spotkania z tą kobietą na wystawie doznał niespodziewanego przyływu uczuć. Od tamtej pory nie mógł przestać o niej myśleć.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – Ten lek powinien złagodzić pieczenie. – Nabrała palcami trochę maści i delikatnie wsmarowała ją w skórę Philipa.

– Co to takiego? – spytał, obserwując posuwisty ruch jej dłoni, dostrzegając kontrast jej oliwkowego ciała z białym mankietem koszuli, wychwytyjąc delikatny zapach perfum.

– Nagietek lekarski – wyjaśniła. – Nie wyleczy wysypki, ale zapobiegnie swędzeniu. Jedynym sposobem pozbycia się uczulenia jest trzymanie się z dala od topól.

Milczeli przez moment.

– Strasznie upalna noc – zauważył po chwili.

– Jesteśmy w samym środku pory jesiennych suszy. ;

– W Ameryce maj jest miesiącem wiosennym, a nie jesień – jnym. Kiedy tam jest mroźna zima, tutaj panuje upalne lato. Od – i kryłem coś dziwnego. Czy wiesz, że woda w kanalizacji wiruje *i* w przeciwnym kierunku niż na półkuli północnej? Komuś, kto J stamtąd pochodzi, niełatwo do tego przywyknąć. ij – Zrobione – stwierdziła z uśmiechem. – To powinno na 5 jakiś czas przynieść ci ulgę. Zatrzymaj ten słoik. Smaruj maścią | wysypkę, ilekroć się zaogni i swędzenie stanie się dokuczliwe. jGdy Philip opuszczał rękawy koszuli, Sara zajrzała do gotującego się na wolnym ogniu kopru. Teraz należało dodać do naparu miodu i wystudzić mieszankę. ]

– Miło mi, że znowu mogliśmy się spotkać, Saro. Prawdę | mówiąc, nie spodziewałem się, że cię zastanę w Merindzie. Sądziłem, że wyszłaś za mąż i już tu nie mieszkasz.

– Nie wyszłam za mąż – rzekła cicho.

Miał ochotę spytać, dlaczego nadal jest panną. Uznał jednak, że popełniłby nietakt. Niektórzy jego rodacy użyliby w stosunku do Sary niezbyt pochlebnego określenia: „mieszaniec”. Podejrzewał, że te same uprzedzenia rasowe, które szerzyły się wśród społeczności w Ameryce, zdarzają się również tutaj.

– Czy wciąż potrafisz odgadywać przyszłość, Saro? Spojrzała na niego zdumiona.

– Co masz na myśli?

– Pamiętam, że przewidywałaś niektóre zdarzenia i miewałaś wizje. Czy przypominasz sobie tę noc, kiedy Hugh w czasie burzy stracił wiele owiec? Wiedziałaś wtedy, że coś się wydarzy. Czy nadal posiadasz zdolności wizjonerskie?

– Tak, lecz nie tak silne jak kiedyś. – Uśmiechnęła się.

Ponownie zajęła się syropem z kopru. Zdjęła z półki nad blatem kilka glinianych dzbanków, ustawiła je w rzędzie i do każdego naalała niewielką ilość mikstury.

– Do czego będzie używany ten napar? – spytał Philip.

– Do leczenia nieżyłtów żołądka. Ma także właściwości moczopędne.

Znowu zapadło milczenie. Philip spojrział na słoik z matowego czerwonego szkła w swojej dłoni, ciężki i gładki w dotyku, zamknięty dużym okrągłym korkiem. Z boku znajdowała się etykieta: „Krem z nagietka lekarskiego, luty 1880”.



– Alice zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie – stwierdziła Sara, gdy syrop został już odmierzony. – Gdzie ją poznałeś?

– Podczas podróży po Anglii. Zostaliśmy sobie przedstawieni przez wspólnego przyjaciela.

– Jesteś wiecznie w drodze.

– Tak, to prawda. Obawiam się, że taką mam już niespokojną naturę.

Na moment oderwała się od pracy.

– Pamiętam, że gdy byłeś tu ostatnim razem, próbowałeś znaleźć odpowiedzi na nurtujące cię pytania. Czy nadal ich szukasz, Philipie?

– Nie jestem pewien, czy odpowiedzi w ogóle istnieją, Saro. Obecnie staram się skoncentrować na mojej pracy.

– Budujesz domy innym ludziom, choć sam nie masz własnego.

Ogarnął wzrokiem jej wydatne kości policzkowe, pełne usta i luźne kosmyki, które się wymknęły z wysoko upiętego koka i opadały na odsłoniętą szyję. Ogłuszyła go jej pierwotna zmysłowość.

– Gdybyś był Aborygenem, Philipie, powiedziałabym, że podążasz w ślad za swoim szlakiem-pieśnią.

– Albo go szukam. Czy to możliwe, żeby szlak-pieśń biegł dookoła świata?

– Możliwe. Lecz musi się kiedyś i gdzieś kończyć. Skoro jest początek Snów, musi być też ich kres.

– Wiem. Ludzie nazywają je narodzinami i śmiercią. Może całe moje życie jest szlakiem-pieśnią i nie mam pojęcia, dokąd mnie zaprowadzi?

Uśmiechnęła się.

– Obciąłeś włosy – zauważyła. Dotknął karku.

– Już kilka lat temu. Alice nie lubiła mojej poprzedniej fryzury, która przypominała mi czasy, gdy mieszkałem wśród plemienia Nawaho. Czasami myślę, że to był najszcześniejszy okres w moim życiu. A także sześć miesięcy spędzonych tutaj.

Duża ćma uderzyła nagle o szybę okna. Rozpaczliwie trzepotała skrzydłami, pragnąc wtargnąć do środka i popfrunąć do światła. Sara patrzyła na nocnego motyla. Coś się rodziło pomiędzy nią a Philipem. Była pewna, że on też o tym wie i także się tego obawia.

– Opowiedz mi o książce, którą piszesz – poprosiła.

– Interesuje mnie wiejskie budownictwo w Australii. Chciałbym jak najprędzej zabrać się do sporządzenia szkiców. Czy mogłabyś się wybrać razem ze mną na wycieczkę po okolicznych posiadłościach i pomóc mi w wyszukiwaniu najbardziej typowych przykładów australijskiej architektury?

– Obie z Joanną wyjeżdżamy jutro do Nowej Południowej Walii. Zostałyśmy zaproszone do tamtejszej chrześcijańskiej misji dla Aborygenów.

– A zatem może zechcesz mi towarzyszyć po swoim powrocie?

– Może. – Zauważyła, że ćma odfrunęła.

Joanna rzucała się we śnie.

„ – Gdzie jesteście, mamó? Co tutaj robimy?

- Bądź cicho, maleńka. – Głos lady Emily dobiegał z daleka. – Ukrywamy się.
- Przed czym się ukrywamy, mamó?
- Przed psami...

Joanna usiadła sztywno wyprostowana na łóżku.

- Nie! – krzyknęła.

Hugh się natychmiast przebudził.

– Co się stało, Joanno? Znowu miałaś zły sen? Drżała tak, że mówienie sprawiało jej trudność.

- To było straszne – wyznała w końcu. – I takie... prawdziwe.

– Idź i napij się mleka. A potem o tym porozmawiamy. Dotknęła dłonią jego szorstkiego od zarostu policzka. Późno położył się spać i musiał wstać wcześniej rano, żeby sprawdzić, czy wypasające się na odległych pastwiskach stada mają wodę.

- Nie martw się o mnie, zaraz się uspokoję. Posiedzę tylko trochę i poczytam.

Włożyła szlafrok i cicho zamknęła za sobą drzwi. W salonie zapaliła lampę, usiadła w fotelu i położyła głowę na jego oparciu. Zamknęła oczy, starając się całą siłą woli odegnać pulsujący w skroniach ból. Wiedziała, że w tym wypadku nie skutkuje żadne lekarstwo. Jej dolegliwości nie były fizycznej natury. Jedyne psychiczny wysiłek mógł przytępić cierpienie, jakie zawsze pozostawiały po sobie koszmarne sny.

Gdyby tylko potrafiła położyć kres tym majakom! Przyniosła ze sobą do salonu dziennik matki i zaczęła wertować wielokrotnie już czytane strony. Miała nadzieję, że znajdzie jakąś wzmiankę, jakąś wskazówkę, na którą dotychczas nie zwróciła uwagi.

Zegar na kominku tykał cicho i coś zaszumiało w zaroślach przed domem. Nocny ptak przysiadł na moment na parapecie okna, lecz zaraz odfrunął z szelestem skrzydeł.

Joanna powoli kartkowała dziennik, aż dotarła do końca zapisków lady Emily i do początku własnych – o pierwszych dniach w Merindzie, o obawach związanych z Adamem i o rodzącym się uczuciu do Hugh'a. A potem natknęła się na swoje notatki z dnia, kiedy Sara zaprowadziła ją nad rzekę i opowiedziała o Miejscu Snów Kangura. „Sara powiedziała, że podążam moim szlakiem-pieśnią – napisała Joanna prawie dziewięć lat temu. – Twierdziła, że idąc, powołuję śpiewem do istnienia otaczający mnie świat. Co mogła mieć na myśli?”

Nagle przypomniała sobie inne słowa Sary – o tym, że dziennik jest rodzajem szlakupieśni.

„Ten pamiętnik jest moim szlakiem-pieśnią – pomyślała. – W takim razie pisanie jest równoznaczne z powoływaniem śpiewem do istnienia. Czy właśnie to Sara chciała mi powiedzieć? Dziennik ten jest także szlakiem-pieśnią mojej matki, ponieważ przedtem należał do niej. Kontynuuję jej notatki. Doświadczam nocnych koszmarów, które ją również dręczyły, i odczuwam lęk oraz przerażenie, jakie i ona odczuwała podczas ostatnich dni życia.

”

„Szlaki-pieśni – myślała Joanna ze znużeniem. – Tęczowy Wąż i psy. Co to wszystko oznacza?” Rozważania te stały się obsesją. Dlaczego nie potrafiła rozwiązać dręczącej tajemnicy? Musiał istnieć jakiś sposób na zmianę szlaku-pieśni i nadanie mu nowego biegu. Joanna nie miała zamiaru podzielić losu swojej matki ani dopuścić do tego, by stał się kiedyś

również udziałem Beth.

Odłożyła dziennik, podeszła do małego biurka, w którym przechowywała korespondencję, zapaliła lampę, wzięła czystą kartkę papieru i pióro.

„Droga Ciociu Millicent! Niejednokrotnie zwracałam się już do Cioci z prośbą o wyjaśnienie pewnych luk w życiorysie mojej matki. Nie nalegałam na te informacje, mając na względzie Twój smutek, Ciociu, spowodowany stratą siostry. Chciałam Ci oszczędzić bolesnych wspomnień, jakie obudziłoby rozpamiętywanie jej przeszłości. Teraz jednak jestem zmuszona nalegać z uwagi na moją dolegliwość – tę samą, która dotknęła również moją matkę na kilka miesięcy przed jej śmiercią. Są to nocne koszmary, bóle głowy i narastające poczucie zagrożenia. Pilnie muszę ustalić przyczynę tych przypadłości. Moim zdaniem są związane z dzieciństwem lady Emily, którego szczegóły tylko Ty jedna możesz przede mną odsłonić. Zaklinam Cię, Ciociu Millicent, na moje zdrowie, a także na zdrowie mojej córki, która także stanie się ofiarą tej spuścizny, abyś poinformowała mnie o okolicznościach, jakie towarzyszyły wyjazdowi mojej matki z Australii. Czy jest coś, o czym w szczególności powinnam wiedzieć?”

Woźnica był uparty.

– Przykro mi, ale czarnych nie wożę. Muszę myśleć o innych pasażerach. Płacą i mają swoje prawa.

Joanna nie chciała wierzyć własnym uszom. Gdy po wielogodzinnej podróży były już tak blisko Karra Karra, woźnica dyliżansu odmówił zabrania Sary, dlatego że była Aborygenką.

– Nie mówi pan poważnie! – rzekła. – Chyba nas pan tutaj nie zostawi.

– Nie chodzi o mnie, proszę pani – zniżył głos. – Osobiście nic nie mam przeciwko czarnym. Gdyby to zależało ode mnie, wpuściłbym ją do powozu. Ale inni pasażerowie...

Joanna spojrzała na dwie kobiety i trzech mężczyzn, którzy razem z nią i z Sarą wysiedli z pociągu. Pozajmowali już miejsca w dyliżansie i ostentacyjnie patrzyli w drugą stronę.

– Co pańskim zdaniem mamy począć na tym pustkowiu? – zapytała Joanna. Przystanek kolejowy ograniczał się do niewielkiej chałupy, a kilka metrów za torowiskiem rósł gęsty las. Tutaj kończyła się linia kolejowa dla pasażerów, którzy nie jechali do Sydney. Podróżni udający się do innych miast i osad musieli odbyć dalszą trasę dyliżansem.

– Bardzo mi przykro, proszę pani. Takie są reguły naszego przedsiębiorstwa. Nie wozimy Aborygenów. – Przepraszająco wzruszył ramionami i wdrapał się na kozioł.

– Jedź z nim, Joanno, proszę – rzekła Sara. – Nic złego mi się tutaj nie stanie.

– Gdzie spędzisz noc, Saro? W tej chałupie? – Ponownie zwróciła się do woźnicy: – Może przynajmniej nam pan powie, jak daleko jest stąd do misji Karra Karra?

– Szesnaście kilometrów. Ale droga przez cały czas pnie się pod górę. I zanosi się na deszcz. Może jednak pojedzie pani ze mną, tak jak radzi dziewczyna.

– Dziękuję. Nie mam najmniejszego zamiaru. I może być pan pewien, że napiszę list z zażaleniem do zarządu pańskiego przedsiębiorstwa.

– Jak sobie pani życzy – powiedział, chwytając w dłonie lejce.

Dyliżans turkocząc odjechał drogą i zniknął za wysokimi sosnami. Joanna wyczuwała wiszącą w powietrzu wilgoć. Zachodnie równiny paraliżowała susza, lecz tutaj, w górach

porośniętych bujną roślinnością, deszcz padał często.

– No cóż, Saro, ruszajmy – rzekła, dźwigając z ziemi swoją walizę.

Rześkie górskie powietrze dodawało im sił w czasie marszu. Zapach sosen oraz ilastej ziemi był niemal odurzający. Gdy podążały biegnącą przez las drogą, Joannę ogarniało narastające podniecenie. Czy po tylu latach poszukiwań znajdzie się niebawem w Karra Karra? I czy pobliski dopływ nazywa się Dopływem Drozda? A sąsiednia miejscowość zwie się Durrebar? A może obie z Sarą znajdują się już na wymienionych w akcie notarialnym terenach?

Zapytała listownie Williama Robertsona, dyrektora misji, o dziadków, lecz przysłał jej tylko pospiesznie napisaną odpowiedź zapracowanego człowieka: „Nie wiem, w czym mógłbym być pomocny, pani Westbrook. Jeśli jednak przyjedzie pani do nas, z przyjemnością zaoferujemy skromną gościnę”. Ilekroć deszcz przybierał na sile, Joanna i Sara zatrzymywały się, szukając schronienia pod drzewami. Nie traciły dobrego humoru, choć ich wełniane płaszcze nasiąknęły wodą, a buty były uwalane błotem. Od czasu przeczytania broszury, którą Adam zabrał z wystawy, Joanna była podekscytowana. A teraz przebywała wysoko w górach i niebawem miała dotrzeć do miejsca, w którym, być może, urodziła się jej matka.

Z trudem posuwały się naprzód, wsłuchane w ciszę lasu. Od czasu do czasu pomiędzy drzewami dostrzegały czerwono-niebieskie upierzenie papug. Z głębi gęstwiny dobiegały odgłosy zwierząt, a wszędzie wokół rosły niespotykane gdzie indziej kwiaty. Obie odczuwały znużenie. Nie przywykły do przebywania na tak znacznej wysokości i powoli zaczynały się im dawać we znaki trudy wspinaczki. Przystawały co chwila, żeby przełożyć z ręki do ręki bagaże i złapać oddech.

Joannę ogarnął niepokój. Jak daleko uszły? Jak duża odległość dzieliła je jeszcze do misji? Przy całkowicie zachmurzonym niebie trudno było określić godzinę.

Za zakrętem drogi wyłonił się przed nimi dziwny widok. Dwanaście potężnych i zaprzęgniętych w pary wołów ciągnęło olbrzymi dwukołowy wóz załadowany drzewem. Stojący na balach mężczyzna obrzucał zwierzęta przekleństwami i chłostał je po bokach wielkim batem. Hugh napisał kiedyś balladę o zaprzęgu wołów oraz o woźnicach. Tego rodzaju widoki należały do częstych w czasach jego młodości, teraz jednak zdarzały się coraz rzadziej. Ten powolny i kosztowny środek transportu został prawie całkowicie wyparty przez zaprzęg koński i kolej. Aby zachować o nim wspomnienia, Hugh napisał swoją popularną balladę „Powożący wołami”.

Powodem zdumienia Joanny i Sary nie był jednak zaprzęg wołów, lecz dyliżans, który się musiał zatrzymać tuż za nim.

Pasażerowie wychylali się z okien, głośno utyskując, a mężczyzna na koźle krzyczał na woźnicę, który wcale się tym nie przejmował.

Joanna i Sara zrównały się z dyliżansem. Poczuły się bardzo małe obok olbrzymiego, wyładowanego okrągłakami wozu. Skrzypiał, powoli posuwając się wzdłuż drogi. Koła, wyższe od człowieka, grzęzły w błocie. Mężczyzna powożący wołami uśmiechnął się do kobiet i pomachał im na powitanie. Joanna odpowiedziała mu podobnym gestem.

– Czy wie pan, jak daleko jest stąd do misji Karra Karra?

– Jakież trzynaście kilometrów – odparł.

Trzynaście kilometrów! To znaczy, że przebyły z Sarą dopiero trzy!

Wyminęły wóz zaprzęgnięty w woły, brnąc w błocie i modląc się o ustanie deszczu. Po kilkunastu metrach, gdy zaczęły rozważać, gdzie spędzą noc, dostrzegły nadjeżdżający z naprzeciwka powóz. Wkrótce się przy nich zatrzymał.

– Czy mam przyjemność z panią Westbrook? – zapytał woźnica uprzejmie. – Nazywam się William Robertson i kieruję misją Karra Karra. Gdy zrobiło się późno, a dylizansu wciąż nie było, postanowiłem wyjechać paniom naprzeciw – wyjaśnił, pomagając im wsiąść do powozu. – Czasami się zdarza, że woły tarasują drogę. Miną godziny, nim dylizans zdoła dotrzeć do pierwszego przystanku.

Robertson nawrócił powozem i ruszył w drogę. Joanna i Sara obejrzały się na dylizans. Poczzerwieniały na twarzy woźnica wciąż wykrzykiwał na właściciela wołów, a pasażerowie mieli żałosne miny.

Robertson był Szkotem o długich rudych włosach i gęstej brodzie. Joanna zdziwiła się, gdy powiedział, że jest pastorem, gdyż miał na sobie strój drwala.

– Nie potrafię wyrazić, jak nas ucieszył list od pani, pani Westbrook – wyznał. – Tak niewiele uwagi ludzie poświęcają naszej misji. Pytała pani o małżeństwo Makepeace. Nie znalazłem żadnej wzmianki o nich w tutejszych rejestrach. Nasz poprzedni dyrektor nie był zbyt zdolnym archiwistą. Sadzę jednak, że powinna pani porozmawiać ze starszymi członkami naszej misji. Może coś będą pamiętać.

– Jak dawno została założona misja, panie Robertson? – spytała Joanna, niecierpliwie wypatrując Karra Karra.

– Bardzo dawno. Jest jedną z pierwszych placówek tego typu w koloniach.

Podniecenie Joanny rosło z każdą chwilą.

– Dlaczego została czasowo zamknięta? – spytała. Robertson się zachmurzył.

– Wiele lat temu ziemia, na której znajduje się misja, została przyznana Aborygenom, gdyż rząd uważał, że nie przedstawia żadnej wartości. Ale od tamtego czasu biali osadnicy osiedlali się coraz bliżej i wciąż wzrastał popyt na surowiec drzewny. A teraz, podczas budowlanego boomu, jest szczególnie wysoki.

Joanna i Sara miały okazję naocznie się przekonać o ożywieniu w budownictwie. W Melbourne podziwiały liczne nowe domy, rosnące jak grzyby po deszczu. A w drodze do Nowej Południowej Walii co chwila widziały całe połacie wyciętych lasów.

– Surowiec drzewny jest wielkim bogactwem, pani Westbrook – wyjaśnił Robertson. – Wielu ludzi chce, by dostał się w ich ręce, i dlatego wywierają presję na radę, żeby usunęła tubylców z tych ziem.

– Co to za rada? – spytała Joanna.

– Rada Obrony Praw Aborygenów. Zapewniam panią jednak, że zajmuje się wszystkim, tylko nie ochroną tych ludzi.

– W jaki sposób rząd może ich stąd usunąć? Czy ma do tego prawo?

– Przedstawiciele rady stwarzają pozory, że mają na uwadze dobro tubylców. Za pretekst służy im wysoka zachorowalność na gruźlicę w tej okolicy. Twierdzą, że przyczyną choroby

jest zimny i wilgotny klimat. Nalegają, by przenieść Aborygenów w inne miejsce, gdzie jest cieplej i bardziej sucho – rzekomo dla poprawy ich zdrowia! A ci ludzie są związani z tą ziemią – z ziemią swoich przodków.

– Ostatnie odkrycia naukowe dowiodły, że gruźlica wywoływana jest przez zarazek, a warunki klimatyczne nie mają na nią wpływu. Z pewnością rada jest świadoma tego faktu.

– Nie omieszkalem poinformować o tym jej przedstawicieli. Wolą jednak obstawać przy swoich poglądach. Znaleźli nawet kilku powszechnie szanowanych lekarzy w Melbourne, którzy podzielają ich opinię.

Niespodziewanie dotarli do celu.

Robertson zjechał z głównej drogi. Nad bramą w nie obrobionym drewnie zostały wyrzeźbione słowa: „Karra Karra, Chrześcijańska Misja dla Aborygenów”. Na podwórzu przed kamiennymi zabudowaniami pełno było świń i kur. Joanna próbowała wyobrazić sobie, jak widziała to miejsce jej babka przed wielu laty, kiedy prawdopodobnie znajdowały się tu tylko prymitywne domy tubylców. Usiłowała wczuć się w zapał i wiarę Johna Makepeace’a, który pragnął odnaleźć w tych lasach drugi raj. Pomyślała o młodej czarnoskórej kobiecie, którą lady Emily zapamiętała z dzieciństwa – Reenadeenie. Zastanawiała się, czy przypadkiem jej albo jej dzieci tu nie spotka.

– Najpierw wypijemy herbatę, a potem oprowadzę panie po misji – zapowiedział Robertson.

Pastor mieszkał w niewielkiej chacie z kamienia, która składała się z dwóch pokoi i werandy. Półkrwi Aborygenka o imieniu Nelli, obsługując ich, co chwila posyłała zaciekawione spojrzenia w stronę Sary.

– A teraz proszę mi wyjaśnić, pani Westbrook, powody pani zainteresowania Karra Karra.

Joanna opowiedziała mu o Johnie i Naomi Makepeace, o niejasnych okolicznościach wyjazdu z Australii jej matki oraz o własnych nieustannych poszukiwaniach.

– O mój Boże! Obawiam się, że trafiła pani do niewłaściwego miejsca, pani Westbrook! – stwierdził Robertson.

– Dlaczego?

– Ponieważ w 1860 roku nasza misja jeszcze nie istniała. Joanna i Sara wymieniły ze sobą spojrzenia.

– Przecież powiedział pan, pastorze, że jest bardzo stara!

– W koloniach, które nie mają jeszcze nawet wieku, dwadzieścia lat wydaje się długim okresem. Poza tym Karra Karra nie jest oryginalną nazwą misji. Przed moim przybyciem tutaj rok temu była nazywana Przytułkiem Świętego Józefa dla Tubylców.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie zdołałam znaleźć jej na mapie – zauważyła Joanna.

– Uważałem, że poprzednie określenie nie było stosowne. Zaproponowałem Aborygenom, żeby nazwali je według własnego uznania. Wybrali *karra karra*, co w ich języku oznacza popularny w tej okolicy gatunek kwiatów. Z pewnością pani też je widziała – są w kształcie trąbki o białych i liliowych płatkach.

Joanna boleśnie odczuła rozczarowanie. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Przykro mi, pani Westbrook – rzekł pastor. – Naprawdę żałuję, że nasza misja nie jest miejscem, którego pani szuka.

– Czy słowo *karra karm* ma to samo znaczenie wśród wszystkich tubylczych plemion?

– O ile mi wiadomo, pani Westbrook, zamieszkujący ten kontynent Aborygeni posługują się dwustu różnymi językami. I słowo to może zupełnie co innego oznaczać w dialekcie innego plemienia.

– Rozumiem.

– Czy ma pani ochotę trochę się tu rozejrzeć?

Joanna i Sara odwiedziły najpierw kaplicę, gdzie odmówiły modlitwę, a potem pastor oprowadził je po terenie misji. Należały do niej prywatne domy mieszkalne, budynki użyteczności publicznej oraz zagrody dla zwierząt hodowlanych. Joanna miała okazję przyrzeć się kobietom wyplatającym koszyki w taki sam sposób, jak od wieków robiły to poprzednie pokolenia. Robertson wyjaśnił, że w celu zdobycia odpowiedniego surowca musiały nieraz pokonywać duże odległości. Sitowie było potem dzielone na włókna, które wiązano ze sobą, moczoło przez kilka godzin w wodzie i długo suszono; dopiero wtedy nadawały się do użycia. Joanna została poinformowana, że w pobliskich miastach istnieje duże zapotrzebowanie na koszyki.

Obie z Sarą obserwowały mężczyzn suszących i garbujących skóry pałanek, małych torbaczy o pięknych futrach – ze skórek potem robiono błamy na sprzedaż. Podziwiały zadbane ogrody warzywne przynoszące obfite zbiory i miały okazję zobaczyć dojenie krów. Odwiedziły też dzieciaki w szkole powszechnej, które śpiewały wyuczone na pamięć lekcje. Wszędzie przyjmowano je z serdecznymi uśmiechami. Joanna dostrzegła wyraźną różnicę pomiędzy tymi ludźmi a wólpłemieńcami Sary z misji w Okręgu Zachodnim. Mieszkańcy Karra Karra wyżej nosili głowy i w ich postawie była widoczna duma, niespotykana u służalczego plemienia Aborygenów z misji pastora Simmsa.

– Staliśmy się całkowicie samowystarczalni, pani Westbrook – wyjaśnił Robertson. – Misja nie otrzymuje już pomocy od rządu. Hodujemy własną pszenicę, chmiel i warzywa. Produkujemy koszyki i błamy ze skór pałanek, na które istnieje stały popyt. Mamy piętnaście mlecznych krów i tyle świń, że nie zabraknie nam bekonu przez lata. W przeciwieństwie do innych szefów misji, którzy sądzą, że tubylców trzeba traktować jak

dzieci, jestem zdania, że należy dać im okazję do samodzielnego prowadzenia gospodarstw. Pozbawieni inicjatywy tracą poczucie własnej wartości.

Joanna przypomniała sobie wizyty w chrześcijańskiej misji dla Aborygenów w Okręgu Zachodnim. Tubylcy źle się tam czuli i sprawiali wiele kłopotów. Pastor Simms reagował na to zwiększeniem dyscypliny, co zdaniem Joanny tylko pogarszało sprawę.

– Czy tutejsi ludzie są szczęśliwi? – spytała.

– Sądzę, że nie narzekają, pani Westbrook. W większości są mieszańcami i czują się tutaj bardziej bezpieczni niż wśród własnej społeczności. Nie mogą liczyć na akceptację ani wśród czarnych, ani wśród białych. – Rzucił pospieszne spojrzenie w stronę Sary, która miała na sobie elegancką suknię podróżną z aksamitu i złoty krzyż na szyi. – Mieszka tu kilku tubylców czystej krwi, ale wszyscy są już bardzo starzy.

Joanna pomyślała o Aborygenach, których widziała podczas swojej ostatniej wizyty w misji pastora Simmsa. Wszyscy byli przyzwoicie ubrani i dobrze odżywieni. Uśmiechali się do niej, dumnie pokazując swoje koszyki i maty, ale Joanna wyczuwała ich zakłopotanie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że coś jest nie tak. Wśród ogólnego dobrobytu i pozorów zadowolenia dominowała atmosfera poniesionej klęski. Joannie się wydawało, że podopieczni pastora Simmsa, zamiast cieszyć się życiem, z niecierpliwością wypatrują śmierci.

Gdy przechodzili obok długiego budynku, Joanna zagadnęła Robertsona:

– Czyżbym słyszała śpiewy, pastorze?

– Tak, dobiegają z naszego szpitala. Mamy tam ciężko chorą pacjentkę, którą krewni próbują uzdrowić śpiewem; lekiem pieśnią.

– Co jej dolega?

– Ma ostre bóle brzucha, które niespodziewanie wystąpiły ubiegłej nocy. Kobiety już od dłuższego czasu nad nią śpiewają.

– Czy usiłują jej pomóc tylko śpiewem?

– Natarły jej ciało tłuszczem emu i popiołem, a nadgarstek obwiązały opaską z włosów. Ale główną rolę w kuracji odgrywa pieśń.

– Nie zbadał jej żaden lekarz?

– Lekarz okręgowy stwierdził, że nie może nic dla niej zrobić. Jej dolegliwość nie jest związana z żadną fizyczną niedyspozycją. Jak zrozumiałem, chora uciekła z cudzym mężem, który już w najbliższym mieście ją porzucił. Gdy wróciła do swoich, zdradzona żona „wyśpiewała jej zły los”. Jest to rodzaj klątwy.

Joanna wytrzeszczyła na pastora oczy.

– Zaśpiewała jej truciznę-pieśń?

– Słyszała już pani o tym?

– Czy nie ma sposobu, aby jej pomóc?

– Krewni usiłują odegnąć truciznę i przekazać chorej śpiewem własne uzdrawiające moce. Wiedza medyczna białego człowieka okazała się tutaj całkiem bezużyteczna. Może poskutkują metody Aborygenów. Uzdrowienie w tym wypadku jest kwestią wiary.

– Czy niewiasty pozwolą mi ją zobaczyć? Zdobyłam pewne umiejętności w zakresie medycyny.

– Z pewnością nie będą temu przeciwnie, pani Westbrook. Docenią pani chęć niesienia cierpiącej pomocy. Proszę iść, ja zaczekam na zewnątrz. Nie mogę być obecny przy odprawianiu kobiecych rytuałów.

Joanna i Sara weszły do budynku. Znalazły się w dużej sali, gdzie oprócz kilku stołów i krzeseł stało osiem łóżek. Siedem z nich było starannie zaścielonych, w ósmym leżała z zamkniętymi oczami Aborygenka. Nie ulegało wątpliwości, że cierpi. Rzuciła głową na boki i wydawała z siebie jęki. Grupa kobiet przesuwiała się w tanecznym korowodzie wokół chorej, wyrzucając nad nią co jakiś czas dłonie.

Nagle jedna z nich spostrzegła Joannę i Sarę. Przestała śpiewać, a w ślad za nią zamilkły pozostałe. Wszystkie wpatrywały się w nowo przybyłe kobiety bez słowa.

– Dzień dobry – powiedziała Joanna. – Przepraszam, że przeszkadzamy, ale chciałabym



zbadać chorą. Może zdołam jej pomóc.

Spodziewała się oporu ze strony Aborygenek albo ich złości, one jednak uśmiechnęły się tylko nieśmiało i wskazały gestem, żeby podeszła do łóżka. Joanna uważnie zbadała pacjentkę. Choć rodzaj przypadłości pozostawał dla niej tajemnicą, dostrzegła w oczach kobiety wyraz rezygnacji i pogodzenia się z losem. Zauważyła na szafce nocnej małe opakowania z etykietkami: „imbir” i „krwawnik pospolity” oraz butelkę z wyciągiem z wierzby i okłady gorczyczne. Leki te zostawił z pewnością okręgowy lekarz. Wszystko wskazywało na to, że nie poskutkowały. Joanna nic ponadto nie przepisałaby chorej.

– Przykro mi – mogła jedynie powiedzieć, kiedy wstawała z łóżka i pacjentka podniosła na nią wzrok.

Kobiety znowu zaczęły śpiewać i na nowo podjęły swój dziwny taniec, a Joanna i Sara wycofały się do wyjścia.

– Ciekawa jestem, czy zdołają jej pomóc – rzekła Joanna.

– Nie znam tego rytuału – stwierdziła Sara. – Nie potrafię przeciwdziałać trucizniepieśni.

– Być może chodzi o jakikolwiek rytuał – powiedziała po namyśle Joanna. – A najważniejsze jest to, żeby ofiara, na której ciąży przekleństwo, była przekonana o jego uzdrawiającej mocy. Pragnęłabym uwierzyć w potęgę pieśni i słów, podobnie jak te kobiety. Chciałabym stworzyć własną pieśń i za jej pośrednictwem zneutralizować działanie trucizny, by nie miewać już więcej koszmarnych snów i żeby przestał mnie prześladować lęk o los Beth.

Gdy Joanna poinformowała Robertsona, że tego typu praktyki są zabronione w innych misjach, pastor stwierdził:

– Ubolewam nad tym, że ludzie ci tracą swoją kulturę. Aborygeni zostali usunięci z wielu miejsc, które miały dla nich magiczną moc. Zostali na zawsze odcięci od setek, a może nawet od tysięcy swoich świętych rozlewisk czy grot. Muszę dodać, że ich strata nie jest tylko stratą duchową. Proszę nie zapominać, że tubylcy nigdy nie zapisywali swojej historii. Poprzednie pokolenia pozostawiały ślady po sobie w świętych miejscach położonych wzdłuż szlaków-pieśni. Podążając starożytnymi szlakami, odtwarzali historię swojego narodu. Odcięci od nich zapomną wkrótce o znakach pozostawionych im przez przodków. Zawsze twierdziłem, że odbieranie tubylcom ich świętych miejsc jest równoznaczne z paleniem bibliotek!

– Ludzie pod pana opieką sprawiają wrażenie szczęśliwych – zauważyła Joanna, gdy zbliżali się do chaty Robertsona.

– Niestety, pani Westbrook, wciąż się zdarzają ucieczki.

– Dokąd uciekają?

– Głównie do miast i do większych osad. Tubylcy zasmakowali w alkoholu. Idą tam, gdzie go mogą zdobyć. Kilku innych czmychnęło w głąb kontynentu, w nadziei że znajdą tam dawny sposób życia.

– Czy wewnątrz ładu zamieszkują liczne plemiona?

– Tego nikt nie wie. Znaczna część obszaru Australii wciąż jeszcze pozostała nie zbadana.

„Nie zbadana przez białego człowieka – pomyślała Joanna.

– Ale niewątpliwie jest doskonale znana żyjącym tam Aborygenom. „

Przypomniała sobie woźnicę przeładowanego dyliżansu oraz pasażerów, którzy nie przeciwstawili się rasistowskim szykanom. Pomyślała też o tubylcach, których widywała w Melbourne – rozpitych, zebrzących na ulicy i utrzymujących się z prostytutki – oraz o Sarze, która z upływem czasu coraz słabiej znała kulturę swojego plemienia. Zabrzmiały jej w głowie słowa pastora Simmsa: „Zachęcamy tubylców do wstępowania w związki małżeńskie z przedstawicielami białej rasy. Dzięki temu przymioty cywilizowanego człowieka zdominują i wyeliminują cechy czarnych”.

– Czy można wpływać na decyzje Rady Obrony Praw Aborygenów, pastorze? – spytała, gdy znowu znaleźli się w chacie Robertsona. – Czy istnieje jakiś sposób na nakłonienie jej przedstawicieli, aby wykazywali większe zainteresowanie zadaniami, do jakich zostali powołani?

– Próbowałem wywrzeć na nich nacisk, ale czym jest mój głos przeciwko sześciu innym? Właśnie dlatego postanowiłem wysłać ulotki na wystawę – miałem nadzieję, że tą drogą zainteresuję losami misji innych, podobnych do mnie ludzi, którzy będą w stanie przyjść jej z pomocą.

– Chciałabym pomóc, panie Robertson. Proszę mi powiedzieć, co mogłabym zrobić.

– Podam pani nazwiska członków rady – rzekł, podchodząc do biurka. – Może pani do nich wysłać protest przeciwko decyzji usunięcia stąd moich ludzi.

Gdy pastor notował nazwiska, Joanna w skupieniu przyglądała się wiszącej nad kominkiem fotografii. Umieszczony pod nią podpis informował, że jest to podobizna Wongi, ostatniego wodza tych ziem. Mężczyzna był nagi pod peleryną z futra pałanek, w rękę trzymał dzidę i prezentował się bardzo dostojnie. Joanna zastanawiała się, co myślał, patrząc w obiektyw aparatu fotograficznego. Czy dosłyszał w trzasku migawki podzwonne dla swoich ludzi?

– Proszę, oto nazwiska – rzekł Robertson, wręczając Joannie listę. – Będę wdzięczny za wszystko, cokolwiek pani w tej sprawie zrobi. Czy zdecydują się panie zostać u nas na noc? Dysponujemy miejscami noclegowymi dla gości.

Zanim Joanna zdążyła odpowiedzieć, jej uwagę przykuł wiszący za szkłem na ścianie poźółkły dokument. Podeszła, żeby mu się przyjrzeć z bliska. Utkwiła wzrok w znajomych kropkach, zawijasach, kreskach i tajemniczych symbolach, które zdążyła tak dobrze poznać, lecz które po tylu latach wciąż były dla niej niezrozumiałe.

– Co to takiego, pastorze Robertson? – spytała podekscytowana.

– Widzi pani stronicę z „Wojny galijskiej” Juliusza Cezara, przedmiot mojej dumy i radości. Oczywiście to nie oryginał, lecz doskonała kopia, którą przysłał mi mój przyjaciel z Anglii. Jestem miłośnikiem literatury klasycznej.

– Co to za niezwykle pismo, pastorze?

– To rodzaj stenografii wymyślonej w Rzymie przez greckiego wyzwolenca, który żył w pierwszym wieku przed naszą erą i nazywał się Marcus Tullius Tiro. Był osobistym sekretarzem Cycerona. Wielu sławnych ludzi, nie wyłączając Juliusza Cezara, posługiwało się

tachygrafią, czyli notami tyrońskimi. Używano jej przez tysiąc lat, aż do czasów średniowiecza, kiedy to ten sposób notowania zaczęto utożsamiać z zapiskami czarownic i z magią.

– Chciałabym coś panu pokazać, pastorze. – Joanna sięgnęła do swojej podróźnej torby po skózaną teczkę. Podała dokumenty dziadka Robertsonowi.

– Wielkie nieba! – zawołał. – Ależ to ten sam rodzaj pisma! Ten, kto go używał, musiał być równie wielkim miłośnikiem literatury klasycznej jak ja.

– Czy potrafi pan odczytać ten stenopis, pastorze?

– Zaraz się przekonamy. – Wydobył z kieszeni okulary i wsunął je na nos. Gdy skupił się nad kartką, jego krzaczaste rude brwi zbiegły się, tworząc jedną linię. – Obawiam się, że to nie będzie możliwe, pani Westbrook – rzekł w końcu. – Mój dokument został napisany po łacinie, a pani – po angielsku.

– Nie zdoła go pan przetłumaczyć?

– Nie jestem ekspertem w dziedzinie tachygrafii. Występują w niej setki symboli.

– Czy nie ma sposobu na złamanie kodu?

– Przyjaciel, który przysłał mi kopię starożytnego stenogramu, posiadał dużą wiedzę w tej dziedzinie. Napiszę do niego do Anglii, dołączę notatki pani dziadka i wyjaśnię problem. Kiedyś wyświadczyłem Gilesowi przysługę i jest moim dłużnikiem.

Joanna się zawahała.

– Wolałabym nie rozstawać się z tymi dokumentami, pastorze. Są dla mnie bardzo cenne.

– Oczywiście. Rozumiem. W takim razie poproszę Gilesa, żeby mi przysłał kod Tirona wraz z instrukcją, jak się należy nim posługiwać. W ten sposób będzie pani mogła samodzielnie przetłumaczyć zapiski swojego dziadka. Co pani na to, pani Westbrook?

## ROZDZIAŁ 21

„Punktualnie o dziesiątej rano 11 sierpnia 1880 roku kolonia Wiktoria była świadkiem wiekopomnego wydarzenia. Seamus Langtree, notoryczny opryszek, który od dawna terroryzował uczciwych obywateli i wymykał się policyjnym oddziałom zastawiającym na niego sieci, został powieszony w więzieniu Pentridge w Melbourne. Ze zsuniętym na oczy białym kapturem Langtree przez pełne cztery minuty tańczył i szarpał się na stryczku, nim upomniała się o niego śmierć. Ten przerażający i nędzny kres życia rozbójnika oznacza koniec bezprawia w Australii. „

W taki oto sposób zaczynała się relacja Franka Downsa z najgłośniejszej egzekucji w koloniach, której był naocznym świadkiem. Pisał w zapamiętaniu, przytaczając wszystkie szczegóły i dodając na koniec od siebie kilka upiększeń: „Przed więzieniem zebrało się pięć tysięcy żądnych sensacji gapiów. Wśród nich znajdowało się wiele kobiet, które lamentowały, użalając się nad losem skazanego na śmierć przestępcy”. Podczas gdy konkurenci z gazet „Epoka” i „Argus” wysłali reporterów, aby zrelacjonowali to niecodzienne wydarzenie, Frank był zdania, że egzekucja jest godna pióra samego wydawcy „Timesa”.

– Już po wszystkim – odezwał się jeden z trzydziestu zgromadzonych pod szubienicą dziennikarzy. – Marzę o steku i o smażonych nerkach „U Lucy”. Egzekucja wzmogła mój apetyt.

Frank spojrzął na zegarek. Był umówiony na lunch z prezesem Pierwszego Banku w Melbourne, ale do wyznaczonej godziny pozostało jeszcze sporo czasu. Postanowił przedtem zajść do biura, by artykuł ukazał się w popołudniowym wydaniu.

Przewidywał, że dzisiejszy nakład „Timesa” przewyższy sprzedaż innych gazet. Tym bardziej że wiadomość miała być wzbogacona o ilustracje Ivy Dearborn, przedstawiające bandę Seamusa Langtreego oraz niechlubną strzelaninę w Glenrowan. Frank od dwóch tygodni nie widział się z Ivy. Pomyślał, że na pewno czuje się samotna i za nim tęskni. Przechodząc przez bramę więzienia i wymieniając uścisk dłoni ze strażnikiem, postanowił, że bez względu na natłok zajęć dzisiejszego wieczoru odwiedzi Ivy.

Ostatnio poza prowadzeniem gazety absorbowały go również inne sprawy. Pewnego ranka niespodziewanie uzmysłowił sobie po przebudzeniu, że ma czterdzieści trzy lata. Fakt ten skłonił go do poważnej refleksji – nad przyszłością Lismore, „Timesa” oraz nazwiska Downs. Nadeszła pora, by się ożenić i założyć rodzinę. Perspektywa ta nie bardzo mu się uśmiechała. Był szczęśliwy z Ivy i nie miał ochoty niczego w swoim życiu zmieniać. Wiele dałby za to, by kontynuować ten związek na dotychczasowych zasadach albo się z nią ożenić, ale ślub nie wchodził w rachubę. Celem małżeństwa było spłodzenie potomka, a Ivy nie mogła mieć dzieci.

Kiedy stało się powszechnie wiadome, że szuka żony, zewsząd zaczęły napływać zaproszenia – na kolacje, bale i przyjęcia. Wieść o jego matrymonialnych zamiarach rozniosła się po Melbourne niczym płomień w buszu. Jakimś cudem chyba każda matka mająca córkę na wydaniu wiedziała, że w mieście pojawił się bardzo pożądanym kandydat na męża.

„Tamtamy dżungli” – myślał Frank, ilekroć lokaj wnosił na tacy kolejne zaproszenia.

Bywał więc na przyjęciach, balach, kolacjach i obiadach, gdzie popijał marną whisky, rozdawał niezliczone uśmiechy i prawił uprzejmości nieciekawym paniąkom oraz ich apodyktycznym matkom – kobietom o nadmiernie wybujałych biustach, marzących, by mieć wydawcę „Timesa” za zięcia. Frank był już tym szczerze znużony. Zdarzały się chwile, kiedy przekonywał sam siebie, że gra nie jest warta świeczki. A potem spoglądał na swój nowy dziesięciopiętrowy wieżowiec, myślał o wciąż rosnących nakładach gazety, o uroczych ogrodach w Lismore oraz o pustych, nie zamieszkałych pokojach w rodzinnej posiadłości i dochodził do wniosku, że jednak warto szukać dalej. Ciążył na nim obowiązek. Powinnością każdego mężczyzny było spłodzenie następcy.

Znalezienie żony okazało się jednak zadaniem niełatwym, choć Frank uważał, że nie ma zbyt wygórowanych oczekiwań. Chciał tylko, aby jego wybranką była kobieta inteligentna, miła i uprzejma, która potrafiłaby samodzielnie prowadzić dom i kierować służbą bez odwoływania się we wszystkich drobnych sprawach do opinii męża. Lecz jak dotąd w każdej pannie, która została mu przedstawiona, dostrzegał jedynie same przywary. Przyłapywał się na tym, że myśli podczas kolacji: „ona jest zbyt gadatliwa” albo: „zbyt niska”, czy też: „jej zamiary są aż nadto czytelne”. Uświadomił sobie, że choć nie jest pewien, czego chce, dobrze wie, co go drażni. A jak dotychczas wszystkie dziewczęta, które poznawał w salonach Melbourne, miały same wady.

Wciąż przybywało nowych kandydatek, a zaproszeniom nie było końca. Frank musiał przyznać, że zamieszanie wokół jego osoby mile łechce jego męską próżność. Nie oszukiwał się jednak. Wiedział, że nagłe zainteresowanie panien z Melbourne jego osobą nie wynika z szalonej namiętności. Był czterdziestotrzyletnim mężczyzną i wyglądał na swoje lata. Miał wydatny brzuch i, co gorsza, ciągle przybierał na wadze. A nad czołem zaczęły mu się przerzedzać włosy. Dobrze wiedział, o co im wszystkim chodzi – o pieniądze i wpływy. A Frank Downs mógł się poszczycić jednym i drugim.

Podążając Colin Street w tłumie, którego nie odstraszył od wyjścia na ulice sierpniowy chłód, czuł narastające podniecenie. Pomimo ciężkich czarnych chmur i groźby deszczu właściciel „Timesa” był w dobrym nastroju. Nakład gazety wciąż się powiększał, a produkcja lanoliny oraz zbiory wełny w Lismore przyniosły w tym roku rekordowe zyski. I Frank miał Ivy.

To był główny powód doszukiwania się wad u innych kobiet i Frank dobrze o tym wiedział. Panna Dearborn była dla niego idealną partnerką – kochającą, wierną i zawsze dysponującą czasem. Mógł w każdej chwili liczyć na to, że porozmawia z nim o wydarzeniach na świecie i spędzą razem miłe chwile. Cenił ją za niezależne myślenie i śmiałe wyrażanie własnych poglądów, a w dodatku zawsze mógł liczyć na jej względy.

Gdy przystanął na krawężniku, czekając na okazję przejścia na drugą stronę jezdni, jego uwagę przykuł nagłówek w konkurencyjnym „Argusie”: „Biały człowiek znaleziony wśród Aborygenów”.

Frank natychmiast kupił gazetę i prędko przebiegł wzrokiem treść reportażu. Była to relacja badaczy z Australii Zachodniej, którzy natknęli się na głąz z wrytymi inicjałami S.

W. oraz datą – 14 stycznia 1848 roku.

Autor artykułu wyjaśniał, że w 1848 roku podróżnik o nazwisku Sam Wainwright wraz z czterema towarzyszami zapuścił się w głąb Wielkiej Pustyni Wiktorii, szukając drogi przez kontynent z Perth do Sydney, lecz po członkach wyprawy wkrótce zaginął wszelki ślad. Kamień z wyrytym napisem znajdował się w bliskim sąsiedztwie obozowiska Aborygenów, którzy oznajmili badaczom, że biały człowiek żył wśród nich przez piętnaście lat i wśród nich umarł.

Zwykle „Times” publikował tak sensacyjne wieści i Frank był niezadowolony, że „Argus” wyprzedził jego gazetę. Zanotował w myślach, że ma polecić Ericowi Grahamowi, by postarał się zdobyć więcej informacji na ten temat.

Pospiesznie przechodząc na drugą stronę ulicy i umykając przed powozami, pomyślał o Joannie Westbrook i jej niedawnej podróży do misji Karra Karra w Nowej Południowej Walii. Dyrektor misji obiecał zdobyć dla niej klucz do odczytania zapisków dziadka. Frank wiązał z nimi duże nadzieje. Może stenopis zawiera jakąś wstrząsającą historię? Frank wprost umierał z ciekawości, co się kryje za tajemniczymi znakami. Niemal już widział tytuł swojego artykułu: „Czy żonę brytyjskiego oficera w Indiach zabiła klątwa Aborygenów?”

Obok przemknęła dorożka. Grzęznące w kałuży koła rozpryskiwały wokół błoto. Frank cofnął się gwałtownie, przeklinając niewygodę podczas zimy w Melbourne. Otrzeputując poplamione spodnie, uznał jednak, że lato w mieście – z inwazją much, z szerzącymi się chorobami i pełnymi kurzu ulicami – jest jeszcze gorsze.

Przed budynkiem „Timesa” doszedł do wniosku, że „Argus” i tak nie zdoła wyprzedzić jego gazety. Karykatury Ivy wciąż cieszyły się dużą popularnością wśród czytelników. Serie rysunków w „Argusie” i w „Epoce”, zamieszczane w ślad za „Timesem”, nawet w nikłym stopniu nie dorównywały pomysłowością pracom panny Dearborn. Wszyscy się zastanawiali, kto jest autorem tych szkiców. Frank trzymał w tajemnicy nazwisko rysownika. Oboje z Ivy uznali, że zagadkowość zwiększa zainteresowanie dziennikiem.

Jadąc na dziesiąte piętro rozklekotaną windą, postanowił, że dziś wieczorem spotka się z Ivy. Po siedmiu latach znajomości – rocznica wypadała w przyszłym tygodniu – Frank uświadomił sobie, że Ivy nadal jest jedyną kobietą na świecie, która z jakichś niezrozumiałych powodów kocha go całkiem bezinteresownie. Jego pieniądze wcale jej nie obchodziły i nigdy go o nic nie prosiła.

Ich pożycie seksualne było cudowne aż do dnia, w którym uświadomił sobie, że po blisko dwunastu miesiącach sypiania z nim Ivy nie zaszła w ciążę. Nigdy nie zapytał jej o to – dżentelmeni nie poruszają tak delikatnych tematów nawet w rozmowach z kochankami. Teraz Ivy miała czterdzieści sześć lat i Frank wiedział, że przepadły już jej szanse na macierzyństwo. A on pragnął następcy.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Franka dobiegł stukot nowych maszyn firmy Remington.  
– Oto sprawozdanie z egzekucji – rzekł, wręczając sekretarce swoje notatki. – Proszę je przepisać! Tylko szybko!

Gazeta „Times”, podobnie jak jej właściciel, rozrastała się z każdym dniem. Frank usłuchał kilku rad Ivy, dotyczących na przykład publikacji materiałów nie związanych z

polityką ani z politykami. Kiedy „The Daily Telegraph” z Londynu wysłał ekspedycję do Afryki na poszukiwanie źródeł Nilu i wydarzenie to przykuło uwagę całego świata, Ivy podsunęła Frankowi pomysł, żeby jego gazeta sfinansowała wyprawę do Nowej Gwinei. Popularny reporter „Timesa”, poszukiwacz przygód o nazwisku Jameson, który posługiwał się kwiecistym stylem, został tam dźgnięty dziądą w brzuch i mało nie zjedli go kanibale, ale przywiózł niezwykle barwną relację z podróży i wielkość nakładu gazety wzrosła dwukrotnie.

Potem Ivy zaproponowała, żeby podawać w prasie wyniki krykietowych i piłkarskich rozgrywek, a także najświeższe prognozy pogody z Obserwatorium Astronomicznego i drukować je w popołudniówkach. Dlaczego by też nie zamieszczać śmiesznych rysunków, które rozweselałyby ludzi nad poranną herbatą? A także co tydzień publikować artykuł o jakimś mieszkańcu Melbourne przejawiającym niecodzienne zainteresowania? I co roku ogłaszać konkurs przed świętami Bożego Narodzenia, którego nagrodą będzie darmowy pudding? Frank wykorzystał wszystkie sugestie Ivy, i to z doskonałymi rezultatami. „Times” liczył teraz szesnaście stron i chlubił się tym, że jest najgrubszym dziennikiem w całym Imperium Brytyjskim. Był czytany przez każdego wyborcę od Melbourne po Wagga Wagga i politycy nie mogli lekceważyć tego faktu.

Frank wszedł do swojego gabinetu, usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Egzekucja zrobiła na nim większe wrażenie, niż byłby skłonny otwarcie przyznać... Znowu spojrzał na zegarek. Za godzinę był umówiony z prezesem banku, lecz nie miał ochoty iść na to spotkanie. Pragnął jedynie zobaczyć się z Ivy, wziąć ją w ramiona, zapomnieć, że był świadkiem śmierci innego człowieka, i cieszyć się, że nadal przebywa wśród żywych.

A potem znowu pomyślał o prezesie banku oraz o jego niezamężnej córce, którą miał dziś poznać. I przypomniał sobie, co należy do jego podstawowych obowiązków – znalezienie żony, dzięki której będzie mógł założyć rodzinę.

Ivy się bała.

Wiedziała, że straci Franka. Była to tylko kwestia czasu.

Stojąc przed lustrem i po raz ostatni poprawiając przed wyjściem kapelusz, ponownie uświadomiła sobie, że większość kobiet w jej wieku cieszy się już wnukami. A jaki był jej dorobek życiowy? Pokój zapełniony obrazami, których nikt nie chciał kupić.

W wieku czterdziestu sześciu lat nie miała męża, dzieci ani rodziny. Ilekroć przechadzała się ulicami Melbourne, była szczególnie wyczulona na widok czających się w ciemnych bramach kobiet bez środków do życia. Nie chciane, często porzucone nie z własnej winy, żyjące bez celu i niepotrzebne społeczeństwu, żebrały, sprzedawały skradzione owoce i oferowały swoje ciała w zamian za stawę. A Ivy, choć od siedmiu lat żyła z Frankiem, nie miała na palcu obrączki ani nie wiązała jej z nim żadna ślubna umowa. Spodziewała się, że Frank obudzi się pewnego dnia i uzna, iż nadeszła pora, aby założyć rodzinę. Był człowiekiem zamożnym, mógł wziąć za żonę młodą dziewczynę z powszechnie szanowanej rodziny.

Ivy doszła do wniosku, że musi pomyśleć o własnej przyszłości i ją zaplanować. Problem nie był jednak łatwy do rozwiązania.

Zastanawiała się, jak kobieta nie posiadająca żadnego dochodu i nie będąca z mężczyzną, który by ją utrzymał, zdoła przetrwać w okrutnym mieście, gdzie szykownie ubrane damy i dżentelmeni obojętnie mijali na ulicach obszarpane, żebrzące dzieciaki. Czy zdana tylko na siebie, bez zawodu i bez wykształcenia, będzie mogła zapewnić sobie bezpieczną starość?

Kiedy kilka miesięcy temu wątpliwości te nasunęły się jej po raz pierwszy, postanowiła spenetrować Melbourne, by ocenić własne szanse. Obserwacje przygnębiły ją i napełniły trwogą.

W całym mieście nie znalazła się ani jedna osoba, która chciałaby ją zatrudnić.

W pubach szukano młodych barmanek. W szanowanych domach rozglądano się za guwernantkami i niańkami, które miały nienaganną opinię. Ivy nie była dobrą kucharką ani nie posiadała wymaganych referencji. Wszystkie inne zajęcia były zastrzeżone dla mężczyzn.

Ileokroć upadała na duchu, przypominała sobie o Franku i myślała: „On nie pozwoli, żeby mnie spotkał zły los”. Lecz gdy nocą leżała w łóżku i nie mogąc zasnąć, wsłuchiwała się w zamierające odgłosy miasta, dobiegały ją niespokojne uderzenia własnego serca i ponownie poddawała się uczuciu paniki: „Nie mogę na niego liczyć. On mnie opuści. Pewnego dnia będzie musiał to zrobić”.

Ivy Dearborn miała jednak jeden dar: potrafiła malować.

Jak daleko sięgała myślami wstecz, zawsze marzyła o tym, żeby zostać artystką. Nawet w dzieciństwie, gdy jej rodzina jeszcze mieszkała w Anglii i walczyła o przetrwanie z górniczej pensji ojca, Ivy w każdej wolnej chwili robiła szkice. Przyplłynęła razem z matką oraz pięciorgiem rodzeństwa na pokładzie statku żeglującego do australijskich kolonii, gdyż pozwoliła się zwieść kwiecistym wywodom ojca na temat wspaniałych perspektyw, jakie rzekomo czekały na nowym kontynencie. Daniel Dearborn zamierzał zatrudnić się w kopalni złota i zapewniał, że staną się bogaci. W małej Ivy obudziły się wtedy nowe ambicje i mrzonki: chciała pójść do szkoły artystycznej i zostać słynną malarką. Marzenia Daniela Dearborna nie spełniły się jednak. Zmarł, podobnie jak dwaj jego synowie, na tyfus w Ballarat, jedna z jego córek rok później nie przeżyła porodu, a druga uciekła do Tasmanii i zaginął po niej wszelki ślad. Ivy została tylko z matką i najmłodszym bratem.

Przenieśli się do Melbourne, gdyż nie mieli szans na przetrwanie w australijskiej głuszy. Pani Dearborn zajmowała się szyciem w małym mieszkaniu na tyłach Collins Street. Umarła, nie dożywszy pięćdziesiątki. A brat, przepełniony goryczą i pozbawiony złudzeń, pożegłował do Nowej Zelandii, zostawiając siostrę samą.

Ivy raz jeszcze podjęła próbę zrealizowania swoich marzeń, przyjmując każdą trafiającą się posadę. Pracowała jako służąca do wszystkiego. Jednak zapłata z trudem wystarczała jej na przetrwanie, a godziny służby były tak długie, że nigdy nie miała wolnej chwili, aby wziąć do ręki ołówek. Nic więc dziwnego, że gdy wpadła w oko przystojnemu poszukiwaczowi złota, uwierzyła w jego ambitne plany i zapewnienia o szczerym uczuciu.

Uciekł, gdy zaszła w ciążę. Pewnego ranka po przebudzeniu się stwierdziła, że została sama z dzieckiem. Miała szczęście, że spotkała dwoje uczciwych ludzi – bezdzietne małżeństwo, które pragnęło stworzyć dom dla jej dziecka. W ten sposób Ivy była wolna i znowu mogła zacząć rozglądać się za pracą. Po kilku latach podejmowania wielu nie



przynoszących satysfakcji zajęć, gdy warunkiem stałego zatrudnienia były często specjalne względy, jakie musiała okazywać szefowi, Ivy opuściła miasto i udała się na prowincję, gdzie jej nikt nie znał. Niejaki Finnegan dał jej pracę w swoim pubie, a wkrótce potem zwrócił na nią uwagę Frank Downs.

Wtedy ożyły jej dawne marzenia. Od kiedy zaczęła się widywać z Frankiem, stwierdziła, że ma czas i pieniądze, żeby zrealizować swoje pragnienia. To on płacił za jej mieszkanie, które składało się z kuchni, salonu, sypialni i przerobionej na studio jadalni, gdzie słoneczne promienie przepięknie oświetlały sztalugi, farby oraz stosy płócien. Wolna od jakichkolwiek obowiązków z wyjątkiem zadowalania Franka, bez reszty oddała się malowaniu. Wraz z upływem lat odkryła, że ma talent, i wypracowała własny styl. Ale stwierdziła coś jeszcze – że nikt nie jest zainteresowany kupnem obrazów kobiety.

Stąd wziął się dylemat, który rozważała w ten pochmurny sierpniowy dzień, idąc zatłoczonymi ulicami Melbourne. Nie mogła znaleźć zajęcia zapewniającego jej środki na utrzymanie. Nie miała dużych oszczędności. Zastanawiała się, czy będzie nadal wykonywać rysunki dla „Timesa”, gdy Frank ją opuści, i uznała, że taka ewentualność w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Pora popołudniowej herbaty zastała ją przed jednym z fotograficznych salonów, które wyrastały na obszarze całego Melbourne jak grzyby po deszczu. Dzięki nowym technologiom panował boom w przemyśle fotograficznym. Kiedyś ludzie godzinami musieli pozować wynajętym malarzom, którzy przychodzili do ich domów, a teraz fotografowie z aparatami na statywach produkowali podobizny w znacznie krótszym czasie i za mniejsze pieniądze.

Większość artystów nienawidziła nowej dziedziny sztuki. Pełni obaw, że ich profesja zaginie wskutek naukowego postępu, uskarżali się, że zdjęcia „nie mają duszy”. I mieli rację. Ivy jednak lubiła zdjęcia. Przemawiała do niej ich precyzja i realizm. Żaden, nawet najzdolniejszy artysta nie był w stanie zarejestrować wszystkich szczegółów. Z drugiej strony, stojąc przed szybą zakładu fotograficznego i przyglądając się wystawie, musiała przyznać, że fotografie spłaszczają rzeczywisty obraz. Po pierwsze, przedstawione na nich sceny były statyczne, pozbawione życia, i po drugie, zdjęcia były czarnobiałe. A szkoda, ponieważ w naturze wszystko miało swoją barwę – nawet najbardziej pustynny krajobraz. Niekiedy właśnie kolory – burzy, rozszalałego morza czy cieni pod drzewami – tworzyły prawdziwą dramaturgię obrazu. „Ludzkie twarze z pewnością nie są czarnobiałe” – pomyślała Ivy, przyglądając się jednemu z portretów. Jaką karnację miał ten człowiek? Jakiej barwy oczy? A jakie usta – blade, sine czy różowe? Był krzepki czy też marnego zdrowia? Fotografia nie dawała odpowiedzi na te pytania.

– Czyżby zainteresował panią wykonany przeze mnie portret?

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła przed sobą mężczyznę w kraciastej marynarce. Stał bez nakrycia głowy i nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą wyszedł z atelier.

– Zauważyłem, że od dłuższego czasu przygląda się pani moim zdjęciom – rzekł z uśmiechem. – Czy życzy sobie pani, żebym ją sfotografował? Nazywam się Al Gernsheim i muszę panią zapewnić, że moje ceny są bardziej konkurencyjne niż...

– Nie mają w sobie życia.

– Słucham?

– Pańskie fotografie są martwe! Zamrugał powiekami.

– Cóż za stwierdzenie! Przecież są odbiciem rzeczywistości!

– Chodzi mi o to, że nie mają kolorów. A życie pełne jest barw, nie sądzi pan?

Zmarszczył brwi.

– Nikt nie robi barwnych zdjęć.

– Szkoda – powiedziała Ivy cicho. – Weźmy na przykład tę fotografię z eukaliptusem na tle australijskiego buszu. Jest piękna, ale byłaby o wiele bardziej ekspresyjna, gdyby wykonano ją w kolorze. Co może wyrażać, skoro piasek i niebo są białe, a drzewo czarne? – Pokręciła głową. – Do oddania prawdziwej barwy nieboskłonu ponad bezkresem równin potrzebny jest błękit oraz złoty odcień do wiernego przedstawienia ziemi i świetlistych plam na pniu eukaliptusa. Tymczasem scena ta może pochodzić z każdego innego miejsca na świecie, czyż nie?

– Tak, to prawda – przyznał fotograf, wzdychając. – A to jedno z moich najlepszych zdjęć. Zrobiłem je w drodze do Tumbarumba.

– Jest śliczne – stwierdziła Ivy, uświadamiając sobie, że atmosfera tej fotografii przywodzi jej na myśl jedną z ballad Hugh'a Westbrooka.

Nagle zaświtał jej w głowie pewien pomysł.

– Od jak dawna to zdjęcie jest wystawione na sprzedaż?

– Od kiedy je wykonałem, to jest od roku. Jak dotąd nikt się nim nie zainteresował.

Ivy spojrzała na fotografa, czując narastające podniecenie.

– Bardzo chciałabym je mieć. Ile kosztuje?

Gdy usłyszała cenę, musiała się poważnie zastanowić. Ale czy miała inną szansę? Czasami trzeba było podjąć ryzyko... Frank zawsze tak mówił.

Kupiła widoczek. Po powrocie do mieszkania na Elizabeth Street zdjęła swoją wyjściową suknię, umieściła fotografię na sztalugach w studio i przygotowała farby. Postanowiła, że zamiast kosztownych farb olejnych użyje akwareli. Jeszcze przed pierwszym pociągnięciem pędzla wiedziała, że jej zamysł się powiedzie.

Trzy dni później Al Gernsheim patrzył na genialnie pokolorowane zdjęcie i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że trzyma w dłoniach skrawek australijskiej głuszy.

– To prawdziwe чудо! – oświadczył. – Jest dziesięć razy lepsze niż przedtem! Przewyższa urodą nawet obraz!

– Czy zdoła pan sprzedać tę fotografię, panie Gernsheim?

– Czy zdołam ją sprzedać? Ależ droga pani! To zdjęcie jeszcze dzisiaj zniknie z mojego sklepu! Wystarczy tylko popatrzeć, czego pani dokonała! Uchwyciła pani prawdziwe kolory australijskich pustynnych bezkresów! Oddała pani ich niepowtarzalny nastrój! Zrobiła pani znacznie więcej, niż kiedykolwiek potrafi zdziałać mój aparat fotograficzny!

Ivy nie posiadała się z radości, zachowała jednak pozory spokoju.

– Powodzenie zawdzięczam pana zdjęciu, panie Gernsheim. A może byśmy podjęli współpracę? Precyzja i dokładność pańskiego aparatu plus moje wyczucie koloru...

– Mój Boże, pani ma niespotykany dar! – Oderwał oczy od fotografii i obrzucił Ivy

długim, pełnym namysłu spojrzeniem. Nagle zagracone, zakurzone i przepełnione zapachami chemikaliów małe atelier wydało mu się za małe w stosunku do własnych ambicji. W całym Melbourne nie było fotografa, który by potrafił oddać koloryt przedstawianego tematu. „Zdjęcia lepsze niż obrazy!” – huczało mu w głowie, gdy wybiegł myślą do sloganów, jakie już widział w swoim oknie wystawowym i w prasowych ogłoszeniach. „Obrazy bardziej realistyczne niż fotografie!”

– Czy zechce mi pani odsprzedać to zdjęcie? – spytał. – Zapłacę podwójnie, a i tak przyniesie mi zysk.

Ivy się roześmiała.

– Oczywiście! Może je pan sobie wziąć z powrotem! Jeszcze raz obrzucił ją pełnym namysłu spojrzeniem.

– Droga pani...

– Dearborn – rzekła. – Ivy Dearborn.

– Droga pani Dearborn, czy pozwoli się pani zaprosić na filiżankę herbaty do mojej pracowni? Chciałbym omówić pewną transakcję.

Ivy, dostrzegając w fotografii swoje przeznaczenie i wybawienie, wsunęła mu rękę pod ramię i odparła:

– Z największą przyjemnością, panie Gernsheim.

Kolejny ponury obiad i jeszcze jedna matka pałająca się do podsunięcia mu swojej córki. Tym razem miała to być Lucinda Carmichael.

Rezydencja Carmichaelów była usytuowana na przedmieściach Melbourne, dostępnych tylko dla bardzo bogatych. Stała na wzgórzu, skąd roztaczał się widok na rzekę Yarra. Frank zamierzał po ślubie wybudować podobny dom.

Frank Downs mógł sobie Lucinę wyobrazić bez trudu. „Od czasu kiedy rozpoczął polowanie na żonę, tysiące razy spotykał się z tym samym typem pań na wydaniu. Zwykle były drobnej postury. W takich wypadkach matki bardzo się starały nie okazać złego wychowania i nie wytknąć Frankowi, że również jest niski. Za to wyższe od niego dziewczyny się garbiły, żeby zniwelować różnicę w ich wzroście. Frank wiedział, że i tym razem kandydatka na żonę będzie miała kokieterijną fryzurę, a na sobie wciąż jeszcze pachnącą zakładem krawieckim, horrendalnie drogą suknię. Nieudolnie zagra coś na pianinie, a potem zaśpiewa, okropnie fałszując. Jej przesadna skromność i małomówność prędko go znudzi.

Kiedy przyjaciele i siostra wytykali Frankowi, że zbyt długo szuka żony, przyznawał, że jest grymaśny, tłumaczył jednak, że podejmuje ważny życiowy krok i nie ma zamiaru zadowolić się byle kim.

– Dzień dobry, Downs – rzekł Geoffrey Carmichael, wchodząc do salonu.

– Witam – powiedział Frank, ściskając dłoń gospodarza.

Geoffrey Carmichael, krzepki mężczyzna w wieku sześćdziesięciu lat, dorobił się fortuny na kopalniach złota, którą pomnożył dzięki produkcji skórzanych butów i siodeł. A teraz zamierzał jeszcze powiększyć swój majątek, angażując się w wydobywanie srebra. Był to pretekst dzisiejszego spotkania z Frankiem – mieli omówić wnioski z jego podróży do Broken

Hill. Prawdziwym powodem wizyty było jednak stworzenie Frankowi okazji do poznania Lucindy, jedynej córki Carmichaela.

Frank przyjął proponowaną szklanę whisky i podszedł do kominka. Obaj z Carmichaeliem omawiali wspólną inwestycję dotyczącą nowej kopalni srebra w Broken Hill.

– Ufam ci, Frank. Możesz uważać mnie za swojego partnera – podsumował pertraktacje Geoffrey Carmichael i wyciągnął rękę do Franka.

Niespodziewanie zjawiła się pani domu, jak gdyby podsłuchiwała pod drzwiami i tylko czekała na moment zawarcia umowy.

– Ach, tutaj się zaszyliście! Nie bądź zbyt zachłanny, mój mężu! Pozwól również i nam nacieszyć się towarzystwem gościa. Panie Downs, chciałabym panu przedstawić naszą córkę, Lucinę.

Frank zdjął okulary i wyprostował się. Zdumiał się, stwierdzając, że nie może oderwać oczu od dziewczyny, która weszła do salonu.

Lucinda Carmichael była wysoka – przewyższała wzrostem nawet Ivy. I miała szczery piękny uśmiech. Pachniała różami i nie unikała jego wzroku.

– Cieszę się, że mogę panią poznać, panno Carmichael – usłyszał własne słowa Frank, mile zaskoczony. I naprawdę tak myślał.

Zamiast pospieszyć do Okręgu Zachodniego, żeby przedyskutować z Hughiem Westbrookiem problem związany z kopalnią w Broken Hill, odłożył swój wyjazd z Melbourne. Tego popołudnia zjadł obiad w posiadłości Carmichaelów i w towarzystwie gospodarzy oraz ich córki udał się wieczorem do teatru. Nazajutrz znowu zjawił się w ich domu, aby tym razem porozmawiać o interesach z Geoffreyem w ogrodzie przed domem i poobserwować grę w tenisa uroczej Lucindy na świeżo wybudowanym korcie. Zjadł z Carmichaelami kolację, a następnego dnia towarzyszył im w przejażdżce nad morze do Saint Kilda, gdzie podczas lunchu w małej kafejce wymieniali uwagi o zaletach morskiego klimatu. Przez sześć kolejnych dni Frank nie rozstawał się z panną Lucindą Carmichael, której zwykle towarzyszyła przywoitka, i po upływie tego okresu powziął bardzo praktyczne postanowienie – doszedł do wniosku, że nie znajdzie lepszej kandydatki na żonę.

A biorąc pod uwagę zamożność i wpływy jej ojca, Frank mógł zyskać na tej transakcji o wiele więcej, niż początkowo zakładał. Znacznie ważniejszy był jednak fakt, że Lucinda okazała się świetnym kompanem. Nie mizdrzyła się ani nie zachowywała w sposób nienaturalny, tak jak inne panny, które zaraz po wypowiedzeniu słów małżeńskiej przysięgi niechybnie uległyby metamorfozie. Lucinda była otwarta, pewna siebie i szczerą. Frank mógł przewidzieć, jak będzie wyglądać życie z nią po ślubie. A kiedy wyobraził sobie jej długie nogi ukryte pod spódnicą i wydatny biust ponad wąską talią, uznał, że nie ma sensu prowadzić dalszych poszukiwań.

Nie ulegało wątpliwości, że Carmichaelowie z radością zaakceptują Franka jako zięcia, a dwudziestojednoletnia i zbyt wysoka Lucinda z pewnością nie wzgardzi okazją do zamążpójścia. Nie było powodu dłużej zwlekać. Frank należał do osób, które po podjęciu decyzji nigdy nie marnują czasu. Pozostały jeszcze tylko formalne oświadczenia i ustalenie z rodzicami panny, jak długo ma trwać narzeczeństwo. Przywoitość nakazywała okres od

sześciu do dwunastu miesięcy – po którego upływie Frank zabrałby swoją żonę do Lismore, aby przywykła do życia na prowincji.

Biorąc pod uwagę fortunę, jaką spodziewał się zbić na swoich wkładach w Broken Hill, a także niespodziewany udział w zyskach rodziny Carmichaelów, uznał, że związanie się z Lucindą jest decyzją dla niego bardzo korzystną. Czekając na lokaja, który miał mu przynieść kawę, brandy i ciepłą wodę do golenia, nie mógł się nadziwić swojemu szczęściu.

A potem nasunęła mu się refleksja: „Dzisiaj wieczorem w drodze do Carmichaelów powinienem odwiedzić Ivy”.

Godzinę później stał pod jej drzwiami z butelką szampana, z kwiatami i z drogą bransoletą wysadzaną brylantami.

– Wróciłeś! – zawołała. Bardzo tęskniła za nim, gdy przebywał w Australii Południowej.

Kiedy jego wzrok spoczął na włosach Ivy, wciąż płomiennie czerwonych, i kiedy poczuł zawsze otaczający ją słodki zapach lawendy, niespodziewanie ogarnęły go wyrzuty sumienia. Powinien był spotkać się z nią natychmiast po przyjeździe z Broken Hill. Ale czuł się zobowiązany do złożenia wizyty Carmichaelom, a potem zjawiała się Lucindą i tydzień niepostrzeżenie minął. Lecz teraz znowu był w wygodnym mieszkaniu Ivy i wręczał jej bukiet.

– Tęskniłaś za mną, Ivy?

Miała ochotę go skrzyczeć. Od trzech tygodni nie dawał znaku życia. Przepęliło ją uczucie miłości. Rzuciła się Frankowi w ramiona i pocałowała go, a kiedy mocniej otoczył ją ramionami i wyczuła jego pożądanie, zaczęła się zastanawiać, jak mogła się obawiać, że kiedyś ją porzuci. Nigdy nie zrobiłaby ani nie powiedziała by niczego, co by go mogło zranić.

Dlatego ukrywała przed nim pewną tajemnicę.

Frank uważał, że to ona nie może zająć w ciąży. Nigdy o tym nie wspominał, lecz Ivy wiedziała, że jest o tym święcie przekonany. Postanowiła nie odbierać mu złudzeń i nie powiedziała mu o swoim nieślubnym dziecku, które urodziła wiele lat temu i którego losy były jej nie znane. Przypuszczała, że to nie ona jest ‘

bezpłodna, lecz Frank, ale nigdy się przed nim z tym nie zdradziła.

Odebrała od Franka płaszcz, który się iskrzył od zimowej mgły, i przyjęła butelkę szampana oraz bukiet orchidei w pełnej gamie kolorów – od głębokiego błękitu po jaskrawy róż. Rozpoznała te rzadko spotykane kwiaty – pochodziły z północnego, tropikalnego wybrzeża Queenslandu i były bardzo drogie.

– Co za dzień! – rzekł Frank, podchodząc do kominka.

– Dzisiaj po południu ukazało się specjalne wydanie gazety! Otrzymałem informacje z przybyłego ostatnio parowca, że Amerykanie chcą naśladować Australijczyków w prawach wyborczych. Czy możesz to sobie wyobrazić? Nie słyszeli o czymś takim jak tajne głosowanie! Zapewniam cię, Ivy, że któregoś dnia Australia będzie pierwsza we wszystkim. Przypomniałem sobie o czymś – sięgnął do kieszeni i wyjął małe, elegancko zapakowane pudełko. – To dla ciebie.

– Co to takiego?

– Otwórz, Ivy. Chciałbym uczcić pewne wydarzenie. Odkorkowując butelkę i nalewając

szampana, niecierpliwił się, żeby zobaczyć jej reakcję na widok bransolety. Był to, jak dotychczas, najbardziej ekstrawagancki ze wszystkich подарowanych jej prezentów.

– Jest śliczna – stwierdziła zdumiona. – Co to za okazja?

– Włóż ją na rękę i napij się szampana. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Gdy sączyła małymi łykami alkohol, a szlachetne kamienie na przegubie jej dłoni rzucały błyski na ściany, Frank opowiedział jej o swoich odkryciach w Broken Hill.

– Będziemy niewyobrażalnie bogaci, Ivy! Roześmiała się. Jego nastrój był zaraźliwy.

– Wynajmę dla ciebie większe mieszkanie, Ivy. Co o tym sądzisz? I kupię ci czapkę z gronostajów.

– Niczego nie potrzebuję, Frank – rzekła ze śmiechem.

– Mam ciebie. I to mi w zupełności wystarczy.

Umilkł, przypominając sobie o pozostałych nowinach. Wiedział, że przekazanie ich nie będzie łatwe. Odchrząknął i powiedział:

– Jeszcze o czymś chciałbym cię powiadomić, Ivy. Czekala.

– Postanowiłem się ożenić.

W kominku zatrzeszczały polana i w głąb komina strzeliły iskry. Za oknem przetoczył się powóz. Tętent końskich kopyt niósł się po ulicy głuchym echem.

Ivy patrzyła na Franka szeroko otwartymi oczami i czuła, jak cierpie jej skóra. A więc... to się jednak stało. Szykowała się na ten moment, wyobrażała sobie tę scenę oraz sposób, w jaki Frank ją o tym zawiadomi, a także własną reakcję. Lecz teraz, kiedy ta chwila nadeszła i Frank wypowiedział te straszliwe słowa, stwierdziła, że jest zupełnie na to nieprzygotowana.

– Chcesz się ożenić?

Ponownie odchrząknął. Nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– No cóż, Ivy. Muszę myśleć o przyszłości Lismore i o następcy. Jestem to winien mojemu ojcu.

– Kto jest twoją wybranką?

– Lucinda Carmichael, córka człowieka, z którym wspólnie kupujemy Broken Hill.

Ivy siedziała sztywno wyprostowana i mocno zaciskała na kolanach dłonie.

– Nie chcę, byś sądziła, że to w jakikolwiek sposób wpłynie na zmianę naszych stosunków, Ivy – zapewnił pospiesznie. – Będę nadal mieszkał w Melbourne.

Spojrzała na niego zdumiona.

– O czym ty mówisz?

– O nas, Ivy! Chyba nie sądzisz, że chcę cię porzucić? Przez chwilę nie spuszczała z niego wzroku, a potem jej oczy stały się ogromne z przerażenia. Takiego rozwoju wypadków nie przewidywała w żadnym ze swoich scenariuszy. Spodziewał się, że ona zostanie jego utrzymanką!

– Nie będziemy się spotykać po twoim ślubie, Frank.

– Dlaczego nie?

Zerwała się na równe nogi. Drżała na całym ciele. Wszystko nagle przebiegało nie tak, jak powinno. Ta scena nie rozgrywała się zgodnie z planem: Frank nie oświadczył Ivy, że ją opuszcza. Ona wypowiedziała za niego słowa, których się bała od tak dawna. I ona musiała

położyć kres spędzonym wspólnie latom.

– Czy nie widzisz, w jakiej sytuacji stawiasz mnie i siebie?

– Nie rozumiem, dlaczego moje małżeństwo stanowi dla ciebie jakąś różnicę.

– Och, Frank. Co innego, gdy byłeś kawalerem. Ale teraz będziesz miał żonę! Staniesz się cudzołożnikiem, a ja... – Odwróciła się do niego tyłem. – Już więcej się nie spotkamy, Frank.

Podszedł i położył ręce na jej ramionach.

– Lucinda Carmichael nigdy mi ciebie nie zastąpi, Ivy. Mój Boże, czy sądzisz, że mam na to małżeństwo ochotę? Wiodę życie, o jakim każdy mężczyzna mógłby tylko marzyć. I mam ciebie...

Cofnęła się przed nim.

– Już nie jestem twoja, Frank. Nie będę nałożnicą żonatego mężczyzny.

– Nie możesz w ten sposób nazywać naszego związku! Zbyt długo byliśmy razem. I zbyt wiele dla siebie znaczymy.

Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała bez złości:

– Kocham cię od siedmiu lat, Frank. A może nawet jeszcze dłużej. Prawdopodobnie darzyłam cię uczuciem już wtedy, gdy pracowałam „U Finnegana”. I będę cię kochać aż do śmierci. Ale teraz nasze drogi się rozchodzą. Mówisz o obowiązku. I masz rację. Spodziewałam się takiej decyzji. Od tej chwili każde z nas pójdzie w swoją stronę.

– Nie mówisz tego poważnie, Ivy!

– Jak najpoważniej.

– Z czego będziesz żyła? Przecież nie masz własnych dochodów. Jestem ci potrzebny, Ivy!

– Mylisz się – stwierdziła, a jej głos nabrał mocy. – Przynajmniej w kwestii finansowego wsparcia. Potrafię się sama utrzymać.

Rozpacz Franka przekształciła się we wściekłość.

– W jaki sposób chcesz żyć bez mojej pomocy? To mieszkanie...

– To mieszkanie nie będzie mi już potrzebne. Znajdę sobie inne lokum.

– A także innego mężczyznę, który się tobą zaopiekuje, jak sądzę.

Jego słowa powinny ją zranić, tymczasem odczuwała jedynie smutek i rozczarowanie.

– Nie, Frank. Nie ma innego mężczyzny. Od tej pory sama się będę o siebie troszczyć.

– Jak to zrobisz?

Spojrzała na swoje dłonie i stwierdziła, że obraca w palcach bransoletę, którą przed chwilą otrzymała od Franka. „Judaszowe brylanty uciszające poczucie winy” – pomyślała.

– Zamieszkam w Saint Kilda. Wynajęłam tam domek nad brzegiem morza.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Mówię prawdę, Frank. Wpłaciłam już zadatek i mam nadzieję, że z czasem ten dom będę mogła wykupić. Przeniecę się tam przed końcem miesiąca. Nie zobaczymy się już więcej.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jak zdołasz tego dokonać, Ivy?

Opowiedziała mu o Alu Gernsheimie i o pracach, jakie zaczęła wykonywać dla jego

pracowni. Jej pomysłowe barwienie zdjęć szybko zyskało sobie dużą popularność i przynosiło obojgu pokaźne zyski. Ivy obawiała się nawet, że wkrótce będzie zmuszona odrzucać niektóre z licznie składanych zamówień.

Zamilkła, a Frank patrzył na nią zdumiony, jak gdyby nie dotarł do niego sens jej słów. Udała się więc do pracowni i przyniosła oprawione w ramki zdjęcie. Przedstawiało drzewo eukaliptusa na australijskich pustkowiach. Zatrzymała je z pobudek sentymentalnych, a teraz po raz pierwszy pokazywała Frankowi.

– Z tej pracy będę się w stanie utrzymać – rzekła. – Pan Gernsheim przewiduje nawet, że wkrótce jeszcze bardziej wzrośnie popyt na zdjęcia „kolorowane przez Ivy Dearborn”.

– Dlaczego nie przysłaś z tym do mnie, Ivy? – wyszeptał Frank. – Wiedziałaś przecież, że w „Timesie” zawsze możesz mieć pracę.

– Ponieważ przeczuwałam, że któregoś dnia cię stracę. Nie mogłabym potem dla ciebie pracować.

– Ależ wcale mnie nie tracisz! Moje małżeństwo niczego >nie zmienia.

Jej oczy napełniły się łzami.

– Och, Frank! To straszne, co mówisz. Przez cały czas bałam się, że mnie porzucisz. I przygotowywałam się na tę chwilę. Potrafiłabym zrozumieć twoją decyzję. Ale... nie zniosę faktu, że chcesz mnie przy sobie zatrzymać i zbrukać naszą miłość.

Czuł, jak zaczyna w nim wrzeć mroczne i nie znane dotychczas uczucie. Ivy, jego droga Ivy, szydziła z niego. Mówiła, że już go nie potrzebuje, ponieważ za jego plecami znalazła pracę u innego mężczyzny! Frank zaopiekował się nią, a ona miała czelność mu oświadczyć, że da sobie bez niego radę! Myśl ta do tego stopnia go rozsierdziła, że nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Oto zapłata za wszystko, co dla ciebie zrobiłem! – rzekł w końcu nienaturalnie piskliwym tonem.

– Za wszystko co dla mnie zrobiłeś?! – wykrzyknęła. – A czy pomyślałeś o tym, ile godzin przesiedziałam tutaj, spoglądając na zegar i łudząc się, że przyjdiesz, a potem rozczarowana kładłam się sama do łóżka? Nawet kiedy nie czułam się dobrze, zawsze na pierwszym miejscu stawiałam twoje zadowolenie i wygodę. Nigdy nie zastanowiłeś się nad tym, co ja dla ciebie zrobiłam, prawda, Frank?

– A podarunki, jakie otrzymywałaś ode mnie podczas przeżytych wspólnie lat? Dzięki mnie mogłaś żyć na wysokiej stopie. Nigdy niczego ci nie brakowało, Ivy. Miałaś wszystko, co chciałaś. Wystarczyło tylko poprosić!

– Nigdy nie zamierzałam być niczyją utrzymanką! – odkrzyknęła. – Zależało mi jedynie na mężczyźnie, który by mnie kochał i który by się o mnie troszczył.

– Troszczyłem się o ciebie bardziej niż o kogokolwiek innego na świecie.

– Czy okazałeś kiedyś szczere zainteresowanie moim malarstwem, Frank? Czy chociaż raz spytałeś mnie o moje marzenia i obawy? Zawsze liczyłeś się tylko ty, ja natomiast nigdy.

Chwycił ją za rękę.

– Co zatem powiesz o bransolecie, która kosztowała dwieście funtów?! Czym jest mój podarunek, jeśli nie przejawem troskliwości?



Głęboko zaczerpnęła powietrza i patrząc na niego z bólem, stwierdziła:

– Zapłata za usługi.

Ponownie zapadło milczenie pełne groźnych niedomówień. Frank odwrócił się na pięcie, chwycił płaszcz i wyszedł, trzaskając drzwiami.

„Zapłata za usługi! – wrzał ze złości. – Jak ona śmiała tak powiedzieć!”

– Proszę się tutaj zatrzymać – polecił woźnicy powozu na moście Princes, który spinał brzegi śpiącej i pogrążonej we mgle rzeki Yarra. Za plecami Franka migotały uliczne gazowe latarnie Melbourne, a przed nim ciągnęła się ginąca w leśnych gęstwinach wstęga i tylko gdzieś tam błyskały światła odosobnionych rezydencji.

Był do tego stopnia rozsierdzony, że z trudem mógł oddychać. Spojrzał w dół na ciemną wodę. W głowie wciąż mu dudnił głos Ivy: „Zapłata za usługi”.

Kim była, by mogła pozwalać sobie na podobne stwierdzenia! Barmanką, która sądziła, że ma talent! Kobieta, której nie chciał żaden inny mężczyzna i która niechybnie skończyłaby na Collins Street, gdyby Frank się nad nią nie zlitował! A oto jak potraktowała go po tylu latach!

„Świetnie, baba z wozu, koniom lżej” – pomyślał, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Wkrótce powinien złożyć wizytę Carmichaelom. Był przez nich oczekiwany. Zamierzał oficjalnie się oświadczyć Lucindzie, a potem wybrać się na kolację z całą rodziną, żeby uczcić to wydarzenie. Nie mógł się jednak tam pokazać w takim stanie. Czym wytłumaczyłby swoje poruszenie, gdyby go o to spytali? Nie mógł im przecież oświadczyć: „Jestem zdenerwowany, gdyż przed chwilą zerwałem z kochanką”.

Dobry Boże, czyż życie nie mogło być prostsze? Dlaczego Ivy musiała okazać się stuprocentową kobietą? Dotychczas uważał, że jest niepodobna do innych. Dzisiejszego wieczoru odkrył jednak, że się mylił.

„W porządku – doszedł do wniosku, spacerując tam i z powrotem po moście. – Niech spróbuje się sama utrzymać. Ciekawe, jak się jej to spodoba. Kobiety sądzą, że łatwo jest odgrywać rolę mężczyzny. Niech się przekona, co to znaczy zarobić na sobie, nieustannie się modląc, by nie zabrakło pieniędzy i nie dotknęło jej żadne nieszczęście. „ Wzdrygał się na myśl o dniu, w którym poszedł do portu, żeby ją odszukać. Musiał chyba wtedy postradać zmysły. A potem przez siedem lat żył zjedną kobietą, i to na dodatek starszą od siebie! Ale dzięki Bogu, dopisało mu szczęście i znalazł Lucindę. Zjawiła się w samą porę i otworzyła mu oczy. Ivy nie była mu już potrzebna, zresztą nigdy jej nie potrzebował. Czuł się znacznie lepiej z przyjaciółmi w pubie niż w męczącym damskim towarzystwie.

„Zapłata za usługi!”

Jak śmiała tak powiedzieć! Mógł mieć każdą kobietę w mieście. A tymczasem trwał przy niej. Przywykł do niej niczym do wygodnych, znoszonych kapci.

Dosyć tego. Niech idzie w swoją stronę, wraz z pokolorowanymi fotografiami i z wygórowaną oceną własnych możliwości. Frankowi nie było potrzebne mieszkanie przy Elizabeth Street. Najwyższa pora, aby się go pozbyć. Lucinda była młoda i tryskała świeżością. Ukształtuje ją, by stała się kobietą, jakiej pragnie. A potem znowu będzie panem swojego życia.

Wracając do powozu, przystanął i spojrzął w stronę ulicznych świateł.

Zdecydowanie źle załatwił tę sprawę. Gdyby to on zerwał związek z Ivy, mógłby pójść do Carmichaelów ze spokojnym sumieniem. Ale to ona go porzuciła. A co więcej, ubliżyła mu. nazywając jego hojny podarunek „zapłatą za usługi”!

Do Ivy należało ostatnie słowo – i to bardzo obraźliwe. Frank nie mógł tego ścierpieć. Jeszcze z nią nie skończył. Nie powinien w takim nastroju iść do przyszłych teściów. Miał prawo postawić kropkę nad „i”.

I właśnie to zamierzał zrobić. Postanowił wrócić na Elizabeth Street i wygarnąć Ivy wszystko bez ogródek. Myliła się, sądząc, że tak łatwo z nim zerwie. Dlaczego miałby jej oszczędzić bólu? Chciał powiedzieć, co o niej myśli, a potem polecić, by niezwłocznie wyniosła się z mieszkania.

Przez chwilę walił pięściami do drzwi. Stała w nich z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Jej sylwetka odcinała się wyraźnym konturem na tle płomieni w kominku. Frank w drodze powrotnej z mostu Princes powtórzył w myślach całą perorę, którą miał przed nią wygłosić. Zdjął kapelusz i ku własnemu zaskoczeniu rzekł pokornie:

– Wyjdź za mnie, Ivy.

## ROZDZIAŁ 22

– Kaczki na stawie! – dobiegi krzyk z magazynu z wełną. Wołał mężczyzna zatrudniony przy prasie, który w ten sposób powiadamiał postrzygaczy, że do szopy weszła kobieta. Nadzorca podał wiadomość dalej, przekrzykując zgiełk:

– Uwaga, chłopcy! Kaczki wylądowały!

Ostrzeżenie nie miało na celu urażenia intruza, który przeszkadzał postrzygaczom w pracy, ale napomnienie ich, by zważali na język i w obecności damy delikatnie obchodzili się z owcami. Tym razem „dama” była siedmioletnia Beth Westbrook, która uwielbiała, gdy traktowano ją jak osobę dorosłą. Ilekroć zaglądała do magazynu, ci z mężczyzn, którzy mieli wolne ręce, zdejmowali na jej widok czapki z głów i zewsząd zaczynały dobiegać żarty.

Panował tu niemal ogłuszający hałas – trzask nożyc, szczekanie psów, nawoływania ludzi i dominujące nad wszystkimi innymi odgłosami beczenie owiec. Dwunastu skupionych na pracy postrzygaczy pochylało się nad zwierzętami, prowadząc niebezpiecznie ostre nożyce pod runem, które płatami odpadało od wierzgających baranów i owiec. Parobcy biegali po szopie, wydobywali spod nóg pracujących zwały wełny i zanosili ją pędem na stół, gdzie była walcowana, a postrzygacze co jakiś czas pokrzykiwali na nich: „Zabierzcie wełnę! Chwyć za miotłę, chłopcze!”

Na dworze poganiacze zapędzali wystraszone owce do zagród i przygotowywali je do strzyżenia.

Beth uwielbiała porę strzyży. Okres ten ekscytował ją nawet bardziej niż święta Bożego Narodzenia. Uwielbiała zapach runa, a także śmiech mężczyzn, którzy się mocowali z protestującymi zwierzętami i wprawnie zdejmowali z nich wełnę. Ale najbardziej uwielbiała samych postrzygaczy.

Wydawali się jej szalenie romantyczni, tak jak piraci, o których czytała w książkach przygodowych, albo rozbójnicy czy rycerze. Dowiedziała się o nich wszystkiego od ojca, który sam pracował jako postrzygacz wiele lat temu. Na terenie australijskich kolonii odbywał się co roku na początku zimy exodus ludzi z miast. Mężczyźni zarzucali tobołki na plecy, żegnali żony lub ukochane i wyruszali na „szlak wędrowców”. Miesiącami chodzili za pracą od farmy do farmy, a po drodze mijali miejscowości o dziwnych nazwach, jak Cunnamulla, Wydmy Alice czy Równina Jednego Drzewa. Hugh powiedział Beth, że młodzi mężczyźni, którzy jeszcze nie założyli rodzin, uważali ten tryb życia za fascynujący. Pieszko lub konno podążali w nieznaną i nigdy nie mieli pewności, czy znajdą zajęcie. Sypiali pod gołym niebem, pili herbatę prosto z menażki i dzięki towarzystwu kolegów nigdy nie opuszczał ich dobry nastrój. Byli bandą oryginałów. Beth uważała, że na całym świecie nie ma ludzi im podobnych. Byli krzepcy i rubaszni, ale dłonie, z powodu lanoliny zawartej w owczym runie, mieli delikatne niczym rączki niemowlęcia.

I trudno było o bardziej zgraną grupę kumpli niż oni. Hugh wyjaśnił córce, że wytrwać przy strzyży mogli jedynie ci, którzy wykazywali się wyjątkowym hartem ducha. Tryb życia, jaki wiedli, był niejednokrotnie przyczyną rozbitych małżeństw, obolałych krzyży, licznych

chorób i ciężkich urazów. Pracowali w zagrodach, gdzie temperatura nierzadko osiągała pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Wykonywali zajęcia niebezpieczne, podczas którego wiecznie byli narażeni na kopnięcie racicą lub utratę palca pod nożycami. Pod koniec dnia, kiedy dzwon obwieszczał porę herbaty, byli od stóp do głów złani potem, krwią, moczem i odchodami zwierząt. Po zakończeniu sezonu zaszywali się w pobliskim pubie. Budzili się trzy dni później, nie pamiętając hulanki, i wyruszali w powrotną drogę do domu – do żon i dzieci. Ślubowali, że nigdy więcej nie podejmą tej pracy. Ale gdy za rok rozpoczynał się okres strzyży, wraz z innymi wyruszali na szlak.

Ojciec Beth napisał balladę o postrzygaczach zatytułowaną „Dopływ Emu”. Był to długi poemat o Skrzywionym Micku i Uśmiechniętym Jacku, którzy wiecznie przebywali w drodze. Ojciec przedstawił w tym wierszu szopy, w których pracowali od Gundagai po Moulamein, niewygody, na jakie byli narażeni w miejscowościach Przerwana Rzeka i Wietrzne Moczary, przyjaźń oraz wzajemne poświęcenie, a także pozostawione w domach wybranki serc – Mary, Jane i Lizzie. Ta ballada jako jedna z pierwszych została wydana pod prawdziwym nazwiskiem ojca i fakt ten napełniał Beth dumą.

Siedmioletnia dziewczynka była zapatrzona w postrzygaczy, zachwycona życiem, jakie wiedli, i postanowiła, że kiedyś, gdy dorośnie, będzie zajmowała się tym samym co oni.

– Czego sobie życzysz, panienko? – Do stojącej w drzwiach i podekscytowanej dziewczynki podjechał konno jeden z mężczyzn, którego nazywano Śmierdzącym Łazarzem.

– Och, Łazarzu, czyż to nie cudowny widok?

Mężczyzna ogarnął wzrokiem zmęczonych ludzi, których twarze ociekały potem, oraz siusiąjące wokół siebie i pobekujące owce.

– Rzeczywiście, zachwycający – rzekł ze śmiechem. Beth wbiła ręce w kieszenie sukienki i westchnęła. Był z niej nie lada trzpiot. Miała długie warkocze i wiecznie umorusaną buzię. Częściej chodziła boso niż w butach. Łazarz, myśląc o Beth Westbrook, nie mógł się powstrzymać, by nie pokręcić głową. Podczas sezonu strzyży zawsze krążyła w pobliżu szopy, gdzie gromadzono owczą wełnę, albo jeździła na kucu po obejściu gospodarskim, a w przejażdżkach tych zawsze towarzyszył jej nieodłączny pasterski pies, Guzik. Natomiast brat dziewczynki, Adam, przejawiał większe zainteresowanie rosnącymi nad brzegiem rzeki roślinami niż pracą na farmie.

Beth uwielbiała Śmierdzącego Łazarza. Rok w rok przyjeżdżał ze swoją ekipą postrzygaczy, znał wiele zabawnych historii i zawsze znajdował dla niej wolną chwilę. „Nazywają mnie Śmierdzącym Łazarzem – wyjaśnił jej kiedyś – ponieważ według Biblii Łazarz potwornie cuchnął. „

To on umieścił kiedyś napis nad wejściem do jadalni na farmie: „Postrzygacze muszą raz na dwa miesiące brać kąpiel bez względu na potrzebę”.

Łazarz opowiadał cudowne anegdoty. Bohaterem jednej z nich był postrzygacz Stara Rzepa, który chciał zrobić sobie w czasie strzyży wolne. Postrzygacze nie golą mokrych owiec, gdyż według powszechnej opinii byłoby to niebezpieczne zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Tak więc Stara Rzepa, pragnąc wyrwać się z roboty, oświadczył, że owce mają wilgotne runo. Sądził, że hodowca go zwolni na jeden dzień. Ale pracodawca był

człowiekiem chytrym i rzekł na to: „W takim razie ostrzyż jagnięta. Są mniejsze i schną prędzej”. Ale Stara Rzepa przechytrył hodowcę, stwierdzając: „Nieprawda, sir. Są tak małe, że promienie słońca, aby do nich dotrzeć, muszą pokonać dłuższą drogę niż do dorosłych owiec”.

– Kiedyś ja również będę postrzygaczem – oświadczyła Beth.

– To niemożliwe, panienko – rzekł Śmierdzący Łazarz ze śmiechem.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ to nie jest zajęcie odpowiednie dla dziewczyny. Nauczysz się gotować, szyć i wykonywać inne domowe prace.

Beth zadarła do góry podbródek.

– Tego też się nauczę. Co nie znaczy, że nie zostanę postrzygaczem. Mój ojciec był nim również za młodu. Chcę zaganiać stada, objeżdżać posiadłości i naprawiać płoty, tak jak on to teraz robi.

Łazarz roześmiał się i przesunął kapelusz na tył głowy. Był upalny październikowy dzień. W Okręgu Zachodnim wciąż dawała się we znaki susza i wszystko wskazywało na to, że kolejne lato znowu będzie bardzo gorące i bezdeszczowe.

– Co na to powie twój mąż? – spytał postrzygacz z uśmiechem.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż.

– A jeśli się zakochasz?

– Nigdy się nie zakocham. Nie lubię chłopców. Będę miała Merindę i będę mogła robić, co mi się podoba.

Łazarz uniósł w górę brwi.

– Merinda nie będzie należała do ciebie. Kto ci o tym powiedział?

– Nikt mi nie mówił. Wiem, że kiedyś będzie moja.

– Nie, panienko. Posiadłość przejdzie na twojego brata, Adama.

Beth wytrzeszczyła na Łazarza oczy.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest chłopcem. A chłopcy wszystko dziedziczą.

– Nie wierzę.

– No cóż, przekonasz się o tym któregoś dnia – rzekł, głaszcząc ją po głowie. – Ale wtedy już nie będziesz miała nic przeciwko zamążpójściu!

Gdy Śmierdzący Łazarz odszedł, krzywonogi i przygarbiony z powodu lat spędzonych przy strzyży, Beth czuła, jak jej cudowne poranne uniesienie ustępuje miejsca rozczarowaniu. Co za niesprawiedliwość! Zawsze mówiono jej, że nie może robić tego, na co ma ochotę. Na przykład zabraniano jej pracować w zagrodach na dorocznym Pokazie Hodowców. Tylko chłopcy i mężczyźni mogli zajmować się zwierzętami. Dziewczynom i kobietom pozostawało gotowanie i wydawanie posiłków.

Beth wiedziała, że Adam nie jest zainteresowany Merindą, w każdym razie nie aż tak jak ona. Bardziej zajmowały go szkolne podręczniki bogate w rysunki przedstawiające skamieniałości i owady. To ona towarzyszyła ojcu w czasie przeprowadzania niezbędnych robót na farmie, na przykład podczas suszy, kiedy trawa była tak marna, że musieli dokarmiać

owce. Beth przyglądała się z powozu mężczyznom, którzy rozrzucaли wygłodniałym zwierzętom ziarno i siano. To ona jechała z ojcem, kiedy trzeba było rozłożyć sól w lizawkach, i to ona pomagała mu sprawdzać nowe studnie oraz podawała narzędzia, gdy naprawiał płoty. To ona przysłuchiwała się rozmowom mężczyzn o tym, jak daleko trzeba pędzić stada w poszukiwaniu wody. I wreszcie to ona śpiewała, ilekroć Śmierdzący Łazarz brzdąkał na bandžo, a jego ludzie intonowali pieśń: „W drodze do Gundagai rozbiliśmy obóz u Leniwego Harry’ego”...

– A właśnie że będę postrzygaczem – powiedziała cicho, wychodząc razem z Guzikiem z szopy, w której strzyżono owce. Minęła ruchliwe podwórze i skierowała się w stronę prowadzącej nad rzekę ścieżki. Obeszła nowy dom, pusty, lecz niemal gotowy do zamieszkania. Zagłębiła się w las, gdzie rosły drzewa gumowe oraz topole. Snując się pomiędzy nimi, podrzucała kamyczki albo patykami znaczyła ślad w pyłe. Gdy niespodziewanie Guzik groźnie zawarczał, Beth podniosła wzrok. Dobiegł ją odgłos zbliżających się kroków.

Pies podniósł nos i zaczął węszyć. A zaraz potem zamerdał ogonem.

– Dzień dobry – powiedziała na widok wyłaniającego się zza drzew Ezekiela. W ostatnich czasach stary naganiacz był często widywany w okolicy zabudowań gospodarskich. Susza zmusiła wielu wędrowców, zarówno białych, jak i czarnych, do przebywania nad brzegami rzeki. Kilka kilometrów dalej, w jej górnym biegu, wyrósł obóz włóczęgów z wieloma namiotami i chatami rozmaitych kształtów i rozmiarów. Mieszkali w nim ludzie, którzy w okresie strzyży najmowali się do pracy. W dolnym biegu rzeki natomiast podobny obóz stał się domem dla Aborygenów, takich jak Ezekiel, którzy zwykle prowadzili życie koczownicze, lecz teraz z powodu braku wody nie mogli swobodnie wędrować.

– Wybrałaś się dzisiaj na przechadzkę, dziewczynko?

– spytał starzec.

Beth kopnęła kamień i patrzyła, jak się toczy po ziemi.

– Nie chcę, żebym została postrzygaczem.

– Biali ludzie miewają dziwaczne pomysły – rzekł Ezekiel, sadowiąc się na głazie i sięgając do kieszeni szerokich spodni.

– Czarni pozwalają niewiastom pracować. Mężczyźni siedzą w cieniu, a całą robotę wykonują za nich kobiety.

Beth posłała starcowi czujne spojrzenie, a kiedy spostrzegła jego wyszczerzone w uśmiechu zęby, rozpogodziła się również.

– Co tam masz, Ezekieli? – spytała, gdy wydobył coś z kieszeni.

– Towarzyszę panu MacGregorowi i innym białym w polowaniach na kangury w górach. Zabierają ze sobą mnóstwo żywności. Biorę więcej, niż sam zdołam zjeść. – Wyciągnął dłoń w stronę Beth.

– Ojej, to czekolada! – oczy dziewczynki zrobiły się ogromne z zachwytem. – Bardzo ci dziękuję, Ezekieli. Czy mogę poczęstować Guzika?

– Daj mu kawałek. To dobry pies. Nie wszystkie są takie. Ten jednak... – Starzec umilkł nagle.

Kiedy Beth ostrożnie rozłamywała tabliczkę czekolady, Ezekiel zaczął przepatrywać las

za plecami dziecka.

– Proszę – rzekła dziewczynka, oddając mu resztę smakołyku. – Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Spojrzał na jej wyciągniętą dłoń i pogodny uśmiech, a potem ponownie ogarnął wzrokiem ścielące się u podnóża drzew cienie. Zamknął oczy i doznał podobnego uczucia jak lata temu, kiedy to spotkał w tym samym miejscu matkę dziewczynki. Po chwili otworzył powieki i stwierdził, że za plecami Beth wciąż się czai cień psa.

– Czy stało się coś złego, Ezekielu? – spytała, gdy nie odebrał czekolady.

Obejrzał się przez ramię. Przypomniał sobie o parze dingo, na które się natknął niedaleko kilka dni temu; pies i suka ze sterczącymi z głodu żebrami. Nie były oswojone, jak te z obozu Aborygenów, lecz dzikie. I bardzo groźne.

Zmarszczył brwi. Musiał się zastanowić. Od kiedy tu przybył biały człowiek, wszystko uległo zmianie. Szlaki-pieśni. I Miejsca Snów. Trudno było teraz wędrować, gdyż przestało istnieć zbyt wiele znaków. Zniknęły też gaje z drzewami gumowymi, gdzie odpoczywał Pierwszy Kangur. W jaki sposób czarny człowiek miał nadal odtwarzać świat, skoro wędrówka stała się niemożliwa?

I Ezekiel, tak jak inni, pomyślał: „To koniec wszystkiego; koniec Snów”.

Teraz jednak, patrząc na dziewczynkę, przypomniał sobie jej matkę, do której przemówił Pierwszy Kangur, i w głowie zaświtała mu nowa myśl. Przez całe miesiące był świadkiem budowy nowego domu. Widział, jak wydeptywano nowe ścieżki i sadzono drzewa. Nie miał wtedy jeszcze pojęcia, co o tym sądzić. Teraz jednak nasunęła mu się pewna refleksja. A może to nie był wcale koniec, lecz początek nowego Snu? Gdy myśl ta nabrała kształtu, starzec innym okiem rozejrzał się wokół i nagle dostrzegł nowe szlaki-pieśni, które należały teraz do białego człowieka.

Wszystko brało swój początek od obecnej tu małej dziewczynki, tak jak w zamierzchłych czasach od Pierwszego Kangura. I starzec zaczął się zastanawiać, czy ona kiedyś też będzie uważana za protoplastkę rodu.

Ezekiel od wielu lat, gdy wyginęła jego rodzina i otrzymał od pracowników misji odzież, ubierał się tak samo. Ale pod koszulą wciąż miał przy sobie to, co nosił przed przybyciem białego człowieka na ten kontynent – przewiązaną w pasie opaskę z włosów i mały worek ze skóry pałanki, w którym przechowywał swoje skarby. Dawniej ludzie ukrywali w nich ostre kamienie, sznurki, groty, czasami grudki pszczelego wosku, haczyki do łowienia ryb i krzemienie do rozpalenia ognia. Teraz zwykle znajdowały się tam zapałki, tytoń, noże, sznurowadła oraz kilka monet.

Stary człowiek wsadził rękę pod koszulę i sięgnął do worka.

– To dla ciebie – wyciągnął dłoń w stronę Beth. Spojrzała na zagadkowy przedmiot. Dopiero po chwili rozpoznała w nim ząb jakiegoś zwierzęcia.

– Ojej! A cóż to takiego? – zdziwiła się.

– Kieł dingo – wyjaśnił. – Jest stary i kryje bardzo potężną moc. Daję ci go na własność.

– Na własność? Po co mi to?

Nie chciał wyjawiać jej prawdy w obawie, że ją przestraszy – była w niebezpieczeństwie i

potrzebowała ochrony.

– To talizman na szczęście – wyjaśnił tylko. Mała dziewczynka z Merindy zawsze była miła dla starego Ezekiela. I teraz Ezekiel dał jej prezent, by chronił ją i przynosił szczęście.

– Ojej! Dziękuję ci, Ezekieli!

– Noś go zawsze przy sobie. Ma bardzo silne tajemne właściwości.

Sara przypomniała sobie niespodziewanie piosenkę Aborygenów:

*Wspinam się na wysoką skałę I patrzę w dół, I patrzę w dół, I widzę padający deszcz,  
Który rosi twarz mojego ukochanego...*

„Jakie to dziwne” – pomyślała, gdy jej mały powóz toczył się przez spaloną od słońca okolicę. Od lat nie pamiętała o tej piosence, której w dzieciństwie nauczyła się od starej Deereeree. Dlaczego nagle zaczęła ją nucić w myśli? Do Sary ostatnio powracało wiele wspomnień: sposób wyplatania koszyków, rozmowy z najlepszą przyjaciółką z misji o imieniu Becky oraz tajemne rytuały odprawiane w pobliskim lesie. Powodem niewątpliwie były pytania o zwyczaje jej ludu, które często zadawał jej Philip. I Sara uświadomiła sobie, że z przyjemnością wraca myślami do przeszłości.

Dziś rano wybrała się do Cameron Town na zakupy: po nici do wyszywania dla Alice, sodę do pieczenia dla pani Jackson i po ołówki dla Adama. Odebrała również pocztę. Nadeszły dwa listy zaadresowane do Joanny: jeden przysłał pan Robertson z misji Karra Karra, drugi pochodził z Anglii. Była też korespondencja dla Alice.

Pomyślała o żonie Philipa, zawsze cichej, nie narzucającej się ze swoją obecnością i wyraźnie zawiedzionej brakiem stabilizacji. Alice poświęcała wiele czasu na pisywanie do licznych przyjaciółek i krewnych w kraju. Godzinami nie było jej widać ani słyszać. W końcu wyłaniała się z sypialni z plikiem listów do nadania. Rodzina przysyłała jej kartki pocztowe, fotografie i artykuły z gazet, a ona spędzała całe godziny, wklejając je do swojego notatnika. Nie ulegało wątpliwości, że dręczy ją nostalgia. Dlatego nikt nie wydawał się zaskoczony, gdy Philip oznajmił ubiegłego wieczoru przy kolacji, że teraz, kiedy budowa domu jest już niemal zakończona, on, Alice i Daniel niezwłocznie wracają do Anglii.

Sara spodziewała się, że ta chwila kiedyś nadejdzie, jednak gdy rychły wyjazd Philipa stał się faktem, ogarnęło ją przygnębienie. Wiedziała, że tak będzie lepiej dla nich obojga. Coś się między nimi zrodziło, choć oboje nie chcieli dopuścić tego do świadomości. Bardzo się pilnowała podczas ostatnich pięciu miesięcy, by ani na moment nie znaleźć się z Philipem sam na sam. Jej uczucie do niego stawało się coraz silniejsze i była pewna, że on je odwzajemnia, a to jedynie pogarszało sprawę.

Sara starała się przeanalizować swoją miłość i wielokrotnie pytała samą siebie: „Dlaczego on?” Nie mogła się uskarżać na brak adoratorów. Był wśród nich mieszaniec Eddie – wesoły, inteligentny i przystojny parobek, który świata poza nią nie widział, a także młody Aborygen pracujący w sklepie Thompsona w Cameron Town. Chłopak zwykle nie odstępował jej powozu, ilekroć robiła w mieście zakupy. Podczas jednego z pikników zainteresował się nią nawet jeden biały, niejaki Arnie Ross, kawaler z miasta, i przysłał bilet do Merindy z



zapytaniem, czy mógłby złożyć Sarze wizytę.

Ją jednak obchodził tylko Philip McNeal. Co więcej, była w nim rozpaczliwie zakochana. I chciała zrozumieć dlaczego. Należał do atrakcyjnych mężczyzn, ale urody nie można było także odmówić Arniemu Rossowi. Był dowcipny i błyskotliwy, ale podobnie można by opisać Eddiego. Cechował się wrażliwością i ujmującym sposobem bycia, ale to samo można było powiedzieć o młodym Thompsonie. Co takiego miał Philip w sobie, że stał się dla niej kimś szczególnym?

Może przemawiał za nim fakt, że wciąż wspominał o jej pochodzeniu. Stale nawiązywał do tego tematu i zdawał się nim zafascynowany. Zastanawiała się, co będzie, jeśli pozwoli mu wydobyć na jaw tę skrywaną część swojej natury. Co stanie się wtedy z drugą częścią, którą odziedziczyła po białym ojcu? Nie mogła się rozdzielić. Musiała zaakceptować jeden model życia. Przez siedem lat spędzonych w Merindzie naśladowała Joannę, krępowała ciało gorsetami, wciskała stopy w buty i zapomniała o dzieciństwie spędzonym wśród ludu matki. Przez siedem lat żyła jak biała kobieta, a teraz z wolna stawała się znowu Aborygenką. Niespodziewane wspomnienia z przeszłości okazały się tego dowodem. A także to, że je chciwie rozpamiętywała i sprawiały jej radość. Czy to był jeden z powodów jej miłości do Philipa?

Jadąc w porannym słońcu zastanawiała się, czy gdyby poślubiła kogoś takiego jak Philip, mogłaby żyć jak Aborygenka.

Przypomniała sobie, jak obserwowała go kilka dni temu z ukrycia. Badał dłońmi fakturę drewna na podłodze w pokoju muzycznym nowego domu, przyglądał się farbie i co jakiś czas przystawał, żeby sprawdzić umocowanie boazerii. Ukośnie wpadający do pokoju blask księżyca sprawiał, że jego sylwetka wydawała się nierzeczywista. Był wysoki i szczupły, szeroki w ramionach. Poruszał się z wdziękiem.

Miała ochotę podejść, żeby go pożegnać. Chciała, by chwila rozstania była długa i namiętna. Pragnęła wyryć się w jego pamięci, tak aby nigdy o niej nie zapomniał, jak o Pyłku Kwiatu. Ale przeraziła ją gwałtowność własnych doznań i czuła, że musi nad nimi zapanować. Tak więc pożegnała go w myślach słowami, jakie zapamiętała z języka swoich przodków: *Winjee khwaba*.

Jadąc wiejską drogą, podniosła wzrok i dostrzegła orła, który sunął po niebie w jej stronę. Ptak zapikował w dół, wzbił się w górę, by po chwili znowu runąć z wysoka na zdobycz. Sara zwróciła twarz w kierunku wiatru. W oddali widziała zgliszcza zabudowań gospodarskich oraz zwęglone pola. A potem jej wzrok napotkał...

Philip siedział na łące i rysował coś w szkicowniku. Jego koń był przywiązany do pobliskiego drzewa.

Zatrzymała powóz i przez chwilę mu się przyglądała. Ostatnie wieczory upłynęły Philipowi na omawianiu planów z Hughiem i Joanną. W niektórych miejscach sugerował zmiany, w innych proponował zastosowanie nowych rozwiązań. W trakcie budowy czuwał, żeby każda belka została prawidłowo położona i każdy gwóźdź wbity jak należy. Kiedy dostrzegał jakieś niedociągnięcie, którego nikt poza nim nie zauważał, kazał ponownie wykonać pracę. Chodził po placu budowy z rulonami planów pod pachą, sprawując nadzór,

mierzając i wielokrotnie korygując. A kiedy była potrzebna dodatkowa para rąk – do dźwignięcia ściany czy do wymieszania cementu – sam włączał się do pracy.

Sara uważała, że nowy dom w Merindzie jest niezwykły. Philip wprowadził śmiało rozwiązania konstrukcyjne. Budynek, choć obszerny, był jednopiętrowy, przykryty prostym dachem i niepodobny do innych w okolicy. Plany uwzględniały kuchnię, choć powszechnym zwyczajem było stawianie jej z dala od domu. Na tylnej werandzie umieszczono obudowany cegłą, miedziany kocioł pralniczy, nad którym znajdowały się kurki z bieżącą wodą. Było to nowatorskie udogodnienie. Dom Westbrooków pierwszy w Okręgu Zachodnim miał oświetlenie gazowe.

Budynek był piękny, z obszerną werandą ozdobioną gustowną żelazną balustradą. Z całej okolicy przybywali goście, żeby podziwiać nowy dom. Sara często myślała o tym, że w jego wznoszeniu musiały uczestniczyć pozaziemskie moce. W „Timesie” Frank Downs zamieścił opis okazałej rezydencji Westbrooków, której architektura harmonizowała z otaczającymi ją eukaliptusami, z australijskim buszem i rozległymi równinami.

„Tylko Philip mógł tego dokonać” – pomyślała Sara.

Zerwał się wiatr i zatrzepotał kartkami szkicownika. Philip niespodziewanie podniósł wzrok. Wraz z powiewem gorącego wiatru, który ją owionął i wziął w objęcia, dotarło do niej pożądanie Philipa. I zastanawiała się, czy on wyczuł, że ona je odwzajemnia.

Niepewnie i powoli zbliżał się do niej, zastanawiając się nad właściwym doborem słów, jak gdyby nagle zrozumiał, co oboje pragną sobie powiedzieć, choć jednocześnie wiedzą, że nie wolno im tego robić.

– Dzień dobry, Saro. Szkicuję dom w Tillarrara – zagadnął. – Jest doskonałym przykładem australijskiej architektury. Spójrz na dach z pocynkowanej blachy, na podpory i kamienne zdobienia. Sądząc po georgiańskich wpływach widocznych w rzeźbionych ornamentach, budynek ten został zbudowany około 1840 roku.

– Pochodzi z 1841 roku – stwierdziła Sara, oddając mu szkicownik.

– Nie spodziewałem się, że tutaj ciebie spotkam.

– Pojechałam do miasta odebrać pocztę – wyjaśniła. Rano niemal nalegała, żeby Joanna została w domu i zaopiekowała się przeziębionym Danielem, twierdząc, że chętnie wybierze się do Cameron Town po listy. Wiedziała, że Philip zamierza obejrzeć Tillarrara. Postanowiła ominąć prowadzącą tamtędy drogę i wybrać główny trakt. Ale gdy po opuszczeniu miasta dotarła do skrzyżowania, przekonywała samą siebie, że lepiej będzie pojechać na skróty, gdyż i tak na pewno nie natknie się na Philipa. A teraz uświadomiła sobie, że bardzo zależało jej na tym spotkaniu.

– Cieszę się, że cię widzę – stwierdził. – Miałem nadzieję, że jeszcze zdołam porozmawiać z tobą przed wyjazdem.

I wtedy Sara, cofając się myślami do ubiegłych miesięcy, zrozumiała, że Philip również jej unikał.

Pomógł jej zsiąść z powozu i przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

Czuli wzajemną miłość i pożądanie, które oplatało ich niewidzialną przedzą i oddzielało od reszty świata.

Philip, zdając sobie sprawę z własnej ruchliwej natury, nie mógł pojąć niezmaconego spokoju i wyciszenia, którego zawsze doznawał w towarzystwie Sary. Pomyślał o domu, który dopiero co wybudował. Był największym osiągnięciem w jego dotychczasowej karierze architekta i Philip przypuszczał, że to jego uczucia do Sary natchnęły go do pracy twórczej.

Położony wśród lasu dom Westbrooków wyglądał dokładnie tak, jak Philip sobie wcześniej wyobrażał. Idealnie wkomponowany w otoczenie eukaliptusowych drzew sprawiał wrażenie, że naturalnie wśród niego wyrastał. Prostota dachu i obszernej werandy podkreślała doskonałość stylu. Philip pomyślał o ogromnej radości, jaką sprawiła mu możliwość zaprojektowania domu powstającego w harmonii z miejscem jego położenia, wykorzystania jako budulca drzewa oraz naturalnych kamieni, a także tworzenia linii i kątów uwypuklających raczej walory przyrody, niż wkraczających w jej prawa, i o zawarciu w projekcie ducha tej ziemi. Był przekonany, że gdyby Aborygeni mieli zwyczaj mieszkania w domach, z pewnością budowałiby je właśnie w ten sposób – jako przedłużenie otaczającego ich świata, bez jakichkolwiek sprzeczności z przyrodą. Philip w wielu miastach projektował i stawiał domy, ale zawsze miał poczucie, że jego twórcze zdolności są tłumione. I zapewne to był jeden z głównych powodów jego nieustannych poszukiwań oraz przenoszenia się z miejsca na miejsce. I teraz, idąc obok milczącej dziewczyny, która zainspirowała go do pracy, zastanawiał się, czy projektując dom Westbrooków w tym zapadłym zakątku świata, wreszcie odnalazł to, czego szukał. Żadna praca dotychczas nie przyniosła mu tak głębokiej satysfakcji.

Nagły podmuch wiatru zerwał Sarze kapelusz z głowy. Krzyknęła. Philip spróbował go pochwycić, lecz powiew wichru poniósł kapelusz dalej.

– Zaraz go złapię – obiecał Philip.

Sara towarzyszyła mu w pogoni. Biegli po łamliwej trawie, pędząc w stronę krzewów, na których na moment kapelusz się zatrzymał, nim znowu porwał go wiatr. Wkrótce jednak strata nakrycia głowy przestała mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Delektowali się poczuciem swobody i podmuchami wiatru na otwartej, słonecznej równinie.

Kapelusz zaczął się w końcu o gałąź niskiego krzaka. Philip, chcąc go pochwycić, zatrzymał się gwałtownie i Sara na niego wpadła. Roześmiani podtrzymali się nawzajem. A potem znieruchomieli. Philip, niepomny celu pościgu, mocniej objął ją ramionami.

– Saro – szepnął.

Wtuliła twarz w jego szyję. Oboje czuli na sobie słodki dotyk słonecznych promieni. Całował jej włosy i twarz. A potem wargami odnalazł jej usta.

Jeszcze przez chwilę tuliła się do niego całym ciałem, lecz zaraz wyswobodziła z jego objęć. Tylko jego pragnęła. Pamiętała jednak, że Philip musi się udać w dalszą podróż i że jest żonaty.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Saro. Mam ci wiele do powiedzenia i tak dużo jest spraw, które pragnąłbym ci wyjaśnić.

– Proszę, nic nie mów – rzekła. Jej oczy błyszczały od łez. – To nieuczciwe wobec Alice.

– Przecież nie mamy wpływu na to, co zaszło pomiędzy nami, Saro. Chyba nie zaprzeczysz, że się nawzajem kochamy?

– Nie, nie zaprzeczę. Ale nie mamy do tej miłości prawa. Nie tylko my się liczymy,

Philipie. W grę wchodzi jeszcze inni ludzie. Twoja żona...

– Nie chcę rozmawiać o Alice. Ta sprawa nie ma z nią nic wspólnego. Alice nie jest niczemu winna. Kochałem ją w chwili, kiedy się z nią żeniłem, i nadal ją kocham. Ale moja miłość do niej jest całkiem odmienna od tej, jaką ciebie darzę. W Alice pociągała mnie jej skromność, a także przywiązanie do domu i do rodziny. Sądziłem, że pomoże mi się ustatkować i przezwyciężyć skłonności do włóczęgostwa. Tymczasem Alice stała się ich ofiarą. Miałaś rację twierdząc, że buduję domy dla innych ludzi, tylko nie dla siebie. To nie jest uczciwe w stosunku do niej ani do Daniela. I właśnie z tego powodu zabieram ją z powrotem tam, gdzie jest jej miejsce i gdzie będzie szczęśliwa.

– Przespaceruj się ze mną. Saro. Nie chcę w ten sposób się z tobą rozstawać. Pragnę ci o sobie opowiedzieć, a także dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Marzę o tym, by zgłębić twoją cudownie tajemniczą naturę. Gdy odjadę, zabiorę cię ze sobą. Będziesz tutaj – dotkną swojej piersi. – Porozmawiajmy jeszcze przez chwilę, nim każde z nas zrobi to, co musi zrobić.

– Wrócisz, Philipie? Czy kiedyś jeszcze cię zobaczę? Pragnął ponownie wziąć ją w ramiona, ale się powstrzymał.

– Gdyby chodziło o kogo innego, powiedziałbym: „Jeśli tak jest zapisane w moich gwiazdach, wróć”. Tobie jednak odpowiem: „Jeśli mój szlak-pieśń przywiedzie mnie tu z powrotem, znowu się zobaczymy”.

Joanna prędko otworzyła list z misji Karra Karra. Znajdowała się w nim druga, mniejsza koperta z angielskimi znaczkami oraz notatka od Robertsona, w której pastor wyjaśniał, że otrzymał odpowiedź od przyjaciela z Londynu, eksperta od tachygrafii, i że załącza przysłany przez niego kod. „Przyjaciel zaproponował, że gdyby miała Pani trudności z przekładem zapisków dziadka, z przyjemnością podejmie się tego zadania. „

Joanna otworzyła mniejszą kopertę i wyjęła zawartość – list od Gilesa Stafforda i mały notes wypełniony symbolami oraz ich alfabetycznymi, fonetycznymi i słownymi odpowiednikami.

Przyglądała mu się oniemiała ze zdumienia. Oto w końcu leżał przed nią klucz do zagadki. Wkrótce miała się przekonać, czy wśród notatek dziadka rzeczywiście znajdują się tak długo poszukiwane odpowiedzi.

Ale pomimo zapału, by jak najprędzej przystąpić do tłumaczenia, otworzyła najpierw drugi list. Pochodził od pani Elsie Dobson zamieszkałej w tej samej miejscowości co ciotka Millicent, o czym informował adres zwrotny.

Joanna rozłożyła jasnobłękitny papier, który pomimo przebycia dalekiej drogi wciąż delikatnie pachniał lawendą. Autorka listu przedstawiała się w nim jako wdowa i znajoma ciotki Millicent od blisko sześćdziesięciu lat. Ze smutkiem powiadamiała Joannę, że Millicent zmarła podczas snu, w wieku siedemdziesięciu lat.

„Byłam jej najbliższą przyjaciółką – pisała pani Dobson. – Opiekowałam się Millicent podczas jej ostatnich dni, kiedy wskutek wylewu została przykuta do łóżka. Wszystko, co posiadała, zostawiła mnie, a było tego bardzo niewiele. Gdy w końcu zdobyłam się na przepatrzenie jej rzeczy, natknęłam się na Pani listy, które Millicent przechowywała.

Przykro mi, że naraziła Panią oraz Pani matkę na tak ogromne nieszczęście, odmawiając

odpowiedzi na Wasze pytania. Nie była złośliwa, tylko nigdy nie mogła przeboleć «utraty siostry» przez wydanie jej za mąż za Johna Makepeace'a, jak zwykła mawiać. A potem, kiedy Emily poślubiła Petroniusa Drury'ego i wyjechała razem z nim do Indii, Millicent raz jeszcze poczuła się porzucona. Ale przypuszczam, że teraz, kiedy już odeszła, nie stanie się nic złego, jeśli udzielę Pani kilku informacji.

Millicent i jej siostra, chociaż bliźniaczki, bardzo różniły się od siebie. Naomi, Pani babcia, była osobą pogodną, pełną optymizmu i miała silniejszą konstrukcję psychiczną niż siostra. Millicent przywodziła mi na myśl drugą stronę medalu – była zazwyczaj smutna. Szczerze mówiąc, zaliczała się do kobiet o raczej słabym charakterze. W dzieciństwie dziewczynki były nierozłączne. A gdy Naomi zakochała się w Johnie i pożegłowała razem z nim do Australii, Millicent oświadczyła, że nigdy jej tego nie wybaczy. „

Joanna uświadomiła sobie, że pokój pogrążył się w mroku. Słońce już zaszło, a zza zamkniętych drzwi sypialni dobiegały polecenia pani Jackson, która kazała Peony nakrywać do stołu. Okno było na oścież otwarte i wraz z powiewami ciepłego wieczornego wiatru Joannę dochodziły odgłosy z podwórza, gdzie postrzygacze po dniu pracy pakowali narzędzia.

Zapaliła lampę i powróciła do listu pani Dobson.

„Pamiętam dzień, w którym Pani matka została tutaj przywieziona. Akurat byłam u Millicent z wizytą. To się wydarzyło jakieś czterdzieści pięć lat temu, gdyż przypominam sobie, że przyniosłam ze sobą Raymonda, mojego pierwszego syna, żeby go pokazać Pani ciotce. Piłyśmy herbatę, gdy rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się w nich niezwykle mężczyzna. Był kapitanem żaglowca, przyprowadził ze sobą dziecko i opowiedział nam niesamowitą historię. „

Odczytując słowa pani Dobson, Joanna wyobraziła sobie wielomiesięczną podróż, jaką musiała odbyć jej matka w towarzystwie marynarzy – z Australii do Singapuru, a stamtąd do Southampton. Pięcioletnia dziewczynka, która stanęła w drzwiach domu ciotki Millicent, była opalona na brąz, włosy sięgały jej poniżej pasa. Na sukienkę miała zarzucony żakiet w kolorze zielonego groszku, a na głowie nosiła marynarską czapkę. Jediną rzeczą, jaką posiadała oprócz prezentów podarowanych jej przez żeglarzy, była skórzana teczka z zapiskami oraz zadziwiająca futrzana zabawka, nazywana przez nią Rupertem.

„Kapitan nie potrafił powiedzieć nam, w jaki sposób Emily dotarła do australijskiego wybrzeża, skąd odpłynęła pierwszym statkiem – pisała pani Dobson. – Również list, który miała przy sobie, niewiele wyjaśniał. Nie ulegało wątpliwości, że został napisany w pośpiechu. „

Według pani Dobson zawierał jedynie zwięzłą informację z prośbą: „To jest Emily, córka Naomi i Johna Makepeace. siostrzenica Millicent Barnes. Proszę ją odwiedzić za wynagrodzeniem do Crofter's Cottage, Bury St. Edmund's w Anglii”.

Joanna próbowała wyobrazić sobie okoliczności, jakie towarzyszyły rozpaczliwej ucieczce matki z Australii. Kto pojechał z dziewczynką na wybrzeże i oddał ją w ręce władz? Czy była to kobieta o imieniu Reenadeena? Dlaczego osobiście nie towarzyszyła Emily w podróży do Anglii? Czyżby nie mogła tego zrobić? I co się stało z Johnem oraz z Naomi?

Joanna wróciła do listu.

„Millicent nie posiadała się z radości. W końcu Emily była córką siostry, którą Millicent ubóstwiała. Nigdy nie zdołałyśmy jednak ustalić, co się stało z samą Naomi. Przypuszczam, że dawno temu zmarła gdzieś w Australii.

Pani matka dorastając zastanawiała się nieraz, dlaczego nie pamięta swoich rodziców – pisała dalej pani Dobson. – Ilekroć pytała o to ciotkę, Millicent zawsze odpowiadała, że w wieku sześciu lat przebyła ciężką zakaźną chorobę, co oczywiście nie pokrywało się z faktami. Co było rzeczywistą przyczyną utraty pamięci Pani matki, ani ja, ani Millicent nie zdołałyśmy ustalić. Musiało to jednak być coś strasznego, gdyż przypominam sobie, że małą Emily prześladowały senne majaki, a psy i węże budziły w niej niemal paraliżujący lęk. Zawsze podejrzewałam, że była w Australii świadkiem jakiegoś niewyobrażalnie potwornego wydarzenia. Millicent wołała nie dochodzić prawdy. Sądzę, że zbyt bała się tego, co może odkryć.

Przykro mi, ale to wszystko, co mam Pani do przekazania – kończyła swój list pani Dobson. – Może o czymś zapomniałam, gdyż moja pamięć nie jest już tak niezawodna jak niegdyś. Pani matka wyrosła na uroczą młodą damę i wszystkim nam było smutno, gdy odpływała do Indii. Obawialiśmy się, że jej już nigdy więcej nie zobaczymy. I jeszcze coś... jej śmierć nie była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. To dziwne, ale coś w Pani matce skłaniało mnie do refleksji, że ciąży nad nią nieszczęście. Sama nie wiem, skąd się wzięła ta myśl. Przypisuję ją czemuś, co musiałam usłyszeć dawno temu, a czego już nie pamiętam. „

Joanna utkwiała wzrok w ostatniej linijce. Jedyna kobieta, która mogła przekazać jej tak wiele informacji, nie żyła, a druga osoba, znająca Emily z czasów dzieciństwa, miała luki w pamięci.

Ponownie przeczytała list, żeby się upewnić, czy czegoś nie pominęła, i zatrzymała się na zdaniu: „... była w Australii świadkiem jakiegoś niewyobrażalnie potwornego wydarzenia” i „... coś w pani matce skłaniało mnie do refleksji, że ciąży nad nią nieszczęście”.

A więc nawet ludzie, którzy nie mieli pojęcia o przeszłości Emily ani o okolicznościach jej wyjazdu z Australii, którzy nie mogli nic wiedzieć o truciznach-pieśniach ani o klątwach Aborygenów, wyczuwali przeznaczenie Emily, które podążało za nią wokół świata.

Gdy Joanna chowała korespondencję od przyjaciółki ciotki do koperty, zorientowała się, że w środku jest jeszcze jedna kartka. Podsunęła ją do światła i stwierdziła, że pani Dobson dołączyła postscriptum.

„Po przeczytaniu mojego listu doszłam do wniosku, że pominęłam w nim dwa fakty, które mogą Panią zainteresować. Prosiła Pani o podanie nazwy miejscowości w Australii, do której wybierał się John Makepeace z żoną. Nie znam jej, ale może pomocna okaże się informacja, że Pani dziadkowie odpłynęli w 1830 roku statkiem «Beowulf». Zawsze intrygował mnie ten staroangielski epos i byłam zdania, że podobna nazwa w przypadku żaglowca brzmi złowieszczo. Druga sprawa, o jakiej pewnie chciałaby Pani wiedzieć, dotyczy dziwnej futrzanej maskotki, którą Emily miała ze sobą, gdy przywiózł ją do nas kapitan, i która w rok później uległa uszkodzeniu. Dziewczynka zareagowała na to wybuchem histerii. Millicent postanowiła zeszyć zabawkę. W trakcie naprawy odkryła schowany w jej wnętrzu

duży kamień szlachetny, który rzucał oślepiające blaski – opal, o czym dowiedziałyśmy się później. Nie wiem, czy zaciekawi Panią ta informacja. Nie mam też pojęcia, co się stało z opalem. Wierzę jednak, że podane przeze mnie fakty okażą się bodaj w małym stopniu przydatne. „

Joanna nie mogła oderwać oczu od ostatniego akapitu. Opal! Ukryty w Rupercie!

Podeszła do kasetki z biżuterią i wyjęła kamień. Zapatrzyła się w jego płomienną czerwono-zieloną głębię, zastanawiając się, jaki jest jego związek z Karra Karra. Czy dziadek zabrał go stamtąd? A może przyczyną nagłego przymusowego powrotu jej matki była jakaś „inna spuścizna”, której Joannie nigdy nie uda się odszukać? Czyżby John Makepeace znalazł kopalnię opali, a Joanna odziedziczyła nie tylko ziemię, ale coś o niewyobrażalnie dużej wartości?

Trzymała kamień w dłoni. Czuła jego ciepło. „Czym jesteś? – zastanawiała się. – Skąd pochodzisz? Posiadasz dobre czy złe moce?”

Nadszedł czas, aby zająć się notatkami dziadka. Położyła przed sobą książkę kodów, a obok pierwszą stronę zapisków Johna Makepeace’a i czystą kartkę papieru. Spojrzała na początkowy symbol i odnalazła go w notesie Gilesa Stafforda.

A potem po raz ostatni skierowała wzrok na opal, który błysnął ogniem w świetle lampy, i zabrała się do pracy.

## ROZDZIAŁ 23

Joanna łamała sobie głowę nad notatkami dziadka. Już od miesiąca je tłumaczyła, ale jak dotąd jedynym rezultatem jej wysiłków była sucha, banalna relacja z wędrowki przez pustynię w ślad za klanem Aborygenów, któremu przewodził wódz o imieniu Djoogal. Joanna nie znalazła żadnej informacji o miejscu zamieszkania dziadków w Australii ani nazwy plemienia, wśród którego żyli. O ile zdołała też stwierdzić, w sprawozdaniu nie było wskazówki, która by wyjaśniła przyczynę lęków jej matki. Wszystkie wzmianki o psach dotyczyły oswojonych przez tubylców dingo. A o wężu dziadek napomknął tylko raz, gdy wspominał, że Aborygeni czcili Tęczowego Węża.

Dowiedziała się jednej istotnej rzeczy: totemem klanu był Pierwszy Kangur.

Oparła się w fotelu i poruszyła głową na boki, by rozluźnić zeszywniały kark. Każdego dnia, gdy siadała przy biurku z książką kodów Tirona i dokumentami dziadka, spodziewała się, że znajdzie jakąś zadziwiającą informację o przełomowym znaczeniu. Ale co wieczór spotykało ją rozczarowanie.

Było już późno. Oprócz Hugh'a, który doglądał jagniąt, wszyscy spali, a w domu panował bezruch i cisza. Po wyjeździe McNealów i zakończonym okresie strzyży życie w Merindzie znowu toczyło się spokojnym rytmem. Wkrótce, po ostatecznym pomalowaniu wnętrza nowego domu nad rzeką, Joanna miała się do niego wprowadzić razem z rodziną.

Dzisiaj jednak, pomimo spokoju i ciszy, czuła się dziwnie zdenerwowana. Brak przełomowej wiadomości w notatkach dziadka uznała za zły omen. A na dodatek ostatnio w pobliżu Merindy zaczęły się kręcić dzikie psy.

– Ezekiel widział je kilka kilometrów stąd w górnym biegu rzeki – powiedział Hugh rano.  
– Nie zamierzam lekceważyć tej informacji. Postawię na straży przed domem kilku ludzi. Pilnuj, aby Adam i Beth nie chodzili nad wodę. Z powodu suszy psy stają się zuchwałe.

Dzikie psy dingo. W Joannie narastał lęk. Nie dość, że po nocach psy straszyły ją w snach, to jeszcze zaczęły ją prześladować za dnia. Była ciekawa, czy Ezekiel powiadomił także innych hodowców o bliskiej obecności dingo, czy też przestroga dotyczyła jedynie Merindy i była przeznaczona wyłącznie dla niej i dla Beth. Córka pokazała Joannie ząb, który podarował jej Aborygen. Joanna zastanawiała się, czy przedmiot posiada jakąś szczególną moc, czy też, jak utrzymywał starzec, jest tylko zwykłym amuletem.

Przewertowała kartki, które zostały do przetłumaczenia. Czy znajdzie się w nich klucz do odkrycia tajemnicy?

Sięgnęła po pióro i na nowo podjęła zadanie rozszyfrowania starego stenogramu.

„Martwię się o Naomi – napisał John Makepeace przed pięćdziesięciu laty. – Dzieje się z nią coś dziwnego. „

Joanna była zaskoczona. Po wielostronicowych opisach życia ludzi należących do klanu Djoogala – ich polowań, sposobu wykonywania dzid i bumerangów, a także ich rytuałów i wierzeń – ton wypowiedzi dziadka uległ nagle zmianie. Od tego momentu Joanna zaczęła przekładać tekst znacznie prędzej.



„Naomi tutaj rozkwita, podczas gdy mnie ogarniają coraz większe wątpliwości. Co gorsza, żona twierdzi, że pomijam w moich obserwacjach połowę populacji Aborygenów i połowę ich kultury, ponieważ w ogóle nie wspominam o kobietach.

Według niej Aborygenki mają w klanie ten sam status co mężczyźni. Nie umniejszam ich znaczenia. Sam zauważyłem, jak ważne wypełniają zadania we wspólnocie. To one zabiegają o zapewnienie wszystkim całodziennego wyżywienia, nie licząc okazjonalnie przynieszonego do obozu kangura upolowanego przez mężczyzn. I kobiety mają decydujący głos w kwestii posiadania potomstwa oraz współżycia seksualnego. Rytuał ślubny jest bardzo prosty – niewiasta oświadcza, że wybrany przez nią mężczyzna staje się jej mężem. Rola Aborygenek nie ogranicza się do rodzenia i wychowywania dzieci. Kiedy zapada decyzja ważna dla całego plemienia, one ją podejmują na równi z mężczyznami. A gdy klan podąża szlakami-pieśniami, nierzadko na czele pochodu idzie kobieta. Jednakże to, o czym mówię, dotyczy jedynie spraw dnia codziennego. Moim zdaniem niewiasty nie odgrywają istotnej roli w życiu duchowym i religijnym plemienia. I o ile jestem w stanie ocenić, w rękach mężczyzn spoczywają tajemne moce.

Naomi nie zgadza się z tą opinią – pisał dalej John Makepeace. – Twierdzi, że Aborygenki mają własne obrzędy, w których nie wolno uczestniczyć mężczyznom. I utrzymuje, że są ważniejsze od rytuałów odprawianych przez męską część wspólnoty, bo dotyczą płodności i narodzin, a więc siły życiowej klanu, tak istotnej dla jego dalszej egzystencji. Od Naomi dowiedziałem się na przykład, że obrzędy związane z pierwszą menstruacją dziewczyny są o wiele bardziej złożone, wymagają zachowania głębszej tajemnicy i przestrzegania większej liczby zakazów niż ceremonie inicjacji chłopca. Aborygeni nie rozumieją, że ciąża jest skutkiem zapłodnienia kobiety męskim nasieniem. Wierzą w «dzieciduchy». Według nich kobieta spaceruje wokół sekretnego miejsca i dziecko, które chce się urodzić, wskakuje jej do brzucha. Tak więc magia i zdolności wydawania na świat potomstwa są wyłączną domeną niewiast, a przesady związane z przedłużeniem gatunku stanowią kwintesencję ich tajemniczych rytuałów.

Zdaniem Naomi fakt, że obserwatorzy z Europy bywają świadkami wyłącznie męskich obrzędów, prowadzi ich do błędnego wniosku, że tylko mężczyźni z tubylczych plemion posiadają duchowość. I w rezultacie przedstawiają kulturę Aborygenów w bardzo jednostronny sposób.

Pewnie powinienem być zadowolony, że mam przy sobie żonę, która zaprzyjaźniła się z kobietami z klanu i ma przywilej obserwowania, a nawet uczestniczenia w niektórych rytuałach. Rzecz w tym, że Naomi nie współpracuje ze mną i nie chce mi wyjawić istoty tych obrzędów, bo przyrzekła kobietom dochować tajemnicy. Podobno są to bardzo poważne uroczystości. Żona twierdzi, że ilekroć niewiasty oddalają się z obozu bez towarzystwa mężczyzn, zarówno w celu zdobycia pożywienia, jak i odprawienia obrzędów, zawsze jest to czas ich duchowego zjednoczenia.

Być może jej stanowisko jest słuszne. Sam nie wiem. Ale nie daje mi spokoju fakt, że Naomi ukrywa coś przede mną. Powiedziałem jej, że dla dobra nauki i pomnożenia dobytku intelektualnego ludzkości chciałbym być dopuszczony do jednego z tajnych rytuałów. „

Joanna przestała pisać. Poczula nagły powiew wiatru. Cały dom zdawał się drgać, przesuwać. Jeszcze raz odczytała ostatnie zdanie i w jednej chwili zrozumiała dalszy przebieg wydarzeń.

Beth wyrwało coś ze snu. Było ciemno. Leżała w pościeli, wsłuchując się w panującą w domu ciszę. Zastanawiała się, co ją obudziło. I nagle zrozumiała: Guzika nie było obok niej w łóżku. Usiadła i rozejrzała się wokół. Pies drapał w drzwi od werandy.

– Otworzyć ci? – zapytała.

Guzik był stary i czasami nocą musiał wychodzić. Dziewczynka odryglowała zamek, sądząc, że pies spędzi kilka minut na trawniku, a potem wróci do środka. Ku jej zdumieniu Guzik rzucił się do wyjścia, warcząc przemknął przez werandę i zniknął w ciemnościach.

– Wracaj! – zawołała dziewczynka i rzuciła się za nim w pogoń.

Noc była tak cicha, że dzwoniło w uszach. Głośno skrzypiało pióro na papierze. Joanna знаła już kod na pamięć i prawie nie potrzebowała z niego korzystać. Pisała prędko.

„Od kilku dni w Karra Karra zbierają się klany – odnotował John Makepeace. – Zostałem uprzedzony, że szczerp jest duży, ale nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Podążające tygodniami wzdłuż szlaków-pieśni rodziny nadciągają z północy, z południa, ze wschodu oraz z zachodu. Niedawno dowiedziałem się, że obecne miejsce naszego obozowiska – Karra Karra, czyli Góra Życia – jest ich najważniejszym sanktuarium. Do nieprzebranej ciżby dołączają wciąż nowi ludzie. Palą ogniska, śpiewają i tańczą. Krewni, którzy się nie widzieli od lat, świętują spotkanie, stare przyjaźnie są odnawiane, zawierane są transakcje i małżeństwa, a Djoogal osądza zbrodnie, które od roku czekały na rozpatrzenie i głównie dotyczyły złamania tabu. Nie mogę się nadziwić, że ja, Naomi i nasza mała Emily jesteśmy pierwszymi białymi dopuszczonymi do tego widowiska.

A jutro Naomi weźmie udział w najważniejszym i najbardziej tajemniczym ze wszystkich rytuałów. Z pewnością niewiele mi o nim powie. Może potwierdzi tylko, że dotyczy matek i córek.

Naomi staje się ostatnio coraz bardziej nieodgadniona. Dzisiaj razem z innymi zbierała glinę, farbę i sadzę, którymi kobiety zamierzają wymalować swoje ciała. Niewiasty zapoznały ją z tajnymi pieśniami, z przebiegiem tajemniczych praktyk i z zakazami, jakich ma obowiązek przestrzegać. Oznajmiła mi, że nie może spać ze mną dzisiejszej nocy. Musi być czysta przed jutrzejszym obrzędkiem. „

W tonie wypowiedzi dziadka Joanna zauważyła wzrastające napięcie. Wyczuła jego zazdrość i wzburzenie z powodu rezerwy w zachowaniu żony.

„Obiecałem Naomi, że nikomu niczego nie powtórzę, ale i tak odmawia jakichkolwiek wyjaśnień. Przypomniałem jej, że powinnością żony jest informowanie męża o swoich poczynaniach. Zapewniłem, że może mi ufać. Nie mogę pojąć, co się z nią stało. Odmieniło ją życie wśród tubylców. Z każdym dniem jest coraz mniej posłuszna, straciłem autorytet, jakim się u niej cieszyłem na początku małżeństwa. Być może popełniłem błąd, przywożąc ją tutaj. Dostrzegam w niej pewną niezależność, która wydaje mi się mało kobieca. Zwróciłem zonie uwagę na fakt, że przybyłem tu po to, by obserwować Aborygenów i poznać ich sposób życia, dlatego jej obowiązkiem jest przekazywanie mi o nich wszelkich informacji. Moja słodka

Naomi, niegdyś uległa i posłuszna, stała się teraz równie uparta jak kobiety, z którymi chodzi zbierać pożywienie. Co gorsza, Emily, która ma zaledwie trzy lata i sześć miesięcy, zaczyna przejawiać podobne skłonności do samowoli. „

Beth szła przez las, wołając psa. Nigdy dotąd nie uciekał. Może się zgubił? Był przecież prawie ślepy.

Zobaczyła go przed sobą na polanie i krzyknęła:

– Guzik! Nieznośny kundlu! Zaciągnąłeś mnie tutaj w koszuli nocnej!

Nagle znieruchomiała. Coś czało się w pobliskich krzakach. Wyteżyła wzrok. Z mroku wynurzył się pies. Dostrzegła krępa sylwetkę, postawione trójkątne uszy, krótki krzaczasty ogon i jasną sierść. To był podobny do wilka dziki pies, którego Aborygeni nazywali dingo. Po chwili dostrzegła również drugiego dingo. Suke.

Guzik, stary i ślepy, położył się pomiędzy dziewczynką a dzikimi psami.

Beth czuła narastające przerażenie.

\*

Joanna nie zapisywała już tłumaczenia, lecz odczytywała notatki dziadka w świetle lampy.

„Naomi opuściła nasze obozowisko przed świtem, zostawiając Emily pod opieką Reenadeeny. Udała się wraz z innymi kobietami do tajemnego miejsca, aby przygotować się do dzisiejszego obrządku. Mężczyźni przejawiają nietypowe dla nich ożywienie – polują i szykują jedzenie na wielką ucztę, jaka ma się odbyć dzisiejszej nocy, tańczą i śpiewają. To dziwne, ale nie okazują najmniejszego żalu, że nie wolno im uczestniczyć w tym ważnym rytuale. Nie ma tu księży, kardynałów ani biskupów. Tę najbardziej doniosłą dla plemienia ceremonię będą sprawowały zwykle kobiety, nie mające szczególnego statusu ani nie posiadające żadnego tytułu. Jest tylko jeden warunek – muszą być matkami. Jeszcze żaden mężczyzna nie był świadkiem tego obrządku. Co kobiety robią we wnętrzu góry? Sądząc po krwawych rytuałach towarzyszących inicjacji chłopców, mogę się jedynie domyślać, jak straszne praktyki odprawiane są na dziewczętach wyrastających z wieku dziecięcego.

Przybyłem tutaj w poszukiwaniu drugiego raj. Nowa wiedza, która zatruwa naszą erę i dowodzi, że świat nie został stworzony przez Boga, i która odrzuca święte Słowo Boże, a Biblię nazywa księgą mitów, zasługuje na to, żeby ją obalić. Przybyłem tu, by udowodnić, że Biblia wytrzyma próbę empirycznej analizy. Chciałem udowodnić prawdę metodą tego samego intelektualnego badania, jakim się posłużono, by podważyć jej wiarygodność.

Przyjechałem tu w nadziei, że znajdę drugi raj, gdzie Bóg stworzył jeszcze jedną parę ludzi, którzy tym razem nie zjedli zakazanego owocu i dostąpili łaski dalszego życia w niewinności. Aborygeni nie wstydzą się swojej nagości ani nie znają cudzołóstwa. Są dokładnie tacy, jakimi ich stworzył Bóg.

Teraz jednak widzę, że się myliłem. To miejsce nie jest drugim rajem, ale kolejnym błędem Stwórcy. Aborygeni czczą Tęczowego Węża i nigdy nie słyszeli o jedynym Bogu. Kamienie, rzeki i zwierzęta są przedmiotami kultu tych barbarzyńców, którzy nic nie wiedzą o naszym Panu.

Boże, wybacz mi moją pomyłkę. A teraz Naomi przez uczestnictwo w ich grzechach grozi zboczenie ze ścieżki prawdy. Boję się, że zostanie ukarana. Gdybyśmy tylko mogli wrócić do Anglii! Ale nie mamy za co. Pieniądze się skończyły. Za ostatnie kupiliśmy ziemię pod naszą farmę.

Muszę się dowiedzieć, co kobiety zamierzają zrobić we wnętrzu góry, i ochronić Naomi przed ich praktykami. „

Dziki pies ruszył w stronę Beth. Guzik zawarczał, otarł się o nią ciałem i odepchnął do tyłu. Suka podeszła dziewczynkę od prawej strony. Guzik zwiesił łeb i wydał z siebie złowróżbny warkot. Sierść zjeżyła mu się na karku, a wargi nerwowo zadrgały nad białymi kłami.

Dingo były coraz bliżej.

Guzik znowu zawarczał i pokazał kły. Dziewczynka rozpaczliwie próbowała coś wymyślić. Cisnęła w dzikie psy patykiem.

– Wynoście się stąd!

Złote ślepia wciąż były w niej utkwione. Widziała ociekające śliną pyski.

Gdy dingo niespodziewanie skoczył, Guzik poderwał się z ziemi i zatopił kły w jego skórze. W tym samym momencie suka rzuciła się na owczarka i chwyciła go za ogon. Beth patrzyła w niemym osłupieniu, jak dzikie psy z dwóch stron atakują jej ulubieńca. W powietrzu fruwała sierść i rozlegało się przerażające warczenie. Trysnęła krew. Guzik miał naderwane ucho i głęboką ranę w boku.

Dingo przyjęły strategię jak podczas walki z kangurem. Jeden zaszedł Guzika z przodu, a drugi od tyłu, doprowadzając swoją ofiarę do szału i pozbawiając możliwości obrony.

– Dosyc tego! – krzyknęła Beth. Chwyciła drugi patyk. – Wynoście się stąd! – wrzasnęła, z całej siły uderzając jednego z dingo.

Pies zostawił Guzika i skoczył w jej stronę, lecz tylko kłapnął zębami w powietrzu, gdyż dziewczynka potknęła się i runęła na ziemię. Guzik pomimo ataków suki ruszył za nim. Nie widział przeciwników, a jednak zaciekle walczył. Był pokąsany, sierść miał pozlepianą od krwi.

Beth zatkała dłońmi uszy i zaczęła uciekać.

Joanna przez długą chwilę przyglądała się ostatnim słowom napisanym przez dziadka. Na myśl o młodym Angliku odciętym od świata i od znanych mu praw, usiłującym zachować kontakt z rzeczywistością i wierzącym, że traci żonę z powodu tajemniczych obrządków przekraczających jego zdolności pojmowania, ogarnęło ją złe przeczucie – ponura zapowiedź dalszego przebiegu wydarzeń. Czy złamanie świętego tabu – śledzenie przez mężczyznę rytuału kobiet – spowodowało truciznę-pieśń na jej rodzinę? Czy zdarzyło się coś jeszcze? Czego była świadkiem mała Emily? Jaki straszliwy wir ją porwał, gdy wyszła na jaw zbrodnia ojca? I co kobiety robiły we wnętrzu góry?

Joanna podniosła wzrok. Uświadomiła sobie, że las nagle ożył. Rozlegały się krzyki ptaków, zwykle nocą zachowujących się spokojnie. Dobiegało ją oszalałe krakanie wron i wysoki śmiech kolibra. Działo się coś złego.

Beth roztrącała na boki gałęzie. Z dudniącym sercem przemykała pomiędzy drzewami.

Uzmysłowiła sobie, że biegnie w niewłaściwym kierunku. Dom coraz bardziej zostawał w tyle. Pędziła na oślep przed siebie w bezgranicznym przerażeniu. Z oczami pełnymi łez zagłębiała się w ciemny las, potykając się co chwila.

W końcu się zatrzymała i ciężko dysząc, zaczęła nasłuchiwać. Wokół panowała cisza. Nawet ptaki przestały hałasować. Nagle rozległo się sapanie i odgłosy miękkich stąpień łap w zaroślach.

Dziewczynka ponownie rzuciła się do ucieczki. Wpadła na drzewo i wdrapała się na nie bez zastanowienia. Z dołu błysnęły na nią wygłodniałe ślepie.

Coś ostrego zacisnęło się wokół jej kostki u nogi. Krzyknęła.

Joanna wybiegła z domu i skierowała się w stronę prowadzącej do lasu ścieżki. Po drodze spotkała Sarę i Adama, którzy wyszli w koszulach nocnych i zastanawiali się, z której strony dobiegł niedawny krzyk.

A potem w trójkę usłyszeli wołanie. Rzucili się w stronę lasu.

Nagle dostrzegli coś w trawie. Rozpoznali kapeć Beth. Joanna rozejrzała się w ciemnościach.

– Beth?! – zawołała. – Gdzie jesteś?!

Zauważyła coś dużego na ziemi. Zatrwożona podbiegła bliżej. Na trawie leżały zakrwawione zwłoki Guzika.

– Beth! – zawołali jednocześnie Sara i Adam.

– Beth! – krzyknęła Joanna.

Ich uszu doszło mrozące krew w żyłach warczenie i dziecięcy szloch.

Joanna pomknęła przed siebie, przedzierając się przez zarośla, nieświadoma kamieni ani gałęzi raniących jej nogi i twarz.

– O Boże! Tylko nie to! – łkała.

Sara i Adam biegli za nią. Pędzili na oślep przed siebie, choć nocne koszule zahaczały co chwila o krzaki i utrudniały bieg.

– Beth! – wołali. – Już do ciebie idziemy!

A potem rozległ się inny dźwięk – osobliwy, świszczący jęk w powietrzu, po którym nastąpił głośny skowyt.

– Tam! – rzekł Adam. – Odgłos stamtąd pochodził!

W następnej chwili minął ich zakrwawiony dingo. Tuż za nim biegł Ezekiel z podniesioną ręką, w której trzymał bumerang.

Beth siedziała na drzewie i krzyczała histerycznie. U jej stóp leżał martwy dingo, którego trafiła w kark broń Aborygena.

– Mamo! – wołała dziewczynka. – Mamo! Mamo! Joanna zdjęła z drzewa zapłakaną córkę i tuląc ją mocno do siebie, pobiegła do domu. Dziewczynka rozpaczliwie szlochała za Guzikiem. Jej nogi ociekały krwią.

Zaskrzypiały drzwi i do domu wszedł Hugh.

– Joanno!

Znalazł żonę na korytarzu w chwili, gdy opuszczała dziecienny pokój.

– Co z nią? – spytał.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Joanna ze znużeniem w głosie i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. – Została w kilku miejscach dotkliwie pogryziona, lecz rany się zagoją. Na szczęście kości nie są połamane. Ale przeżyła szok. Nie wiem, jak się z tego otrząśnie.

– Ezekiel mnie powiadomił. Przyjechałem, jak tylko mogłem najszybciej. Zajrzę do Beth.

– Dałam jej środek na sen. Ezekiel ocalił naszej córce życie. Przypuszczam, że strzegł jej od pewnego czasu. Podarował jej ząb psa dingo... jak gdyby przewidział, co się stanie...

„Teraz Beth jest także naznaczona – doszła do wniosku Joanna. – Spuścizna Naomi Makepeace przeszła na nią. „Pomyślała o matce, która zmarła w wieku czterdziestu lat na nie znaną nauce chorobę. Czy Joanna i Beth, a także córki Beth miały podzielić los lady Emily? Czy nie było sposobu, by uniknąć prześladowającego je fatum?

– Musimy znaleźć przyczynę nieszczęść spadających na kobiety z rodu Johna Makepeace’a, Hugh – oświadczyła. – I położyć im kres. Zanim będzie za późno.

## **Część czwarta**

**1885 – 1886**

## ROZDZIAŁ 24

Scena przedstawiała noc na pustynnych bezkresach, z zarysem odległej grani za drzewami eukaliptusów i z tysiącem rozproszonych na niebie gwiazd. W ciemności palił się złoty płomień – obozowe ognisko, wokół którego garbili się strudzeni wędrowcy z oczami cierpliwie utkwionymi w parującej menażce. Panowała cisza, równie bezgraniczna jak nieboskłon i jak niewidoczna linia horyzontu. Na nie zamieszkanym obszarze rozlegało się wycie samotnego dingo oraz trzask i syczenie ognia. Nagle w ciemności rozległ się głos:

*Te dni próby, ciężkie dni Bywały czasami okrutne, Gdy z tobołkiem zarzuconym na ramię wyruszyliśmy na szlak Dobrze wiedząc, że prowadzi do piekła.*

Ciągnęła się opowieść o Wielkiej Pustyni Wiktorii we wnętrzu kontynentu, o jej czarnoskórych, noszących się dumnie mieszkańcach, o tańczących kangurach, o chatkach zbudowanych z młodych drzew i z kory, oraz o pięknej Ruth, pochowanej gdzieś w krainie Nigdy Nigdy z uśpionym dzieckiem w ramionach. W trakcie opowieści mężczyźni wykonywali codzienne czynności: rozwijali posłania, pętali konie albo w milczeniu palili fajki i papierosy. Nad nimi wisiały gwiazdy „zimne, jasne i prawdziwe”. Wędrowcy poruszali się jak cienie, „znużeni, przygarbieni i załamani, ale ufni w obietnicę lepszego dnia, którą przynosiła noc”. W końcu ognisko gasło, mężczyźni układali się do snu „pod kocami, które były ich starymi przyjaciółmi”, a ze sceny rozbrzmiewały ostatnie słowa: „Pomimo bólu i licznych nękających nas plag, znowu z nadzieją przywitamy dzień”.

Teatr pogrążył się w ciemnościach i zdawało się przez moment, że zawisł w przestrzeni i w czasie. A potem zapaliły się światła i przed oczami widzów pojawił się nowy obraz. Tym razem na scenie panował dzień, z komina szałasów wiał się spiralnie w górę dym, a pod błękitnym niebem ciągnęły się jak okiem sięgnąć złote pola pszenicy. Za szałasem w pocie czoła pracowała kobieta, a głos oznajmił: „To zdumiewające, ilu ciężkim zadaniom są w stanie podołać kobiece ręce... „

Gdy ballada „Serce Hanny” dobiegła końca, swojska scena została zastąpiona widokiem czerwonych równin wraz z płonącym w blasku zachodzącego słońca monolitem Ayers Rock w tle, a niewidoczny narrator zaczął recytować słynne strofy wiersza „Sen. Dla Joanny”.

Sceneria wciąż się zmieniała przy odczytywaniu kolejnych wierszy, tworząc kalejdoskop pustynnych i nadmorskich krajobrazów Australii. Nie było osoby, której przynajmniej jeden z nich nie wydałby się bliski. Choć w większości widzowie zajmujący miejsca w teatrze Musie Hall w Melbourne tego wieczoru, na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, byli mieszkańcami miasta, niemniej prezentowane sceny przypominały im dzieciństwo spędzone w buszu lub opowieści zasłyszane od dorosłych. Ballady przypominające migotanie gwiazd na pustyni, śmiech zimorodka, trzask bicia poganiacza wołów i szum wiatru trafiały im prosto do serca.

Joanna i Hugh oglądali przedstawienie z łoża. Obok nich siedziała dwunastoletnia Beth z



kwiatami we włosach i w białej koronkowej sukni, Sara w szmaragdowej kreacji wieczorowej, a także Adam w odświętnym stroju. Miejsca w łoży dzielili z nimi Frank i Ivy Downsonie. Wszyscy przybyli do Melbourne, żeby uczestniczyć w premierze sztuki „Żywe opowieści z australijskiej głuszy” – działającej na wyobraźnię inscenizacji zbioru ballad, które zostały wydane trzy lata temu w tomiku poezji zatytułowanym „Wiersze syna australijskich pustkowi”. Hugh namówił Ivy, żeby dołączyła do nich kolorowe ilustracje obrazujące sosny Gór Śnieżnych, „gdzie ciemnozielone drzewa gumowe dotykają jasnoblękitnej misy nieba”, a pustynia jest tak ogromna i bezchmurna, że „człowiek może przesłonić oczy i wejrzeć w jutro”. Książka odniosła ogromny sukces, a do najpopularniejszej ballady Hugh’a „Włóczęga” skomponowano nawet muzykę. Śpiewano ją w szkolnych klasach, w pubach, na wędrownych szlakach i przy ogniskach. Wybór wierszy został rozproszony po całym Imperium Brytyjskim; ludzie wszędzie czytali o skazańcach, którzy jeszcze przed przyjściem na świat nosili w sobie piętno grzechu”, i o szlakach postrzygaczy, będących „drogą na skrót do śmierci”. Następna odsłona przedstawiała tańce w stodole. Postrzygacze z dziewczynami wirowali po scenie w rytm skocznej polki. Widzowie klaskali w takt muzyki, zagłuszając narratora, który recytował wiersz „Zapomniany czas”. A gdy na deskach estrady zaczęto odgrywać rodeo i rozbawiona widownia rechotała z błazeństw Zapłakanego Pete’a, który gonił pełnego werwy cielaka, wrzawa stała się tak donośna, że recytującego aktora prawie nie było słychać. Frank nachylił się Hughowi do ucha.

– Nie znajdziesz drugiej widowni, która reagowałaby tak gwałtownie i hałaśliwie jak publiczność australijska!

Scena po raz ostatni pograżyła się w mroku, w ciemnościach można było jedynie dostrzec sylwetkę starego jeźdźca i rozległ się zanikający głos: „Takie oto jest życie, życie poganiacza” i kurtyna opadła.

Joanna wstrzymała oddech. W teatrze na moment zapanowała cisza, a potem stopniowo zaczęły narastać oklaski. Ponad głowami widzów rozbłysły jasne światła świeżo zamontowanych elektrycznych żyrandoli. Na scenę wyszedł mężczyzna, którego natychmiast wszyscy rozpoznali. Był nim jeden z najbardziej ulubionych przez mieszkańców Melbourne aktorów, Richard Hawthorne. To on ciepłym barytonem czytał ballady. Dwukrotnie się uklonił, a potem wskazał dłonią Hugh’a i oczy wszystkich skierowały się na łożę. Widzowie jeden po drugim zaczęli wstawać z miejsc i wkrótce na nogach była cała widownia. Salę wypełnił aplauz.

– Traktują cię jak bohatera, Hugh – rzekł nieco później Frank Downs, gdy czekali przed teatrem na powóz. – Pokazałeś światu, że nie jesteśmy tylko zgrają zacofanych kolonistów.

– Nie pomijaj zasług swojej żony, Frank. Inscenizacja była jej pomysłem.

Na chodnik wyległ tłum dam w wieczorowych sukniach oraz dżentelmenów w cylindrach i w pelerynach. Ten wieczór był szczególny dla mieszkańców Melbourne. Pierwszy raz zobaczyli przedstawienie nie będące dziełem Francuza, Włocha ani nawet Anglika, lecz autorstwa znanego im wszystkim i urodzonego w Australii Hugh’a Westbrooka. Wiele osób podchodziło do niego z gratulacjami.

– Zachwycające widowisko – stwierdził John Reed, potrząsając dłonią Hugh’a. –

Wycisnęło mi z oczu łzy. Urodziłem się, co prawda, w Anglii, lecz w głębi duszy czuję się Australijczykiem.

– Czy nie zechcielibyście razem z Maude zjeść z nami kolacji, John? Zarezerwowaliśmy salę restauracyjną w hotelu.

– Dziękuję za zaproszenie, ale mamy już inne plany. Paulina MacGregor, która przybyła do teatru w towarzystwie Judda, wyciągnęła do Hugh'a rękę.

– To był uroczy wieczór, Hugh. Powinieneś być z siebie dumny.

– Czy wrócisz razem z nami do hotelu? Zamierzamy otworzyć tyle butelek szampana, ile mają do zaoferowania w „Królu Jerzym”.

– Niestety nie mogę. Jestem trochę zmęczona i muszę zdążyć na wcześniejszy pociąg do Kilmarnock. – Podała dłoń Joannie. – Gratuluję wam obojgu.

Ian Hamilton był również obecny na przedstawieniu, a także Angus McCloud z młodym Declanem. Pochwalili inscenizację i ballady, którym Harold Ormsby wróżył ogromną popularność u przyszłych pokoleń Australijczyków.

Do Westbrooków podeszła też Louisa Hamilton z rodziną, a gdy gratulowała Hughowi, Joanna spostrzegła, że jej siedemnastoletnia córka, Athena, posyła Adamowi wymowne spojrzenie.

– Witaj, Adamie – rzekła dziewczyna, uśmiechając się spod czarnych rzęs. Joanna odkryła, że dziewiętnastoletnim Adamem interesuje się wiele młodych dam, które mają nadzieję zwrócić na siebie jego uwagę. Był przystojnym młodzieńcem, a jego pełen powagi sposób bycia najwyraźniej rozbudzał namiętność w sercach młodych kobiet.

Joanna była dumna z adoptowanego syna. W przyszłym miesiącu, wkrótce po ukończeniu dziewiętnastu lat, Adam zamierzał rozpocząć studia na uniwersytecie w Sydney, gdzie otrzymał stypendium jako najlepszy absolwent liceum w Cameron Town. Młodzieniec usilnie zabiegał o przyjęcie na tę uczelnię. Twierdził, że jest na niej wydział „o najwyższym naukowym poziomie, gdzie wśród grona profesorskiego znalazł się specjalista z dziedziny paleontologii kręgowców – członek Towarzystwa Królewskiego w Londynie, który współpracował z samym Darwinem!”

Adam marzył o tym, żeby pójść w ślady Darwina, zostać członkiem Towarzystwa Królewskiego i badać świat jako naturalista, odkrywać nowe gatunki zwierząt, odkopywać kości dinozaurów i wnieść swój wkład w coraz bardziej przekonującą teorię ewolucji. Joanna, widząc jego entuzjazm, była pewna, że odniesie sukces.

– To był ładny spektakl. Zgadzasz się ze mną, Joanno?

– zwrócił się do niej Hugh.

Przez rękawiczkę poczuła ciepło jego dłoni i patrząc w jego uśmiechniętą twarz przypomniała sobie młodego mężczyznę, którego spotkała przed piętnastoma laty. Hugh był dziś tak samo przystojny jak niegdyś, a miniony czas nadał jego rysom wyraz mądrości i spokojnego dostojeństwa.

– Masz rację, Hugh, to było bardzo udane przedstawienie. Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą.

– Dobrze się czujesz, Joanno?

Nie zdziwiło jej pytanie męża. Chociaż nie wspominała mu o swojej ostatniej niedyspozycji, a nawet próbowała zachować to przed nim w tajemnicy, była pewna, że Hugh i tak się wszystkiego domyśli.

– Dziękuję, dobrze.

– Czy masz ochotę zjeść kolację w restauracji? Jeśli wolisz, możemy od razu wrócić do naszego pokoju.

– To nie wchodzi w rachubę. Nie pozwolę, żeby zwykła migrena zepsuła twój wielki wieczór.

Tym razem było to jednak coś więcej niż tylko ból głowy i niepokój wywołany męczącymi snami. Przez cały dzień Joannę prześladowało dziwne przeczucie zagrożenia, które narastało od tygodni.

– Och, ojciec! – Beth oderwała się od grupki przyjaciół.

– Wszyscy są pod ogromnym wrażeniem widowiska! Jesteś naprawdę cudowny, tatusiu!

Obserwując wymianę czułości pomiędzy ojcem i córką, Joanna wróciła myślami do dnia, w którym zaczął dawać znać o sobie jej dziwny niepokój. Stało się to dwa miesiące temu, kiedy Beth dostała pierwszej miesiączki. W trakcie wyjaśniania córce zmian, jakie dokonują się wewnątrz jej ciała, oraz tłumaczenia, czego ma oczekiwać i w jaki sposób powinna troszczyć się o siebie, nagle przeszedł ją dreszcz. Pomyślała wtedy: „Beth nie jest już małym dzieckiem; staje się dorosła”.

Tej samej nocy, nie mogąc zasnąć, przejrzała dziennik matki, chcąc sprawdzić, czy nie ma w nim jakiegoś zapisku z okresu, kiedy to sama, podobnie jak córka, zaczęła miesiączkować w dwunastym roku życia. Ale nie było tam żadnej wzmianki na ten temat. Lady Emily ani słowem nie napomknęła, żeby pierwsza menstruacja córki zburzyła jej spokój.

Przyszłość napawała Joannę lękiem. Koszmarne sny zaczęły prześladować jej matkę, gdy ona ukończyła sześć lat, tak jak początek jej majaków datował się od szóstych urodzin Beth. Joanna zastanawiała się, czy jest to tylko siła sugestii, czy coś więcej? W wieku siedemnastu lat została zaatakowana przez wściekłego psa. Czy taki sam los miał również spotkać za pięć lat jej córkę? A atak dwóch dingo był tego zapowiedzią?

Co powinna zrobić, a czego nie powinna? Wiedziała, że nie zdoła na zawsze zatrzymać córki przy sobie. Zresztą nigdy nie chciała być zaborczą matką. Pragnęła jedynie chronić Beth przed siłami, które podążały za kobietami z rodu Naomi Makepeace. Joanna dobrze знаła paniczny lęk, jaki budziły w jej jedynaczce psy. Ilekroć patrzyła na ożywioną, szczęśliwą buzię Beth, zawsze niepokoiła ją myśl o tkwiącym gdzieś w głębi niej mrocznym strachu. Joanna wiedziała o nim, ponieważ ją również, a także lady Emily prześladowała ta sama trwoga. Poczucie zagrożenia było niemal realne – niczym przekazywana z pokolenia na pokolenie hemofilia, dziedziczna klątwa, która wzbudzała w każdej generacji współczucie dla przyszłych pokoleń z powodu losu, jaki je nieuchronnie czekał.

Joanna celowo wystrzegła się przekazywania Beth szczegółów ze swojej przeszłości i z przeszłości lady Emily. Miała nadzieję, że koło się w końcu zamknie, jeśli nie dopuści do tego, by wyobraźnia córki na nowo je odtworzyła. Beth nie czytała dziennika swojej babki,

nic nie wiedziała o przypadłościach lady Emily ani o okolicznościach jej dziwnej, nie wyjaśnionej śmierci. Sądziła, że prowadzone przez matkę poszukiwania Karra Karra mają jedynie na celu zlokalizowanie odziedziczonej ziemi.

A jednak Joanna, odczuwając chłód tego upalnego grudniowego wieczoru, wiedziała, że pomimo zachowania przez nią wszelkich środków ostrożności, u córki zaczęły się ujawniać niepokojące symptomy. I tym razem nie mogła ich przypisać wybujałej fantazji.

Była pewna, że nigdy nie zapomni tych tygodni i miesięcy, po zaatakowaniu Beth przez psy dingo. Zaraz potem zabrała córkę do miejscowości nadmorskiej, by jej pomóc w odzyskaniu zdrowia i równowagi psychicznej. Liczyła na uzdrawiające właściwości energii słonecznej, oceanicznego powietrza i matczynej miłości. I Beth rzeczywiście powróciła do zdrowia. Rany się wygoiły, ataki hysterii stały się tylko wspomnieniem. Po powrocie do Merindy Joanna przekonała się jednak, że rekonwalescencja córki nie była zupełna – Beth przerażał nawet najłagodniejszy owczarek.

– Och, mamó! – rzekła Beth, gdy czekali przed teatrem na powóz. – Bałam się, że zemdlejesz z podniecenia! Wszyscy wprost uwielbiają ojca! Stał się naprawdę sławny!

– Nie traćmy czasu, moje drogie – powiedział Hugh, gdy powóz w końcu nadjechał. – Umieram z głodu!

Hotel „Król Jerzy” był usytuowany na modnej Elizabeth Street – w pobliżu miejsca, gdzie niegdyś mieszkała Ivy Dearborn. Gdy Downsowie przejeżdżali obok znajomych zielonych drzwi z wypolerowaną mosiężną kołatką, Ivy poczuła uścisk ręki Franka. Ją również przepełniła radość na wspomnienie wspólnie tu przeżytych intymnych chwil.

W powozie Sara i Adam dyskutowali z ożywieniem na temat przedstawienia, Beth ponownie wyznała Hughowi, że jest ogromnie z niego dumna, a Joanna wyglądała przez okno, starając się całą siłą woli odegnać migrenę, która dokuczała jej od wielu dni.

Powóz przejechał obok biura żeglugi morskiej i Joanna przypomniała sobie, jak oboje z Hughiem prowadzili poszukiwania statku „Beowulf”, którym jej dziadkowie przyплыли do Australii. Okazało się, że w 1868 roku poszedł na dno wraz z całą załogą. To była prywatna jednostka, a jej kapitan i właściciel w jednej osobie utonął razem ze swoimi marynarzami. Nie zachowały się żadne rejestry, notatki w dzienniku okrętowym ani listy pasażerów. Joanna napisała do Towarzystwa Emerytowanych Marynarzy, a także do innych tego typu organizacji, mając nadzieję, że znajdzie kogoś, kto płynął razem z dziadkami na pokładzie „Beowulfa”. Kilka odpowiedzi, jakie otrzymała, nie posunęły jej w poszukiwaniach ani o krok dalej.

Poczuła dotyk ręki na swoim ramieniu. Obróciła się i napotkała pytające spojrzenie Sary. Uśmiechnęła się uspokajająco.

– Która scena najbardziej ci się podobała, Saro?

– Wszystkie mnie zachwyciły – odparła Sara. Pomyślała o Philipie, żalując, że nie może być tutaj razem z nią. Wiedziała, że przedstawienie sprawiłoby mu ogromną radość.

Przypomniała sobie dzień, kiedy przypadkiem się spotkali i pocałowali. A potem godzinami spacerowali i rozmawiali, bardziej w sferze psychicznej niż fizycznie delektując się wzajemną bliskością. Philip opowiedział jej o swoim dzieciństwie w Ameryce i o wojnie

między stanami, która odmieniła życie jego rodziny. A ona zrewanżowała mu się wspomnieniami, jak dorastała w misji, nie będąc ani Aborygenką, ani białą. Dyskutowali o architekturze i o uzdrawianiu, o muzyce i o owcach, o szczepie Nawaho i o Tęczowym Wężu. A potem każde z nich poszło w swoją stronę, tak jak przyrzekł Philip – on wrócił do Tillarrara, żeby dokończyć szkic, a ona pojechała do Merindy, aby dostarczyć pocztę jego żonie.

Od jego wyjazdu upłynęło pięć lat. Sara sporadycznie otrzymywała od Philipa wiadomości – kartkę świąteczną na Boże Narodzenie z Niemiec, list z Zanzibaru, gdzie studiował muzułmańską architekturę, i widokówkę z Paryża. Przysłał jej również swoją książkę z widokiem Merindy na okładce. Korespondencja od niego zawsze była krótka i utrzymana w pogodnym tonie. Nigdy nie pisał o miłości ani nie nawiązywał do ich przypadkowego spotkania przed jego wyjazdem. Sara wyczuwała w listach jego samotność oraz niespokojnego, wiecznie za czymś podążającego ducha. Ostatnia wiadomość od Philipa nadeszła sześć miesięcy temu: „Poprosiłem Alice o rozwód. Zbyt się różnimy, a życie, jakie prowadzę, ją unieszczęśliwia. Lecz ona nie chce się zgodzić na rozwiązanie naszego związku”.

W końcu powóz zajechał pod jasno oświetlony hotel. Westbrookowie i Downsowie minęli hol recepcyjny i skierowali się do małej szatni przy restauracji, gdzie służące odebrały płaszcze od pań i cylindry od panów.

– Mam nadzieję, że befsztyk będzie dzisiaj pierwszorzędny – zwrócił się Frank do zarumienionego kierownika sali.

– Och, panie Westbrook! Wygląda na to, że zaszło nieporozumienie. Obawiam się, że sala, którą pan zarezerwował na dzisiejszy wieczór, została wynajęta komu innemu.

– Zajrzymy do środka... – zaczął Frank. Ale Hugh mu przerwał.

– Wszystko w porządku, pomyłki się zdarzają. Czy znajdują się dwa wolne stoliki?

– Sądzę, że tak, panie Westbrook. Pozwoli pan, że sprawdzę.

Zniknął za kotarą, oddzielającą szatnię od restauracji.

– Co zrobimy, jeśli się okaże, że nie ma wolnych miejsc? – spytała Joanna.

– Może poszczęści się nam „U Callahana” – zasugerował Adam.

– Stoliki są tam zbyt małe, Adamie – oświadczyła Beth.

– Zajrzymy do „Cristal Cafe Moffata” – zaproponował Hugh.

– Jest już bardzo późno – zauważyła Joanna. – Kawiarnie są wcześniej zamykane.

– Nie lubię puddingu u Moffata – wyznał Frank. Wrócił szef restauracji.

– Możemy przyjąć pana i pańskich gości, panie Westbrook. Proszę za mną.

Gdy Hugh znalazł się za kotarą, nie od razu rozpoznał znajome twarze, nie zwrócił uwagi na to, że ludzie na jego widok podnoszą się z miejsc. Dopiero gdy wszyscy zawołali: „Niespodzianka!”, stwierdził, że dżentelmen stojący przy orkiestrze to Ian Hamilton, dwaj mężczyźni wznoszący kieliszki z szampanem to Angus McCloud i jego syn, a kobieta z koszmarnymi piórami we włosach to Maude Reed. A gdy muzycy zagrali znajomą melodię ballady „Włóczęga”, Hugh dostrzegł również innych znajomych – Cameronów, McClintocków i Hamiltonów, aż w końcu, wstrząśnięty, uświadomił sobie, że jest tu dzisiaj

reprezentowany niemal cały Okręg Zachodni.

Gdy Paulina podeszła i podała mu lampkę szampana, zauważył:

– Sądziłem, że musisz zdążyć na wcześniejszy pociąg Zgromadzeni goście wybuchnęli śmiechem.

– Zdziwiony? – spytała Joanna.

– Oszołomiony. Wiedziałaś o tym?

– Podobnie jak wszyscy. Chodźmy do zarezerwowanego dla nas stolika.

– Mój Boże, przybył nawet gubernator.

Gdy Joanna i Hugh przepychali się przez salę, wszyscy śpiewali „Włóczęgę”, a potem zerwał się tak wielki i długotrwały aplauz, że Hugh musiał podnieść ręce i poprosić o ciszę.

– Dziękuję wam, drodzy przyjaciele. Sam nie wiem, co powiedzieć.

– Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję tego dnia – stwierdził Ian Hamilton.

Do Hugh'a podeszła Beth.

– Mamy dla ciebie niespodziankę, tato – oznajmiła i odwróciła się z uśmiechem do gubernatora Wiktorii.

Gubernator, człowiek wyznaczony przez Brytyjską Koronę do sprawowania nadzoru nad zarządzaniem kolonią Wiktoria, przemówił uroczyście do stu osób zgromadzonych na sali, jak gdyby występował przed parlamentem.

– Dał pan Australijczykom ich własną kulturę – zwrócił się do Hugh'a – odmienną niż ta, która była ich dziedzictwem i którą przywieźli ze sobą na to odległe wybrzeże z ojczyzny. W uznaniu pańskich zasług... – Wydobył arkusz papieru welinowego przewiązany wstążką i opieczętowany woskową pieczęcią. – Dostałem zaszczytu przekazania panu, panie Westbrook, osobistego komentarza Jej Wysokości Królowej Wiktorii.

Hugh przyjął list i zaczął głośno czytać, lecz musiał przerwać, ponieważ załamał mu się głos. Joanna wzięła pismo i przekazała gościom jego treść. „Pańska poezja – pisała królowa – przybliżyła nam i pozwala lepiej zrozumieć odległą kolonię, która pomimo ograniczonych kontaktów z metropolią jest przecież tak bliska naszemu sercu. „, Joanna umilkła i spojrzała po twarzach zgromadzonych ludzi. A potem dodała:

– Podpisano: „Wiktorii, królowa Imperium Brytyjskiego”. Na moment zaległa cisza.

– Powiedz nam kilka słów, Hugh – poprosił Angus McCloud. Hugh odchrząknął.

– Obawiam się, że nie jestem przygotowany do wygłoszenia mowy. Poczytuję sobie za ogromny zaszczyt fakt, że Jej Wysokość przeczytała moje wiersze. Słuchając jej listu, pomyślałem o moim przyjacielu, Billu Lovellu, który odszedł już dawno temu. Nie był człowiekiem wykształconym. Potrafił zaledwie czytać i pisać, ale zwykł otwarcie wypowiadać swoje myśli. Pewnego dnia hodowca, u którego pracował, ostrzegł go: „Jeśli się nie poprawisz, Lovell, wyrzucę cię z farmy”. Na to mój przyjaciel odparł: „Nie może mnie pan traktować w ten sposób. Jestem poddanym Brytyjskiej Korony”.

Gdy ucichł śmiech, Hugh ponownie zabrał głos:

– Drodzy przyjaciele, moje wiersze mówią o tym, kim jesteśmy oraz gdzie żyjemy. – Spojrzał na Joannę. – Choć przybyliśmy z daleka i choć niektórzy z nas zawsze będą uważać Anglię za swoją matkę, wszyscy wiemy, że Australia jest naszym domem. I naszą

przyszłością.

Znowu zerwał się aplauz. Pomimo zamkniętych drzwi sali słychać go było nawet w holu, gdzie do recepcji podszedł mężczyzna w mundurze marynarza. Miał zniszczoną twarz, schludnie przystryżoną siwą brodę i wyblakłe niebieskie oczy. Nosił granatową kapitańską marynarkę z mosiężnymi guzikami, oficerską czapkę, a przez ramię miał zarzucony worek z juty. Podszedł do recepcji.

– Czy w tym hotelu zatrzymał się Hugh Westbrook z żoną?

– Proszę chwilę zaczekać – odparł recepcjonista i zajrzał do księgi rejestrów. – Tak, mieszkają tutaj. Obawiam się jednak, że ich pan nie zastał. Widzę klucze od ich pokoju, a to oznacza, że przebywają poza hotelem.

– Nie wie pan, kiedy wrócą?

– Niestety nie. Ale może pan zostawić dla nich wiadomość. Nieznajomy namyślał się przez moment.

– Nie jestem pewien, czy to się na coś zda – mruknął.

– Muszę zdążyć na statek, a tam, dokąd płynę, nie ma zwrotnego adresu i nie będą mieli możliwości skontaktowania się ze mną.

Z jadalni dobiegła kaskada śmiechu.

– Wygląda na to, że ktoś się dobrze bawi – zauważył kapitan z uśmiechem.

– Odbywa się tam prywatne przyjęcie – wyjaśnił recepcjonista. – Zostałem poinformowany, że lokal jest dzisiaj wieczorem zamknięty. Czy życzy pan sobie, żebym powiadomił państwa Westbrooków o pańskiej wizycie?

– Nie, to nie ma sensu. Nie znam ich ani oni mnie nie znają.

– Wzruszył ramionami. – To nic ważnego. Dobrej nocy. Chwyć swój worek i wyszedł w ciemność.

Gdy orkiestra grała walce i polki, a kelnerzy uwijali się w tłumie, roznosząc na tacach kieliszki z szampanem i przystawki, Joanna podchodziła po kolei do wszystkich gości, dziękowała im za przybycie i wysłuchiwała pochwał pod adresem męża.

– Gratuluję, Joanno. To bardzo udane przyjęcie – powiedziała Paulina.

– Tak się cieszę, że zdołaliście przyjechać oboje z Juddem. Paulina za plecami Joanny dostrzegła Beth, która pozowała razem z Adamem i ojcem do grupowego zdjęcia. Poczowała ukłucie zazdrości – nie o Hugh'a, z którego stratą już dawno się pogodziła, lecz o córkę Joanny. Beth była dziewczyną mądrą, ładną i pełną życia. O takim dziecku Paulina marzyła, dopóki nie pogodziła się z faktem, że macierzyństwo nie jest jej pisane.

– Przykro mi, że nie ma razem z nami Colina – rzekła Joanna.

Paulina spojrzała na nią, wspominając dzień, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy – piętnaście lat temu, na przyjęciu, które wydawała na cześć Adama. „To dziwne, jak zmienia się w ciągu lat nasz stosunek do innych osób” – pomyślała.

– Dziękuję – powiedziała, wiedząc, że Joanna, jak wszyscy sąsiedzi, dobrze zna powód wyjazdu Colina przed trzema miesiącami z Australii.

Właściciel posiadłości Kilmarnock znajdował się w opałach. Spadły światowe ceny wełny, dzierżawcy farm Colina nie mieli pieniędzy na opłaty, a po wyeksmitowaniu starych

lokatorów z dzierżawionych budynków, z powodu kryzysu gospodarczego nie było chętnych, którzy by się do nich wprowadzili. MacGregor wszedł w kontakt z pośrednikami handlu nieruchomościami w Melbourne i usiłując powetować straty, wykupywał na przedmieściach nowe domy, licząc na to, że odsprzeda je z wielkim zyskiem. Ale ogromny do niedawna napływ imigrantów niemal zupełnie ustał z powodu gospodarczej depresji i w Wiktorii zakończył się budowlany boom. Odgłosy młotków i hebli, które do niedawna były nierozzerwalnie związane z Melbourne, ucichły. Podaż nieruchomości przewyższyła popyt, nie było kupców na nowe domy, a aktualnym znakiem handlowym Melbourne stały się ochryple okrzyki radości licytatorów, ilekroć zdołali znaleźć nabywcę na posiadłość, której dotychczasowy właściciel zbankrutował. Colin został z pustymi domami oraz z nie wydzierżawionymi i nie uprawianymi farmami. W całym okręgu było powszechnie wiadomo, że jego długi obciążąły hipotekę Kilmarnock.

Paulina nie mogła zapomnieć, z jakim wyrazem twarzy wszedł do salonu, stanął przed nią i powiedział: „Jestem zrujnowany, Paulino. Bank wkrótce zażąda spłaty weksli i zabiorą mi Kilmarnock”.

Podejrzewała od pewnego czasu, że tak się zdarzy. Szczerść i rozpacz w głosie Colina sprawiła, że perspektywa bankructwa stała się nagle przeraźliwie realna. Paulina potrafiła przewidzieć następstwa przejęcia Kilmarnock. Wiedziała, że bank podzieli posiadłość na części i sprzeda je indywidualnym nabywcom. Tak więc gdy Colin oświadczył, że się wybiera do Szkocji, by uezierać pieniądze na ratowanie farmy, Paulina była pewna, że mąż nigdy nie wróci.

A teraz uświadomiła sobie ze zdumieniem, że ona, która zawsze zmierzała do zwycięstw, osiągała sukcesy w zawodach, a celem jej życia było zdobywanie trofeów, poniosła porażkę – jako kobieta i jako żona.

Podeszła Ivy z kieliszkiem szampana w jednej ręce i z kanapką z kawiozem w drugiej.

– Joanno! Co za cudowne przyjęcie!

Ivy miała pięćdziesiąt dwa lata i siwe nitki w rudych włosach. Ogromną sławę zawdzięczała nie tylko ilustracjom do „Wierszy syna australijskich pustkowi”, lecz także innym pracom. W „Gazette” wydawanej w Cameron Town ukazała się bardzo pochlebna notatka: „Znakomite płótna pani Downs wiernie oddają błękit australijskiego nieba i czyste powietrze australijskich przestrzeni. Krytycy sztuki zgodnie podkreślają, że dzięki tej malarce możemy podziwiać oryginalne pejzaże naszego kontynentu. Nie są one upodabniane do krajobrazu angielskiego przez upiększanie ich typowymi dla Anglii żywopłotami i nisko ścielącą się mgłą. Patrząc na obrazy pani Downs, odbiorca niemal czuje gorący północny wiatr, suchość traw i silne światło. Autorka jest świadoma, że mieszka w Australii, a nie na przykład w Surrey, i właśnie na tym polega nowatorstwo jej twórczości”.

– Przyjęcie rzeczywiście jest cudowne – zgodziła się z opinią Ivy Paulina. Jej uprzedzenie do żony Franka należało już do przeszłości. Na skutek rozczarowań, jakie spotkały ją w życiu, nauczyła się w sposób bardziej powściągliwy osądzać innych. Doceniała bratową za to, że uszczęśliwiła Franka. Podziwiała Ivy za determinację, która przyniosła jej światową sławę, i to w zawodzie zdominowanym przez mężczyzn.



– Miałaś jakieś wieści od Colina? – spytała Ivy.

– Obiecał, że napisze zaraz po przyjeździe do Szkocji. Lada chwila spodziewam się od niego listu.

– Szkoda, że odrzucił pomoc Franka.

– Próbowałam go namówić, by z niej skorzystał, lecz Colin jest bardzo uparty. Oświadczył, że nie zamierza zaciągać dalszych długów, a dobrze wiesz, jak by się czuł, przyjmując jałmużnę – nawet od własnej rodziny. Nie wzięłby od Franka złamanego grosza.

– Czy groźba straty Kilmarnock jest realna? – spytała Ivy.

– Niestety tak.

W sali rozległ się trzask flesza, gdy fotograf zrobił zdjęcie Hughowi z gubernatorem.

– Pamiętaj, że zawsze masz swój dom w Lismore, Paulino.

– Dziękuję ci, Ivy. Wierzę jednak, że wszystko się dobrze ułoży. Colin na pewno znajdzie sposób na rozwiązanie problemów i wróci z pieniędzmi.

Trzy kobiety zamilkły wśród gwaru przyjęcia i muzyki.

Paulina pomyślała o ostatnich godzinach spędzonych z Colinem. Mąż nie chciał, by go odprowadzała, lecz ona nalegała. Nie rozmawiali w pociągu i zamienili ze sobą zaledwie kilka słów na nabrzeżu. A potem uścisnęli sobie uprzejmie dłonie i on ruszył w górę po trapie na pokład statku. Paulina uzmysłowiła sobie wtedy, że zachowała o nim tylko dobre wspomnienia – wczesny okres małżeństwa, namiętne noce i upływające na współzawodnictwie dni. Przypomniała sobie pożądanie, jakie w niej wzbudzał. Pomyślała o przyjęciach wydawanych w Kilmarnock i o eleganckim życiu, jakie razem wiedli. Zastanawiała się, czy ich małżeństwo byłoby udane, gdyby bardziej się o to postarała i zdołała nieco poskromić swój egoizm. Czy przypadkiem nie ona ponosiła odpowiedzialność za brak miłości w ich związku? Przypuszczała, że tego już nigdy się nie dowie. Została sama. Okazało się na koniec, że jednak jest jej pisana rola „biednej Pauliny”.

– Muszę cię ostrzec, Joanno, że mój mąż, a także kilka innych osób próbuje namówić Hugh'a, żeby kandydował do parlamentu – oznajmiła Ivy.

Trzy kobiety spojrzały w stronę mężczyzn zgromadzonych przy barze. Dobięły je słowa Franka:

– Zapewniam was, że kiedy staniemy się federacją, będziemy potrzebowali w rządzie takich ludzi jak Hugh Westbrook.

Hugh zaprotestował, lecz jego przyjaciele entuzjastycznie poparli opinię Franka.

Ukazujący się w Melbourne „Times” był teraz największą gazetą w kolonii Wiktoria. Frank, podobnie jak jego pismo, również stawał się coraz grubszy. Łańcuszek od zegarka, który wystawał z kieszeni jego kamizelki, musiał być dwukrotnie dłuższy od normalnego. Frank zupełnie wyłysiał nad czołem i tylko na wianuszku włosów z tyłu głowy widać było początki siwizny.

– Czytałem twój ostatni dodatek poświęcony tubylcom, Frank – rzekł Ian Hamilton. – Muszę przyznać, że dość ostro zaatakowałeś Radę Obrony Praw Aborygenów. Posunąłeś się chyba zbyt daleko, proponując jej rozwiązanie i udzielenie pozwolenia czarnym, by samodzielnie zarządzali rezerwatami!

– Dobry Boże, Ian – rzekł Frank, dopijając dzin z tonikiem i nadstawiając barmanowi pustą szklankę. – W skład rady wchodzi sami głupcy. To oni wpadli na pomysł, że w rezerwatach mogą mieszkać tylko tubylcy czystej krwi, co spowodowało masowy napływ mieszaińców do miast. Znasz katastrofalne skutki tej decyzji. Ludzie ci nie potrafią egzystować w naszym społeczeństwie. Trzeba ich otoczyć opieką.

– Nie rozumiem po co – rzekł Hamilton.

– Na miłość boską, człowieku, czy nie sądzisz, że coś im jesteśmy winni? Ostatni spis ludności ujawnił, że w Wiktorii pozostało zaledwie ośmiuset Aborygenów, a żaden z nich nie jest czystej krwi Australijczykiem.

– To jedynie dowodzi, że mój punkt widzenia jest słuszny, Frank. Wszyscy wiedzą, że za dwadzieścia lat tubylcy wymrą. W Tasmanii już to się stało. Po co zawracać sobie głowę problemem, który wkrótce przestanie istnieć?

– To głupie myślenie – stwierdził Frank, przysuwając się do Judda MacGregora, który właśnie sięgał po kieliszek z szampanem.

Gdy rozmowa została skierowana na temat owiec, Judd rozejrzał się po zatłoczonej sali. Jego wzrok spoczął na Beth Westbrook, która wybuchnęła śmiechem podczas wymiany zdań z Declanem McCloudem. Chłopak miał dwanaście lat, podobnie jak ona. Oboje ubiegali się o przyjęcie od nowego, wypadającego za miesiąc, semestru do Szkoły Tongarra.

Przyglądając się dziewczynce, Judd przypomniał sobie spotkanie państwa Westbrooków z dyrektorem szkoły, Milesem Carpenterem. W rozmowie uczestniczył zastępca dyrektora, Scott McIntyre, a także Judd. Ilekroć kandydatura jakiegoś ucznia budziła wątpliwości, przestrzegano zasady, aby w podejmowaniu decyzji o jego przyjęciu brał udział również reprezentant grona pedagogicznego. Judd zgłosił się na ochotnika.

Zdumienie Milesa Carpentera w pierwszej chwili nie miało granic, gdy się dowiedział, że Westbrookowie rozważają możliwość posłania córki do szkoły, w której kształcono chłopców.

– Co za niezwykły pomysł! – zauważył. – Nie słyszałem jeszcze, żeby dziewczyna chciała zostać hodowcą. – Ale poprosił Hugh'a i jego żonę, aby przedstawili swoje plany związane z edukacją córki.

– Beth jest inteligentna i chętna do nauki – stwierdził Hugh Westbrook. – Poza tym posiada już sporą wiedzę o owcach i prowadzeniu farmy. Będzie dla was cennym nabytkiem.

– Ależ Tongarra jest szkołą z internatem dla chłopców, panie Westbrook – wyjaśniał Carpenter. – Z pewnością jest pan świadomy komplikacji, jakie wyniknęłyby w związku z przyjęciem do naszej placówki pańskiej córki.

Lecz Westbrook rzekł krótko:

– Merinda leży zaledwie kilka kilometrów stąd. Beth może codziennie dojeżdżać.

Dyrektor zmienił taktykę.

– Nasz program wymaga sporo wysiłku. Obejmuje nie tylko lekcje w klasach, ale także zajęcia związane z siodłaniem koni, ich podkuwaniem i uprawą roli, a nawet ze znakowaniem stada. Jest to praca w najwyższym stopniu nieodpowiednia dla młodej damy.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby moja córka umiała to wszystko robić – oświadczył

Westbrook, wytrącając z ręki dyrektorowi i jego zastępcy dalsze argumenty.

Judd dostrzegając, że ich pozycja słabnie, zabrał głos:

– Pominął pan sedno sprawy – zauważył. – Mam na myśli niestosowność pańskiej propozycji. Obecność dziewczynki w klasie będzie rozpraszała uwagę chłopców na lekcjach i utrudni proces nauczania. Jako pedagog przewiduję duże kłopoty w związku z jej uczestnictwem w prowadzonych przeze mnie zajęciach.

Westbrook wyjął książeczkę czekową.

– Jestem gotów ofiarować hojny datek na rzecz szkoły.

– To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi – rzekł pospiesznie Judd, zauważając wymianę spojrzeń pomiędzy dyrektorem i jego zastępcą. – To sprawa honoru. Musimy myśleć o reputacji szkoły. Tongarra słynie z wysokiego poziomu nauczania. Zaliczamy się do jednej z najwybitniejszych instytucji edukacyjnych w koloniach. Jeśli przyjmiemy dziewczynkę, narazimy na szwank nasz prestiż, że nie wspomnę już o obniżeniu rangi naszego dyplomu.

W końcu jednak Judd przegrał. Hugh dokonał pokaźnego zapisu na szkołę i ustalono warunki, na jakich Beth miała rozpocząć naukę od nowego semestru.

Judd nadal protestował.

– Czy nie podchodzi pan do tego problemu zbyt emocjonalnie, panie MacGregor? – uspokajał Carpenter. – W końcu to szkoła bierze na siebie odpowiedzialność za przyjęcie tej dziewczynki. Nikt nie będzie miał do pana pretensji, jeśli z jej powodu wynikną jakieś kłopoty.

Sprawa jednak bezpośrednio dotyczyła Judda i nie mógł mieć do niej obojętnego stosunku. Obecność dziewczyny w szkole osłabiała jego argumenty, jakich użył w rozmowie z ojcem, która doprowadziła do ostatecznego rozłamu pomiędzy nimi.

Odszedł od baru, sącząc szampana. Lekko skinął głową w stronę uśmiechającej się do niego Minervy Hamilton. Myślał o wymianie zdań, do której doszło przed kilkoma miesiącami w gabinecie ojca w Kilmamock. Nie wiedział wtedy jeszcze, że to będą ostatnie słowa, jakie ze sobą zamienią.

Przez zatłoczoną salę przyglądał się Louisie Hamilton, która ciężko opadła na krzesło, oraz podbiegającej do niej córce. We wspomnieniach usłyszał własny głos i swoją wypowiedź z września.

– Chyba nie myślisz poważnie o wyjeździe, ojczule! Przecież zaledwie dwa tygodnie dzieli nas od okresu strzyży!

Colin skończył pakować walizkę. Zachowywał się jak człowiek ogarnięty obsesją. Ze złością upychał do bagażu dokumenty, wśród których znajdował się oryginał aktu własności starego zamku i posiadłości w Szkocji. Niektóre papiery pochodziły jeszcze z czasów panowania Henryka VIII.

– Na to jedno człowiek może w życiu liczyć, Judd – rzekł Colin MacGregor. – Ludzie zdobywają fortuny i bankrutują, kupują ziemię i ją tracą, nierzadko przyjaciele stają się wrogami, a synowie obcymi ludźmi. Tylko jedna rzecz pozostaje niezmienna – dziedziczne prawo własności. Bank może mi odebrać owczą farmę, a wierzyciele obdrzeć ze skóry. Ale nikt nie jest w stanie zmienić faktu, że jestem dziedzicem Kilmarnock.

Dopiero wtedy Judd zrozumiał, że ojciec zamierza uciec na zawsze. Powodowany rozpaczliwym pragnieniem zatrzymania go, wypowiedział w złości słowa, których teraz żałował. Zamierzał go zranić i spowodować wybuch agresji. Łudził się, że doprowadzony do wściekłości ojciec zostanie w Australii i podejmie walkę o Kilmarnock – nie o stare, rozpadające się i nawiedzane przez duchy zamczysko w Szkocji, lecz o nową budowlę, która stała w słońcu i z którą Judd wiązał tak wielkie nadzieje.

– Nigdy nie doceniałeś swojego dziedzictwa, Judd – oświadczył Colin MacGregor z głęboką goryczą.

– Jestem Australijczykiem, ojczu, i tutaj jest moje miejsce.

– A także twoja przyszłość w zawodzie nauczyciela.

– Tak, nauczyciela, ojczu! Nie jestem lordem i nigdy nie miałem zamiaru nim być!

– A zatem przenieś się do swojej szkoły. Rzuć wszystko, co wybudowałem dla ciebie i na co przez tyle lat pracowałem. Idź i zostań zwykłym belfrem, który naucza młodych wieśniaków w podrzędnej szkole! Na Boga, Judd! Czyż twoim miejscem nie powinien być Oksford zamiast jakiejś zacofanej szkoły rolniczej w tej zapadłej kolonii?

Ojciec i syn zmierzyli się wzrokiem i nie dało się już odwołać wypowiedzianych słów. Zawisły w powietrzu jak echo, a gorycz, żal i poczucie klęski, które obaj odczuwali, sprawiła, że Judd zamiast powiedzieć „przepraszam”, milczał jak głaz.

Zacisnął palce na kieliszku z szampanem, obserwując kobiety zgromadzone przy energicznie wymachującej wachlarzem Louisie Hamilton. Joanna Westbrook przystawiała pod nos . otylej niewieście sole trzeźwiące, podczas gdy córki Hamiltonów – rozpieszczone panny – bezradnie biegały wokół matki. Spozregł stojącą na uboczu macochę.

Paulina miała trzydzieści dziewięć lat i Judd uważał, że nadal jest piękna. Wiedział, że z powodu dezercji Coiina tę szczupłą, poruszającą się z wdziękiem kobietę trapi ból. Nagle przyszło mu na myśl, że może przez te wszystkie lata był dla niej niesprawiedliwy i niesłusznie odnosił się do niej z rezerwą. Sądził, że jest taka sama jak Colin tylko dlatego, że go poślubiła. Uważnie przyglądał się jej podczas ostatnich trzech miesięcy. Pomimo zmartwień chodziła z wysoko podniesioną głową i z każdym dniem rósł jego dla niej podziw.

Dopił do końca szampana i wrócił do baru.

Joanna rozejrzała się za Beth. Spozregła ją pod portretem króla Jerzego. Dziewczynka trzymała w dłoni szklankę lemoniady, o której najwidoczniej zapomniała. Joanna podążyła za wzrokiem córki i stwierdziła, że obiektem jej zainteresowania jest Judd MacGregor. Wyraz twarzy dziewczynki na nowo obudził w Joannie niepokój. Zdawała sobie sprawę z uczuć, jakimi Beth darzy swojego przyszłego nauczyciela, gdyż tylko o nim potrafiła ostatnio rozmawiać. „Nigdy nie sądziłam, że jest aż tak czarujący, mamu – oznajmiła po dorocznym Pokazie Hodowców, na którym Judd otrzymał nagrodę za tryka swojej hodowli. – Widywałam go setki razy, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie w pełni, jaki jest cudowny. I pomyśl tylko, będzie moim wychowawcą w nowej szkole!”

Stwierdzenia te uzmysłowiły Joannie, że za kilka lat Beth wyjdzie za męża, opuści Merindę i zamieszka gdzie indziej. W jaki sposób ją wtedy chronić?

– Och, mój Boże – rzekła Louisa Hamilton, która niespodziewanie znalazła się w centrum

zainteresowania innych kobiet. – Czuję się fatalnie. Pewnie przez ten upał...

Gdy Paulina stanęła przy niej, przyglądając się zabiegom Joanny, Louisa posłała jej zatrwożone, znajome spojrzenie. I dopiero wtedy Paulina zrozumiała, na czym polega problem przyjaciółki: spodziewała się kolejnego dziecka – po trzynastu latach niezachodzenia w ciążę.

– Naprawdę nie wyglądasz zbyt dobrze, Louiso – stwierdziła Joanna. – Powinnaś się położyć. Pozwól, że znajdę jakieś stosowne miejsce.

Opuściła restaurację i skierowała się do recepcji. Oczekwała, aż urzędnik uporządkuje swoje kwity, a gdy podniósł na nią wzrok, powiedziała:

– Dobry wieczór. Nazywam się Joanna Westbrook. Pewna pani, która jest naszym gościem, źle się poczuła. Czy znajdzie się jakiś wolny pokój, gdzie mogłaby odpocząć?

– Pani Westbrook? – upewnił się recepcjonista. – Proszę mi wybaczyć, ale gdy przejmowałem zmianę, nie zostałem poinformowany, że to państwo wydają przyjęcie. Dopytywałem się o państwa pewien dżentelmen. Powiedziałem mu, że oboje z mężem wyszliście.

– Dżentelmen? Czy się przedstawił?

– Stwierdził, że się nie znacie. To oficer marynarki. W stopniu kapitana.

– Oficer marynarki! Nie zostawił dla nas żadnej wiadomości?

– Nie. Powiedział, że musi zdążyć na statek. Dostrzegając przygnębienie na twarzy Joanny, recepcjonista zaczął się usprawiedliwiać:

– Bardzo mi przykro, pani Westbrook. Gdybym wiedział, że oboje z mężem przebywacie w restauracji...

– Dawno wyszedł?

– Jakies dziesięć minut temu.

Joanna szybkim krokiem wyszła z hotelu. Na ulicy rozejrzała się na wszystkie strony. Pod latarnią na rogu dostrzegła dwóch mężczyzn. Jeden był sprzedawcą gazet, a drugi marynarzem i miał przerzucony przez ramię jutowy worek.

Gdy zbliżyła się do nich, stwierdziła, że marynarz jest starszym mężczyzną około siedemdziesiątki. Miał siwe włosy, siwą, krótko przystryżoną brodę i pociętą licznymi zmarszczkami twarz.

– Przepraszam – zagadnęła. Spojrzał na nią zdumiony.

– Czy to pan był przed chwilą w hotelu i pytał o państwa Westbrooków?

– Tak, ja.

– Nazywam się Joanna Westbrook.

– Miło mi panią poznać! Kapitan Harry Fielding, do usług. Joanna potrząsnęła dłonią twardą jak stal.

– W jakiej sprawie chciał się pan z nami spotkać, kapitanie Fielding?

– Długo mnie tu nie było. Przebywałem daleko stąd, głównie w Azji. Niedawno wróciłem. Zwykle przez pierwszy tydzień nadrabiam zaległości w przeglądaniu prasy i dlatego sporo czasu upłynęło, zanim natknąłem się na pani ogłoszenie. Gazeta była tak stara, że nie zaprzętałem sobie nią głowy. Dopiero gdy przeczytałem informację w dzisiejszym

wydaniu „Timesa”, że przybyliście państwo do miasta na przedstawienie i zatrzymaliście się w hotelu „Król Jerzy”, postanowiłem się z państwem skontaktować. Dobrze, że się nie rozminęliśmy.

Uśmiechnął się wyczekująco.

– Proszę mówić dalej, kapitanie Fielding.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej wycinek z gazety.

– Czy pani zamieściła to ogłoszenie?

Joanna rzuciła okiem na notatkę, którą wieki temu poleciła wydrukować w gazecie Franka.

– Tak – odparła.

– Szukała pani informacji dotyczących statku „Beowulf”, prawda? Służyłem na nim w młodości jako bosman. Mogę wszystko pani opowiedzieć o tej jednostce.

– A ja już niemal straciłam nadzieję! – wykrzyknęła Joanna. – Próbuję się czegoś dowiedzieć o dwojgu pasażerów, którzy na pokładzie „Beowulfa” przypłynęli do Australii w 1830 roku. Był pan może w tamtym czasie członkiem załogi?

– Tak, byłem. Miałem wtedy dwadzieścia lat i pragnąłem odkrywać nowe lądy.

– Czy przypomina pan sobie pasażerów, którzy przebywali wtedy na statku? – spytała Joanna, próbując opanować podniecenie. – Wiem, że od tamtej pory upłynął już szmat czasu.

– W sędziwym wieku, pani Westbrook, trudności nastęcza odtworzenie przebiegu ubiegłego tygodnia, lecz wydarzenia sprzed wielu lat pamięta się w najdrobniejszych szczegółach. To była moja pierwsza praca w stopniu podoficera i mogę pani opisać nawet kolor oczu mojego ówczesnego kapitana.

– Czy przypomina pan sobie młode małżeństwo? Johna i Naomi Makepeace?

– John Makepeace? O tak, pamiętam. Był bardzo religijny. Twierdził, że szuka drugiego raj. Miał śliczną żonę. – Kapitan Fielding zmarszczył brwi. – Jest jeszcze coś. Gdy kilka lat później ponownie zawiąłem do wybrzeży Australii, usłyszałem bardzo dziwną historię z nimi związaną.

– Co to za historia, kapitanie Fielding? Czy przypomina pan sobie, w jakim porcie opuścili statek?

Wstrzymała oddech.

– Oczywiście, że pamiętam, pani Westbrook. Wybór miejsca, gdzie zamierzali rozpocząć swoje małżeńskie życie, wydał się nam wszystkim nieprawdopodobny. Mogę podać pani jego nazwę. Czy to naprawdę jest aż tak bardzo istotne?

## ROZDZIAŁ 25

Już po przeczytaniu kilku pierwszych linijek zadania domowego Judd MacGregor wiedział, że w górnym rogu strony napisze słowo: „celujący”. Ale gdy odwrócił kartkę, żeby sprawdzić, kto jest autorem pracy, i zobaczył podpis Beth Westbrook, ręka mu zadrżała. Był pewien, że uczeń czy ktoś pomaga w domu. Żadna dziewczyna nie mogła być aż tak dobra z biologii.

– Dziewczeta nie posiadają takiej pojemności umysłu jak chłopcy ani tej co oni zdolności przyswajania wiedzy – zakomunikował w grudniu dyrektorowi, gdy ten poinformował go, że Beth Westbrook została przyjęta do szkoły. – Oświadczam panu, panie Carpenter, że nie poświęcę ani jednej dodatkowej minuty na jej nauczanie. Będzie otrzymywała te same zadania co chłopcy i będzie nauczana w tym samym co oni wymiarze czasowym. Niech nie liczy u mnie na żadne względy. A gdy będzie z nauką odstawać od reszty grupy, co moim zdaniem jest nieuchronne, wystąpię z wnioskiem o usunięcie jej ze szkoły. Przewiduję, że stanie się to już po upływie pierwszego tygodnia.

Tymczasem semestr rozpoczął się cztery tygodnie temu, w styczniu, a panna Westbrook jak dotąd w niczym nie ustępowała chłopcom. Judd musiał nawet przyznać, że jest od wielu z nich lepsza. I właśnie fakt ten skłonił go do przypuszczeń, że ktoś w domu musi pomagać jej w nauce.

Słyszając śmiechy na dworze, Judd wyjrzał przez okno. Przed gmachem internatu kilku chłopców wykrzykiwało coś za Beth Westbrook, która chwilę temu wysiadła z powozu pod bramą szkoły, odwieziona przez ciemnoskórą opiekunkę Sarę King. Dziewczynka najwyraźniej starała się zlekceważyć zaczepki. Judd widział jej sztywno wyprostowane plecy. Dobrze wiedział, że uczniowie nie ułatwiają jej życia, lecz nie zamierzał interweniować. Gdyby dokuczali koledze, również by się nie wtrącił. Szkoła, zgodnie z przyjętymi założeniami, rzadko mieszała się w osobiste sprawy podopiecznych. Rada uczniowska kierowała się własnymi metodami postępowania w takich wypadkach, a jedną z nich było przestrzeganie zasady, że uczeń w razie konfliktu nie biegnie na skargę do nauczyciela, ale sam sobie radzi.

Judd wrócił pamięcią do swoich pierwszych dni w szkole. Był mały jak na swój wiek i koledzy obchodzili się z nim bezlitośnie. Ojciec powiedział Carpenterowi: „Proszę nie okazywać mojemu synowi żadnych specjalnych względów z powodu jego drobnej postury. Niech go pan traktuje na równi z innymi. Tylko w ten sposób ma szansę wyrosnąć na mężczyznę”. Judd ze stoickim spokojem zniósł wszystkie próby. Dzięki niezłomnej postawie zyskał podziw swoich dręczycieli, a wkrótce potem zaczął się cieszyć ogromną popularnością również wśród innych chłopców.

Wraz z porannym podmuchem wiatru dobiegł Judda głos:

– Nie chcemy tutaj dziewczyn!

Przypomniał sobie słowa ojca sprzed lat: „Musisz się jeszcze bardziej starać, synu. Chyba nie chcesz, żeby wszyscy brali cię za dziewczynę?”

Podniósł wzrok na niebo, które wróżyło wcześniejsze nadejście jesiennych opadów. Pomyślał o ojcu, nieobecnym od pięciu miesięcy w Australii. Wyobraził go sobie w ponurym zamku pośród pamiątek celtyckiej przeszłości. Zastanawiał się nieraz, czy ojciec jest szczęśliwy, czy czasami ogarnia go nostalgia za Australią i czy czuje się choć trochę zawstydzony.

– Dzijdzius! – zawołał za Beth inny chłopiec. – Nie możesz ani na krok się ruszyć bez niańki, tej dzikuski?!

Judd spostrzegł, że dziewczynka odwróciła się, by odpowiedzieć na zaczepkę. Zamknął okno. Jedyną uciążliwością życia na terenie szkoły były tego typu epizody.

Brakowało mu spokoju i ciszy Kilmarnock. Nie mógł tam jednak mieszkać. Na każdym kroku napotykał zbyt bolesne wspomnienia. Colina MacGregora przypominała każda cegła, każda zbroja, każdy kubek i każdy pyłek kurzu. Judd pomyślał o swoim nie dokończonym liście do ojca z przeprosinami i z prośbą o powrót. Wiedział, że nigdy tego listu nie wyśle.

Ponownie spojrzął na pracę domową Beth. Przypomnił sobie dziewczynkę, która wczesnym rankiem pewnego styczniowego dnia stanęła w drzwiach klasy. Nie była onieśmielona ani niezdecydowana. Sprawiała raczej wrażenie, że spokojnie czeka na rozwój wydarzeń. Nosila długą białą sukienkę, a jej włosy miały niespotykany połysk. Judd widywał ją już przedtem na dorocznych Pokazach Hodowców lub w Cameron Town – małego, rozdokazywanego trzpiota z warkoczami, ubranego w dziecięcy fartuszek. Ale młoda panienka, która zjawiała się tamtego dnia w drzwiach klasy przed przybyciem innych uczniów, nie była już trzpiotem. Judd wiedział z jej dokumentów, że we wrześniu skończyła dwanaście lat. W miarę upływu miesięcy niejednokrotnie dostrzegał pewne symptomy świadczące o tym, że Beth w coraz większym stopniu będzie rozpraszała uwagę chłopców na lekcjach. Traktowali ją jeszcze jak równą sobie – w każdym razie dokuczali jej tak samo, jak niegdyś inna grupa uczniów dręczyła słabowitego syna Colina MacGregora. Judd był jednak pewien, że wkrótce spojrzą na nią innym okiem.

Przyglądając się szydzącym z Beth uczniom, doszedł do wniosku, że dziewczynka długo nie zagrzeje miejsca w Tongarra. Chłopcy codziennie wystawiali ją na ciężkie próby. Jej obecność w szkole urażała ich męską ambicję, tym bardziej że Beth Westbrook robiła większe postępy w nauce niż oni. Judd wiedział, że jeden z nauczycieli nigdy jej nie pyta, gdy dziewczynka podnosi rękę, a inny oznajmił, że zrezygnuje z pracy, by dać wyraz swojej dezaprobachie z powodu jej obecności w szkole. Protestowali też niektórzy rodzice. Czterech chłopców przestało uczęszczać do Tongarra, gdy ich ojcowie dowiedzieli się, że przyjęto tam dziewczynę. Kiedy Judd podniósł tę kwestię w rozmowie z Carpenterem i przypomniał o negatywnych skutkach, jakie obecność Beth przynosi szkole, dyrektor odparł jego zarzut, powołując się na funty i szylingi:

– Datek Westbrooka zawiązką pokrywa straty czesnego uiszczanego przez tych uczniów, panie MacGregor. Mamy też obietnicę, że wpływy pieniężne tej samej wysokości będą kontynuowane co rok podczas pobierania u nas nauki przez jego córkę.

Judd obstawał jednak przy swoim, twierdząc, że to bardziej kwestia honoru niż pieniędzy.

– Niech pan tylko spojrzy, ile złego w koloniach narobiło nowe ustawodawstwo,



zezwalające kobietom na kształcenie się na wyższych uczelniach – podkreślił. – Zbiorowe protesty na uniwersytecie w Melbourne z powodu niedawnego przyjęcia tam studentek spowodowały wielodniową przerwę w zajęciach, gdyż wykładowcy odmówili dalszego wypełniania swoich obowiązków.

Judd był dumny z Tongarra i nawet nie chciał myśleć o tym, jakie skutki dla reputacji szkoły wywoła mało odpowiedzialna decyzja dyrekcji.

„Przy odrobinie szczęścia dziewczynka odejdzie stąd na własne życzenie” – pocieszał się w duchu. Postanowił, że jeśli Beth przybiegnie do niego, skarżąc się na sposób, w jaki jest traktowana przez chłopców, będzie się domagał skreślenia jej z listy uczniów.

Ponownie spojrzął na jej pracę. Doszedł do wniosku, że zbytnio rozwódzi się nad mało istotnym problemem, i w górnym rogu kartki napisał: „celujący”.

– Dzidzius! Nie możesz ani na krok się ruszyć bez niańki, tej dzikuski! – zawołał za Beth Randolph Carey.

Tego było już Beth za wiele. Chłopcy drwili z niej od kiedy wysiadła z powozu, pożegnała się z Sarą i minęła bramę szkoły. Ignorowała ich zniewagi i kpiny, ale tym razem posunęli się za daleko.

– Ona nie jest dzikuską ani moją niańką, lecz przyjaciółką!

– Wszyscy wiedzą, że twoja matka kocha czarnych – zauważył trzynastoletni Michael Callahan. – Mój ojciec uważa, że powinna zamieszkać wśród Aborygenów, skoro ich darzy aż tak wielką sympatią.

– A twój ojciec pisuje wiersze – stwierdził Randolph. – Kim on jest, pederastą?

– Nie on jeden jest poetą!

W tym momencie Beth dostrzegła w górze błysk słońca. Podniosła wzrok i zobaczyła Judda MacGregora w chwili, gdy zamykał okno w swoim pokoju na drugim piętrze. „Czy słyszał tę wymianę zdań?” – zastanawiała się.

Na pewno nie, gdyż pan MacGregor był dżentelmenem i bez wątplenia uciałby drwiny chłopców, gdyby o nich wiedział.

Podobał się jej sposób, w jaki Judd MacGregor ją traktował. Nigdy nie okazywał jej szczególnych względów. Nie wyróżniał jej ani nie wyśmiewał, w przeciwieństwie do pana Carmichaela, który chronił ją przed ciężką pracą, a w klasie otaczał troską, jak gdyby za chwilę miała się załamać. Kiedy udzielała nieprawidłowej odpowiedzi, nigdy nie wyśmiewał jej na równi z chłopcami, jak miał to w zwyczaju robić pan Tyler. Judd MacGregor odnosił się do niej z obojętnością, co dla Beth było sygnałem, że w nią wierzy. Podejrzała, że ceni jej postępy w nauce. I fakt ten sprawił, że zadurzyła się w nim po same uszy.

– Wracaj do swojego kraju, Angielko!

– Nie jestem Angielką!

– Ale twoja matka nią jest. Mój ojciec twierdzi, że to angielska dziw...

W tym momencie z gmachu internatu wyszedł pan Edgeware, profesor łaciny, i chłopcy zamilkli.

– Dzień dobry, sir – pozdrowili go, gdy pospiesznie ich minął.

– Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju? – Beth zwróciła się do swoich dręczycieli,

gdy nauczyciel nie mógł już jej usłyszeć.

– Jeśli chcesz, żebyśmy ci dali spokój – rzekł Randolph Carey – musisz wstąpić do naszego bractwa.

Obrzuciła go czujnym spojrzeniem.

– Co mam zrobić?

– Musisz poddać się próbie. Każdy, kto chce być jednym z nas, musi przejść chrzest.

– Na czym ten chrzest ma polegać?

– Nie mogę ci tego na razie powiedzieć. Miałabyś ułatwione zadanie. Ale jeśli sądzisz, że nie zdołasz mu podołać...

– Spróbuję – rzekła.

– W porządku. A zatem słuchaj...

Rada uczniowska przygotowywała właśnie doroczne przedstawienie – wieczór satyryczny z piosenkami i recytacją wierszy, z których wszystkie zostały samodzielnie napisane i scenicznie opracowane przez uczniów.

– Jutro wieczorem ma się odbyć w auli próba – wyjaśnił Randolph. – Uprzedź swoją czarną niańkę, że chcesz dłużej zostać w szkole.

– Przecież moi rodzice wiedzą, że nie biorę udziału w przedstawieniu.

– Powiedz im, że zamierzasz obejrzeć próbę. Będzie trwała do dziewiątej wieczorem. Ale nie idź do auli. Bądź o siódmej nad sadzawką. Tam otrzymasz dalsze instrukcje. Chyba że cię obleci strach.

Beth popatrzyła po twarzach otaczających ją chłopców. Dostrzegła błakający się na ustach Randolpha uśmiech. A potem przypomniała sobie o zdechłym wężu, którego wczoraj ukrył w jej ławce.

– Zgoda. Będę o wyznaczonej porze.

Gdy Randolph oddalił się wraz z przyjaciółmi, Bill Addison udzielił Beth rady:

– Bądź ostrożna. Carey coś szykuje.

Beth wiedziała, że jutrzejszego wieczoru zostanie poddana trudnej próbie. Zdechły wąż w ławce był jednym z licznych kawałów, jakie jej robiono. Wcześniej spotykały ją inne przykrości – rozlany na krzesło atrament, wysmarowany klejem pulpit ławki czy kradzież drugiego śniadania. Sprawdzano, czy dziewczyna pobiegnie na skargę do nauczycieli lub do rodziców. Lecz Randolph i jego przyjaciele wciąż nie czuli się usatysfakcjonowani.

– Jeśli tam pójdziesz, mogą ci wyrządzić krzywdę – ostrzegł Bill.

– Czy mogę liczyć na twoją pomoc? Chłopiec się zawahał.

– W porządku, rozumiem – rzekła.

– Nie jestem tchórzem – stwierdził Bill – tylko ojciec uprzedził mnie, że jeśli wdam się w jeszcze jedną bójkę, zabierze mnie ze szkoły i każe pracować na farmie. Nie powinnaś jutro iść nad sadzawkę, wróć do domu o zwykłej porze.

Beth wiedziała jednak, że nie może odrzucić wyzwania Careya. Przez całe życie bawiła się z chłopakami. Znała ich rytuały i próby, na jakie się nawzajem wystawiali. Była pewna, że w końcu będzie musiała stawić czoło swojemu prześladowcy, gdyż inaczej nigdy nie zazna spokoju w szkole.

– Muszę to zrobić, Bill. Nigdy nie zostanę przez nich zaakceptowana, jeśli się nie sprawdzę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Joanna zapukała do pokoju Beth i zaraz córka otworzyła jej drzwi.

– Czy coś cię gnębi, kochanie? Prawie nie tknęłaś kolacji.

– Nic mi nie jest, mamó. Czuję się tylko trochę zmęczona.

Joanna pogłaskała córkę po włosach, przyglądając jej się badawczo.

– Nie masz żadnych kłopotów w szkole?

– Ależ skąd! Jest mi tam cudownie. A zanim oboje z ojcem wrócicie, z wyróżnieniem zakończę półrocze!

Joanna nie chciała zostawiać Beth w domu, lecz kapitan Fielding odradzał zabieranie jej do Australii Zachodniej. Twierdził, że to nie jest odpowiednie miejsce dla młodej panienki. Dziewczynka zapewniła rodziców, że jest już wystarczająco dorosła, by samodzielnie sobie radzić. A poza tym zostaje przecież pod opieką Sary. Joanna, Hugh i kapitan Fielding zaplanowali wyjazd za tydzień. Zamierzali popłynąć parowcem z Melbourne do Perth. Adam był już na uniwersytecie w Sydney, studiował na pierwszym semestrze.

– Może wolisz, żebyśmy nie wyjeżdżali, kochanie?

– Ależ skąd, mamó! Musicie odnaleźć miejsce, gdzie urodziła się moja babcia.

Ilekroć Joannę ogarniały wątpliwości co do słuszności decyzji o wyjeździe do Australii Zachodniej, przypominała sobie, że musi to zrobić nie tylko ze względu na siebie, lecz także dla dobra Beth. Choć próbowała przyjść córce z pomocą w przezwycięzeniu jej lęku przed psami, okazywało się to niemożliwe, gdyż w niej samej zawsze drzemał identyczny strach. Lady Emily, którą również na widok psów ogarniała trwoga, przypuszczała, że przyczyna jej przerażenia, a tym samym również lekarstwo na nią związane są z Karra Karra.

Joanna pomyślała o podróży, jaką odbyłyby obie z matką przed piętnastoma laty, gdyby klątwa nie upomniała się o lady Emily. To, co na początku było dla niej jedynie wypełnieniem obowiązku wobec zmarłej matki, z czasem stało się powinnością wobec samej siebie, a potem również wobec córki. Ten wewnętrzny nakaz przypominał szlak-pieśń, którego końcowy punkt znajdował się gdzieś w Australii Zachodniej.

I teraz patrząc na Beth, miała ochotę powiedzieć: „Robię to dla ciebie, kochanie, aby znaleźć sposób na ostateczne uwolnienie cię od klątwy”. Ale rzekła tylko:

– Martwię się, że będziesz tęskniła za nami i możesz czuć się samotna.

– Wszystko będzie dobrze, mamó. Zawarłam w szkole wiele przyjaźni, a nauka sprawia mi ogromną przyjemność.

„Chłopcy nie będą się przecież wiecznie w ten sposób zachowywać – pomyślała, odzyskując pewność siebie. – Znuży ich płatanie figłów i w końcu mnie polubią. „ Nie wszyscy jej dokuczali – tylko przyjaciele Randolpha Careya. Lecz Beth była pewna, że oni również dostrzegą wkrótce bezcelowość swoich kawałów i zostawią ją w spokoju. Ponieważ postanowiła, że nie dopuści, by stali się świadkami jej słabości.

Nazajutrz powóz z Merindy nie pojawił się o zwykłej porze przed bramą szkolną, a o siódmej wieczorem Beth czekała przy sadzawce.

Pięć minut później przybyli chłopcy, niosąc długą deskę. Przerzucili ją przez mały

zbiornik wykorzystywany do nauki pływania owiec. Na sześć metrów szeroki rów był wypełniony zamuloną wodą, w której odbijał się księżyc, ilekroć wyłaniał się zza chmur. Kładka była bardzo wąska i znajdowała się tylko kilka centymetrów powyżej pokrytej szlamem tafli.

Beth nagle zważyła w roztropność własnej decyzji o przyjęciu wyzwania Randolpha.

Rozejrzała się po terenie szkoły. Wokół panowała cisza. Większość budynków spowijał mrok, a gazowe latarnie oświetlały tylko ścieżki. Z auli dobiegały chłopiące głosy.

– I co? – spytał Randolph. – Obleciał cię strach?

Pomyślała o zdechłym wężu, którego znalazła w ławce. Zastanawiała się, jak zareagowałby pan MacGregor, gdyby o tym wiedział. Wierzyła, że nauczyciel postąpiłby sprawiedliwie i stanąłby po jej stronie.

– I co? – spytał ponownie Randolph.

Beth stwierdziła, że są w niej utkwione oczy wszystkich chłopców.

– Czy jeśli przejdę po desce na drugą stronę, przyjmiecie mnie do bractwa? – spytała.

– Masz na to moje słowo.

Podeszła do rowu. Nie dość, że kładka była wąska, to jeszcze na samym środku wygięta. Dziewczynka spostrzegła z niezadowoleniem, że stopy zakrywa jej spódnica i będzie zmuszona iść po omacku.

– No, ruszaj! – ponaglił ją Randolph.

Popatrzyła w stronę Billa Addisona, lecz kolega najwyraźniej unikał jej wzroku. Zaczęła iść kładką. Chłopcy otoczyli kołem rów i obserwowali w milczeniu jej chwiejne kroki. Księżyc wyłonił się na chwilę i znowu schował. Z auli dobiegły śmiechy, a w pobliskiej oborze cicho zamuczała krowa.

Beth szła z rękami wyciągniętymi na boki i ze wzrokiem utkwionym w desce oraz w wodzie tuż poniżej kraju sukni. Ostrożnie stawiała jedną stopę przed drugą. Z południa zerwał się zimny wiatr i zmarszczył taflę sadzawki. Dziewczynka wstrzymała oddech, posuwając się naprzód.

– Jestem pewien, że jej się uda – rzekł jeden z chłopaków.

– Zamknij się – warknął Randolph.

Beth poczuła dziwną suchość w ustach, gdy deska wygięła się pod jej ciężarem. Zrobiło się nagle chłodniej i przeszedł ją dreszcz.

– Masz już za sobą połowę drogi, Beth – powiedział Bill.

Przystanęła na moment. Rów sprawiał wrażenie zbyt szerokiego, a woda była głęboka i zimna. Gdy księżyc ponownie wyłonił się zza chmur, dziewczynka dostrzegła pływające na powierzchni tafli owady.

– Śmiało, potrafisz to zrobić – dodawał jej odwagi Bill. Ruszyła dalej. Zerwał się wiatr i poruszył fałdami jej spódnicy. Deska zachwiała się pod stopami.

– Nieźle sobie radzi! – stwierdził Declan McCloud.

– Dalej, Beth, śmiało – zachęcał ją inny chłopiec. Kiedy uświadomiła sobie, że jest już blisko drugiego brzegu, podniosła wzrok i zobaczyła stojącego tam Randolpha Careya. Uśmiechnęła się.

A zaraz potem zamarła.

Chłopak miał przy sobie psa. Był to jeden z owczarków, które trzymano w szkole.

– No, dalej! Co z tobą? Chyba nie boisz się starego kundla? Beth zaczęła drżeć na całym ciele. Czuła, że ma wyschnięte usta. Żołądek podjechał jej do gardła. Usiłowała nie patrzeć na zwierzę ani o nim nie myśleć. Próbowwała się skupić tylko na tym, żeby postawić jeszcze jeden krok i dotrzeć do końca kładki.

Zobaczyła jednak mieniące się złotem w blasku księżyca psie ślepie.

Owczarek nie przejawiał wobec niej wrogich zamiarów, nie warczał ani nie zachowywał się groźnie. Nawet znała jego imię. Było to stare, poczciwe i przyjaźnie nastawione do ludzi psisko.

Lecz nagle przed jej oczami pojawił się obraz ścigających ją dingo oraz rozpaczliwie broniącego ją Guzika.

Świat zawirował wokół niej, nagle straciła oparcie pod stopami. Runęła do sadzawki z głośnym pluskiem. Lodowata tafla zamknęła się jej nad głową, ciężar namokniętej spódnicy ciągnął w dół. Dotknęła stopami dna, nogi ugrzęzły jej w mule. Na szczęście Bill Addison i Declan McCloud rzucili się na pomoc.

Randolph Carey rechotał ze śmiechu, kilku kolegów mu wtórowało, ale gdy ociekająca wodą Beth z trudem wydostała się na brzeg, dostrzegła niepewne spojrzenia innych chłopców.

– To nie było uczciwe, Carey – stwierdził Bill Addison. Randolph tylko się głośniej roześmiał.

– Wszyscy jesteście bandą zniewieściałych lalusiów! – zauważył. – A ciebie, jaśnie panienko, nie możemy uważać za jedną z nas, skoro boisz się starego kundla! – Obrócił się na pięcie i odszedł, prowadząc psa. Wierni koledzy podążyli za nim.

– O rany! – rzekł Declan McCloud, pomagając Beth wyjść z wody. – Wyglądasz okropnie!

Beth trzęsała się jak listek na wietrze i dzwoniła zębami.

– Co teraz zrobisz? – spytał Bill. – Powiesz o wszystkim staremu Carpenterowi?

– Wracaj do domu – poradził Declan. – Lepiej się nikomu nie pokazuj w takim stanie.

Lecz Beth nie mogła wrócić do domu. Powóz miał po nią przyjechać dopiero za dwie godziny.

Starła się powstrzymać drzenie. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno jak teraz.

– Możesz dostać zapalenia płuc – zawyrokował Declan. – Ludzie na to umierają.

– Zaczekaj w stodole – zasugerował Bill. – Trochę się tam ogrzejesz.

– Dam sobie radę. Idźcie już – rzekła Beth.

– Co zamierzasz ze sobą począć? Przedstawiasz obraz nędzy i rozpacz!

Beth dostrzegła światło w oknie na drugim piętrze budynku zajmowanego przez personel szkoły. I wiedziała już, do kogo się zwróci o pomoc.

Kiedy Judd otworzył drzwi i zobaczył stojącą w nich Beth, wykrzyknął:

– Dobry Boże! A cóż ci się przytrafiło?

– Wpadłam do wody.

Obrzucił wzrokiem przemoczoną sukienkę i włosy dziewczynki oraz zbierającą się u jej stóp kałużę.

– Wejdz – rzekł, lecz zanim zamknął drzwi, pospiesznie rozejrzał się po korytarzu.

Podprowadził Beth do kominka.

– Opowiedz, co się stało.

– Spacerowałam nad sadzawką i wpadłam do wody.

– Spacerowałaś nad sadzawką! Co tam robiłaś o tej porze? Dlaczego nie wróciłaś po lekcjach do domu?

Nie odpowiedziała i Judd zastanawiał się, co ma robić dalej. Beth, z mokrymi strąkami włosów i oblepiającą nogi spódnicą, wyglądała żałośnie. A na dodatek straszliwie się trzęsła.

Zdjął z łóżka koc i podał go dziewczynce.

– Zdejmij mokre rzeczy i owiń się pledem. Posiedź przy ogniu. Poproszę, żeby ktoś pojechał do Merindy i zawiadomił twoich rodziców.

Gdy wrócił po chwili, zastał ją przy kominku. Siedziała opatulona w koc, a jej garderoba była rozłożona wokół paleniska.

– Już ktoś pojechał do Merindy – oznajmił, przyglądając się jej z góry. – Kto ci to zrobił?

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, dodał:

– To poważna sprawa, Beth. Chyba mnie rozumiesz? Musisz powiedzieć, kto cię tak urządził.

– Szłam nieostrożnie i wpadłam do wody, to wszystko. Judd spojrzał na zegarek. Ile czasu upłynie, nim przyjadą po nią rodzice? Potrafił radzić sobie z chłopcami, którzy znaleźli się w tarapatkach, ale przy Beth czuł się dziwnie onieśmielony. Na roboczym blacie stała mała spirytusowa kuchenka. Zagotował na niej wodę, nie spuszczając milczącej dziewczynki z oka.

– Beth – rzekł, podając jej gorącą herbatę. – Chcę ci pomóc. Nie będziesz miała z tego powodu żadnych kłopotów, obiecuję ci. Tylko powiedz, co się stało.

Siedziała ze wzrokiem utkwionym w płomieniach, a w jej oczach błyszczały łzy. Kilka wilgotnych kosmyków przyłgnęło do jej policzka.

– Chłopcy ci dokuczają, prawda?

– Wszystko w porządku – odparła. – Są dla mnie mili. Widział, jak po jej policzku przetoczyła się łza. Nagle poczuł się niewymownie zakłopotany.

– Jeśli mi powiesz, kto ci to zrobił, dopilnuję, żeby został ukarany.

Lecz Beth się nie odezwała.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł pan Carpenter, a za nim Westbrookowie.

Joanna zaprowadziła córkę do drugiego pokoju, pomogła jej się wytrzeć i włożyć ubranie, które ze sobą przywiozła.

– Nic ci nie jest, kochanie? Opowiedz mi, co się stało.

– Och, mamó – rzekła Beth załamującym się głosem, starając się zapanować nad łzami. Nie mogła jednak powstrzymać szlochu. – Przyjęłam wyzwanie. Kazali mi przejść po kładce. Ale na jej końcu był pies...

Joanna wzięła córkę w ramiona i mocno przytuliła, jak gdyby chciała przejąć na siebie jej

ból. „To się nigdy nie skończy” – pomyślała. Obie wróciły do panów.

– Nic jej nie będzie, panie Carpenter – powiedziała Joanna.

– Chciałabym jednak wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za to, co się stało.

– Zapewniam panią, pani Westbrook, że zrobimy wszystko, aby tę sprawę do końca wyjaśnić.

– Powiedz nam, córeczko. Kto cię wepchnął do sadzawki? – spytał Hugh.

Beth nie odezwała się ani słowem.

– Czy spotykały cię przedtem podobne przykrości? – spytał Hugh. – Czy chłopcy byli dla ciebie okrutni?

– Ostrzegałem, panie Westbrook, że będą problemy – zauważył Judd. – Niełatwo jest dziewczynie przystosować się do życia w środowisku chłopców.

– A czy zrobił pan cokolwiek, żeby jej w tym pomóc?! – wykrzyknął Hugh.

– To nie wina pana MacGregora, ojcze – rzekła Beth.

– Zalecę pedagogom, aby zachowali większą czujność w przyszłości. Zapewniam, panie Westbrook, że podobny incydent nigdy się nie powtórzy.

– Nasza rodzina wybiera się za kilka dni na wycieczkę do Australii Zachodniej, panie Carpenter – rzekła Joanna. – I Beth jedzie razem z nami.

– Ależ mam... – zaprotestowała dziewczynka.

– Żałuję, że zabiera pani córkę z naszej szkoły, pani Westbrook – rzekł dyrektor. – Mogę panią zapewnić...

– Wcale jej nie zabieram. Przyjedziemy za kilka miesięcy. Zdamy wrócić na początek przyszłego semestru. Wierzę, że do tego czasu panowie znajdą osobę odpowiedzialną za to wydarzenie.

– Wydaje mi się, że znam winnego, pani Westbrook – oznajmił Judd, idąc do drzwi. – Niezwłocznie z nim porozmawiam.

Gdy Carpenter zapewniał Hugh'a i Joannę, że wszystko będzie w porządku, Beth zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju za Juddem.

– Panie MacGregor, proszę, niech pan zaczeka! – zawołała za nim, zatrzymując go na schodach.

– Przykro mi, Beth, ale musimy wyjaśnić tę sprawę.

– Nie chodzi mi o to. Zawiódł się pan na mnie i chciałam panu powiedzieć, że jest mi z tego powodu ogromnie przykro.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, że wierzył pan we mnie, a ja pragnęłam dowieść, że zasługuję na pańskie zaufanie. Pewnie jest pan bardzo rozczarowany. Bardzo mi przykro.

Oniemiał ze zdumienia. Chmury się przesunęły i twarz Beth oświetlił blask księżyca. Przez moment Judd doświadczył niesamowitego wrażenia, że nie patrzy na dwunastoletnią dziewczynkę, lecz na dorosłą kobietę, i że powód, dla którego stoją na schodach, jest całkiem inny niż w rzeczywistości.

– Nie chcę odchodzić z Tongarra. Pragnę tu wrócić – rzekła cicho.

– Czy pobyt w tej szkole jest dla ciebie aż tak ważny?

– Nie ma dla mnie nic ważniejszego. Westbrookowie wyszli z budynku.

– Chodź, kochanie. Wracamy do domu.

– Porozmawiam z chłopcami, pani Westbrook – obiecał Judd. – Wiem, że mnie posłuchają. Jestem pewien, że gdy raz jasno postawię sprawę, zostawią państwa córkę w spokoju. – Spojrzał na dziewczynkę z uśmiechem. – Chcemy ją tu widzieć w drugim semestrze.



## ROZDZIAŁ 26

– Sądziysz, że tędy przebiegają szlaki-pieśni, mamó? – spytała Beth, wyglądając przez okno pociągu.

– Przypuszczam, że podążamy wzdłuż jednego z nich, kochanie – odparła Joanna. – Dowiedziałam się w Perth, że drogi kolejowe pokrywają się ze starymi szlakami wędrowek Aborygenów.

Beth była bardzo podekscytowana, nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. Przycisnęła twarz do szyby i przyglądając się nie skażonym cywilizacją krajobrazom, wyobrażała sobie ludzi, którzy przechodzili tędy dawno temu.

Joanna również z trudem opanowywała podniecenie. Kiedy kapitan Fielding powiedział: „John Makepeace z żoną pojechał do Australii Zachodniej”, bała się w to uwierzyć i pozwolić na nowo odrodzić się nadziejom. Kapitan mógł się przecież mylić, podobnie jak panna Tallhill, która najwyraźniej błędnie odczytała nazwy Dopływ Drozda i Durrebar. Mógł też być jednym z wielu, którzy odpowiadali na listy Joanny i na jej ogłoszenia, oferując informację za pieniądze. Fielding jednak powiadomił Joannę o sprawach, o jakich nie wiedziałaby oszust. „Młody Makepeace szukał raju... Jego żona, urocza kobieta, była pod koniec podróży w ciąży... i urodziła w Perth... o ile sobie dobrze przypominam, dziewczynkę”...

Wyruszyli więc w drogę: Hugh, Joanna, Beth oraz kapitan, który zabawiał ich w czasie czterotygodniowej podróży wzdłuż południowego wybrzeża Australii opowieściami o swoich przygodach. Na prośbę Franka Downsa towarzyszył im również reporter z „Timesa”, Erie Graham, aby napisać relację z wyprawy.

Sara nie pojechała razem z nimi. „Lepiej zostanę, żeby Adam w czasie przerwy świątecznej zastał kogoś w domu – tłumaczyła. – Poza tym muszę zaopiekować się ogrodem. Kto będzie czuwał nad farmą, jeśli wszyscy wyjedziemy?”

Zanim Westbrookowie opuścili Merindę, Jacko wyraził swoje zaniepokojenie z powodu pierwszych oznak infekcji przenoszonej przez muchy wśród jednego ze stad. Owady zakażały wełnę i pasożytując na owcach, powodowały ich chorobę, która zwykle kończyła się śmiercią. Pomimo tych wieści Hugh był przeciwny odkładaniu podróży.

– Taka okazja już się więcej może nie powtórzyć, Joanno – argumentował. – Kapitan Fielding zgodził się pojechać razem z nami. W Merindzie panuje spokój. Adam przebywa w Sydney, a Jacko poradzi sobie z infekcją owiec.

Ale gdy dotarli do Perth, na Hugh'a czekał telegram od zarządcy: „Choroba niebezpiecznie się rozwija. Nie mogę jej powstrzymać. Grozi nam utrata całego stada. Wracaj natychmiast”.

– Och, Hugh, i co teraz zrobimy? – zmartwiła się Joanna.

– Telegram pochodzi sprzed tygodnia. Od tamtej pory sytuacja mogła ulec poprawie. Zaraz zadepeszuję do Jacko.

Ale nazajutrz rano od zarządcy nadeszła kolejna wiadomość: „W Merindzie stan

krytyczny. Nie myśl, że zdołam uratować stado”.

– Wracaj do domu – poradziła Joanna. – Obie z Beth tutaj na ciebie zaczekamy.

– Przykro mi rozstawać się z tobą – rzekł Hugh. – Jeszcze nigdy nie przeżywalismy rozłąki. Postaram się niezwłocznie zaradzić problemowi. Przypuszczam, że za cztery tygodnie dotrę do domu, w ciągu tygodnia opanuję infekcję, a potem złapię najbliższy parowiec do Perth. Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem.

Trzy dni później Joanna opuściła Perth i w towarzystwie Beth, kapitana Fieldinga i reportera „Timesa” siedziała w pociągu, który zmierzał w głąb kontynentu do górniczego miasta Kalagandra, gdzie znajdowały się kopalnie złota.

Po wyjeździe Hugh'a Joanna i Beth próbowały odnaleźć ślady bytności dziadków w Perth. Prowadząc poszukiwania w liczącym niespełna osiem tysięcy mieszkańców mieście – przepatrując rejestry, rozmawiając z ludźmi i zwiedzając cmentarze – nie natknęły się na nic, co potwierdziłoby fakt przybywania tutaj w przeszłości Johna Makepeace'a lub jego żony.

– Od tamtej pory minęło w końcu ponad pięćdziesiąt lat – zauważył kapitan Fielding. – Kiedy „Beowulf” przybił do Perth, stało tu tylko kilka namiotów, w których mieszkali przybyli rok wcześniej pierwsi osadnicy. I nie było wtedy urzędników, którzy sprawdzaliby emigracyjne dokumenty!

Nikt w całym mieście nie słyszał też o Karra Karra, o Dopływie Drozda ani o miejscowości Durrebar.

Do Joanny dotarła jednak historia o „szalonym białym mężczyźnie”, który przed wieloma laty zabrał swoją żonę na pustynię i zamieszkał wśród Aborygenów. Opowieść ta podawana była w różnych wersjach, w zależności od tego, z kim Joanna rozmawiała. Szef lokalnej grupy misjonarzy stwierdził:

– Pamiętam, że słyszałem o tym haniebnym wydarzeniu, gdy byłem chłopcem. Aborygeni zjedli oboje małżonków. Byli wtedy kanibalami.

Urzędnik w Kolonialnym Urzędzie Ziemskim po zbadaniu aktu własności Joanny powiedział:

– Ta historia obita mi się o uszy, gdy przybyłem do Perth. Ludzie mówili, że biały mężczyzna oszalał. Poślubił tutejszą kobietę i uciekł razem z nią na pustynię, porzucając żonę i dziecko.

Po zapoznaniu się z wieloma, bardzo różniącymi się od siebie relacjami, Joanna doszła do wniosku, że prawdziwa historia życia dziadków nie była znana, a legenda o „białym, który wyruszył na poszukiwania drugiego raję”, wzbogaciła zbiór mitów o barwnej przeszłości Australii.

Po trzech dniach poszukiwań Joanna uzyskała jednak dwie cenne informacje. Po pierwsze, dowiedziała się, że chcąc znaleźć plemię mieszkające niegdyś w okolicy miasta, musi skierować się na wschód i podążać wzdłuż linii kolejowej, ponieważ tamtędy przebiegał stary szlak wędrowny tubylców. A po drugie, że człowiekiem, z którym powinna się skontaktować, jest komisarz Fox, „wiedzący o wszystkich wydarzeniach w tym rejonie”. Fox przebywał właśnie w Kalagandrze na jednej ze swoich dwóch dorocznych inspekcji przeprowadzanych w głębi kontynentu.

A teraz Joanna wraz z towarzyszącymi jej osobami była w drodze do górniczego miasta. Erie Graham zapisywał coś w notatniku i co jakiś czas wyglądał przez okno, aby w reportażu wiernie przedstawić scenerię. Obok siedziała Beth. Jej zarumienione policzki zdradzały podniecenie przed czekającą przygodą. Zajmujący sąsiednie miejsce kapitan Fielding drzemał.

Joanna z twarzą zwróconą w kierunku jazdy obserwowała krajobraz, który się zmieniał w miarę posuwania się w głąb lądu – znikły już lasy porastające wybrzeże, teraz za oknami widać było liczne zabudowania gospodarskie. Wkrótce znajdą się na pustyni. Pociąg był zatłoczony i panował w nim ogromny zgiełk. Wśród podróżnych przeważali ogarnięci gorączką złota mężczyźni – pełni złudzeń kopacze z tobołami, łopatami i małymi siekierami. Wszyscy byli usmarowani sadzą i popiołem. Pedantyczny Erie Graham wciąż strzepywał pyłki z ubrania i co jakiś czas marszczył brwi, ubolewając nad stanem nowiutkiego melonika. Kapelusz Joanny leżał na półce w torbie z brązowego papieru, w jakie towarzystwo kolejowe wyposażało damy.

Kalagandra była usytuowana w głębi lądu i od wybrzeża dzieliła ją odległość pięciuset sześćdziesięciu kilometrów. Joanna wraz z resztą towarzystwa opuściła Perth poprzedniego wieczoru i spędziła noc w pociągu. Dochodziło południe. Przed nimi w oddali ciągnęły się tereny złotonośne, Kalagandra była końcową stacją. Joanna została poinformowana, że dalej za nią nie ma już nic oprócz kangurów i buszu.

– Sądysz, że tamtędy przebiegają szlaki-pieśni? – ponownie spytała Beth, gdy Joanna wyglądała przez okno, starając się cokolwiek dostrzec poprzez wyrzucany przez komin pociągu czarny dym. Wyobrażała sobie niewidzialne trasy, przecinające tę dziką, nieurodzajną krainę, którymi kiedyś mogła podążać Aborygenka o imieniu Reenadeena wraz z maleńką Angielką, Emily. Widziała w wyobraźni, jak idą pustkowiec w stronę rzeki, gdzie czarne łabędzie wyginają w łuk swoje delikatne szyje. „Kobieta i dziewczynka – pomyślała Joanna, przywołując ich obraz.

– Tylko we dwie pod niemiłosiernie palącym słońcem w tym pozbawionym wody, spłowiałym krajobrazie, którego jedyne urozmaicenie stanowią samotne wyschnięte krzaki. „

Spojrzała na Beth. Dostrzegała podniecenie wyglądającej przez okno córki. I po raz pierwszy zauważyła nowe dołeczki w jej policzkach. Przypomniała sobie, że ludzie, którzy pamiętali lady Emily, mówili ojej ujmującym uśmiechu. I teraz przyglądając się Beth odniosła wrażenie, że matka pomimo wszystko towarzyszy jej w podróży.

Pomyślała o notatkach dziadka, o wzmiance dotyczącej rytuału, który odbywał się we wnętrzu świętej góry, i pielgrzymki, w jaką co pewien czas udawały się matki z córkami.

Czy nie był to zasadniczy powód jej podróży? Czy do poszukiwań nie skłoniło jej coś więcej niż tylko lęk o córkę i o własną przyszłość? Może obie z Beth wypełniały nakaz, narzucony im dawno temu przez wierzenia starodawnej rasy? A niepokój i obawa nie były jedynymi bodźcami, które ją pchnęły do wyruszenia w drogę. Może na jej decyzję miały również wpływ jakieś pozytywne siły...

„Czuję się niemal tak, jakbyśmy miały razem z Beth doprowadzić do końca jakąś ważną sprawę” – niespodziewanie nasunęła się jej refleksja.

Wiedziała, że zbliża się czas, kiedy będzie musiała wyjawic córce prawdę i podać rzeczywisty powód ich obecności tutaj. Zamknęła oczy, a koła pociągu zdawały się powtarzać szeptem: „Pospiesz się, pospiesz się, pospiesz się... „

Pociąg wjechał na stację z głośnym syczeniem hamulców. Poszukiwacze złota wyskakiwali z wagonów, jeszcze zanim się zdążył zatrzymać. Na peronie grupa osób towarzyszących Joannie została w jednej chwili wchłonięta przez ciżbę rozpychających się, rozwrzeszczanych, podekscytowanych i biegających we wszystkich kierunkach ludzi.

Joanna ogarnęła wzrokiem siwą mgłę w oddali. Kalagandra leżała w nieprzyjaznym człowiekowi, nieurodzajnym terenie. Na zachód od zabudowań znajdowało się kilka gospodarstw i pola pszenicy. Na wschodzie miasto graniczyło z Wielką Pustynią Wiktorii. Wszystkie drzewa zostały powycinane. Kilometrami, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się tylko piaszczysta równina z setkami porzucanych po całym obszarze górniczych szybów i kopców. Joanna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że okolicę tę nawiedziła inwazja kretów. Widok przywodził jej na myśl księżycowy krajobraz. Widziała głowy mężczyzn, które co jakiś czas wynurzały się z otworów w ziemi. Dobiegało ją dzwonienie siekier, odgłosy płukania piasku i nieustanne głucho dudnienie napędzanej parą kruszarki kwarcu.

Przebywały tu niezliczone rzesze ludzi! Złóża złota otoczone były polami biwakowymi oraz prymitywnymi chałupami, które miały dać schronienie tysiącom ludzi napływających z bliska i z daleka.

Wyrazem prosperity miasta były drewniane saloony, teatry na wolnym powietrzu z płóciennymi ścianami, naprędce sklecone tory do gry w kręgle i bokserskie ringi oraz kramy z butelkami dżinu ustawionymi na zwykłej, położonej pomiędzy beczkami desce, no i oczywiście kobiety, które przywoływały klientów z otwartych drzwi domów. Nad namiotami powiewały flagi niemal wszystkich nacji. Na jednej z nich Joanna zidentyfikowała nawet rosyjskiego orła. Samo miasto również wyglądało dość prymitywnie ze swoimi drewnianymi straganami, pospiesznie wybudowanymi budynkami i nierównymi chodnikami.

– Pamiętam czasy, kiedy po raz pierwszy wybuchła gorączka złota – powiedział kapitan Fielding w drodze do hotelu. – Było to w 1850 roku. Przedtem w porcie Melbourne stały statki przeładowane pasażerami, którzy odpływali do San Francisco. Dopiero znalezienie szlachetnego kruszcu w Wiktorii zakończyło wielki exodus do Kalifornii.

– Wygląda na to, że tutejszym mieszkańcom nieźle się powodzi – zauważyła Joanna, przyglądając się różnym towarom w witrynach sklepowych. Było tu chyba wszystko, od roboczych butów dla kopaczy po złote zegarki.

– To prawda, lecz ci, którzy dorobili się majątków, nie urodzili się w Kalagandrze – wyjaśnił Fielding. – Niektórzy z nich jeszcze przed rokiem w ogóle nie słyszeli o tym mieście. Przybywają tu z całej Australii, a nawet z całego świata. Bogacą się i wyjeżdżają. Miasto umrze, gdy wyczerpią się zasoby złota.

– A co z Aborygenami? – spytała Joanna.

– Jestem pewien, że gdzieś tutaj są. Przypuszczam, że żyją na przedmieściach. W całej Australii można ich spotkać na peryferiach miast. Kiedyś ta ziemia należała do nich. Nazywali ją *galagandra*, od nazwy powszechnie występującego tu krzewu. Tubylcy nie

mieszkają w mieście i nie czerpią żadnych korzyści z jego prosperity.

Gdy Joanna wraz z resztą towarzystwa przybyła do hotelu „Złoty Wiek”, musiała zaczekać, aż urzędnik obsłuży klientów, którzy domagali się pokoi pomimo umieszczonej w recepcji wywieszki: „Brak wolnych miejsc”. Rozejrzała się po zatłoczonym holu. Ludzie spali na krzesłach i w fotelach.

Razem z Beth udała się na górę do pokoju. Dziewczynka niecierpliwiła się, żeby jak najprędzej napisać list do ojca, Sary i Adama. Joanna upewniwszy się, że córka rozlokowała się w pokoju, zeszła na dół, gdzie czekał na nią kapitan Fielding. Erie Graham pierwsze kroki skierował do redakcji miejscowej gazety, żeby sprawdzić, czy zdoła wyszperać tam jakieś informacje o małżeństwie Makepeace. Joanna i kapitan odwiedzili posterunek policji, który się mieścił po drugiej stronie ulicy, i zapytali o komisarza Foxa.

Chwilę później z pokoju w głębi budynku wyłonił się mężczyzna.

– Pani Westbrook? Nazywam się Paul Fox i jestem komisarzem policji w tym okręgu. Powiedziano mi, że chciała się pani ze mną widzieć.

Komisarz był przystojnym mężczyzną blisko pięćdziesiątki. Miał intrygującą pionową bliznę na jednym z policzków. Swój mundur w kolorze khaki, z pasem i bronią w kaburze, choć zakurzony i poplamiony potem, nosił zgodnie z nakazami regulaminu. Najwyraźniej komisarz zaliczał się do ludzi, którzy starają się przestrzegać norm, nawet gdy ich zabiegi z góry skazane są na niepowodzenie.

– Mam nadzieję, że będzie mógł mi pan pomóc – rzekła Joanna, podając mu rękę.

Kiedy komisarza Foxa zawiadomiono, że chce się z nim widzieć niejaka pani Westbrook, spodziewał się osoby reprezentującej jeden z dwóch typów powszechnie spotykanych w Kalagandrze kobiet, które przybywały tu albo łamać prawo, albo głosić ewangelię. Był mile zaskoczony, gdy stwierdził, że pani Westbrook nie należy do żadnej z tych kategorii. Zobaczył ładną, trzydziestoparoletnią damę, w zgrabnie uszytej sukni i stylowym kapeluszu. Komisarz zauważył, że jej rękawiczki są z najdelikatniejszej irchy.

Joanna przedstawiła mu kapitana Fieldinga, a potem wyznała:

– Przyjechałam do Australii Zachodniej, komisarzu, by znaleźć ślady pobytu tutaj moich dziadków. Poinformowano mnie w Perth, że jest pan jedyną osobą, która wie wszystko na temat tego regionu.

Uśmiechnął się.

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście wszystko wiem, pani Westbrook. Pomogę pani, w czym tylko będę mógł. Kiedy przybyli tutaj pani dziadkowie?

– Ich statek zawinął do Perth w 1830 roku, ale nie wiem, dokąd się potem udali. Mam powód, by sądzić, że przybyli właśnie tutaj.

– To było pięćdziesiąt sześć lat temu, pani Westbrook. Wątpię, czy został po nich jakiś ślad. – Nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka piękna, elegancka i miała ujmujący sposób bycia. Kobiety jej pokroju widywał tutaj rzadko. – Mój podwładny powiedział mi, że przybyła pani aż z Melbourne. Wprost trudno uwierzyć, że pokonała pani taki szmat drogi tylko po to, by odszukać pamiątki po dziadkach.

– Sprowadziły mnie tu również inne powody, panie Fox. Przypuszczam, że gdzieś tutaj

urodziła się moja matka. Jeśli moje domysły okażą się słuszne, wypełnię ważną lukę w historii mojej rodziny. Odziedziczyłam też ziemię. Sądzę, że znajduje się właśnie w tej okolicy. Dotychczas nie zdołałam jej zlokalizować.

– Rozumiem. Czy dysponuje pani, oprócz imion i nazwiska dziadków, dodatkowymi wskazówkami? Czy zna pani jakieś szczegóły, które mogłyby się okazać pomocne?

– Wiem, że przez pewien czas, to jest mniej więcej trzy lata, mieszkali wśród Aborygenów. Mam podstawy, by przypuszczać, że zostali uznani przez klan za swoich.

– Ach, tak. Czy zna pani nazwę tego klanu?

– Niestety nie. Wiem tylko, że jego siedzibą było miejsce zwane Karra Karra.

– Ta nazwa nie jest mi znana.

– Dowiedziałam się w hotelu, panie Fox, że wielu wysiedlonych tubylców mieszka poza granicami miasta. Czy nie ma wśród nich nikogo, kto pochodziłby z okolic Perth?

– To będzie trudne do ustalenia, pani Westbrook. Aborygeni przybywają tu ze wszystkich stron. Kiedy ich plemiona zostały rozbite, rozproszyli się po osadach białych ludzi w nadziei, że zostaną przez nich otoczeni opieką. Poprzekraczali swoje tradycyjne granice plemienne, których kiedyś nigdy nie ośmieliliby się naruszyć. Wśród żyjących tu tubylców są więc i tacy, których plemienne ziemie leżą daleko stąd.

– Czy zechciałby mnie pan zaprowadzić do nich, żebym mogła z nimi porozmawiać?

– Z największą przyjemnością, pani Westbrook. Nieczęsto trafia mi się okazja towarzyszenia damie i wyrwania się z kierunku codziennych obowiązków organizowania obław na pijaków i złodziei. Spotkajmy się, powiedzmy, za dwie godziny, zgoda? Przyjdę po panią do hotelu.

\*

Promienie zachodzącego słońca padały ukośnie z bezchmurnego nieba na piaszczyste równiny. Choć nad Kalagandrą zapadał wieczór, mężczyźni w górniczych szybach nie przerywali pracy.

Komisarz Fox prowadził Joannę, tuż za nimi podążał kapitan Fielding z Beth, a z tyłu Erie Graham w towarzystwie ciemnoskórego kawalerzysty o imieniu Michael. Pachniało kawą, wszędzie unosiły się kłęby pyłu. Mężczyźni z łopatami na plecach szli ulicą z oczami utkwionymi w ziemi, jakby wypatrywali leżących pod nią złóż.

– Czy wydobywa się tu coś jeszcze oprócz złota, komisarzu Fox? Na przykład opale?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nigdy nie słyszałem o występowaniu opali w Australii Zachodniej. Gdyby je znaleziono, wywołałoby to następną gorączkę!

Dotarli do skalistego wzgórza na północnych krańcach miasta, pokrytego porzuconymi szybami górniczymi. Krajobraz był ponury i pustynny. Nie rosły tu żadne rośliny, a jedyne schronienie przed słońcem dawał skalisty występ skalny i prowizorycznie sklecone budy. Stały bezładnie na całym wzgórzu i w ciągnącym się poniżej wąwozie.

Zdumiona Joanna przystanąła na chwilę.

Na tej ziemi mieszkały setki Aborygenów! Nie licząc kilku kamiennych chat, ich domy w

większości zbudowane były ze zgniecionych beczek po nafcie, z kawałków drzewa, skrawków dykty i ubrań, a nawet z butelek i puszek. Z wielu ognisk unosił się dym i okrywał wawóz ciężkim całunem. Głośno bzyczały muchy, a wśród śmieci i odpadków buszowały na wpół oswojone dingo z wystającymi żebrami.

Mieszkańcy osady wydawali się dziwnie apatyczni. Poruszali się jak we śnie. Ich gesty były powolne, twarze pozbawione wyrazu. Dorośli siedzieli na krzesłach lub bezpośrednio na ziemi i coś mruczeli, dzieci bawiły się w kurzu. Wszyscy byli biednie ubrani. Kobiety nosiły źle dopasowane sukienki, mężczyźni mieli na sobie przypadkowo dobrane marynarki i spodnie, a odzież dzieciaków w niedostatecznym stopniu zakrywała ich nagość. Niektórzy starcy mieli zarzucone na plecy koce, inni zaś siedzieli owinięci w skórę kangura.

– Co doprowadziło tych ludzi do tak skrajnej nędzy, komisarzy? – spytała Joanna.

– Lata temu, gdy do Australii przybyli pierwsi biali, Aborygeni próbowali z nimi walczyć. Osadnicy w odwecie palili ich obozowiska i przepędzali z terenów obfitujących w żywność. Nie mając na co polować, czarni byli zmuszeni wykładać jedzenie farmerom, za co spotykała ich kara. W końcu dali za wygraną. Doszli do wniosku, że jedynym sposobem na przetrwanie jest przyłączenie się do nas i naśladowanie naszego sposobu życia. Nie mieli jednak pojęcia, jak to należy robić. Nosili wyrzucone przez nas i rozdawane przez kościół ubrania, posługiwali się łamaną angielszczyzną, pili alkohol i palili papierosy, a pomimo to nie zdołali się do nas upodobnić.

Na obrzeżu osady kobieta warzyła strawę na rozpalonych węglach. Była bosa i miała na sobie zbyt luźną sukienkę. Stojąca za nią szopa została zbudowana ze skrzynek, na których można było jeszcze odczytać napisy: „Płody rolne Spółki Adelajda”. Pomieszczenie, wewnątrz którego leżał rozdarty materac, dawało schronienie najwyżej jednej osobie.

Joanna ruszyła powoli przed siebie. Zauważyła, że Aborygeni z obojętnością przyjmują obecność spacerujących po ich osiedlu białych ludzi.

– Czy nikt nie pomaga tym biedakom, mamie? – spytała cicho Beth.

– Otrzymują pomoc – wyjaśnił komisarz. – Rząd opiekuje się tubylcami za pośrednictwem Rady Obrony Praw Aborygenów, która dostarcza im odzież i żywność oraz troszczy się o ich podstawowe interesy. Niełatwo jest jednak usunąć datujące się od dawna problemy. Wielu pierwszych misjonarzy przybyło tutaj nie po to, żeby wypełniać obowiązki duszpasterskie wobec osadników. Chcieli nawracać czarnych i służyć im pomocą. Obawiam się jednak, że dobre intencje odniosły odwrotny skutek. Nalegali na przykład, żeby Aborygeni zrezygnowali ze swoich peleryn uszytych ze skór kangura i zaczęli się ubierać na europejską modłę. Skóra kangura służyła tubylcom do różnych celów – między innymi chroniła przed deszczem. Po takim okryciu woda spływała, człowiek pod nim nie tracił ciepła i pozostawał suchy. Surduty i marynarki przemakają na deszczu. W rezultacie wielu czarnych zachorowało na zapalenie płuc i umarło. Dobrymi chęciami, pani Westbrook, wybrukowane jest piekło.

Joanna doszła jednak do wniosku, że kryje się w tym coś więcej niż tylko niekorzystne konsekwencje chwalebnych zamysłów. Dostrzegała na obojętnych twarzach mijanych ludzi wyraz poddania się i rezygnacji. Pomyślała o Johnie i Naomi Makepeace i zastanawiała się, czy mieszkańcy tej nieszczęsnej doliny odczuli w jakiś sposób skutki zbrodni jej dziadka,

jakiej się dopuścił przed ponad pięćdziesięcioma laty. Albo, co gorsza, czy przypadkiem ktoś z nich nie był członkiem klanu, wśród którego John i Naomi żyli.

– Niewątpliwie tym ludziom przydałaby się skuteczniejsza pomoc. Czy nie mogliby się przenieść na ziemie swoich przodków?

– Nawet jeśli są one jeszcze dostępne, pani Westbrook, to większość Aborygenów zapomniała, skąd się wywodzi – oznajmił komisarz, odganiając z twarzy muchę. – Tubylcy nie potrafią już rozpoznawać szlaków-pieśni, to jest tras łączących ich święte miejsca.

– W jaki sposób mogę się dowiedzieć, czy ktoś z nich pochodzi z Perth?

– Spróbujemy ich o to zapytać. Inaczej niczego się nie dowiemy. Ci ludzie nie są nigdzie zarejestrowani, a ich liczba ciągle się zmienia. Przychodzą tu i odchodzą, kiedy tylko mają na to ochotę. Jutro rano możemy tu zastać stu nowych mieszkańców osiedla.

– Szukam klanu z totemu Kangura. Chyba nie zapomnieli, od jakich wywodzą się przodków?

Komisarz pokręcił głową.

– Wielu z nich nie potrafiłoby już nawet wymienić nazwy swojego plemienia.

– Chcę z nimi porozmawiać – obstawała przy swoim Joanna. – Muszę się dowiedzieć, czy ktoś z nich pochodzi z Perth.

– Ostrzegam panią, że ludzie ci mogą udzielić takich odpowiedzi, jakie ich zdaniem chciałyby pani usłyszeć. Nie zawsze mówią prawdę.

Podeszli do mężczyzny, który siedział pod jedynym drzewem w całym wąwozie. Biała broda sięgała mu do pasa. Palił fajkę. Joanna dostrzegła w nim uderzające podobieństwo do Ezekiela. Erie Graham przygotował notes i ołówek.

– Czy mówi pan po angielsku? – zagadnął starca komisarz.

– Tak, mówię.

– Z jakiego plemienia pan pochodzi?

Małe świdrujące oczy spojrzały na Foxa spod krzaczastych brwi.

– Jestem urzędnikiem państwowym – przedstawił się komisarz, gdy nie doczekał się odpowiedzi. – Chcemy tylko zasięgnąć pewnych informacji. Czy jest coś panu wiadome o klanie Karra Karra?

– Znam Karra Karra.

– Niech go pan zapyta, panie Fox – wtrąciła podekscytowana nagle Joanna – gdzie...

– Chwileczkę, pani Westbrook. Czy wie pan, dokąd odfruwają talerze wraz z łyżkami?

– Tak, wiem. Mogę tam pana zaprowadzić.

– Oczywiście za zapłatą – mruknął Fox i odwrócił się tyłem do starca. – Teraz sama pani widzi, na co się zdadzą nasze wysiłki. Powinna pani porozmawiać z siostrą Veronicą. Mieszka tutaj od kilkudziesięciu lat. Może będzie o czymś wiedzieć.

– Siostra Veronica?

– Jest jedną z zakonnicy, które prowadzą katolicką szkołę i szpital na obrzeżach miasta. Jeśli pani sobie życzy, pójdziemy tam od razu.

Gdy zostawili za sobą osiedle Aborygenów, Erica Grahama naszyły wątpliwości, czy zdobędzie tu materiały do reportażu. Kapitan Fielding przystanął, żeby zapalić fajkę, a uwagę



Beth przykuł drogowskaz. Był to przechylony słup z kilkoma prymitywnymi i zwróconymi w różnych kierunkach tabliczkami: „Dopływ Dropa, 20 kilometrów na południe” – odczytała jedną z nich. Uśmiechnęła się. Ktoś przekreślił litery „r” i „o”, a nad nimi dopisał „u”.

Inny znak informował: „Studnia Johnsona”, „Durrakai” i „Laverton”.

Przyglądała się im w najwyższym zdumieniu. O ile zdołała stwierdzić, prowadziły donikąd.

Wkrótce Joanna znowu się zdziwiła. Spodziewała się drewnianego domu położonego wśród krzewów, a tymczasem miała przed sobą kompleks kamiennych budynków skupionych wokół jedyne go zapewne źródła wody w promieniu wielu kilometrów. Z kępami drzew i z trawą porastającą brzeg czystej odnogi rzeki przywodził na myśl oazę. Fox wprowadził Joannę do domu z przestronną werandą i pojemnikiem na dachu do zbierania deszczówki. Wypłowiały napis nad frontowymi drzwiami informował: „Katolicki kościół pod wezwaniem Świętego Albana. Pastor McGill odprawia mszę co czwartą niedzielę miesiąca”. Pod spodem przytwierdzona była tabliczka: „Szkoła i szpital”.

– Siostry mieszkają w tamtym budynku – wyjaśnił Fox, wskazując sąsiedni dom. – Jestem jednak pewien, że siostrę Veronicę zastaniemy tutaj. Ona prawie nie opuszcza szpitala.

Zdumienie Joanny jeszcze bardziej wzrosło, gdy znalazła się w chłodzie pogrążonego w ciszy korytarza, gdzie unosił się zapach cytrynowej pasty do podłóg i kwiatów. Kurz i muchy ze złóż złota i osiedla Aborygenów nie miały dostępu do klasztoru i szpitala, o który dbało, jak wyjaśnił Fox, dwanaście pełnych poświęcenia zakonnic.

Siostra Veronica była krzepką kobietą tuż przed siedemdziesiątką. Nosiła biały, podkreślający opaleniznę habit. Jej twarz zdradzała lata trudów spędzonych pod pustynnym słońcem.

– Miło cię znowu widzieć, Paul – rzekła do komisarza, podając mu rękę. – Dlaczego tak rzadko nas odwiedzasz?

Fox przedstawił zakonnicy Joannę, kapitana Fieldinga i Beth. Erie Graham ze swoim notatnikiem i ołówkiem w pogotowiu starał się pozostać nie zauważony.

– Pani Westbrook szuka śladów bytności swoich dziadków, którzy, być może, przed wielu laty tędy przejeżdżali – wyjaśnił komisarz. – John i Naomi Makepeace. Żyli przez jakiś czas wśród Aborygenów w miejscowości zwanej Karra Karra.

– Przykro mi – rzekła siostra po chwili namysłu. – Nigdy nie słyszałam tego nazwiska ani nie wiem, gdzie leży to miejsce. Powinniście porozmawiać z tubylcami, którzy mieszkają poza miastem...

– Już to zrobiliśmy – oznajmiła Joanna. – Nie dowiedzieliśmy się od nich niczego.

Gdy zakonnica dostrzegła rozczarowanie na twarzach gości, zaproponowała:

– Może jakieś dodatkowe informacje pobudzą moją pamięć. Zamierzałam właśnie zastąpić na izbie chorych siostrę Angelice. Jeśli zechcecie mnie państwo odprowadzić, porozmawiamy po drodze.

Opuścili budynek tylnym wyjściem i skierowali się w stronę ścieżki, która przecinała zadziwiająco zielony trawnik. Drzewa obsypane czerwonym kwieciem i mocne konary szumiących w górze eukaliptusów przypominały Joannie Merinę.

– Jak tutaj pięknie! – zauważyła. – Człowiekowi, który widział miasto i złoza złota, nawet przez myśl by nie przeszło, że w pobliżu może znajdować się równie uroczy zakątek.

– Nie brakuje nam wody. Biegnący na południe strumień, zwany Dopływem Dropa, jest zasilany przez podziemną rzekę przepływającą przez wapienne groty w głębi ziemi. Prawie nie ma takiej rośliny, której nie mogłybyśmy tutaj wyhodować.

– To wielkie szczęście dla was, że posiadacie tę ziemię, siostró.

– Niestety, nie jesteśmy jej właścicielkami, pani Westbrook – wyjaśniła zakonnica. – Rząd kolonialny pozwolił nam założyć tu kilka lat temu szpital, aby otoczyć opieką lekarską grupę kopaczy, którzy wykupili na tym terenie złotodajne działki. Od kiedy wybuchła gorączka złota, mamy pełne ręce roboty. Wciąż przybywa głów do zabandażowania i skaleczonych stóp do opatrzenia. Mężczyźni bardzo nieostrożnie obchodzą się z łopatami i siekierami!

– Z pewnością ludzie ci są wam wdzięczni za pomoc.

– Nie narzekamy na brak zajęć, zapewniam panią. Jednak ostatnio wyłonił się pewien problem. Tutejsze władze poddawane są naciskom, aby nas stąd usunąć. Tę ziemię chce przejąć kompania górnicza. Nie jesteśmy zamożnym zakonem, pani Westbrook. Niewielkie kwoty, jakie otrzymujemy, wystarczają zaledwie na pokrycie kosztów lekarstw i zaopatrzenia. Jeśli zostaniemy zmuszone do wyniesienia się stąd, nie mam pojęcia, dokąd się udamy.

Minęli zadbane cmentarz i szklarnię, gdzie pracowały inne zakonnice w białych habitach, ogród warzywny i podwórze ze zwierzętami hodowlanymi.

– Staramy się być samowystarczalne – mówiła siostra Veronica. – Ale przybywa nam lat. Najmłodsza ma już pięćdziesiątkę na karku. Niełatwo o zwerbowanie nowych członków do ubogiego zakonu.

Dotarli do stopni drewnianego bungalowu, nad którym widniał napis: „Izba chorych”.

– W jakich latach przebywali tutaj pani dziadkowie, pani Westbrook? – spytała siostra Veronica.

– Między 1830 a 1834 rokiem.

– I twierdzi pani, że żyli wśród Aborygenów, gdzieś w tej okolicy?

– Tego nie jestem pewna. I Zakonnica zatrzymała się i spojrzała na Joannę.

– Jeśli nie myli się pani co do dat, to musieli przejeżdżać przez Perth w tym samym czasie co ja. Przybyłam do Australii jako siedemnastoletnia nowicjuszka w towarzystwie dwóch innych sióstr i pierwszych osadników. Przez trzy lata mieszkaliśmy w mieście, a potem przenieśliśmy się na wschód, gdzie założyliśmy farmę i szkołę dla białych dzieci. Chwileczkę, o czymś sobie przypomniałam...

Joanna czekała. Słońce schowało się za drzewami i nagle ucichł nieustanny zgiełk dochodzący z pobliskich kopalni złota.

– Był to rok 1834 – rzekła siostra Veronica. – Zapamiętałam tę datę, gdyż wtedy złożyłam końcowe śluby. Z pustyni przyniesiono małą dziewczynkę. Białą dziewczynkę. Miała około czterech lat i znajdowała się w straszliwym stanie. Fizycznie nic jej nie dolegało, gdyż otoczono ją troskliwą opieką, lecz na pytanie o rodziców wpadała w histerię. Była tak przerażona, że w jej wypowiedziach nie mogłyśmy doszukać się sensu. Wydaje mi się, że

usiłowała powiedzieć nam coś o psach, o dzikich psach, a także o wielkim wężu. Ale zaskakujące było to, pani Westbrook, że nie mówiła po angielsku, lecz posługiwała się dialektem Aborygenów! Przedstawiciele władz przywieźli ją tutaj, żebyśmy się nią zaopiekowały, gdyż czekano na statek, który miał ją zawieźć do krewnych w Anglii. Czy jest jakiś związek pomiędzy tym dzieckiem a pani dziadkami, pani Westbrook?

Joanna spojrzała zakonnicy prosto w oczy.

– Była ich córką – odparła. – I moją matką. – Nagle ogarnęło ją podniecenie. – A więc jednak dziadkowie żyli niedaleko stąd. I tędy przejeżdżali. W takim razie Karra Karra również musi się gdzieś tutaj znajdować.

– Co pani teraz zamierza zrobić, pani Westbrook?

– Muszę się dowiedzieć, dokąd pojechali i gdzie zamieszkali.

– Po co? Wątpię, czy pani coś tam znajdzie po tylu latach.

– A jednak coś tam jest, siostrzo. Moja matka uważała, że to miejsce na nią czeka, a teraz ja w pewien sposób dzielam jej odczucia.

Siostra Veronica uważnie przyjrzała się Joannie.

– A zatem wyprawa ta jest poświęcona sprawom ducha? – spytała. – Domyśliłam się tego, gdy wymieniałyśmy uściski dłoni. Odgadłam pani determinację i poczucie przeznaczenia.

Spojrzała na Beth.

– W pani córce również to jest. Zastanawiam się, czy to nie sam Bóg sprowadził tu panią dla jemu tylko znanych powodów.

– Coś mnie tu ciągnęło – przyznała Joanna. – Moja podróż trwa już od wielu lat. I wybrałam się w nią niezupełnie z własnej woli. Czułam się zobowiązana do przyjazdu tutaj. Podobnie miała się sprawa z moją matką.

– Rozumiem – rzekła siostra Veronica z uśmiechem. – Ja też działałam pod wpływem wewnętrznego nakazu, gdy podejmowałam decyzję o pracy w australijskiej misji. Pochodzę z bardzo zamożnej rodziny, pani Westbrook. I w młodości byłam bardzo ładną dziewczyną, przyznaję bez fałszywej skromności. Niczego mi nie brakowało do szczęścia. A jednak czułam w sobie powołanie. I nie miałam innego wyboru jak przybyć tutaj, by w tej dzikiej głuszy dawać świadectwo boskiej dobroci i miłości.

– Co zrobicie, jeśli was stąd wyrzucą?

– Znajdziemy sobie inne miejsce. Zawsze tak robimy. Niech Bóg towarzyszy pani w drodze, moja droga. Będę się modlić, żeby odnalazła pani to, czego szuka.

## ROZDZIAŁ 27

– To mi się nie podoba, Jacko – mruknął Hugh po zbadaniu martwej owcy. Rodzaj owrzodzeń i postrzępione runo wskazywały na infekcję roznoszoną przez muchy. W końcu Hugh wstał, zdjął rękawicę i rozejrzał się wokół. Wszędzie leżały martwe owce, a te, które jeszcze żyły, ledwo trzymały się na nogach.

Podróż z Kalagandry zajęła mu pięć tygodni. Zaraz po przybyciu do Merindy osiodłał konia i pojechał rozmówić się z Jacko. A teraz, godzinę później, zrozumiał, że sytuacja przedstawia się naprawdę źle. W całej okolicy śmiertelna choroba przetrzebiała stada. Owce padały setkami, miały poszarpaną wełnę, a ich ciała były pokryte ranami i larwami. Infekcja zaatakowała wszystkie stada, od posiadłości Williams Grange po Barrow Downs. Na dworze panował jeszcze chłód. Hugh podejrzewał, że wraz z nastaniem upałów nastąpi nowy wylęg much i znacznie większa chmara owadów zaatakuje pastwiska.

Hugh rzucił na ziemię rękawicę i przeczesał dłonią włosy. Był zmęczony. Najpierw półtorej doby jechał pociągiem z Kalagandry do Perth, potem przez cztery i pół tygodnia płynął parowcem, wreszcie dwa ostatnie dni zajęła mu podróż z Melbourne do Okręgu Zachodniego. Wiedział już, że nie wróci tak prędko do Joanny, jak sobie tego życzył.

– To nie jest zwykła choroba roznoszona przez muchy, Jacko – stwierdził. – Ma nietypowy przebieg i owce zdychają o wiele szybciej, niż to zwykle bywa przy tego typu infekcjach.

– Właśnie dlatego postanowiłem ściągnąć cię do domu, Hugh. Wiedziałem, że sam sobie z tym nie poradzę.

Hugh ruszył powolnym krokiem przed siebie, mijał ciała padłych zwierząt, uważnie przyglądał się każdemu z nich, a jego zdumienie wciąż rosnęło. Czas pomiędzy początkowymi objawami choroby a śmiercią owiec wydawał się zbyt krótki. Hugh dobrze zrobił, że nie zwlekał z powrotem. Przypuszczał, że dla uratowania reszty stada będzie miał znaczenie każdy dzień. Musiał niezwłocznie odkryć źródło infekcji i znaleźć na nią lekarstwo. Podszedł do wciąż jeszcze żywej owcy, której ciało aż się roiło od larw. Podniósł broń i strzelił zwierzęciu w łeb.

– Każ ludziom wykopać rów, Jacko – polecił. – Niech zakopią padłe sztuki.

– I co dalej?

– Zbadamy każde stado. Odseparujemy zainfekowane zwierzęta. W ten sposób zwiększymy szanse czystych na przeżycie. Sprawa wygląda bardzo poważnie. Nigdy nie widziałem, żeby ta choroba roznosiła się tak prędko i wywoływała tak wielką śmiertelność. Okres wylęgu owadów jest zbyt krótki. Może to jakaś nowa odmiana much.

– Tylko miesiąc dzieli nas od okresu strzyży – zauważył ponuro zarządca. – Sądzę, że powinniśmy je zacząć kapać.

– Mam przecucie, Jacko, że zwykle środki owadobójcze tym razem nie zadziałają. Przywieź mi do Merindy padłą owcę. Przeprowadzę sekcję. Może coś odkryję. Tymczasem pojedę zobaczyć, jakie metody w zwalczaniu choroby stosują na innych farmach.

Gdy Hugh w końcu wrócił, był całkiem wyczerpany. Oprócz pani Jackson, która gotowała obiad, nie zastał w domu nikogo.

Przebrał się, poszedł do salonu i nałóż sobie whisky. W znajomym otoczeniu poczuł się nieco lepiej. Piękno nowego domu podziało go kojąco na skołataną duszę: wypolerowane podłogi, nowoczesna glazura w łazience, witraże we frontowych drzwiach, pięknie wykonane meble i lampy gazowe. Ten solidny i przestronny budynek przywracał mu spokój i dodawał wiary w siebie. Hugh pomyślał, że jest dla niego niczym sanktuarium.

Ale jeszcze bardziej niż prostota konstrukcji i niewyszukana elegancja nowej rezydencji podnosił go na duchu widok znajomych przedmiotów. Każdy miał dla niego specjalne znaczenie, a w szczególności fotografie o różnych rozmiarach i kształtach, w drewnianych oprawkach lub bez, wiszące na ścianach lub poustawiane na stolikach: dziewięcioletni Adam trzymający dumnie rybę złowioną przez siebie w strumieniu, Beth w przebraniu na bal kostiumowy dla dzieci, Sara i Joanna na oszklonej werandzie, nieświadome obecności fotografującego – uchwycone w blasku słońca z głowami pochylonymi nad ziołami i kwiatami. Wiele drobiazgów przypominało Hughowi radosne chwile: pamiątki z Wystawy Powszechnej, wstążka, którą Beth otrzymała za swoją owieczkę na dorocznym Pokazie Hodowców, czy świadectwo ukończenia przez Adama liceum w Cameron Town.

Wolno sączył whisky i starał się wymazać z pamięci zatrważające obrazy, na które patrzył przez ostatnie kilka godzin – ulegające rozkładowi, choć wciąż jeszcze żywe owce, a także wyraz bezradności w oczach ludzi, którzy wiedzieli, że tracą farmy, a tym samym dorobek całego życia. Postanowił, że jutro zakasa rękawy i zabierze się do roboty, by znaleźć sposób na zwalczenie kolejnej plagi dziesiątkującej stada w zachodniej Wiktorii. Lecz dzisiejszy wieczór poświęcił na rozmyślanie o swojej rodzinie, której bardzo mu brakowało.

Tęsknił za Joanną. Żałował, że nie mogła wrócić razem z nim do domu. Czy dotarła do jakichś istotnych informacji podczas pięciu tygodni, które on spędził w podróży? W Merindzie czekał na niego telegram, wysłany cztery i pół tygodnia temu: „Nadal przebywamy w Kalagandrze. Zatrzymaliśmy się w hotelu «Złoty Wiek». Kocham Cię i tęsknię. Joanna”.

Odwrócił się na dobiegający z korytarza ogłósł kroków. W drzwiach stanęła Sara. Uścisnęli się na powitanie.

– Jak się miewa Joanna? Czy coś znalazła?

– Obawiam się, że na razie nic. Przynajmniej do chwili mojego wyjazdu z Australii Zachodniej. Łudziłem się, że po powrocie zastanę w domu więcej wiadomości od niej.

– O ile znam Joannę, z pewnością nie próżnuje! Przyszedł za to list od Adama. – Sara podeszła do biurka i wróciła z kopertą. – Jest tak szczęśliwy na uniwersytecie, że przeczytanie wszystkiego zajmie ci godzinę!

Hugh spojrzął na znajomy charakter pisma. Korespondencja zaczynała się od słów: „Kochana Rodzino! Wasz uczony i światowy syn serdecznie Was pozdrawia!”

Hugh uśmiechnął się, a przed oczami stanął mu obraz małego chłopca z zabandażowaną głową i wyrazem przerażenia na buzi.

– Co z owcami? – spytała Sara. – Wiesz, co im dolega? Ludzie mówią, że to infekcja roznoszona przez nową odmianę much.

– Sądzę, że mają rację. Tym razem chorobie towarzyszą skórne komplikacje grzybiczne, a do tej pory to się nie zdarzało.

– Co zamierzacie zrobić?

– Przede wszystkim uratować jak najwięcej owiec. Najpierw odizolujemy od reszty kotne samice. Mamy ich ponad dwa tysiące. Jeśli zostaną zarażone, stracimy całe stado. A potem zaczniemy kapać chore zwierzęta i przekonamy się, jaki środek będzie skuteczny.

– Jeśli mogłabym w czymkolwiek pomóc, Hugh...

– Dziękuję ci, Saro – powiedział, a potem pomyślał: „Najpierw muszę pojechać na pocztę do Cameron Town z niewdzięczną misją powiadomienia Joanny, że nie będę mógł niezwłocznie wrócić do Kalagandry”.

Sara nie mogła spać. Odczuwała dziwny niepokój. Być może miał związek z nową plagą, jaka ostatnio nawiedziła farmę, i z troską o Hugh'a. A może to wcale nie dotyczyło Merindy, lecz wydarzeń rozgrywających się na zachodnim wybrzeżu kontynentu, ponad tysiąc pięćset kilometrów stąd?

Owinęła się szalem i wymknęła z domu. Była północ. Cały Okręg Zachodni już spał pod jesiennym niebem, skąpany w blasku księżyca. Sara schodząc nad rzekę zastanawiała się, gdzie przebywa obecnie Joanna, co robią obie z Beth i czy coś już znalazły. Żałowała, że nie wybrała się razem z nimi. „Pani Jackson zajmie się ogrodem” – zaproponowała Joanna, lecz Sara obawiała się, że kucharka nie dopilnuje roślin, jak należy. A poza tym chciała być na miejscu, gdy Adam wróci do domu. Tymczasem on napisał, że od przyjaciół z Sydney otrzymał wiele zaproszeń na święta, z których postanowił skorzystać, więc nie przyjedzie do Merindy.

„Powinnam się była wybrać razem z Joanną” – pomyślała Sara i ukłękła przy grządce, żeby się przyjrzeć w świetle latarki pierwszym, nieśmiało wychylającym główki kwiatom mięty. A minutę potem znowu pomyślała, znacznie silniej przekonana o własnym błędzie: „Powinnam była tam pojechać razem z nią”. Doszła do wniosku, że to jest powód jej niepokoju. Czyżby Joanna znalazła się w kłopotach? I potrzebowała pomocy? Czy z dala od domu, na obcej ziemi, żałowała, że nie ma przy niej Sary?

Stwierdzając, że mięta i bazylia mają zbyt drobne ulistnienie, ostrożnie usunęła kwiaty, by pobudzić wzrost liści. Gdy pracowała otoczona dźwiękami nocy i przyglądała się ruchliwym cieniom w lesie, wywoływanym przez muskające oblicze księżyca chmury, starała się pokonać myślami ogromną odległość dzielącą ją od Joanny i wyczuć, co się dzieje na zachodnioaustralijskich pustkowiach.

Nagle dobiegł ją z tyłu szmer. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakieś zwierzę przystanęło, zaniepokojone obecnością człowieka, i zaraz zaszyje się w norze. A potem doświadczyła czegoś jeszcze – nagłej pewności. Zerwała się na równe nogi. Skierowała wzrok w stronę lasu i zaczęła się wpatrywać pomiędzy drzewa. Wstrzymała oddech.

Po chwili go zobaczyła na ścieżce, która odchodziła od głównej drogi i prowadziła do domu. Niósł w ręce walizkę.

– Philipie! – zawołała, biegnąc ku niemu.

– Saro! – upuścił bagaż i pognał w jej stronę. Rzucili się sobie w ramiona i złączyli w

mocnym uścisku. Odnalazł jej usta. Całowali się przez długą chwilę.

– Jesteś, Philipie! Naprawdę jesteś!

– Nie dostałaś mojego listu? Och, Saro, moja kochana! – znowu ją pocałował, zanurzając dłonie w jej włosach.

Przywarła do niego, pełna niedowierzania. Jego dotyk, ciepło ciała i zapach przyprawiły o zawrót głowy.

– Mój Boże, nie masz nawet pojęcia, jak straszliwie za tobą tęskniłem – wyznał, biorąc w dłonie jej twarz. – Ale napisałem ci w liście... jestem wciąż żonaty...

Pocałowała go, przytuliła się policzkiem do jego szyi.

– Wróciłeś, Philipie. W końcu wróciłeś.

– Musiałem. Wiele podróżowałem, a ty zawsze byłaś razem ze mną. Starałem się żyć z Alice i osiąść gdzieś na stałe, tak jak ona sobie tego życzyła. Ale nie mogłem. Nigdzie nie potrafiłem zagrzać miejsca. Miałem wrażenie, że tracę ducha. Myślałem tylko o tobie i o Australii. Tylko tutaj, przy tobie odczuwałem spokój. Poprosiłem Alice, żeby zwróciła mi wolność. Pozwoliła odejść. Nie jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Ona ma swoją rodzinę, Daniela i dom w Anglii. Nie jestem jej potrzebny. Ale powiedziała, że nie może dać mi rozvodu, w każdym razie jeszcze nie teraz. Saro, moja kochana. Pragnę być z tobą.

Pojęła nagle swój niedawny, wygasły już niepokój. Spojrzała na usta Philipa, o których tak często marzyła, o których śniła. Musnęła je palcami i pocałowała, najpierw delikatnie, a potem namiętnie.

– Cokolwiek nas czeka, Philipie, stawimy temu razem czoło. Znajdziemy sposób, żeby zaradzić wszelkim problemom.

Pociągnął ją w wilgotną trawę wśród wysokich drzew, krzewów i winorośli. Gdy nakrywał ją swoim mocnym ciałem, dostrzegła pomiędzy gałęziami w górze migotający Krzyż Południa. Poczowała, jak las wiruje wokół niej.

– Nigdy więcej cię nie opuszczę... – usłyszała szept Philipa.

A potem już nie mówili nic.

## ROZDZIAŁ 28

Jeszcze zanim kapitan Fielding wrócił do niej po naradzie z Sammym – ciemnoskórym przewodnikiem, którego wynajęli w Kalagandrze – Joanna wiedziała, że coś jest nie w porządku.

Przebywali na wypalonym od słońca pustkowiu, zwanym *mallee* – na rozległych obszarach nieużytków porośniętych skarłowaciałą roślinnością na pograniczu z Wielką Pustynią Wiktorii. Opuścili Kalagandrę cztery tygodnie temu. Przemierzali tę pustynną okolicę na wielbłądach, od dziewięciu dni podążając tym samym szlakiem. Ale jak dotychczas nie natknęli się na Aborygenów ani na ślady obozowiska czy osady, które mogłyby świadczyć o bliskości Karra Karra. Joanna z grzbietu wielbłąda rozglądała się po piaszczystych bezkresach. Jedyne urozmaicenie w tym monotonnym krajobrazie stanowiły skarłowaciałe eukaliptusy i pustynne dęby z charakterystycznymi, przypominającymi igły liśćmi.

Joanna miała teraz bardziej kompletne wyobrażenie o krajobrazach tego surowego kontynentu. Mapy pokazywały jedynie wąski pas wybrzeża okalający wyspę, pokryty licznymi miastami, porośnięty bujnymi lasami i soczystymi trawami. Ale we wnętrzu lądu rozpościerało się ogromne, piaszczyste serce Australii, z myślą o którym zaczęto sprowadzać tu od pewnego czasu wielbłądy. Wędrowcy przejeżdżali obok powykręcanych drzew i miniaturowych słonych jezior, licznie zamieszkałych przez jaszczurki, węże i muchy. Od czasu do czasu w zasięgu wzroku pojawia! się kangur, a znacznie rzadziej emu. Nigdzie nie było jednak widać zabudowań i od wielu kilometrów nie natknęli się na ślady cywilizacji.

Panował upalny czerwcowy dzień, a na odległym horyzoncie przepływały groźne czarne chmury.

Joanna pomyślała o tysiącach lat, w ciągu których podlegała wietrzeniu piaszczysta gleba, spojona ciernistymi krzewami, oraz o niegościnnosci tego miejsca. Wydawało się jej prawie niemożliwe, żeby kobieta z małą dziewczynką mogła przebyć pieszo w tym terenie dużą odległość. Joannie towarzyszyło czterech mężczyzn, mieli ze sobą osiem wielbłądów, zapasy wody i żywności, broń, namioty, apteczkę i kompas, a jednak posuwanie się naprzód nie było łatwe. Joanna doszła do wniosku, że ktoś musiał udzielić pomocy tamtej uciekającej z dzieckiem Aborygence.

Nagle zauważyła, że Sammy oddała się ze strzelbą i z bumerangiem. Chwilę potem podjechał do niej kapitan Fielding. Twarz miał osłoniętą kapeluszem z szerokim rondem, na który zamienił kapitańską czapkę.

- Wysłałem go, żeby poszukał wody. Nasze zapasy są już na wyczerpaniu.
- Widzę, że nie tylko to pana niepokoi, kapitanie. O co chodzi?
- Obawiam się, że zabłądziliśmy, pani Westbrook. Bardzo mi przykro.
- Jak to możliwe? Wręczył jej kompas.
- Proszę spojrzeć, co się z nim dzieje.

Joanna położyła busolę płasko na dłoni. Drgająca strzałka zatrzymała się na napisie



„Północ”, ale zaraz odwróciła się i wskazała kierunek południowy.

– To trwa już od kilku dni – wyjaśnił Fielding. – Na początku odchylenia igły nie były aż tak rażące. Myśleliśmy z Sammym, że damy sobie jakoś radę. Pogoda jest jednak coraz gorsza, a kompas zupełnie bezużyteczny.

– Co jest tego przyczyną? – spytała Joanna, patrząc w najwyższym zdumieniu na oszalałą wskazówkę, która znowu przekreśliła się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym.

– Czy to możliwe, żeby kompas był uszkodzony?

– No cóż, sam się nad tym zastanawiałem. Ale dobry marynarz nigdy nie wyrusza w morze z jedną tylko busolą. – Sięgnął do torby przy siodle i wy dobył z niej kulę o wielkości dużej pomarańczy, której spód był wykonany z metalu, a górna część ze szkła. – Posługujemy się tym na statkach. Igła pływa w alkoholu, dlatego jej wskazania są bardziej wiarygodne niż w przypadku zwykłego kompasu. Niech pani tylko spojrzy, co się z nią dzieje! W kuli igła z napisu „Północ” przesunęła się do punktu wskazującego południe.

– Muszą tu działać dziwne siły – stwierdził kapitan, rozglądając się po pustkowiu.

– Czy nie ma sposobu na określenie naszego położenia?

– Nie wiemy nawet, w jakim kierunku się posuwamy, pani Westbrook. Zwykle do tego celu bywa przydatny zegarek. – Wy dobył swój kieszonkowy chronometr. – Wystarczy go tylko ustawić tak, aby dwunasta godzina na cyferblacie była skierowana w stronę słońca. Linia północ-południe przebiegnie wtedy przez środek pola wyznaczonego przez godzinę dwunastą i aktualnie wskazywaną przez czasomierz. Nie potrafię jednak tego zrobić, gdyż nie mam pojęcia, gdzie jest słońce.

Joanna zmrużyła oczy, ogarniając wzrokiem rozległą równinę i białą planszę nieba. Wysoko w górze, niczym gaza zakrywająca otwór słoika, rozpościerały się chmury. Nie było wyraźnego źródła światła. Jasność zdawała się dochodzić zewsząd. Jedyne nad horyzontem od wielu dni wisiały czarne chmury. Fielding twierdził, że są burzowe, lecz nie potrafił powiedzieć, czy pada na południu, północy, zachodzie czy wschodzie ani w jak dużej od nich odległości.

– Czy Sammy nie może nas poprowadzić?

– Nie pochodzi stąd. Ten teren nie jest domem jego przodków. Sammy nie umie odczytywać przebiegających tędy szlaków-pieśni.

Zbliżyła się do nich Beth. Po kilku lekcjach nauki jazdy w Kalagandrze pewnie trzymała się na grzbiecie wielbłąda. Podobnie jak jej towarzysze podróży, nos i usta miała zasłonięte szalem, który zabezpieczał przed pyłem, a na głowie chroniący przed słońcem kapelusz z szerokim rondem. Jej długa spódnica-spodnie była wetknięta w cholewki wysokich butów.

– Co się stało, mamó?

Gdy Joanna powiedziała o kompasie, Beth spytała:

– I co dalej? Wracamy?

Joanna pomyślała o Hughu, który z pewnością był już w drodze do Australii Zachodniej. Wyjeżdżając do Merindy pięć tygodni temu, oświadczył, że najwyżej tydzień zabierze mu walka z infekcją, i obiecał zaraz potem do nich wrócić. A to oznaczało, że za pół miesiąca

powinien dotrzeć do Kalagandry. Joanna zostawiła dla niego list w hotelu „Złoty Wiek”, w którym podała powód ich wyprawy i określiła kierunek, w jakim się udali. Zawiadomiła go również, że będą w Kalagandrze w połowie czerwca, a od tej daty dzieliło ich tylko kilka dni.

– Czy zdołamy znaleźć drogę powrotną? – zwróciła się do kapitana Fieldinga.

– Najpierw musimy ustalić położenie miasta. Jeśli popełnimy błąd i pojedziemy w niewłaściwym kierunku, trafimy na Wielką Pustynię Wiktorii, a tam z pewnością nie będziemy już mieli szans na przeżycie.

– Jak wygląda ta pustynia, kapitanie? – spytała Beth.

– Tego nikt nie wie. Nie została jeszcze zbadana. Ludzie z niej nie wracają. Przypuszczam, że jest znacznie bardziej nieprzyjazna człowiekowi niż tereny, przez które się przeprawialiśmy w ostatnim miesiącu. Nie chciałbym się tam znaleźć, to pewne.

Erie Graham zsiadł z wielbłąda i zaczął rozmasowywać obolałe plecy, mrużąc coś pod nosem o „kretyńskim sposobie podróżowania”.

Chwilę potem zjawił się Sammy uśmiechnięty od ucha do ucha pod swoim sfatygowanym kapeluszem.

– Tam jest mnóstwo wody, kapitanie – oznajmił, wskazując kierunek.

– Czy to kałuża w wyschniętym korycie rzeczonym? – dopytywała się Joanna.

– Ogromnie duża, proszę pani – Aborygen szeroko rozłożył ramiona, by lepiej zobrazować jej wielkość.

„Dzięki Bogu!” – pomyślała Joanna. Już od sześciu dni nie natknęli się na wodę. Ubrania mieli brudne i przepocone, a twarze pokryte pyłem. I od dawna tylko piaskiem czyścili talerze. Joanna nie mogła się doczekać, żeby wszystko porządnie umyć i wyprać.

– Proponuję, byśmy się tutaj zatrzymali, kapitanie. – Uznała, że jeśli rzeczywiście się zgubili i nie wrócą w ciągu tygodnia do Kalagandry, Hugh z pewnością rozpocznie poszukiwania.

– Zgadzam się z panią. – Fielding nakazał wielbłądowi – uklęknąć na piasku i sztywno zsunąć się na ziemię.

– Jak daleko stąd, kapitanie, znajduje się Kalagandra? – spytała Beth.

– Nie potrafię tego powiedzieć, panienko. Sądzę, że przez ubiegły tydzień kręciliśmy się w kółko. Zaczekajmy tutaj, dopóki nie zdobędziemy jakichś wskazówek co do naszego położenia. Może za dzień lub dwa niebo się rozchmurzy. Kontynuowanie wędrówki w obecnej sytuacji byłoby zbyt niebezpieczne.

Rozbili obóz, dzieląc zadania między siebie w ten sam sposób co zwykle. Jak co wieczór od czterech tygodni Sammy wyruszył na poszukiwanie pożywienia, Graham z Fieldingiem rozbili namioty, a Beth nazbierała opału do ogniska. Joanna udała się do swojego namiotu, aby się trochę odświeżyć przed posiłkiem.

Zapaliła latarkę i wyciągnęła spinki z włosów, które energicznie wyszczotkowała i z powrotem upięła starannie w kok. Umyła ręce i twarz w przyniesionej przez Sammy’ego wodzie i lekko się skropiła lawendową wodą kolońską. A z powodu bliskości niewyschniętego koryta rzeczonym zdecydowała się włożyć ostatnią czystą bluzkę. „Jutro zrobię wielkie pranie” – postanowiła.

Gdy wyszła z namiotu, wszystko było już przygotowane do kolacji: stół, krzesła i talerze.

Sammy zajmował się kucharzeniem, lecz Joanna miała zwyczaj kosztowania potraw przed ich podaniem. Dzisiaj Aborygen ugotował zupę z upolowanego przez siebie kangura. Joanna poleciła mu nie zdejmować kociołka z ognia, bo mięso było jeszcze twarde, a potem wyciągnęła z ogniska mączne placki, oczyściła je z popiołu i porozkładała na talerzach.

Sammy wołał siedzieć przy ogniu i jeść palcami, pozostali członkowie wyprawy zajmowali zawsze miejsca przy stole i posługiwali się sztućcami.

– Czy czarne chmury, które obserwujemy od kilku dni, mogą znajdować się nad Wielką Pustynią Wiktorii? Chodzi mi o to, czy tamteży też przechodzą burze?

– Oczywiście. Na pustyni czasami pada, pani Westbrook – odparł Fielding, odmierzając rum ze swojej, niemal już do końca opróżnionej butelki, na którą spojrzął z przygnębieniem.

– Opady należą tu do rzadkości, są za to bardzo gwałtowne – dodał. – Byłoby lepiej, gdybyśmy zachowali dzielącą nas od chmur odległość.

– Skoro burze przechodzą nad pustynią, czy nie jest to dla nas wskazówka, że Kalagandry należy szukać w przeciwnym kierunku?

– Niekoniecznie. Padać może również w Kalagandrze, w takim razie pustynia byłaby tam – stwierdził kapitan, wskazując przez ramię za siebie.

– Nie rozumiem, jak Aborygeni mogą przetrwać w takich warunkach – wyznał Erie Graham. – W jaki sposób żyją, gdy przez tak wiele dni nie widzą słońca? Przecież nie posługują się kompasami.

– Mają swój własny system dróg, panie Graham – wyjaśniła Joanna. – Inny niż ten, który jest znany białym ludziom. Są to niewidzialne szlaki przecinające kontynent wzdłuż i wszerz. Aborygeni kierują się nimi, tak ja my poruszamy się miejskimi ulicami czy wiejskimi traktami.

– Skoro szlaki są niewidzialne, to skąd znają ich przebieg?

– Dzięki znakom orientacyjnym w terenie – tłumaczył kapitan Fielding. – Na przykład widząc drzewo, myślą: tutaj trzeba skrócić w prawo. A stos kamieni przypomina im, że są w połowie drogi do źródła wody. Niewykluczone, że nie wiedząc o tym, rozbiliśmy właśnie obóz na samym środku ich głównej szosy!

Graham rozejrzał się wokół siebie w ciemnościach z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Uważacie zatem, że gdybyśmy potrafili rozpoznać jeden z tych niewidzialnych szlaków, moglibyśmy odnaleźć powrotną drogę do miasta?

– Gdybyśmy potrafili ustalić właściwy szlak-pieśń, moglibyśmy nim dotrzeć bezpośrednio do Karra Karra, zamiast włóczyć się po pustkowiu, w nadziei że przypadkiem natkniemy się na jakiś znak – zauważyła Joanna. Przypomniała sobie, jak niegdyś Sara pokazała jej przebiegający przez Merindę szlak-pieśń Pierwszego Kangura. Jaki stos kamieni lub skupisko drzew było dla Sary drogowskazem?

Po kolacji, gdy Sammy zajął się zmywaniem naczyń, reszta towarzystwa usiadła wokół ogniska w oczekiwaniu na herbatę? Chociaż gotowano ją w menażce, Joanna zabrała ze sobą cukiernicę, filiżanki ze spodkami i łyżeczki. Erie Graham wydobył brulion, w którym jak co wieczór zaczął coś notować, a kapitan Fielding zapalił fajkę. Beth pograżyła się w lekturze.

Joanna przyjrzała się uważnie twarzom swoich towarzyszy. Erie Graham był w dobrej formie, choć często się uskarżał na użądlenia owadów. Kondycja Beth również nie wzbudzała zastrzeżeń. Największą troską Joanny był kapitan Fielding. Miała wątpliwości, czy słusznie postąpił, narażając się na trudy wędrówki, będąc w tak podeszłym wieku. Chociaż na nic się nie użalał, uwagi Joanny nie uszedł wyraz znużenia na jego twarzy ani zapadnięte ze zmęczenia policzki.

Zacząła się zastanawiać, czy nie powinna była posłuchać komisarza Foxa, który odradzał wybieranie się na pustynię. Ogarniała ją rozpacz na myśl o prędko przemijających dniach. Ze słów siostry Veroniki wynikało przecież, że Karra Karra musi znajdować się w pobliżu. Być może gdzieś opodal przebywali też pozostali przy życiu członkowie klanu Djoogala. Całe dwa tygodnie musiała poświęcić na zorganizowanie wyprawy. Wielbłądy trzeba było sprowadzić aż z Albany i znaleźć godnego zaufania przewodnika. Joanna nie mogła usiedzieć na miejscu ani chwili dłużej – przybyła z daleka, straciła mnóstwo czasu; teraz, kiedy była już tak blisko celu, musiała otrzymać odpowiedź na nurtujące ją pytania.

Kapitan Fielding pykał z fajki. W powietrzu unosił się gryzący dym.

– Czy znacie już, moi drodzy, historię o tym, jak kiedyś...

– zaczął snuć kolejną morską opowieść. Mówił o dalekich łądach zamieszkałych przez dziewczyny o egzotycznej urodzie, o piratach i o węzach morskich. Wszyscy słuchali go z grzeczności, lecz bez zainteresowania, gdyż kapitan od tygodni zabawiał ich anegdotami ze swojego życia i zaczął się już powtarzać. Woleli to jednak niż zatrważającą ciszę, która przypominała im o własnej bezbronności. Słuchając Fieldinga jednym uchem, drugie nastawiali na odgłosy pustyni, pamiętając o przestrożach komisarza Foxa dotyczących węży, skorpionów i Aborygenów gotowych przebić włócznią człowieka dla jego tytoniu. Joanna i Beth ze wzmożoną czujnością wypatrywały dzikich psów dingo, przed którymi Fox również ostrzegał.

Gdy Fielding opowiadał, Joanna przyglądała się w najwyższym zdumieniu igle kompasu, drgającej dziwnie pomiędzy północą a południem. Spojrzała w niebo. „To niesamowite!

– dumiała. – Nie widać księżyca ani gwiazd. Wszędzie wokół panuje tylko ciemność. „

Erie Graham myślał o tym samym. Rozlegało się skrzypienie ołówka sunącego po kartce papieru.

„Jeszcze nigdy nie przebywałem wśród tak absolutnej ciszy. Chwilami odnoszę wrażenie, że znaleźliśmy się w innym świecie, gdzie nie ma księżyca ani gwiazd. „

Gdy szansa na znalezienie Karra Karra stawała się coraz mniej realna, Erie zaczął podupadać na duchu. Obawiał się, że wróci do Melbourne z niczym. Kiedy Frank Downs spytał go, czy ma ochotę wyruszyć na wyprawę, zgodził się z entuzjazmem. Był zmęczony wymyślaniem historii, które miały pobudzić zainteresowanie czytelników, jak ta o pojawieniu się wielobryba u wybrzeży Australii. Pragnął wyrobić sobie nazwisko jako autor prawdziwych reportaży. A dla ambitnego dziennikarza, który nie bał się podjąć ryzyka, ekspedycja ta stwarzała wspaniałą okazję udowodnienia własnych możliwości. Po raz pierwszy historia zostałaby opisana bezpośrednio przez reportera, a nie jak dotychczas relacjonowana na podstawie zasłyszanych wydarzeń. Erie miał nadzieję zyskać dzięki niej

sławę i udowodnić, że jest najlepszy w swoim fachu. Publikacja mogła też wpłynąć na zmianę zdania pewnej młodej damy, która odrzuciła jego oświadczenia. Ale najpierw musiał przeżyć coś godnego opisanego.

– Na Boga! – rzekł, odkładając ołówek i zacierając ręce. – Wieczorem robi się tutaj straszliwie zimno!

Kapitan Fielding wstał nagle z miejsca i rozejrzał się wokół.

– Co pan zauważył, kapitanie? – zaniepokoiła się Joanna. Stary marynarz zmrużył oczy, wpatrując się w ciemność.

– Sam nie wiem. Coś wisi w powietrzu...

– Nie jest ci chłodno, Beth? – zapytała Joanna, szczelnie owijając się szalem.

– Nie, mamie – odparła dziewczynka, nie odrywając wzroku od lektury.

Nazajutrz po wyjeździe z Kalagandry Joanna wręczyła córce dziennik lady Emily, wyjaśniając, że nadeszła pora, aby poznała prawdziwy powód ich podróży na pustynię.

Widziała, jak w miarę zapoznawania się ze wspomnieniami swojej babki Beth coraz bardziej pochłaniają słowa z przeszłości. Dziewczyna zamierała w bezruchu, a jej oczy stawały się zamglone. Po udaniu się na spoczynek rozmawiała z matką o tym, co przeczytała, i miała tak wiele pytań, że często upływała godzina, zanim obie zasnęły. A teraz, kiedy zbliżała się do końca lektury, była nią całkowicie zaabsorbowana.

– Ojej! – rzekła, odrywając wreszcie wzrok od dziennika. – Zastanawiam się, co to wszystko znaczy. Ciekawa jestem, dlaczego boimy się psów, mamie? Mój lęk przed nimi wyjaśnia przygodę, jaka spotkała biednego Guzika i mnie. Ale przecież moją babkę i ciebie zawsze te zwierzęta przerażały. Czy sądzisz, że ciąży na nas klątwa? Jakże to ekscytujące!

– Ekscytujące? – zdumiała się Joanna. – No cóż, może i tak.

– Czy twoim zdaniem dziadek naprawdę dopuścił się przestępstwa? Zastanawiam się, co zrobił. Może ukradł opal? Wiem, że kamień ten jest bardzo cenny. Myślałam jednak, że Aborygeni, którzy niczego nie posiadają, nie przywiązują wagi do dóbr materialnych.

– Może miał dla nich inną wartość... na przykład religijną. Joanna opowiedziała Beth historię kamienia pierwszego wieczoru na pustyni, gdy rozbili obóz. Dziewczynka słuchała, trzymając opal na dłoni, zapatrzona w jego głębię jak zahipnotyzowana.

A teraz powiedziała, oddając dziennik Joannie:

– Założę się, że mój pradziadek odkrył kopalnię opali! Czyż twoja matka nie wspominała o swojej spuściznie w Australii? Czuję się zobowiązana wrócić tu i upomnieć się o nią. Jestem pewna, że dokument dziadka dotyczy właśnie złóż tych kamieni!

Lecz Joanna nie wiedziała, co sądzić o „australijskim dziedzictwie”. Gdy ostrożnie chowała dziennik lady Emily do skórzanej teczki, dołączając go do notatek Johna Makepeace’a, aktu własności i opalu, który zdecydowała się zabrać ze sobą na pustynię pomimo jego dużej wartości, przypomniała sobie słowa Sary sprzed wielu lat: „Ta książka jest Snem twojej matki. Teraz jest twoim szlakiem-pieśnią, tak jak kiedyś nim była dla lady Emily. Podążaj nim, a znajdziesz miejsce, którego szukasz”.

Ale jak mogła się nim kierować, skoro nie potrafiła odczytać zawartych w pamiętniku wskazówek? Może i były w tych zapiskach jakieś znaki, które pokazywały drogę, lecz Joanna

ich nie dostrzegą.

– Czy coś się stało, kapitanie? – spytała widząc, że Fielding odchodzi od ogniska.

– Mam złe przeczucie.

– Co to za dźwięk? – zdziwił się Graham, patrząc w niebo.

– Przypomina grzmot – stwierdziła Beth.

Sammy zerwał się nagle na równe nogi.

– Woda! – krzyknął.

Odwrócili się w stronę, skąd dobiegał hałas. Nie dostrzegali niczego, tylko poczuli dudniącą pod stopami ziemię. Nagle znaleźli się w środku żywiołu.

– Mamo! – zawołała Beth.

Joanna otworzyła oczy, spojrzała w niebo. Podniosła głowę i poczuła mdłości. Przez chwilę leżała nieruchomo, starając się zebrać myśli i próbując odszukać w pamięci ostatnie wspomnienie. Co się wydarzyło? Oczy i usta miała przysypane piaskiem. Zakasłała i usiadła. Świat zdawał się przechylać na jedną stronę. Położyła rękę na czole i wymacała pod palcami bolesny guz.

Rozejrzała się wokół. Otoczenie wydało się jej całkiem obce. Nie tutaj rozbili obóz poprzedniego wieczoru. Wzgórza i drzewa wyglądały teraz inaczej. Nie było wielbłądów. Ani ludzi.

Nagle przypomniała sobie nadciągającą ścianę wody.

– Beth!

Z trudem podniosła się z ziemi i oszalała z trwogi zaczęła przepatrywać okolicę, szukając córki i pozostałych członków wyprawy. Nie dostrzegła żadnych śladów ludzkiej obecności. To niemożliwe, żeby tylko ona jedna ocalała. Z pewnością jej towarzysze podróży również przeżyli nagły potop i teraz się budzili podobnie jak ona, nie mogąc się otrząsnąć po przebytych szoku. Chciała wierzyć, że niebawem znowu będą razem.

Dobry Boże, przecież Beth nie mogła zginąć!

„Nie wpadaj w panikę! – pomyślała. – Zachowaj trzeźwy umysł. Nie trać panowania nad sobą!”

Usiłowała przypomnieć sobie, co się stało. Siedzieli wokół ogniska, gdy dostrzegli pędzącą w ich stronę ciemną ścianę. Beth wyciągnęła do niej rękę... Na tym wspomnienia się urywały.

Zaczęła drżeć, a świat znowu wydawał się jej przechylony. Uświadomiła sobie, że jest w szoku.

Dostrzegła w pobliżu eukaliptus, który jakimś cudem prze’ trwał nawałnicę. Podeszła i oparła się o jego pień, trzęsąc się i dzwoniąc zębami. Zrobiło się jej ciemno przed oczami. Wiedziała, że jest bliska omdlenia. Prędko usiadła i ukryła głowę pomiędzy kolanami.

– O Boże! – załkała. – Zachowaj również innych przy życiu. Beth...

Po chwili zawroty głowy ustały i Joanna odzyskała równowagę. Uważniej przyjrzała się otoczeniu. Sądząc po intensywności światła, było południe. Widziała wokół tę samą brązową pustynię pokrytą tu i ówdzie skarłowaciałymi eukaliptusami, przez którą podróżowała od czterech tygodni – tyle że teraz drzewa i krzewy, z bladymi korzeniami wycelowanymi w

niebo, były powyrywane z ziemi. Po obozowisku nie pozostał żaden ślad. Oblicze świata zostało zmyte do czysta.

Beth. Gdzie była Beth?

Joanna uświadomiła sobie, że przepadła również jej teczka – a razem z nią opał, dziennik matki i akt własności. Wszystko.

Ponownie wstała i żeby nie upaść, przytrzymała się drzewa. Niedaleko od niej ścieliły się po ziemi cienie. Podniosła wzrok. Na tle nieba krążyły duże ptaki.

Po chwili dostrzegła coś jeszcze. Leżącą na piasku ciemną postać.

Rozpoznała marynarski mundur z mosiężnymi guzikami.

– Kapitanie! – zawołała, podbiegając do Fieldinga. – Och, Bogu niech będą dzięki!

Starzec leżał na plecach, miał zamknięte oczy i otwarte usta. Dotknęła jego szyi, szukając pulsu. Nie żył.

Usiadła na ziemi i objęła rękami kolana. Nigdy nie była tak bardzo przerażona. Ani spragniona. W którą stronę powinna się udać w poszukiwaniu wody? To dziwne, ale ziemia była całkiem sucha. Jak to możliwe po tak gwałtownej ulewie? Joanna spojrzała na krążącego ponad głową orła. Wiedziała, że ptaki te czasami porywają jagnięta, a nawet maleńkie dzieci. Czy mogły zaatakować również bezbronną kobietę?

Musiała się opanować. Nagły potop zmył wszystko, lecz przecież ocalała. A to mogło oznaczać, że również inni się uratowali.

Po powierzchni ziemi przesunął się ciemny cień ptaka. Joanna przysypała ciało Fieldinga piaskiem i kamieniami, krzyżem z patyków oznaczyła prowizorycznie sklecony grób. A potem, skrajnie wyczerpana, odmówiła modlitwę i wstała. Marynarkę kapitana zatrzymała przy sobie.

Starła się zlokalizować słońce, ale od horyzontu do horyzontu ciągnęła się tylko ta sama co przedtem oślepiająca biała poświata. Joanna przyjrzała się uważnie powywracanym krzakom i drzewom, próbując ustalić trasę przebiegu nawałnicy, i ruszyła przed siebie.

Była głodna, a dotkliwe pragnienie podpowiadało jej, że wkrótce musi znaleźć wodę. Co jakiś czas wołała: – Beth! Sammy! Panie Graham!

Po kilkuset metrach zaczęła napotykać różne przedmioty: skórzany worek wciąż jeszcze napełniony wodą, puszkę z soloną wołowiną i sucharami, kapelusz Erica Grahama. Napiała się wody i przystanęła, żeby ocenić swoją sytuację. Uznała, że przy racjonalnym gospodarowaniu zapasami zdoła dzięki nim przetrwać kilka dni.

Musiała odnaleźć Beth. Ale gdzie miała jej szukać? Jak daleko mogła dojść, dysponując tak niewielkim prowiantem? Przypomniała sobie, że kapitan Fielding ostrzegał ich przed zagłębianiem się w Wielką Pustynię Wiktorii, gdzie panowały jeszcze bardziej surowe warunki i gdzie niechybnie czekała ich śmierć. „Hugh jest już pewnie w Perth, może nawet w pociągu do Kalagandry” – pomyślała. Przypuszczała, że jeśli ona nie zjawi się w wyznaczonym czasie, z pewnością Hugh wyruszy na jej poszukiwanie. Postanowiła zostać na miejscu i czekać na ratunek.

Ze skórzanego worka pociągnęła mały łyk wody i przed połknięciem długą chwilę trzymała go w ustach. Została jej co najwyżej jedna filiżanka płynu. Ostatnią żywność zjadła

dzisiaj rano. Wyszła z prymitywnej kryjówki, którą zbudowała przy wysokim eukaliptusie, i ogarnęła wzrokiem krajobraz. Od pięciu dni nic się w nim nie zmieniło. Niebo nadal było dziwnie zachmurzone i wciąż nie potrafiła określić swojego położenia. O zachodzie słońca natychmiast zapadały ciemności i nie sposób było powiedzieć, gdzie znajduje się wschód, a gdzie zachód. Ani razu nie widziała wschodu słońca. Zawsze budziło ją jasne światło dnia. Teraz jednak zlokalizowanie miejsca pobytu stało się konieczne, gdyż musiała opuścić swoje małe obozowisko.

Przez pięć dni podtrzymywała ją przy życiu nadzieja, że powróci któryś z członków wyprawy, że nagle stanie przed nią Beth' albo Hugh. Co rano każdego dnia wyruszała w innym kierunku. Oddalała się od miejsca biwaku, nie tracąc go z oczu. I zawsze zostawiała znaki z kamieni. Zapuszczała się w teren jak najdalej, do swojej kryjówki wracała tuż przed zapadnięciem zmroku. Pożywiała się odrobiną mięsa i sucharów z puszki, a potem zapadała w niespokojny sen owinięta w marynarkę kapitana Fieldinga. Żałowała bardzo, że nie potrafi bez zapalek rozpaścić ogniska. Wielokrotnie budziła się przerażona w nocy, gdy w snach ożywała gwałtowna nawałnica lub gdy pojawiała się w nich Beth i umierała na tysiąc różnych sposobów. Joannę wyrывał wtedy z koszmaru jej własny krzyk. Długo potem leżała nie mogąc zasnąć i trzęsła się pod zadaszeniem z liści eukaliptusa. Modliła się o przebudzenie we własnym łóżku w Merindzie i o to, by rzeczywistość okazała się tylko sennym majakiem.

I płakała – nad losem Beth, biednego kapitana Fieldinga i swoim własnym.

A teraz skończyła się żywność i wyczerpał już prawie cały zapas wody. Joanna rozumowała, że chcąc przetrwać, musi opuścić to miejsce. Nie wiedziała jednak, w którą ma się udać stronę. Znalazła kompas z jego kapryśną igłą oraz skórzaną teczkę wraz z cenną zawartością. Ale odzyskane przedmioty nie mogły jej pomóc w odróżnieniu wschodu od zachodu ani zaprowadzić do źródła pożywienia i wody.

Wpatrując się w niegościny krajobraz, usiłowała przypomnieć sobie zdobytą w życiu wiedzę na temat przetrwania na pustyni. Wiedziała, że woda jest tutaj ukryta, ale nie miała pojęcia, gdzie jej szukać. Żywności również było pod dostatkiem, tylko trzeba się było wykazać sprytem i umiejętnością w jej zdobywaniu.

Zmierzyła wagę skózanego worka w dłoni. Najpierw musiała znaleźć wodę. Podejmując decyzję co do kierunku marszu, nie chciała ruszać na chybił trafił. Obrzuciła wzrokiem niskie wzgórza po prawej stronie, które zwiedziła pierwszego dnia. Na lewo teren był poznaczony licznymi głazami i krajobraz przywodził na myśl skutki eksplozji wulkanu. Z tyłu ciągnęły się monotonne, równinne przestrzenie, a przed sobą Joanna miała tereny półpustynne, które z powodu słonych jezior i skarłowaciałych eukaliptusów wydały się jej najbardziej obiecujące.

Postanowiła pójść przed siebie. Ale zanim wyruszyła w dalszą drogę, zostawiła znak. Odpięła z ucha kolczyk z lazurytu, przywiązała go do gałęzi drzewa, wyrzeźbiła ostrym kamieniem swoje imię na korze pnia, a na piasku ułożyła dużą strzałę z kamieni wskazującą kierunek marszu. Dopiero wtedy opuściła względnie bezpieczną kryjówkę, zabierając ze sobą marynarkę kapitana Fieldinga, teczkę oraz niepokojąco lekki skórzany worek na wodę. Była słaba, lecz postanowiła przebyć jak najdłuższą drogę i powstrzymać się od picia, choćby pragnienie stało się nie do wytrzymania.



Z trudem szła przez piaszczystą równinę, mijając wyschnięte słone jeziora i powykręcane eukaliptusy o rozwidlonych pniach, niepodobne do smukłych i wysokich drzew w Merindzie.

Upływały godziny. Joanna podtrzymywała się na duchu, myśląc o domu – recytowała ballady Hugh'a i prowadziła w wyobraźni rozmowy z Beth i Sarą. Snuła fantazje o tym, że za chwilę spotka córkę siedzącą w skleconej przez nią kryjówce. Jak radosne byłoby ich spotkanie! Gdy uzmysłowała sobie, że zapada zmierzch, obejrzała się, ale nie było już widać jej niedawnego schronienia. Nie miała pojęcia, jak daleką przebyła drogę. Odczuwała tylko straszliwy głód. I niewyobrażalne pragnienie.

Znalazła kryjówkę wśród głazów i modliła się, by nie była zamieszкана przez jadowite węże. Przez długą chwilę trzymała worek z wodą na kolanach, zanim zdecydowała się pociągnąć z niego jeden łyk. Na nowo ogarnęła ją panika. Spojrzała w niebo, lecz wciąż nie było na nim księżycy ani gwiazd. „Przyjdzie mi tutaj umrzeć” – pomyślała i zaczęła płakać.

Gdy obudziła się nazajutrz, znowu otaczał ją mleczy nieboskłon oraz cisza przyprawiająca o utratę zmysłów. Zostawiła drugi kolczyk, ułożyła kolejną strzałę z kamieni i podjęła dalszą wędrówkę. Przeszukiwała wyschnięte koryta rzek, w nadziei że natknie się w nich na kałużę. Kopała pod krzewami, starając się znaleźć w bezlitosnej ziemi odrobinę wilgoci. W południe wypila resztkę wody, lecz zatrzymała przy sobie worek. Głód był prawdziwą torturą. Zmuszała się, żeby podążać dalej w stronę niegościnnego horyzontu, nabierając coraz to większego przekonania, że ma przed sobą już tylko straszliwy koniec. Przerwała marsz po dwóch godzinach. Wiedziała, że dalsza wędrówka w nieznanie nie ma sensu. Nie mogła przecież liczyć na to, że woda nagle spadnie z nieba lub wytryśnie spod ziemi. Musiała ją znaleźć, i to szybko.

Chwyliła zwisający luźno kosmyk włosów i mocno go upięła. Pomyślała o kobiecie, która przemierzała te pustkowia w towarzystwie młodego męża oraz małej córeczki. „Naomi była mocna” – twierdzili zgodnie Patrick Lathrop i Elsie Dobson. Joanna dopiero teraz zrozumiała, jak silna musiała być jej babka, żeby przetrwać w tak nieprzyjaznym człowiekowi miejscu.

„Jestem wnuczką Naomi – pomyślała, ogarniając wzrokiem przygnębiający krajobraz. – Ja również jestem mocna. „

A potem jej myśli podążyły ku lady Emily, która jako mała dziewczynka przechodziła tędy w towarzystwie swojej niańki Aborygenki. „Jak one tego dokonały? – zastanawiała się Joanna.

– W jaki sposób dwie bezbronne istoty zdołały pokonać na własnych nogach wiele kilometrów pustyni?”

Nagle zrozumiała. Musiały się kierować szlakiem-pieśnią.

Joanna starała się przeżyć na pustyni, rozumując jak dobrze wychowana Angielka, a tymczasem powinna była przyjąć sposób myślenia urodzonych tutaj Aborygenów. Utrzymywali się przy życiu dzięki temu, że podążali wzdłuż szlaków-pieśni, które łączyły Miejsca Snów. Każde z nich kończyło pewien etap podróży Przodka. I zwykle były oddzielone od siebie jednym dniem marszu.

Joanna powoli obróciła się wokół własnej osi, starając się coś wyczytać z pustynnego

krajobrazu. Dostrzegła skały, skarłowaciałe drzewa, piaszczyste zbocza wzgórz, wyschnięte koryta rzek, lecz nie zauważyła nic, co przypominałoby szlak-pieśń. Ale jak właściwie wyglądał szlak-pieśń?

Nagle nasunęło się jej na myśl wspomnienie sprzed wielu lat, gdy Sara opowiedziała jej o Pierwszym Kangurze, który przechodził przez Merindę. „Tam znajduje się miejsce, gdzie spał – wyjaśniła Joannie, wskazując porośniętą trawą zbocze. – Czy widzisz jego ogromne zadnie nogi, długi ogon i bardzo małą głowę?” Joanna przypomniała sobie, że wpatrywała się we wzgórze, aż rzeczywiście zobaczyła sylwetkę śpiącego kangura.

Czy to był sposób? Czy przyglądając się pustynnemu krajobrazowi, powinna szukać znaków i pozwolić działać wyobraźni? Być może należało zobaczyć to miejsce oczami Aborygenki, a nie Angielki.

Wyteżyła wzrok i okolica stała się o wiele bardziej interesująca. Skały, drzewa i rzeczne koryta zaczęły się zmieniać – choć pozostały na swoich miejscach, uległy metamorfozie. Joanna zatrzymała spojrzenie na skupisku głazów – czyż nie przypominały sylwetki emu?

Gnana pragnieniem i głodem podbiegła do nich. Zaczęła je przeszukiwać, spodziewając się, że znajdzie pożywienie i wodę. Przekonała się jednak, że są tylko kilkoma jałowymi kamieniami.

Ponownie rozejrzała się wokół. W oddali widać było rzeczne koryto. Czy nie przypominało wyglądem węża? Joanna dopadła do niego w miejscu wygięcia i zaczęła kopać w twardej glinie. Lecz z ziemi nie wytrysnęła woda.

Wstała i oczami pełnymi łez przemierzyła dziką, nieprzystępną pustynię. Przyroda najwyraźniej sobie z niej szydziła, łudząc Miejscami Snów, które w rzeczywistości nimi nie były. Joanna poczuła, jak ogarnia ją coraz większa rozpacz. Pomyślała o kapitanie Fieldingu: leżał w anonimowym grobie, pogrzebany wraz z marzeniami o latach, które miał spędzić pod słońcem Fidzi.

– To niesprawiedliwe! – zapłakała nagle. – Beth! Gdzie jesteś? O Boże...

Ponownie upadła na kolana i schowała twarz w dłoniach. Zaskoczył ją słony smak w ustach. W pierwszej chwili pomyślała, że zaczął padać deszcz, a potem spostrzegła swoje zroszone dłonie. Zlizwała łzy. Sama sobie wydawała się żałosna. Jej wzrok spoczął na skórzanej teczce z matowymi sprzączkami oraz z inicjałami JM. Pomyślała o kartkach wewnątrz niej, które dziadek tak starannie zapisał znakami stenograficznymi. Okazały się bezużyteczne. Choć stanowiły fascynującą kronikę jego obserwacji poświęconych życiu Aborygenów, nie zawierały żadnych informacji praktycznych. John Makepeace zanotował wprawdzie, że kobiety zbierały żywność, ale nie wspominał, w jaki sposób to robiły. Nadmienił, że klan czerpał wodę z koryt rzecznych, ale pominął metodę jej znajdowania. Dokumenty dziadka były tylko plikiem bezwartościowych papierów.

Joanna chwyciła nagle teczkę i z całej siły cisnęła nią o ziemię. Teczka odbiła się od kamienia, z głuchym łoskotem wylądowała na piasku. Joanna, patrząc na nią z przygnębieniem, przypomniała sobie, że wewnątrz znajduje się akt własności, opał i dziennik matki. Wróciła po nią, a kiedy zajrzała do środka, żeby się upewnić, czy opał nie doznał uszczerbku, natknęła się wzrokiem na własne zapiski – tłumaczenie notatek Johna

Makepeace<sup>^</sup>. Zobaczyła napisane przez siebie zdanie: „Klan Djoogała należy do totemu Kangura”.

Zapewne się myliła sądząc, że szlak-pieśń można wymyślić. ‘ Jakiś szlak tędy już przebiegał i nie przypominał emu, węża ani żadnego innego wybranego przez Joannę symbolu. Skoro tereny te od wieków zajmowane były przez klan Djoogała, to szlak-pieśń pochodził od Pierwszego Kangura.

Joanna wdrapała się na brzeg wyschniętego dopływu i znowu rozejrzała się powoli wokół. Tym razem wypatrywała starodawnego szlaku, jaki Pierwszy Kangur musiał obrać przed tysiącami lat, gdy przechodził tędy i śpiewem tworzył otaczający go świat. Starła się zapomnieć o Joannie Westbrook i wcielić się w któregoś z członków plemienia Djoogała lub w dziewczynę o imieniu Reenadeena. Gdyby ktoś z nich stał tutaj i szukał szlaku-pieśni prowadzącej do Miejsca Snu Kangura, to co by widział?

Czy nie tamtą formację skalną, od zamierzchłych wieków wystającą ponad powierzchnię ziemi, która najpierw przywiodła Joannie na myśl śpiącego lirogona, a potem walczącą kunę workowatą? Teraz przypominała jej swoim wyglądem dwa skubiące trawę kangury.

Czy nie tam zatrzymał się dawno temu Pierwszy Kangur, żeby się pożywić i odpocząć?

Mimo zapadającego zmierzchu, coraz silniejszych zawrotów głowy i nierównego pulsu w skroniach ruszyła w tamtym kierunku. Jeszcze zanim dotarła do celu, była pewna, że odnalazła Miejsce Snu Pierwszego Kangura.

Liczyła dni za pomocą zbieranych gałązek. Codziennie rano przed wyruszeniem w dalszą drogę wyszukiwała nową gałązkę i wkładała ją do teczki. Zawsze też zostawiała jakiś znak – swoje inicjały wyryte w skale albo w drzewie oraz strzałę z kamieni wskazującą kierunek marszu. Kiedy uświadomiła sobie, że się zagłębia w Wielką Pustynię Wiktorii, miała już nazbieranych czternaście patyczków.

Nie brakowało jej teraz pożywienia ani wody. W pierwszym Miejscu Snu dopóty kopała w ziemi, dopóki nie znalazła słonawej, lecz pitnej wody. Przy drugim postoju, gdzie kształt słonej niecki przypominał jej dwa parzące się kangury, została nagrodzona kryjącymi się pomiędzy korzeniami akacji gaśienicami, które zjadła na surowo.

Następnego dnia zdołała schwytać jaszczurkę. A potem przypomniała sobie słowa Billa Lovella, który powiedział jej dawno temu, że tylko drzewa często bywa jadalne.

Jedno z Miejsc Snów było ogromną dziurą w ziemi. Joanna podejrzewała, że to krater, który powstał w czasach prehistorycznych od gradu meteorytów, ponieważ gdy sprawdziła kompas, igła zawirowała wokół własnej osi jak oszalała. Dno krateru okazało się glinianą niecką. Joanna przypomniała sobie opowieść Sary o żabach, które się zagrzebują w gliniastym podłożu. Magazynują w swoim ciele wodę i ukrywają się pod powierzchnią ziemi w okresach pomiędzy opadami deszczu. Joanna wykopała żaby i wycisnęła z nich świeżą pitną wodę.

Kolejnego dnia późnym popołudniem zobaczyła przelatujące ponad głową stado czerwonoogoniastych papug kakadu. „Zmierzają w stronę wody” – pomyślała. Pobiegła za nimi i znalazła w suchym korycie rzeczonym dużą kałużę.

Piątego dnia podążania szlakiem Miejsc Snów Kangura napotkała coś, co ją zaszokowało

i przeraziło: ludzki szkielet. Ubranie nieszczęśnika rozleciało się już dawno temu, kości zostały oskubane do czysta. A zatem nie był to nikt z członków jej wyprawy. Obok czaszki znalazła okulary w drucianych oprawkach i wzięła je ze sobą. Przed nastaniem zmierzchu zdołała rozpaść ognisko, używając do tego celu jednej z soczewek, którą naprowadziła w domniemanym kierunku zachodzącego słońca. Wreszcie mogła spożyć upieczone mięso.

Ósmego dnia nadleciały dwa orły walczące o małego kangura. W trakcie potyczki upuściły go na ziemię. Joanna skorzystała z okazji, przechwyciła zdobycz. Ściągnęła z kangura skórę i upiekła go na rozżarzonych węglach. Teraz miała zapasy żywności na wiele dni.

Pomimo prymitywnego sposobu odżywiania się i forsownego marszu po starodawnym szlaku-pieśni z każdym dniem stawała się mocniejsza. Zamiast upadać na duchu i słabnąć, czuła, że w jej ciało wstępują nowe siły. Pogubiła wszystkie spinki, włosy zwisały jej luźno do pasa i musiała je odgarniać za uszy. Kiedy wzmagał się upał, podwijiała rękawy i rozpiniała górne guziki w bluzce. Zdjęła halki i wiedzioną nakazem wrodzonej skromności, zagrzebała je w ziemi. Aby chronić twarz przed suchym wiatrem, posmarowała ją gliną wymieszaną z wodą. Z liści eukaliptusa zrobiła sobie kapelusz, a teczkę owinęła w marynarkę kapitana Fieldinga i przywiązała do pasa, dzięki czemu miała wolne ręce.

Nagle krajobraz się zmienił. Joanna uświadomiła sobie pewnego dnia, że jest w krainie cudów. Pustynia się iskrzyła. Wgłębienia po wyschniętej wodzie tworzyły w piasku depresje w kształcie spodków, wypełnione złożami lśniących jak szkło i mieniących się wszystkimi kolorami tęczy minerałów. Niecki soli błyszcząły, odbijając blask rozżarzonego nieba. Joanna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oto wróciła do samego początku dziejów świata – do Czasu Snów.

Słońce wyłoniło się w końcu zza chmur i Joanna, posługując się zegarkiem, ustaliła swoje położenie. Okazało się, że szła w kierunku wschodnim, coraz bardziej zagłębiając się w Wielką Pustynię Wiktorii. A jednak wiedziała, że nie ma odwrotu. Za sobą zostawiła pustkowia, w którym nietrudno się było zagubić. Czuła, że dopóki się trzyma szlakupieśni, jest bezpieczna.

Odbierała działanie rozmaitych sił, nie tylko szlaku-pieśni Djoogala. Tędy przechodzili kiedyś jej dziadkowie wraz ze swoimi nadziejami. Tą drogą Reenadeena wyprowadziła małą Emily z niebezpieczeństwa. Joanna nie była już samotna. Wraz z nią podążały duchy...

Piętnastego dnia przemierzania szlaku łączącego Miejsca Snów Kangura, gdy za pomocą soczewki rozpałała ognisko, chcąc upiec coś do zjedzenia, padł na nią cień. Podniosła wzrok. Słońce przesłaniała sylwetka człowieka z dzidą w dłoni.

Joanna powoli wstała z ziemi. Spostrzegła za plecami Aborygena grupę innych, również uzbrojonych wojowników. Byli nadzy, skórę mieli posmarowaną tłuszczem i popiołem, a wokół bioder nosili przepaski z włosów, podobne do tej, jaką Sara zrobiła przed wielu laty podczas epidemii tyfusu. Przyglądali się Joannie, twarze mieli bez wyrazu.

– Jesteście z klanu Djoogala? – spytała. Nie odpowiedzieli.

– Karra Karra? Nadal milczeli.

Panował upał. Pustynia ciągnęła się w nieskończoność. Joanna poczuła zapach pieczonych gąsienic i przypomniała sobie, jak smakują na surowo. Powróciły wspomnienia o tym, jak schwytała i zjadła jaszczurkę, jak wysysała gorzką wodę z korzeni akacji, choć były oblepione ziemią, i nie miała serwetki, w którą by mogła wytrzeć ręce. Zupełnie nie dziwił jej fakt, że oto stoi tutaj w tym nie znanym otoczeniu, patrząc w głęboko osadzone, czerwono-brązowe oczy Aborygena, i w ogóle nie odczuwa strachu.

Mężczyźni odwrócili się bez słowa i zaczęli się oddalać.

Zrozumiała, że powinna pójść za nimi. Prędko chwyciła marynarkę kapitana Fieldinga ze skórzaną teczką wewnątrz i podążyła w ślad za Aborygenami.

Gdy dotarli do obozowiska, słońce było płynnym dyskiem na zachodnim horyzoncie. Przed oczami Joanny pojawiły się szałaszy zbudowane z konarów eukaliptusa. Nie mogła się nadziwić, że nie odczuwa lęku. W zdumienie wprawiał ją też fakt, że Aborygeni obojętnie reagują na jej widok. Przechodziła obok kobiet, które zajmowały się gotowaniem, sprawianiem zwierząt oraz niańczeniem niemowląt, a one uśmiechały się do niej, jak gdyby obecność wśród nich białej niewiasty była czymś zupełnie naturalnym. One również były nagie. Joanna zauważyła, że tylko kilka młodych dziewcząt nosi spódnice z piór papug kakadu. Joanna poczuła się zakłopotana z powodu własnej lnianej bluzki, długiej spódnicy oraz butów z wysokimi cholewkami.

Mężczyźni zatrzymali się, odwrócili w jej stronę, a idący na czele Aborygen wyciągnął dzidę. Joanna spojrzała we wskazanym kierunku. Zobaczyła młodą białą dziewczynę leżącą nad krawędzią wgłębienia w ziemi, z którego unosiły się kłęby pary.

– Beth! – krzyknęła, podbiegając do córki.

Dziewczyna skórę miała spaloną słońcem. Była nieprzytomna. Joanna dotknęła jej czoła i stwierdziła, że jest rozpalone. Widywała już przedtem tę szokującą, łatwą do rozpoznania błądź cery – w czasie epidemii tyfusu i na twarzy zmarłego kapitana Fieldinga. Kiedy wzięła córkę w ramiona i mocno przytuliła do siebie, jedna z kobiet, która najwidoczniej opiekowała się chorą, powiedziała coś do niej w niezrozumiałym języku.

„Przybyłam poniewczasie – pomyślała Joanna. – Spóźniłam się. „

## ROZDZIAŁ 29

Sara była na oszklonej werandzie. Przygotowywała maści z żywokostu i nagietka. Otaczały ją pnącza winorośli, małe drzewa, krzewy oraz zioła w glinianych donicach. W powietrzu unosił się intensywny zapach ilów i kompostu, zagłuszający delikatną woń rozmarynu i olejku cytralowego, a także mocny aromat stopionego pszczelego wosku. Kiedy przed sześcioma miesiącami Joanna wyjeżdżała do Australii Zachodniej, Sara obiecała, że zaopiekuje się jej zielarskim ogrodem i zadba o zapasy leków. Pracowała tutaj codziennie – pielęgnowała sadzonki, przycinała i przesadzała rośliny, zbierała liście, łodygi i korzenie.

Myślała często o Joannie i Beth. I zastanawiała się, czy Joanna, nie mogąc się doczekać męża, zdecyduje się przyjechać do domu. Hugh wiele tygodni temu miał wrócić do Kalagandry, a tymczasem wciąż tkwił w Merindzie, starając się opanować infekcję, która nosiła już znamiona epidemii.

Sprawdzając konsystencję rozpuszczonego pszczelego wosku, przerwała nagle pracę. Jej ręce, jak gdyby wiedzione własnym instynktem, znieruchomiały niespodziewanie. Spojrzała przez oszkloną ścianę na srebrzące się pomiędzy drzewami zakole rzeki i pomyślała: „Philip wraca”.

Zgasiła płomień pod woskiem, zdjęła fartuch i pospiesznie udała się do swojej sypialni, gdzie poprawiła włosy i oczyściła spódnice z przyczepionych liści i drobnych kwiatowych płatków. Szybko zmieniła roboczą perkalową bluzkę na jedwabną w jasnobłękitnym kolorze. Stwierdziła, że drżą jej ręce. Zawsze z utęsknieniem wyczekiwała spotkań z Philipem, choć napępiały ją lękiem. Od czasu jego powrotu do Australii widywali się potajemnie. Sara wiedziała, że dla dobra jego kariery zawodowej muszą być ostrożni. Służący lubili plotkować, podobnie jak parobcy. Przecież było powszechnie wiadomo, że Philip jest żonaty. Od spotkania nad rzeką ani razu nie kochali się już ze sobą.

Na szczęście Philip był bardzo zajęty. Otrzymał zamówienia na wybudowanie rezydencji Cameronom i McCloudom, a to wymagało częstych wyjazdów do Melbourne na narady z dostawcami i ciągłej obecności w cegielniach oraz w składach drewna. Kilka razy przyjechał do Merindy na kolację, potem zwykle we trójkę z Hughiem wybierali się na koncerty do parku w Cameron Town. Ale wtedy nie mieli okazji spotykać się sam na sam.

A teraz przybywał nie zapowiedziany do Merindy. Sara wyczuwała jego obecność na podjeździe; niemal widziała, jak jest ubrany.

Zbiegła do holu i otworzyła drzwi, zanim jeszcze zdążył zapukać.

Nie mogli oderwać od siebie oczu.

– Dzień dobry, Saro – powitał ją z uśmiechem.

– Proszę, wejdź. Miło cię znowu widzieć.

Zdjął kapelusz i rozejrzał się po korytarzu. A potem pocałował ją w policzek, pragnąc przedłużyć tę pieszczotę. Przyglądał się jej przez długą chwilę i powiedział cicho:

– Ślicznie wyglądasz. Co u ciebie?

Ogarnęła wzrokiem jego wysoką sylwetkę i zapragnęła go boleśnie.

– Przez cały czas myślę tylko o tobie.

– Próbuję się trzymać z dala od Merindy. Ale nie mogę się skupić na pracy. Moje myśli uparcie wciąż powracają do ciebie. Chciałbym być z tobą. O niczym innym nie marzę.

– Ani ja – rzekła, dotykając jego ramienia.

– Zajrzałem tu, by cię zawiadomić, że dzisiaj otrzymałem list od Alice. Wciąż się nie zgadza na rozwód. Nie chce, bym do niej wracał, lecz obawia się, że formalne rozwiązanie małżeństwa zrani Daniela. Obiecała, że porozmawiamy o tym, gdy chłopiec będzie starszy.

Sara skinęła głową ze zrozumieniem – społeczeństwo piętnowało rozwiedzione kobiety. W pełni pojmowała też własną niewesołą sytuację – była przecież kochanką żonatego mężczyzny.

– A co u Hugh’a? – spytał Philip, żałując, że nie może porozmawiać z nią o czym innym.

– Biwakuje na północnej granicy posiadłości – odparła. – Od trzech dni nie było go w domu.

– Infekcja nie została jeszcze opanowana, prawda?

– Obawiam się, że nie.

– Jadąc tutaj, spotkałem po drodze pana Ormsby’ego. Powiedział, że straci Strathfield, jeśli epidemia dłużej potrwa.

– Słyszałam o tym – rzekła.

Ponownie umilkli. W salonie zegar wybił godzinę.

– Możesz pojechać do Hugh’a, jeśli masz ochotę – zasugerowała. – Twoja wizyta sprawi mu radość.

– Chyba rzeczywiście się do niego wybiorę. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę. – Gdy odbierałem dzisiaj rano na poczcie korespondencję, urzędniczka poprosiła mnie, żebym doręczył tę przesyłkę Hughowi.

Przeczytała zwrotny adres. Nadawcą listu był komisarz Fox z Australii Zachodniej.

– Nadszedł z Kalagandry. I nie został napisany przez Joannę. Pewnie stało się coś złego, Philipie. Przeczuwałam to od wielu tygodni. Musimy natychmiast doręczyć ten list Hughowi.

Hugh odłożył pióro i wyjrzał przez okno namiotu. Przez chwilę przyglądał się parobkom, którzy siedzieli przy ognisku, pijąc herbatę z menażki. Doszedł do wniosku, że otoczenie przywodzi na myśl obóz wojskowy, a jego ludzie – żołnierzy. Każdego dnia jeździli na przegląd owiec, zabijali i grzebali chore sztuki, wybierali te, które jeszcze można było uratować, i poddawali je kąpielom. Wracali do obozu strudzeni i brudni, wypijali mocną herbatę, zjadali kanapki przygotowane przez PingLi i znowu odjeżdżali, żeby stoczyć kolejną bitwę w tej wojnie. Hugh był już skrajnie znużony.

Tak jak się tego obawiał trzy miesiące temu, wraz z nadejściem ciepłej pogody straszliwe roje much plujek zaatakowały zachodnie równiny. W całej południowoschodniej Australii owce zdychały tysiącami, a hodowcy od Adelajdy po granicę Queenslandu usiłowali znaleźć sposób na opanowanie epidemii.

Hugh podniósł pióro, aby kontynuować zapiski. W przelocie spojrzął na stojące na blacie zdjęcie Joanny. Boże! Jak on za nią tęsknił! Regularnie pisywał do żony, informując o przebiegu nie kończącej się wojny z inwazją much, lecz od Joanny nie nadchodziły żadne

wiadomości. Z gazet dowiedział się o burzach w Bight i o zatonięciu wiozących pocztę statków. Doszły go też słuchy o strajku marynarzy, który sparaliżował transport pasażerski i handlowy wzdłuż południowych wybrzeży Australii. Hugh zdawał sobie sprawę, że na telegrafii nie można polegać. Pożary buszu trawiły linie, a zdarzało się też, że słupy telegraficzne niszczyli Aborygeni.

„Wkrótce do ciebie przyjadę, kochana” – pomyślał Hugh, sądząc, że Joanna czeka na niego w hotelu „Złoty Wiek”.

I powrócił do swojego dziennika, który zaczynał przypominać kronikę niepowodzeń:

„Dwuletnie samice wykąpane w tytoniu i siarce nadal są zakażone jajami pasożytów.

Trzeci tydzień epidemii. Stado skopów chore po kąpielach w roztworze wapna i siarki. John Reed podejrzewa zatrucie układu oddechowego zwierząt. Przerwywamy próbę.

Piąty tydzień. Eksperymenty z użyciem wody o wysokiej temperaturze. Stwierdzono, że zabieg odtłuszcza wełnę, a tym samym ją niszczy. Następnym razem postaramy się nieco obniżyć temperaturę kąpielach, chociaż Ian Hamilton już próbował tego samego bez powodzenia.

Ósmy tydzień. Angus McCloud poinformował o eksperymentalnym leku, jaki zastosował na sześciomiesięcznych jagniętach. Stwierdził, że plami wełnę. A muchy żyją w niej nadal.

Dziesiąty tydzień. Frank Downs doniósł o katastrofalnych stratach w Lismore.

Jedenasty tydzień. Stado tryków w Merindzie zakażone. Będę zmuszony je zniszczyć”.

Hugh wziął do ręki pióro i napisał:

„Dwunasty tydzień. Jestem przekonany, że zielona mucha plujka rozmnaża się wyłącznie na żyjącej owcy. I dlatego niepowodzenia w opanowaniu infekcji wynikają stąd, że do tej pory koncentrowano wysiłki na zminimalizowaniu jej zasięgu. Tymczasem trzeba znaleźć metodę, która pozwoli przerwać cykl życia pasożyta”.

Obrzucił wzrokiem stojące rzędem na półce słoiki z nalepkami: „Jednodniowe jaja muchy”, „Poczwarka muchy”, „Larwy znalezione w runie owiec”. Zawierały próbki pobrane od owiec hodowanych w Merindzie i poddanych tradycyjnym owadobójczym kąpielom, które jak dotąd okazały się nieskuteczne.

Notował dalej:

„Sprawdźmy rezultaty eksperymentalnej kąpielach w roztworze arseniku”.

Kiedy ogłosił swój plan zastosowania radykalnej metody leczenia arsenikiem, niektórzy z hodowców próbowali odwieść go od tego zamiaru. „Chyba zbyt ryzykujesz – rzekł Ian Hamilton. – Arsenik to środek bardzo niebezpieczny. Może stać się przyczyną jeszcze poważniejszej choroby wśród owiec niż ta, którą wywołują muchy. Trzeba też myśleć o postrzygaczach. Nie tkną wełny, jeśli się dowiedzą, że jest zatruta. „

Hugh uznał jednak, że nadszedł czas, aby podjąć ryzyko. Podczas ubiegłych trzech miesięcy dokonał kilku bardzo istotnych spostrzeżeń. Między innymi stwierdził, że jedna mucha składa aż dwa tysiące jaj. Wiedział, że jeśli podczas następnego ocieplenia ze wszystkich złożonych jaj wylęgną się larwy, inwazja owadów przybierze takie rozmiary, że już nikt nie zdoła zapobiec katastrofie i wyginięciu owiec.

Spojrzał na worki z wełną ułożone pod jedną ze ścian namiotu. Do każdego była



dołączona etykieta: „Stado tryków, tytoń i siarka, 10 lipca 1886 roku”; „Skopy czyszczone substancjami żrącymi, 30 czerwca 1886 roku”. Żadna z tych metod nie okazała się skuteczna. I dlatego dwa tygodnie temu Hugh postanowił poddać kilka zwierząt wysoce ryzykownej kąpieli w arseniku. Jacko właśnie przyniósł przed chwilą próbki wełny.

Hugh sięgnął po worek oznakowany: „Wycofane ze stada samice, zagroda północna, roztwór arseniku 12%”. Owce te przekroczyły już wiek rozrodczy i trzymano je na farmie, by pełniły funkcję przybranych matek osieroconych jagniąt. Hugh wyjął próbki runa z worka i zaczął badać je pod mikroskopem.

Przekręcił lusterko, żeby schwytać więcej światła. Nastawił ostrość. Powiększone włókna wypełniły pole widzenia. Przez soczewki o coraz większej mocy uważnie oglądał pobrany materiał.

Nie dostrzegł w nim śladu obecności muchy.

Wyjął z worka kolejną próbkę, która pochodziła od innego zwierzęcia z tego samego stada. Była zupełnie czysta.

Arszenik zadziałał.

Hugh wybiegł z namiotu z zamiarem przywołania Jacko. Zdumiał się na widok zajeżdżającej pod obóz bryczki.

– Mamy dla ciebie list, nadszedł dzisiaj – rzekła Sara. – Philip go przywiózł. Pomyśleliśmy, że zawiera jakieś ważne wiadomości.

Hugh otworzył kopertę i zaczął czytać:

„Szanowny Panie Westbrook! Poinformowano nas właśnie, że została uszkodzona linia telegraficzna w pobliżu granicy z Australią Południową. Zapewne nie dotarły do Pana przekazywane przeze mnie wcześniej wiadomości, dlatego postanowiłem napisać ten list. Spoczywa na mnie smutny obowiązek powiadomienia Pana, że 6 maja Pańska żona zdecydowała się wyruszyć na pustynię w towarzystwie córki, pana Erica Grahama, kapitana Fieldinga i czarnoskórego przewodnika. Członkowie wyprawy najprawdopodobniej zginęli w czasie oberwania chmury. Ocalał jedynie Erie Graham, którego stan zdrowia oceniany jest jako krytyczny. Pani Westbrook z córką ani nikt z pozostałych członków wyprawy nie zostali odnalezieni”.

Hugh patrzył tępo w list. Ponownie go przeczytał.

– Mój Boże – szepnęła. – Mój Boże, Saro...

– Co się stało? – Odebrała mu list i pospiesznie przebiegła wzrokiem jego treść. – Och, nie...

Położyła rękę na ramieniu Hugh'a.

– Joanna żyje, Hugh. Czuję to. Wiedziałybym, gdyby umarła. Ale zagraża jej wielkie niebezpieczeństwo. Musimy niezwłocznie ją odnaleźć.

Judd MacGregor pracował przy biurku ojca w jego gabinecie. Już się nie bał tego pokoju; duchy opuściły go wraz z Colinem. Rozległo się pukanie do drzwi i pojawiła się w nich Paulina.

– Dzień dobry, mamó – rzekł Judd. – ślicznie dzisiaj wyglądasz.

Uśmiechnęła się, wkładając rękawiczki.

– Dziękuję ci, Judd. Wybieram się do Lismore w odwiedziny do Franka. Pozostało jeszcze kilka problemów do rozwiązania, nim będę mogła odzyskać prawo do Kilmarnock. Nad czym tak ciężko pracujesz?

– No cóż, doszedłem do wniosku, że skoro nie zdołamy uratować reszty stada z powodu infekcji, zaorajmy pastwiska. Wpadłem na pomysł, żeby przekształcić Kilmarnock w farmę uprawy pszenicy. Produkcja tego zboża jest teraz bardzo dochodowa. Wujek Frank podarował mi w ubiegłym roku z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin udziały w kopalni srebra w Broken Hill, pamiętasz? Czy sądzisz, że byłoby mu przykro, gdybym je sprzedał?

– Przecież należą do ciebie. A więc myślisz o uprawie pszenicy. Chyba podoba mi się ten pomysł.

– Wymaga niewielkich początkowych nakładów finansowych, jest o wiele mniej pracochłonna i przynosi większe zyski. Szczególnie gdy zasieję nowy, wyhodowany przeze mnie gatunek pszenicy przystosowany do suchej strefy klimatycznej.

Z ożywieniem przedstawiał swój plan. Paulina uświadomiła sobie, że Judd pod wieloma względami przypomina jej męża – był uparty i oddany własnym marzeniom, ale w jego charakterze dawała się też zauważyć łagodność, którą odziedziczył po zmarłej przed czternastoma laty matce, Christinie.

– Wróć na kolację – pocałowała go w policzek. – Poprosiłam Jenny, żeby zrobiła dzisiaj twój ulubiony pudding.

Gdy była już w drzwiach, dobiegły ją słowa Judda:

– On nigdy cię nie doceniał, prawda? Uśmiechnęła się smutno.

– Sądzę, że doceniał, na swój sposób...

– Myślisz, że kiedyś do nas wróci?

– Nie wiem, Judd.

– Kilmarnock będzie wtedy należało do ciebie. Pozwolisz ojcu wrócić?

– Na to pytanie również nie potrafię odpowiedzieć. Paulina wolała nie zastanawiać się nad tym, co chowa dla niej w zanadru przyszłość. Postanowiła żyć dalej swoim życiem, nie zważając na to, co myślą o tym jej przyjaciele. Sama niejednokrotnie była świadkiem, jak ludzie obarczają kobietę winą za odejście męża. Paulina nie traktowała jednak decyzji o wyjeździe Colina za równoznaczną z porzuceniem jej. Uciekł, ponieważ się wstydził własnych błędów. Sądził, że jeśli powróci do zamku swoich przodków w Szkocji, zdoła ocalić choć odrobinę szacunku dla samego siebie. Nie mogła winić go za pragnienie wyrwania się z więzów małżeństwa, do którego nigdy nie powinni byli dopuścić, i uniknięcia skutków bankructwa. Paulina nie zamknęła się w czterech ścianach, bywała na przyjęciach i choć ludzie posyłali jej litościwe spojrzenia, chodziła z wysoko uniesioną głową. Nie chciała rezygnować z Kilmarnock. Wykorzystała własne odziedziczone po rodzicach pieniądze i przy pomocy finansowej Franka spłaciła długi Colina. Teraz tutaj był jej dom i nie zamierzała go nigdy opuścić.

– Odtąd wszystko się dobrze ułoży, mamó – rzekł Judd. – Zobaczysz.

Sięgając do klamki, pomyślała o cudzie, jaki się dokonał, kiedy przestała uważać Judda za dziecko innej kobiety. Zamierzała coś jeszcze powiedzieć, gdy dobiegł ją głos:

– Ach, tutaj jesteście!

Odwrociła się zaskoczona i zobaczyła Franka.

– Właśnie wybierałam się do ciebie do Lismore – powiedziała.

– Tak, wiem. Muszę jednak natychmiast pojechać do Merindy. Wpadłem po drodze, by cię zawiadomić, że innym razem porozmawiamy o interesach.

– Co się stało w Merindzie?

– Wygląda na to, że Joanna znalazła się w poważnych kłopotach. Hugh zwrócił się do mnie o pomoc.

– Co to za kłopoty?

– Nie wyjaśnił tego w liście. Ale to pilna sprawa.

– Jadę razem z tobą – zdecydowała Paulina. Judd sięgnął po marynarke.

– Ja też będę wam towarzyszył.

Gdy zmiierzali podjazdem w stronę domu, Frank zauważył:

– To koń Reeda.

– A czy tamten powóz nie należy przypadkiem do Hamiltonów? – spytała Paulina. – Hugh najwyraźniej wszystkich sąsiadów poprosił o pomoc.

– A zatem to naprawdę poważna sprawa – rzekł Frank, pomagając siostrze wysiąść z powozu.

Zdziwili się, widząc w salonie tłum gości. Wśród nich był nawet obecny Ezekiel ze swoją długą, siwą i zatkniętą za pas krzaczastą brodą. Dobiegły ich słowa Aborygena:

– Wciąż jeszcze mam bystry wzrok. Niech pan mnie zabierze ze sobą. Odnajdę panią.

– Dziękuję, Ezekielu – powiedział Hugh. – Doceniam twoją gotowość niesienia pomocy.

Paulina patrzyła na gospodarza ze zdziwieniem. Był nie uczesany i choć zaprosił tylu gości, nie ubrał się wizytowo. A w jego oczach i w głosie krył się nowy, dotychczas nie znany jej wyraz.

– Co się stało, Hugh? – spytała.

Powiedział jej o liście od komisarza Foxa i o tym, jak próbował wysłać telegram do Australii Zachodniej. A kiedy się dowiedział w urzędzie telegraficznym w Cameron Town, że linia nadal jest uszkodzona, postanowił zorganizować wyprawę ratunkową w głąb kontynentu.

– To dla mnie niewielki kłopot – stwierdził Frank. – Mam duże doświadczenie w wyprawianiu ekspedycji na pustynię. Tym razem nie przewiduję jednak udziału żadnych reporterów. Zamierzam towarzyszyć ci osobiście. Jeśli Erie Graham umrze, nigdy sobie tego nie wybaczę.

– A co z pańską córką, panie Westbrook? – wtrącił Judd.

– Przecież Beth również pojechała do Australii Zachodniej, prawda?

– Ona też znajduje się na liście zaginionych. – Hugh z trudem wydobywał z siebie słowa.

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym wziąć udział w poszukiwaniach – zaproponował młody MacGregor.

Hugh pokręcił przecząco głową.

– Będzie lepiej dla nas wszystkich, Judd, jeśli zostaniesz na miejscu. Mój eksperyment z kapielą w roztworze arseniku zakończył się sukcesem. Trzeba zawiadomić o tym innych

hodowców. Może zdołają jeszcze uratować swoje owce. Jesteś najbardziej odpowiednią osobą do tej roboty, Judd. Znasz recepturę, którą zastosowałem, i cieszysz się zaufaniem farmerów. Ciebie posłuchają.

Później, gdy już wszystkie plany zostały opracowane, gdy goście porozjeżdżali się do domów, a nad Merindą zapadła złowróźbna cisza, Sara podeszła do Hugh'a.

- Pojadę razem z tobą do Australii Zachodniej – oznajmiła.
- Pomogę ci odnaleźć Joannę i Beth.

## ROZDZIAŁ 30

- Co się dzieje, mamó? – spytała Beth. – Krajowcy jakoś dziwnie się dzisiaj zachowują.
- Tak, ja też to zauważyłam.

Joanna przesłoniła oczy i zmierzyła wzrokiem zachodni horyzont, tak jak to przywykła robić od pięciu miesięcy spędzonych razem z Beth wśród Aborygenów. Ale i tym razem niczego nie zauważyła – ani ludzi, ani wielbłądów. Jak okiem sięgnąć aż do widnokregu ciągnęła się czerwona pustynia. Joanna nie traciła jednak nadziei, że zostaną uratowane. Wierzyła, że Hugh je w końcu odnajdzie.

- Chyba się nie boisz, kochanie? – zapytała córkę.

– Kobiety są wyraźnie czymś poruszone i ożywione. Nigdy dotychczas tak się nie zachowywały. Chyba nas tu nie zostawią, jak myślisz, mamó? Marzę o tym, żeby tata nas wreszcie odnalazł. Pragnę wrócić do domu.

Gdy tylko Beth odzyskała siły, Joanna odbyła naradę ze starszyzną plemienną, w nadziei że Aborygeni pomogą im wrócić do cywilizowanego świata. Lecz oni nieubłaganie podążali szlakiem prowadzącym na wschód, ciągnąc na miejsce zbiórki, gdzie mieli uczestniczyć w jakimś ważnym plemiennym obrzędzie. Za nic nie można ich było nakłonić, aby zmienili kierunek marszruty na zachodni. Odmówili także przydzielenia Joannie eskorty. A kiedy zasugerowała, że obie z Beth wrócą na własną rękę, przypomnieli jej, że od Kalagandry dzielą je setki kilometrów nieprzyjaznych człowiekowi pustkowi. We dwie nie miały tam szans na przeżycie. Stara Naliandra, która zwykle siedziała w kucki przy swoim ognisku i której rad słuchali wszyscy członkowie plemienia, zapewniła Joannę, że klan zaraz po obrzędzie ponownie wyruszy na zachód i pomoże im wrócić do swoich. Naliandra była bardzo mądra. Starszyzna plemienna przed polowaniem zawsze zasięgała jej opinii, zakochane dziewczęta prosiły ją o amulety miłości, a bezpłodne kobiety wdychały dym z jej magicznego ogniska wierząc, że zajdą w ciążę. Ze swojego miejsca przy ogniu staruszka kojarzyła nawet małżeństwa. Miała długie siwe włosy, a w jej przenikliwym i zawsze utkwionym w rozmówcy wzroku kryła się mądrość i ogromne zrozumienie praw rządzących światem.

Joanna, żyjąc wśród klanu i podążając przez wiele dni obranym przez niego szlakiem, zastanawiała się, kiedy dotrą do celu, z którego nastąpi odwrót. Był koniec listopada i Hugh z pewnością wyruszył już na poszukiwanie ich ekspedycji. Joanna w dalszym ciągu zostawiała za sobą ślady, znacząc miejsca obozowisk i układając kamienie tak, by wskazywały kierunek ich marszu. Codziennie sprawdzała kompas. Im dalej posuwali się na wschód, tym igła stawała się bardziej kapryśna. Obecnie biwakowali w miejscu zwanym Woonana, co w języku Aborygenów oznaczało: „pastwiska młodych kangurów”. Ponieważ nazwa odpowiadała prawdzie, wszyscy najedli się tam do syta. W czasie gdy mężczyźni zajmowali się polowaniem, kobiety wypełniały swoje nie kończące się zadanie zbierania pożywienia, w którym Joanna i Beth jak zwykle im pomagały.

Joannę dobiegł z tyłu nagły wybuch śmiechu. Obejrzała się i zobaczyła jak Coonawarra, młoda wdowa, przedrzeźnia starego Yolgerupa, wodza plemienia. Starzec miał zwyczaj

przybierania srogiej miny i wydawania z siebie groźnych pomruków. Joanna przekonała się jednak, że jest łagodny niczym rozleniwiony kot. Wszyscy kochali Yolgerupa, a żarty kobiet były jedynie dowodem sympatii. Coonawarra, której imię znaczyło „kapryfolium”, stąpając dumnie i postukując w ziemię patykiem, pochrząkiwała z niezadowoleniem, tak jak zwykł to robić stary wódz, ilekroć pragnął przypomnieć klanowi o własnym statusie. Chwilę potem młoda Aborygenka usiadła na ziemi i naśladowała starca, pozorując zabawę z dziećmi.

Kobiety piszczwały z uciechy, opatrując scenki niezrozumiałymi komentarzami. Przebywając wśród ludzi Yolgerupa, Joanna zdołała się nauczyć zaledwie kilku słów. Język Aborygenów był bardzo złożony i trudny. Na szczęście Naliandra, która opiekowała się Beth w chorobie, spędziła dzieciństwo w chrześcijańskiej misji i mówiła słabo po angielsku. Joanna zawdzięczała jej odrobinę wiedzy o ludziach, wśród których żyła.

Pewnego dnia jeden z młodych członków klanu wrócił z polowania ze złamaną ręką. Stara Naliandra zdjęła skórę z kangura i przyłożyła ją wewnętrzną, zakrwawioną stroną do ciała rannego, owinęła nią mocno kończynę i zawiązała sznurkiem. Tak sporządzony opatrunek pozostawiła na wiele tygodni, podczas których, jak wyjaśniła Joannie, duch kangura przechodził do ręki i ją leczył. W rzeczywistości był to rodzaj łupek unieruchamiających kończynę i umożliwiających zrośnięcie się złamania.

Naliandra zapoznała również Joannę z wieloma prawami i zwyczajami, jakimi kierowali się w codziennym życiu członkowie plemienia – od zakazu wypowiedzania na głos imion zmarłych po ceremonię zaślubin. Zawieranie małżeństwa ograniczało się do publicznego ogłoszenia przez kobietę, że wybrany mężczyzna staje się jej mężem. „Czy twój mąż ma inne żony?”

– zapytała kiedyś Joannę Naliandra, wyjaśniając, że Aborygen może mieć ich kilka. „Ilu masz mężów?” – zagadnęła ją innym razem, tłumacząc, że w ich klanie dziewczyna wychodzi za mąż, kiedy ma dziesięć lat, ale mężczyzna żeni się po raz pierwszy dopiero w średnim wieku. Nic więc dziwnego, że kobieta w wieku Joanny zwykle miała już za sobą kilka związków.

Inne pojęcia okazały się jednak bardziej złożone i trudniejsze do zrozumienia, jak choćby sposób pojmowania przez Aborygenów czasu. Ich życie toczyło się wokół Czasu Snu, który – jak odkryła Joanna – trwa nie tylko w przeszłości, lecz także w teraźniejszości i w przyszłości. Członkowie klanu nie mieli w swoim języku określenia na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; wszystko było dla nich Czasem Snu. Nie znali odpowiedników na „wczoraj”, „dzisiaj” i „jutro”. Zastępowało je jedno słowo: *punjara*, które oznaczało „inny dzień”.

Wszelkie prawa rządzące ich życiem były zaczerpnięte z przyrody, jak sposób liczenia. Nie potrzebowali liczebników. Zastępowały je nazwy zwierząt. I tak słowo „pies” oznaczało liczbę cztery z powodu czterech łap tego zwierzęcia, „ptak” – liczbę „dwa”, a „kangur” – „trzy”.

Joanna dowiedziała się, że Aborygeni uważają śmierć za kolejny etap życia. Człowiek w ich pojęciu nie umierał, tylko „wracał”. Umrzeć, znaczyło stać się Przodkiem. Kiedy Joanna zapytana przez Naliandrę o Miejsce swojego Snu nie potrafiła udzielić jej odpowiedzi,

kobieta ze smutkiem pokiwała głową: „To dokąd się uda po śmierci twoja dusza?”

Joanna stwierdziła też, że kobiety z plemienia Yolgerupa nazywają siebie córkami Czasu Snu.

Aborygenki z kolei były zafascynowane Joanną. Widziały, jak podążała szlakiem-pieśnią Pierwszego Kangura, i ze zrozumieniem przyjęły informację, że jej totemem jest Kangur. Najwidoczniej doszły do wniosku, że jest skoligaconą z ich klanem, a upiorny, w ich mniemaniu, kolor jej skóry wynika z tego, że Joanną zawładnęły duchy Przodków.

Jako że uznały ją za krewniaczkę, wyjawiały swoje sekrety, odpowiadając na pytania o duchowe więzi pomiędzy matkami i córkami oraz o szlaki-pieśni łączące pokolenia. Bez skrępowania opowiadały o swoich rytuałach związanych z ziemią, o czytaniu z gwiazd i przepowiadaniu przyszłości, a także o sposobach leczenia.

Ale na pytania Joanny dotyczące klanu Djoogała lub Karra Karra milkły nagle, a ich twarze stawały się pozbawionymi wyrazu maskami.

Obserwując zabawiającą błazeństwami inne kobiety Coonawarrę, Joanna zwróciła się do Beth:

– Wydają się weselsze niż zazwyczaj. Myślę, że nie mamy się czego obawiać.

Ale Beth nie spuszczała z Aborygenek oka. Może i były bardziej radosne, ale także bardziej zdenerwowane. „Co je niepokoi?” – zastanawiała się.

Joanna przyglądała się młodej dziewczynie o imieniu WinningArra, która przyłączyła się do błazeństw i uderzając w ziemię patykiem niczym dzidą, naśladowała jednego z członków klanu, doprowadzając tym kobiety do śmiechu. Joanna zatrzymała wzrok na koszach, które Aborygenki dźwigały na plecach. Po raz kolejny nie mogła się nadziwić ich umiejętnościom wyszukiwania żywności na tej pozornie pozbawionej życia ziemi. Pomyślała o ludzkim szkielecie, który napotkała w czasie swojej wędrówki. Tamten człowiek umarł z głodu, gdyż niewątpliwie sądził, że na pustyni nie znajdzie pożywienia. Aborygenkom udawało się codziennie zgromadzić wiele korzeni, nasion, dzikich orzechów i jagód, mrówek, gąsienic i jaszczurek – a z tego wszystkiego potrafiły przyrządzić smakowitą ucztę dla klanu. Obecnie przebywały w samym sercu rozległej i skwarnej pustyni, gdzie powietrze i ziemia były rozpalone i suche, a drzewa sięgały człowiekowi do pasa. A pomimo to Coonawarra miała przyczepione do przepaski z ludzkich włosów na biodrach setki tłustych, wijących się larw, które po upieczeniu przypominały w smaku orzechy laskowe. WinningArra upolowała dwie dorodne jaszczurki, a inne kobiety dumnie pokazywały sobie szczury, węże i schwymane w sidła ptaki. Dzisiejszego wieczoru zapowiadała się wspaniała biesiada.

Joanna w zafascynowaniu przyglądała się swojej nowej „rodzinie”. Z wyjątkiem starej Naliandry, do której obowiązków należało pozostanie w obozie i pilnowanie ognia, wszystkie kobiety zajmowały się gromadzeniem żywności – od najstarszej prababki po małe dziecko jeszcze karmione piersią. Były wśród nich dziewczyny w wieku dojrzewania o zadziwiająco długich i chudych kończynach, gibkie młode niewiasty o płynnych, wdzięcznych ruchach, młode matki i wiekowe matrony – staruszki, które po długim życiu spędzonym pomiędzy rozpalonym piaskiem a słońcem wyglądem przypominały wyschnięte mumie. Ich skórę zdobiły plemienne blizny. Nosiły naszyjniki i przepaski zrobione z ludzkich włosów, piór

oraz kłów dingo, a jeśli zdobytą w danym dniu żywność miała dla nich jakieś szczególne religijne znaczenie, malowały ciała w rozmaite wzory.

Joanna dostrzegała silną więź pomiędzy kobietami należącymi do różnych generacji. Najmniejsza dziewczynka, patrząc na siwowłosą przygarbioną staruszkę grzebiącą patykami w ziemi, dostrzegała cały ród, z którego się wywodziła. Może dlatego ludziom tym nie były potrzebne słowa na wyrażenie przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. Wszyscy byli zawsze obecni; teraz i tutaj.

Joanna spozrzała na stojącą obok niej Beth. Zrobiło się jej przykro, że dziewczynka nie znała swojej babki, lady Emily, ani prababki, Naomi Makepeace. Córka miała tak jak i one bujne ciemne włosy, dumne czoło oraz gęste rzęsy. I wszystko wskazywało na to, że będzie wysoka. Dwa miesiące temu obchodziła trzynaste urodziny i stawiała się śliczną panną. Podobnie jak Joanna wciąż chodziła w stroju Europejki, ale jej spódnica i bluzka były już mocno znoszone. Długie włosy nosiła rozpuszczone, tak jak Aborygenki, i miała pociemniałą od słońca skórę.

Teraz wyglądała już zdrowo, lecz jej rekonwalescencja trwała długo. Joanna obawiała się, że córka nie przeżyje, ale Naiandra dokonała cudu. Kiedy Joanna zapytała ją o lecznicze właściwości korzeni i jagód, którymi karmiła Beth, kobieta wyjaśniła, że córkę uzdrowiła potęga Tęczowego Węża – stwórcy wszystkich rzek i zbiorników wodnych na ziemi, oraz moc Wszechobecnej Matki w niebie – rodzicielki wszystkiego stworzenia – a nie korzenie i jagody. Wykonywanie najprostszych czynności, takich jak mówienie, jedzenie czy picie, pochłaniało na początku całą energię Beth; po tygodniu dziewczynka mogła usiąść o własnych siłach. Dużo czasu upłynęło jednak, zanim zdołała wstać i zrobić pierwsze kroki.

Joanna wciąż myślała o zastanawiającym zachowaniu kobiet. Chociaż śmiech i błazenada zwykle towarzyszyły zbieraniu pożywienia, ich przesadna gestykulacja i piskliwe krzyki świadczyły o tym, że dzisiejszy dzień różni się od stu pięćdziesięciu poprzednich spędzonych wśród ludzi klanu. Aborygenki sprawiały wrażenie nadmiernie pobudzonych, a ich śmiech brzmiał bardziej przenikliwie niż zazwyczaj. Joannie wydało się to niepokojące.

Zbieranie żywności dobiegło końca i kobiety ruszyły w drogę powrotną do obozu. Joanna i Beth, ubrane w długie ciemne spódnice i w białe bluzki, szły pomiędzy niższymi od siebie, ciemnoskórymi niewiastami, które nie miały na sobie niczego oprócz warstwy tłuszczu z emu i popiołu. Podobnie jak jej towarzyszki, Joanna niosła na plecach kosz, dzięki czemu miała wolne ręce. Aborygenki śpiewały, dziękując Pierwszemu Wężowi, który szczerze zaopatrzył je dzisiaj w żywność, a także Pierwszej Jaszczurce. Zawsze okazywały Przodkom należną im wdzięczność.

Zanim dotarły do obozowiska położonego przy studni ze słodką wodą wśród olbrzymich głazów, dobiegły je głosy mężczyzn śpiewających pieśni dziękczynne Pierwszemu Kangurowi, który również okazał się dzisiaj dla nich hojny. Coonawarra podskakiwała w radosnym tańcu, zapowiadając, że dzisiejszego wieczoru naje się na całe życie.

Joanna i jej córka miały własny szałas, swoje dymiące ognisko oraz słup do rozwieszania rzeczy. Ponieważ Aborygeni posiadali bardzo niewiele osobistych przedmiotów, na słupach przed ich szałasami były zawieszane jedynie worki na wodę, włócznie i święte kamienie



chroniące ich przed Yowie – bestią nocy. Na słupie Joanny wisiała skórzana teczka, zestaw grzebieni z kości i drewna, marynarka kapitana Fieldinga oraz dwa wietrzone codziennie koce z kangurzej skóry.

– Przynieś wodę, Beth – zwróciła się Joanna do córki, wieszając na słupie kosz pełen wijących się larw. – Porozmawiam z Naliandrą. Może dowiem się od niej, co się dzieje.

Stara Aborygenka siedziała jak zwykle w kucki przy swoim ognisku. Grzebała patykiem w rozżarzonych węglach i mruczała magiczne zaklęcia.

– Naliandro – zagadnęła ją Joanna, sadowiac się obok staruszki – czy dzisiejszego wieczoru obie z córką powinnyśmy się czegoś obawiać?

Małe, błyszczące inteligencją oczy, prawie niewidoczne pod krzaczastymi brwiami, napotkały wzrok Joanny.

– Bój się, Jahna – odparła staruszka. – Ty zawsze powinnaś się bać.

Joanna dawno temu wyjawiała Naliandrze powód swojej podróży na pustynię. Opowiedziała jej o swojej matce, o truciznie-pieśni i niewytłumaczalnej potrzebie odnalezienia Karra Karra. Aborygenka wysłuchiwała jej wtedy z kamiennym wyrazem twarzy i z tajemniczo zamkniętymi oczami, a kiedy opowieść dobiegła końca, nie skomentowała jej ani słowem.

Teraz jednak zaskoczyła Joannę stwierdzeniem:

– Już wkrótce dotrzesz do końca swojego szlaku-pieśni, Jahna.

Joanna spojrzała na staruszkę zdumiona.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przekonasz się wieczorem, podczas *corroboree*.

Uroczystość *corroboree* rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy księżyc był już wysoko na niebie. Dzielenie piezzonego kangura, jaszczurek i ptaków odbywało się jak co wieczór zgodnie ze skomplikowanym systemem pierwszeństwa i zakazów. Nie było wydzierania sobie kęsów stawy ani walki o nią. Mężczyzna, który zabił kangura, pierwszy obsługiwał swoich rodziców, teściów, braci oraz towarzyszy polowania. Ci z kolei dzielili swoje racje pomiędzy własne rodziny i osoby, wobec których zaciągnęli dług. Czasami dla nich samych nic nie zostawało. Następnie kobiety rozdawały plony swoich całodziennych poszukiwań, kierując się względami pokrewieństwa, więzami małżeńskimi oraz innymi względami, których dotychczas Joannie nie udało się ustalić. Młodych ludzi obowiązywały żelazne reguły – chłopak, który schwytał jaszczurkę, musiał ją oddać rodzicom; kobiecie wolno było przyjąć żywność tylko od mężczyzny, nigdy od młodzieńca przed ceremonią inicjacji, a pewne rodzaje pożywienia były zakazane dla dziewcząt, które zaczęły już miesiączkować.

Pomimo obowiązku przestrzegania licznych nakazów ucztowano radośnie i hałaśliwie. Wszyscy najedli się do syta. Joannie nie dawało spokoju przecucie, że dzisiejszy wieczór różni się od innych. Odnosiła wrażenie, że członkowie klanu zachowują się głośniejsz niż zwykle i są zbyt skorzy do śmiechu. A po skończonej biesiadzie stwierdziła ze zdumieniem, że część żywności została, co było sprzeczne ze zwyczajami Aborygenów. Joanna wiedziała już, że gdy pożywienia było pod dostatkiem, jedli aż do przesyty. Tymczasem dzisiaj pohamowali apetyt, a pozostałą żywność skrzętnie schowali. Nigdy dotychczas tak nie

postępowali.

Kiedy mężczyźni odeszli, żeby przygotować się do tańców, Joanna wróciła do szałasu po koc dla siebie i dla Beth. Noce stawały się chłodne, a tańce mogły trwać nawet do brzasku. Spojrzała na księżyc wiszący na firmamencie niczym srebrna błyszcząca moneta. Była ciekawa, czy Hugh również go widzi, jeśli w tej chwili patrzy w niebo. Czy był już niedaleko stąd? Jak długo miała jeszcze na niego czekać?

W szałasie jak co wieczór sprawdziła kompas. Tym razem igła wprost wirowała wokół osi.

Joanna wróciła do ogniska. Nie mogła uchwycić sensu rozmowy, gdyż kobiety paplały za szybko. Skierowała wzrok na puste wnętrze koła, gdzie wkrótce mieli rozpocząć występ mężczyźni. Prawie każdego wieczoru klan urządzał *corroboree*. Jeśli tańce miały szczególne religijne lub rytualne znaczenie dla mężczyzn, kobiety nie mogły ich oglądać, i na odwrót – niekiedy zakazana była obecność mężczyzn. Pozostałe tańce były wykonywane dla rozrywki. Tancerze przekazywali za ich pośrednictwem ciekawe wydarzenia, opowiadali zabawne historie lub odgrywali godne zapamiętania polowania. Joanna wiedziała jednak, że dzisiejsza uroczystość będzie różniła się od dotychczasowych.

Mężczyźni i młodzieńcy szykowali się do przedstawienia – wkładali pióra we włosy, malowali ciała i przyozdabiali je muszlami oraz zębami zwierząt, a w tym czasie kobiety żuły liście z krzewu *pituri*, które w większych ilościach mogły mieć nawet śmiertelne właściwości. Spożywane w małych dawkach były środkiem pobudzającym.

Wreszcie tancerze byli gotowi.

Gdy Joanna i Beth uczestniczyły po raz pierwszy w *corroboree*, widziały jedynie bezładny, szalony taniec, który wydawał się pozbawiony porządku czy sensu. Dopiero potem dowiedziały się, że każdy ruch ma znaczenie, a każdy gest i skok odgrywa ważną rolę w przedstawieniu. Na bezkresnej pustyni skąpanej w blasku gwiazd i księżyca w krąg oświetlony płomieniami ogniska weszli tancerze.

Naliandra usiadła obok Joanny i Beth. Rozpoczął się taniec.

Thumimberie słynął w okolicy ze swoich tanecznych umiejętności. Gdy całe plemię zbierało się na wspólną uroczystość *corroboree*, zewsząd przybywały klany tylko po to, by podziwiać jego kunszt. I dzisiaj tańczył z wielką wprawą – przeskakiwał z nogi na nogę, wyginał się, kołysał i wirował pośrodku koła. Po chwili dołączył inny tancerz z gałęziami i liśćmi we włosach, którego ciało było pomalowane w czerwone i niebieskie wzory. We dwóch z Thumimberie wykonywali szalony taniec, zbliżając się i odskakując od siebie, jakby staczali walkę. Siedzące kołem kobiety chwyciły włócznie oraz bumerangi i zaczęły nimi wystukiwać jednostajny rytm.

– O czym jest ta historia? – zapytała Joanna.

– To bardzo stara legenda – odparła Naliandra. – Patrz uważnie.

Mężczyźni tańczyli wokół ogniska przy niemal ogłuszającym rytmie bębnów i uderzeń bumerangów. Kobiety zaczęły śpiewać, zawodząc piskliwie, lecz Joanna nie rozumiała słów pieśni.

– Proszę cię, Naliandro, opowiedz mi tę historię. Staruszka wyjaśniła, że to legenda o

tym, jak zły Makepeej stoczył bitwę z Tęczowym Wężem.

Joanna przyglądała się tancerzom, którzy rozkopywali stopami popiół wokół ogniska. Ich ruchy przywodziły jej na myśl jednocześnie taniec wojenny i walc. Słyszała cienki głos Naliandry. Aborygenka opowiadała historię o Makepeeju i jego ciężarnej żonie, którzy z powodu białej skóry uważani byli za zesłane przez zmarłych duchy.

Zdumienie Joanny nie miało granic. Jak zahipnotyzowana przeglądała się kolejnemu tancerzowi, który dołączył do ceremonii.

Miał długą perukę z trawy i był od stóp do głów wymalowany na biało.

– Lecz Makepeej rozdrażnił Tęczowego Węża – mówiła dalej Naliandra. – Dlatego Tęczowy Wąż połknął Makepeeja.

Do koła wkroczyli następni tancerze, których ciała mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Poruszając się gęsiego zygżakiem, otoczyli pomalowanego na biało mężczyznę.

– Ale ponieważ Makepeej był zły – ciągnęła Naliandra – Tęczowy Wąż zwymiotował i z jego paszczy wypadła mała dziewczynka, biała tak jak Makepeej.

W polu widzenia pojawił się mniejszy tancerz, również pomalowany na biało. Gdy chwiejnym krokiem stąpał wokół ogniska, uderzenia bumerangów i włóczni przybrały na sile.

– Tęczowy Wąż chciał zgładzić dziecko – opowiadała Naliandra. – Ale przeszkodziła mu w tym młoda kobieta z plemienia Czarnego Łabędzia. Wdrapała się razem z dziewczynką na grzbiet łabędzia i obie odleciały, kierując się w stronę zachodzącego słońca.

Joanna nie odrywała oczu od grupy dwudziestu mężczyzn tańczących na pokrytej popiołem ziemi. Ich ciała błyszcząły od potu. W świetle płomieni ogniska dostrzegała rozgorączkowane twarze kobiet. Noc pulsowała szalonym rytmem.

– Czy wiesz, co ten taniec oznacza, mamó? – zapytała Beth drżącym głosem.

Joanna zwróciła się do Aborygenki.

– Od samego początku wiedziałas, kim byli moi dziadkowie oraz co tutaj robili. Proszę, powiedz mi, Naliandro, co się z nimi stało?

Staruszka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie mogę ci tego wyjawic, Jahna. Odpowiedzi tkwią w tobie. Musisz je sama znaleźć.

Nikt nie spał tej nocy. Wciąż trwały tańce, przyniesiono jedzenie i wszyscy pożywiali się na nowo, palono ogniska, a emocje sięgały zenitu. Nawet kobiety, pobudzone działaniem liści *pituri*, zerwały się z miejsc, by odtńczyć własny taniec. Joanna spodziewała się, że o świcie strudzeni ludzie rozejdą się do szałasów, tak jak to robili po każdym *corroboree*, lecz ku jej zaskoczeniu zwinęli obóz i wyruszyli w dalszą wędrówkę na wschód.

Klan przemieszczał się bez dużego obciążenia. Naliandra miała przywilej niesienia dymiącego polana, dzięki któremu ognisko mogło być rozpalone po dotarciu do następnego miejsca postoju. Pozostałe kobiety szły obarczone koszami, kamieniami do rozdrabniania pożywienia, patykami do kopania w ziemi, a niektóre z nich także niemowlętami. Mężczyźni mieli przy sobie tylko broń, na wypadek gdyby po drodze spotkali kangura lub emu. Zanim opuścili obozowisko w Woonona, wysmarowali ciała błotem, tworząc warstwę ochronną przed owadami.

Joanna trzymała się blisko Naliandry, która „wyspiwywała” znaki orientacyjne wzdłuż

starodawnej drogi: pagórki, koryta wyschniętych rzek oraz dziwne formacje skalne. Aborygenka pokazała Joannie święte miejsce, zwane Miejscem Snu Psa, gdzie rodzina znajdowała ochrę potrzebną na uroczystości *corroboree*. Wyschnięty potok był Miejscem Snu Białego Żurawia, a pochylona akacja Miejscem Snu Mrówki. Ludzie Yolgerupa pozdrawiali zamieszkujące je duchy, pilnowali się, by nie wtargnąć na świętą ziemię i nie naruszyć spokoju żadnego kamienia ani gałęzi.

Szli gęsiego, zmierzając w kierunku wschodzącego słońca. Tworzyli długi, rozproszony szereg. Joanna zauważyła, że pomimo spędzonej na biesiadzie i tańcach nocy wszyscy kipią energią i wydają się ożywieni.

– Co się z nimi dzieje? – spytała Beth. – Zachowują się jak pijani. Spójrz na Coonawarrę. Jest tak zdenerwowana, że podskakuje na każdy, nawet ledwie słyszalny odgłos. Patrz, jaki Yolgerup jest rozmowny i z jaką werwą gestykuje. Powinien być zmęczony. Co to wszystko ma znaczyć, mamó?

Joanna otoczyła córkę ramieniem.

– Jestem pewna, że wkrótce się dowiemy.

Gdy nastał poranek, nad czerwoną pustynią wypełzło słońce. Joanna odniosła wrażenie, że wraz z powiewem wschodniego wiatru dobiegły ją dziwne dźwięki.

– Słyszysz, mamó? – spytała Beth.

Niespodziewanie Yolgerup kazał swoim ludziom się zatrzymać. Kiedy Joanna i Beth podeszły bliżej, stwierdziły, że stoją na szczycie zbocza. Ziemia urywała się nagle pod stopami, a poniżej ciągnęła się rozległa równina.

Joanna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na piaskach w dole biwakowały setki, a może nawet tysiące Aborygenów.

Dymy ich ognisk tworzyły całun, który jak okiem sięgnąć rozpościerał się nad obozowiskiem.

– To z pewnością jest zgromadzenie klanów, Beth! – rzekła Joanna, zdumiona tym widokiem.

– Nigdy nie widziałam aż tylu tubylców naraz. Skąd oni się tutaj wzięli?

Joannie zaparło dech w piersiach.

Członkowie klanu Yolgerupa pospiesznie schodzili na równinę, a ludzie z różnych obozowisk podbiegali uradowani, żeby ich powitać, obejmowali się nawzajem, podnosili do góry niemowlęta i szarpali swoje siwe brody. Zewsząd dobiegały prowadzone jednocześnie rozmowy, okrzyki zadowolenia i wybuchy śmiechu. Joanna pojęła powód ożywienia klanu podczas ostatnich kilku dni.

– Beth, zgromadzenie Aborygenów wygląda dokładnie tak, jak je opisał mój dziadek pół wieku temu! Zbierają się co pięć lat, żeby odnowić przyjaźnie, opowiedzieć historie swojego życia i wzmocnić więzy klanu...

– Mamó, widzisz, z kim się wita Coonawarra? – Beth wskazała podnóże skały, gdzie zebrała się duża grupa ludzi. – To pewnie jest mężczyzna, o którym wspominała i którego zamierza poślubić. A popatrz na Yolgerupa! Kobieta, którą obejmuje, to niewątpliwie jego matka!

Ale Joanna nie odpowiedziała. Stała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w olbrzymią skałę, monolit, który wznosił się ponad równiną. Poczwała na twarzy powiew gorącego wiatru. Nie mogła się oprzeć złudzeniu dziwnego odseparowania. W falującym rozgrzanym powietrzu wielka skała zdawała się poruszać i oddychać. Joanna miała wrażenie, że jakaś siła stara się ją przyciągnąć do siebie.

Beth wyjęła z kieszeni kompas.

– Mamo, spójrz tylko, jak wskazówka wiruje! Czyżby powodem była ta góra? Czy to możliwe, żeby miała właściwości magnetyczne?

Joanna nie mogła oderwać oczu od skalistej bryły przed sobą. Rozgrzane czerwone ściany zdawały się emitować ciepło, które tworzyło u podstawy góry drżące w słońcu i zanikające po chwili, aby ponownie wyłonić się w innym miejscu, srebrne obłoki. Joannie wydawało się, że z wnętrza góry dobiega szum przywodzący na myśl brzęczenie chmury owadów.

Naliandra stanęła obok niej.

– Karra Karra – rzekła, wskazując przed siebie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że tutaj zmierzamy? Przecież wiedziałaś, że właśnie tego miejsca szukam.

– Nie mogłam cię tutaj doprowadzić, Jahna. Musiałaś dojść sama, kierując się swoim własnym szlakiem-pieśnią. Nikt inny nie mógł podążać nim za ciebie.

– Znałaś moich dziadków? Przebywałaś w tym miejscu, kiedy wodzem był Djoogal?

– To stare dzieje, Jahna. Nie było mnie tutaj. Chodziłam wtedy do szkoły w chrześcijańskiej misji.

– Ale znasz ceremonię, jaka odbywa się we wnętrzu góry. Przypuszczam, że moja babka również brała w niej udział.

– Tylko ci, którzy byli w środku, znają sekret, Jahna. Ja nigdy nie miałam okazji się tam znaleźć. Zanim stałam się na tyle dorosła, by uczestniczyć w odprawianym obrzędzie, moc Karra Karra została skradziona.

„Skradziona przez mojego dziadka” – pomyślała Joanna.

– Skoro to jest Karra Karra, to co zamierzamy dalej robić, mamo? – spytała Beth.

Joanna nie spuszczała oczu z połyskującej w słońcu góry. Ogarnął ją lęk, a zarazem ekscytujące przecucie bliskości czegoś nieznanego.

W tej skale wyczuwała obecność ducha. Pomyślała o wydarzeniu, które prześladowało matkę w snach. Lady Emily jako mała dziewczynka była jego świadkiem. Wszystko znajdowało się tutaj – trucizna-pieśń, rozwiązanie tajemnicy Tęczowego Węza i dzikich psów oraz „innej spuścizny”.

Joanna pomyślała o przebytych przez siebie tysiącach kilometrów i o wszystkich latach, które upłynęły jej na poszukiwaniach tego miejsca. Nie mogła uwierzyć, że w końcu je odnalazła. Nagle odczuła potrzebę natychmiastowego działania. Nie chciała czekać ani jednego dnia i ani jednej godziny dłużej.

– Wejść do wnętrza tej góry, Beth – oznajmiła córce.

– Czy to jest bezpieczne, mamo?

– Muszę to zrobić, kochanie. Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Według mojego

dziadka od wielu wieków kobiety odprawiały tam swoje rytuały. Jakież mogłoby mi zagrażać niebezpieczeństwo?

– Wobec tego idę razem z tobą.

– Nie, Beth. Zostań z Naliandrą. Joanna zwróciła się do starej kobiety:

– Czy powiesz mi, którędy można wejść do środka? Według opisów mojego dziadka u podnóża góry znajduje się grotta.

– Wskażę ci drogę – rzekła Aborygenka. – Ale pamiętaj, Jahna, że Tęczowy Wąż mieszka tam nadal.

## ROZDZIAŁ 31

– To dziwne – zauważył Frank, stukając palcem w szkiełko kompasu. – Nie pokazuje kierunku. Przekłęta igła wciąż się przekręca na południe. Sprawdź nasze położenie na swoim kompasie, Hugh.

Siedzieli przy ognisku. Cztery tygodnie upłynęły od chwili ich wyjazdu z Kalagandry. Przybyli do Australii Zachodniej z opóźnieniem z powodu szalejących burz w Bight. Kapitan statku wciąż musiał szukać schronienia w zatokach. A potem, gdy już dotarli do punktu docelowego, mieli kłopoty ze znalezieniem chętnych na wyprawę. Kto chciałby zapuszczać się w głąb pustyni na poszukiwania zagubionej kobiety, skoro w Kalagandrze można było odkryć złoża złota?

Odwiedzili Erica Grahama w szpitalu pod wezwaniem Świętego Albana, gdzie chory przebywał pod opieką siostry Veroniki. „Zabłądziliśmy – powiedział im dziennikarz. – Kompas oszalały. A potem nastąpiło oberwanie chmury i gdyby nie to, że natknęli się na mnie poszukiwacze złota, zginąłbym, tak jak inni. „

W końcu, po trzech miesiącach od chwili opuszczenia Merindy, zebrali ludzi, kupili wielbłądy oraz potrzebne zapasy i pierwszego listopada wyruszyli w nieznaną. A teraz, dwadzieścia osiem dni później, oceniali, że znajdują się w pobliżu miejsca, nad którym przeszła nawałnica.

Hugh wyjął swój kompas i przyjrzał mu się z uwagą.

– To prawda, z moim też dzieje się coś dziwnego – przyznał. – Erie uprzedzał nas o tym.

Reporter zdołał naszkicować orientacyjną mapę z przebiegiem trasy wyprawy przez pustynię. Podczas nawałnicy zgubił notes, ale zapamiętał niektóre znaki orientacyjne w terenie. Hugh wyjął teraz sporządzony przez niego rysunek i w skupieniu studiował go w świetle ogniska.

– W porządku – rzekł. – Erie powiedział, że starali się podążać w kierunku wschodnim i codziennie przemierzali dystans około czterdziestu kilometrów. Po czterech tygodniach dotarli do pasma stromych gór. Minęliśmy je trzy dni temu, a więc musimy znajdować się w pobliżu ich ostatniego obozowiska.

Frank spojrział na mapę, która kończyła się na znaku topograficznym odpowiadającym górskiej grani.

– W którą stronę teraz pójdziemy? – spytał.

– Odtąd będziemy korzystać z umiejętności Ezekiela oraz dwóch przewodników – odparł Hugh, chowając szkic do torby przy siodle. – Jutro rozejrzemy się za obozem Joanny. Jeśli oprócz niej i Beth jeszcze ktokolwiek ocalał, może zdołali uratować jakieś zapasy i biwakują gdzieś w pobliżu, czekając na pomoc. Postąpiliby o wiele rozsądniej decydując się na pozostanie, niż podejmując dalszą wędrówkę.

– A jeśli byli zmuszeni iść dalej? – spytał Frank. – Tu nie ma wody. Niewykluczone, że musieli wyruszyć na jej poszukiwanie.

– Nawet jeśli tak było, nie mogli zejść daleko. Pewnie się zatrzymali przy pierwszym

napotkanym źródle. Po co mieliby się zapuszczać w głąb pustyni?

Poprzez trzaskające iskrami płomienie Hugh spojrział na przyjaciela.

– O co chodzi, Frank? Widzę, że chcesz coś powiedzieć.

– To tylko moje domysły, Hugh, ale znając Joannę, mogła zdecydować się na kontynuowanie poszukiwań Karra Karra. Nie sądzę, żeby chciała czekać beczynnie, skoro dotarła już tak daleko.

Hugh upił łyk ze swojego kubka.

– Masz rację, też o tym pomyślałem.

Skierował wzrok na zapatrzoną w ogień Sarę. Młoda kobieta nadal utrzymywała, że Joanna i Beth żyją, a w miarę jak posuwali się na wschód, coraz bardziej umacniała się w tym przekonaniu.

– No cóż, przynajmniej mamy słońce i gwiazdy, które nas będą prowadzić – rzekł Frank, chowając kompas do kieszeni. – Na szczęście niebo nie jest zasnuwane chmurami.

Ekipa ratunkowa liczyła dziesięciu członków. Hugh, Frank, trzech parobków z Merindy oraz Sara z Ezekielem przyłączyli się do Perth z Melbourne. Posterunkowy Carruthers zgłosił się jako ochotnik do udziału w wyprawie, a razem z nim JackyJacky i Tom, dwóch ciemnoskórych przewodników. Zabrali ze sobą piętnaście wielbłądów, miesięczne zapasy wody i żywności, lekarstwa, kompas, namioty, narzędzia, strzelby oraz amunicję.

– W którą stronę jutro się udamy, panie Westbrook? – spytał posterunkowy Carruthers. Traktował wyprawę jako przygodę – nie kończące się dni jazdy w słońcu i spędzane przy ogniskach wieczory. Carruthers był młody i nie założył jeszcze rodziny. Do zasilenia szeregów policyjnych sił przygranicznych skłoniła go pokusa prowadzenia burzliwego i urozmaiconego życia. Tak więc gdy dowiedział się od komisarza Foxa o organizowaniu ekipy ratunkowej, z entuzjazmem się do niej zgłosił.

– Nadal będziemy się kierować na wschód, panie Carruthers – odparł Hugh, ogarniając wzrokiem otaczającą ich ciemność. Zastanawiał się, czy Joanna rzeczywiście tędy przechodziła i czy przebywa gdzieś w pobliżu. Podniósł wzrok na okrągły księżyc, myśląc o tym, czy Joanna też go w tym momencie widzi. Powrócił wspomnieniami do wielu spędzonych razem nocy, do godzin wypełnionych namiętnością i szczęściem. Modlił się, by Joanna i Beth żyły. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że może być inaczej. Postanowił, że dopóty będzie tkwił na tych pustkowiach, dopóki ich nie odnajdzie.

– Ciekaw jestem, dokąd poszedł Ezekiel – rzekł Frank.

Hugh spojrział na przyjaciela. Próbował obliczyć, od jak dawna się znają. Przed oczami pojawił mu się obraz napuszonego młodego właściciela Lismore oraz wydawanego w Melbourne „Timesa”, który okazywał mu życzliwą pomoc, podczas gdy inni hodowcy biernie patrzyli, jak „zielony” przybysz z Queenslandu o własnych siłach boryka się z przeciwnościami losu. Niespodziewanie Hugh przypomniał sobie wydarzenia i rozmowy sprzed lat: dawno zapomniany pokaz hodowców, kiedy to Ian Hamilton zagadnął go po raz pierwszy, potańcówkę w remizie i słowa Franka: „Uważaj, Hugh. Wpadłeś w oko mojej siostrze, Paulinie”. Pustynna cisza i gwiazdy w zadziwiający sposób skłaniały do refleksji i budziły odległe wspomnienia.



– Poszedł na zwiady, aby odszukać ślady obozowiska. Ezekiel przenika wzrokiem ciemności niczym kot.

– W takim razie położę się już spać. – Frank podniósł się z miejsca, masując obolałe plecy. Choć od czasu opuszczenia Kalagandry stracił na wadze, wciąż źle znosił trudy podróży. Przeklinał siedzący tryb życia, jaki dotychczas prowadził, i żałował, że nie słuchał rad Ivy, która namawiała go do uprawiania gimnastyki. Miał już pięćdziesiątkę na karku, a dzisiaj odczuwał każdy rok swojego życia. Zmierzając w stronę namiotu, obiecywał sobie w duchu, że po powrocie do domu będzie jeździł konno, zajmie się łucznictwem i wioślarstwem, a nawet zacznie uprawiać modny, bezsensowny sport – tenis.

Carruthers również postanowił pójść spać i pożegnał się, oznajmiając wszystkim swoją gotowość wyruszenia wczesnym świtem. Przewodnicy i trzej parobcy z Merindy udali się na spoczynek, rozścielając sobie posłania obok spętanych wielbłądów. Hugh i Sara zostali sami przy ognisku.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się parującej herbacie w menażce. Co chwila podnosili wzrok i patrzyli na gwiazdy.

Hugh dostrzegał przeobrażenie, jakiemu uległa Sara w ciągu ostatnich tygodni. Stała się małowówna i bardziej zamyślona niż zwykle. Każdej nocy, gdy sądziła, że już wszyscy śpią, wymykała się z obozu na pustynię. Czasami wracała po godzinie, ale nieraz dopiero o świcie.

– Powinniśmy już pójść spać – odezwał się Hugh. – Od jutra będziemy musieli podróżować bez mapy i kompasów.

– Posiedzę tu jeszcze przez chwilę. Dobranoc, Hugh. Ponownie utkwiała wzrok w żarze ogniska. Myślała o Philipie i o tym, jak pocałował ją na pożegnanie w porcie, nie bacząc na zdumionych ludzi. Cztery tygodnie przebywania na pustkowiu dały jej sposobność zastanowienia się w ciszy nad samą sobą. A więc Joanna postanowiła wziąć los w swoje ręce. Nie czekała biernie, co jej przyniesie przeznaczenie. Wytoczyła sobie cel i starała się go osiągnąć. Wolą samodzielną tworzyć własną historię, niż pozwolić, by inni ją w rym wyręczali.

„Od tej pory będę postępować tak samo – doszła do wniosku Sara. – Muszę wiedzieć, czego chcę, i podążać własnym szlakiem-pieśnią, dopóki nie zrealizuję mojego marzenia. Tylko czy to będzie możliwe? Jedynym moim pragnieniem jest Philip. A na naszej drodze piętrzy się tak wiele trudności. „

Gdy uznała, że wszyscy już śpią, oddaliła się od obozu i spojrzała w gwiazdy. Wyczuwała wokół siebie obecność przodków oraz duchów ludzi, którzy wcześniej tędy przechodzili: poszukującego rajy Johna Makepeace'a, jego żony Emily oraz Aborygenki Reenadeeny, która uciekła przed niebezpieczeństwem. Sara wiedziała, że wszystkie namiętności i marzenia przechodzących tędy wcześniej osób istnieją tu nadal. Zewsząd dobiegały ją szepty, niczym płynące ławicą drobne rybki. Czuła na ciele oddechy; słyszała pomruki i uderzenia serc. „A teraz to miejsce zostanie wzbogacone o moją namiętną miłość” – pomyślała.

Zamknęła oczy, próbując przebyć duchem tysiące kilometrów. Wyobrażała sobie, że Philip na nią czeka. Czuła, jak ją do siebie przyciska, jak przyciska wargi do jej ust...

A potem w myślach Sary błysnęła inna wizja – wyraz zdumienia na twarzach ludzi w porcie. Biały mężczyzna całował Aborygenkę w miejscu publicznym. A co by było, gdyby wiedzieli jeszcze, że jest żonaty?

„Och, Philipie – westchnęła. – Co poczniemy?”

W ciemnościach dobiegły ją odgłosy kroków. Odwróciła się. W jej stronę szedł Ezekiel. Usiadł na piasku i zwrócił twarz ku gwiazdom.

– Oto miejsce, do którego przynależymy. To kraina ciemnoskórego człowieka. Jesteśmy Aborygenami.

Czekała. Po chwili starzec podniósł w górę dłoń. Sara spostrzegła w niej niebieską błyskotkę.

– To przecież kolczyk Joanny! – wykrzyknęła. – Gdzie go znalazłeś?

– Na tamtym drzewie. Zostawiła znak. Poszła tam – stwierdził, wskazując na wschód.

– Czy to znaczy, że zostawiła dla nas wskazówkę?

– Ona tworzy szlak-pieśń .

– To cudownie, Ezekielu! Musimy zawiadomić o tym Hugh'a!

Powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Ja dalej nie pójdę. To ty ją musisz odnaleźć.

– Co masz na myśli, Ezekielu?

– Nazywam się Geerydjine – stwierdził. – Biali ludzie dawno temu zabrali mi moje prawdziwe imię i nazwali Ezekiem. Ale ja jestem Geerydjine. Dzisiaj przechodziliśmy obok Miejsca Snu Emu. Wrócę i już tam zostanę. Czas, abym spotkał się z moimi przodkami. – Umilkł, objął ją. Poczowała na twarzy dotyk jego szorstkiej brody. Była zdumiona, stwierdzając, że starzec jest tak wątpy. Zawsze uważała go za krzepkiego mężczyznę. Dopiero teraz spostrzegła, że jest znużonym, starym i łaknącym odpoczynku człowiekiem.

Patrzyła za nim, dopóki jego sylwetka nie wtopiła się w ciemność nocy. Nie próbowała go zatrzymać. Wiedziała, że kierując się zwyczajami swojego plemienia, pragnie godnie umrzeć – w samotności i w wyznaczonym dla siebie czasie.

Spojrzała na kolczyk, który przed chwilą jej wręczył, i pomyślała o tworzonym przez Joannę szlaku-pieśni. Raz jeszcze usłyszała słowa Ezekiela: „Jesteśmy Aborygenami”.

I nagle ujrzała swoją drogę – tak wyraźnie, jak gdyby była wrytą w piasku i oświetloną blaskiem księżycy ścieżką, która przebiegała przez terytorium Aborygenów, przecinała ziemię białego człowieka i dochodziła aż do Philipa. Na końcu szlaku zobaczyła siebie, jak biegnie prosto w ramiona ukochanego i otwarcie go całuje, gdyż nie ma się czego wstydzić. Nie występowała przeciw prawu. Była przecież Aborygenką, tak jak to powiedział Ezekiel, czyli Geerydjine. Według reguł obowiązujących jej współplemieńców wystarczyło tylko obwieścić, kogo sobie bierze na męża. A i on mógł mieć więcej niż jedną żonę.

Niecierpliwiła się teraz, żeby kontynuować poszukiwania i jak najprędzej wrócić do Merindy. Ale zanim udała się w drogę powrotną do obozu, aby przekazać Hughowi radosne wieści o Joannie, jeszcze przez chwilę pozostała na miejscu i pożegnała w milczeniu Geerydjine'a.

Joanna zostawiła za sobą światło słoneczne i weszła w ciemność groty. Upewniła się, czy

skórzana teczka u paska spódnicy jest dobrze zapięta. Po chwili przystanęła i uniosła wysoko pochodnię. Wokół szumiała góra. Joanna wyczuwała jej energię. Miała wrażenie, że zagłębia się w żyjącą istotę. Poprzez nieprzenikniony mrok ciągnął się kamienny trakt, wydeptany przez pokolenia matek i córek. W miarę jak wchodziła do olbrzymiego, pulsującego wnętrza, za jej plecami znikało dzienne światło. Zastanawiała się, co znajdzie na końcu ścieżki.

Przy wejściu do groty, przysłuchując się zanikającym krokom matki, niecierpliwiła się Beth. Ogarnęła wzrokiem liczne zgromadzenie Aborygenów na równinie w dole. Czuła dym wielu ognisk, dobiegały ją dźwięki monotonnych pieśni i odgłosy bębnow. Gdy w ciemnościach pieczary umilkły kroki matki, Beth obleciał strach. Nie miała już przy sobie bliskiej osoby, której obecność zawsze podtrzymywała ją na duchu. Została sama z niezliczonymi rzeszami Aborygenów. Wstała i zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem. Spojrzała w słońce, które powoli wznosiło się do zenitu. Zastanawiała się, jak długo matka będzie tam przebywać.

Jej zdenerwowanie przybierało na sile. Przy jednym z ognisk tańczyli mężczyźni, obwieszczając polowanie na kangura. Byli nadzy, pomalowani w barwne wzory. Wymachiwali włóczniami i bumerangami, wydawali dzikie okrzyki.

Słońce zaglądało do groty i oświetlało początek schodzącej w mrok ścieżki. Dziewczynka obejrzała się, ogarniając wzrokiem zadymioną gwarną równinę, i bez chwili namysłu weszła do wnętrza góry.

Joanna podążała krętym ciemnym przejściem. Straciła poczucie czasu. Płomień pochodni rzucał na ściany niesamowite tańczące cienie. Dostrzegła w skale różnobarwne pręgi. Jasnozielone wstęgi przechodziły w czerwień, pomarańcz i brąz. Czuła, jak na karku jeżą się jej włosy – nie ze strachu, lecz na skutek działających tu sił – może magnetyzmu, tak jak sugerowała Beth, a może innych mocy. Joanna nie mogła się nadziwić, że góra tak jak człowiek może mieć własny puls i energię.

Niespodziewanie ścieżka się zwężyła. Ściany były teraz tak blisko, że Joanna ocierała się o nie ramionami. Sklepienie korytarza znajdowało się tuż ponad jej głową i musiała się nisko pochylić, aby iść dalej. Schodziła coraz to niżej i coraz bardziej zagłębiała się w serce ziemi. Dotarła do kolejnego przejścia – tak ciasnego, że bała się w nie zapuścić.

Otoczały ją nieprzeniknione ciemności. Niemal wyczuwała wokół siebie ciężar potężnego masywu skalnego. Dobiegał ją własny, zbyt głośny oddech. Gdyby przystanęła, pewnie usłyszałaby również huk swojego tętna oraz wzbudzany przez nie donośny, odbijający się echem od wewnętrznych ścian pogłos.

Zanurzała się w mrok. Dudniło jej w uszach. Powietrze stało się ciężkie. Pochodnia wystrzeliła w górę iskrami i zamigotała. Joanna obawiała się, że za chwilę zgaśnie. Wiedziała, że bez tego oświetlenia ogarnie ją ostateczna, równa ślepotcie ciemność.

Nagle rozległ się jakiś dźwięk. Przystanęła, nasłuchując i starając się go zidentyfikować. Przypominał cichy plusk.

Szła z szeroko otwartymi oczami. Płomień pochodni oświetlał drogę zaledwie na kilka metrów. Przy każdym kroku miała wrażenie, że stawia stopę w litej skale. Ale ścieżka biegła dalej, schodząc coraz niżej i coraz bardziej wdzierając się w głąb góry.

Joanna przystanąła, nasłuchując. Dziwny odgłos towarzyszył jej nadal. Chwilami stawał się głośniejszy, a chwilami prawie zamierał.

Na ścianach pojawiły się osobliwe malowidła. Uważnie się im przyjrzała w świetle pochodni. Gdy płomień tańczył i migotał, figury na ścianach również zdawały się drgać i poruszać. Przedstawiły mężczyzn i kobiety, zwierzęta oraz żyjące przed tysiącami lat mityczne bestie. W miarę jak szła, rysunki stawały się coraz większe i liczniejsze. Opowiadały jakąś historię, lecz Joanna nie potrafiła jej rozwikłać. Patrząc na obrazy sprzed wieków i z każdym krokiem bardziej zagłębiając się w ziemię, wyczuwała wokół siebie naelektryzowane powietrze.

Ni stąd, ni zowąd otworzyła się przed nią ogromna jaskinia. Joannie z wrażenia zaparło dech w piersiach. Z sufitu zwisały potężne stalaktyty i stykały się z olbrzymimi, wyrastającymi z podłoża stalagmitami. Zastanawiała się, czy właśnie tutaj została kiedyś przyprowadzona jej babka, czy tutaj przez wieki matki i córki odprawiały swoje tajemne rytuały. Rytmiczny dźwięk stał się teraz donośniejszy. Joanna uzmysłowiła sobie, że to odgłos ściekającej wody. Spozrzegła rozległe i czarne jak atrament jezioro, jego powierzchnię mierzwił dziwny prąd. Grota była wielkości katedry, którą kiedyś Joanna zwiedzała w Londynie. Dźwięki odbijały się tam podobnym echem, a kamienne gotyckie wnętrza świątyni przypominało wyglądem ściany tej fantastycznej góry.

Wszędzie były porozrzucane kości małych zwierząt, wyschnięte skórki owoców, nasiona i łupiny orzechów. Czyżby właśnie tutaj znajdowała się siedziba duchamocy?

Joanna nie miała pewności, czy nie jest obserwowana przez lokatora tego świętego miejsca. Ostrożnie stawiając kroki, pokonywała kamienne stopnie otaczające czarne jezioro i zastanawiała się, czy pod jego powierzchnią nie mieszka jakiś potwór. Skalny szlak się zwężał. Ocierając się plecami o ścianę, powoli szła naprzód. Ale zarówno kamieniste podłoże, jak i boczne ściany były śliskie. Starła się uchwycić czegoś dłonią. Nagle pośliznęła się i choć w porę zdołała odzyskać równowagę, upuściła pochodnię do atramentowej wody.

Zatrwożona patrzyła na gasnący płomień. Ale za moment zaparło jej dech ze zdumienia. Grota wypełniła się nagle fosforyzującym jasnozielonym światłem. Pochodziło z wapiennych ścian oraz z wysokiego sklepienia. Była to niesamowita, pogłębiająca wrażenie tajemniczości zielona poświata, dzięki której Joanna widziała drogę. Ruszyła nią dalej przed siebie, a kiedy dotarła na drugi brzeg jeziora, spostrzegła, że ścieżka prowadzi do otworu w skalnej ścianie.

Zawahała się. Z głębi przejścia zionęły jeszcze większe ciemności niż te, z których przyszła, a szlak nadal schodził stromo w dół. Pomyślała o straconej pochodni oraz o zostawionej daleko w tyle jasności dnia. Poddała się jednak urzekającej magii góry.

Poszła dalej.

Beth powoli pokonywała wąski korytarz, obmacując ściany i ostrożnie stawiając stopy. Nigdy nie podejrzewała, że ciemność może być aż tak absolutna. Nawet podczas bezksiężycowych nocy w Merindzie, kiedy gwiazdy były ukryte za chmurami, mrok nigdy nie wydawał się tak głęboki ani tak groźny.

Szeroko otwierała oczy, jak gdyby to miało jej pomóc w przedzieraniu się przez ciemności. Modliła się o błysk pochodni w oddali przed sobą.

W pewnej chwili przystanęła i obejrzała się za siebie. Atramentowe głębie pochłonęły już wejście do groty i słoneczne światło zupełnie zniknęło. Spierzchnęły jej usta. Bardzo powoli, krok za krokiem posuwała się naprzód ścieżką. Była przerażona. W wyobraźni widziała już otwierającą się nagle przed nią bezdenną czeluść.

Starła się myśleć o tym, że matka nie bała się wejść do wnętrza góry. Jej prababka również pokonała kiedyś tę samą drogę i przecież wyszła z pieczary. Beth powtarzała sobie, że przechodziły tędy kolejne pokolenia kobiet i nie spotykało ich nic złego. Wiedziała, że kamienisty trakt musi się kiedyś skończyć.

– Mamo! – zawołała. – Gdzie jesteś? Jedyłą odpowiedzią było echo jej głosu.

– Mamo! – zawołała ponownie, tłumiąc strach.

\*

Gdy tylko Joanna znalazła się przy otworze na końcu podziemnego jeziora, stwierdziła z ulgą, że po drugiej stronie panuje ten sam fosforyzujący blask. Zagłębiła się w długi tunel, którego ściany zdobiły rysunki i płaskorzeźby. Malowidła różniły się od oglądanych wcześniej, przedstawiających ludzi podczas polowań i prowadzenia wojen. Teraz widziała obrazy starsze od poprzednich, dotyczące wyłącznie kobiet. Prymitywnie narysowane sceny opisywały ciężę, porody i kolejne etapy życia. W powietrzu unosił się dziwny zapach, kojarzący się z wonią krwi i pyłu. Joanna szła korytarzem, mijając rysunki pokazujące kobiety z dużymi biustami i z dziećmi w brzuchach oraz podróżujących ludzi – podążających wzdłuż linii utworzonych ze znajomych zawijasów, kropek i kółek. Rozpoznała typowe znaki graficzne w sztuce Aborygenów. Uświadomiła sobie, że czyta starodawne zapisy szlaków-pieśni namalowane przed wiekami przez anonimowe artystki. Zastanawiała się, czy owe rejestry powstały w dawno zapomnianej erze matriarchatu.

Schodziła wciąż niżej, w głąb łona góry. Dobiegł ją inny zapach – gliny i czarnoziem, woń przywodząca na myśl grzyby i coś kleistego, słodkiego. Fosforyzujące światło otaczało ją niczym tropikalne morze. Joannie zdawało się nawet, że wyczuwa w powietrzu cierpki aromat oceanu.

Tunel kończył się niespodziewanie. Joanna znalazła się na skraju ogromnej groty – wilgotnej i żarzącej się zielenią.

Stanęła urzeczona tym widokiem. Zobaczyła to, co ją w końcu ściągnęło do tego miejsca – z tak daleka i po tylu latach.

– Mamo! – krzyknęła Beth. – Gdzie jesteś?!

Starła się nie poddawać panice. Próbowwała zachować spokój. Ale ciemność była zatrważająca i dziewczynka już zbyt długo w niej przebywała. A jeśli obrała zły kierunek? Jeśli na zawsze miała pozostać uwięziona w tej straszliwej górze tylko dlatego, że nie starczyło jej cierpliwości lub odwagi, by w samotności czekać przy wejściu do groty?

Obmacywała dłońmi ściany. Stopy obsuwały się jej ze śliskiej ścieżki. Poruszała się po omacku, z trudem utrzymując równowagę. Dławiąc wzbierający szloch, przyrzekła Bogu, że jeśli ją ocali, nigdy już nie sprzeciwi się poleceniu matki.

Wtem niespodziewanie, jak gdyby w odpowiedzi na jej rozpaczliwe modły, zobaczyła

przed sobą światło. Gdy dotarła do końca wąskiego tunelu i stanęła na skraju dużej groty z czarnym, podziemnym jeziorem, uświadomiła sobie, że całe wnętrze góry promieniuje zadziwiającą zielenią.

Dostrzegła otaczający tafłę wody wąski szlak, który prowadził do znajdującego się po drugiej stronie pieczary otworu.

Teraz, kiedy już widziała przed sobą drogę, poczuła się nieco różnie. Ruszyła przed siebie wąskim skalistym traktem, okrążając przeraźliwie czarne głębie.

Na widok Tęczowego Węża Joannę ogarnął strach. Wąż był piękny, barwny i potężny, na jego wizerunek składały się tysiące szczegółów, otaczały go mityczne symbole. Joanna ze zdumieniem dostrzegła wymalowane piersi i stwierdziła, że wąż stanowi symbol kobiecości.

Mogła się jedynie domyślać, przed iloma laty, a może nawet i wiekami powstało to dzieło i ile pokoleń uczestniczyło w jego tworzeniu. Powoli podeszła do ściany. Znajdujące się na wysokości kilku metrów malowidło było tak długie, że nie widziała jego końca. Nie mogła się nadziwić wielkiemu kunsztowi malarskiemu twórców – każda łuska na ciele ogromnego gada, który wił się przez całą długość groty z jednego jej krańca po drugi i był fantazyjnie powyginany, została tak namalowana, że zwierzę zdawało się połyskiwać i poruszać jak żywe.

Przyglądając się malowidłu, dostrzegła coś jeszcze – pod warstwami farby znajdowały się barwne skalne pręgi – geologiczne pokłady, które biegingy wzdłuż ściany niczym wstęgi czerwone, pomarańczowe, brązowe i zielone. Im dłużej Joanna się im przypatrywała, tym bardziej rosło w niej przekonanie, że wąż był tutaj na długo przedtem, nim jakakolwiek farba została nałożona na boczną powierzchnię groty.

Rozejrzała się wokół. Ogarnęła wzrokiem wysokie sklepienie, wapienne formacje skalne, prymitywne rysunki ściennie oraz łagodny, osobliwy blask i pomyślała: „To miejsce przypomina mi kościół”.

Przez jaskinię przepływał strumień, a na brzegach leżały służące do picia naczynia – łupiny dyni i skorupy orzechów kokosowych, kubki wykonane z kory i z gliny oraz kamienie z wydrążonymi wgłębieniami. Wszystkie przedmioty były pokryte tymi samymi mitycznymi znakami poświęconymi tematyce życia i narodzin, które otaczały Tęczowego Węża. Joanna pomyślała, że są to symbole kobiece. To tutaj od zamierzchłych czasów niewiasty odprawiały swoje rytuały – w miejscu wydobywania się wody z łona ziemi, gdzie życie brało swój początek.

Sięgnęła po gliniany kubek i zanurzyła go w krystalicznym strumieniu. A potem podniosła do ust i napiła się wody.

Beth przyglądała się fantastycznym ściennym malowidłom w zielono oświetlonym tunelu. Uświadomiła sobie, że ulega złudzeniu. Była gotowa przysiąc, że niektóre postacie się poruszają. Przyspieszyła kroku. Bała się, że za chwilę straci przytomność.

Gdy dostrzegła koniec wąskiego korytarza i stwierdziła, że dochodzi do następnej oświetlonej groty, rzuciła się naprzód biegiem. W wejściu przystanęła. Otaczające ją powietrze było naelektryzowane, jak gdyby przebywała w samym środku burzy. Zobaczyła Tęczowego Węża, a potem Joannę nad brzegiem strumienia.

– Mamo? – odezwała się. Joanna odwróciła się do niej.

– Co tutaj robisz, Beth?

– Obleciał mnie strach, gdy czekałam na ciebie. Chce mi się pić.

Joanna zanurzyła w strumieniu kubek i podała córce. Beth wypła wodę, krystalicznie czystą i orzeźwiającą.

– Gdzie my jesteśmy, mamo?

– Przybywały tutaj kolejne pokolenia kobiet, aby czcić cykle życia.

– Czy wiesz, jakie rytuały tutaj odprawiały?

– Nie, nie wiem – odparła Joanna. – Może niewiasty dzieliły się swoją tajemną wiedzą i mądrością. Twoja prababka była tutaj wiele lat temu. Może widziała, jak matki przekazują swoim córkom szlaki-pieśni.

– Ależ mamo... Zawsze sądziłam, że szlak-pieśń jest drogą.

– Nie, każda z nas, matka i córka, jest szlakiem-pieśnią. Zastanawiam się, czy nie o tej „innej spuściźnie” wspominała kiedyś moja matka. Może powiedziano jej, że wróci tu ze swoją matką i będzie podziwiać piękno tego miejsca. Ale nie wróciła. Umarła, nim je zdołała zobaczyć.

Beth wyczuwała tajemnicze siły drzemiące w otaczającej ją górze.

– Jak sądzisz, co matki mówiły tutaj swoim córkom?

Joanna spojrzała na Beth i pomyślała: „Jesteś moim upragnionym dzieckiem i moją radością. Jesteś sobą, a jednocześnie częścią mnie. Przekażę ci nasz szlak-pieśń. Nauczę cię wsłuchiwać się w siebie i rozpoznawać muzykę własnej intuicji”. A potem nasunęła się jej jeszcze jedna refleksja: „Kto wie, może Aborygenki właśnie to mówiły swoim córkom w tej grocie przed tysiącami lat, a wyjaśnienie tajemnicy jest takie proste”.

– Czy tego węża widywała moja babcia w swoich snach?

– spytała Beth, podnosząc wzrok na malowidło.

– Sądzę, że tak. Przyjrzyj mu się uważnie, a dostrzeżesz pod farbą naturalne pokłady skalne. Ich kształt przypomina ciało ogromnego gada, widzisz? Przypuszczam, że kiedyś w odległej przeszłości ludzie zaczęli czcić uwięzionego w kamieniu węża. Wraz z upływem wieków upiększali go, przyozdabiali i kolorowali.

– Mamo! – wykrzyknęła Beth. – Spójrz na jego oko! Joanna podniosła wzrok na Tęczowego Węża. Jego głowa została namalowana z profilu i widać było tylko jedno oko, a właściwie miejsce po nim – dziurę w ścianie. Wyglądało tak, jakby ktoś je wydfubał nożem.

– Opal! – zawołała Beth. – Stąd pochodzi!

Joanna otworzyła teczkę i wyjęła z niej szlachetny kamień. Był ciepły w dotyku i rzucał ostre zielono-czerwone błyski. Spojrzała na malowidło. Wgłębienie, w którym powinno znajdować się oko, było tego samego rozmiaru i kształtu co opal.

– Teraz już wiemy, jakiej zbrodni dopuścił się mój dziadek, Beth. Wszedł niepostrzeżenie do groty i gdy sądził, że nikt go nie widzi, wykradł Tęczowemu Wężowi oko.

– Mamo, spójrz tam! – głos Beth odbił się echem pod wysokim sklepieniem jaskini.

Joanna zobaczyła porozrzucone na ziemi szkielety zwierząt – prawdopodobnie psów dingo.

Ponownie skierowała wzrok na węża i tym razem zauważyła coś jeszcze, na co wcześniej nie zwracała uwagi: wyryte w dole prymitywne rysunki psów.

– Mój Boże! – odezwała się w końcu. – Naliandra miała rację. Czy pamiętasz, Beth, jak powiedziała mi podczas *corroboree*, że odpowiedzi na nurtujące mnie pytania znajdę w samej sobie? Oczywiście. Teraz wszystko rozumiem. Przez cały czas je znałam, tylko nie potrafiłam ułożyć ich w całość.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mamó?

– Te psy były pewnie strażnikami Tęczowego Węża. Kiedy ktoś dopuszczał się zbrodni przeciwko wężowi, tak jak to zrobił mój dziadek, był karany przez psy. Przypominasz sobie historię o połkniętym przez węża Makepeeju, którą opowiedziała nam Naliandra? Otóż nie unicestwił go Tęczowy Wąż, Beth, lecz psy... – Joanna zamknęła na moment oczy, gdy dotarł do niej potworny sens własnego stwierdzenia. – W ten oto sposób plemię ukarało Johna Makepeace'a: poszczuło na niego dzikie psy. A mała Emily z pewnością była tego świadkiem.

– Nareszcie wszystko pojmuję – rzekła Joanna, usiłując wyobrazić sobie wydarzenia sprzed ponad pięćdziesięciu lat: młody Anglik nie zdołał się oprzeć pokusie zagarnięcia opalu, klan się o tym dowiedział i... Ale co się stało z Naomi? Czyżby straszliwa kara stała się również jej udziałem?

– Musimy włożyć opal na miejsce – rzekła Joanna. „A z chwilą jego oddania przestanie na naszej rodzinie ciążyć klątwa” – pomyślała.

Podążyła teczka Beth, przeszła na drugą stronę strumienia i sięgnęła do oka węża, aby umieścić w nim szlachetny kamień. Gdy przekręcała opal, starając się go dopasować, Beth zajrzała do teczki. Dostrzegła róg aktu własności. Wyciągnęła dokument i w fosforyzującym świetle groty odczytała spłowiałe wyrazy. Gdy dotarła do sformułowania: „Dwa dni jazdy z... i dwadzieścia kilometrów od Dopływu Dro... „, przypomniała sobie nagle znak drogowy w pobliżu szpitala siostry Yeroniki: „Dopływ Dropa, 20 kilometrów na południe”. I nazwę Durrakai.

– Mamó! Chyba wiem, gdzie leży posiadłość, o której mowa w akcie własności! To miejsce zamieszkania zakonnic. To ich szpital! Jestem tego pewna!

Joanna spojrzała na córkę ze zdumieniem.

– A więc to tam moi dziadkowie zamierzali zbudować farmę. Znalazłyśmy tę ziemię, nawet o tym nie wiedząc.

– Co z nią zrobimy, mamó?

Joanna pomyślała o siostrze Veronice i o tym, jak zaopiekowała się małą Emily w czasie pierwszych dni po jej przybyciu z pustyni. Jeśli akt własności był nadal ważny, Joanna wiedziała, co z nim zrobić.

Gdy opal był już na swoim miejscu i rzucał zielono-czerwone ognie, Beth zapytała matkę:

– Jak myślisz, czy teraz, kiedy wężowi zostało zwrócone oko, Aborygeni znowu będą korzystać z tej góry? Czy nadal będą tu odprawiać swoje obrządki, tak jak niegdyś?

– Nie potrafię odpowiedzieć, Beth. Być może nie. Cykl został zakłócony. Wiele lat upłynęło i mnóstwo wydarzyło się od czasu, kiedy przechodziła tędy ostatnia kobieta. Nawet



Naliandra nie zna rytuałów, które były tutaj odprawiane. Prawdopodobnie pamięć o nich przepadła na dobre, a my ostatnie widzimy Tęczowego Węża.

Beth zamyśliła się przez moment.

– Myślisz, że na naszej rodzinie naprawdę ciążyła klątwa, mamó?

– Przypuszczam, że w pewnym sensie tak. W każdym razie moja matka w nią wierzyła i w ten oto sposób przekleństwo stało się realne, nawet jeśli istniało tylko w jej wyobraźni. Ale teraz to już zakończona sprawa, Beth. Jesteśmy wolne. – Joanna pomyślała o Hughu i o tym, jak bardzo go potrzebuje. – Możemy wracać do domu – rzekła.

Po raz ostatni ogarnęły wzrokiem wspaniałego Tęczowego Węża, a potem wróciły na ścieżkę i ruszyły nią pod górę, ku światłu.